

CENA 20 zł

nr indeksu 332593



FRAZA nr 1-2 (123-124) 2024

FRAZA

POEZJA PROZA ESEJ

nr 1-2 (123-124) 2024

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

Portrety: Josef KROUTVOR, Ksenia Niekrasowa, Joanna SARNECKA, Grzegorz Strumyk
Literatura cypryjska, czeska, rumuńska. Poezja, proza, esej, dziennik: Balys, BLANDIANA, Brakoniecki, DMITROCA, Dudzińska, FROŃSKI, Hunia, LEWANDOWSKA, Kołodziej, OLBROMSKI, Pogorzelski, ROGOWSKI, Sikora, SKALBANIA, Stosur, TOMSIA, Wilczyński i in. Szkice o twórczości: CHUTNIK, Jabłońskiej, MIŁOSZA, Stasiuka, SZPILI. Dwudziesta edycja OKP im. K. RATONIA.
Frazowe rozmowy z: Marcinem Oskarem CZARNIKIEM, Antonim i Iwoną MATUSZKIEWICZAMI, Katarzyną TURAJ-KALIŃSKĄ. SZTUKA: plakaty do *Iwony księżniczki Burgunda* GOMBROWICZA



Wiersze z rękopisów Fryderyka NIETZSCHEGO w przekładzie Andrzeja LAMA
Portrety: *In memoriam* Adam CZERNIAWSKI, Urszula M. BENKA, Grzegorz WALCZAK
Niezależna literatura białoruska: ARŁOU, Bacharewicz, CIMAFIEJEWA, Komar, LANKIEWICZ, Mort, NIAKLAJEŪ. Literatura amerykańska i kanadyjska: BRINGHURST, Kerouac, SKAAY z Qquuna Qiighawaay, WOŁOCH. Krajowcy i emigranci: Bieliń, Koryl Kusiba, Machno, Matywiecki, Nasiłowska, Nowosielski, Pacześniak, Wolak
Szkice o CONRADZIE, Miłoszu, SINGERZE i mistycznej śmierci. Sztuka: Franciszek MAŚLUSZCZAK, wspomnienie o Jerzym J. FAŁARZE. Nagrody im. W. Szyborskiej 2024



Fot. Archiwum M. Rabizo-Birek



Adam Czerniawski

20 grudnia 1934, Warszawa – 29 lutego 2024 Monmouth, Walia

Poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz, redaktor londyńskich pism młodoliterackich „Merkuriusz”, „Życie Akademickie”, „Kontynenty”, propagator polskiej kultury w świecie anglojęzycznym, autor „Frazy”

CO PRZEWIOŻĘ NA TAMTEN BRZEG

T. R.

Ten jedwabny szalik i pierwszą miłość,
Kieliszek wina, garść wspomnień, gałązkę bzu,
Parę nalożnic, berło i miecz,
Boską komedię, dialogi Platona i widok Delft;
Amforę marzeń i sakwę sucharów.

sierpień 2004

„Fraza” 2005, nr 1–2 (47–48)



Motta:

Fala stanąć nie może,
noc lubi jasny dzień –
pięknie brzmi słowo „chcę”,
jeszcze piękniej „mogę!”

Fryderyk Nietzsche, *Fala stanąć nie może*,
przełożył Andrzej Lam

[...] wszystkie wiersze, także bez dedykacji,
są darowane każdemu-i-nikomu.

Piotr Matywiecki, *Dedykacja*



© Copyright by Stowarzyszenie
Literacko-Artystyczne „Fraza”
Rok XXXII nr 1-2/2024 (123-124)
PL ISSN 1230-4832
Nr indeksu 332593

Redaguje zespół:
Magdalena Rabizo-Birek – redaktorka naczelna,
Anna Jamrozek-Sowa, Iwona Misiak, Janusz
Pasterski, Jan Wołski, Matylda Zatorska
(sekretarzyni redakcji)

Współpracownicy:
Marek Kusiba (Kanada), Kazimierz Maciąg,
Antoni Matuszkiewicz (Czechy), Ryszard Mściżak,
Elżbieta Rokosz, Krystyna Walc, Piotr Wojtaszek

Projekt okładki:
Antoni Nikiel

Recenzenci naukowi:
dr hab. prof. Paweł Panas (Katolicki Uniwersytet
Lubelski), prof. Andrzej Busza (University of
British Columbia, Kanada)

Adres do korespondencji:
„Fraza”, ul. Rejtana 16 C, p. 107,
35-310 Rzeszów
e-mail: fraza@ur.edu.pl
„Fraza” w Internecie:
<http://fraza.ur.edu.pl>
<https://www.facebook.com/profile.php?id=100088752245399>
https://www.instagram.com/kwartalnik_fraza/
(prowadzi Piotr Wojtaszek)

Wydawca:
Stowarzyszenie
Literacko-Artystyczne „Fraza”
35-310 Rzeszów
ul. Rejtana 16 c, p. 107
Nr konta: PKO BP I O / Rzeszów
89 1020 4391 0000 6602 0043 7079

Numer zamknięto: 15 lipca 2024 r.

Prosimy o teksty w wersji elektronicznej.
Materiałów niezamówionych nie odsyłamy.
Zastrzegamy sobie prawo do zmiany tytułów
i skrótów.

Korekta:
Iwona Misiak, Krystyna Walc, Matylda Zatorska

Skład i łamanie:
„Otwarty Rozdział”

Druk:
„Bonus Liber”

Spis treści:

PORTRETY

| | |
|---|----|
| Pożegnanie Adama Czerniawskiego (Magdalena RABIZO-BIREK) | 4 |
| Adam CZERNIAWSKI, <i>In Memoriam</i> Z.H., przełożyła Beata Tamowska | 7 |
| Andrzej LAM, Klerk niecierpliwý | 11 |
| Grzegorz WALCZAK, Siwa mgła, Snu welna, Lepsza niż wino, Który, Aniele słabych, Pasteczki nocy | 13 |
| Maciej F. KUBIAK, Grzegorz Walczak – artysta niepokorniony (impresje) | 19 |
| Urszula M. BENKA, Majowa pandemia 2020 | 26 |
| Antoni MATUSZKIEWICZ, Opętana | 28 |

LITERATURA – LEK NA LĘK

| | |
|--|-----|
| Szermierz Prawdy (Andrzej LAM) | 36 |
| Fryderyk NIETZSCHE, <i>Wiersze z rękopisów</i> : Powrót, Do melancholii, Teraz, kiedy dzień, Dla fałszywych przyjaciół, W dali huczy grom, Desperat, Do przyjaźni, Fala stanąć nie może, przełożył Andrzej Lam | 38 |
| Fryderyk HUNIA, Umrzyj zanim umrzesz... Medytacja o mistycznej śmierci w chrześcijaństwie i buddyzmie zen | 46 |
| Piotr MATYWIECKI, *** namalował szklistą martwą naturę, Cézanne, Kiedy niebo, Tak było, *** Rok po roku... Dedykacja | 58 |
| Janusz KORYL, Telefon | 62 |
| Kazimierz NOWOSIELSKI, Po staremu, Szczęśliwi, Tamta strona, Widzenie, Azrael, Skarga | 72 |
| Marek R. LIPIŃSKI, Istota mroku. O krótkiej powieści Josepha Conrada <i>Heart of Darkness</i> | 75 |
| Anna NĄSIŁOWSKA, Żęby, Drogi Hamlecie, Dziewczynny w wieku starszym, Pani Bożena, Białe tabletki, Lek | 81 |
| Stefan ZABIEROWSKI, Joseph Conrad-Korzeniowski i poselstwo polskie w Londynie | 86 |
| Uładzimir ARLÓU, Mam przyjaciela, Kiedy plyniesz, Kanny, przełożył Bohdan Zadura | 95 |
| Uładzimir NIAKLAJEŪ, Dupek, przełożył Jarosław Anders | 105 |
| Władysława MORT, Singer, Gość, Autoportret z Madonną w alei gazety „Prawda”, przełożył Bohdan Zadura | 126 |
| Uładzimir LANKIEWICZ, *** dajcie tabletkę... *** na ulicy szczeka pies... kwiaty zła (ż),**o, *** płacz w sercu moim... przełożył Bohdan Zadura | 131 |
| Alhierd BACHAREWICZ, Przeczytaj to szeptem, przełożył Bohdan Zadura | 136 |
| Julia CIMAFIEJEWA, Leśne bajki, Czas ogrodniczki, przełożył Bohdan Zadura | 147 |
| Hanna KOMAR, *** W delikatnych dłoniach... *** Trzeszczą chrząstki... Ciche szaleństwo, przełożył Bohdan Zadura | 150 |
| Karolina CHYŁA, Perły pierwszej wielkości (opowiadania Izraela Jozusy Singera) | 152 |
| Cecilia WOLOCH, Co mi obiecano, Chłopiec na polach węglowych Pensylwanii, około 1929 r., Jej drzewo, Bez żenady, przełożyła Krystyna Lenkowska | 155 |
| Adam LIZAKOWSKI, Czesław Miłosz w Kalifornii ery Wodnika | 158 |
| Jack KEROUAC, Chorus 11, Chorus 39, Chorus 40, przełożył Andrzej Szuba | 170 |
| Wasył MACHNO, Amichaj, Bellow, Bibliotekarz, przełożył Bohdan Zadura | 173 |
| Wasył MACHNO, Przesłanki pośmiertnej podróży Krzysztofa Kolumba, przełożył Bohdan Zadura, Elegia dla Janusza Szubera, przełożył Janusz Radwański | 183 |
| Marek KUSIBA, Szatkowanie. Podróże z Andrzejem Bobkowskim | 192 |
| Antoni WOLAK, *** Gdy byłem małym dzieckiem... W Bagdadzie, Na marginesie, Miłość we wczesnej młodości, Podobno, Jeśli to prawda, Za każdym razem, Na przystanku w mroźne popołudnie, Metafora | 216 |
| Robert BRINGHURST, Polihistoryczny umysł, Opowieść o przemiełzanej literaturze Ameryki Północnej, przełożył Roman Sabo | 221 |
| Skaay z QUUUNA QIGHAWAAY, Kruk wędrujący (<i>Xhuuya Qaagangas</i>) (fragment), przełożył Roman Sabo | 246 |
| W oku kruka mieszka inteligencja (Roman SABO) | 258 |

| | |
|---|-----|
| Bill REID, Robert BRINGHURST, Jak kruk wykradł światło, przełożył Roman Sabo | 260 |
| Bill REID, Duch Haida Gwaii, przełożył Roman Sabo | 264 |
| Krzysztof BIELEŃ, Szara strefa, Pawilon przemijania, Wędrowniki po Ziemi Świętej | 267 |
| Janusz PASTERSKI, Ciemny świat, jasny dom | 269 |
| Jakub PACZEŚNIAK, deszcz, wiem, świt przeczyla, gdzie się, wewnętrzny stan, wiatru otarcie, granice | 271 |

FRAZY OSOBISTE

| | |
|---|-----|
| Antoni MATUSZKIEWICZ, Nad rzeką wielką i mniejszą, Dolna Bawaria, Asymptota | 275 |
| Grzegorz STRUMYK, Łatanina 44 | 283 |
| Roman SABO, O drzewach i Borze Vincenza | 284 |
| Robert SUWAŁA, Śnieg | 292 |
| Katarzyna TURAJ-KALIŃSKA, Telewizor i Duch Choroby | 296 |
| Teresa TOMSIA, W trosce o autentyczny wizerunek | 303 |
| Grzegorz WALCZAK, Wielki Pan Adam | 308 |

SZTUKA

| | |
|--|-----|
| Krystyna LENKOWSKA, Fraktal przyjaźni | 311 |
| Ks. Paweł BATORY, Franciszek Maśluszczak, bajeczny malarz codzienności | 317 |

O KSIĄŻKACH

| | |
|---|-----|
| Magdalena RABIZO-BIREK, Carson po polsku – nareszcie! (A. Carson: <i>Autobiografia czerwonego, Piękno męża</i>) | 321 |
| Jan BELCIK, Nieuchwytność końca lata (R. Rżany, <i>Koniec lata</i>) | 323 |
| Ryszard MŚCISZ, Wariacje na temat... wariacji (B. Nicos-Trenk, <i>Popierdolium</i>) | 325 |
| Sebastian ORSZULAK, Mała nadbałtycka apokalipsa (I. Iwasiów, <i>Późne życie</i>) | 328 |
| Klaudia WŁADYKA, Pajęczyna ścieżek (J. Bator, <i>Ucieczka niedźwiedźcy</i>) | 330 |
| Jacek LECH, Od historii do współczesności (M. Hen, <i>Segretario</i>) | 332 |
| Kazimierz MACIĄG, Mroczne światy czy krzyk rozpacz (R. Madejowski, <i>Urlop Pana Boga</i>) | 335 |
| Bartłomiej ŚLIŻ, Śmierć jest nienasycona (M. Lebdba, <i>Łakome</i>) | 337 |
| Julia FILIP, Pasja według Tomasza (M.O. Czarnik, <i>Misterium</i>) | 341 |
| Tomasz PYZIK, Z perspektywy życiowego spełnienia (K. Braun, <i>Piramida. Wspomnienia nie tylko teatralne</i>) | 344 |
| Jolanta PASTERSKA, O życiu bydgoskiej bohemy w dwudziestoleciu międzywojennym (B. Chojnacka, <i>Życie artystyczne w Bydgoszczy w latach 1920–1939</i>) | 346 |
| Rafał RŻANY, Wieluń i literatura (<i>Literacka ziemia wieluńska</i> , wybór, wstęp i oprac. J. Petrowicz) | 348 |

KRONIKA

| | |
|--|-----|
| Jan BELCIK, Chłopak z Hetmańskiej. Wspomnienie o Jerzym Januszu Fąfarze (1956–2024) | 350 |
| Magdalena RABIZO-BIREK, Nowa poezja polska i obca. Nagrody im. Wisławy Szymborskiej 2024 (refleksje jurorki) | 352 |

| | |
|----------------------------|-----|
| AUTORZY „FRAZY” | 363 |
| ZAPROSILI NAS | 377 |
| PUBLIKACJE NADESŁANE | 380 |
| KOMUNKATY | 384 |

W galerii „Frazy”:



Prace Franciszka Maśluszczaka

nakład 300 egz.

„Frazy” jest piśmie redagowanym społecznie, a wszystkie dochody z pisma przeznaczamy na wydawanie nowych numerów. Dziękujemy wszystkim autorom za nieodpłatne udostępnienie zamieszczonych w numerze tekstów i ilustracji.

Rada Naukowa „Frazy”:
Joanna Chłosta-Zielonka (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Olsztyn), Elwira Grossman (University of Glasgow), Bogumiła Kaniewska (Uniwersytet im. A. Mickiewicza, Poznań), Marlis Lami (Universität Wien), Renata Makarska (Johannes Gutenberg-Universität Mainz), Małgorzata Mikołajczak (Uniwersytet Zielonogórski), Arkadiusz Morawiec (Uniwersytet Łódzki), Anna Nasiłowska (IBL PAN, Warszawa), Tomasz Swoboda (Uniwersytet Gdański), Tamara Trojanowska (University of Toronto), Maria Zadencka (Stockholms universitet)

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury, Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, budżetu Gminy Miasto Rzeszów

 Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



 rzeszów
stolica innowacji

 KULTURA
W RZESZOWIE

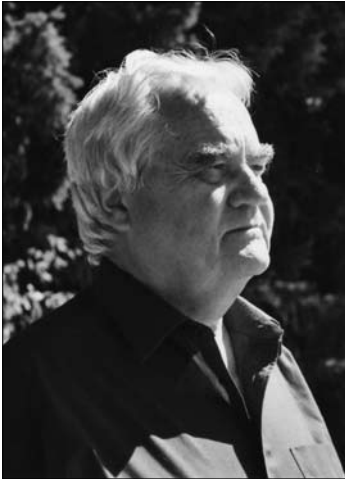
PORTRETY

POŻEGNANIE ADAMA CZERNAWSKIEGO

29 lutego 2024 roku – roku swoich dziewięćdziesiątych urodzin – zmarł nagle w swoim mieszkaniu w Monmouth w Walii Adam Czerniawski – poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz, jeden z filarów londyńskiej, młodoliterackiej grupy „Kontynenty”, redaktor periodyku pod tą nazwą, ukazującego się w stolicy Wielkiej Brytanii na przełomie lat 50. i 60. XX wieku.

Urodził się 20 grudnia 1934 roku w Warszawie w rodzinie należącej do elity rządowej II Rzeczypospolitej. W okresie okupacji, dzięki usilnym zabiegom przebywającego poza krajem ojca, z matką i starszą siostrą przedostał się do Palestyny, gdzie mieszkał do 1947 roku (po latach opisał swoje trudne dziecięce przeżycia w napisanej po angielsku książce wspomnieniowej *Scenes from a Disturbed Childhood*, 1991; w wersji polskiej ukazała się pod tytułem *Fragmenty niespokojnego dzieciństwa*, 1995).

Rodzina Czerniawskich osiadła w Anglii, gdzie przyszły pisarz zadebiutował w 1952 roku w szkolnym piemku przekładem na angielski *W Weronie* Cypriana Kamila Norwida. Tragiczny, niedoceniony i zapomniany przez współczesnych autor *Vade-mecum* stał się jego mistrzem i duchowym patronem, czego efektem były przekłady na angielski jego wierszy i fragmentów prozy (m.in. tom *Selected Poems*, 2004) oraz poświęcone mu eseje (w tym opublikowany we „Frazie” 2015, nr 1–2, w jubileusz osiemdziesiątych urodzin autora, *Cyprian i Emily*, w którym zestawiał



Fot. Anna Lubicz-Luba

Adam Czerniawski

ze sobą dwoje późnych romantyków, prekursorów poezji nowoczesnej, pośmiertnie odkrytych przez potomnych).

Drugim ważnym dla niego polskim pisarzem był Tadeusz Różewicz, z którym się serdecznie zaprzyjaźnił, przyczyniając się swymi przekładami wierszy i dramatów do spopularyzowania jego twórczości w świecie anglojęzycznym. Różewicz upamiętnił go m.in. w poemacie *Francis Bacon czyli Diego Velázquez na fotelu dentystycznym*, gdzie występuje jako „Adam poeta tłumacz właściciel krótkopisu”. Decyzje przekładowe Czerniawskiego – co wskazują badacze – miały także wpływ na ważne modyfikacje utworów przez Różewicza. Wybitnymi translatorskimi osiągnięciami Adama Czerniawskiego były także przekłady *Trenów* Jana Kochanowskiego (*Treny. The Laments of Kochanowski*, 2001) oraz wierszy Wisławy Szymborskiej *People on a Bridge* (1990). Na polski przełożył m.in. *Zdania* Heraklita.

Oryginalna twórczość pisarza charakteryzowała się gatunkową różnorodnością i wewnętrznym synkretyzmem (także inspiracjami czerpanymi z bliskich mu sztuk plastycznych i muzyki). W ostatnich dekadach długiego życia utożsamiał się z klasycyzmem i poezją kultury (jego mistrzem był T.S. Eliot, o którym napisał pionierskie na polskim gruncie, wnikliwe eseje), ale wyrósł z ducha Wielkiej Awangardy, manifestującego się szczególnie w jego twórczości prozatorskiej osobliwymi „narracjami ormiańskimi” (minimalistyczną rekomendacją „Warto czytać” Witold Gombrowicz opatrzył jego prozatorski debiut *Części mniejszej całości. Opowiadania*, 1964). Ciekawe tematycznie i formalnie są jego poematy (m.in. *XII propozycji albo sen*, *Dialektyczna atomizacja wyobraźni*, *Rzecz o poezji*, *Pentagram*, *Widok Delft*, *Lustra i refleksje*, *Historia ludzkości*), rozsiane po tomach wierszy liryki prozą oraz dwie autoportretowe sylwy *Krótkopis 1986–1995* (1998) i *Wielopis wielopolis* (2014).

Pisarz był obecny na łamach „Frazy” niemal od początku jej istnienia, zaprzyjaźnił się z redakcją naszego pisma, kilkakrotnie gościł w Rzeszowie na wykładach i spotkaniach autorskich. Zainteresował też naszym środowiskiem i zachęcił do współpracy z nami swoich najbliższych przyjaciół z grupy „Kontynenty” – Andrzeja Buszę i Bogdana Czaykowskiego (1932–2007). Przez kilka lat drukował w dziale „Frazy Osobiste” zapiski *W Kolumnie*. W Bibliotece „Frazy” ukazały się trzy jego książki: *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach rozmawiają Adam Czerniawski i Bogdan Czaykowski* (2006); *Wyspy Szczęśliwe. Eseje* (2007) oraz *Sąd Ostateczny. Wybór wierszy* (z przedmową Jacka Łukasiewicza, 2011).

Adam Czerniawski był osobowością barwną i nietuzinkową. Utalentowany, błyskotliwy, ambitny, wrażliwy, ironiczny, obdarzony cierpkim („angielskim”) poczuciem humoru, często bywał krytyczny, apodyktyczny, krewki i konfliktowy. Był nieustraszoną polemistą, a jego odwiecznymi wrogami byli krytyczni wobec niego... Czesław Miłosz i Stanisław Barańczak. O swych urazach, kłękach, (słusznych i nie) pretensjach nie potrafił milczeć, wręcz czynił je tematami swoich, niekończących się „awantur w literaturze”, notabene często opisywanych z samo-

krytycznym dystansem. Choć „zerwał ze mną” – mówiąc jego słowami – dziewięć lat temu – będzie go mnie i nam, frazowiczom, bardzo brakowało. Był z nami od zawsze, gdzieś z tyłu głowy byliśmy zaciekawieni tym, jaki znów „skandal” wywoła, co powie i pomyśli o tym czy tamtym naszym posunięciu.

Żegnaj Adamic... Pisałeś także dlatego, „żeby po śmierci żyć jeszcze trochę” (*Paul Klee: glossa*). Niech Ci to będzie dane! W nas i z nami na pewno pozostaniesz.

Magdalena Rabizo-Birek i przyjaciele z kręgu „Frazy”



Franciszek Maśluszczak,
Wieżowiec, akryl, 2018

2024 – stulecie urodzin Zbigniewa Herberta

Adam Czerniawski

IN MEMORIAM Z.H.*

Zbigniew Herbert, który zmarł w Warszawie 28 lipca 1998 roku po serii długich chorób, był zapewne najbardziej znanym na świecie polskim poetą. Urodzony 29 października 1924 roku we Lwowie (Lemberg przez pewien czas, obecnie Lwiv w Ukrainie), opublikował swój pierwszy tom poezji *Struna światła*, mając trzydzieści dwa lata. Był to rok 1956, *annus mirabilis* powojennej poezji polskiej, kiedy wraz z liberalizacją reżimu komunistycznego za rządów Gomułki pojawiło się wiele poetyckich debiutów. Herbert był zawsze nieprzejednanym wrogiem komunizmu i nie rozważał żadnego porozumienia z reżimem. W rezultacie, uniemożliwiono mu dostęp do wydawnictw oraz wykluczono z prestiżowego Związku Pisarzy¹, a co za tym idzie, pozbawiono znacznych przywilejów, którymi komuniści kusili pisarzy. Absolwent ekonomii i prawa, a także student filozofii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, zarabiał na życie jako księgowy, sprzedawca, urzędnik w banku oraz projektant urządzeń sanitarnych.

Po 1956 roku Herbert stał się częstym gościem w Wielkiej Brytanii. Początkowo gościli go młodzi polscy emigranci w Londynie, którzy zaczęli także tłumaczyć jego wiersze na angielski. Jednakże reputację Herberta za granicą ugruntowało rozpowszechnianie jego poezji przez krytyka Ala Alvareza: wydany w 1968 roku tom *Selected Poems [Wiersze wybrane]* w tłumaczeniu Czesława Miłosza i Petera Dale’a Scotta, ze wstępem Alvaręza, ukazał się w serii Penguin Modern European Poets.

Po tym tomie pojawiły się następne: *Selected Poems [Wiersze wybrane]*, *Report from the Besieged City [Raport z oblężonego miasta]* oraz *Mr Cogito [Pan Cogito]* w przekładzie Bogdany i Johna Carpenterów. W języku angielskim dostępne są także dwa zbiory jego esejów: *Barbarian in the Garden [Barbarzyńca w ogrodzie]* (w przekładzie Jarosława Andersa

* Z książki Adama Czerniawskiego *Firing the Canon. Essays mainly on Poetry*, Salt Publishing, London 2010, s. 75–78. Prawdopodobnie jest to przedruk (lub poszerzona wersja) wspomnienia, które ukazało się tuż po śmierci bohatera pt. *Zbigniew Herbert*, „The Independent”, 30 VIII 1998, s. 6. Przypisy pochodzą od tłumaczki Beaty Tarnowskiej oraz redakcji „Frazy”.

¹ Herberta nie wykluczono ze Związku Pisarzy, czyli poprawnie Związku Zawodowego Literatów Polskich, po 1949 przemianowanego na Związek Literatów Polskich, do którego został przyjęty w 1948 roku. Zrezygnował z powodów światopoglądowych ze swojego w nim członkostwa w roku 1951, po czym w 1955 ponownie do niego wstąpił. Por. *Kalendarium życia Zbigniewa Herberta* (oprac. H. Citko) [w:] A. Franaszek, *Zbigniew Herbert. Biografia II: Pan Cogito*, Kraków 2016, s. 843, 845, 847.

i Michaela Marcha) oraz *Still life with Bridle* [*Martwa natura z wędzidłem*] (w tłumaczeniu Carpenterów). Duży wybór jego wierszy znajduje się w mojej antologii *The Burning Forest* [*Płonący las*], przetłumaczyłem ponadto dramat *Rekonstrukcja poety* [*Reconstruction of a Poet*].

„Barbarzyńca w ogrodzie” chyba najlepiej opisuje Herberta człowieka i artystę. Urodzony w przedwojennej Polsce, w kulturalnej, zamożnej rodzinie („Lwów był zagłębieniem filologów, humanistów. Tata opowiadał mi *Odyseję*, kiedy miałem trzy lata. Nie musiałem szukać w słowniku, kto to był Polifem – było to dla mnie jasne, wzrastałem w tym po prostu²), jako nastolatek znalazł się w piekle sowieckiej i niemieckiej okupacji, po której nastąpiła groza stalinizmu. Z dnia na dzień cywilizacja popadła w barbarzyństwo, a on był jednym z barbarzyńców. Jednak odwilż 1956 roku umożliwiła mu dalekie podróże po „ogrodach” Europy Zachodniej i Ameryki; nawet do „brzydkiego miasta Manchester”, gdzie odkrył „ludzi dobrych i rozumnych”, i spotkał nauczycielkę „Miss Helen z mglistej wysepki Mull”, która „przyjęła [go] po grecku³.”

Jego eseje odzwierciedlają pasję do kultury grecko-rzymskiej, śródniowiecznych katedr, włoskich obrazów Quattrocenta i sztuki holenderskiej; National Gallery w Londynie i British Museum należały do jego ulubionych miejsc.

Te odniesienia kulturowe stanowią osnowę jego wierszy, pisanych słowem dostojnym, a zarazem surowym – tutaj Herbert ujawnia dług wobec swego arcyrywala i wroga – ironisty Tadeusza Różewicza. Herbertowskie przywołania przeszłości nie oznaczają peregrynacji w złoty wiek. Czasami poeta może „wzywać Starych Mistrzów / w ciężkich chwilach zwątpienia⁴, ale bohaterami niektórych jego wierszy są bardziej odrażający cesarze rzymscy, których polscy i zachodni czytelnicy niechybnie utożsamiali ze Stalinem. W istocie Herbert wykorzystuje dziedzictwo historii, kultury i religii Zachodu w dynamiczny, dialektyczny sposób. Dowodzi, że przeszłość może rzucać światło na czasy obecne i równocześnie sama być interpretowana na nowo. Jego dojmującą troską jest potęga władzy i jej wpływ na życie jednostki. Tak oto дума boski Klaudiusz:

podobno
kazałem stracić
trzydziestu pięciu senatorów
i jakieś trzy centurie ekwitów

² *Poeta sensu. Rozmawia Marek Oramus* [w:] *Herbert nieznan. Rozmowy*, zebra. i oprac. H. Citko, Warszawa 2008, s. 100.

³ Z. Herbert, *Modlitwa Pana Cogito – podróżnika* [w:] tegoż, *Raport z obłąkanego Miasta i inne wiersze*, Wrocław 1998, s. 19, 20.

⁴ Tegoż, *Dawni Mistrzowie* [w:] *Raport z obłąkanego Miasta...*, s. 18

no cóż
[...]
nikt nie chciał zrozumieć
że cel tych operacji był wzniosły
pragnąłem ludzi oswoić ze śmiercią⁵

Jednak pogoń za okrucieństwem nie jest wyłącznie przywilejem cesarzy; zwykli ludzie są równie biegli i chętni: „właśnie przybijają Jezusa Chrystusa Pana naszego do krzyża. Roboty huk, spieszyc się trzeba, żeby na południe wszystko było gotowe”⁶; chętni gorliwie wykonywać rozkazy i nawet sprawić, żeby pociągi do obozów śmierci kursowały na czas.

22 listopada 1963 roku zorganizowaliśmy z żoną przyjęcie na cześć Herberta w naszym londyńskim domu. Kiedy sączone powoli drinki rozluźniły atmosferę, gość prosto z BBC przywiózł wiadomość o zabójstwie prezydenta Kennedy’ego. Wkrótce ze zdumieniem odkryłem, że niektóre butelki wina, które trzymałem odkorkowane w rezerwie, stoją puste. Dopiero następnego dnia domyśliłem się, że to Herbert je opróżnił, być może z powodu porażającej nowiny, ale najpewniej dlatego, że lubił trunki i dużo mógł ich w sobie pomieścić, a ponadto żeby po cichu radować się moim zadziwieniem i troską. Jego humor w życiu przypominał ten z wierszy: rozblýskujący groźnie, nieoczekiwanie. Pewnego razu w Warszawie, gdy odprowadzał mnie na postój taksówek, przez otwartą szybę wsunął głowę do szoferki stojącego auta, po czym uroczyście zapytał osłupiałego i wstrząśniętego kierowcę, czy utrzymuje kontakty z tajną policją Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Figlarnie twierdził również, że ma brytyjskie korzenie, a można było dać wiarę temu chłodnemu, wyspiarskiemu ironiście, na pozór tak niepodobnemu do swoich egzaltowanych, nadpobudliwych rodaków.

Podczas gdy w 1968 roku Herbert był jedynym przedstawicielem współczesnej poezji polskiej za granicą, obecnie reprezentuje ją razem z Miłoszem, Różewiczem i Szymborską. Spośród nich to właśnie Herbert najściślej łączony jest z ideologicznymi konfliktami zimnej wojny. Jak po jej zakończeniu poezja Herberta przetrwa w świecie, w którym nie ma już przemycanych przez żelazną kurtynę, tajnych raportów o stalinowskim terrorze?

On sam ustalił surowe kryteria przetrwania:

Niewiele zostanie [...] naprawdę niewiele
z poezji tego szalonego wieku na pewno Rilke Eliot
kilku innych dostojnych szamanów którzy znali sekret

⁵ Tegoż, *Boski Klaudiusz [w:] Raport z oblężonego Miasta...*, s. 52.

⁶ Tegoż, *Męczeństwo Pana Naszego malowane przez Anonima z kręgu mistrzów nadreńskich [w:] Napis*, Wrocław 1997, s. 54.

zaklinania słów formy odpornej na działanie czasu bez czego
nie ma frazy godnej pamiętania a mowa jest jak piasek⁷

Poeta deklaruje tutaj w istocie, że kiedy agonie, których był świadkiem, staną się historią, poezja oceniana będzie wyłącznie na podstawie kryteriów estetycznych. Niewątpliwie poezja Herberta przetrwa próbę, ale to nie wszystko. Jego wiersze mają również wielki autorytet moralny, autorytet zrodzony z cierpienia w „tym szalonym wieku”. „Wiem coś o tym – powiedział kiedyś w wywiadzie – i to nie z książek”⁸. Jak Alvarez zauważył w 1968 roku:

Poeci Europy Zachodniej oraz Ameryki reagują na wygodne, zasiedziałe, do bólu praktyczne życie w krajach demokracji, podkreślając niepewność jutra oraz z rozmysłem eksplorując królestwo nerwicy i szaleństwa. Natomiast dla Herberta szaleństwo i dezintegracja są czymś, co przychodzi z zewnątrz, wytworem wojny i totalitaryzmu⁹.

Walka zbrojna nie jest jednak całkiem nieznaną na Zachodzie; dlatego Herbert zyskał podziw również Seamusa Heaneya i Toma Paulina.

Na krótko przed śmiercią Herberta ukazał się w Polsce kolejny, niewielki tomik jego poezji. Na okładce widnieje reprodukcja tajemniczej *Tempesty* Giorgiona, a książka nosi tytuł *Epilog burzy*. Jedną z interpretacji obrazu Wenecjanina głosi, że przedstawia on wygnanie z Edenu. Czy grzesznicy skończą w piekle?

Belzebub kocha sztukę – mówi Herbert – Chełpi się, że jego chóry, jego poeci i jego malarze przewyższają już prawie niebieskich.

Kto ma lepszą sztukę, ma lepszy rząd – to jasne. Niedługo będą się mogli zmierzyć na Festiwalu Dwu Światów. I wtedy zobaczymy, co zostanie z Dantego, Fra Angelico i Bacha¹⁰.

Skoro Herbert dołącza teraz do Dantego i innych niebiańskich istot, wydaje się, że nie ma wątpliwości, która strona odniesie sukces.

Adam Czerniawski
Przełożyła Beata Tarnowska

⁷ Tegoż, *Do Ryszarda Krynickiego - list* [w:] *Raport z obłąkanego Miasta...*, s. 30.

⁸ *Poeta sensu. Rozmawia Marek Oramus...*, s. 107.

⁹ Cytat pochodzi prawdopodobnie z książki Alvarza *Beyond All This Fiddle. Essays 1955–1967*, London 1968.

¹⁰ Z. Herbert, *Co myśli Pan Cogito o piekle* [w:] *Pan Cogito*, Warszawa 1974, s. 74.

Andrzej Lam

KLERK NIECIERPLIWY

Adam Czerniawski! Jako najwytrwalszy łącznik, z dobrej patriotycznej rodziny, między poezją tworzoną na obczyźnie i w Polsce, w roli redaktora londyńskich „Kontynentów”, poety szukającego kontaktu z polskim czytelnikiem poprzez uważnie dobierane czasopisma i wydawnictwa krajowe, tłumacza o niezawodnym słuchu na intencjonalne przesłanie i styl tekstu, krytyka, prozaik i eseista, wykonał ogrom pracy o niezastąpionym znaczeniu. Działal w chórze i zarazem samotnie. Jego wynikająca z ducha awangardowej poezja, niełatwa w odbiorze (Przyboscia uczynił patronem swojej antologii poetów londyńskich *Ryby na piasku*), znajdowała wzięcie dzięki polemikom z najwyższymi i wyczuleniu na realia, jakie niesie chwila, mocno zakorzeniona w czasie i przestrzeni, poprzez wrażliwe zmysły i nasuwającą się na nie pracę myśli. Wiersze oddawały te stany precyzyjnie i płynnie, w ostrym rysunku, z poczuciem odpowiedzialności za słowo. Język wyrafinowanego i dosyconego aluzjami skrótu przeplatał zwrotami z języka potocznego w jego różnych odcieniach. W przechowanej i pielęgnowanej polszczyźnie, z horacjańską rzeczowością i wszechstronną erudycją, podszytą wrażliwością o bogatej skali, z domieszką trzymanej w ryzach nostalgii i z nalem rewizjonistycznego sarkazmu rodem z Norwida, a utwierdzonego lekturą Gombrowicza.

Zafascynowany Różewiczem, wydobywał w przekładach iskry paradoksu i skrótowej kondensacji nawet z miejsc porażonych wielosłowiem (w uznaniu krytyki brytyjskiej, wobec której błędnie pogarda Miłosza i napastliwość Barańczaka). Nie mógł uniknąć dwóch krzyżujących się orbit, Miłosza i Herberta, ale przeszedł obok rozrzutności pierwszego i bolesnej, a niekiedy kokieteryjnej ironii drugiego, we frazach na styku angielskiego chłodu, ekspresji bez ostentacji, i polskiej spontaniczności. Dwa cytaty niech to zilustrują, pierwszy rozrachunkowy z *Dulce et decorum*: „... wiatr sztandarami / zatargał, zadzwoniły złote krzyże, / lud schylił głowy jak złoty łań zboża / i zanucił: O boże, coś kraj nasz przez / wieki zaślepiął, zlituj się nad nami”, i drugi poetologiczny, z *Lamentacji*, o dwuznacznej wymowie: „Wiersz niejasny zawsze jest nikczemny / Dobry wiersz płynie czysto i bez szumu”.

Bywał zadziorny i nawet mocno dokuczliwy, w stylu obfitującej w inwektywę europejskiej awangardy zresztą, co nie przysparzało mu przyjaciół. Przyjdzie jeszcze odcedzać wartość argumentów od rozdrażnienia i dezynwoltury. Nierzadko mylono oczyszczający walor odrębnego zdania, zwłaszcza pośród chórzystów, z ambicjami osobistymi, odpowiadano mu urazowo, i klejnoty myśli grzęzły w kurzu wzajemnych pretensji. Szukał swojego miejsca w różnych ceniących go środowiskach, także w pismach wobec „Kontynentów” siostrzanych – we „Współczesności”

i „Frazie”. Z poręki bliskiego mu przyjaciela Jerzego Sito powstała antologia *Opisanie z pamięci*, która utorowała drogę dalszym publikacjom „londyńczyków”. Kiedy odebrano mi prowadzenie legendarnego periodyku, pocieszał słowami: „Żałuję, że odchodzi Pan z »Współczesności« – trudno mi teraz będzie utrzymywać (i tak przecież luźny) kontakt z piśmem”. Podczas przyjazdów do Polski gościł w wielu środowiskach, odwiedzał też „Miesięcznik Literacki” – po rozmowie u Sokorskiego wszedł do mojego pokoju, spojrzeliśmy na siebie uważnie, prawie w milczeniu, jak gdyby ze świadomością, że zdawkowe słowa nic nie znaczą, a w gwarze redakcyjnym na słowa istotne nie ma miejsca. A potem już przejęła i mocno utrzymała ster rzeszowska „Fraza”.

Będziemy pamiętać o Adamie Czerniawskim.

Andrzej Lam



Franciszek Małuszczak,
Puszcza Pszczyńska, 1998.
Obraz z tomu Krystyny
Lenkowskiej *Nie deptać
przyłaszczek / Keep off
the Primroses* (1999)

Grzegorz Walczak

SIWA MGŁA

W kałuży zatopione słońca,
a mnie się czegoś żyć zachciewa.
Powróła wierzby wiatr potrąca,
a we mnie kropla krwi dojrzewa.
I znów gotowy jestem stanąć
do tych codziennych wypraw naszych
po złote runo ze śmietaną
i po Świętego Graala w kaszy.

I chciałbym jeszcze, chciałbym znów
smakować zmierzch, co mnie zaskoczył
wśród wędrujących niebem gór,
ciernistych grani i roztoczy.
I chciałbym, by mnie ręka twa
dotknęła, zanim się przerażę
i nim wilgotna siwa mgła
jak pies poliże mnie po twarzy.

Jak słodko było nam od rana
stapać po rżysku bosą stopą.
To nie od kolca boli rana,
to wciąż niezabliźniona młodość.
Bołą nas tamte wrzosowiska,
które już dawno wiatr wykosił,
i jakoś dziwnie w sercu ściska,
gdy słyszysz niegdyś zmilknięte głosy.

SNU WEŁNA

Co robić, gdym się potknął w progu?
Wytoczyć proces Panu Bogu,
że świat za oknem traci ostrość,
że krew mi nie buzuje wiosną,
że cień się za mną ledwo wlecze,
że randki głównie mam w aptece,
że kruki – moje wierne ptaki –
osiadły mnie jak śmierci znaki?

A niech się toczy ta snu wełna,
jak w oczach łza, jak chmura ciemna
po krajobrazie przeszłych zdarzeń,
gdziem posiał tyle skrytych marzeń
i nieustannych mych nadziei,
że się wypisze nocy tusz
i wróci do mnie anioł stróż
ze słońcem, bo już dnieje, dnieje...

Paskudna się zaczęła pora.
Gdzieś u sufitu wisi zmora,
jak pajęczyna, a w niej krzyżak,
co czeka i się wciąż przybliża.
Piłują sosny gdzieś nad rzeką,
a wióry strachu aż tu lecą.
Bo po co, po co tak piłują
i po co deski tak heblują?

LEPSZA NIŻ WINO

Z inspiracji „Pieśni nad Pieśniami”

Jakżeś ty piękna, przyjaciółko moja!
Jak gołębice – ciche twoje oczy.
Włosy twe jak stado kóz, co z gór Galaad
schodzą pod zasłoną nieskalanej nocy.
Zęby jak stado ostrzyżonych owiec,
karmazynowym sznurem wargi twoje,
szyja podobna wieży Dawidowej,
a twoje piersi niby sarniāt dwoje.

Cała jesteś piękna.
Nie ma w tobie skazy.
O ileś ty lepsza nad wino!
Wszystkie twe miłości,
którymi mnie darzysz,
to *Pieśń nad pieśniami*, to żywot.

Powieje chłodem i gdzieś umkną cienie.
Na górę mirry pójdę i kadzidła.
Przyjdiesz z Libanu, z tobą oblubieniec,
samaś jak balsam, szafran, wonna mirra.
Źródłem ty jesteś zapieczętowanym
i plastrem miodu pod twoim językiem.
Niech przyjdzie Miły, by się owocami
swego ogrodu do woli nasycić.

Cała jesteś piękna.
Nie ma w tobie skazy.
O ileś ty lepsza nad wino!
Wszystkie twe miłości,
którymi mnie darzysz,
to *Pieśń nad pieśniami*, to żywot.

KTÓRY¹

Zbuntowany wysadzałem w myślach
katedry puste, te bez Boga.
Kaleczyłem niewinność ledwo obudzonych.
Przeproważałem ślepców przez wezbrane rzeki ulic.
Przenosiłem jeża na drugą stronę szosy.
Byłem dobry i niecierpliwy,
mściwy i litościwy,
gwałtowny i wyrozumiały.
A gdy już przejdę przez ucho igielne
i stanę w Twoim blasku, Dobrotliwy Panie,
czy wtedy będę tym licealistą,
co przez cały rok szkolny po lekcjach
zostawał z nią w klasie
i nie mógł powiedzieć, że kocha,
czy tym w sile wieku, który choć nie podpisał
paktu z diabłem, ale nie zamknął mu drzwi przed nosem?
Czy może będę tym pomarszczonym, przygłuchym,
który tłucze lustro,
bo nie może w nim rozpoznać siebie?
Który? Który zmartwychwstanę?

ANIELE SŁABYCH²

Aniele Boży, stróżu słabych,
ty zawsze przy mnie, przy mnie stój,
gdy słowo niby ostrze szpady
zadaje mi serdeczny ból.
Gdy chciałabym dusić białą szycję,
bo sprawiedliwy we mnie gniew,
Aniele Boży ze mną chwilę
trwaj i mi ostudź krew.

¹ Wyróżnienie w Turnieju Jednego Wiersza 51 Warszawskiej Jesieni Poezji, ZLP (15.10.2023).

² Muzyka: Marcin Partyka, śpiewa Izabela Szafrąńska.

Kiedy ostatnią już szalupę
porwały męty chciwych wód
i nie ma już nadziei głupiej,
i się odwrócił nawet Bóg,
spraw, by mi strach nie spłoszył serca,
by się nie wyrwał z moich ust
daremej skargi krzyk. Morderca
niech bierze, co darował wprzód.

Ja tylko chciałabym jeszcze spojrzeć
na krwawo-rdzawy ziemi skraj.
Aniele, słabym i pokornym
daj wytrwać w niepokorze, daj.

PASTERZ NOCY

Zmęczony dzień pochyla łeb,
odpływa Słońce,
a owce chmur zagania wiatr
do zagród snu.
Księżyc sierp już wspina się
po nieba łące
i na organach gwiazd
Nokturn Chopina gra.

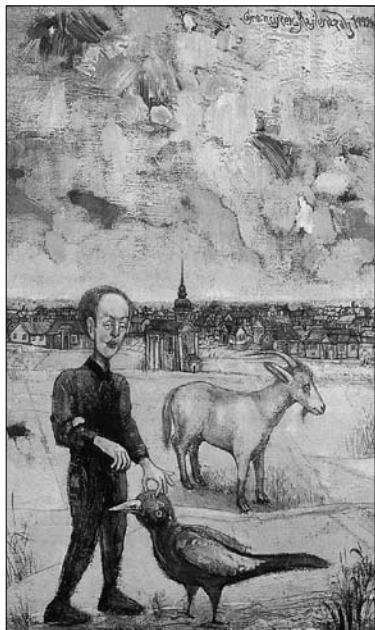
Ciszą otulił cię pasterz nocy,
sypnął ci w oczy popiołem snu.
A gdy już dobrze cię zamroczył,
sam się położył u twych stóp.
Będzie pilnować cię aż do rana,
by cię nie zwiódła któraś z gwiazd
i cię na zawsze nie porwała
ta, którą śniesz – zbyt piękna baśń.

Pobladła noc. Ekspresu głos
poderwał ptaki.

Do wiernych swych kościelny dzwon
wezwanie śle.
Ruszyło się. Gdzieś trzeba iść,
przetartym szlakiem,
a ty w swej dziupli snu
jeszcze ukrywasz się.

Ciszą otulił cię pasterz nocy,
sypnął ci w oczy popiołem snu.
A gdy już dobrze cię zamroczył,
sam się położył u twych stóp.
I choć hałasy już od rana,
naciągasz na swą głowę koc.
Może na dobre cię porwała
jedna z tych gwiazd w baśniową noc.

Grzegorz Walczak



Franciszek Maśluszczak, *Za miastem*, 1999.
Obraz z tomu Krystyny Lenkowskiej *Nie deptać
przyłaszczek / Keep off the Primroses* (1999)

Maciej F. Kubiak

GRZEGORZ WALCZAK

– artysta nieposkromiony (impresje)

*Jaka jest prawda o tobie?
Co trzymasz w ręku?
Co się czai w zaułkach
twoich oczu?
W kącikach warg?
Jaka jest prawda o tobie, człowieku?*

Grzegorz Walczak

Warszawa na początku stycznia była kapryśna i deszczowa. Zmęczony wydłużającą się podróżą trafiłem w końcu do hotelu Domu Literatury. W „Literatce” wypilem zimową herbatę, podaną z niezwykłą starannością – nie zabrakło nawet rozsypanych fioletowych płatków kwiatów, których nazwy i tak bym nie zapamiętał. Wieczorem w gwarnej restauracji pojawił się Grzegorz ze swoją żoną Zosią.

– Dobry wieczór, pan pozwoli, że przedstawię: oto moja Bestia – tymi słowami przedstawił mi swoją niezwykle pogodną żonę, której spokój mnie onieśmielił. Podaliśmy sobie dłonie – ciepło, empatia i delikatność ujawniają się wraz z uściskiem dłoni i patrzeniem bezpośrednio w oczy. Jej sposób patrzenia jest zgoła inny niż Grzegorza – jego krótkie, czasem neurotycznie szybkie spoglądanie „to tu to tam” kompensują się długim, lekko leniwym, ale nader uważnym i dobrodusznym spojrzeniem jego małżonki. Grzegorz – jak na człowieka sztuki przystało – ma nieco bardziej lisie spojrzenie. „Lisie” w tym sensie, że nerwowo spogląda na ludzi, trochę nieufnie, zdystansowanie, ale nie pogardliwie.

Patrzył na mnie krótkimi seriami, badając wstępnie moje reakcje na pierwociny naszych rozmów. Nie dawał jednak tym oznaki patrzenia z góry na gówniarza, który, choć może i nieco wyuczony, to jednak nie ma podstawowego elementu, który nas różnił – życiowego doświadczenia. Przeciwnie, te krótkie, „chytne” spojrzenia miały w sobie ogrom ciekawości dla tego, kim jestem i skąd się tu wzięłem.

W rozmowie dominował Grzegorz, pani Zosia dorzucała raz na czas jakieś anegdoty, czasem sprowadzając swojego męża na ziemię z obłoków dygresji, którymi posługuje się wybornie, zataczając ogromne koła, mające nierzadko charakter literackiej paraboli, przypowieści, będące doskonałością samą w sobie. Jak sam mi powiedział, przejął ten sposób opowiadania od swojego mistrza, profesora Do-

roszewskiego, którego słownik poloniści i filolodzy tyleż kochają, co nienawidzą. Czysta ambiwalencja.

Zjedliśmy obiad, omawiając wstępnie zagadnienia, nad którymi mieliśmy pracować. Nie tracąc czasu, pobiegłem szybko do pokoju po swoje rzeczy, dyktafon, notatki, kilka książek i po chwili byłem gotowy poderwać gości i udać się z nimi w nieznaną. Gdy wyszliśmy na plac Zamkowy, było gwarniej niż wewnątrz, bądź co bądź, pełnej restauracji. Deszczowa pogoda zmuszała do szybszego kroku. Walczakowie zaparkowali samochód raptem parę metrów od Zamku. Zosia usiadła z tyłu.

– Niech się pan rozsiądzie z przodu, będzie pan mógł zobaczyć trochę nocnej Warszawy – powiedziała ciepłym głosem. Usiadłem na przednim siedzeniu obok Grzegorza, który w niezwykle sprawny sposób precyzyjnie się autem pomiędzy nieskończonym, jak padający wówczas deszcz, potokiem głośnych pieszych, spacerujących noworocznie udekorowaną stolicą. Tu należy się dygresja, że sam nigdy nie odważyłbym się jeździć samochodem po Warszawie. Mimo iż radzę sobie od kilkunastu lat całkiem dobrze jako kierowca, nikt nie namówiłby mnie do jazdy w stolicy – agresywnej, rozbrzmiewającej trąbiącymi pojazdami metropolii, która nie zna litości dla niedoświadczonych w takim ruchu kierowców...

Zaciekawiony Warszawą, miastem, którego obcości nie udało mi się wciąż oswoić, pytam o mijane po drodze budynki. Nie wykazuję się dobrą znajomością nazw i topografii tego miejsca. Kojarzę pewne bryły, nazwy ulic czy instytucji, które znam jedynie z ekranu. Zmęczenie podróżą daje się lekko we znaki. W strugach deszczu rozmywają się światła warszawskich budynków. Nasza rozmowa schodzi na chwilę na temat sąsiadki Walczaków, nazywanej przez nich zdrobniale „panią Kasią”. Grzegorz upewnia się, że jego żona zadzwoniła do niej i zapowiedziała swoje wieczorne odwiedziny.

– Pani Kasia, wie pan, jest niezwykle dziarską dziewięćdziesięciodwulatką. Czasem jej się nudzi, to Zosia chodzi do niej i rozmawiają, jak to baby. Te się dopiero nie mogą nagadać. Ze mną tak nie gada... – wyjaśnia mi Grzegorz. Jechaliśmy raptem chwilę przez deszczowe ulice Warszawy, by znaleźć się w okolicy parku Morskie Oko.

– A tu chodzę na patyki i czasem pomyśleć – rzuca Grzegorz swoim niskim, brzmiałym niczym *basso profundo* głosem. Wysiedliśmy pod domem, na którym przytwierdzona była jakaś tablica – trudna do odszyfrowania ze względu na zacinający deszcz i nocną porę. Weszliśmy do środka sporego domu, modernistycznej willi o ciekawym, zaokrąglonym kształcie. Mimo niedalekiej odległości od głównych warszawskich arterii panuje spokój i cisza, czyli to, co jest mi bardzo bliskie i ważne, bo jako dziecko wychowane na wsi nie przekonam się nigdy do zimnych, chłodnych, prosto wyrysowanych ulic, pachnących wilgocią, moczem, resztkami papierosów i nonsensem. Przecież „na betonie kwiaty nie rosną” – jak śpiewali Niebiesko-Czarni. Choć w Warszawie to nie takie oczywiste...

Po wejściu do mieszkania państwa Walczaków moją uwagę przyciągają wspaniałe obrazy, szczególnie wypełniające przestrzeń ścian. Każdy z historią, każ-

dy z osobistym „hintergrundem”, w odmiennych estetykach i barwach. Jeden z nich przykuł moją uwagę –fantazyjny portret jegomościa wyglądającego jak Szpicbródka – mężczyzny o delikatnych, ale stanowczych rysach, z kształtnym wąsem i brodą, niby odcisk kociej łapy. Białka jego oczu, uwydatnione przez spojrzenie (patrzy w lewo), lekko mnie przerażały i przypominały dobrze mi znane oczy. Mężczyzna jest ubrany w ciemnoczerwony strój, okraszony dwoma rzędami mieniących się pereł, nad którymi, ciasno pod szyją, oplata go zwinięta w rytmiczne esy-floresy kryza, nad którą dynda, zwisający z ucha, długi, biały, być może wykonany z pereł kolczyk. Na prawym ramieniu mężczyzny siedzi szary ptak podobny do harpii, chociaż moja ornitologiczna wiedza może być tutaj zawodna. Ptak ten, w przeciwieństwie do głównego bohatera obrazu, patrzy wprost na oglądającego. Dziwnie spokojny, nieporuszony i niezmałcony niczym wzrok przewierca gości wchodzących do salonu państwa Walczaków. Lewe ramię tego delikatnego człowieka stanowi oparcie dla egzotycznego, cętkowanego, siedzącego spokojnie i dostojnie lamparta. Nie można nie wspomnieć o kameleonie, który wyciąga koślawe odnóża i przemieszcza się w kierunku, w którym patrzy mężczyzna. Wspaniały, hipnotyzujący obraz.

Z drugiej strony Chrystus frasośliwy – mała rzeźba schowana wśród książek. Przy domofonie wciśnięte stare, lekko wystrzępione zdjęcie, na którym dwoje młodych ludzi śmieje się i zamiera w uścisku. Jest w tym sporo beztroški i miłości. Na ścianie przy wejściu do łazienki mała galeria z fotografiami Grzegorza „w akcji”, to jest na scenie, oraz kilka plakatów z jego spektakli. Pani Zosia proponuje herbatę (mieszanka zielonej i białej, wspaniale aromatyczna), a chwilę potem, aby uczcić nasz wspólny wieczór na stół trafiają trzy kieliszki i wyborne wino. Grzegorz z łatwością odkorkowuje butelkę, Zofia nalewa. Wzniesliśmy toast za nasz wieczór. Pani Zosia zagrzewała do częstego zaglądania do kieliszka, bo „jak wino nalane, to trzeba się częstować”.

Zachęceni dopingiem sięgamy po kieliszki, rozmowa nabiera tempa. Zofia niepostrzeżenie wymyka się z mieszkania, by odwiedzić panią Kasię. Nie ma jej długo, a my, pogrążeni w rozmowie, nie zauważamy, jak szybko mija czas.

– Masz pozdrowienia od pani Kasi. Powiedziała mi na koniec rozmowy, żebym pozwoliła ci być artystą. No to pozwalam! – powiedziała, uśmiechając się Zosia po wizycie u sąsiadki.

Rozmowa w domu zaczęła się od wspomnienia o profesorze Doroszewskim – znakomitym językoznawcy, którego asystentem był Walczak przez wiele lat. Desygnaty, denotaty, związki słowotwórcze, *in vino veritas*, Słownik Języka Polskiego, Niebiesko-Czarni – słowa te przewijały się w naszej rozmowie podlewanej dobrym czerwonym winem. Szybko zaczęliśmy łapać kontakt na płaszczyźnie czysto prywatnej, choć – jak się miało okazać – nasze doświadczenia i widzenie świata są zupełnie inne. Tematy mieszały się w licznych dygresjach, przypowieściach tak z mojej, jak i Grzegorza strony. Przeplatanka intelektualna złożona z literatury, ontologii, muzyki, naszych życiorysów, teologii i czegoś tam jeszcze. Doprawdy, od dawna nie rozmawiałem w ten sposób. Zmęczenie intelektualne, wyciskanie

kontekstów i cytatów z dawno nieruszanej pamięci mężczy, dając mi jednocześnie ogrom radości.

Rozmawiając z Walczakiem, trzeba być w dobrej kondycji intelektualnej. Kto nie myśli szybko, nie ma szans na pojedynek z tak niezwykle rozmówcą. Trzeba nadążać za rozlewającym się szeroko strumieniem jego świadomości. Nasza rozmowa schodzi na osobiste, intymne tematy. Mówimy nie tylko o fascynacji kobiecością i nienamacalnym, choć dającym się skryształizować powabem kobiety – zmitologizowanego ideału. Wchodzimy sobie nawzajem w słowa w rozumieniu świata i boga – dla mnie pisanego małą, dla Walczaka dużą literą. Wymiar transcendencji mierzalny jest jedynie jego niemierzalnością i brakiem środków do rozumienia istoty tej wagi i znaczenia tego, kim jest bóg. Tu zgadzamy się zupełnie.

Jednak Walczak stawia pytania tam, gdzie ja spoglądam niechętnie lub w ogóle je neguję. Intymność naszej rozmowy, wzajemna sympatia i zrozumienie dla naszych odmiennych światopoglądów dodają tylko pewności, że idee oświeceniowego humanizmu mają się dobrze, a różnica wieku nie ma wpływu na odczuwanie i rozumienie świata, boga i człowieka. Zwieraliśmy się sobie, odkrywając sobie kolejne wypadki, rozczarowania i niepowodzenia. Powiedziałem mu, że zaraz po maturze chciałem wstąpić do zakonu, już nawet miałem przygotowany wyjazd do Krakowa na tydzień rozeznania powołania u franciszkanów.

– To po...ne! – skomentował Walczak. Uśmiechnąłem się, bo tym jednym, krótkim sformułowaniem dokonał ogromnej syntezy tego, co wydarzyło się w moim życiu.

– Jeszcze jak! – odpowiedziałem i obaj zaczęliśmy się śmiać.

– Pan się do tego zupełnie nie nadaje. Z pańskim potencjałem i bystrością zmarnowałby pan życie. Dobrze, że to się nie udało.

Rozumieliśmy się w pół słowa. Też tak to widziałem. Sprowokowałem go jednym ze swoich wierszy, które przywiozłem jako załącznik do butelki „Berliner Luft” i czekoladek z mieszaniną alkoholi: calvadosu, whisky i wódki. Była w nim mowa o uśmiercaniu boga, żeby zrobić miejsce dla siebie, w jeszcze innym, delikatniejszym, zatytułowanym *Buckow* spodobała mu się fraza o powietrzu „drżącym skrzydłami owadów”. I opis zeber, napiętych, dotykanych dłonią jakiegoś lirycznego ja, które płynnie przeszkakiwało po szczeblach kości aż do chłodnych, białych piersi swojej kochanki...

– Chyba pan to lubi? – zapytał mnie, lekko szydząc (ale rozumiejąc mój fetysz) i uśmiechając się. Nasze rozmowy Grzegorz przecinał czytaniem swoich *Roznamiętów* i wierszy, które potrafił recytować przez kilkadziesiąt minut, nie popełniając najdrobniejszego błędu. Zazdroszczę mu tej pamięci. Mnie ciężko jest zapamiętać choćby dwa zdania, on z mistrzowską precyzją recytuje przesiąknięte neologizmami, szeleszczące, grzmiące, trzeszczące wytwory jego nieposkromionej literackiej fantazji. Szczęściarzu. Tego wieczoru miałem możliwość uczestniczenia w prywatnym wieczorku autorskim. W drugą stronę to nie zadziało – zachęcony przez Grzegorza do odczytania kilku swoich tekścików powiedziałem, że nie potra-

fię. On jednak nie przestawał i motywował mnie, po czym, gdy przeczytałem jeden z moich wierszy, powiedział szczerze:

– Pan nie potrafi czytać. – Zaśmiałem się, bo przecież uprzedzałem, że tego nie umiem. Dla pocieszenia dodał: – Nie pan jeden, nie ma co się przejmować. Trudno się z nim nie zgodzić. Zawsze broniłem się przez teatralizacją poezji lub chociaż przed nadmiernym jej „przeżywaniem” podczas odczytów. Te quasi-literackie orgazmy, to spazmatyczne masturbowanie się fonetyką, drżącym głosem i sztucznym, aktorskim „niby-recytowaniem” od zawsze napełniały mnie obrzydzeniem. Jak w tej anegdocie, gdy do Ludowej Polski przyjechał wielki „dedeerowski” dramaturg i poeta Bertolt Brecht. Po przywitaniu przez oficjeli został zmuszony do wysłuchania polskich tłumaczeń jego utworów, które recytowane w socjalistycznym, patetycznym tonie, z nadmierną, „sierpowo-młotową” gestykulacją i kiepską emfazą nudziły i odpychały Mistrza. Poprosił w końcu żonę, Helene Weigel, żeby przeczytała jeden z jego wierszy. Gdy ta wstała i półszepem przeczytała wiersz męża lekko, naturalnie, bez sztuczności, Brechtowi zaświeciły się oczy. Tak właśnie trzeba czytać wiersze – intymnie, szepem kochanki.

Wracając do recytacji Walczaka – nie robił tego natrętnie czy też sztucznie. Obserwowałem go wnikliwie, w przyciemnionym świetle widoczne były dwa iskrzące punkty – jego rozpalone poetyckim natchnieniem oczy. Gromadziła się w nich prawda, której nie można pomylić ze sztucznością, stawiającą plastikowe pomniki na piedestałach z bibuły. W pewnej chwili przypomniał mi Gałczyńskiego z jednej z jego fotografii. Konstanty Ildefons czytał swoje wiersze z uniesionymi brwiami, z książką trzymaną w jednej ręce, podczas gdy druga – niby ręka dyrygenta – kreśliła w powietrzu obrazy, lirykę, „tkliwą dynamikę”. Tak właśnie tego wieczoru wyglądał natchniony mistrz Walczak. Intymność i szczerść tej chwili były niezaprzeczalne. Poczuliśmy wielką przyjaźń, napłynęły do oczu łzy, było magicznie.

Tematem, który sprowokował mnie do spotkania z Grzegorzem Walczakiem, była rock opera *Naga*, do której w latach siedemdziesiątych XX wieku stworzył libretto. Biorąc ten temat na mój literaturoznawczy warsztat, nie wiedziałem jeszcze, że utwór ten doprowadzi mnie z Berlina do Warszawy, do bodaj ostatniego z twórców tego tajemniczego, przyciągającego jak magnes dzieła. Wstępne rozeznanie w temacie przyniosły wiedzę o znikomej ilości źródeł i osób, które mogły mi dostarczyć potrzebnych informacji. Rusowicz, Podgajny, Popławski – nie żyją. Nie ma do kogo zadzwonić, zapytać, zwrócić się o rozwianie wątpliwości.

W październiku 2023 roku umarł Wojciech Korda. Dowiedziałem się o tym podczas krótkiej przerwy w pracy, przeglądając Facebookowe wpisy. Media huczały o „legendzie polskiego rocka”, o tym, że „muzyczny świat pogrzyżył się w żalobie”, chociaż do tej pory tak doniosło o nim milczały. Człowiek stary, z którym od lat nie było kontaktu, nie mógł być nośnym tematem dla mediów. Jego śmierć – owszem. Było sztamkowo – krótki wspomnieniowy reportaż o muzycznych dokonaniach Kordy i o tym, że od wielu lat był przykuty do łóżka. Smętne, czarno-białe nagrania w zwolnionym tempie, okraszone równie smętną muzyką. Drugorzędnie sformuło-

wana informacja medialna. niesprawiedliwość pauperyzacji śmierci i jej przeżywania w formie instant. Zakląłem na głos, czując wewnętrzne rozdarcie, bo przecież odszedł człowiek legenda. I nie ma w tym określeniu krzty przesady.

Nie zastanawiając się nawet chwilę, wsiałem w auto i w dzień pogrzebu pojechałem do Poznania na cmentarz Miłostowo, żeby pożegnać tego, którego nie udało mi się nigdy poznać, a który był mi niezwykle bliski. Dziwne są niektóre ludzkie reakcje... Czasami czujemy do nieznajomych to, co powinniśmy czuć do najbliższych. Na cmentarzu było sporo ludzi. Udało mi się znaleźć miejsce w kaplicy, w samym rogu, przy oknie. Po ceremonii i kilku słowach pożegnania kondukt przesunął się wolno przez długie alejki. Rozpadało się. Narzuciłem kapłanowi i podążyłem wolno do przodu z wieńcem w dłoni. Na szarfie znalazł się cytat z piosenki *Nicolaus* Niebiesko-Czarnych: „Wszczęświat – zamknięta księga przed Tobą się otworzył. Kordzie – Kubiak”. Może to zbyt dumne, przekoloryzowane, ale w poczuciu bezsilności i utraty tylko te słowa wydały mi się odpowiednie. Kwiaty przybrałem dwiema wstążkami w kolorach niebieskim i czarnym. Pasowało.

Pogrzeb Kordy był impulsem, który zmusił mnie do wzięcia się w garść i usilniejszej pracy nad magnetyzującym dziełem, jakim jest *Naga*. Napisałem do kilku liczących się badaczy, odbyłem trochę rozmów i podczas jednej z kwerend natrafiłem na autora libretta, Grzegorza Walczaka. Na jednej ze stron, na których umieszczony był jego tekst, widniał też adres mailowy. Impulsywnie, w przeciągu chwili napisałem wiadomość, na którą złożyło się krótkie przedstawienie mojego problemu i zarys planów związanych z pracą nad *Nagą*. Odpowiedź przyszła po tygodniu wraz z ogromem materiałów, które mi Walczak od razu udostępnił. Czulem się wtedy jak uczeń, trochę upupiony, z przyprawioną na własne życzenie gębą, bo uratowany z niemożności przebicia się przez barierę, zwaną w świecie badawczym „brakiem materiałów źródłowych”.

Moja radość nie ograniczyła się do kurtuazyjnego podziękowania. Po przeczytaniu scenariusza widowiska i tekstów piosenek aż zakręciła mi się łza w oku. Dla takich momentów warto być badaczem. Moja ciekawość ludzi i świata nie zna ograniczeń, dlatego już w kolejnym mailu proponuję przyjazd do Warszawy i rozmowę w cztery oczy. Walczak z chęcią się zgadza, proponując, żebyśmy spotkali się najpierw w Domu Literatury, potem przeniesiemy się do niego do domu, gdyż ma on: „sporo ciekawych rzeczy, które mogą pana zainteresować”. Podniecony taką możliwością od razu zarezerwowałem hotel i bilety na podróż, i na początku stycznia byłem w drodze do stolicy.

Jest piąta nad ranem. W domu, na którym znajduje się tablica poświęcona Herbertowi, światło pali się już tylko w jednym mieszkaniu. „Pani Kasia” – wdowa po Herbercie jeszcze nie patrzy przez okno na uśpioną zimową aurą drzewa i kałuże, w których odbija się pochmurne niebo. Zmęczony i odurzony rozmową zbieram swoje rzeczy rozrzucone po mieszkaniu Walczaków. Zza uchylonego okna dobiegają ciche pomruki stolicy, jeszcze senniejsze, budzącej się dopiero do codzienności. Od Grzegorza otrzymuję jego *Oazę* z dedykacją: „Po przemitych spotkaniach w War-

szawie i wspólnych pracach dwóch «renesansowych» humanistów, co robią rzeczy przedziwne w swej wielorakiej twórczości – Maciejowi Kubiakowi z zaproszeniem do mojej *Oazy* – Grzegorz Walczak”.

Zakładam kurtkę. Schylam się, żeby zawiązać sznurówki butów. Pani Zofia już dawno położyła się spać. Grzegorz nuci ciągle melodię piosenki, którą udało nam się umuzyczyć tego wieczoru. Moje muzyczne zdolności przydały się, żeby pracować z Grzegorzem nad jego tekstem, do którego ułożył melodię. Przygrywałem mu, próbowałem nadażyć za jego niezwykle wyobraźnią. Powstała piosenka. Zadziała się magia.

Pogoda się zmienia. Warszawa tonie w nieskończonym potoku drobnego deszczu.

Sięgam po telefon. Zamawiam taksówkę. Żegnamy się, Grzegorz przynosi czekoladki i mówi:

– Proszę się poczęstować czekoladką, panie Macieju...

– Dziękuję, ale jestem już wystarczająco duży – odpowiadam, klepiąc się po brzuchu.

– Niech pan nie będzie duży, tylko wielki. Ma pan ku temu możliwości. Dobranoc.

– Dobranoc.

Maciej F. Kubiak



Franciszek Małuszczyk, *Święty Roch*, 2023, rysunek z wystawy *Niezwykłe zwykli ludzie. Święci w ilustracji*, Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie, maj 2024

Urszula M. Benka

MAJOWA PANDEMIA 2020

I

Idę z psem łąką jest maj umierają starcy
łączą się motyle sroki pszczoła z ostem robak z dmuchawcem
łza z wiatrem

jakby nie było granic
muszka z wróblem świerszcz z żywicą
zerwana gałąź ze śmietniskiem
osa z ogryzkiem

stopa z kapslem laseczka tęcza z pniem mózgu
bełta się ta cała planet galareta
okiem wlepiona w niebo

planeta jedno wielkie oko
z psa, kapsla, dmuchawca, stopy, sroki, mózgu zlanych w jedno

wszystko w niej płynie trup i ciało śmierć i życie
czasem sennie płynie
czasem w porywie

II

umierają starcy tysiącami
w ekstazie
rodzą się istoty niemożliwe niewidzialne miriadami

kościoty puste jak po torsjach
tylko Bóg
i pachnące jaśminem hałdy dusz

III

Ziemia oko wpatrzone w co innego
Wierząca z całej duszy w coś innego

Zamglone oko obolałe
Na myśl o ślepcie struchlałe

A nad nią Słońce
I promienie uświęcające ten brak granic
Jakby każda była bramą do otchłani
Labiryntem otchłani maleńkich i ogromnych
Ze stadami nici zbawiennych
Rozbieganych jak węzowisko
W chorym Raju



Zbigniew Kresowaty,
portret Urszuli M. Benki

Antoni Matuszkiewicz

OPĘTANA

Czytam zbiór wierszy Urszuli Benki *Melodia opętania**, jakbym przesuwając paciorki różańca, której to czynności, jak wiadomo, towarzyszyć ma nie tylko modlitwa, lecz także rozważanie tajemnic. Tajemnic, jakie przekraczają horyzont rozważającego, w ogóle przekraczają poznawczy horyzont człowieka, i które pozostają nadal, po ich rozważaniu, tajemnicami. Celem tej praktyki nie jest bowiem poznanie racjonalne, ale współuczestniczenie, dotknięcie nieznanego najgłębszą warstwą naszego jestestwa, nawet i tą, jakiej już nie percypujemy. Nie percypujemy tacy, jacy jesteśmy, i właśnie tego w trakcie tej praktyki się dowiadujemy, a raczej przypominamy sobie, że mamy w dziedzinie poznania ograniczenia, że istnieje inne, istnieje ono inaczej i dotyczy nas – innych.

Podobnie zbliżam się, podobnie współistnieję z propozycją poetycką Urszuli Benki, tak jej towarzyszę, wiersz po wierszu, w jej praktyce, jej obrzędzie, jej widnokregu. Poniekąd odpowiada temu struktura jej poezji, motywy traktowane analogicznie jak w muzyce, powracające, przeskakujące z utworu do utworu impulsy, wariacyjnie obrazy, zdania, metafory. Mamy zatem do czynienia ze świadomie zamierzoną całością, swoistym poematem, albo, pozostając przy skojarzeniach muzycznych, z symfonią. A jeśli tak, to i język odpowiada temu, analogicznie do języka muzyki usiłuje uwolnić się od powierzchownej semantyczności.

Książka charakteryzuje się bogactwem obrazów, wątków, asocjacji, których nie sposób przedstawić tu w całości. I może nawet nie ma sensu rozpatrywanie i deszyfrowanie wszystkich obrazów, ponieważ nie mają autonomicznego znaczenia, żyją tu w relacji, a raczej antyrelacji wzajemnej, ponieważ afirmują się i kompromitują równocześnie, ostentacyjnie ukazują w swojej sztuczności i umowności, niczym rekwizytorium teatru lalkowego. Mają ostudzić powierzchowne zapędy interpretacyjne czytelnika. Komponują się w dydaktyczny – antydaktyczny *Singspiel*. „Opętany” charakter sprawia, że spotykają się, zderzają ze sobą słowa, pojęcia, jakie nie zetknęłyby się ze sobą gdzie indziej. Jedyne w swoim rodzaju „świat nieprzedstawiony”, a raczej nieprzedstawialny. Na poziomie artystycznym odpowiada temu często metafora pojęciowa i katachreza, władające światem, jakiego nie można sobie wyobrazić. Całość wydaje się być próbą, dziennikiem wielkiej, totalnej, eksperymentalnej synestezji, sprawozdaniem z poszukiwania i doświadczania fal akustycznych poprzez inne częstotliwości, inne doznania. Być może impulsu dostarczył autorce (wymieniany w książce) *Fortepian Szopena* i jego autor, pod koniec życia

* U.M. Benka, *Melodia opętania*, Akweduct – Oficyna Wydawnicza Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu, Wrocław 2022.

dotkniętą głuchotą i stąd parafrazowane w jednym z wierszy skupienie uwagi na dotyku klawiszy, na ich barwie – i „gra” poetki czernią i bielą.

Zarazem *Melodia opętania* mocno „stoi na ziemi” za sprawą eksponowanej biologiczności. Przez podstawowe, naturalne popędy, przede wszystkim przyjmowania pokarmu i zachowania gatunku. Już w pierwszym utworze pada stwierdzenie: „Muzyka zawsze wypływa otworem płciowym”, co można rozpatrywać dwustronnie – muzyka (sztuka) realizuje na swój sposób potrzebę płodności człowieka, a z drugiej, coitus jest zasadniczym przejawem twórczości, przejawem poznania (tak jest określany w języku biblijnym), porozumienia, doświadczeniem drugiego, w jego formie cielesnej, tutaj w pełni wzajemnym „usłyszeniem”. Cały zbiór przenika zatem analogia erotyczna, percypowanie bądź niepercypowanie świata jest bowiem, w domyśle, współzyciem. Pragnienie naturalnego kontaktu poprzez narządy zmysłów, szczególnie ucho, jest porównywane z żądzą, namiętnością, pragnieniem cielesnego spełnienia:

Jesteś jak patelnia nagrzana
 Skwierczysz pryskasz
 Ślina kapie
 Czosnek w kolorze księżycy kraśnieje
 I uszy na tobie czerwone robią się na mięciutko
 Jak sakralnym prostytutkom

Wiersz przywodzi na myśl *Mit rodzinny* Rafała Wojaczka:

To jest kielbasa
 To jest moja matka jadalna
 [...]

 Więc wpatruję się w wystawę
 i czuję
 jak mi cieknie
 ślina i sperma

– i jest nadzwyczaj sugestywnym przedstawieniem pożądania oraz przechodzenia obrządku kuchennego w obrzęd seksualny, uszy zaś sugerują żeńskie narządy płciowe. W innym utworze przeniesione są one w sferę magiczną; wobec ostentacyjnego („na półmisku”) osamotnienia („uszy sobie”), przekształcone w obiekty niefunkcjonalne, poddane cudzemu oglądowi, oddają się masturbacji smyczkiem (!):

Uszy sobie strzygą wesoło na półmisku
 każde ucho to czarownica wiedźma osikowa
 smyczkiem sobie sunie
 wiesz gdzie? – nieprzyzwoicie

Wiersz jest doskonałym przykładem ironii poetyckiej najwyższej próby, kiedy to, co pozornie zwierzęco naturalne, wesołe i bachicznie rozwiązłe odbiera się jako przeciwieństwo. Ludyczność, choćby wyzwolona z norm przyzwoitości, znaczy tu *de facto* poniżenie, uprzedmiotowienie, upośledzenie. To pojawiający się częściej w tej książce wątek „dobrej miny do złej gry”, wymuszonej akceptacji nieakceptowanego.

Najważniejszą jednak linią skojarzeń jest metafizyka jako taka, czyli to, co niedostępne pojmowaniu w swym najistotniejszym wyrazie. Książka jest buntem przeciwko niesprawiedliwości, wobec utraty tego, co z logiki rzeczy nam się należy, buntem wobec zła, którego nie rozumiemy i nie chcemy rozumieć. Wobec nierozumienia w ogóle. W konsekwencji uderza w sankcjonujący taki skandal porządek, najwyższą zasadę. Boga. Z takiego punktu widzenia zasadniczą problematyką książki okazuje się byt i poznanie. Ucho, słuch, upośledzenie słuchu, głuchota stanowi *pars pro toto* wobec percepcji w ogóle. Można powiedzieć, iż podmiotem lirycznym jest tutaj samo istnienie, zmuszone do autorefleksji, odrzucające ograniczające je określenia, zmagające się z szumem informacyjnym na swój temat. Przekracza poszczególne koncepcje, kierunki, dziedziny, na podobieństwo konia szachowego. poruszającego się w sposób niemieszczący się w schematach działania innych figur. Na przelaj.

Poza prymarnym istnieniem i procesem poznawczym (obojętne czy skutecznym, czy nie) wszystko inne jest tutaj podważane, przedrzeźniane, odbijane, dekonstruowane. Jak zatrzymana woda pod wpływem własnego impetu zaczyna zmieniać kierunek, krążyć, mieszać, podobnie zachowuje się tutaj cały zasób wiedzy wobec potwierdzającej się niemożności ostatecznego poznania (usłyszenia, poskładania się w tym usłyszanym, oparcia w jego pewności). Kosmos ukazuje, że wcale nie pozbył się chaosu, który z kolei okazuje się świadomą konstrukcją (cokolwiek byśmy o takiej świadomości sądzili). Obydwa te stany skupienia przeglądają się w sobie, uświadamiane zaś zakładają przekroczenie poznawcze, postulują przemianę poznającego.

Nie od rzeczy będzie przywołanie w tym miejscu jako kontekstu książki kosmologa Thomasa Hertoga *O pochodzeniu czasu. Ostateczna teoria Stephena Hawkinga*. Już w nocce wydawcy czytamy, że zabiera ona „czytelnika na poszukiwanie zrozumienia spraw większych niż nasz wszechświat, dając nam wgląd w ekstremalną fizykę kwantową czarnych dziur i Wielkiego Wybuchu oraz czerpiąc wiedzę z najnowszych osiągnięć teorii strun”, natomiast największe *novum* wynikające z jej treści, to sugestia, iż ostoja wszelkiej wiedzy przyrodniczej, jaką są prawa fizyki, nie jest wcale wieczna, lecz wynika z ewolucji i znany nam kształt osiągnęła dopiero po około trzystu tysiącach lat, adekwatnie do kształtującej się rzeczywistości materialnej. Uniwersum u swojego zarania przejawiało się wyłącznie w postaci kwantowej, to jest w chaotyczności, jaką mogło uporządkować jedynie rozumiane szeroko spojrzenie obserwatora, na przykład kontakt z odmiennymi cząsteczkami czy falami. W książce jest nawet mowa o możliwości „samoobserwacji Wszechświata”. A powracając do *Melodii opętania* (i jej „teorii strun”), to sprawia

ona wrażenie, jakbyśmy wskutek sugestywnej wizji autorki znaleźli się w owych pierwszych „trzystu tysiącach lat” naszej duchowości.

Jako innego rodzaju kontekst można przywołać dwie anglosaskie powieści. Obie noszą w oryginale ten sam tytuł. To *Darkness Visible* (*Widzialna ciemność*) Williama Goldinga (1979) opowiadająca o porażającej mocy szaleństwa i zła w wewnętrznym świecie człowieka („Tajemnica wszystkiego polega na potworności”) i *Darkness Visible: A Memoir of Madness* (*Ciemność widoma. Pamiętnik o szaleństwie*) Williama Styrona (1990), rzecz w swojej genezie terapeutyczna, relacjonująca zmagania autora z depresją. Obydwaj pisarze przy wyborze tytułu inspirowali się cytatem z pierwszej, „piekielnej” części Miltonowskiego *Raju utraconego* (przekład Maciej Słomczyński):

Jednak nie pada blask z owych płomieni,
Lecz raczej ciemność widoma, służąca
Tylko odkryciu żalonych widoków,
obszarów smutku i cieni bolesnych,
Gdzie wypoczynek i spokój przenigdy
Mieszkać nie będą, nie przyjdzie nadzieja,
[...]

Tytuł tomu Benki jest genetycznie pokrewny, choć odnosi się do innego zmysłu. Sugeruje jednakże językowo skojarzenie z opętaniem przez moce piekielne. Niewykluczone, że zapoznała się ona ze wspomnianymi utworami, obydwa stanowiły wydarzenie w świecie literackim i zostały opublikowane mniej więcej w okresie przebywania poetki w Stanach Zjednoczonych, jej uczestniczenia w tamtejszym życiu artystycznym i kręgu kultury języka angielskiego. Tematem nie jest samo piekło (nieszczęście), ale – wynikająca z wolności – niezgoda na nie człowieka, niemożność zaprzeczenia własnemu powołaniu do innego stanu, innego życia, niemożność wyzbycia się tego, co jest esencją człowieczeństwa. To jest istota wszystkich trzech książek.

Tak jak u obydwu prozaików, u Benki nadzieją jest sztuka (u niej poezja, w jakiej metafizyczna czerń służy eksplikowaniu bieli) i dyspozycja walki – mimo wszystko – o prawdę ostateczną. Dla niesłyszącego nie istnieje muzyka, zatem nie ma piękna, nie ma porządku, nie ma prawa. Wobec nic, wszystko, co jest, zdaje się związane ze sobą, choćby to zwizualizowane powinowactwo przejawiało się w pokraczności kształtów. Przypomina się tutaj dialektyka niepoprawnego „istnieniaowca” Bolesława Leśmiana. Nieistnienie, niczym nitka Ariadny, prowadzi poprzez rozpisany w poszczególnych utworach dialog czerni i bieli.

Jednym z tak koncepcyjnych „muzycznych” tematów, wprowadzonych na samym początku tomiku, jest czarny kwadrat. W potocznym rozumieniu czarny kwadrat pozostaje czarnym kwadratem, prowokacją autorską, nie pamięta się o tym, że Kazimierz Malewicz był przede wszystkim artystą metafizycznym, że ów kwadrat to cień piramidy, najważniejszego symbolu gnostyckiego oświecenia, cień od

Słońca stojącego w zenicie, zarazem rzut teźże bryły geometrycznej na płaszczyznę (co samo w sobie jest też objawieniem zawartej w przyrodzie tajemnicy, nie mniejszą rewelacją jak niegdyś odkrycie zastosowania liczby pi w proporcjach piramidy).

Cóż ponad tę prostotę, ascezę ostateczną? Ano życie, w jego zmysłowości, soczystości – w wierszu *** *Wiśnie śmierci słodkie...* symbolizują je wiśnie (kolejny temat tomu). Zawarta w ich kształcie krągłość w zestawieniu z figurą geometryczną przypomina koncept kwadratury koła. To symbol poznania, które nie może się rozwinąć i osiągnąć definicji – nie można w pełni pojąć, usłyszeć – czarny kwadrat przesuwa się na krawędź tego, co rozumowe, zaprzecza swej formie, doskonałości, sztuce w pojęciu kultury (kwadrat i koło, rozum i natura), jest antropomorfizowany jako figura czarnego Boga. Bóg jako dziki, naturalny, organiczny. Idea pojmowana w utajonej biologiczności, „erekcja to rezurekcja” – jak mówią „święci” tak konstruowanej i tak jawiącej się religii. Poprzez niedoskonałe, ułomne poznanie poetka karykaturuje jego źródło. Źródło uniwersalne, jakkolwiek by je nazwać. Zarazem sprawdza się w tych nadzwyczajnych warunkach poznanie jako takie, pogląd na świat jako taki. Niedoskonałe sprawdza doskonałość. Świadomość doskonałości. Grzech? Użyteczność grzechu? Wieczna aktualność pierwotnego upadku? Tajemnicy destrukcji, dialektyki dobra i zła? Dialektyki poznawczej?

Kolejny tekst, *** *Białe kóteczko w mleku bieli...*, zmienia perspektywę. Brak czerni to brak akcji, brak zmiany, „gdzie nie ma śmierci nie ma nadziei”. Wszystko jest lustrem, jest pozorne, ponieważ bezgraniczne, rozplywające się w niczym. Pojawia się w wierszach Benki obraz świata, morza, życia (tego, co biblijnie można nazwać „pychą żywota” i odpowiadający temu stanowi trans). „Mięso ziemi rozumne jak mózgi” i zaraz obok, na następnej stronie, sztuka, muzyka – jako punkt bez dziania się, stworzenia i nicość z niej wielokształtna, nic niedojrzałe, dziecięce, nic jak refren. Czyli cała ta gra – o Nic. Co można usłyszeć, nie słysząc? Niesłyszanie. Jeśli nie coś, nie to i tamto, to nic, nicość, pustkę, sedno rzeczy. Pozostaje tylko jego adoracja. To punkt dojścia filozofii, to teologia negatywna – to, o czym nic nie można powiedzieć (ale można napisać dużą literą). Narzuca się tu skojarzenie z Mistrzem Eckhartem i buddyjską siunją. Trans i adoracja są tylko konsekwencją tego, że mamy się za coś wyodrębnionego z bytu, i to wyodrębnione się afirmuje, z niego powstaje relacja czegoś z czymś (choćby było niczym), z całością, ze wszystkim. Zwraca uwagę przewijający się przez poezję Benki humor, wyzwalający się za sprawą osiąganego dystansu.

*** *Nic miewa zapach tulipanów...* to piękny liryk o Niczym (dlaczego pisać tylko o czymś?). Książka przynosi wiele takich nieoczywistych, oryginalnych obrazów. Wiele tu, za sprawą przyjętej perspektywy poznawczej, zobaczonego i zapisanego po raz pierwszy. I oto kolejna repryza tego tematu:

Nic jak kółko w nosku
 Muzykalne jak lira jak mandolina
 Tupie radośnie w ciemnych tulipanach”.
 (***) *Nic jak kółko...*

Elementy ludyczne przenikają przez wiersze tomu. Opętanie nie byłoby opętaniem, gdyby nie wyrażało się w niezwykajny, nieoswojony sposób, gdyby w swoim natężeniu nie dawało przeżycia stanu odmienności, nie bawiło. Jeśli tylko zejść dostatecznie głęboko – na poziom niczego – dosięga się dowolności, nierównowagi, płynności nie tylko w porównaniu z potocznym stanem rzeczy, ale także z wszelkim pojęciowym usystematyzowaniem, każdym paradygmatem. Doświadcza się braku fizycznej czy psychicznej grawitacji, swobody postępowania wyrażającej się w zabawie:

Małpy rozbawione w zegara mechanizmie
 Kręcą kółkami kółko każde w dziureczek ostrych aureoli
 Wahadłami huśtają pełnię witają
 Pełnia jest snem
 I małpy też

Snem jest zarówno ubóstwienie światopoglądu naukowego, racjonalności charakteryzującej kulturę zachodnią, nastawioną na opanowanie zewnętrżności, jak i symbolizowanego w myśli wschodniej przez małpy umysłu niepoddającego się kontroli w procesie introspekcji. Owa totalna gra (jakby hinduistyczna lila) jest konfrontowana ze wspomnianym Norwidowym *Fortepianem Szopena* (ten temat jest wprowadzany wielokrotnie i przetwarzany), z grą według zasad, według kultury, z grą, wobec której poeta prowadzi własną grę. Muzyczną inaczej, wychodzącą z ciszy, z niedo- lub niesłyszenia. I z nicości. Co wiersz znajdujemy się w sytuacji krańcowej. W *** *Plama śni o swoim tle...* nie budzimy fenomenów świata z lęku, co by było, ponieważ sami jesteśmy jednym z nich. Skonfrontowani ze swym przeciwieństwem, zwierciadłem lub źródłem, moglibyśmy zniknąć. Obudzić się z siebie (a na to ostateczne doświadczenie nigdy nie jesteśmy gotowi, póki pozostajemy sobą).

W innym wprowadzeniu tematu z zegarem i małpami, akcja osadzona jest dodatkowo „W błękitcie pachnącym przepoconą wełną habitu”, czyli w niebie i w dążeniu do nieba, z jego chrześcijańskimi konotacjami. Swoista rozprawa podmiotu wierszy z osobowym Bogiem jest dominantą dalszej części *Melodii opętania*. Poczynając od własnego credo:

Mam teraz biały cień
 i on płynie, potrafi falować, drgać,
 potrafi stawać dęba.
 I wtedy przyświecam sobie cieniem,
 dosiadam cienia, kapię się ze świata i Boga.
 Bardzo dbam,
 aby go nie uświnić żadnym sacrum,
 nie ogłupić żadną granicą
 szaleństwa.

– poprzez groteskowe konterfekty domniemanego Najwyższego, czerpiące z Williama Blake’a, a także z celtyckiego i środkowoeuropejskiego kultu dzika:

W dżungli bóstw
Pręgowany wąsaty
Bóg
Skacze ku tętnicy Dionizosa Orfeusza Merkurego
I zmienia postać
Długim czułym ryjem ryje w ziemi miękkiej
Wyżreć bogów podziemnych [...]

Tylko trzy utwory z tego zbioru mają tytuły. Dwa z nich umieszczone są jako dyptyk w środku tomu. To *Księga* i dwa krótkie poematy złożone z numerowanych części, nawiązujące nazwą do tytułu całości – *Księgi opętania*, niby echem powtarzające się jeszcze jako *Księgi opętania II*, które w przeciwieństwie do poprzednich napisane są w większości nie wierszem, lecz prozą poetycką. O ile *Księga* jest opowieścią o odłożeniu książki, dystansie wobec książek i biblioteki, niekonieczności kultury:

trzeba czytać
lecz bezkres księgi
sprawia
że Nic zmierza
do końca [...]
Nikt odwraca strony
i wiatr ją zamyka
i odmyka
i umyka

– o tyle *Księgi opętania* mają charakter zdecydowanie osobisty, pisane są z trzewi. Jest w nich wizja kobiety wyprowadzona z jej pranatury, pramatki, wizja współzycia natury i ducha. Prymitywny, pierwotny, wręcz „neandertalski”, jaskiniowy jest song wiedźmy utożsamiającej się z żądzami przyrody. Dźwięk zanika, gdy ona popada w obłąd, a duch zostaje „wymilczany / W śniegu” – to egzorcyzm kobiety będącej jednocześnie świętą i wiedźmą – z realiów świata, ze zdrewnienia, usta w usta, lustro w lustro (czyli, jak było to wyżej, z nieprawdziwości przyrodzonej postrzeganiu).

Książkę zamyka efektowny „muzyczny” finał, sprawiający wrażenie improvizowanego z lekkością jazzu, rozbieżnych znaczeń harmonizujących kontrastowe tematy: tradycję antyczną, przaśną, guślarsko-wiedźmowatą subkulturę, mitologię plebejskiej babskości (dwa ostatnie rozdziały tomu noszą tytuły *Muzyka do żywego mięsa* i *Stada bogów jak stada bram*). Ostatni zbiór wierszy Benki poprzedza słowo wstępne Czesława Sobkowiaka *Ciemna baśń*, a jego swoistym pogłosem jest poetycki komentarz Krzysztofa Rudowskiego *Kosmos Urszuli Benki*. Książkę zilustrowała rysunkami córka poetki, Gwendolina Urbanowicz-Jarzębowicz.

Na koniec zapytajmy: kim jest ten, który widzi? Kto widzi, że nie ma nic? Można nazwać Benkę osobą niewierzącą, ale – mimo bluźnienia, ostentacyjnego odwracania się od religii i ukazywania jej jako tragiczno-satyryczno-metafizycznego kabaretu – zarazem mocno, afirmowany jest przez nią stan rzeczy, sięgający każdego szczegółu egzystencji, aż po granicę jej braku. Jeśli tak bardzo chciałyby coś usłyszeć i z taką mocą pragnie się prawdy ostatecznej, nie oglądając się na konsekwencje, jeśli aż tak, mimo niezgody – się jest. Jeśli jest w niej taka żarliwość istnienia-nieistnienia...

Nie ma nieba, nie ma piekła i nie ma bijącego zeń opętania, jeśli nie ma percypującej je świadomości. Dotyka człowieczego wnętrza to, co jest. Wierzę, że to jest, że tak jest, wierzę całym sobą, że dotykam ostatecznie. Ponieważ my wszyscy, wierzący i niedowierzący, także powinniśmy osiągnąć świadomością tego, że jest. Jestem ja, jest przynajmniej moje doznawanie. Bo jeśli tak nie jest, całe nabożeństwo na nic. Całe życie, cała droga najbardziej wierzącego – do jest. Jest we mnie. Ja jestem. Wszyscy, obudzeni wewnątrznie, w sobie obudzeni jesteśmy wzajemnie bliscy, spokrewnieni, z jednej metafizycznej krwi. I z tej samej Księżki Dżungli.

Antoni Matuszkiewicz



Franciszek Maśluszczak, obraz (2010)
z wystawy *Niezwykłe zwykli ludzie*.
Święci w ilustracji, Muzeum Diecezjalne
w Rzeszowie, maj 2014

LITERATURA – LEK NA LĘK

Andrzej Lam

SZERMIERZ PRAWDY

Po wczesnej stracie ojca wychowywany przez kobiety Fryderyk prowadził od czternastego toku życia swój „pochylony w siebie” raptularz, do którego obok bieżących zapisów wpisywał też powstające okazjonalnie wiersze. Czuł powołanie do wielkiego czynu myśli, ulegając na przemian nastrojom zwątpienia i nadziei. Była to liryka osobista, ale nie zawsze pierwszoosobowa, nie była też liryką maski, lecz wcielania się w obce podmioty, dzięki którym, rozszczepiając własną osobowość, uzyskiwał dystans do siebie samego. Na własnej skórze doświadczył, jak pragnienie wielkiej odnowy, dopuszczenie do głosu naturalnego żywiołu, pociąga za sobą odwet ze strony piewców pruskiego porządku i obsługującej go filozofii spekulatywnej. Na znak protestu przeciwko fałszywie rozumianej niemieckości przyznawał się do polskiego, szlacheckiego pochodzenia. Świadomie podejmował ryzyko, że albo zginie zduszony przeciwnościami, albo odniesie wielki triumf. Stało się to drugie, po fali sprzeciwu zyskał entuzjastów i akolitów. Próbowano go zaprząć do różnych rydwanów, ale jak Proteusz ukazywał się w coraz to innym miejscu, póki nie powaliła go rujnująca niemoc. Od jego śmierci minie wkrótce 125 lat i do dziś trwa ta inspiracja, przekazywana żywą myślą dyskursywną, przypowieścią i wykładnią poetyckiego obrazu.

Nietzsche miał fenomenalne wycucie rytmu i zarówno materiału rzeczowego, jaki pomysłów mu nie brakowało, nie więc dziwnego, że poetycki temperament go ponosił. Z przerwami krystalizował formę zapisków to w wiersz czy aforyzm, w poemat czy maksymę, a do druku podawał obok wielkich narracji eseistyczno-filozoficznych tylko to, co udawało mu się ułożyć w bardziej czy mniej spójny cykl.

Takich cykli było parę. Najpierw *Idylle z Messyny*, jedyny zbiorek wydany osobno w 1882 roku, poezja parodystyczno-ludyczna, ale już z przesłaniem dla współczesnych. Potem ciągi aforyzmów i wierszy rodzajowych w *Wiedzy radosnej* z tego samego roku: *Żart, podstęp i zemsta* – na otwarcie i *Pieśni księcia Vogelfrei* – na dobry koniec. Z zamysłów snutych wokół postaci swojego partnera do przekomarzań, Zaratustry, z inspirowania się filozoficznie modelowaną boską potęgą Dionizosa, wyłaniały się *Dytyramby dionizyjskie*, we fragmentach ogłoszone w 1885 roku i w całości w 1891. O resztę nie dbał, a młodzieńcze wiersze niszczył. Część uratowała młodsza siostra Elżbieta i wydała je w 1926 roku. Potem, wraz z rosnącą popularnością filozofa, zanim powstało monumentalne wydanie krytyczne, swobodnie rozszarpywano ten dorobek, wyłuskując fragmenty z większych całości, nadając im dowolną formę graficzną i dorabiając tytuły, też na użytek kompozycji pieśniowych.

Było z czego wybierać, bo Nietzsche przy swojej pamięci, żywej emocjonalności, błyskotliwej pasji poznawczej i parodystycznym talencie panował wyśmienicie nad poezją starożytną i miał w małym palcu całą poezję niemiecką, poczynając od jej pomników średniowiecznych. A sam wybierał dobrze, z nowszych poetów wciąż mało znanego Hölderlina i dręczonego cenzurą Heinego. Od niego, urodzony pod wschodzącą gwiazdą Wiosny Ludów wkrótce po śmierci pierwszego, przejmował jakby sztafetę, bo zaczął pisać zaraz po śmierci Heinego, obejmując opuszczony posterunek pogromcy niemieckości zarówno w przyciężkim i poddańczym wydaniu pruskim, jak śpiewno-marzycielskim i moralizującym szwabskim. Czuł, że przebywa w innym niż zwykli śmiertelnicy świecie, wśród „ludzi wyższych”. Wszystko to narażało go na niewybredne ataki. Postawił sobie za cel rozluźnienie każdego sztywnego i pętającego umysł wzorca, każdej maski i pozy. Na gruncie polskim przyjął się dobrze, najpierw w kontrowersyjnych omówieniach ostatniej dekady XIX wieku, z entuzjazmem w „Życiu” i „Chimerze”, i wkrótce w podejmowanych przez najświetniejsze pióra przekładach i problematyzacjach (Berent, Staff, Brzozowski). Nie byłoby może Leśmiana bez sentencji z *Poza dobrem i złem*: „Kiedy spędzasz dużo czasu spoglądając w otchłań, otchłań zaczyna również spoglądać na ciebie”.

Prezentowane tu wiersze pochodzą z dekad od końca lat pięćdziesiątych po osiemdziesiąte, od młodzieńczych uniesień i smutków po czas pętającej choroby, która z końcem tej dekady wybuchła z porażającą siłą, kiedy na widok maltretowanego konia przytulił go do piersi i stracił przytomność. Turyńska policja ukarała go mandatem.

Fryderyk Nietzsche

Wiersze z rękopisów

POWRÓT

To był dzień cierpienia,
gdy ongi się żegnałem;
lecz trwoźniej było w sercu,
gdy teraz powracałem.
Wędrowni mej nadzieja
zglądzona jednym ciosem!
O nieszczęsna godzino!
O dniu ty niezdarzony!

Płakałem wiele razy
na grobie mojego ojca
i łza niejedna gorzka
spadała w dół do grobu.
Smutno mi było i pusto
w miłym ojcowskim domu,
tak że chodziłem często
po samotność do lasu.

W jego cienistej przestrzeni
o smutku zapominałem,
w cichym marzeniu wracał
do mego serca pokój.
Bujne młodości rozkosze,
róże, skowronków swary
zjawiały mi się, gdy drzemiąc
w cieniu dębów leżałem.

Teraz i dawniej.

Tak ciężkie me serce, tak smutny czas!
I nigdy dość:

wciąga mnie w wir
smutek, ból i czas.
Nieba nie widzę już więcej
błękitnego majowo:
tak mnie dzikie wichry
smagają radością i zgrozą.

Złamałem dawnego czasu
przesłanie,
które mi chować kazało
w pamięci dziecinne szczęście,
złamałem, co mnie trzymało
w dziecinnej wierze:
igrałem ze swoim sercem
i niemal skraść je pozwoliłem.

I co znalazłem? Daleko jest dal!
Łzy tylko!
Ziarna płukał lekki umysł
najpierw, nie głuchą tęsknotę.
Ziarna złota – czy nie zwid?
Błyszczały krótką chwilę,
lecz śmierć pisała władcze Nie
na każdej, każdej linijce.

Jestem stary jak moneta,
pozieleniała,
omszała, w postaci zmarszczonej,
co kiedyś za ozdobę służyła.
Bruzdy zwątpienia głębokie i mocne
biegły górą,
brud życia, szary, zaskorupały
próbował w krąg się owinać.

I kto mnie sercem swym obdarzył –
gdzie ci kochani?
I kto mnie wodą napoił –
gdzie oni się wszyscy podziiali?

I każdy jasny słońca błysk,
który trafił mnie celnie?
Kto zabrał mi okruch szczęścia ostatni,
moje marzenia i moją nadzieję?

Moje drżące serce, odrzuciłem je,
by odpoczęło,
i toczyła się przez nie rozkosz, zysk,
ból, wiedza i ciężar ogromny.
A że to dręczyło i cisnęło i bolało
w dzikich godzinach,
miotano płonąć i paląc
w górę, co było związane,
to choć pisałem czarno i grubo,
kartkom to zwierając,
niewiele przecie z pisma zostało
w literach krwawych,
pisma, które na białym tle
nakreślił Bóg:
tym bogiem byłem ja i to tło
siebie i mnie okłamało. –

O gdybym mógł zmęczony światem
uciec daleko,
i jak jaskółka na Południe
ciągnąć do mego grobu:
wokół ciepłe powietrze słonecznego wieczoru
i złote smugi.
U cmentarnego krzyża zapach róż
i radość dziecinna i rozmowy.

Potem bym ukląkł na zmurszałym drzewie
całkiem cicho:
górami płynęłaby wysoko i dumnie
chmur zwiewna pełnia.
Cień kościoła osłoniłby mnie,
lilie by się kołysały
w lekkim powiewie i pytały mnie
o moje myśli gorące.

Spokoju, przybyszu mojego czasu,
pozdrawiam
cię z głuchej samotności,
w której pokutuję za moje życie.
Ze zdroju mego życia płyn
w świętych falach:
patrzę na ciebie i pozwalam cicho,
by serce tęskne się wykrwawiło.

DO MELANCHOLII

Nie gniewaj się na mnie, melancholio,
że ostrzę pióro, aby sławić ciebie,
ani że głowę na kolano zgiąwszy,
niczym pustelnik na pieńku nie siedzę.
Tak mnie widziałś często, wczoraj jeszcze,
w rannego słońca promieniu gorącym;
gniewnie sęp krzyczał w zbudzoną dolinę,
śniąc o zdobyczy, o martwym węgorku.

Mylifeś się, ptaku dziki, że ja teraz
jak mumia na tym pieńku odpoczywam!
Nie dostrzegłeś oka, co w błogiej rozkoszy
wokół się zwraca, dumnie i wyniośle,
I choć się nie wkrada na wyżyny twoje,
choć chmur nie sięga fali nietykanej,
to opada tym głębiej, aby w sobie
przepaść bytu rozjaśnić swym światłem.

Tal siedziałem często w głębokiej pustyni,
niepięknie zgarbiony, jak barbarzyńca w ofierze,
i o tobie myślałem, melancholio,
pokutnik, choć w latach młodzieńczych!
Tak siedząc, lotem sępa się cieszyłem,
dudnieniem grzmotu potężnej lawiny,
mówiłaś do mnie, niezdolna, by zwodzić,
szczera, lecz z miną straszliwie surową.

O cierpka bogini surowej skał natury,
zjawiałaś mi się chętnie, przyjaciółko,
wskazywałaś mi potem sępa ślad
i pęd lawiny, aby mnie umniejszyć.
Żądza mordu w krąg dyszy szczerząc zęby:
żałosna chęć, by życie zgłębić, zabić!
Wabiąco na pustym rumowisku skał
Samotny tęskni kwiat za motylami.

Tym wszystkim jestem – w lęku czuję –
zwabionym motylem, samotnym kwiatem,
sępem i prędkim potokiem lodowym,
dudnieniem burzy – wszystkim dla twojej sławy,
gniewna bogini, schylony w ukryciu,
z głową na kolanie, abym bez ustanku
łaknął wciąż życia, życia, życia!

Nie gniewaj się na mnie, zła bogini,
że ja rymami zdobnie cię oplatom,
zadrzy, do kogo się zbliżysz, straszliwa,
złęknie się, komu je podasz, złe prawa.
Ja w drzeniu jąkam tu za pieśnią pieśń,
i dreszcz rytmicznej formy mnie otoczył:
atrament płynie, ostre pióro pryska –
teraz, bogini, pozwól – pozwól mi się włączyć!

TERAZ, KIEDY DZIEŃ

Teraz, kiedy dzień
zmęczył się dniem i wszystkich tęsknot potoki
od nowych pociech zapluskały,
a wszystkie nieba obwieszane złotymi szpinetami
do każdego zmęczonego mówiły: „odpocznij teraz” –
czemu nie odpoczywasz, o mroczne serce,
co nagli cię do ucieczki poranioną stopą,
na co czekasz?

O ty, wąpiący! Czy wiesz też,
ile trudu przysparzasz tym,
którzy na ciebie patrzą?
Ach, jakże się skarżysz! dokąd miałbym uciec?
Ach, kogo ty pasiesz!
Więźniów jeszcze pasiesz.
Jakże pewne wszak dla niegodziwców
jest więzienie!
Jak spokojnie śpią przestępcze
dusze, uwięzione –
Teraz, kiedy góra zrodziła mysz,
gdzie jesteś, Tworzenie?

Och, ogrzejcie mnie! kochajcie mnie,
podajcie gorące dłonie,
nie lękajcie się mojego żelaza!
Zbyt długo jak widmo na lodowcach – – –
pędzony wkoło, wzbijany,
przy jakim nie siedziałem lustrze –
ja kurz na wszystkich powierzchniach
poza sobą, od uległości
jak pies,
pusty, pustka, pełen trucizny i nocnego ptactwa,
ośpiewany i olękniony,
samotny –

O koczownicy! Wasz jestem teraz!
Jakiego chcecie okupu?
Chciejcie dużo – tak radzi moja дума
i mówcie mało – tak radzi moja inna дума.
Leżę cicho –
rozciągnięty,
jak półmartwy, któremu grzeje się stopy
– Żuki boją się mnie,
wy boicie się mnie? Czy nie boicie się
napiętego łuku?
Biada, ktoś mógłby nałożyć swoją strzałę.

DLA FAŁSZYWYCH PRZYJACIÓŁ

Ukradłeś, tve oko czyste nie jest –
Myśl tylko jedną skradłeś? – Nie,
Czemu tak skromnie obławiać się?
Bierz pełną garścią to wszystko –
Bierz całe moje Moje –
I nażryj się tym *czysto*, świnio!

W DALI HUCZY GROM

W dali huczy grom przez kraj,
deszczyk kapie i kapie:
od rana gada pedant nasz,
i nic mu gęby nie zamknie.
Dzień złośliwie ze mnie szydzi:
zgaślił mi właśnie lampę.
Och, dobra nocy! Och, samotności!
Och, książko! Och, kałamarzu!
Wszystko jest szare i zwodne.

DESPERAT

Straszni stali się dla mnie
plwający kompani!
Jeśli uciec, dokąd zbiec?
Czy mam skoczyć w fale?

Wszystkie usta ostre takie,
a gardła bulgoczą,
ściany, ziemia opryskane –
to dusze plwocinowe!

Chętniej żyłbym źle i biednie,
wolny ptak na dachu,

lepiej pośród przენiewierców,
złodziejasków, gachów!

Hańba cnoty łże-obrońcom!
Hańba wiedzy, kiedy plwa!
Bo najczystsza nawet świętość
złota w ustach nie ma wszak!

DO PRZYJAŹNI

Chwała ci, przyjaźni!
Mojej najwyższej nadziei
pierwsza jutrzeńko!
Ach, bez końca
zdawała mi się droga i noc,
Całe życie
bez celu i nienawistne!
Po dwakroć chcę żyć,
a teraz patrzę w twoje oczy,
poranny blask i zwycięstwo,
najukochańsza bogini!

FALA STANAĆ NIE MOŻE

Fala stanąć nie może,
noc lubi jasny dzień –
pięknie brzmi słowo „chcę”,
jeszcze piękniej „mogę!”

Z każdej wiecznej skały
źródło bez przerwy tryska:
Bóg sam – czy on zaczął?
Bóg sam – czy wciąż zaczyna?

Fryderyk Hunia

UMRZYJ, ZANIM UMRZESZ...

Medytacja o mistycznej śmierci w chrześcijaństwie i buddyzmie zen

*By odnaleźć życie, musimy umrzeć
dla tego życia, które znamy.*

Thomas Merton

*Bez śmierci „ja”, nie może być
zmartwychwstania prawdziwej „jaźni”.*

Robert C. Zaehner

*Ten, kto umarł przed swoją śmiercią,
nie umiera, kiedy umiera.*

Abraham od świętej Klary, XVII w.

Wszystkim mistycznym tradycjom ludzkości wspólne jest przekonanie, że normalny stan człowieka nie jest jego stanem prawdziwym, lecz deformacją, „*perversio*”, które wymaga powrotu do stanu pierwotnego, *conversio*” (Heinrich Rombach), zatem powinniśmy dążyć do „nawrócenia” z fałszywego bytu na byt prawdziwy, wyłamania się z naszego egocentrycznego „ja” i osiągnięcia ego-ekscentrycznej „wielkiej jaźni”. W buddyzmie zen ten radykalny zwrot jest nazywany „wielką śmiercią” (jap. *taishi*). W mistyce chrześcijańskiej mówi się o śmierci „starego Adama” w nas, przez którą musimy przejść, aby narodzić się jako „nowy człowiek”. Jest to jedyna droga, którą człowiek może dojść do prawdziwego życia.

W jednym ze swoich esejów Aldous Huxley pisał:

Śmierć i ponowne narodziny, ciągle słyszymy jak mówią o tym mistrzowie duchowej drogi. Jeśli ma nadejść królestwo Boże, człowiek musi odejść; stary Adam musi umrzeć, aby narodził się „nowy człowiek”. Ascetyczne wyrzeczenie się siebie – fizyczne, emocjonalne, etyczne i intelektualne, jest koniecznym warunkiem oświecenia, realizacji boskiej immanencji i transcendencji¹.

Życie człowieka, takie jakim je znamy, musi więc zostać złożone w ofierze. Nasza zwykła (powierzchnowa) świadomość stanowi – jak mówią azjatyccy asceci – coś w rodzaju „materii ofiarnej” dla naszej nadświadomej jaźni. „Dopiero ta śmierć ofiarna – pisze austriacki poeta Ernst Schönwiese – dopiero ta prawdziwa i całkowita ofiara z „ja” umożliwia pojawienie się w nas prawdziwej jaźni; dopiero

¹ A. Huxley, *Gott ist*, München 1993, s. 103. Przel. F.H.

autentyczne urzeczywistnienie tej śmierci ofiarnej sprawia, że każdy z nas staje się wyzwolicielem swojej jaźni”².

Idea, że droga do wiecznego sposobu istnienia wiedzie przez śmierć naszego egotycznego „ja” była znana – jak już mówiliśmy – w mistycznych tradycjach bodaj wszystkich religii i epok. Stanowi ona – pisze Jürgen Linnewedel – coś w rodzaju „mistycznej fundamentalnej zasady», «magna charta» relacji między człowiekiem i Bogiem”³. Jest ona obecna zarówno w religiach monoteistycznych jak i kosmicznych religiach Azji (szczególnie w buddyzmie). Wystarczy tu przywołać kilka reprezentatywnych przykładów. Zaczniemy od islamskiego mistyka Al Gazalego (XII w.), według którego należy „rzucić się w noc, w najgłębszą swoją nicość, jeśli ma nadejść ranek w blasku najwyższego światła”. Dla reprezentanta tej samej tradycji Murshida Hazrata Inayata Khana fundamentalna reguła tej duchowej transformacji brzmi: „Aby istnieć, trzeba przejść przez fazę nieistnienia”⁴. Jeden z najważniejszych chrześcijańskich mistyków, Anioł Ślązak (1624–1677), wyraża tę samą prawdę następująco: „Masz umrzeć nim umrzesz, aby śmierć swą przeżyć / Mógłbyś bowiem zginąć, zamiast tylko nie żyć”⁵. Poniższe słowa innego z koryfeuszy mistyki chrześcijańskiej, Mistra Eckharta, można uznać za złotą regułę całej jego nauki: „Obserwuj siebie i tam, gdzie natrafisz na siebie (swoje egoistyczne ja), odrzuć go”.

W hinduizmie mówi się o *atmayajna* – ofiarowaniu małego „ja” jako najważniejszej ofierze na drodze z ciemności do światła, ze śmierci do nieśmiertelności. W buddyzmie zen (na którym chcemy tutaj skupić szczególną uwagę) co i raz spotykamy się z zachętą, by wisząc nad przepaścią, puścić uchwyt i odważnie, bez wahania runąć w nią: „Rzuć się w przepaść, pełen determinacji i ufności. Dopiero po śmierci zaczynamy żyć. Jedyne to jest prawdą”⁶. Właśnie w buddyzmie zen znajduje najbardziej zdumiewający w swej radykalności wyraz ta „mistyczna zasada”, głosząca, iż droga do prawdziwego życia (resp. wyzwolenia, zbawienia) prowadzi przez śmierć naszej egocentrycznej natury. Mówi się tu o „wielkiej śmierci”, podczas której nasze empiryczne „ja” musi zniknąć, abyśmy mogli wejść w światło naszej prawdziwej jaźni. Nietrudno zauważyć, jak bardzo bliskie to wezwanie do wyzwycia się swojego „ja” jest głoszone również przez chrześcijaństwo w nauce o zaparciu się siebie, o samoogłoceniu, które jest warunkiem koniecznym do tego, by Bóg mógł nas objąć. Toteż wielu eminentnych autorów piszących o konieczności międzyreligijnego dialogu jest skłonnych widzieć tutaj najbardziej obiecującą dla wzajemnego użyźniania punkt styczny chrześcijaństwa i religii azjatyckich (szczególnie buddyzmu).

² E. Schönwiese, *Traum und Verwandlung*, Wien 1961, s. 116.

³ J. Linnewedel, *Meister Eckharts Mystik. Zugang und Praxis für heute*, Stuttgart 1983, s. 89.

⁴ Pir-O-Murshid Hazrat Inayat Khan, *Aphorismen und Gedichte von Weisheit der Sufi*, Heilbronn 1982, s. 50.

⁵ Anioł Ślązak, *Cherubinowy Wędrowiec*, przet. J. Prokopiuk, Mikołów 2002, s. 85.

⁶ Cyt. za: W. Kopp, *Befreit Euch von allem*, Interlaken 1991, s. 135.

Cyryl Korwin Krasiński pisze o tym „obumieraniu” własnego „ja”, że kiedy do niego dochodzi, to:

lituje się nad nami to zawsze nam bliskie wspólne serce Boga (tak mówią chrześcijanie) bądź dźwigający nas boski pragnut (tak Indusi) i *numinosum* wdziera się do bram naszego własnego zaniedbanego przez nas duchowego pragnut [...]. Wspólnym mostem między nami i tymi drugimi jest umieranie w ciemności, które zawiera światło⁷.

To wyzbycie się „ja” bądź samoopróżnienie, nie jest dla mistyka celem samym w sobie, lecz przygotowaniem przestrzeni dla Boga. „Wiedz! – pisze Eckhart – Bóg nie może niczego pozostawić pustym i niewypełnionym. Bóg i natura nie mogą znieść, żeby coś było niewypełnione i puste”⁸. Z kolei francuska mistyczka Madame Guyon (1648–1717) napisała te zdumiewające słowa: „Istnieją tylko dwie prawdy: Wszystko i Nic. Cała reszta jest kłamstwem. Boskiemu Wszystkiemu możemy oddać cześć tylko przez to, że wyniszczamy siebie. Ledwie to uczyniliśmy, wówczas Bóg, który nie dopuszcza żadnej pustki, nie wypełniając jej, wypełni nas samym sobą”⁹.

Paradygmatyczną postacią, która pokazała nam, co to znaczy ogołocić samego siebie i stać się pustym dla Boga, był Jezus Chrystus. Doskonale to rozumiał niemiecki teolog Walter Kasper, kiedy pisał, że Jezus „sam z siebie jest niczym, lecz wszystkim z Boga i dla Boga”; że jest on „całkowicie wydrążoną i pustą formą dla udzielającej się miłości Boga”¹⁰. Warto w tym kontekście przypomnieć, że jedno z określeń, jakie stosowano wobec Buddy brzmiało: *siunja murti* (sansk. „forma pustki”). Słowa o samoopróżnieniu i pustce spotykamy także – równie często jak u azjatyckich – u mistyków chrześcijańskich. Zdawali sobie sprawę z tego, że gdyby to samoopróżnienie nie było całkowite, Bóg nie mógłby być „wszystkim we wszystkim”. Droga do Wszystkiego (Pełni) prowadzi więc przez nicność i pustkę.

Dla buddyzmu zen jest więc oczywiste, że aby przebić się do prawdziwego, nie-egotycznego sposobu życia, musimy przejść przez ten – transcendujący zarówno byt, jak i niebyt, podmiot, jak i przedmiot – oczyszczający stan *siunjaty*. „Prawdziwa pustka” (=„wielka śmierć”) – mówi się tutaj – stanowi bramę do „cudownego bytu” (=„wielkiego zamartwychwstania”). Dopiero to przejście przez pustkę bądź nicność pozwala nam zobaczyć siebie i świat w ich prawdziwym bycie, zwanym „ta-kością” (sansk. *tathata*). Najradykałniej to misterium „wielkiej śmierci” jako bramy do prawdziwego życia, wyraża się – jak już mówiliśmy – w buddyzmie zen. Ryokan

⁷ C.K. Krasiński, *Trina Mundi Machina. Die Signatur des alten Eurasien. Ausgewählte Schriften*, Mainz 1986, s. 52. Przekł. i podkreśl. F.H.

⁸ Cyt. za: Meister Eckhart: *Mystische Texte- Reden der Unterscheidung und Predigten, Herausgegeben, übersetzt und kommentiert Günter Stachel*, München 1992, s. 30. Przel. F.H.

⁹ Cyt. za: W. Jäger: *Suche nach der Wahrheit. Wege-Hoffnungen-Lösungen*, Petersberg 1999, s. 194.

¹⁰ W. Kasper, *Jezus Chrystus*, przel. B. Białecki, Warszawa 1983, s. 110.

– XVII-wieczny mistrz zen – pisze: „Jest dobrze, by podczas śmierci umrzeć. Jest to jedyny sposób wymknięcia się śmierci”¹¹.

Żyjący w tym samym wieku inny mistrz zen, Hakuin, tak poucza swoich uczniów: „Młodzi ludzie, jeśli nie chcecie umrzeć, umrzyjcie zaraz teraz. Jeśli umrzecie teraz, to nie umrzecie, gdy będziecie umierać”¹². Także dla Shido Bunana (XV w.) tylko to jedno jest najbardziej ze wszystkiego ważne: „Umrzyj, żyjąc, i bądź całkowicie martwy / Potem czyn, co zechcesz – wszystko jest dobre”¹³. Słowa te przypominają znane *dictum* św. Augustyna: „Kochaj – i rób, co chcesz”, które w samej rzeczy niczym nie różni się od powyższego zalecenia Bunana, jeśli uświadomimy sobie, że miłość „to wszechwłóczenie, to właśnie nie innego, jak pustka” (Tempu Nakamura).

W największym zbiorze zenistycznych koanów *Zapiski szmaragdowej skały* wielki mistrz Joshu (778–897) zapytuje innego mistrza Tou-dsi: „Jak to właściwie jest, kiedy ktoś umarł wielką śmiercią, a mimo to nadal żyje”. W stylu właściwym jedynie mistrzom zen Tou-dsi odpowiada: „Nie powinieneś wychodzić nocą: zaczekaj na nadejście dnia i przyjdź”¹⁴. To mistyczne *misterium mortis* jest całkowicie niewyraźne w słowach, dostępne wyłącznie na drodze osobistego przeżycia. Jeśli mimo to mistrzowie zen muszą – aby go jakoś swoim uczniom zakomunikować – używać słów, to przybierają one niechybnie formę paradoksów. Jak u Yuanmena (IX–X w.), który jest autorem tej zdumiewającej frazy: „Dopiero kiedy umarły całkowicie w tobie umarł, czujesz się żywym; dopiero kiedy żyjący będzie w tobie całkowicie żywy, poczujesz się jak martwy”¹⁵.

Warto tu zwrócić uwagę na komentarz do tego przykładu niemieckiego tłumacza *Zapisków...* Wilhelma Gunderta. Otóż tym wszystkim, którzy sądzą, że między buddyzmem i chrześcijaństwem należy wznosić niebotyczne mury, zadaje on retoryczne pytanie: „Kto ze względu na swoje ludzkie przeżywanie i zachowanie ma dalszą drogę do prawdziwego chrześcijaństwa – ci, którzy w sensie Joshu umarli «wielką śmiercią», czy chrześcijanie, dla których słowa te są pustym dźwiękiem?”¹⁶. I przywołuje w tym miejscu słowa św. Pawła: „jestem ukrzyżowany wraz z Chrystusem, umieram dzień po dniu”, oraz słynne wersy Goethego:

I dopóki nie masz tego
Tego: umrzyj i powstań!
Jesteś jeno smutnym gościem
na tej mrocznej ziemi.

¹¹ Cyt. za: S. Ueda, *Der Tod im Zen-Buddhismus* [w:] *Der Mensch und sein Tod*, Göttingen 1986, s. 165.

¹² Cyt. za: W. Kopp, *Befrei Euch von allen*, Interlaken 1991, s. 136.

¹³ Cyt. za: S. Ueda, dz. cyt., s. 165, 170.

¹⁴ Bi-Yän-Lu, *Meister Yuan-wu's Niederschrift von der Schmaragdenen Felswand*, t. II, przeł. W. Gundert, Frankfurt/M. 1964, s. 161.

¹⁵ Tamże, s. 170.

¹⁶ Tamże. Podkreśl. moje – F.H.

Nie sposób odmówić buddyzmowi zen wyjątkowej radykalności w podejściu do realizacji tej mistycznej śmierci. Jest ona odbiciem radykalności samego Buddy, o której Raimon Panikkar powiada, iż wymaga ona całkowitego aktu wiary, totalnego i bezwarunkowego skoku. Pisze on:

Nawet nie mamy pewności, że podmiot tego skoku będzie urzeczywistniony, ponieważ całkowicie go transcenduje. Bez słów komunikuje Budda tym, którzy mają uszy, aby słuchać i słyszane wyjaśnić, że musimy mieć odwagę całkowicie utracić nasze życie, że musimy być gotowi do rezygnacji z wszelkiego przedmiotu, a nawet pozbyć się podmiotu¹⁷.

Ten wymagany przez Buddę skok jest tak radykalny, że nie ma w nim nawet miejsca dla Boga.

Wyrzeczenie się Boga – wywodzi dalej autor – nie jest jakąś metodologiczną operacją czy ćwiczeniem intelektualnym. Wyrzeczenie się Boga oznacza rezygnację z wszelkiego oparcia, także socjalnego, ludzkiego, naukowego czy ideologicznego. Jednym słowem, ta rezygnacja jest skokiem na drugi brzeg, śmiertelnym skokiem, w którym nie zostaje kamień na kamieniu i życie jako jednostka znika¹⁸.

To zrozumiałe, że zdobycie się na taki skok nie jest wcale – nawet dla reprezentanta religii azjatyckich – rzeczą łatwą. Zdaniem indyjskiego autora książki o chrześcijaństwie mistycznym, Ravindra Ravięgo, ten lęk przed radykalną, fundamentalną, przemianą samego siebie jest jednym z największych leków człowieka: „Coś w człowieku wie, że droga do rzeczywistego życia prowadzi przez śmierć zwykłego życia, które istnieje tylko w wyobraźni. Ale on boi się śmierci tego urojonego życia, lęka się, że być może nic innego nie ma. Ten lęk przed całkowitym unicestwieniem jest strażnikiem na drodze do transformacji”¹⁹.

Mimo że ta „wielka śmierć”, o której się tutaj mówi, jest bramą do „wielkich narodzin”, człowiek mocno trzyma się grani skały, by nie runąć w przepaść. Innymi słowy, trzyma się kurczowo swojego empirycznego „ja”, z którym tak bardzo się zidentyfikował, iż wydaje mu się, że wraz z jego utratą traci także całą swoją osobowość substancję i staje przed nicością. Z towarzyszącego człowiekowi w takich sytuacjach lęku zdawali sobie sprawę zarówno mistycy Wschodu, jak i Zachodu. Św. Grzegorz z Nyssy pisze:

Wyobraź sobie pionową, stromą i nierówną skałę, z widniejącą na jej szczycie granią. Teraz wyobraź sobie, co czułby ktoś, postawiwszy stopę na krawędzi tej przepaści i spojrzawszy w otchłań pod nim, nie ujrzałby solidnego oparcia dla

¹⁷ R. Panikkar, *Gottes Schweigen. Die Antwort des Buddha für unsere Zeit*, Berlin 1992, s. 231. Przeł. F.H.

¹⁸ Tamże, s. 256.

¹⁹ R. Ravi, *Mystische Christentum. Das Johannezewangelium im Licht ostlicher Weisheit*, Berlin 1996, s. 213. Przeł. F.H.

stóp ani dla niczego, czego mógłby się trzymać. Myślę, że tego właśnie doświadcza dusza, która traci oparcie w rzeczach materialnych w poszukiwaniu tego, co bez miary, i co istnieć odwiecznie. Bowiem tutaj nie ma się czego uchwycić – ani miejsca, ani czasu, ani miary, ni czegokolwiek innego, jest to niepojęte dla naszych umysłów²⁰.

Podobnie to misterium „wielkiej śmierci” prowadzącej do „wielkiego życia” opisuje – z całym towarzyszącym temu przejściu dramatem woli i psyche – żyjący osiem wieków później japoński mistrz zen Hakuin:

Jeżeli chcesz osiągnąć prawdziwe „nie-ja” musisz puścić ręce nad przepaścią. Jeżeli następnie wracasz znowu do życia, napotykasz „prawdziwe ja”. Co to znaczy puścić ręce nad przepaścią? Człowiek gubi drogę i dochodzi do miejsca, na którym nie stanęła żadna ludzka stopa. Nagle rozwiera się przed nim bezdenne przepaść. Jego stopy stoją na śliskiej omszonej skale. Nie można ani zrobić kroku do przodu, ani się cofnąć: tam czeka go jedynie śmierć. Niewiele może się spodziewać po winnej latorośli, której trzyma się lewą ręką, jego życie wisi jak na włosku. Jeśli nagle puści się, jego chude ciało ulegnie zagładzie. Tak właśnie jest z ćwiczącym. On dochodzi do tego momentu, że jego umysł jest jak martwy, jego wola jak wygasła, wielka pustka nad stromą przepaścią, żadnego oparcia dla rąk i nóg. Wszystkie myśli znikają, pojawia się dławiący strach. Nagle rozpadają się jednocześnie umysł i ciało. Jest to moment runięcia w przepaść. To oznacza odrodzenie się w Czystej Krainie, ujrzenie własnej natury²¹.

Człowiek wzdraga się przez tym skokiem w bezdenną przepaść, boi się, że nie będzie już mógł powrócić do życia. Boi się utracić swoją konwencjonalną tożsamość. Nie może pozbyć się lęku, że spotkanie z Absolutem skończy się dla niego unicestwieniem jego indywidualnego bytu. Tego głębokiego zakorzonego w ludzkiej naturze lęku nie są w stanie rozproszyć nawet zapewnienia mistrzów, że ta „pustka” nie jest nicością. Jeden z nich – żyjący w Chinach w IX w. Huang Po – tak pisze: „Ludzie boją się puszczenia swej świadomości. Boją się, że upadną w pustkę, i że nic nie zatrzyma ich upadku. Nie wiedzą, że pustka tak naprawdę nie jest pusta, lecz jest jedyną rzeczywistością”²². Z analogicznym zapewnieniem w odniesieniu do chrześcijańskiej teopraksji zwraca się do nas współczesny znawca mistycznych tradycji Wschodu i Zachodu Jürgen Linnewedel:

Nie bójcie się, że podczas tego „opróżnienia” stracie swoją tożsamość! Chodź tylko o demontaż władztwa ego, o nowe obsadzenie centrum osoby. Przypomnijcie sobie Pawła. On wprawdzie odczuwał Ducha Chrystusa, odczuwał siebie jako wewnętrznie całkowicie przemienionego, narodzonego na nowo i na nowo stworzonego,

²⁰ Cyt. za: K. Ware, *Prawosławna droga*, przeł. s. Nikolaia z Monasteru Opieki Matki Bożej w Bussy-en-Othe, Białystok 1999, s. 27.

²¹ W. Kopp, *Befreit...*, s. 136

²² Tamże, s. 138.

ale pozostał Pawłem w swojej niepowtarzalnej, ukształtowanej przez dotychczasowe właściwości i specyficzne cechy, naturze²³.

Jeżeli ta pustka, o której mówi się w zen, rzeczywiście nie jest pusta, lecz jest – jak słyszeliśmy od Huang Po – „jedyną najwyższą rzeczywistością”, to nie powinniśmy w spotkaniu z nią okazywać lęku. Prawdziwa pustka – jak mówi pewien mistrz zen – nie unicestwia tego, co istnieje, ponieważ jest ona identyczna z formą. Wybitny niemiecki indolog Michael von Brück mówi wyraźnie, że buddyjska pustka nie jest „nicością”, ciemnym kresem wszelkiego życia, lecz bramą do prawdziwej jaźni, do nadpełni, która wszystko transcenduje, co znamy jako byt i boimy się jako niebytu²⁴. Pustka, z którą mamy do czynienia w zen, jest – moglibyśmy rzec – pustką pełną, *benedictio vacui*, pustką błogosławioną – a nie czymś, co musi nasze serca napępiać przerażeniem; jest to w samej rzeczy pusta-ponieważ-pełna rzeczywistość *coincidentia oppositorum* (by przywołać znane określenie Mikołaja z Kuzy).

Decydując się na ten skok w ciemność, musimy wcześniej pozbyć się tego wszystkiego, co można utracić. Jeśli nasze indywidualne „ja” boi się zatury, to znaczy to tylko tyle, że nie jest ono jeszcze naszą prawdziwą jaźnią. W mistycznych tradycjach wszystkich religii mówi się o samoopróżnieniu, zniknięciu własnego „ja” jako warunku *sine qua non* dojścia do tego, co absolutne, Boga, drugiego brzegu, nirwany. W przypadku wychowanego w duchu woluntarystycznego indywidualizmu dzisiejszego człowieka jakakolwiek myśl o pozbyciu się własnego „ja” napotka najpewniej z jego strony na silny opór. Dąży on bowiem raczej do tego, by to swoje, tak przecież mu bliskie, egocentryczne „ja”, móc uwiecznić niż całkowicie się go wyzbycić.

Dla znanego współczesnego nauczyciela medytacji Willigisa Jägera ten habitualny opór przed zaparciem się swojego „ja” jest równoznaczny z negowaniem Boga. „Bowiem lęk – pisze on – przed rozpadem ja jest progiem, który nam przeszkadza w doświadczeniu naszej prawdziwej istoty, w doświadczeniu Boga²⁵. W Piśmie Świętym czytamy, że żaden człowiek nie może widzieć Boga i pozostać przy życiu (Ex. 33,20). Nie sposób nie zgodzić się z sugestią Wolfganga Koppa, że nie należy interpretować tego wersetu jako argumentu przeciwko możliwości widzenia Boga, lecz jako wezwanie do mistycznej śmierci. Tej mistycznej śmierci nikt nie może dokonać za nas – ani Budda, ani Jezus. Każdy w tę nieprzeniknioną ciemność (która wszakże zawiera światło) musi wejść sam.

²³ J. Linnewedel, *Meister Eckharts. Mystik. Zugang und Praxis für heute*, Stuttgart 1983, s. 132. Podobnie uważa także Panikkar, który w swojej książce o doświadczeniu Boga pisze: „Doświadczenie Boga wyzwala mnie z wszelkiego lęku, włącznie z lękiem przed utratą mojego ja, przed negacją mnie samego. [...] Nie trzeba bać się unicestwienia. Strach przed unicestwieniem jest najlepszym dowodem, że to zatrzwożone własne ja nie jest rzeczywistym i autentycznym ty. Ty spożywa ufnie w Ja”. W: *Das Göttliche in Allem. Der Kern spiritueller Erfahrung*, Freiburg im Breisgau, 2000, s. 51. Przel. F.H.

²⁴ M. von Brück, M. Kampchen, *Weisheit der Leere. Sutra-Texte des Mahayana-Buddhismus*, Zürich 1987, s. 235. Przel. F.H.

²⁵ W. Jäger, *Suche...*, s. 113.

Zgodnie z powyższą interpretacją biblijne wezwanie do naśladowania Chrystusa musi być rozumiane zupełnie inaczej, niż zwykle się to czynić. Przestaje ono już być problemem zewnętrznego wyznawania wiary w sensie powierzchownego uznawania za prawdę, czy problemem poznania intelektualnego. „Raczej chodzi tu – wyjaśnia Kopp – o konieczność, podyktowaną miłością, samooddania i samoogolocenia, zgodnie ze znanymi słowami z listu do Filipian (2,7-8) apostoła Pawła: On «ogolił samego siebie [...] unżył samego siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci»²⁶. W rzeczy samej nie wystarcza tu już mówienie o naśladowaniu Chrystusa; tutaj chodzi o zgoła stanie się Chrystusem – tym samym Chrystusem (*ipse Christus*), a nie drugim Chrystusem (*alter Christus*) – jak powiedziałby Panikkar. Musimy więc uczestniczyć w tym samym duchowym doświadczeniu i tej samej intuicji, którą miał On, kiedy mówił: „Ja i Ojciec jesteśmy jedno”.

Idea, że śmierć empirycznego „ja” stanowi jedyną prawdziwą drogę do wiecznego sposobu istnienia, jest dla chrześcijaństwa tak samo fundamentalna, jak dla buddyzmu (w szczególności buddyzmu zen). Wystarczy tu przywołać słowa Chrystusa z Ewangelii św. Jana: „Jeżeli ziarno pszenicy spadnie w ziemię, nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze przynosi plon obfity. Ten, kto kocha swoje życie, traci je, a ten, kto nienawidzi swego życia na tym świecie, zachowa je na życie wieczne” (12, 24–25), oraz te z Ewangelii św. Mateusza: „Jeżeli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je” (16, 24–26). Paralelne sformułowania można znaleźć także w pozostałych Ewangeliach. Te słowa Jezusa o zaparciu się siebie, mimo, że pozornie wydają się zrozumiałe, wcale nie są łatwe w interpretacji. Wydaje się, że można je śmiało zaliczyć – jak i wiele innych, równie paradoksalnych Jego wypowiedzi (jako że przekraczają one możliwości racjonalnego wyjaśnienia) – do chrześcijańskich koanów, owych zenistycznych „zagadek bez odpowiedzi”, których transracjonalny sens odsłania się tylko na drodze długotrwałej medytacji i kontemplacji.

Rzeczono słowa o utracie życia i o ziarnie, które musi obumrzeć, oznaczają niewątpliwie to, że jeśli ludzka dusza chce usłyszeć wezwanie Jezusa do chrystomorficznego sposobu życia, musi okazać gotowość porzucenia tego wszystkiego, co dotąd służyło jej tylko do samoutwierdzenia się w swoim egocentrycznym statusie. Musi ona – innymi słowy – umrzeć dla tego małego „ja”, tej „zredukowanej do siebie nędzy”, by dać życie swojej prawdziwej istocie, Bożemu obrazowi w nas. Oto jak o tej naszej prawdziwej jaźni pisze Merton:

Ta prawdziwa jaźń jest po prostu mną samym. Mną samym takim, jakim jestem w oczach Boga. [...] Mną samym w całej mojej niepowtarzalności, godności, małości i niewypowiedzianej wielkości, wielkości, którą otrzymaliśmy od Boga, naszego

²⁶ W. Kopp, *Befreit...*, s. 127.

Ojca i którą z nim dzielimy, ponieważ On jest naszym Ojcem i „w nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy”²⁷.

Ze słów Jezusa o ziarnie, które musi obumrzeć, wynika, że „nie możemy uczestniczyć w swoim własnym zmartwychwstałym życiu, jeśli i dopóki nie przyjęliśmy orędzia Buddy o pozbyciu się ja i wszystkich udręk zaparcia się siebie, jakie ono ze sobą niesie”²⁸. Szkoda, że o tych słowach Jezusa albo się zapomina, albo są one niewłaściwie rozumiane, skoro w dialogu z religiami azjatyckimi upieramy się, że na miano chrześcijańskich zasługują tylko te doświadczenia religijne, w których dochodzi do osobowej wspólnoty z Bogiem (*communio mystica*), natomiast te, w których jest mowa o stopieniu się z Absolutem (*unio mystica*), uważa się za wyłączną domenę religii azjatyckich. Z tym dość powszechnym w teologii katolickiej poglądem w jaskrawej sprzeczności pozostaje jednakże empiria chrześcijańskich mistyków. Bowiem – jak pisze Robert Ch. Zaehner: „Wszelkie gadanie o zabezpieczeniu osobowości Boga i człowieka staje się bez znaczenia, kiedy zaczynamy się zajmować religią mistyczną”²⁹.

Choćby nie wiadomo jak bardzo nie podobała się chrześcijańskim autorom idea depersonalizacji w Absolutcie, w niczym nie zmienia to faktu, że w wypowiedziach chrześcijańskich mistyków co i raz natykamy się na słowa mówiące o „stopieniu się”, „zniknięciu”, „rozpuszczeniu”, o tym, krótko mówiąc, że „między nami i Bogiem nie można już znaleźć żadnej różnicy” (Jan van Ruysbroek). U XIV-wiecznego niemieckiego mistyka Jana Taulera często znajdujemy słowa o zatopieniu się w Bogu i staniu się z nim jednym. „Bóg i dusza – czytamy na przykład – są w tym zjednoczeniu jednym, oczywiście przez łaskę, a nie z natury”³⁰. Obraz kropli bądź strumienia wpadającego do oceanu możemy spotkać równie często zarówno u mistyków chrześcijańskich, jak i azjatyckich. Poglądowy opis tego powrotu duszy do Boga jako wpływającej do oceanu kropli wody znajdujemy u św. Franciszka Salezego. Pisze on:

Wyobraź sobie, że wrzucona do oceanu z wodą z kwiatów pomarańczy kropla czystej wody ożywa i może mówić, może opisać stan, w jakim się znajduje – czy nie wykrzyknęłaby w wielkiej radości: „Zaprawdę żyję, jednakże nie ja jestem tą, która żyje, lecz żyje ten ocean we mnie i moje życie jest ukryte w jego głębinach”. Dusza, która wpłynęła do Boga nie umiera, bowiem jak mogłaby ona umrzeć, skoro jest zatopiona przez życie. Raczej żyje ona, choć nie w samej sobie³¹.

²⁷ T. Merton, *Doświadczenie wewnętrzne. Zapiski o kontemplacji*, przeł. P. Zarębski, Kraków 2005, s. 39.

²⁸ R.C. Zaehner, *Mystik. Harmonie und Dissonanz. Die ostlichen und westlichen Religionen*, Olten 1980, s. 423. Przeł. F.H.

²⁹ Tamże, s. 247.

³⁰ Cyt. za: J. Linnewedel, *Mystik Meditation Yoga Zen*, Stuttgart 1975, s. 108. Przeł. F.H.

³¹ R.C. Zaehner, *Mystik...*, s. 170.

Metafora wpadającego do morza strumienia bądź kropli wody, która implikuje utratę indywidualnej osobowości i uczestnictwo w uniwersalnym sposobie bycia, należy do najbardziej ulubionych we wszystkich mistycznych tradycjach. Toteż zdaniem Zachnera: „chrześcijanie opowiadają bardzo wiele dość niejasnych nonsensów, kiedy upierają się przy tym, że chrześcijańska mistyka przystaje na istnienie osobowości wobec Boga”³². Jeszcze dobitniej brzmią słowa św. Teresy: „Ale podczas zaślubin (mistycznych – dop. F.H.) jest tak jak gdyby woda z nieba wpadała do rzeki albo, w których obie wody stały się tak jednym, że nie mogą być oddzielone wzajemnie od siebie; albo jak gdyby mały strumyczek wpłynął do morza, wskutek czego nie jest już możliwe oddzielenie”³³.

Jeżeli chrześcijaństwo, tak jak buddyzm, uważa zaparcie się siebie za jedyną istotną dłań cnotę, to charakterystyczne dla niego podkreślanie osoby jest, według tego autora, co najmniej mylące. Bardzo wymowna jest jego uwaga, że zamiast teologii „śmierci Boga” chrześcijańscy teologowie powinni głosić teologię śmierci „ja”, ludzkiej „osoby”³⁴. Intrygujące jest pytanie, dlaczego ta – jakże istotna w nauce Jezusa – idea samozaparcia i wyzbycia się swojego egotycznego „ja” nie znalazła należytego odbicia ani w świadomości chrześcijan, ani w kulturze (filozofii, psychologii, etyce) – ukształtowanej przecież w tak znaczącym stopniu przez chrześcijaństwo. Dlatego współczesna zachodnia kultura jest – jak zauważa amerykański teolog Harvey Cox – tak „opętana przez nienasycone «ja» i samourzeczywistnienie”. Cytując tę opinię Jan van Bragt przywołuje tutaj słowa swojego nauczyciela, filozofa Johna Wailde’a, który pisze:

każda – formułowana w toku duchowej historii Zachodu – wpływowa etyka jest jakąś wersją samourzeczywistnienia (rozumianego wszakże jako urzeczywistnienie naszego indywidualnego ego, a nie w sensie odkrywania w sobie najgłębszej duchowej tożsamości – owej całościowej (transcendentnej i immanentnej) jaźni, która jednoczy nas z Bogiem³⁵.

Ma rację holenderski religioznawca van Bragt, mówiąc, że w przeciwieństwie do buddyzmu, w którym religijno-pragmatyczne wymaganie uwolnienia się od „ja” znalazło swój głęboki wyraz także w ontologii, w naszym zachodnim chrześcijaństwie nigdy nie pozwolono religijnej negatywności przekroczyć granic duchowości. Toteż buddyjska nauka o „ja” (a właściwie o nie-ja) wydaje się, jego zdaniem, pod wieloma względami o wiele bardziej realistyczna niż zachodnia ideologia indywidualnej wolności³⁶. Owa „religijna negatywność” znajduje swój najpełniejszy wyraz w „prawie ofiary”, które jest uniwersalnym prawem dynamiki

³² Tamże, s. 170.

³³ Cyt. za: J. Linnewedel, *Mystik...*, s. 77.

³⁴ Tamże, s. 168.

³⁵ J. van Bragt, *Tangenten an einen vollkommenen Kreis? [w:] Munen Muso. Ungegenständliche Meditation*, Mainz 1986, s. 383. Przel. F.H.

³⁶ Tamże.

wszelkiego bytu w jego drodze powrotnej ku ostatecznej Pełni (*Pleroma tou Theou*).
Pisze Panikkar:

To, co zaczyna się na poziomie subatomowym, przyswajanie jednej rzeczy przez drugą w celu przetrwania, znajduje swój kulminacyjny punkt w piciu somy i spożyciu Eucharystii. Wszystko podlega owej pierwotnej dynamice, którą nazywamy ofiarą: nasze uczestniczenie w powszechnej wymianie materii, która pozwala życiu być, resp. stawać się żywym, i dzięki której istnieje cała rzeczywistość³⁷.

Swoje ostateczne ufundowanie prawo ofiary znajduje w tym, co autor ten nazywa „prawem krzyża”. Wynika z niego, że krzyż Chrystusa był „tylko objawieniem *ad extra* życia boskiej tajemnicy *ad intra*”. Odnoszące się do wewnętrznego życia Boga „prawo krzyża” polega na całkowitej ofierze Boga, jego całkowitym oddaniu. Ojciec wszystko, czym jest i co ma, oddaje Synowi. On nie ma żadnego bytu: jego bytem jest Syn. Jest On całkowitym i absolutnym milczeniem bytu – kenozą bytu. Tak samo Syn, wyczerpuje się on całkowicie w swoim darze (Duch) Ojcu. Duch jako taki jest niczym („czymś”, Słowem, jest Syn, Logos); on jest czystym darem, który jako taki istnieje tylko w akcie dawania. Ta dynamika, powiada Panikkar, ukazuje swoją siłę, wychodząc od Trójcy aż do ostatecznych cząstek materii³⁸.

Skoro pojęcie ofiary posiada swoją ostateczną podstawę w trynitarnym misterium samego Boga, to jest oczywiste, że tylko ono może dostarczyć nam najgłębszego z możliwych uzasadnienia naszemu „umieraniu” dla tego „mordercy boskiego życia w nas” (William Law), jakim jest to nasze małe, ciasne i autokratyczne ego. Do osobliwych paradoksów należy zaliczyć fakt, że mimo iż zaparcie się siebie i idee samoofiary należą do podstawowych prawd chrześcijaństwa, nie zdołało ono uchronić zachodniej kultury od popadnięcia w „ślepą uliczkę skrajnego indywidualizmu i wyniszczającej samotności”³⁹. Gdyby w świadomości dzisiejszego człowieka było żywe pojęcie ofiary, byłoby ono ważną alternatywą dla naszej, zagrożonej w narcyzmie i przecenianiu „ja”, epoce (którą Christopher Lasch nazwał „wiekiem narcyzmu”⁴⁰).

Współczesny brytyjski filozof Roger Scruton pisze wprost: „Kultura konsumpcyjna jest kulturą bez ofiary. Łatwa rozrywka rozprasza, odciągając nas od metafizycznej samotności. Przerobienie świata na przedmiot pożądania zaciemnia jego znaczenie jako daru”⁴¹. Bez śmierci „starego człowieka” w nas nie ma zmartwychwstania do nowego (wiecznego) życia. Jezus na krzyżu złożył w ofierze swoje

³⁷ R. Panikkar, *Aspekte einer kosmotheandrischen Spiritualität. Anima Mundi – Vita Hominis – Spiritus Dei*, w: *Gott Mensch und Welt. Die Drei-Einheit der Wirklichkeit*, Petersberg 1999, s. 102.

³⁸ Tenże, *Den Mönch in sich entdecken*, München 1989, s. 185.

³⁹ J. van Bragt, *Begegnung von Ost und West. Buddhismus und Christentum* [w:] *Fernöstliche Weisheit und Christlicher Glaube*, Mainz 1985, s. 287.

⁴⁰ Ch. Lasch, *Kultura narcyzmu. Amerykańskie życie w czasach malejących oczekiwań*, przeł. G. Ptaszek, A. Skrzypek, Warszawa 2019

⁴¹ R. Scruton, *Oblicze Boga*, przeł. J. Gregorczyk, Poznań 2015, s. 228.

ziemskie „ja”, aby zjednoczyć się ze swoim prawdziwym, wiecznym sposobem istnienia w Ojcu. „Tak jak Chrystus musi umrzeć na krzyżu, tak chrześcijanin musi, właśnie tak jak buddysta, wyrzec się swojego «ja»” – tymi słowami podsumowuje swoje rozważania na temat pojęcia „ja” w buddyzmie i chrześcijaństwie Zaehner⁴². Tym, co łączy te dwie religie, chrześcijańską i buddyjską, jest przekonanie, że droga do zbawienia prowadzi przez ofiarę własnego „ja”. Dlatego cytowany już Ravindra Ravi pisze: „Owoc wiecznego życia, ten jedyny owoc, jaki pozostaje i wszystkie skarby Ojca znajdują się tam w izdebce, której drzwi stanowi krzyż”⁴³.

Tyniec, Wielki Post 2010 r.

Fryderyk Hunia



Franciszek Małuszczyk, obraz (2023) z wystawy *Niezwykłe zwykli ludzie. Święci w ilustracji*, Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie, maj 2024

⁴² R. Zaehner, *Mystik...*, s. 248. Podkr. F.H.

⁴³ R. Ravi, *Mystische...*, s. 213.

Piotr Matywiecki

Namalował szklistą martwą naturę
z kieliszkami całymi i stłuczonymi,
w koszu razem z miedzianymi naczyniami.
Ale nie był mistrzem przezroczystości,
po to mu było szkło, żeby nie patrzeć przez nie,
chciał je mieć zobaczone od zewnątrz
jak spoisty metal. Był malarzem.

CÉZANNE

Wzrok jest zmęczony,
już tak długo widzę.
Bez sekundy ulgi,
bez oddali.

Ale mam wzrok myślenia:
ulga jest,
bo jej nie zauważam,
tylko przemyśliwuję.

Górę zatrzymuje niebo,
jabłko otacza skórka barw.
W formach
niewidzialny odpoczynek.

Jaka góra? – Góra.
Jakie jabłko? – Jabłko.
Odpoczywają niewidomo w sobie,
same się widzą.

A ja? – Jestem zmęczonym wzrokiem,
równinną górą
zielonożółtoróżowym jabłkiem
bezbarwnego ja.

KIEDY NIEBO

Kiedy mówisz do siebie,
przysłowie nieba
zabrania mówić cokolwiek nowego,
jest chmurą dawnych głosek i dni.
To niebo
niepodobne do mądrego słowa.

Kiedy zamykasz oczy,
urywek nieba
z przyzwyczajenia
odtworza sobie niebo snem.
To niebo
niepodobne do słowa przebudzenie.

Kiedy myślisz,
dzielisz niebo na słowa
ale myśl myśli się cała
niebem. To niebo
niepodobne do słowa słowo.

Kiedy czytasz powieść o niebie,
najważniejszego rozdziału
nie ma na początku, w środku, ani na końcu,
nie daje się zrozumieć ani zapamiętać.
To niebo
niepodobne do słowa sens.

Kiedy wiesz na pewno,
że nieba-nie-ma,
zapadłe e a e a

jest werblem samogłosek na cmentarzu.
To niebo
niepodobne do słowa sprzed słów.

Zamykasz okno, otwierasz,
bo za oknem jest niebo.
Bez słowa.

TAK BYŁO

Mam nawyk, że codziennie wczesnym rankiem
zapisuję niebo czyste albo zachmurzone.
Dzisiaj zapisałem, że pochmurno.
Ale kiedy ukazało się
spóźnione słońce (bo jest grudzień)
wyjaśniła się pomyłka i nastąpiła
pełna jasność.
Staranną czernią zamazałem wcześniejszy zapis
i dałem nowy.
Czerń pozostała.

Rok po roku jeździłem na wakacje
do gospodarstwa w Beskidach,
do łąk na pochyłonych polach,
do zagłębia widoku.
Nie pamiętam studni,
wędrowała po zboczu,
szukała wody,
znalazła w powietrzu do źródlanego nieba,
przebiła się do niepamięci,
zagłębiona.

DEDYKACJA

Poeci pisywali przed wierszem: „Do...”
Nowsi wołą formę „Dla...”
Jedni i drudzy większość wierszy nie dedykując
dedykowali samemu sobie.
Tylko najlepsi wiedzieli,
że wszystkie wiersze, także bez dedykacji,
są darowane każdemu-i-nikomu.

Piotr Matywiecki



Franciszek Maśluszcak, *Zakochana*, 1998/1999. Obraz z tomu Krystyny Lenkowskiej
Nie deptać przylaszczek / Keep off the Primroses (1999)

Janusz Koryl

TELEFON

Telefon zadzwonił tuż przed północą. Zbudzony gwałtownie ze snu, nie kryłem złości. Kto, do jasnej cholery, przerywa mi sen i to w takim momencie?! Śniła mi się właśnie piękna wyprawa do dżungli nurtem Amazonki. Zielone wysokie drzewa, śpiew ptaków, radosne okrzyki małp. Od czasu do czasu wyskoczyła z wody jakaś egzotyczna ryba. Delikatny wietrzyk łagodził skutki słonecznych promieni, które prażyły hojnie, jak przystało na ten region świata. Było wspaniale, jakbym znalazł się w raj.

Dźwięk telefonu wwiercał mi się w uszy, nie zważając wcale na okoliczności. Nie miałem pomysłu, kto mógł do mnie dzwonić. O tej porze ludzie przeważnie śpią. Czyżby stało się coś aż tak istotnego, że ktoś podjął decyzję, by mnie o tym poinformować? A może to zwykła pomyłka i nie warto zrywać się z łóżka? Na szczęście trzymałem komórkę na nocnej szafce, więc nie musiałem wstawać. Telefon wciąż dzwonił niemiłosiernie. Nie było wyjścia. Musiałem odebrać to dziwne połączenie.

Włączyłem lampkę, zerknąłem na budzik. Przed chwilą minęła dwunasta. Wziąłem komórkę do ręki i nacisnąłem zieloną słuchawkę.

– Słucham – warknąłem dość nieprzyjemnie.

Po kilku sekundach absolutnej ciszy usłyszałem kobiecy głos:

– To ja.

Nie rozpoznałem, kto mówi. Głos brzmiał zwyczajnie i raczej miło. Trudno było określić wiek rozmówczyni. Byłem jeszcze zaspany, więc nie miałem pojęcia, kto się znajduje po drugiej stronie słuchawki. Z pewnością kobieta, to oczywiste, ale nic więcej nie mogłem o niej powiedzieć.

– Kto mówi? – spytałem bez ceregieli, mając nadzieję, że zaraz się wszytko wyjaśni.

– Naprawdę pan nie wie? – Kobiecy głos wciąż był miły i dosyć przyjazny.

Szukałem w głowie podobnego głosu, z którym już kiedyś miałem okazję się zetknąć. Koleżanka z pracy? Sąsiadka? Któraś z nauczycielek mojej dwunastoletniej córki? Nic mi nie przychodziło do głowy. Głos wciąż pozostał anonimowy. Moją uwagę zwróciła forma, jakiej użyła kobieta. Powiedziała „pan”, więc jakiś bliższy związek między nią a mną był raczej wykluczony.

– My się znamy? – Próbowałem wydobyc z kobiety jakąś informację.

– W pewnym sensie – odparła enigmatycznie. – Nasza znajomość jest prędzej czy później nieunikniona.

Co ta baba pitoli? Byłem naprawdę wkurzony. Północ to nie najlepsza pora na pogawędkę telefoniczną.

– Musi mi pani zawracać głowę w samym środku nocy?! – burknąłem mało przyjaźnie. – Nie dało się z tym poczekać do rana?!

– Gdyby się dało, wytrzymałabym jeszcze tych kilka godzin – odpowiedziała niezrażona moją szorstkością.

– No więc zechce się pani wreszcie przedstawić? – Chciałem się jak najszybciej dowiedzieć, z kim mam do czynienia.

Kobieta zamilkła na dobrych kilka chwil, po czym odpowiedziała:

– Wątpię, czy będzie pan z tego zadowolony.

Miałem już dosyć tych krętaństw ze strony dziwacznej interlokutorki.

– Albo się pani przedstawi, albo kończę rozmowę – rzuciłem do słuchawki, nie dając kobiecie zbytowego wyboru.

– No dobrze, panie Januszu – rzekła familiarnie, dając do zrozumienia, że jej telefon nie był przypadkowy.

Poczułem dreszcze na plecach, jakby mi ktoś przejechał patykiem po skórze. Skoro zna moje imię, pomyłka raczej nie wchodziła w grę. Próbowałem wydobyć z pamięci wszystkie kobiety, jakie w życiu poznałem, choćby tylko przelotnie. Nic z tego. Ich liczba była zbyt duża, by wskazać bezbłędnie konkretną osobę. Tymczasem tajemnicza rozmówczyni postanowiła wreszcie zdjąć maskę.

– Ludzie nazywają mnie rozmaicie, w zależności od różnych czynników, tradycji, miejsca zamieszkania czy norm językowych – zaczęła, jeszcze bardziej plącząc się w swoich wywodach.

Miałem wrażenie, że jestem uczestnikiem jakiegoś wykładu na uniwersytecie.

– Czasem mówią na mnie „kostucha”, „Morana”, „zagłada” – głos kobiety był nadal rzeczowy i ciągle uprzejmy. – A ja jestem po prostu śmierć.

No tak, teraz byłem już pewien. Osoba, z którą przyszło mi w nocy rozmawiać, była niepoczytalna. Chyba że to był od początku do końca ponury żart. Tylko z jakiego powodu i dlaczego właśnie ja stałem się jego ofiarą? Był środek nocy. Nie miałem ochoty na takie wyglupy.

– I właśnie dlatego dzwoni pani do mnie, żeby mi o tym powiedzieć? – Wciąż byłem opryskliwy, teraz może z jeszcze mocniejszą premedytacją.

– Każda pora jest dobra – odpowiedziała spokojnie kobieta.

– Wie pani, do diabła, która jest godzina?! – wrzasnąłem do telefonu, licząc na to, że baba się zreflektuje.

– Dla mnie to bez znaczenia – padła zdecydowana odpowiedź.

– A dla mnie jak najbardziej – stwierdziłem wściekle i nacisnąłem czerwoną słuchawkę, przerywając rozmowę.

Głęboko westchnąłem, jakbym rzucił z pleców ogromny ciężar. Chciałem wrócić do snu i do dżungli. Zamknąłem oczy, mając nadzieję, że najgorsze mam już za sobą. Jak bardzo się jednak myliłem.

Telefon zadzwijał pół minuty później. Wyrzuciłem z siebie soczyste przekleństwo, ignorując uparty sygnał komórki. Ten jednak był coraz bardziej natrętny. Skutecznie płoszył jakikolwiek sen. Podniosłem komórkę i dałem upust swojemu wzburzeniu:

– Niech się pani wreszcie ode mnie odczepi!

Byłem pewien, że dojdzie do awantury, jednak kobieta była nadzwyczaj grzeczna i powściągliwa.

– Nieładnie tak przerywać rozmowę – oznajmiła rzeczowo. – Jeszcze nie skończyłam. Nie jest pan ciekaw, dlaczego dzwonię właśnie do pana?

Co miałem jej powiedzieć? Po tym, co usłyszałem, nie miałem już wątpliwości, że rozmawiam z jakąś wariatką, która postanowiła zepsuć mi noc idiotycznym wykładem o śmierci. Przecież to się kupy nie trzyma. „Pieprznięta baba” – rzuciłem w myślach obelgę w stronę rozmówczynie, która wciąż zachowywała stoicką cierpliwość. To było jasne jak słońce. Uwzięła się na mnie i trudno się będzie od niej uwolnić. A może podjąć tę próbę i wytłumaczyć kobiecie, żeby dała sobie wreszcie spokój. Nie jestem zbyt dobrym partnerem do takich absurdalnych żartów.

– Skąd pani zna moje imię? – zacząłem ostrożnie, chcąc wysondować, co tak naprawdę wie o moim życiu.

– Mam wielu znajomych – odpowiedziała wymijająco, lecz żeby dodatkowo wzbudzić moją ciekawość, stwierdziła: – Jest pan żonaty, ma pan córkę, mieszkacie przy ulicy Różanej. Wystarczy?

Istotnie, wiadomości były prawdziwe.

– Skąd pani to wie? – spytałem, cały czas licząc na to, że wreszcie kobieta odpuści i da mi święty spokój.

Ta jednak nie miała zamiaru odpuszczać i nadal grała swą rolę, podając się za śmierć.

– Już panu powiedziałam, kim jestem – przypomniawszy beceremonialnie. – Nie wygląda mi pan na przekonanego.

– Pani wybaczy – przerwałem jej ostentacyjnie – ale trudno mi sobie nawet wyobrazić, że rozmawiam ze śmiercią.

– A jednak to prawda – odparła stanowczo. – Musi pan to zaakceptować.

– A jeśli nie zaakceptuję? – zaoponowałem, nadal mając ugruntowane zdanie o swej rozmówczynie, a ściślej biorąc, o stanie jej umysłu.

Nie ma innej możliwości. Musiała być zdrowo kopnięta. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się podawał za śmierć. A ta kobieta nie dość że się podaje, to jeszcze wczuwa się w rolę z godnym podziwu talentem.

– Przykro mi – oznajmiła kobieta – ale wszystko zostało już ustalone. Przecież nie na darmo przerwałam panu piękny sen o dżungli.

Tego już było za wiele. Nie dość, że знаła moje imię, wiedziała, że mam rodzinę, znała nasz adres zamieszkania, to jeszcze była wtajemniczona w mój niedawny sen. Jakim cudem, do czorta? To było, muszę przyznać, przerażające.

– Dziwi się pan, że wiem o panu tak dużo? – Wyczuła mój nastrój.

– Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć – przyznałem nieco stropiony. – Jak mogę uwierzyć w coś, co jest zupełnie pozbawione sensu?

– A co jest według pana pozbawione sensu? – spytała niewinnie.

– Chociażby fakt, że rozmawiam ze śmiercią – odparłem, przyjmując nieświadomie swą rolę w tej dziwnej grze.

– Ja się panu wcale nie dziwię. – Próbowała mnie uspokoić kobieta.

– Na pana miejscu zareagowałabym chyba tak samo.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie jakiś ponury żart? – Chciałem wydobyc z niej prawdę.

– Sądzi pan, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko dzwonić o północy do kogoś, z kogo chciałabym zakpić? – Nareszcie w jej głosie zabrzmiała pretensja.

– A co mam niby myśleć o takim przypadku? – Zjeżyłem się jak wcześniej. – Nie myśli pani chyba, że uwierzę w te wszystkie pierdoły, które mi pani tu wciska.

– No cóż – zachnęła się rozmówczyni. – Sprawa tak naprawdę jest poważniejsza niż się panu zdaje.

Postanowiłem przyjąć warunki jej gry, mimo iż nadal byłem przekonany, że coś się tutaj nie klei. Czyżby to wszystko tylko mi się śniło? Nic na to jednak nie wskazywało. Głos z tamtej strony słuchawki był zbyt wyraźny, by brać go za jakąś dziwną iluzję.

Spojrzałem na budzik. Nasza rozmowa trwała już kwadrans i nie wskazywało na to, by miała się skończyć. Niech będzie, co mi zresztą zależy. Wybudziłem się już na tyle, że zacząłem myśleć bardziej logicznie niż do tej pory. W końcu nieczęsto zdarza się taka przygoda. Rozmowa ze śmiercią zaczęła mi się nawet podobać.

– Są sprawy – postanowiłem przedstawić swój punkt widzenia – o których się zwykle nie rozmawia przez telefon. Nie sądzi pani?

– To prawda – przyznała mi rację. – Świat się jednak zupełnie zmienił. Mamy dwudziesty pierwszy wiek i pewne rzeczy uległy znacznemu

uproszczeniu. Telefon ułatwia życie i jak pan widzi, nawet śmierć z niego korzysta. Ale jeśli panu tak bardzo na tym zależy, możemy sprawę załatwić w tradycyjny sposób. Chce się pan ze mną spotkać osobiście?

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie zależało mi przecież na spotkaniu z babą, która być może była kompletną wariatką. To zawsze niebezpieczne i mało komfortowe. Skoro już dzwoni, poprzestaśmy na tym. Prawdę mówiąc, byłem coraz bardziej zaciekawiony, jak się ta nasza rozmowa zakończy.

– Dajmy spokój temu wszystkiemu. – Próbowałem znaleźć jakieś rozwiązanie. – Nie jestem skory do żartów, zwłaszcza o tak późnej porze.

– Ja nie żartuję – stwierdziła stanowczo kobieta. – To nie leży w mojej naturze.

– A tak, zapomniałem. – Postanowiłem pozostać w swej roli. – Przecież rozmawiam ze śmiercią.

– Cieszę się, że to wreszcie do pana dotarło – rzekła z ulgą kobieta. – Będzie nam teraz łatwiej rozmawiać.

Łatwiej rozmawiać? Takiego wała! Nie ze mną te numery. I tak już wprawdzie zmarnowałem noc, ale może uda się jeszcze tę sytuację jakoś wykorzystać? Nie czułem się aż tak źle, by się wybierać na tamten świat, ale kobieta zdecydowanie myślała inaczej. Dlaczego miałem jej wierzyć? Przecież to absurd. Poza tym jej gadka zaczęła mi działać na nerwy.

– Nie, proszę pani – zaprotestowałem. – Ze mną nie będzie tak łatwo. Mam dopiero sześćdziesiąt dwa lata. To nie pora na umieranie.

Usłyszałem chichot po tamtej stronie słuchawki.

– Myśli pan, że wiek ma tu coś do rzeczy? – spytała szorstko. – Niech mnie pan nie rozśmiesza.

– Nie sądzi pani, że to trochę niesprawiedliwe? – Chciałem wywołać w niej jakąś refleksję.

– Niesprawiedliwe? – Była odporna na sentymenty. – W jakim niby znaczeniu?

– Nie widzi pani różnicy między śmiercią staruszka a śmiercią dziecka? – spytałem z wyraźnym oskarżeniem w głosie.

Milczała przez dobrą chwilę, po czym odparła bez cienia wątpliwości w głosie:

– Na jedno wychodzi. Wcześniej czy później musi się wypełnić to, co zapisał człowiekowi gwiazdy. A pan już dobrnął do samego końca.

Wzdrygnąłem się mimo woli, słysząc takie *dictum*.

– Nieodwołalnie? – spytałem, licząc na to, że tamta zechce się ze mną jakiś czas podroczyć.

Kobieta jednak stwierdziła bezdusznie:

– Nieodwołalnie.

Zrobiło mi się w pewnym sensie głupio. Co miałem powiedzieć? Że się nie godzę na takie rozstrzygnięcie sprawy? Że nie mam zamiaru umierać zbyt wcześnie? Że mam jeszcze plany na przyszłość? Poczulem jak komórka ciąży mi w dłoni, jakbym trzymał spory kawałek ołowiu.

– Niech się pan nie przejmuj – spuściła z tonu kobieta, jakby postanowiła pocieszyć strapionego rozmówcę. – Załatwimy to szybko i profesjonalnie.

– Co ma pani na myśli? – Chciałem wydobyć z niej przebieg wydarzeń, który mi szykowała w ostatniej godzinie.

– A jak by pan chciał to wszystko zakończyć? – odpowiedziała pytaniem, które uruchomiło we mnie kłębowisko myśli.

Do tej pory śmierć była dla mnie jakimś odległym abstraktem, od którego trzymałem się raczej z daleka, na ile to było możliwe. Trudno się było jednak całkowicie odciąć od tego problemu. Ludzie umierali jak dawniej. Można by nawet powiedzieć, że zwiększył się asortyment zgonów. Sprzyjał temu przede wszystkim rozwój technologii i coraz większa pomysłowość w zakresie odbierania życia. Wyszła już z mody chociażby zwykła gilotyna albo łamanie kołem, za to wzbogacił się zestaw eleganczyńskich trucizn, których śladowe ilości mogły doprowadzić do śmierci. A katastrofy lotnicze? To było dopiero bogactwo najtragiczniejszych sposobów na opuszczenie ziemskiego padoku. Albo nowe metody najwymyślniejszych tortur, które były dla ciała najtrudniejszą próbą, lecz zawsze miały identyczny finał. Wszakże jedno było wciąż takie samo. Cmentarna cisza i zapach kostnic.

Szczerze mówiąc, rzadko myślałem o śmierci. Pytanie kobiety, jak chciałbym to wszystko zakończyć, stawiało mnie w sytuacji dość kłopotliwej. Moje życie wciąż trwało i zbyt przedwczesne grzebanie w eschatologii uważałem za stratę czasu. Czułem się krzepko i w miarę zdrowo. Owszem, strzykało mnie w krzyżu, bolało kolano, a wchodząc po schodach, dostawałem lekkiej zadyszki. To było jednak stanowczo za mało na umieranie. Mój wiek też nie był jeszcze na tyle sędziwy, by myśleć o pogrzebie. Nie przekroczyłem jeszcze smugi cienia, za którą światło traci swój blask, a wszystkie myśli zmierzają tylko w jedną stronę.

Cóż więc miałem powiedzieć kobiecie, która mnie uparcie nagabywała od dobrej godziny? Jasne, mogłem ponownie przerwać rozmowę, ale byłem wręcz przekonany, że to nic nie da. Telefon nadal będzie przewiercał mi uszy, aż w końcu znowu odbiorę, nie mogąc się oprzeć temu, co ma się wydarzyć. Postanowiłem więc zagrać w otwarte karty. Lubiłem ryzyko. Wóz albo przewóz. Żadnych kompromisów. Żadnego chowania głowy w piasek.

– Śmierć nie kojarzy mi się jakoś szczególnie dobrze – zacząłem ostrożnie, by nie zrazić kobiety. – Śmierć to *summa summarum* definitywny koniec.

– Miło mi to słyszeć właśnie od pana – rzekła kobieta, wyraźnie usatysfakcjonowana. – A teraz proszę do rzeczy. Jak chciałby pan odejść?

Dobre pytanie. Co miałem powiedzieć? Moja opinia o śmierci była raczej ugruntowana. Najlepiej było się trzymać od niej z daleka. No ale prędzej czy później trzeba się będzie z tym zmierzyć. Najgorzej mają obłożnie chorzy, cierpiący w hospicjach, przykuci do łóżek, z nowotworami, które nie mają litości dla życia. Przed takim rodzajem śmierci drżałem najbardziej. Tego z pewnością chciałbym uniknąć. Ból nie jest najlepszym doradcą w ostatniej godzinie.

– Na pewno bez bólu – oznajmiłem stanowczo, próbując zachować powagę w tej dziwnej sytuacji.

– To zrozumiałe – skwitowała moje wyznanie kobieta.

– No i jeśli umierać, to w swoim łóżku – dodałem, coraz lepiej wczuwając się w rolę nieboszczyka *in spe*. – Dobrze byloby uniknąć wielkiego cierpienia i lęku przed końcem. Zamknąć oczy i zasnąć. To byłby ideał.

Po moim szczerym wyznaniu, nastąpiła chwila głębokiej ciszy. Milczeliśmy oboje, słysząc swoje oddechy po dwóch stronach słuchawki.

– Czy to już wszystkie pana oczekiwania? – przerwała ciszę kobieta.

– W zasadzie tak – odparłem, czując swego rodzaju ulgę po ujawnieniu swoich sugestii dotyczących śmierci.

– No dobrze – rzekła kobieta. – Prawdę mówiąc, nie ma pan zbyt dużych wymagań. To da się zrobić. Jest pan gotowy?

Co miałem powiedzieć? Przecież nikt nie jest nigdy gotowy na umieranie. Miałem więc kłamać? Prowadzić rodzaj makabrycznego flirtu? Nie do końca byłem w stanie przeniknąć cel jej pytania.

– Nie bardzo rozumiem, co pani chodzi po głowie – odrzekłem zgodnie z prawdą.

– Na pewno pan wie, że takie decyzje wymagają starannych przygotowań – stwierdziła bezwarunkowo. – Chyba że chodzi o zgon w nagłych przypadkach. Wypadek samochodowy, wybuch bomby, katastrofa lotnicza, pęknięcie tętniaka, zejście śnieżnej lawiny. Nawet samobójcy zostawiają po sobie listy. No a pan? Sporządził już pan testament?

Pytanie kobiety zadziałało na mnie jak uderzenie obuchem siekiery. Testament? Nigdy nawet nie pomyślałem o jego przygotowaniu. Takie sprawy odkładało się zwykle na później. Zawsze było coś ważniejszego.

– Prawdę mówiąc, nie – przyznałem się szczerze, nie zamierzając niczego ukrywać przed rozmówczynią.

– Trzeba będzie to jakoś nadrobić – zauważyła przytomnie kobieta.
– Wszystko musi się odbyć *lege artis*, że się tak naukowo wyrażę.

Co miała na myśli? Miałem sporządzić testament? Teraz? A jeśli nie, to co? Nie umrę? Jakoś nie bardzo umiałem to wszystko połączyć ze sobą.

– Co mam więc zrobić? – spytałem, czując rosnącą z każdą chwilą bezsilność.

– Napisać testament – odparła bez zastanowienia kobieta. – Niezwłocznie. Dam panu fory. Dwie godziny wystarczy?

– Miałbym w ciągu dwóch godzin sporządzić testament? – Próbowałem uporządkować swe myśli.

– Dokładnie tak – potwierdziła kobieta. – Nie wymagam chyba od pana zbyt wiele.

– A potem, gdy już napiszę, to co? – Drażyłem temat, chcąc zaspokoić swoją ciekawość.

– O trzeciej zadzwonię do pana ponownie – obwieściła kobieta bezkompromisowo. – Wtedy spełnię pańskie życzenia. To jedno mogę panu obiecać.

– W porządku. Niech będzie – odparłem, mając nadzieję, że baba da mi wreszcie spokój.

– Do usłyszenia. – Usłyszałem jej głos, a potem ciche kliknięcie przerwało naszą rozmowę.

Budzik wskazywał pięć minut po pierwszej. Spojrzałem za okno. Ciemność była nieprzenikniona. Księżyc gdzieś zniknął. Gwiazdy ukryły się za chmurami. Starałem się uspokoić, ale rozbiegane myśli z trudem wracały na swoje miejsca. Wierciłem się z boku na bok, jakbym chciał znaleźć najwygodniejszą pozycję do szybkiego powrotu w senną rzeczywistość. Z niecierpliwością wypatrywałem dżungli i nurtu Amazonki. Wciąż jednak miałem świadomość, że jestem w swojej sypialni i leżę w łóżku, skończywszy rozmowę z kompletną wariatką. Co do tego nie miałem żadnej wątpliwości.

Miałem napisać testament? W ciągu dwóch godzin? Potraktowałem ten pomysł jako jeszcze jeden makabryczny żart. A tak naprawdę, co niby miałbym zapisać i komu? Starego golfa, któremu za trzy lata stuknie trzydziestka? Na koncie nie miałem zbyt wiele pieniędzy, nie byłem też właścicielem mieszkania, więc szkoda się wygłupiać.

A co będzie, jeśli kobieta zadzwoni ponownie? O trzeciej godzinie, jak obiecała. Może wyłączyć telefon? To będzie chyba najlepszy sposób, żeby się jej pozbyć. Nikt mi nie będzie dyktował, jak ma wyglądać mój los. A już na pewno nie jakaś fiksatka nie wiadomo skąd. I nie zwlekając nawet sekundy, wyłączyłem komórkę. Wygaszacz ekranu pociemniał na dobre jak niebo za oknem.

Powoli wszystko się we mnie uspokajało. Serce biło rytmicznie, ciśnienie wracało do normy. Myśli płynęły łagodnie jak przedtem, zanim zadzwonił telefon. Nie czułem już nawet senności. Lampka rzuciła światło na ściany sypialni. Godzinę temu zaczęła się środa. Budzik był nastawiony na szóstą. O tej godzinie zwykle wstawałem do pracy. Szybkie śniadanie, poranna toaleta, włożenie na siebie zwykłej garderoby, bez prasowania, bo szkoda czasu. Ale to było jeszcze przede mną. Będę miał o czym opowiadać w pracy. Kobieta-śmierć będzie tematem nie do przebiccia, a nocna rozmowa stanie się hitem przez najbliższe lata.

Żeby czymś wypełnić dwie godziny czasu, sięgnąłem po książkę leżącą na szafce. Po raz czwarty czytałem *Miłość w czasach zarazy* Gabriela Márqueza. Moja ulubiona lektura. Znałem ją prawie na pamięć, lecz wcale mi to nie przeszkadzało. Wprost uwielbiałem barwność języka kolumbijskiego pisarza, który był dla mnie jak szklanka wody w czasie upału.

Dość szybko zapominałem o testamencie, który miałem napisać. Nie widziałem w tym sensu, a przestroga kobiety zupełnie mnie w tym momencie nie obchodziła. Pół godziny lektury przywróciło mi władzę nad rzeczywistością. Zapominałem o głosie kobiety, o jej niezwykłych pomysłach, o przebiegu nocnej rozmowy, która zrobiła mi tyle zamieszania w głowie. Godzinę później właściwie nie byłem już pewien, czy to się w ogóle zdarzyło.

Odłożyłem powieść Márqueza na szafkę i zapatrzyłem się w okno. Tarcza księżycy skądś powróciła przykryta mgiełką światła. W sąsiednim bloku zaszczekał pies, gdzieś na ulicy zazgrzytał silnik samochodu. Minuty płynęły leniwie jak krople wody po szybie w czasie wiosennego deszczu. Godzina trzecia była coraz bliżej. Byłem jednak spokojny przynajmniej o to, że kobieta już nie zadzwoni. Wyłączyłem przecież telefon. O nic nie musiałem się martwić. Leżałem na plecach całkiem rozluźniony. Nic mi nie było w tej chwili potrzebne. Nawet szum drzew w amazońskiej dżungli. Osiągnąłem stan swoistej nirwany. Nie czułem potrzeby żadnego ruchu. Żaden obraz nie zaprzętał mi głowy. Umysł nie potrzebował najmniejszego bodźca. Przedłużający się bezruch był dla mnie w tej chwili błogostawieństwem.

Równo o trzeciej zadzwonił telefon. Jak to? Przecież go wyłączyłem, a drugiej komórki nie miałem. Spojrzałem na migający wyświetlacz. Przecież to niemożliwe. Telefon nie miał prawa zadzwonić. A jednak jego przenikliwy dźwięk stawał się nieznośny. Odebrać? Nie odbierać? Wahałem się, zerkając na jazgoczącą komórkę. W końcu postanowiłem dać sobie spokój. Nie miałem ochoty na dalsze przestrogi i przepowiednie. Żyłem i czułem

się zupełnie dobrze. Co robić? Co robić? – pytałem sam siebie, szukając wyjścia z tej sytuacji.

Chwyliłem komórkę i z całą siłą cisnąłem ją na podłogę. Rozległ się głośny trzask rozbitej obudowy i stłuczonego ekranu, lecz sygnał nie ucichł. Przybrał nawet na sile, wypełniając moją sypialnię od podłogi po sufit. Zatkaną uszy rękami, ale to nie pomogło. Dźwięk telefonu ciągle narastał. Chciałem zerwać się z łóżka, ale bez skutku. Moje nogi i ręce odmówiły mi posłuszeństwa. Co tu się dzieje, do jasnej cholery?! Ludzie, na pomoc! Ludzie, ratunku! Niech ktoś wreszcie odbierze ten pieprzony telefon!

Janusz Koryl



Franciszek Maśluszcak,
bez tytułu, 2008, ilustracja
w tomie Krystyny Lenkowskiej
Tato i inne miejsca (2010)

Kazimierz Nowosielski

PO STAREMU

Nowy Ład
a stare przekręty
– i tak
toczy się świat
na koślawych kołach

SZCZĘŚLIWI

Ludzi coraz więcej
a mało człowieka –

batogiem postępu
wpędzani do klatek
powszechnego szczęścia

gdzie już nikomu
nic więcej nie trzeba

stamtąd głos żaden
lecz popiskiwanie
istot znużonych
osiągniętym ładem

sytych nicością
napelnionych strachem

TAMTA STRONA

Nie patrz w tamtą stronę
bo cię wessie bagnista ciemność
– a tam już wszystko względne:
nie ma spraw wielkich i małych
godnych człowieczej troski i zwietrzałych
sprawiedliwość nie sądzi według prawdy
miłość tylko na chwilę i jedynie
za przyzwoleniem zmysłów
wszystko tam „jakby” – i nie ma
co liczyć na jakiegokolwiek zwycięstwo
ani nad sobą ani nad wieczną śmiercią
– gdyż tam panuje ciemność

WIDZENIE

Widzenie nie bez znaczenia
widzenie jakby we śnie:

oto leży na stole
nieprzełamany opłatek

a ty patrzysz na niego
– i płaczesz

AZRAEL

Nie zapamiętają nas
ani wiatr
ani kamień

bo ciągle i wszędzie
przemijanie

ale z jakiegoś powodu
stałe trwa przy mnie
najcierpliwszy w aniołów

Azrael

SKARGA

Już nie ma się komu
poskarżyć – coraz dalej
jest nam do siebie –

ale poskarżę się Jezusowi
poskarżę się Homerowi
poskarżę
swojemu sumieniu

Kazimierz Nowosielski



Franciszek Maśluszcak, *Tajemnicza rozmowa*, 1999. Obraz z tomu Krystyny Lenkowskiej
Nie deptać przyłaszczek / Keep off the Primroses (1999)

Marek R. Lipiński

ISTOTA MROKU. O KRÓTKIEJ POWIEŚCI JOSEPHA CONRADA *HEART OF DARKNESS*

Joseph Conrad (Józef Konrad Korzeniowski) dla swych rzeczywistych i przybranych rodaków jest prawdziwą zagadką. Rodzina złożona z ambitnych i znanych w Polsce ludzi, tragiczne dzieciństwo i wczesna młodość, ucieczka od nich w przygodę, nieudana próba stabilizacji zawodowej (kapitan niewielkiego statku) i ucieczka od tej klęski w pisarstwo – to wszystko przecież zdeterminowało jego twórczość, ale rzadko jest przywoływane w oceanie Conradowskiej egzegezy, by zagadkę wyjaśnić. Spróbuję to zrobić tutaj, na przykładzie utworu najwdzięczniejszego

do tego celu – *Heart of Darkness* (tytuł tłumaczony dotąd na polski jako *Jądro ciemności* albo *Serce ciemności* proponuję tłumaczyć jako *Istotę mroku*). Najwdzięczniejszego?! Piszę to słowo ze świadomą, głęboką, właściwie tragiczną ironią. Na razie piszę tylko esej, a możliwe, że uda mi się w konsekwencji napisać porządną, udokumentowaną pracę o tym, jak życiowe doświadczenia Conrada pokierowały jego twórczością literacką. Przedmiotem mojej analizy jest angielski oryginał *Heart of Darkness*¹, a nie jego polskie tłumaczenia. Dlatego też przytaczam cytowane zdania w oryginale (a później podaję własne tłumaczenie).

W wieku lat pięciu zostałem zaprowadzony na film Hansa Hassa *Przygoda na Morzu Czerwonym* w polskiej wersji językowej. Jego obejrzenie było dla mnie czymś wstrząsającym – otwarciem okna na świat jakże od-

mienny od szarości wokół, od padającej ze zmęczenia matki (ojca nie było, był więźniem politycznym) i niepewności dnia codziennego. Postanowiłem zostać kimś,



Fot. Marek R. Lipiński

Pomnik Josepha Conrada
na skwerze Kościuszki w Gdyni,
przy Akwariu Morskim

¹ J. Conrad, *Heart of Darkness*, New York 1990.

kto na morze trafi i wszystko to obejrzy na własne oczy. Tak zostałem biologiem morskim, mimo tysięcznych przeciwności. Naprawdę, zostałem nim i obejrzałem na własne oczy te cuda, które widziałem w filmie Hassa. Moja kariera zawodowa była pogodnym (na ogół), ciągłym, dojrzałym spełnieniem. Cóż by się stało, gdyby mi się to nie udało?

Józef Konrad w wieku pięciu lat został zesłany razem z rodzicami do Wołody w środkowo-wschodniej Rosji, w miejsce, gdzie lato było krótkie, a zimy długie i srogie. Spędził tam rok. Cudem wybronił się (lub wybroniono go) od chorób zagrażających życiu. Zachorowała na gruźlicę jego matka i umarła. Dla jej męża i syna była to prawdziwa tragedia. Cóż z tego, że nie umierali na zesłaniu, a odzyskali jakże relatywną „wolność” (najpierw Czernihów na Ukrainie, potem Kraków). Plany ojca Conrada, Apolla Korzeniowskiego, załamały się. A plany miał wielkie, był wybitnym artystą.

Jeden z braci matki, Stefan Bobrowski, z którym łączyło Apolla (coż to za, nomen omen, imię!) pokrewieństwo duchowe, a po części polityczne, zginął podczas powstania styczniowego w sfigowanym „pojedynkowym morderstwie”. Drugi brat matki, Tadeusz Bobrowski, stał na przeciwnym duchowym biegunie, porozumienie z nim było trudne lub niemożliwe. Ale był człowiekiem niezwykle zamożnym. Cóż z tego? Apollo nie korzystał z jego pomocy, był na to człowiekiem zbyt dumny. Ale wuj Conrada zajął się serdecznie swoim siostrzeńcem, pomagał mu finansowo (a Konrad nie odmówił tej pomocy). Takie są fakty. Ale jaka jest tkanka duchowa i filozoficzna, która wynikła z tych faktów i posłużyła Conradowi jako jeden z elementów interpretacji świata?

Oto dwa zdania z tej samej strony *Heart of Darkness*: „Droll thing life is – that mysterious arrangement of merciless logic for a futile purpose” (Cóż za śmieszna rzecz – życie: to tajemnicze uporządkowanie bezlitosnej logiki w bezcelowy cel); „He had summed up – he has judged. «The horror!»” (No i podsumował wszystko – i osądził. „O! Zgrozo!”)².

Stawiam hipotezę, że oba te zdania późniejszy pisarz przywiózł ze sobą z miejsca zesłania i przed nimi starał się uciec przez całe życie, szukając „czegoś”, co może im zaprzeczyć. Nie udało się, za to powstało świadectwo – *Heart of Darkness*, a później inne utwory. Oczywiście jest jednak, że wysiłek artystyczny, ambitny, podszyty przekonującą filozofią i językowo piękny, emocjonalny, poruszający – to zadanie bardzo trudne, a w praktycznej realizacji wyjątkowo złożone. Nie ma tu prostych odniesień. Kim jest Marlow, opowiadacz smutnej, afrykańskiej historii, snutej nie dla nauki, a dla zabicia czasu w oczekiwaniu na właściwy stan wody, czyli przypyływ? Kim jest Kurtz? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Są to zlepki wielu postaci, ich życia, ich sytuacji, ich powiedzeń oraz życiowej filozofii, z jakimi zetknął się Conrad.

Nie są to jednak postaci całkowicie fikcyjne. Czy Marlow reprezentuje filozofię samego Conrada? Zapewne częściowo. Czy straszliwe, tragiczne zdania

² Tamże, s. 65.

przytoczone wyżej są literalnie wyjęte z przekonań samego autora? Także częściowo. Tajemniczy Kurtz („krótki” a dwumetrowy³) to w dużym procencie *porte parole* Apolla Korzeniowskiego, ojca Conrada. Obaj to wszytkowiedzący artyści, po części fanatyczni idealisci, po części skuteczni praktycy, apodyktyczni i nieprzewidywalni. Niech nikogo nie zmyli broń, kość sloniowa i afrykański sztafaż. Conrad skrętnie ukrywał i zacierał ślady swych literackich inspiracji. Nie osiągnąłby wydawniczego sukcesu, gdyby tego nie robił.

Ale jest jeszcze jeden, może ważniejszy powód. Conrad w swej wybranej dość przypadkowo misji postanowił jednak nawiązać do dzieła ojca i kontynuować je. Starał się zostać, i w końcu został, wybitnym artystą słowa. Chciał to mocno zaakcentować tłumacz *Heart od Darkness*, Jacek Dukaj, „spolszczając” *Serce ciemności*. Szkoda, że przesadził w tym dążeniu – Conrad dążył do prostoty stylu, treści i filozoficznego przekazu. Przekład Dukaja jest w realizacji czymś odwrotnym – barokową stylizacją, odejściem od „twardej rządności okrętowego kapitana”, która była może jedyną cechą, którą Conrad wyniósł z morza i przetransponował na grunt literacki.

To, że wybrał świadomie inny język (a miał do wyboru polski i francuski – tym ostatnim posługiwał się chyba biegłej niż angielskim), jest w jakimś stopniu wyborem głęboko ironicznym. Polska i Francja po politycznych tragediach i klęskach były w społeczno-politycznym odwrocie, Wielka Brytania zaś triumfowała. Conrad był wielbicielem politycznej oraz społecznej misji angielskiej kultury, propagującej wszędzie na świecie język angielski (który w naszych czasach został językiem międzynarodowej nauki) oraz angielskie pojęcie wolności bez cudzysłowu. To ostatnie skończyło się udanym przejściem spadku po starożytnej Grecji – powstał autentyczny liberalizm klasyczny (nie wojujący i fanatyczny neoliberalizm). Ten autentyczny liberalizm zdomował się w Unii Europejskiej, w Watykanie papieża Franciszka i w krajach skandynawskich (w różnych permutacjach oraz odślonach i nie bez pięknych problemów oraz błędów).

Gdzież więc ironia? Powtarzam: „Droll thing life is – that mysterious arrangement of merciless logic for a futile purpose”; „He had summed up – he has judged. «The horror!»”⁴ (Cóż za śmieszna rzecz – życie: to tajemnicze uporządkowanie bezlitosnej logiki w bezcelowy cel; No i podsumował wszystko – i osądził. „O! Zgrozo!”).

Ironia Conrada polega na tym, że horror jest w samej kondycji ludzkiej, od której nie ma ucieczki. Najświatlejszy liberalizm, zdaniem pisarza, nie uchroni nas przed tym, co po odzyskaniu połowicznej wolności było udziałem jego ojca. Reszta jest sztafażem, przebraniem, maskaradą czasu oraz historii. Uważa się dzisiaj, że

³ Conradowska interpretacja niemieckiego *kurz* w odniesieniu do nazwiska bohatera: „Kurtz – Kurtz – that means short in German – don't it? Well, the name was as true as everything else in his life – and death. He looked at least seven feet long” (J. Conrad, *Heart of Darkness*, s. 54). Stopa równa się 30 cm. Cóż można powiedzieć w tym kontekście o imieniu ojca Conrada: Apollo?

⁴ J. Conrad, *Heart of Darkness*, s. 65.

Conrad jest „zadziwiająco współczesnym pisarzem”. Jest to semantyczna bzdura, był on synem swego czasu, jego pisarstwo nosi niezliczone piętna owej współczesności, odbija ją całkiem nieźle. Ale równocześnie Conrad dał mocne świadectwo ponadczasowej prawdzie, która jest tak samo „współczesna”, jak świadectwa Platona o Sokratesie. „Zgroza” Kurtza czaiła się w kruchości ludzkiego istnienia, w niespełnieniu wielkich marzeń i planów. Tak samo jak Apolla Korzeniowskiego.

Widać świetnie to pęknięcie (lub zgodność – to zależy od punktu widzenia) w toczonym współcześnie sporze o to, czy Conrad był rasistą. Pisarz nie szczędzi w *Istocie mroku* dosadnych, dziś obrażających epitetów czarnoskórym: „A nigger was being beaten nearby. They said he had caused the fire in some way” („Tłukli czarnucha w pobliżu. Powiedzieli, że to on jakoś spowodował pożar); „An athletic black belonging to some coast tribe, and educated by my poor predecessor, was the helmsman. [...] He was the most unstable kind of fool I had ever seen. He steered with no end of a swagger while you were by; but if he lost sight of you, he became instantly the prey of an abject funk [...]” (Sternikiem był atletycznej postawy Murzyn, należący do jakiegoś tam nadbrzeżnego plemienia, a wyuczony przez mego poprzednika. [...] Był on rodzajem najbardziej niezrównoważonego idioty, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Sterował zwykle cały nadęty i pewny siebie, gdy byłem w pobliżu; ale gdy mnie nie widział, wpadał natychmiast w rodzaj żalostnej niepewności i lęku”⁵).

Jest to XIX-wieczna percepcja białych ludzi. Dla nich „ludzie dzicy” stali „niżej”, nie mieli „kultury i ogłady”. Proszę jednak wczytać się uważnie – nie jest to osobisty język Conrada; to przecież część jego osądu współczesnej mu cywilizacji. Conrad nie jest więc rasistą, choć jest niewątpliwie zwolennikiem „misji kolonialnej” – mimo ogromnej przenikliwości, pozostając zawsze i wszędzie, do końca, synem swego czasu.

Najważniejsze studium o jego pisarstwie, jakie można napisać z dzisiejszej perspektywy, miałoby za zadanie prześledzenie, co on sam (a nie jego krytycy) uważał za behawioralną, społeczną, polityczną, narodową czy religijną efemerydę, która przypadnie lub zmieni się nie do poznania pod ciśnieniem czasu, a co uważał za tragiczną normę natury ludzkiej, która nigdy się nie zmienia. Nigdy? A może jednak Conrad uznawał ewolucyjność świata, zmianę, postęp? Trzeba bardzo uważnie zająrzeć w jego świadectwa i znaleźć takie ślady, jeśli istnieją.

Istota mroku może być przewodnią nicią takiej kwerendy. Czy taka kwerenda miałaby jednak sens wobec usunięcia Conrada z programów szkolnych (a szczególnie *Heart of Darkness*, najlepszej chyba wizytówki pisarza)? Podręcznik prawdziwego postępu i rozwoju, zawierający ich krytyczną ocenę, interpretujący spotkany po drodze *the horror* w sposób, który nadaje sens bezsensownej egzystencji, jest dziś naszej młodzieży szkolnej potrzebny jak powietrze. Zamiast tego propaguje się (w wielu miejscach na świecie; Polska wcale nie jest na pierwszym

⁵ Tamże, s. 20 i 40.

Fot. Roman Jocher, Archiwum Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni



Piotr Michalski jako Kurtz w adaptacji scenicznej *Jądra ciemności*, reż. Krzysztof Babicki, Teatr Miejski im. W. Gombrowicza w Gdyni

miejscu) antyintelektualny, antyliberalny, formalistyczny, wywodzący się z nurtów fanatycznych model interpretacji świata. Nie, Joseph Conrad absolutnie nie jest: pisarzem zadziwiająco współczesnym, prekursorem (czegokolwiek), moralistą, który wyprzedził swą epokę. Jest po prostu jednym z tych autorów, którzy odkryli prawdy ponadczasowe w tym sensie, że ta ponadczasowość może pomóc w interpretacji świata, nie upraszczając go. Był i jest znakomitym pisarzem, artystą słowa i myśli.

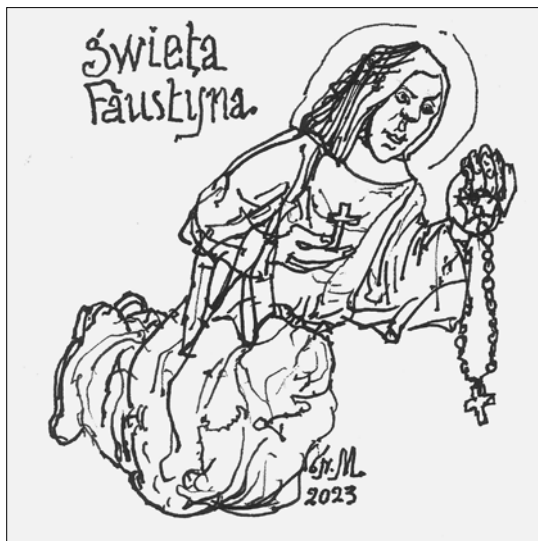
Pałeczkę w sztafecie myśli o Conradzie przejął częściowo teatr. Teatr Miejski w Gdyni im. Witolda Gombrowicza zaprezentował udaną adaptację sceniczną *Istoty mroku* (adaptacja Paweł Huelle) w reżyserii Krzysztofa Babickiego (widziana przeze mnie 24 września 2023), wystawioną na S/Y Dar Pomorza. Morza jednak w spektaklu nie ma: jest rzeka Kongo, Marlow, Kurtz i duże tło aktorskie (na przykład dwie eryniowate kobiety egzemplifikują los, spinając czerwoną włóczką reprezentującą krew, chaos dramatu panujący na scenie). Główna interpretacja utworu Conrada (wątków jest kilka) to pokazanie postaci Kurtza w duchu prozy Dostojewskiego: on reprezentuje biesowate zło tego świata, kreując się na Boga i jasno definiując *the horror* jako brak realizacji jego planów „postępu” i „cywilizacji” w obliczu nieuchronnej śmierci z dala od tychże, w dzikim buszu.

To szaleństwo Kurtza w przekazie scenicznym. Czy to dobra interpretacja? Nie sądzę. Conrad poszedł znacznie dalej w szukaniu zła w sercu człowieka „ogólnego”. *Heart of Darkness*.

Jeśli kwerenda, wędrówka poprzez Conradowską propozycję interpretacyjną (nie bez wzruszeń i pięknych doznań) pomoże komuś teraz lub w przyszłości, jeśli nasze myślenie o młodzieży szkolnej zostanie kiedyś naprawione, to warto ją zrobić i porządnie o tym pisarzu napisać. Ale Conrad przestrzega nas: powiedzenie prawdy o świecie może łatwo kogoś i coś zniszczyć. Czasem trzeba się przed tym cofnąć w piękną nieprawdę, która jest jednak częścią *the horror*. Jak to ominąć? Wychowanie w stereotypach, łatwe i antyintelektualne, prowadzi do klęski – do uznania i zapanowania upiększonej, łatwej nieprawdy. By jej nie było, trzeba *the horror* przemyśleć i obezwładnić. Jak to zrobić?

Oto Conradowska nadzieja, widoczna jak na dłoni dla kogoś, kto spędził życie na morzu, badając je: „life is [...] mysterious arrangement of merciless logic for a futile purpose” (życie to [...] tajemnicze uporządkowanie bezlitosnej logiki w bezcelowy cel) – może być tak, że nawet bystre oko nie widzi mechanizmu, ale przecież jest to „życie”, a nie cały świat, w którym to życie jest, rozwija się i ewoluje. Rozwój świata, a więc i rozwój życia, to wynik, a nie cel, i zobaczymy jeszcze rzeczy zadziwiające.

Marek R. Lipiński



Franciszek Maśluszczak, rysunek (2023) z wystawy *Niezwykłe zwykli ludzie. Święci w ilustracji*, Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie, maj 2024

Anna Nasiłowska

ZĘBY*

gdy już mnie wieźli na wózku
nagle kobieta
chyba pielęgniarka
krzyczy:
A zęby?
Oddała zęby?
W pierwszej chwili niejasne.
Co? Jakie zęby?
Nie, mam na stałe
niewyjmowane –
odpowiadam
ale zrobiło się strasznie
bo dociera inny sens
w końcu mogą zażądać
wszystkiego po kolei
nóg oczu rąk
głowy
serca
i co dalej?
co zostanie?
Wraca pusty wózek.

DROGI HAMLECIU...

być albo nie być
to nie jest pytanie
ale sprawa

* Utwory z oczekującego na wydanie tomu *Wiersze stacjonarne*.

do załatwienia mimochodem
którą trzeba upchnąć
pod koldrę
albo do kąta
żeby nie pytać
nic i nie
trzeba schować
i to nie kłamstwo
to zabieg konieczny
żeby zajmować się tylko
zdrowieniem

DZIEWCZYNY W WIEKU STARSZYM

fajna nam się sala trafiła
trzy biodra
trzy kolana
trzy – wyższe wykształcenie
trzy – niższe
ale wspólnych mianowników jest wiele
łączy nas na przykład
oburzenie na pielęgniarza
który zamiast pomóc przy wstawaniu
mówi:
„Co mi tu pani kino urządzi?”
bo za dużo zobaczył.
kino? że porno?
dziad jeden!
nie dla niego seans!
sarkamy jak już wyszedł
i nie słyszy
bo to pomaga na upokorzenie.
Lepsza pielęgniarka.
pyta:
„Kochanie, boli?”
Zakryję ci kwiatusek
żeby ci głupio nie było

i zaraz przemyję.
Nie martw się
szybciej zrobimy!”
O, żeby mąż tak kiedy mówił...
– wzdychamy.
Czasami przychodzą córki i wnuczki
i każda z nas patrzy wokół:
widzicie? patrzcie
jaka ładna dobra i ubrana
taką urodziłam i wychowałam!
Moje córki pomocne
przynoszą podnoszą podają
uśmiechają się i są cierpliwe.
potem pytają:
„Co, jak na koloniach?”
„Jak z dziewczynami z klasy?”
tak! dobrałyśmy się
nawet jest szczypta żalu
bo przecież zaraz nas wypiszą
i co?
Każda w swoją stronę
już nie będzie wesoło
każda w samotnej niedoli
a tu mamy na szpital-chorobę sposoby
pogaduchy
i tyle śmiechu
że aż do płaczu

PANI BOŻENA

Pani Bożena mówi:
Już się tak zawzięłam w bólu
że po co mi to życie
i chciałam się skupić w sobie
żeby ten świat opuścić
ale przyszedł mąż
i on tak sapie

nic się nie odzywa
bo mu trudno z tym oddechem
ale wiem co on myśli
po tylu latach czytam w nim
widzę że prosi
on nie był nigdy wylewny z czułością
żadnych takich
ale szczerze boi się
co z nim będzie
mój bidaczek
Bożenki niebożątko
no to zawzięłam się w sobie jeszcze raz
żeby wrócić się nazad

BIAŁE TABLETKI

karmią nas tu
opiodami
taka jest prawda
z komentarzem pani doktor:
„Nie ma co sobie żałować!
Jak się ból rozszaleje
Trzeba będzie trzy razy więcej
białych tabletek”.
żaden odlot w obłoki
jak zapowiadała Susan
artystka wizualna z Londynu
ona lubi dragi
a ja ani lubię ani nie lubię
bo od tego śpię
żadnych obrazów
odgrodzona od zdarzeń w sali
nie słyszałam
jak ratowali panią Bożenkę
„O, ona jest stale zaćpana!”
mówią dziewczyny w wieku różnym
bo już się nauczyły

że się nie obrażam
tylko się śmieję z nimi
albo śpię

LEK

To najgorsze
w tych szpitalach
że z obcymi w jednej przestrzeni
ten przymus –
 mówi moja koleżanka.
A ja myślę
nie
to dobre
to lek
na lęk

Anna Nasiłowska



Franciszek Małuszczyk, *Bogurodzica*, 2009, obraz z wystawy *Niezwykłe zwykli ludzie. Święci w ilustracji*, Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie, maj 2024

Stefan Zabierowski

JOSEPH CONRAD-KORZENIOWSKI I POSELSTWO POLSKIE W LONDYNIE

1.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w roku 1918 władze Rzeczypospolitej czyniły wiele, by umocnić pozycję odrodzonego państwa wśród zwycięskich mocarstw Europy Zachodniej. Między innymi w tym celu powołano w Warszawie Towarzystwo Angielsko-Polskie, a jednocześnie dążono do powołania jego odpowiednika na gruncie angielskim. Aby ten cel zrealizować, poselstwo polskie w Londynie zamierzało posłużyć się osobą Josepha Conrada¹, który co najmniej od roku 1914 – gdy wielki sukces odniosła jego powieść *Gra losu* – zajął wybitną pozycję wśród czytelników i krytyki angielskiej.

W sierpniu tegoż roku mógł Conrad powiedzieć w Zakopanem Stefanowi Żeromskiemu: „wie Pan, teraz to już jestem nie tylko sławny, ale zaczynam być popularny”². Wówczas ukazała się w Anglii pierwsza poważna pozycja na temat twórczości Conrada – książka Richarda Curle’a *Joseph Conrad. A Study*.

W tych okolicznościach zwrócił się do Conrada – w sposób niezmiernie uprzejmy – ówczesny reprezentant Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie, książę Eustachy Sapieha, listem datowanym 17 lutego 1920 roku. W liście tym Sapieha pisał, że podobnie jak Towarzystwo Angielsko-Polskie w Warszawie, należy zabiegać o powstanie:

analogicznej instytucji w Anglii i sędzę, że inicjatywa powinna wyjść od strony człowieka, który stanowi uosobienie kultury tych dwóch narodów i który przez swe wpływy w Anglii mógłby pociągnąć jako współinicjatorów kilku Anglików, przyjaciół Polski, ludzi oczywiście wysokiej wiedzy i poglądów etycznych. Miejsce, które Pan zajął w literaturze angielskiej jako najwybitniejszy autor współczesny, przynieść może Ojczyźnie nieocenioną usługę, o ile Pan zechce przyjąć na siebie zadanie zainicjowania takiego koła przyjaciół Polski³.

Rzecz osobliwa: autor listu do Conrada traktował adresata wyłącznie jako wybitnego pisarza angielskiego. Jest raczej dziwne, że ani słowem nie wspomniał

¹ Korespondencję Conrada z poselstwem polskim opracowała Barbara Koc: *Aneks: Fragment korespondencji Conrada i jego rodziny z lat 1919–1931 z poselstwem polskim w Londynie* [w:] T. Bobrowski, *Listy do Conrada*, oprac. R. Jabłkowska, Warszawa 1981. Dalej to wydanie oznaczam skrótem B. Koc i po nazwisku podaję cytowaną stronę i nazwisko tłumacza.

² A. Zagórska, *Kilka wspomnień o Conradzie* [w:] *Conrad wśród swoich. Listy. Dokumenty. Wspomnienia*, oprac., wstęp i przypisy Z. Najder, Warszawa 1996, s. 307.

³ B. Koc, dz. cyt. s. 2543. Tłumaczenie tekstu angielskiego: B. Koc.

o wcześniejszej propolskiej działalności Conrada na gruncie angielskim. Dość jedynie przypomnieć wizytę Conrada w roku 1916, w towarzystwie jego politycznego doradcy, Józefa Hieronima Retingera, w angielskim Foreign Office i złożenie tam memoriału postulującego odbudowę niepodległej Polski, pod podwójnym protektorem Anglii i Francji⁴.

Podjmujący wówczas Conrada urzędnik angielskiego ministerstwa spraw zagranicznych miał powiedzieć: „No, nie myślałem, że przeprowadzę tego rodzaju rozmowę z autorem *Murzyna z załogi* „*Narcyza*”⁵. Należy też przypomnieć artykuł Conrada z roku 1919 *Zbrodnia rozbiorów*, drukowany na łamach „*Fortnightly Review*”, który stanowił wielką obronę interesów niepodległej Polski, nawet wbrew tendencjom ówczesnej polityki angielskiej. Biograf Conrada, Zdzisław Najder, zapewniał, że autor ten:

Pisząc w grudniu (12–27) artykuł, oparty częściowo na broszurze Retingera, pod tytułem *Zbrodnia rozbiorów*, o niepodległości Polski, jej granicach i pozycji w Europie, był oczywiście świadom, że wyraża nastawienie sprzeczne z oficjalnym stanowiskiem rządu [angielskiego – przyp.], jak z nastrojami opinii publicznej, adresował go przede wszystkim do czytelników amerykańskich⁶.

Tym niemniej Conrad w sposób nader elegancki propozycję posła Sapichy odrzucił. Pisał w liście z dnia 20 lutego 1920 roku:

Toteż z wielką przykrością muszę stwierdzić otwarcie, że nie jestem człowiekiem nadającym się do podjęcia inicjatywy w tej sprawie. Założenie takiego stowarzyszenia i doprowadzenie jego pracy do pożądaných wyników wymagałoby osoby ustosunkowanej, pozostającej w kontakcie z ludźmi wpływowymi i znanej osobiście w szerszym świecie. Ja tych warunków nie spełniam. Prowadziłem życie na uboczu. Nie wyrobiłem sobie stosunków. W kręgu moich najbliższych przyjaciół nie widzę żadnych wpływowych osobistości ani w świecie literackim, ani w jakimkolwiek innym; a nawet z nimi moje kontakty są utrudnione i nieregularne ze względu na niezadawalający stan zdrowia. Kwestia sprawności fizycznej ma swoje znaczenie. Obecnie jestem chory⁷.

W liście tym nieufność budzą wyznania Conrada o jego braku kontaktów z wpływowymi ośrodkami politycznymi w Anglii. Dość przypomnieć, że wspominając znajomość z Conradem w Zakopanem, zawarł latem 1914 roku, znakomity krakowski prawnik, dr Teodor Kosch, pisał:

Wśród przygotowań do wyjazdu rozmawiał Conrad ze mną często o tym, że chciałby stać się pożytecznym w jakiś sposób dla sprawy polskiej. Mówił, że ma w Anglii wprowadzić niewielkie tylko koło przyjaciół, bo prowadzi życie zamknięte, ale ma przez

⁴ Por. Z. Najder, *Życie Conrada-Korzeniowskiego*, t. 2, Lublin 2006, s. 262–264.

⁵ J. Conrad, List do Richarda H.P. Curle’a, z dnia 20 sierpnia 1916 [w:] J. Conrad, *Listy*, przeł. H. Carroll-Najder, wybór i oprac. Z. Najder, Warszawa 1968, s. 357.

⁶ Z. Najder, *Życie Josepha Conrada-Korzeniowskiego*, t. II, s. 299.

⁷ B. Koc, dz. cyt., s. 257. Tłumaczenie tekstu angielskiego: B. Koc.

tych przyjaciół kontakt z najwpływowszymi czynnikami i mógłby niejedno dobre zrobić przez samo zwrócenie uwagi na jakiś szczegół, którego tam może nie znają⁸.

Prawdziwe natomiast były kłopoty Conrada ze zdrowiem. Jak pisał wybitny emigracyjny znawca Conrada, a zarazem lekarz-geriatra, ostatni – przed 1939 rokiem – kierownik słynnego sanatorium przyrodoleczniczego w Kosowie – Wit Tarnawski:

Najgroźniejsze jednak, że chorował wiele, a w ostatnim okresie życia coraz więcej. Zniszczyły go i uczyniły prawie inwalidą malaria, deformujący artretyzm i spróchniałe zęby, których nie pozwalał usunąć. Właśnie zakażenie z zębów mogło być, jak już za jego życia podejrzewano, przyczyną ciężkiego artretyzmu i zmian sercowych. W r. 1910 Conrad przeszedł jakąś bardzo ciężką chorobę infekcyjną, która jak informuje żona, o mało go nie zabiła i która mogła w niemłodym już organizmie pozostawić trwałe ślady. Odtąd zresztą Conrad zapadał na zdrowiu częściej i ciężiej niż poprzednimi laty⁹.

2.

Tym niemniej – mimo tej odmowy – poselstwa polskie w Londynie nie zaprzestało kontaktów z Conradem i zabiegów o jego działalność na rzecz Polski. W roku 1922 nowym posłem został – cieszący się znakomitą opinią – Konstanty Skirmunt. Wedle relacji ówczesnego sekretarza poselstwa polskiego hrabiego Edwarda Raczyńskiego (późniejszego emigracyjnego prezydenta Rzeczypospolitej) poseł Skirmunt:

Zapragnął tchnąć nowe życie w starodawne Literary Association of the Friends of Poland, lub też odtworzyć je w nowej postaci. Tak powstało londyńskie Anglo-Polish Society. Wydawało się, że wymarzoną prezesem Towarzystwa będzie Conrad, wielkie nazwisko w tutejszym świecie literackim, obywatel brytyjski, a zarazem pomnożyciel imienia polskiego na Wyspie¹⁰.

Warto zaznaczyć, że tym razem pracownicy poselstwa byli nie tylko zorientowani w pozycji Conrada jako pisarza, ale także dużo wiedzieli o wcześniejszej politycznej działalności Conrada dotyczącej spraw polskich. Raczyński wspominał: „W latach poprzednich Conrad dał wyraz swemu przywiązaniu do swej pierwszej ojczyzny, składając w Foreign Office memoriał ukazujący położenie Polski i jej potrzeby”¹¹.

Conrad złożył ostatnią wizytę w poselstwie w dniu 11 czerwca 1924 roku. Wedle przywoływanej już tu relacji Raczyńskiego:

⁸ T. Kosch, *Memoriał Conrada (Korzeniowskiego) o sprawie polskiej w czasie wielkiej wojny* [w:] *Conrad wśród swoich...*, s. 331.

⁹ W. Tarnawski, *Conrad. Człowiek – pisarz – Polak*, Londyn 1972, s. 253.

¹⁰ E. Raczyński, *Spotkanie w poselstwie w Londynie* [w:] *Conrad wśród swoich...*, s. 377.

¹¹ Tamże, s. 377.

Posel Skirmunt zaprosił go [Conrada – przyp.] do poselstwa, a potem zatrzymał na śniadaniu. Brałem w nim udział. Rozmowa toczyła się po polsku. Conrad mówił płynnie, choć czasem brakło mu wyrazu. Był bardzo uprzejmy, ale zamknięty w sobie i jak gdyby z natężeniem czuł nad odruchami, które by mogły zdradzić stan jego duszy. Uchylił się od udziału w Tow. Angielsko-Polskim. Wytłumaczył swoją odmowę brakiem czasu oraz zmysłu i zamiłowania do „pracy społecznej”¹².

Ale mamy i drugą relację z owego spotkania w poselstwie. Zawdzięczamy ją znakomitemu polskiemu angliście z Uniwersytetu Jagiellońskiego, zarazem aktualnemu wykładowcy uniwersytetu w Londynie, prof. Romanowi Dyboskiemu. Conrad znał już wcześniej Dyboskiego i wysoko cenił jego dokonania naukowe. Pisał do niego w dniu 22 lutego 1924 roku:

Przykro mi, że dopiero teraz dziękuję Panu za 2 tomy o literaturze polskiej, które przeczytałem z największym uznaniem – oraz za broszurę o czynniku religijnym w polskim życiu narodowym, z której dowiedziałem się wielu nowych dla siebie rzeczy. Pana angielskie publikacje są bardzo pociągające, tak treściowo, jak i stylistycznie; nie umiem wprost wyrazić podziwu, jaki czuję dla tej dobrej i patriotycznej roboty. Ludzie tu niewiele wiedzą o Polsce – obawiam się też, że małym zainteresowaniem darzą nowo utworzone państwo¹³.

Po zakończonym śniadaniu Dyboski miał okazję rozmawiania z Conradem w cztery oczy. W tej rozmowie pisarz przytoczył mu jeszcze jeden argument, którego publicznie nie wypowiedział, a który skłaniał go do odmowy bycia przewodniczącym nowo powstałego stowarzyszenia. Autorowi *Lorda Jima* zdecydowanie nie podobało się natrętne propagowanie spraw polskich na gruncie angielskim. Conrad powiedział Dyboskiemu:

– To dobre – mówił – dla innych narodów, które niedawno powstały spod gruzów obcej władzy i z kurzu zapomnienia: dla Serbów, którzy przez setki lat byli niewolnikami Turków, dla Czechów, co byli tak długo pokryci krustą zniewolenia: ale my, co przez sto lat niewoli pozostaliśmy tym samym, czym byliśmy przedtem, przez lat blisko tysiąc, takich starań nie potrzebujemy; kto chce, znajdzie nas na tym samym bastionie Europy, gdzieśmy zawsze bronili jej cywilizacji¹⁴.

Nie trudno dostrzec, że kreśląc taki obraz Polski, Conrad odwoływał się do zakorzenionej w kulturze polskiej koncepcji „przedmurza”. Polska była przedmurzem chrześcijańskiej cywilizacji europejskiej przed nawałą turecką. Całkiem niedawno obroniła cywilizację zachodnioeuropejską w wojnie z bolszewikami. Jak pisał Czesław Miłosz:

¹² Tamże.

¹³ R. Dyboski, *Spotkanie z Conradem* [w:] *Wspomnienia i studia o Conradzie*, wybór i oprac. B. Kocówna, Warszawa 1963, s. 104.

¹⁴ Tamże, s. 109.

Przywiązanie do Imperium Brytyjskiego u Conrada i ostre poczucie granic cywilizacji zachodnioeuropejskiej są niejako transpozycją wiary w Rzeczpospolitą jako *antemurale christianitatis*. Islam i bizantyjska Rosja w świadomości Polaków, zwłaszcza z Litwy i Ukrainy, były tym samym wrogiem, antycywilizacyjnym żywiołem, który stale dążył do zniszczenia Europy¹⁵.

3.

Ale była jeszcze jedna sprawa, którą władze polskie chciały spopularyzować w Anglii, korzystając z pomocy Conrada. Chodziło o promocję postaci Józefa Piłsudskiego. Jak informowała Barbara Koc, pomysł ten pochodził od Franka Savery'ego, który pełnił wówczas obowiązki konsula Wielkiej Brytanii w Warszawie. Savery zwrócił się ze swoją propozycją do znakomitego historyka polskiego Szymona Askenazego. Pisał do tego badacza w liście z 14 listopada 1919:

Gdyby tylko Conrad dał się przekonać i użył swego geniuszu literackiego i ogromnego prestiżu w Anglii na beneficjum zarówno swej osobistej admiracji dla generała Piłsudskiego, jak i patriotyzmu, który, jak przypuszczam, odczuwa stale w stosunku do kraju, z którego pochodzi, wtedy, myślę, moglibyśmy stworzyć legendę Piłsudskiego w Anglii, a znając psychikę swoich współziomków sądzę, że owa legenda stałaby się dla Polski z politycznego punktu widzenia wielkim atutem. [...] Powstaje przy tym pytanie, czy Conrad wystarczająco dużo wie o generale Piłsudskim, by bez wyprawy do Polski napisać kilka artykułów o nim dla prasy brytyjskiej, a nadto, w wypadku gdyby tej wiedzy nie miał, czy dałby się nakłonić, aby się tu wybrać¹⁶.

Dwie sprawy nie ulegają wątpliwości. Sprawa pierwsza to fakt, że Conrad rzeczywiście podziwiał Piłsudskiego¹⁷. Wspominała jego kuzynka, Karola Zagórska:

Kiedyś, gdy przechodziliśmy z jadalni, zatrzymał się w hallu i popatrzył na drzeworyt kolorowy Jastrzębowski, przedstawiający Piłsudskiego na koniu. Kiedy usiedliśmy w gabinecie, Konrad nagle powiedział, przerzucając jakieś pismo: – To jest jedyny wielki człowiek, który zjawił się na widowni świata podczas wojny¹⁸.

Również w przywoływanym już artykule *Zbrodnia rozbiorów* Conrad zdecydowanie bronił postępowania Piłsudskiego, kiedy jako dowódca Legionów, walczył po stronie mocarstw centralnych. Pisał wówczas:

Z trudności teoretycznych i moralnych, w jakie wpędził polskie programy polityczne układ sojuszków międzynarodowych na początku wojny, wyłoniła się przynajmniej

¹⁵ Cz. Miłosz, *Stereotyp u Conrada* [w:] *Conrad żywy*, red. W. Tarnawski, Londyn 1957, s. 95.

¹⁶ B. Koc, dz. cyt., s. 263. Tłumaczenie tekstu angielskiego: B. Koc.

¹⁷ Por. S. Zabierowski, *Conrad i Piłsudski*, „Teksty Drugie” 2009, nr 3, s. 33–46.

¹⁸ K. Zagórska, *Pod dachem Konrada Korzeniowskiego (Josepha Conrada)* [w:] *Conrad wśród swoich...*, s. 346.

decyzja, aby Legiony Polskie, pokojowa organizacja w Galicji kierowana przez Piłsudskiego (który otrzymał później stopień generała, a obecnie, jak słyszymy, jest Naczelnikiem Rządu w Warszawie), wyruszyły do walki z Rosją. W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, przeciwko któremu z uczestników Zbrodni skierowany będzie gniew Polaków. Trudno było wybierać między prymitywnymi i podłymi metodami rosyjskiego barbarzyństwa a wyrafinowaną i pogardliwą brutalnością powierzchownej i zmechanizowanej cywilizacji niemieckiej¹⁹.

Sprawa druga. Postulowanego cyklu artykułów o postaci Piłsudskiego – mimo wielkiej dla tego polityka sympatii – Conrad nigdy nie napisał. Zaważył na tej decyzji najprawdopodobniej zły stan zdrowia, a także zmaganie się pod koniec życia tego pisarza z jego własną twórczością.

4.

Ale kontakty Conrada z poselstwem Rzeczypospolitej w Londynie dotyczyły nie tylko spraw wielkiej polityki. Wiele miejsca zajmowały w nich kwestie czysto literackie. Conrad zabiegał o przekazanie – spokrewnionej z nim Anieli Zagórskiej – praw autorskich na terytorium Polski i Rosji. I tak 28 czerwca 1920 roku pisarz informował poselstwo polskie, że:

pragnie przekazać w całości własność prawa autorskiego na wszystkie jego dzieła w przekładzie i w druku na terenie Rzeczypospolitej Polskiej (a w końcu na, wszystkich terenach, które wchodziły w skład byłego cesarstwa rosyjskiego) na dobro panny Anieli Zagórskiej, na wspólne dobro jej własne i jej siostry, Karoli Zagórskiej, w postaci absolutnej i na tak długo, jak długo jego prawa do praw autorskich będą się utrzymywać w Rzeczypospolitej; Pan Conrad uczynił ten dar mając na uwadze uczucie dla wyżej wymienionych pań i związek powinowactwa istniejący między nimi i nim samym²⁰.

Podjęta przez Conrada – i załatwiona w sposób formalny przez poselstwo w Londynie – decyzja ta w istotnej mierze ułatwiła przekład i edycje zarówno pojedynczych dzieł Conrada, jak i wydań zbiorowych, których w Polsce przed wojną i po wojnie było kilka.

5.

3 sierpnia 1924 roku Conrad zmarł na zawał serca w swoim domu, w willi Oswalds w Bishopsbourne, niedaleko Canterbury. O śmierci pisarza zawiadomił poselstwo polskie jego francuski przyjaciel i biograf Gerard Jean-Aubry. Pisał on do pośła Konstantego Skirmunta:

¹⁹ J. Conrad, *Zbrodnia rozbiorów*, przeł. H. Najder i W. Tarnawski [w:] tegoż, *Dzieła*, t. XXVIII: *Szkieł polityczne*, red. i wstęp Z. Najder, Warszawa 1996, s. 54.

²⁰ B. Koc, dz. cyt., s. 269. Przekład z angielskiego: B. Koc.

– Panie Ministrze. Gdy widziałem Pana wczoraj – nawet nie pomyślałem, że przekażę Panu tak niespodziewaną okropną wiadomość. Przyjechałem tego ranka do Canterbury, aby dowiedzieć się, że Joseph Conrad dopiero co zmarł, o godzinie ósmej i pół. Spieszę poinformować Pana o tym, ponieważ Conrad był Polakiem nie tylko z urodzenia, ale i z ducha²¹.

Ówczesny polski minister spraw zagranicznych Aleksander Skrzyński 5 sierpnia, 1924 roku, polecił poselstwu w Londynie: „Z powodu zgonu znakomitego pisarza Conrada proszę złożyć rodzinie wyrazy żalu, współczucia”²².

Informacja o zgonie pisarza podawana była wówczas w prasie angielskiej i polskiej na drugim planie. Powody były odmienne – w Anglii prasa relacjonowała przede wszystkim odbywające się wówczas zawody krykieta, zaś polskie gazety na pierwszych stronach podawały relacje o napadzie sowieckich bojówek na miasto Stołpce, na granicy wschodniej i poczynionej tam dywersji. Rezultatem tego najazdu stało się szybkie powołanie – dla ochrony granicy wschodniej – nowej formacji – Korpusu Ochrony Pogranicza.

Pogrzeb Conrada odbył się 7 sierpnia 1924 roku w Canterbury. Po mszy w katolickim kościele pod wezwaniem św. Tomasza, trumnę pisarza złożono na katolickiej części miejscowego cmentarza. W uroczystości żałobnej brało udział niewiele, bo kilkadziesiąt osób, głównie przyjaciół Conrada. Jediną osobą oficjalną był ówczesny sekretarz poselstwa polskiego, Edward Raczyński, który reprezentował premiera Rzeczypospolitej Polskiej.

Śmierć Conrada uczczono w Polsce edycją specjalnego numeru czołowego ówczesnego pisma kulturalnego – „Wiadomości Literackich” (1924, nr 33). W numerze tym pisali o Conradzie wybitni polscy twórcy, pisarze i poeci: Stefan Żeromski, Wacław Grubiński, Juliusz Kaden-Bandrowski, Roman Jaworski, Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Kazimierz Wierzyński. Wśród tych tekstów szczególnie wyróżniał się wiersz Jana Lechonia, w którym poeta ten akcentował związki Conrada z polską tradycją patriotyczną. Zacytujmy:

Twój ojciec też miał pogrzeb wspaniały i chmurny,
Szli za nim mrocznym miastem dostojni i prości,
O bruk stukały buty jak greckie koturny,
I wiedli go z niewoli do wiecznej wolności.

Mową prostą i twardą, chropowatą mową
Mówili doń Polacy i cicho płakali,
Nakryli go Ojczyzną, jak czapkę wojskową,
A później się rozeszli i bili się dalej;

²¹ Tamże, s. 277. Przekład z francuskiego: B. Koc.

²² Tamże, s. 279.

A teraz ciebie wicher zaświatów ogarnia,
I ten tułacz bezsenny, zorany przez blizny,
Twój ojciec tam cię woła językiem Ojczyzny,
Gdzie wszystkim świeci morzom ta sama latarnia²³.

Można jedynie dodać, że egzemplarz poświęconych Conradowi „Wiadomości” za pośrednictwem poselstwa przekazano rodzinie pisarza.

Po śmierci Conrada wiarygodni świadkowie – żona pisarza Jessie Conrad i przyjaciel Conrada John Galsworthy – podali informację, że autor ten zamierzał pod koniec życia powrócić wraz z żoną na stałe do Polski. Jessie Conrad pisała w swoich wspomnieniach:

Najskrytszym marzeniem Józefa Conrada było pod koniec życia powrócić do Polski. Jest to jednak najszczerza prawda. Często rozmawialiśmy o tym projekcie w ciągu ostatnich miesięcy życia mojego męża. Jak tylko John urządziłby się tak, aby zapewnić sobie samodzielną egzystencję, my starzy po podziale naszego dobytku, którego nie mogliśmy ze sobą zabrać, między obu chłopców, mieliśmy powrócić do umiłowanego przezeń kraju. Było to marzenie, które jednak nigdy nie miało się ziścić²⁴.

Tak więc potencjalnie poselstwo polskie powinno wydać Conradowi i jego żonie Jessie jeszcze jeden dokument – paszporty na przejazd do Polski. Niestety, przedwczesna śmierć Conrada sprawiła, że plan ten nie został zrealizowany. Informację, że Conrad chciał na stałe powrócić do kraju ojczystego skomentował – w sposób patetyczny – Stefan Żeromski:

Z tej twórczości, która jest tak bezmiernie bliska i tak bezmiernie daleka, w dobie odrodzenia i rozwoju państwa, w chwili zetknięcia się z falami morza, wionie na naszą literaturę ogromne powietrze, atmosfera kuli ziemskiej. Śmiały, twardy, niepodległy, indywidualny człowiek – ustał. Musiał się zwrócić w naszą stronę, bo Polska tak jest w uczucie bogata, iż się z jej objąć nikt, kto szlachetny, nie wyrwie²⁵.

Stefan Zabierowski

Bibliografia

- Conrad Jessie, *Józef Conrad*, przeł. W. Nałęcz-Korzeniowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1969.
Conrad Joseph, *Listy*, przeł. H. Carroll-Najder, wybór i oprac. Z. Najder, PIW, Warszawa 1968.

²³ J. Lechoń, *Na śmierć Conrada* [w:] *W imię Conrada. Joseph Conrad w poezji polskiej*, zebrał, oprac. i wstępem opatrzył T. Skutnik, Gdańsk 1977, s. 40.

²⁴ J. Conrad, *Józef Conrad*, przeł. W. Nałęcz-Korzeniowska, Kraków 1969, s. 391–392.

²⁵ S. Żeromski, *Pisma literackie i krytyczne*, oprac. S. Pigoń, Warszawa 1963, s. 166–167.

- Conrad Joseph, *Zbrodnia rozbiorów*, przeł. H. Najder i W. Tarnawski [w:] tegoż, *Dziela*, t. XXVIII: *Szkice polityczne*, red. i wstęp Z. Najder, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996.
- Dyboski Roman, *Spotkanie z Conradem* [w:] *Wspomnienia i studia o Conradzie*, wybór i oprac. B. Kocówna, PIW, Warszawa 1963.
- Koc Barbara (oprac.), *Aneks: Fragment korespondencji Conrada i jego rodziny z lat 1919–1931 z poselstwem polskim w Londynie* [w:] T. Bobrowski, *Listy do Conrada*, oprac. R. Jabłkowska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1981.
- Kosch Teodor, *Memoriał Conrada (Korzeniowskiego) o sprawie polskiej w czasie wielkiej wojny* [w:] *Conrad wśród swoich. Listy. Dokumenty. Wspomnienia*, oprac., wstęp i przypisy Z. Najder, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996.
- Lechoń Jan, *Na śmierć Conrada* [w:] *W imię Conrada. Joseph Conrad w poezji polskiej*, zebrał, oprac. i wstępem opatrzył T. Skutnik, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1977, s. 40.
- Miłosz Czesław, *Stereotyp u Conrada* [w:] *Conrad żywy*, red. W. Tarnawski, wyd. B. Świderski, Londyn 1957.
- Najder Zdzisław, *Życie Conrada- Korzeniowskiego*, t. 1–2, Gaudium, Lublin 2006.
- Tarnawski Wit, *Conrad. Człowiek – pisarz – Polak*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1972
- Zabierowski Stefan, *Conrad i Piłsudski*, „Teksty Drugie” 2009, nr 3, s. 33-46.
- Zagórska Aniela, *Kilka wspomnień o Conradzie* [w:] *Conrad wśród swoich. Listy. Dokumenty. Wspomnienia*, oprac., wstęp i przypisy Z. Najder, PIW, Warszawa 1996.
- Zagórska Karola, *Pod dachem Konrada Korzeniowskiego (Josepha Conrada)* [w:] *Conrad wśród swoich Listy. Dokumenty. Wspomnienia*, oprac., wstępem i przypisami opatrzył Z. Najder, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996.
- Żeromski Stefan, *Pisma literackie i krytyczne*, oprac. S. Pigoń, Czytelnik, Warszawa 1963.

Joseph Conrad-Korzeniowski and the Polish Legation in London

Summary

The aim of this article is to present the relationship between the distinguished English author of Polish origin, Joseph Conrad-Korzeniowski, and the Polish Legation in London following the restoration of the Polish state in 1918. The article focuses on political matters - the proposal for Conrad to accept the position of the chairman of the Anglo-Polish Society - as well as literary issues, including the transfer of Conrad's copyrights to his cousin and translator, Aniela Zagórska.

Uładzimir Arłou

MAM PRZYJACIELA

Pewnemu jeżowi z białostockiego parku Branickich

jeden przyjaciel
to już jest bardzo dużo
nawet jeśli to jeż
dlaczego nawet?

cicha radość spotkań
w jego zielonym wszechświecie
w pomarańczowym upale
po powodzi Niagary
podczas pełni księżyca

możesz go poczęstować
dojrzałym bursztynowym
jabłkiem-ananasówką
są w nim cynamonowe nasiona
dlatego odbija się echem
Brunona Schulza

on przyniesie ci na igłach
listek klonu jak gaza
z hieroglifami jesieni
początek haiku?

mową przyjaźni
może być milczenie
wy zachowujecie milczenie
milczenie zachowuje was
i waszą przyjaźń

przyjaciel się nazywa Henik
w świecie
ma inne imię
ale się zgadza

opowiedziałeś mu
jak w świecie ludzi
nazywał się
twój najlepszy przyjaciel

waszym językiem
był białoruski
on był pierwszy z którym
rozmawiałeś w tym języku
on był pierwszy który
odezwał się w nim do ciebie

w języku milczenia
rozumieliście się nie gorzej
robiliście eksperymenty
braliście kartkę
i pisaliście osobno
napisane się zgadzało

tak u ludzi się zdarza
tylko raz w życiu
możę dwa
gdyby Henik drugi
umiał pisać
zdarzyłoby się trzeci raz

kiedy byliście studentami
Henik pierwszy
mieszkał w domu
ty w akademiku
nie chcieliście się rozstawać
ani w dzień ani w nocy
on zostawał u ciebie na noc

spaliście w jednym
wąskim i twardym
państwowym łóżku
nie...
spaliście na waleta

Henik pierwszy
wsiadł bez ochrony do taksówki
w mieście Herat
to Afganistan
jedzie aż do teraz

jedynemu przyjacielowi
można opowiedzieć
wszystko na świecie
wesołe smutne
intymne najskrytsze

pewnej nocy Henik chciał posłuchać
o ludziach i jeźcach
masz jedną taką historię

Z muzykiem Lawonem W.
po występie w czeskiej Ostrawie
po niezliczonych kieliszkach frankovki
(szkoda że Henik nie pije wina
zresztą kto go tam wie
trzeba zaproponować)

z muzykiem Lawonem W.
jechałeś na dworzec
żeby wsiąść do pociągu do Mińska
kiedyś takie pociągi jeździły
i mogłeś do nich wsiąść

jechałeś przez mleczną mgłę
muzyk Lawon W.
spokojnie spał na tylnym siedzeniu

widać było na dziesięć kroków
za tymi dziesięcioma krokami
przez drogę bez końca przebiegały
jeże
tyle ich jakby zebrały się
z całych Czech

jeżek jeżek jeżek
stałe powtarzał taksówkarz
wreszcie nie wytrzymał
ты понимаешь что такое ёжик?

Muzyk Lawon W.
otworzył jedno oko
моя твоя не понимает
i spał dalej

kiedy jeże się śmieją
tupią nogami
stroszą igły
i zmieniają się w kolczaste piłeczki

Henik zadaje ci zagadki
ile ma igieł?
strach powiedzieć
ale całe pięć tysięcy
czy jeże potrafią pływać?
przeptynęlibyście razem każdą rzekę
ile żyją jeże?
nie chciałeś odpowiedzieć

Henik lubi słuchać twoich snów
od dzieciństwa ci się śnią
kolorowe sny
wcale nie zawsze w tych snach
jesteś człowiekiem

bywałeś mrówką lisem kotem
chciałeś się sobie przyśnić
jako mrówka lisica kotka
na początek – jako kobieta
i wiadomo – jeź
jaki tu będzie feminityw?
Henik sądzi: jeżunia

umie słuchać
wątków twoich książek
twoich wierszy
twoich erotycznych fantazji

powierza ci
swoje męskie tajemnice
jego nowa jeżunia
ma takie pieścizotliwe igielki
wokół...

na próżno przyzszedłeś wczoraj
z tomem Pliniusza Starszego
w starożytnym Rzymie
jeże hodowano na mięso
pieczono je w glinie
skórki jeży
wykorzystywali rzymscy garbarze
pourywałbym im ręce

Henik już sobie przygotowuje leże na zimę
sucha trawa liście dębu
(czy nie będzie twardo
kiedy trafi się parę żółędzi?)
trochę dziurawca krwawnika
tymianku wierzbownicy
dokładnie twój wybór

gdyby Henik przyszedł z wnukami
przeczytałbyś im wierszyk

*drogi mój przyjaciel język
dziarsko łóżko sobie ścieli
liście trawa i gotowe
będzie gdzie przytulić głowę*

*jak urządzi sobie łożo
całą zimę przespać może
niech mu śni się dwieście snów
i się zbudzi potem zdrów*

ale wcale nie jest ci wesoło
tak długo się nie zobaczycie
nie będzie z kim porozmawiać
w doskonałym języku milczenia
innego tylko się uczysz

za to Henik będzie miał czas
by prześnić wszystkie twoje książki

KIEDY PŁYNIESZ

Kiedy płyniesz na wznak
na środku ulubionego jeziora
może się wydać
że płyniesz na wznak na środku
swojego życia

lilie przy drugim brzegu
ileż one wiedzą!
wystarczyłoby na kilka żyć

bardziej obeznana
jest tylko szara czapla
z przyłądka o tej samej nazwie
lepiej nie przyłądka – a rogu
wtedy można przez chwilę побыć
właścicielem rogu – Rogowładcą

kiedy odwrócić się od nieba do jeziora
można znów płynąć jak tutaj się mówi
po morskiem
ty powiedziałbyś po jeziornemu

kiedy płyniesz po jeziornemu
na środku często
spotykasz węża

wąż zastygnie jak Sfinks
i poinformuje ciebie:
możliwe że on tylko na niby jest wężem
odpowiesz mu
że możliwe że ty tylko na niby
jesteś człowiekiem

z szacunkiem rozplyniecie się
każdy w swoje
niby

w najwęższym miejscu jeziora
kiedyś był most
pozostały nadgryzione
zębami dziesięcioleci
ołówki pali
lubisz pisać ołówkami
kiedy je nadgryzły
twoje dziesięciolecia...

pewnego wieczora
przywiążesz do pala
swoją zieloną łódź

by zasnąć na pachnącym tataraku
między rybami w niebie
Rybami w jeziorze
rybami w nocnej głębinie

nad wodą będą
skrzypiec wozy z sianem
dzwonić butelkami
nocne ochlapusy
kochać się zakochani
albo po prostu on i ona
których rzuciła w objęcia
nie do pokonania pasja-pożądanie
z niej też
może narodzić się miłość

nad głową będą tańczyć
sommambulicy
kiedy nie ma dachów
sommambulicy
objąwszy się za ramiona
ciepłymi rękami
tańczą
na mostach

rano znajdziesz w tataraku
pasek siana
bladożółte majteczki
wyschlą lilię wodną
w niej monetę
dawno nieistniejącego państwa

Romain Gary
czuł się szczęśliwym topielcem
na brzegu morza

tobie wystarcza
jezioro

KANNY

są takie kwiaty –
kanny
złociste szkarłatne
purpurowe karminowe
tygrysowo-leopardowe
jakie jeszcze
zapytajcie trzmieli i pszczoł

na rabacie
gladiolusy cynie kolorowe rumianki
chryzantemy hortensje
wybierasz kanny

pszczoły nie mają nic do tego
to z góry wyznaczone

jest takie miasto
Cannes
Prowansja
Lazurowe Wybrzeże
festiwal filmowy

tego roku kiedy w kosmos
poleciał Jurij Gagarin
w Cannes poleciał w bezpowrotność
białoruski pisarz
Usiewaład Krauczanka
pisał kryminały dla nastolatków
był ojcem twojej przyjaciółki Woli

wieczorem przyjechał z Paryża
nie pochodził po nadbrzeżu Saint-Pierre
nie zobaczył Starego Portu
nie poszedł na cmentarzu Grand Jas
na grób autora
Wenus z Ille i Lokisa

twoja przyjaciółka Wola
była jeszcze małym dzieckiem
ojciec chciał ją nauczyć francuskiego
pojechać razem do Francji

samobójstwo czy zabójstwo?
Wybierasz samobójstwo
(wybacz przyjaciółko Wolo)

hotel Modern wiele pamięta
tam zatrzymywał się Camus
myślał o jedynym skutecznym sposobie
przeciwstawienia się temu absurdowi

filozof powiedział: drzwi są otwarte
okna w hotelach
też się otwierają

z wszystkich kwiatów na tym kwietniku
wybierasz
kanny

Sierpień 2024

Władimir Ariou
Przełożył Bohdan Zadura

Uładzimir Niaklajeŭ

DUPEK

*Kto stoi po jednej stronie, jest winny z jednej strony.
Kto stoi po drugiej stronie, jest winny z drugiej strony.
A ten, kto stoi pośrodku, jest winny ze wszystkich stron.*

(Z zapisków w dzienniku)

– Może róże?– zapytała rudowłosa kwiaciarka, której pewnie znudziło się przyglądać, jak on stoi i niczego nie kupuje. – Białe?

– Dlaczego róże?

– Wszyscy kupują róże.

– Dlaczego białe?

– Wszyscy kupują białe. Chcą być czyściutcy.

– I nikt nie kupuje innych?

Kwiaciarka spojrzała na niego, jakbym zaczynał ją irytować.

– Wy tylko pogadać?

Dawno zauważył, że sprzedawczynie nie znoszą ludzi, którzy wdają się z nimi w pogawędki, a niczego nie kupują. Zupełnie jakbyś obiecał się z którąś z nich ożenić, a potem się nie żenił.

Stał długo przed kwiaciarnią w podziemnym przejściu na dworzec nie dlatego, że wahał się, czy kupić kwiaty, czy nie, ale żeby jeszcze raz przemyśleć to, co robi. Żeby się nie ośmieszyć. Czy to nie śmieszne umówić się z dziewczynką, a iść na spotkanie z kobietą, która teraz jest może czyjąś babcia?

– Gdybyście byli mężczyzną i nie widzieli kobiety pięćdziesiąt lat, jakie kwiaty wybralibyście na spotkanie?

Kwiaciarka, która nie miała nawet dwudziestu lat, powiedziała – Nieśmiertelniki.

Tak sobie zażartowała, nie wiedząc nawet dlaczego.

Nieśmiertelnikami nazywano stację, nawet nie stację i nie przystanek, ale rozjazd, na którym on i Ruta wysiedli z pociągu. Dziwne, że usłyszał tę nazwę od kwiaciarki, u której wybierał kwiaty dla Ruty. Dla tej dziewczynki, która teraz może być czyjąś babcia.



Uładzimir Niaklajeŭ

Fot. Siergiej Capon
(Agence France-Presse)

Kupił różę. Białe. I wyszedł z przejścia na peron, bo umówili się na peronie. Na tym samym, z którego pół wieku temu odjeżdżał ich pociąg do Teodozji.

2.

Sowieckie lata siedemdziesiąte. Z jakiegoś powodu nazwano je latami zastoju, chociaż nie było lepszych sowieckich lat niż właśnie te zastojuowe.

Lato. Lipiec, szczyt letnich wakacji. Na dworcu zamieszanie: mężczyźni w tenisówkach i kapeluszach, z przewiązanymi walizkami („Czegoś ty tam znowu napchała?...”), kobiety w kolorowych sukienkach z brezentowymi i skórzanymi sakwożażami („Masza! Masza, mówiłam ci! Nie oddalaj się ode mnie!”, „To ty się ode mnie oddaliłaś, mammo!”), dziewczynki i chłopcy w szortach i panamkach („Tato, to nie nasz pociąg!” „Jak to nie nasz? Patrz, tam napisane: Teodozja”, „To jest wagon do Teodozji. A my potrzebujemy pociąg”, „Zaraz... Chcesz mi powiedzieć, że wagon jedzie do Teodozji, a pociąg nie?”).

W końcu zorientowali się, że to wagon dodatkowy, a pociąg jedzie przez Połtawę, i że oni powinni wsiąść do tego („Nie jestem głupia, żeby pchać się przez Połtawę!”), który jedzie przez Kijów, wtaszczyli się z walizkami i dziećmi do przedsiönka swojego wagonu z kuszetskami, przycisnęli się na swoje miejsca, rozłożyli („Mówię ci, połóż niżej!”) i usiedli („Wyciągaj kurczaka! Zepsuje się, zatechnie...”).

Ach, wagon z kuszetskami, pociąg osobowy – dwa dni przez Kijów do Teodozji!... Zapach gotowanych jajek, smażonego kurczaka, chrupanie ogórków...

– No to dawajcie! Za znajomość! – Będziecie od razu pić! – On też do Teodozji! Jak my! – Tu wszyscy do Teodozji – Nie, my do Dżankoja. A potem do Eupatorii. – Widzisz, oni do Eupatorii. A ty, że wszyscy tutaj do Teodozji! Powiedźcie jej, Arkady Sawielewiczu...

Arkady Sawielewicz i Waleria Siemionowna, jadący do Dżankoja, a potem do Eupatorii w sąsiednim przedziale, mieli córkę Rutę. Od razu przyszedł mi na myśl bajeczny kwiat, który rozkwita na czerwono tylko raz w roku i tylko jednej nocy, kiedy Arkadij Sawielewicz zawołał: „Ruta, przynieś sól. Jest w torbie matki, tej w stokrotki”, a Ruta, nie ruszając się, odpowiedziała: „Sami sobie przynieście. Sól to biała śmierć”.

Ruta też była biała, bardzo biała. I cała w złotych piegach.

– A wasz dobrze się uczy? – zapytał Waleria Siemionowna, przynosząc sól i podtrzymując kulejącą rozmowę. – Nasza skończyła siódmą z sa-

mymi piątkami. Nawet ją wysyłali na międzynarodowy obóz, do Arteku. Ale Arkady Sawielewicz jest dyrektorem szkoły. Nie tej, do której chodziła, ale zawsze dyrektorem. Więc ktoś napisał, że psim śwędem. Jak bym się tylko dowiedziała, kto...

Artek! Marzenie wszystkich sowieckich pionierów! Z moimi trójkami i jedną piątką z wufu mogłem tylko pomarzyć. A Ruta miała szansę tam być. Patrzyłem na nią jak na nieosiągalną Ginę Lollobrigidę z filmu *Fanfan Tulipan*, który pokazywali w klubie zakładów Technika Rolnicza, gdzie nprawiano kołchozowe kombajny i traktory, i gdzie pracowali moi rodzice.

Ruta była starsza ode mnie. Skończyła siódmą, ja dopiero przeszedłem do szóstej. Więc nie miałem szans. Dlatego wdrapałem się na górną kuszetkę, z której było widać sąsiadów. Patrzyłem stamtąd i patrzyłem, zasłaniając się książką o trzech muszkietierach, jak Ruta co chwila sięga do torby ze stokrotkami, wyciąga kosmetyczkę Walerii Siemiononownej, maluje usta i pudruje nos, a ja tymczasem prawie ślepełem od tych jej złotych piegów.

– Czytasz fajną książkę – pochwaliła mnie Ruta w przedśionku sąsiedniego wagonu, gdzie poprosiła mnie, żebym z nią posłał, póki nie wypali papierosa, który ukradła ojcu. – Jeśli się zjawi któreś z moich, powiesz, że to ty palisz. Powiesz?

Dla niej byłem gotów zacząć się dymem. Wypić truciznę. To, że nie tylko maluje usta, ale i popała, wywindowało ją na niedostępne dla mnie wyżyny. Nawet wyższe niż te, na których znajdowała się Gina Lollobrigida.

– Którego z muszkietierów lubisz najbardziej? Do którego chciałbyś być podobny? Do d'Artagnana? Atosa? Aramis?

Musiałem też jej czymś zaimponować, to było po prostu konieczne, inaczej żadnych szans. Więc odpowiedziałem:

– Do żadnego.

W punkt! Widać było, że jest zaskoczona.

– Nawet nie do Portosa? – Dlaczego właściwie chciała, żebym był podobny do Portosa? – Nie lubisz żadnego z nich?

– Lubię wszystkich. Ale nie chcę być do żadnego podobny. Tylko do siebie.

– Chcesz, żeby ktoś chciał być podobny do ciebie?

– Tak. Żeby ktoś chciał...

Otworzyła drzwi pociągu, wyrzuciła niedopałek, który w łoscocie i wietrze sygnął iskrami, wstąpiła w te iskry i odwróciła się do mnie. – Jak masz na imię? – Maksym. – I na chwiejnych pomostach między wagonami, które huśtały się we wszystkie strony, pocałowała mnie. Umalowanymi ustami pachnącymi karmelem...

O tego czasu ilekroć całuje mnie upragniona, ukochana kobieta, wydaje mi się, że jej usta pachną karmelem, a ja czuję, jakby pomosty między wagonami huštały się pode mną na wszystkie strony...

– I co takiego będziecie robić w tej Eupatorii? To kurort dla dzieci! Jedźcie z nami do Teodozji! Odpocniemy jak ludzie! – Ojciec przekonywał Arkadego Sawielewicza, raz po raz nalewając mu wódki, którą tamten pił kieliszek za kieliszkiem, ale nie ustępował, kiwając głową w stronę żony. – Waleria Siemionowna jest Ukrainką, jej rodzice mieszkają w Dżankuju. Starzy już są i proszą nas, żebyśmy z nimi pobyli. Dom jest duży, starzy nie mają siły się nim zajmować, więc może zostaniemy. W czym Dżankoj gorszy od Mińska? W niczym. Tym bardziej, że Krym od dawna jest ukraiński... – powiedział Arkady Sawielewicz, przechodząc z tematu wakacji do rozmowy o tym, co wydarzyło się jeszcze, zanim Ruta i ja przyszliśmy na świat, co ani dla nas, ani dla naszego przedziału, ani dla naszego wagonu, ani dla całego pociągu nie miało najmniejszego znaczenia, ale dla Arkadego Sawielewicza było jakby czymś ważnym i podpiwszy sobie, nagabywał mojego ojca, czy jego zdaniem słusznie czy niesłusznie oddano Krym Ukrainie. Mojego ojca, podobnie jak cały pociąg, gie obchodziło, czy słusznie, czy nie, ale Arkadego Sawielewicza to irytowało i czepiał się mojego ojca, dopóki Waleria Siemionowna go nie usadziła: – Zamknij się już! Co za różnica, czyj jest Krym, jeśli jest sowiecki!

– Fakt... Co to za różnica, skoro Artek pozostał Artekiem? – Pomyślałem, bojąc się, że moi rodzice pokłócą się z rodzicami Ruty, z którą mogę się więcej nie zobaczyć, a z którą tak bardzo chciałem jechać do Teodozji, jak nie chciałem niczego w życiu. No, może z wyjątkiem konika cyrkowego, zaprzęzonego do malowanego wozu, na którym siedział klaun w czarnych bucikach, zielonych portkach, żółtej kamizelce i czerwonym kapelusiku, a po nakręceniu konik podskakiwał, to na przednich, to na tylnych nogach.

– Nie kupili mi go na urodziny, bo był drogi, ale kiedy przyszły urodziny Walerka, ojciec przywiózł konika ze sklepu, żebym mu go podarował – powiedziałem Rucie w przedsiönku wagonu. – Zgadnij dlaczego?

– Bo Walerek był synem szefa twojego ojca?

Po raz kolejny mnie zaskoczyła.

– Skąd ty to wiesz?

– Ja nie tylko to, ale wszystko wiem lepiej od ciebie.

Nawet z takimi przechwałkami było jej do twarzy.

– Tak, był szefem mojego ojca. Był szefem wszystkich. Przyszli go z Leningradu na dyrektora naszej Techniki Rolniczej.

– Waszego czego?

Ruta nie wszystko jednak wiedziała lepiej ode mnie, co z wielką satysfakcją jej wyjaśniłem:

– Naszych zakładów Technika Rolnicza, w których naprawia się kołchozowe ciągniki, kombajny...

– A sami kołchoźnicy nie mogą ich naprawiać?

Pytanie było zaskakujące. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Widocznie nie mogą. Gdyby mogli, nie byłoby Techniki Rolniczej.

Ruta spojrział na mnie dziwnie:

– No dobrze, dobrze. I co dalej?

– Mój ojciec był inżynierem w Technice Rolniczej, a Leonid Leonidowicz...

– Jaki znowu Leonid Leonidowicz?

– Pataszewski. Ojciec Walerka. On był dyrektorem. No i ja zostałem zaproszony na urodziny syna dyrektora. Razem z Lilią, córką głównego księgowego. Ona przyniosła mu piłkę do drewna, a ja konika. Walerek zaraz wziął piłkę i odpiłował konikowi przednie nogi. – Zobaczmy – powiedział – jak będzie skakał na samych tylnych. – Jego ojciec dał mu w kark, a ja nie spałem całą noc. Żał mi było, że konik dostał się nie temu, co powinien.

– Płakałeś? – zapytała Ruta, a ja odpowiedziałem, że nie, chociaż tak naprawdę płakałem.

– A następnego ranka, gdy tylko mój ojciec poszedł do pracy, pobiegłem do Walerka. Powiedziałem mu, że nie zna naszych zwyczajów, zgodnie z którymi, jeśli prezent się nie podoba, należy go zwrócić dawcy. Walerek nie chciał zwrócić konika, bo on przecież był zepsuty. To ja powiedziałem, że zgodnie z naszymi zwyczajami, których on nie zna, ten, kto zepsuje prezent, żeby go nie zwrócić, zostaje wyzwany na pojedynek i prezent trafia do zwycięzcy. Walerek nie chciał walczyć, ale Lilia, którą namówiłem przeciwko niemu, dodała, że zgodnie z naszymi zwyczajami, których on nie zna, ten, kto odmawia walki, musi lizać dupę temu, kto go wyzywa.

– Świetny pomysł! Fajna ta Lilia. – Ruta pochwaliła nieznaną jej dziewczynę. – Z taką to bym się przyjaźniła... I co dalej? Lizali?

– Raz liznął...

– Jak liznął?

– No, stanąłem na czworakach, a on liznął. Raz. Ale Lilia powiedziała, że raz się nie liczy. Więcej lizać nie był w stanie, więc zgodził się na pojedynek. Zaproponowałem wybór broni. Pistolety, łuki, włócznie...

– Mielicie pistolety?

– Takie własnej roboty... Siarkę zeszkrobywało się z zapalek, wpychało się do żelaznej rurki, wpychało się kulę, siarkę zapalało się przez mały otwór na drugim, zaszpunktowanym końcu rurki i kula leciała tak,

że przebijają deskę w płocie. Dlatego Walerek nie zgodził się walczyć na pistolety, wybrał włócznie. Kije leszczynowe, do których przymocowywaliśmy wykute w warsztacie żelazne ostrza. Zgodnie z regulaminem, skoro ja wyzwiałem go na pojedynek, Walerek miał rzucać pierwszy. Rzucił nie we mnie, ale w pobliską lipę. Ja też nie chciałem rzucać w niego, ale w ostatniej chwili postanowiłem go przestraszyć i rzuciłem mu pod nogi. Przecież odpiłował nogi konika, a teraz stał rozkraczony, żeby w razie czego móc odskoczyć. Ale się nie udało i włócznia poleciała wyżej niż celowałem. I trafiła w jego... no, oddziabnęła mu...

Było mi głupio, bo nie wiedziałem, jak o tym mówić, a Ruta, choć dobrze wiedziała, o czym wstydę się mówić, otworzyła szeroko oczy i zapytała: – Gdzie trafiła?... Co oddziabnęła?... – I nagle zażądał: – Pokaż!

Co mam pokazać? Przecież to nie mnie oddziabnęła...

Przypomniałem sobie, że kiedy Walerek złapał się między nogami, Lilia też rzuciła się do niego. – Pokaż! – Co je wszystkie tak tam ciekawiło?

– Ale tam nie było na co patrzeć. Ledwie zadraśnięcie. Kiedy się zagoiło, nie było nawet śladu. Ale jego matka podniosła krzyk: – Jakby trochę wyżej, nie mógłby mieć dzieci! Wyrzucono mnie za to ze szkoły. A mój ojciec...

Nagle odechciało mi się opowiadać, jak ojciec mnie złoił.

– Co ojciec?

– Nic. Był wścickły, że mnie wyrzucili.

Ruta zapaliła kolejnego papierosa, którego ukradła ojcu.

– To ty nie chodzisz do szkoły?

– Chodzę. Wyrzucili, ale potem...

Ruty nie obchodziło, co było potem. Nie dawała spokoju.

– Pokaż mi, w którym miejscu! Jestem ciekawa. No, Maksym...

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale zrobiłem. Pokazałem. – O, tutaj... Z tej strony.

Była tak zainteresowana, że nie zdążyła wyrzucić niedopałka, a ja nie zdążyłem schować tego, co pokazywałem, kiedy otworzyły się drzwi do przedsiönka wagonu, bo podpitemu Arkademu Sawielewiczowi też zachciało się zapalić...

– Żadnego morza! Żadnych kurortów! – Waleria Siemionowna krzyczała na cały wagon, bijąc Rutę po twarzy. – Dziwka! Bezwstydnica! Do Dżankoja w ogrodzie robić! Albo w pociąg i do domu! Zgłoszę na milicję!

Kiedy wszyscy zasnęli, Ruta powiedziała mi szeptem: – I co to za ojciec? Stary kapuś! A matka... Widziałeś? Po twarzy! Wyzwiska przy ludziach!... Nie będę z nimi mieszkać. Zabiję się, ale nie będę!

W środku nocy wyprowadziła mnie do przedsiönka.

– Nie odeślą nas z powrotem. Skierowania przepadną, zadławią się tymi skierowaniami, mimo że tanie, do dziecięcego kurortu. Ale żyć nam nie dadzą. Chodź, wysiądziemy z tego pociągu.

Moja mama nie wrzeszczała na cały pociąg, jak mama Ruty, a tata milczał, ale milczał twardo, jak wtedy, kiedy wyrzucili mnie ze szkoły i dobrze pamiętam, co było potem...

Oczywiście bałem się, co się stanie, kiedy ojciec przestanie milczeć, ale jeszcze bardziej bałem się, co będzie z nim i z mamą, kiedy się obudzą, a mnie nie będzie. Ani pod łóżkiem, ani pod stołem, ani w szafie, ani w kufierku, gdzie mnie szukali, kiedy byłem mały, wołając: „Maksym! Gdzie tyś się podział? Synku! Maksymku, gdzie jesteś? Ojciec, nie widziałeś Maksymka? Może wybiegł na dwór jak spaliśmy?”. I trzaskali drzwiami, że niby wychodzą szukać mnie na dworze, a ja wyskakiwałem z kufierka szczęśliwy, że mnie nie znaleźli: „Tu jestem!”.

– Ruta, tak nie można. Nie mówiąc...

– Co nie mówiąc?

– Że odchodzimy. Oni się obudzą, a nas nie ma.

– Ale będziemy!

– Gdzie będziemy?

– U siebie! To lepiej niż u kogoś innego. Nawet u rodziców.

– Oni nas kochają!

– Kto ci to powiedział?

– Matka. Ojciec też...

Nie pamiętałem, żeby ojciec tak mówił. Ale słyszałem, jak wypiwszy sobie, opowiadał kumplom, jaki był szczęśliwy, kiedy przyszedł na oddział położniczy i dowiedział się, że ma syna. A nie jakąś tam córkę.

– Moi też mi mówią, że mnie kochają. I co? Co takiego zrobiliśmy, żeby nas oddawać na milicję? Albo kazać pracować w ogrodzie w Dżankoju!

Prawdę mówiąc, mnie też się zdawało, że ani ja, ani Ruta nie zrobiliśmy nic takiego, żeby aż prowadzić nas na milicję. Albo nawet – żadnych kurortów, wsiadać w pociąg i do domu.

– Dla nich zawsze jesteśmy czegoś winni, bo rodzice po prostu nie kochają, nie mogą kochać swoich dzieci – powiedziała Ruta, wyczuwając, że się waham, czy rzeczywiście nie możemy zostać z takimi rodzicami. – Dlaczego nie mogą kochać? – Bo dzieci wypychają ich z życia! – Jak wypychają? – A tak. Urodziłam się i zajmuję miejsce matki. A ona, wynocha! Ty się urodziłeś i zajęłeś miejsce ojca. A on, wynocha. Dlatego ona na mnie wrzeszczy. A twój cię bije.

Nie mówiłem jej, że ojciec mnie bije. Sama się domyśliła.

Miałem trudne układy z ojcem, ale nigdy nie myślałem, że wypycham go z życia, żeby zająć jego miejsce, i dlatego on nie może mnie kochać. On jest na swoim miejscu, a ja na swoim. Nawet w pociągu, a co dopiero w życiu, gdzie jest tyle miejsca, że ile byś nie zajmował i tak nie zajmiesz całego. Zgodziłem się wysiąść z pociągu, ale wcale nie dlatego, że Ruta mnie do czegoś przekonała. Zgodziłbym się na cokolwiek, nawet wykoleiłbym pociąg, żeby zginąć razem z Rutą. Z rodzicami czy bez, było mi wszystko jedno. Stałem na chwiejnych, rozhuśtanych pomostach między wagonami, a Ruta mnie całowała.

Wyszliśmy cicho, nikt nie zauważył. Nasz pociąg, przepuszczając jadący z przeciwną stroną, stał długo na rozjeździe, konduktorka otworzyła drzwi, żeby przewietrzyć zadymiony przedsiónek, a sama usiadła do śniadania... Kiedy pociąg ruszył, spodziewaliśmy się, że któregoś z rodziców pociągnie za hamulec bezpieczeństwa, ale nikt tego nie zrobił.

Ruta długo patrzyła za pociągiem... Aż zniknął za zakrętem.

– Mówiłam, że nie kochają. A tyś nie wierzył.

– Oni jeszcze śpią.

– Więc we śnie też nie kochają.

Już wschodziło słońce, w którym zobaczyliśmy niski, parterowy budynek wyglądający jak garaż albo magazyn, ale sądząc po kilku ławkach przy wejściu, był stacją kolejową. Za nim stała budka dróżnika, a za budką było jezioro. Dalej, pod zalesionym stokiem stał niegdyś pobielony, a teraz oblażący z farby, trzypiętrowy dom z podobnie oblażącym sztyldem nad wejściem: Sanatorium Nieśmiertelniki.

– Sanatorium dla Kościejów Nieśmiertelnych – powiedziała Ruta. – Chodźmy się rozejrzeć.

Ona niczego i nikogo się nie bała. Ta Ruta.

Drzwi stacji otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna w kolejowym mundurze.

– Skąd jesteście? – zapytał, gdy nas zobaczył.

– Stamtąd. – Ruta pokazała na nędzny budynek z napisem „Nieśmiertelniki”. Kolejarz spojrzął w tamtą stronę.

– A, to wy z Czesikiem? – Z Czesikiem. – On tu jeszcze jest? – Jest.

– Jedźcie jutro? – Jutro. – Powiedzcie mu, żeby kupił bilet. Bez biletu nie pojedzie.

– Dobrze, powiemy. Sam chciał kupić. – Chciał? A za co? Wszystkie pieniądze przegrał u Gicala. – Nie, nie wszystkie. Wczoraj wygrał. – U Gicala? – A u kogo... U kogo tu jeszcze można wygrać. U was? – U mnie nie wygrasz – powiedział chudy jak patyk kolejarz, którego wygląd nasuwał myśl dawno emerytowanego czarownika Kościeja.

– Gical! Śpisz, Gical? – Ruszył w kierunku budki przy semaforze. – A obchód kto zrobi? Te dzieciaki? Mówią, że Czesik wczoraj cię ogolił...

– Chodźmy! – powiedziała Ruta, nie czekając, aż Gical się obudzi i zapyta: „Co za dzieciaki?” – Zadziwiła mnie tą rozmową z kolejarzem, jak żadna aktorka w żadnym filmie. Nie zapomniała się przy tym pochwalić:

– Widziałeś jak ja...? Teraz wiemy, że jest ich trzech. Czesik, Gical i Kościej. Dwóch tu pracuje. Kościej jest prawdopodobnie szefem. Gical prawdopodobnie dróżnikiem. Trzeba jeszcze rozpracować tego Czesika.

Kiedy ostatni wagon naszego pociągu schował się gdzieś za wschodzącym słońcem, zacząłem się bać. Panikowałem nie tylko z powodu tego, co będzie z moimi rodzicami, kiedy się obudzą? Wiadomo, co będzie. Pójdą na milicję w Teodozji. Ale co będzie z nami, ze mną na tym rozjeździe, gdzie nie ma nic prócz baraku stacyjnego i oblatłego domu, w którym nikt nie mieszkał z wyjątkiem Kościeja z jakimś Gicałem i Czesikiem? Wzdrygnąłem się na myśl o tym, ale Ruta zachowywała się tak, jakby nie znalazła się przypadkiem na nieznanym rozjeździe kolejowym, nie wiedząc, co dalej, ale przyjechała tu specjalnie, żeby rozpracować Czesika, Gicala i Kościeja. Dziewczynka, dziecko – dorosłych.

Czesik nie okazał się dorosłym. Albo dorosłym nie do końca. Młody chłopak o cygańskim wyglądzie, który właśnie skończył szkołę.

Czesik mieszkał sam na wszystkich trzech piętrach opuszczonego, zrujnowanego domu, w którym kiedyś mieściło się sanatorium. Przywitał nas niegrzecznie:

– Kim jesteście? Gdzie wasi rodzice. Co wy tak bez nikogo? – Ale złagodniał wysłuchawszy rzewnej opowieści Ruty o tym, jak uciekliśmy, gdzie nas oczy poniosą, od rodziców, którzy nas katowali.

– Znaleźli tu wodę mineralną, która wszystko leczyła i zbudowali pierwszy gmach sanatorium – powiedział pod koniec tego najdłuższego dnia w moim życiu, kiedy pożywialiśmy się rybami złowionymi w jeziorze. – Ale woda się skończyła. – Kościej mówi... – O! i nazywa zawiadowcę stacji Kościejem – że było trzęsienie ziemi i cudowna woda zniknęła. Mówi, że spłynęła do morza, zostawiając po sobie jezioro. Ale ono nie jest wcale mineralne.

Czesik mieszkał w opuszczonym sanatorium na rozjeździe Nieśmiertelniki, czekając na dogodny moment, by wykolcić pociąg. Przyznał się do tego po tym, jak do Nieśmiertelników przyjechało dwóch milicjantów na motocyklu, a Kościej, którego zapytali o chłopca i dziewczynkę, wskazał na zaniedbany dom. – Tam latały jakieś dzieci. Odetchnąłem z ulgą, gdy zobaczyłem milicjantów, ale Ruta poprosiła Czesika, żeby pokazał nam jakąś kryjówkę, a ten zaprowadził nas do piwnicy, gdzie ledwo udało nam się wcisnąć do jakiejś dziury za kotłownią. Wejście do niej było zasypane

węglem prawie do sufitu. Jeden z milicjantów wdrapał się na stos węgla, który zaczął się obsuwać. Wzbił się tuman pyłu, milicjant zakaszłał:

– A do cholery z nimi! – Drugi machnął ręką i ruszyli swoimi motocyklami, skąd przybyli.

Czesik, który miał siedemnaście lat, nie skończył, jak się okazało, szkoły. Został wyrzucony z ostatniej klasy i wysłany do poprawczaka. Uciekł z niego, a teraz czekał na pociąg, którym dyrektor szkoły będzie wracał z urlopu. Czesik miał minę, którą kupił w koszarach za pół litra, niby po to, żeby nią ryby w jeziorze głuszyć. Był gotów podłożyć ją pod pociąg, kiedy dyrektor jechał na urlop, ale przegrał minę w karty z Gicalem i dopiero teraz ją odegrał:

– No to As oberwie w drodze powrotnej.

Chciałem zapytać, skąd Czesik wie, kiedy ten As będzie wracał, ale Ruta uprzedziła mnie, pytając:

– Kto, mówisz, oberwie?

– Dyrektor szkoły. Arkady Sawielewicz Uljanow. Nasz Lenin. – Czesik strzyknął pogardliwie śliną, co dobrze umiał robić. – Dorwali mnie za rękawiczki, które jakoby ukradłem z pokoju nauczycielskiego. Znaleźli je w mojej ławce. Na ostatnią lekcję Lenin przyszedł z dzielnicowym. Od początku wiedział, gdzie są te rękawiczki. Żaden z nauczycieli nie stwierdził, że to jego. Na milicji mieli mnie już w kartotece i wiadomo było, że mnie wsadzą, jeśli ktoś powie, że kradłem. Lenin, bydlę, mi je podrzucił. Przystawiałem się do jego córki, więc podrzucił, żeby mnie wsadzili. Przedtem pięć razy do mnie przyłaził: – Odczep się od mojej córki, ona nie dla bandyty! – I wymyślił, co zrobić, żebym się odczepił. A dzielnicowy, takie samo bydlę, nie pytał nawet, co robiły rękawiczki dyrektora w pokoju nauczycielskim, skoro dyrektor miał osobny gabinet... Mało było mu osobnego gabinetu, to będzie miał osobny grób!

Czesik aż zgrzytnął zębami – taki kipiał w nim gniew na dyrektora szkoły.

– Grób nie będzie osobny – powiedziała Ruta. – W wagonie z kuszetkami są pięćdziesiąt cztery osoby. Widziałam, kiedy jechaliśmy. A pociąg ma piętnaście wagonów, tak, że ludzie w nim...

Czesik nie słuchał, ilu w pociągu ludzi, i znowu zazgrzytał zębami:

– No i dobrze!

Czesik był zły na cały świat. Przez jakiegoś dyrektora.

– Nie przez jakiegoś – powiedziała następnego dnia Ruta, prowadząc mnie rano dwie wiorsty od węzła do miejsca, gdzie pociąg bierze ostry zakręt i właśnie na tym zakręcie Czesik miał podłożyć minę. – Zapomniałeś, jak się nazywa mój ojciec? Arkady Sawielewicz, a jego przezwisko to Uljanow. I on jest dyrektorem szkoły.

Często łypię oczyma. Zdarza mi się to, kiedy spotyka mnie coś nieoczekiwanego. Miałem nawet szkolne przezwisko Łypacz, więc kiedy się już nałypałem, zapytałem głupio:

– To Czesik się do ciebie przystawiał? – Na co Ruta odpowiedziała, że ma siostrę.

– Starszą. Chodziła do tej samej szkoły co Czesik. Ja jestem w innej. Muzycznej. Moja mama bardzo chciała, żebym grała jej na pianinie. Umyśliła sobie, że wtedy będziemy kulturalną rodziną. Widziałeś tę kulturę. Na cały wagon: „Dziwka! Bezwstydnica!”. Siostra skończyła szkołę i przygotowuje się do egzaminów do instytutu pedagogicznego. Dlatego została w domu, nie pojechała z nami. Chciała iść do szkoły teatralnej i zostać aktorką, ale ojciec powiedział: „Nie! Będiesz nauczycielką! Tak jak ja!” Lenin zaszary!

Nigdy nie nazwałbym mojego ojca zaszarym Leninem. Jaki by nie był.

– A co myślisz zrobić z Czesikiem? Z jego miną? – zapytałem Rutę i jeszcze bardziej zacząłem łypać, kiedy odpowiedziała:

– Nic. W naszej rodzinie kocham tylko siostrę, a ją rodzice zostawili w domu.

– Co się tu wałesacie? – spytał nas w drodze powrotnej Gical, od którego na kilometr wiało samogonem. – Szukacie chłodni? Będą dziś wieczorem stać na rozjeździe. Cztery godziny. Możecie się nażreć do woli.

„Nażreć się do woli” oznaczało kradzież jedzenia z wagonów-chłodni. Na rozjeździe w Nieśmiertelnikach ich nie było, ale jeść się chciało, jeszcze jak, więc kradliśmy żywność z wagonów z suchym prowiantem. Konserwy, makaron, kaszę, pieczywo... Czesik miał otwieracz i plombownicę. Ostrożnie otwierał plomby a potem znów plombował zamki. Nowe pieczęcie nie były całkiem takie same i czekaliśmy, aż nas ktoś złapie, ale nikt nas nie łapał. Czesik mawiał: – Taki kraj. Nie tylko my kradniemy. Wszyscy kradną. A jak tu wylapać wszystkich?

Staliśmy przy budce Gicala, który zapytał, jakoś dziwnie patrząc na Rutę.

– Może zajdziemy do mnie? Mam cukierki... – I nagle coś szalonego pojawiło się w jego oczach. Chwyił Rutę za rękę i wciągnął do budki.

– Puść mnie! – krzyknęła. – Puszczaj, Gical! – A ja stałem jak skamieniały i nie ruszyłem się nawet, kiedy Ruta zawołała z budki:

– Maksym! – Tak przeraził mnie oszalały wzrok Gicala. I dopiero kiedy Ruta już nie wołała, ale wrzeszczała:

– Maksym! Maksym! – pogałem do zawiadowcy stacji:

– Wujku Kościeju! Wujku Kościeju...

Kościej spał. Obudził się od mojego krzyku:

– Dla ciebie żaden Kościej?...

– Tam Gical! Rutę! Do budki zaciągnął!

– No i co z tego... – Kościej przewrócił się na drugi bok. – Jak to młodzi.

Pod stołem stały dwie puste butelki po wódce, na stole leżała niedodzona przekąska. Dlatego od Gicala ziało na kilometr. Wyskoczyłem na peron, pobiegłem do sanatorium:

– Czesik! Czesik!

Już biegł w moją stronę. Z rozpędem wpadł do budki. Gical go stamtąd wyrzucił, sam wyszedł, zapinając rozporek, a z tyłu pojawiła się Ruta w podartej sukience...

Dwukrotnie starszy od Czesika i dwa razy większy trzydziestokilkuletni Gical spokojnie wyjął z jednej kieszeni papierosa, z drugiej zapalki, skrzesał ogień, ale nie zdążył zapalić. Czesik rzucił się na niego. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak rozpaczliwie walczył.

– Co robisz? Kim ona jest dla ciebie? – Gical słabo bronił się przed atakiem, a Czesik skakał do niego i skakał, bił i bił, aż pokrwawiony Gical upadł, a Ruta podeszła triumfalnie, jakby to ona okrwawiła Gicala, i splunęła na niego.

– Co on... Co on... Co on ci zrobił? – dopytywał Rutę Czesik, gdy szliśmy do naszego sanatorium i patrzył na nią tak, jakby nie chciał usłyszeć odpowiedzi. Ruta milczała, tylko pluła i pluła na boki, pluła, jakby miała w ustach krew Gicala, a potem nagle stanęła, rozłożywszy ręce, nie przed Czesikiem, ale przede mną:

– Wszystko! – I splunęła na mnie tak samo jak na Gicala. A kiedy Czesik zapytał:

– Co on mógł zrobić z dorosłym chłopem? – odpowiedziała, podciągając podartą sukienkę:

– Nie wiem. Nawet nie próbował... Dupek!

3.

Do dziś pamiętam, jak powiedziała: „dupek!”, i jak splunęła. Dlaczego więc, pamiętając o tym, stoję z białymi różami na peronie mińskiego dworca kolejowego, który wygląda zupełnie inaczej niż pół wieku temu, kiedy odjeżdżał z niego pociąg do Teodozji przez Kijów? Kiedy biegały po nim dziewczęta w sombreroach i chłopcy w panamkach.

Umówiliśmy się na spotkanie za pięćdziesiąt lat, zanim jeszcze wysiedliśmy z pociągu na rozjeździe w Nieśmiertelnikach. W przedsiönku wagonu. Ruta wymyśliła, żeby się spotkać na peronie stacji w Mińsku o godzinie odjazdu naszego pociągu: „Tak będzie ciekawie. Inaczej, nie”. „W takim razie dlaczego nie za sześćdziesiąt?” – spytałem. „Za sześćdziesiąt będzie jeszcze ciekawiej”. Ale ona odpowiedziała, że za sześćdziesiąt

możemy już w ogóle nie być ludźmi. „Popatrz na naszych rodziców. Co w nich ludzkiego?”

Nie widziałem w naszych rodzicach nic nieludzkiego. I nie chciałem czekać tak długo. Te pięćdziesiąt lat wydawało mi się wiecznością. Nie wyobrażałem sobie rozstania z Rutą choćby na jeden dzień, a co dopiero na wieczność. Ale powiedziała, że ruszamy w nieznaną, więc różne rzeczy mogą się nam przytrafić. Może zabłądzimy, zgubimy się w świecie, ale będziemy wiedzieć, że za pięćdziesiąt lat się odnajdziemy: „I dowiemy się, co było później”. Dotknęła mojego policzka karmelowymi ustami, a ja próbowałem skrócić rozłąkę i spotkać się, jak w drugim tomie opowieści o muszkietierach, dwadzieścia lat później. Nie zdążyłem jej przekonać – pociąż zatrzymał się na rozjeździe...

Przyszedłem na peron mińskiej stacji kolejowej dwadzieścia lat później. Myślałem: a nuż?

Ruty nie było. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Po studiach pracowałem w Ministerstwie Finansów. Siedziałem w papierowym pyłe, ale praca była w porządku. Przestał istnieć ZSRR, a razem z nim Białoruska Socjalistyczna Republika Radziecka, pojawiła się zaś Republika Białorusi, ale moja praca była taka sama. Taki sam był papierowy pył.

Ministerstwo Finansów mieściło się w Domu Rządowym. Nastął nowy rząd, przyszli ludzie w czerni, wysłani przez ten nowy, i kazali nam się wynosić: „Żeby tu nawet pyłku po was nie zostało!”. Zjawili się trzy dni później: „Jeszcze tu jesteście?”. Nasz minister próbował im wytłumaczyć, że nie możemy tak szybko przenieść się na nowe miejsce, a oni powiedzieli: „No to wam pomożemy!”. I wyrzucili nas na ulicę razem z naszymi biurkami i odłączonymi komputerami, które zawierały wszystkie informacje o stanie finansowym kraju.

Do czegoś potrzebowali naszych biur. Nikt nie wyjaśnił do czego. Nowy rząd niczego nikomu nie wyjaśnił. Ale ponieważ nasze biura znajdowały się w Domu Rządowym, chyba dawano nam do zrozumienia, że nie jesteśmy już rządem.

Jeden z moich kolegów ze studiów, wiceminister, podał się z tego powodu do dymisji. Był naszym czołowym specjalistą, nazywano go geniuszem finansowym, i wszyscy myśleli, że jego dymisja nie zostanie przyjęta, że zaczną go namawiać, żeby został. Może on sam na to liczył? Ale się przeliczył. „Nie chcesz być z nami?” – zapytali go. „To idź w...!”

Tak powiedzieli.

Wtedy po raz pierwszy zaświtała mi myśl, że coś z tym nowym rządem nie tak. Ale zaświtała tylko na moment. Przyszła i odeszła. A mnie mianowali na miejsce przyjaciela.

Oczywiście, nie zgodziłem się tak od razu. W końcu co przyjaciel, to przyjaciel. Poszedłem do niego. Piliśmy, gadaliśmy. „Bierz” – powiedział. – „Inaczej wsadzą tam jakiegoś dupka”.

Przed nominacją zostałem wezwany do KGB. Na rozmowę. Powiedzieli, że już zatwierdzili moją kandydaturę. Przygotowali dokumenty dla prezydenta (Białoruś miała już wtedy prezydenta), ale... Ale jeśli chcę zostać nie tylko wiceministrem, ale ministrem, do czego też potrzebne będą ich dokumenty, muszę podpisać jeszcze jeden papierek...

Podpisałem. Nie po to, żeby zostać ministrem, ale żeby w dzień spotkania z Rutą, którą tak interesowało, kim zostanę, móc powiedzieć, kim zostałem.

Kiedy Gical ją zgwałcił, przeląkł się, że poda go na milicję. Dlatego sam doniósł, że Ruta, ja i Czesik chcieliśmy podłożyć minę pod pociąg, a on ją nam zabrał. I że jakoby biliśmy się z nim, kiedy nam ją odbierał. Stąd siniaki u Ruty. Kościej powiedział o tym Czesikowi. A Czesik powiedział nam, że jeśli nie chcemy iść do zakładu dla nieletnich, musimy uciekać.

Przez te dwa dni, kiedy błakaliśmy się koło Nieśmiertelników, nie wiedząc, dokąd iść, Ruta nie odzywała się do mnie. Kiedy trzeciego dnia za krzakami, w których się chowaliśmy, pojawiła się milicja, zapytałem, czy spotkamy się za 50 lat, tak jak się umówiliśmy? A ona powiedziała, że się spotkamy, bo jest ciekawa, kim zostanę? „Ja, Ruta, zostałem ministrem”.

Nawet kiedy nas złapali, nie złożyła oskarżenia przeciw Gicalowi. Nie wiem dlaczego. Może nie chciała, żeby rodzice się dowiedzieli. Ale lekarz, który ją zbadał, wszystko opisał. Gical stanął przed sądem, Czesika odesłali do poprawczaka, a rodzice Ruty, bojąc się rozgłosu, nie wrócili do Mińska. Zostali w Dżankoju.

Pojechałem do Dżankoja po dwudziestu latach. Odnalazłem dom, w którym mieszkała kiedyś ich rodzina. Ale byli tam już nowi właściciele, którzy powiedzieli, że stary właściciel zmarł, a młodzi wyjechali. Gdzie? Tego nikt nie wiedział. Nerozumni byli. Jakby coś ukrywali.

W drodze z Dżankoja nie mogłem się nie zatrzymać w Nieśmiertelnikach. Nic się tam nie zmieniło. Nawet Kościej żył, ale nie był już zawiadowcą stacji, tylko mieszkał tam, bo nie miał gdzie. Powiedział, że Czesik odsiedział 10 lat za próbę sabotażu na kolei, a kiedy wyszedł, ożenił się z Rutą. Skąd Kościej o tym wiedział? Bo tutaj wyprawili wesele. Dziesięć lat temu przyjechali tu z gośćmi i wyprawili wesele.

Jadąc do Mińska za biletom wykupionym w wagonie z kuszetkami, położyłem się na tej samej bocznej kuszetce, na której wtedy jechałem, ale nie dojechałem do Teodozji. Patrzyłem, jak w moim i w sąsiednim przedziale pasażerowie rozstawiają butelki i przekąski, i przerywa-

jąc sobie nawzajem, opowiadają gdzie i z jakimi przygodami odpoczywali. Pociąg mnie uspił i zwidziało mi się, że to Arkady Sawielewicz i Waleria Siemionowna wracają z Eupatorii i opowiadają moim rodzicom, jak dobrze wypoczywać w dziecięcym kurorcie, gdzie dzieciom nie grozi żadne niebezpieczeństwo, a moja mama pyta: „To dlaczego nie upilnowaliście Ruty?” – Arkady Sawielewicz i Waleria Siemionowna milczą z zakłopotaniem, a ja przypominam sobie, że Czesik podłożył minę pod torami na zakręcie za budką Gicala, żebym się nigdy więcej nie spotkał z Rutą! Wbiegam do przedsionka, żeby pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa, ale konduktorka, która pali na rozhuśtanych pomostach między wagonami, tych samych, na których paliła Ruta, mówi, że za hamulec trzeba było ciągnąć, kiedy jechaliśmy w tamtą stronę, a teraz, w drodze powrotnej, już za późno...

Być może za późno spotykać się po pięćdziesięciu latach. W drodze powrotnej. Na prawie pustej stacji.

Spojrzałem na zegar. Do odjazdu naszego pociągu do Teodozji został kwadrans. Ale pasażerowie z przewiązanymi walizkami, z płóciennym i skórzanymi sakwożaczami, nie tłoczyli się na peronie. Nikt nie szukał wagonu. Pociągu na stacji Mińsk Osobowy nie zapowiadano. W Ukrainie była wojna i pociągi na południe w ogóle nie kursowały. Ani przez Kijów, ani przez Połtawę.

Lilia, dziewczyna z mojego dzieciństwa, z którą ożeniłem się po tym, jak dowiedziałem się o ślubie Ruty, miała rodzinę w Ukrainie. Rodzinę siostry, która wyszła za Ukraińca. Troje dzieci. Jej mąż poszedł na wojnę, ich dom w Charkowie spłonął, siostra z dziećmi tułała się po obcych ludziach, a Lilia nie mogła się tam dostać, żeby jej pomóc. Było jej wszystko jedno jak i czym – najważniejsze, żeby się tam dostać. Ale od początku wojny z Białorusi do Charkowa jechały tylko czołgi.

Kiedy pobraliśmy się z Lilią, próbowałem ją namówić na wesele w Nieśmiertelnikach. Nie udało się. Znając historię Ruty, powiedziała: „Jeśli szukasz satysfakcji, wybierz inną broń. I innego sekundanta”.

Po ślubie nie pojechaliśmy do Nieśmiertelników, tylko do osady, gdzie przeminęło nasze dzieciństwo. Nie było już Techniki Rolniczej, zostało parę domów, w których mieszkali obcy ludzie. Weszliśmy do tego, który kiedyś był mój. „Co wy za jedni?” – zapytali. Powiedziałem, że mieszkalem tu, będąc dzieckiem. Ludzie z mojego domu wzruszyli ramionami: „No i co z tego?”. Nie wiedziałem, co z tego, ale Lilia wiedziała. „A to tego” – powiedziała do właścicieli – „że możecie go w dupcię pocałować”.

Taki miała charakter w dzieciństwie i taki jej pozostał.

Ludzie się nie zmieniają. A jeśli się zmieniają to tylko na zewnątrz. Siwe włosy, zmarszczki. Ale w środku nie.

Nic się nie zmienia. Kraj jest taki sam, choć się inaczej nazywa. Ludzie są tacy sami. Taka sama władza, choć udaje inną.

Paweł, który był wiceministrem, i z którym się przyjaźniłem, na pytanie: „Dlaczego tak jest?” – nie szukał skomplikowanych odpowiedzi. „Wszystko proste” – powiedział. „Tak tu posiane”.

Tak posiane. I to, że gdzieś kiedyś była Technika Rolnicza, a teraz jej nie ma, niczego nie zmienia. Lilia nie chciała iść do swojego dawnego domu. Za domem płynęła rzeka, a za nią była ziemianka. Niemiecka, jeszcze z czasów I wojny światowej. Miejsce zabaw naszego dzieciństwa. Weszliśmy do niej, a ona zaczęła: „Pamiętasz?”

Nie pamiętałem ani Walerka Pataszewskiego, ani cyrkowego konika, ani naszego – przez tego konika – pojedynku. Całą moją pamięć wypełniała Ruta. Pociąg do Teodozji i ten pachnący karmelem pocałunek na rozchwianych pomostach między wagonami. Sanatorium Nieśmiertelniki, Kościej, Czesik, Gical...

Lilia nie pamiętała pociągu do Teodozji. Opowiadałem jej o tym, wiedziała o tym, ale nie pamiętała. Po naszej podróży poślubnej w dzieciństwo przypomniała sobie, jak kochaliśmy się w tej ziemiance. Powiedziała, że tylko tam, tylko raz, poczuła się kobietą, której spełniły się wszystkie miłosne marzenia. Tylko tam, tylko raz – i nigdy więcej. „Czy rozumiesz, o czym mówię?” – pytała.

Nie rozumiałem, ale powiedziałem, że rozumiem. Jakoś szybko i łątwo nauczyliśmy się kłamać jedno przed drugim i wierzyć w te kłamstwa. Uchroniło nas to przed scenami małżeńskimi, dlatego prawie połowę życia przeżyliśmy razem. Na wspomnieniach z dzieciństwa.

Gdy wybuchła wojna, wezwano mnie do urzędu, który zatwierdził moją kandydaturę na wiceministra. O co chodzi, myślałem... No, może, tak jak obiecali. „Jeśli chcesz zostać ministrem...”. Ale nie. Okazało się, że Paweł, mój przyjaciel, były wiceminister, wyszedł na ulicę z plakatem „Precz z wojną!”, a przyjaźnił się nie tylko ze mną, ale także z obecnym ministrem, z którym ja też się przyjaźniłem. Więc spytali, co myślę zarówno o byłym, jak i obecnym przyjacielu?

Próbowałem się wykręcić. Zacząłem mówić, że pół życia Paweł spędził w Związku Radzieckim, gdzie hasło „Precz z wojną!” i apel „Pokój światu!” można było przeczytać codziennie w każdej gazecie i moi przyjaciele prawdopodobnie nadal żyją w tym duchu. I nie tylko oni. Wielu nie może zrozumieć, jak Rosjanie, dla których Ukraińcy i Białorusini są braćmi, o czym też można było przeczytać we każdej gazecie, mogli...

Słowa „napaść” nie zdążyłem wymówić, kiedy mi przerwali: „Ale wy rozumiecie? No to napiszcie to, co rozumiecie, o jednym i o drugim...”

Nic takiego nie napisałem... Żadnych tam wrogów ludu albo obcych agentów... To, co napisałem na tych trzech arkuszach, oni równie dobrze mogliby napisać o mnie. Mogliśmy jeszcze zrozumieć, że Rosja zajęła Krym, ponieważ Krym nigdy nie wydawał się nam ukraiński. I nawet nie rosyjski, ale sowiecki. To miejsce, gdzie znajdował się pionierski obóz Artek. A skoro Rosja przejęła wszystko, co sowieckie, to należy dopuścić, że mogła też przejąć Krym, razem z obozem pionierskim. „Ale żeby całą Ukrainę?”. Tak mi mówili i tak napisałem.

Kilka tygodni później odbyło się spotkanie z prezydentem i zaprosili na nie mnie, a nie ministra. Zaprosili zastępcę. Dzień przed spotkaniem zadzwonił Paweł:

– Wpadnij. Napijemy się. Pogadamy.

Wpadłem.

– Pamiętasz – zapytał, kiedy już wypiliśmy – że to ja pomogłem ci z pracą w ministerstwie. Inaczej pojechałbyś pracować do Aktiubińska?

– Pamiętam.

– Pamiętasz, że to ja pomogłem ci z mieszkaniem, kiedy brałeś ślub? I to w centrum. Inaczej mieszkalibyście w pokoju z kuchnią w jakimś blokowisku z płyty.

– Pamiętam.

– Pamiętasz, że jak podrobiłeś list ministra, żeby dostać darmową pożyczkę na dachę, to ja zatuszowałem sprawę. Inaczej wykopali by cię z ministerstwa z wilczym biletem?

– Pamiętam.

– To dobrze, że pamiętasz. W takim razie nie będę ci już przypominać o całej reszcie rzeczy, które dla ciebie zrobiłem. Zapytam cię tylko: Czy zdajesz sobie sprawę, że tego, co masz, nie mógłbyś mieć bez mnie?

– Zdaję sobie sprawę.

– W takim razie powiedz: Bałbyś się stracić to, czego mogłeś w ogóle nie mieć?

– Jak to? Co ty? Czekaj...

– Odpowiedz: – Bałbyś się czy nie? Jeśli czegoś mogło nie być, to co, że nie będzie?

Paweł nigdy wcześniej nie przypominał mi, jak i w czym mi pomógł. Nawet się nie zająknął. A tu nagle... I raptem zrozumiałem, do czego zmierzam. Zrozumiałem, zanim jeszcze wręczył mi trzy kartki papieru, z których na pierwszej napisane było u góry: „Rachunki strat finansowych i ekonomicznych, jakie poniesie Białoruś z powodu udziału w rosyjskiej operacji wojskowej na Ukrainie”.

Tę wojnę oficjalnie nazywano u nas, tak samo jak w Rosji, operacją wojskową. Tych, którzy nazywali ją wojną wsadzano. I w swoich kalkulacjach Paweł nie nazwał tego wojną. Bał się. A mnie powiedział:

– Masz okazję wyjaśnić kierownictwu kraju, pokazać na liczbach, fatalny charakter decyzji politycznych zmierzających do sojuszu wojskowego z Rosją. Nawet jeśli to nie powstrzyma wojny, będziesz wiedział, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby ją powstrzymać. Żeby nie przyszła do nas. Dla czegoś takiego warto stracić wszystko, co się ma.

– Nawet życie? – zapytałem. Skinął głową:

– Życia też mogło nie być.

Oczywiście, że mogło. Ale życie to nie mieszkanie. I nie on mi je nie dał. Kiedy widzieliśmy się poprzednim razem, powiedział, że Bóg dał nam Białoruś. A wojna może nam ją odebrać. I do tego nie wolno dopuścić. Bez względu na koszty. Ale dlaczego moim kosztem?

Paweł był nacjonalistą. Nawet w ministerstwie mówił po białorusku: „Bóg dał nam język”.

Bóg dał Białoruś, Bóg dał język... Co cię obchodzi język, jeśli jesteś finansistą? Czy na banknocie napisane *rubl'* czy *rubel'* zawsze to ten sam rubel i zawsze ma sto kopiejek.

Dał mi swoje wyliczenia. Wziąłem. Nie mogłem nie wziąć.

– Obiecuj, że to zrobisz. – Obiecałem. Ponieważ byliśmy przyjaciółmi. Nie mogłem nie obiecać. A następnego dnia zadzwoniła jego żona:

– Maksym, dziś rano Pawła... – I płacze. – Zrób coś, Maksym!

Aresztowany! Oni chyba go śledzili! Widzieli, że ja... I pewnie podsłuchiwali!

Na spotkaniu z prezydentem pytano mnie o stan finansowy kraju. I dali jasno do zrozumienia, że chcą ode mnie usłyszeć: „Niektórzy alarmiści krzyczą o niewypłacalności”. Odpowiedziałem, że sytuacja finansowa jest skomplikowana, ale stabilna. Pokręcili głowami: „Tak. Wszystko jest dziś skomplikowane. Ale najważniejsze, że stabilne”.

Nie wziąłem na spotkanie dokumentów Pawła. A co, jeśli przeszukają? Ale pamiętałem wszystkie obliczenia. I przypomniała mi się ostateczna konkluzja: zapaść finansowa!

Gdyby Pawła nie aresztowali... Gdyby... To może... Marina, jego żona, dzwoniła codziennie. Kilka razy dziennie. Jakby nie rozumiała... Ja też nie rozumiałem. Tylko nie rozumiałem czego innego. Dlaczego? Po co? Za plakat „Precz z wojną”? Najlepszego finansistę w najtrudniejszej sytuacji finansowej kraju?... A może za panikarstwo? Za niewypłacalność? Za zapaść?... Ale on nikomu oprócz mnie... Czy może za Luksemburg? I właśnie za to go z pracy wyrzucili!

Wysłali nas do Luksemburga na forum finansowe, aby wydebić pożyczkę od Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Mówiłem tak, jak mi kazano. Że tu wszystko stabilne, a kredyt potrzebny na rozwój. A Paweł wdał się w dyskusję o niestabilności finansowej na świecie. Problemy finansowe, mówił, jak wszystkie problemy techniczne, wynikają z problemów ludzkich. Z problemów etyki i kultury, które na całym świecie znajdują się w stanie kryzysu. Tak się rozgadał na temat etyki i kultury, że prowadzący dyskusję Niemiec spytał go żartem, czy aby nie pomylił konferencji. Na co Paweł, całkiem serio: „Skoro pan tak myśli, to pan pomylił konferencje”. A ten Niemiec był akurat jednym z dyrektorów rady wykonawczej MFW, u której prosiliśmy o kredyt.

Po powrocie wezwali mnie i zapytali, dlaczego nie ma kredytu? Pawła nie zwywali i nie pytali, tylko mnie. Było jasne, że wiedzą o wszystkim. Ktoś tam był i obserwował. Nie było co kombinować i opowiedziałem, jak i co się stało.

Kiedy tak opowiadałem, widziałem szaleństwo w oczach „szefa”, jak Paweł nazywał prezydenta. Takie samo szaleństwo było w oczach Gicala, kiedy ciągnął Rutę do swojej budki. I te oczy nagle zadały mi pytanie: „Jesteście gotowi służyć nie sobie, ale państwu? Służyć wiernie! Tylko państwu! Bez żadnych dyskusji tu czy za granicą?”

Nie sposób było nie zrozumieć, co kryło się pod terminem „państwo”. On sam. Zaciągnięto mnie do budki dróżnika, żeby mnie zgwałcić, ale co miałem robić? Co mogłem odpowiedzieć? Że nie jestem gotów? Albo powiedzieć, że jestem gotów przeczytać wyliczenia Pawła na temat załamania finansowego? I gdzie ja bym wtedy był? Kim ja jestem wobec „szefa”? Gdyby to mogło jeszcze powstrzymać wojnę, to może...

– Ty wy jesteście Maksym? – Usłyszałem z tyłu głos Ruty, który wstrząsnął mną tak, że róże wypadły mi z rąk. Odwróciłem się gwałtownie, jakby ktoś szarpnął mnie za ramiona. To była Ruta, ale nie dziewczynka i nie babcia, ale młoda dwudziestopięcioletnia kobieta. Zbierała z ziemi kwiaty.

– Jesteście umówieni z Rutą? Jestem jej córka.

Nie musiała tego mówić. Nie raz i nie sto razy próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądała Ruta w najpiękniejszym wieku kobiety. Kupiłem nawet dla mojej córeczki lalkę podobną do moich wyobrażeń i kiedy się nią bawiła, ja przypominałem sobie pachnący karmelem pocałunek na rozkołysanych pomościach między wagonami pociągu do Teodozji. Ale nawet w moich snach Ruta nie była tak piękna, jak ta młoda kobieta o smolistych włosach i chabrowych oczach, która odezwała się za moimi plecami echem całego mojego życia:

– To wy jesteście Maksym? Jesteście umówieni z Rutą?

Odwracając się, zobaczyłem coś więcej niż tylko Rutę. Ujrzałem swój los, swoje inne życie, które mogłem być przeżyć! I tak zabolalo pod sercem, zapiekło...

– Tak, jestem Maksym... A wy...

– Córka. Lilia.

– Kto?

Nie rozumiała, o czym mówię.

– Córka. Matka poprosiła mnie...

– Lilia? Dlaczego?

To pytanie ją zaskoczyło, wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Tak mi dali. Matka powiedziała, że ojciec...

– Jak się nazywa wasz ojciec?

Jej chabrowe oczy nagle pociemniały.

– Wiaczesław... – Krótko spojrzała na mnie pociemniałymi chabrami. – Czesik... Ale nie nazywa, ale nazywał. Zginął na początku wojny. Mieszkaliśmy pod Kijowem. Rosjanie wdarli się do domu. Zgwałcili matkę. W dojrzałym wieku była równie atrakcyjna jak w młodości. Kiedy widziano nas razem, mówiono że siostry. Ojca trzymali pod automatem, żeby patrzył... Ale się na nich rzucił... Matka była cała w jego krwi, kiedy Rosjanie poszli... Głos jej się załamał... – Mnie tam wtedy nie było, pojechałam do Kijowa. Matka wysłała mnie do ciotki. Swojej starszej siostry. Coś przeczuwała... Sama też mogła jechać... Ojciec tak samo... Ale oboje mówili: „I co nam zrobią Rosjanie? Przecież to nasi... Rosjanie, to nie Niemcy...”. Ja też tak myślałam, nie chciałam jechać... Znowu zamilkła.

– Wróciłam, kiedy wypędzili Rosjan i przez prawie pół roku opiekowałam się chorą matką. Rozchorowała się po śmierci ojca. Bardzo się rozchorowała. Tak bardzo, jak bardzo go kochała. Ona nie zanadto kochała swoich rodziców i siostry też nie. Cała jej miłość skupiła się na Czesiku. Majaczyła w gorączce... Jak zrozumiałam, kiedyś w jej życiu zdarzyło się coś podobnego. A ostatniej nocy, tej nocy kiedy umarła, dowiedziałam się, co to było... Nagle poczuła się lepiej i wszystko opowiedziała. O stacji Nieśmiertelniki, o ojcu, o was... Wspominała was wcześniej, ale nie tak... Nie o tym, jak... Ale jaką karierę zrobiliście. Ważna figura w Mińsku. Członek rządu. A jak zaczęła się wojna, czekała... Mówiła...

Lilia ledwie mogła wykrztusić słowa, zdawała się nimi dusić, lzy płynęły z jej chabrowych oczu. Podałam jej chusteczkę. Nie wzięła.

– Dziękuję, mam swoją... maminią, z jej łzami...

W tym „maminą z jej łzami” była już, tak mi się wydawało, kobieca teatralność, której nie znosiłem, która wywoływała u mnie jakieś poczucie winy, więc spytałem z irytacją:

– Na co ona czekała? Co mówiła? – Chociaż rozumiałem, a nawet wiedziałem, czego Ruta mogła się po mnie spodziewać, kiedy do jej domu wdarła się wojna, kiedy samoloty z raketami i czołgi ruszyły nie z Rosji, ani jakiegos

innego miejsca, ale z Białorusi, gdzie byłem „ważną figurą”, członkiem Rady Ministrów. Tam, pod Kijowem oczekiwała ode mnie tego samego, czego kiedyś oczekiwała w Nieśmiertelnikach, a ja ani nie próbowałem jej bronić sam, ani nawet nie pobiegłem do Kościeja. Niepotrzebnie spytałem, co umierająca Ruta powiedziała córce, która o wszystkim, co wojna zrobiła z jej rodziną, opowiadała tak, jakby miała żal, że musi o tym opowiadać, a potem, wyczuwając moją irytację, która miała źródło we mnie samym, ale za późno było to wyjaśniać, odezwała się bez żalu, bez łamiącego się głosu i bez łez w chabrach:

– Mama powiedziała, że umówiliście się na spotkanie. Powiedziała gdzie i kiedy, a ja obiecałem, że pojadę, przysięgłam, bo nalegała, żebym przysięgła, że powiem zamiast niej, że nie cofa słowa, które powiedziała wam pięćdziesiąt lat temu! – Córka Ruty cisnęła mi róże pod nogi i w tym momencie, z tym gestem i tą stanowczością w głosie, wydała się być nie tylko podobną do matki, ale samą Rutą, która, gdy zbierałem kwiaty, odwróciła się i bez pożegnania poszła peronem w kierunku, w którym odchodził pociąg do Teodozji przez Kijów, w kierunku wężła Nieśmiertelniki. Pobiegłem za nią, tak jak kiedyś biegłem od Gicała do Kościeja. Musiałem jej bronić, ratować, nie mogłem jej stracić na zawsze.

– Jakiego słowa? Jakiego słowa, Ruta? – Biegłem i pytałem bez tchu, jakbym miał nadzieję usłyszeć jakieś inne słowo, które może przez te pięćdziesiąt lat zapomniałem, a ona przystanęła, jakby też o czymś zapomniała. Stanęła na chwilę i splunęła przez ramię – nie w twarz, jak pół wieku temu, ale pod moje nogi, i znów ruszyła, szybciej niż potrafiłem biec, a ja krzyczałem:

– Ruta! Ruta! Wybacz mi, Ruta! – Ale nie zdołałem się jej dowołać, nie zdołałem jej dogonić...

Kiedy wróciłem do domu, Lilia, która nie lubiła róż, zwłaszcza białych, bo wszyscy kochali białe i chcieli być czysti, zapytała:

– A to dla kogo? – i nie czekając na odpowiedź, prawie nigdy nie czekała na moje odpowiedzi, żebym nie musiał kłamać, powiedziała, że Walerkowi Pataszewskiemu, chłopcu z naszego dzieciństwa, który odpalił nogi drewnianemu konikowi, też obcięli nogi. Na pogotowiu. Nie wiedziała dlaczego – może wypadek, a może jakaś choroba. Wiedziała tylko, że dzwoniła do niej koleżanka ze szkoły, która pracuje w szpitalu, i powiedziała, że obcięli.

Kraków, listopad 2022

Uładzimir Niakłajeu
Przełożył Jarosław Anders

Walżyna Mort

SINGER

W szklance mleka – miodu żółtko.
Na liniach komunikacyjnych – figlarne nietoperze.
W twoich pieśniach krew wisi, jak warkocze

suchej cebuli. Nasza wieś
nawet nie ma własnego cmentarza.
Mężczyźni umierają na wojnie,

ich ciała – same są sobie grobami.
Kobiety płoną w ogniu. Kiedy Kupała
przynosi burze, nie śpimy,

bo nasz dom to drewniane sito
i błyskawica sierpem odcięła nam włosy.
Całą noc płonie bagno, i nie śpimy.

A mnie się zdawało, że twój zdobywczy Singer
z ognia nas wyniesie na swoim zgiętym grzbiecie.

Że chwycimy grzywę rozwianych
nitek i szpulek państwa arabskiego.
Te same nitki są w moich spódnicach,
majtkach, w pierwszych stanikach. Jakież zapach

szedł od tych nitek! Ile razy
szytych, rozdzieranych, i znowu szytych
w ubrania utrzymujące mężczyzn,
którzy inaczej by się rozpadli.

Te same nitki są między moimi nogami.
Poganiam, i Singer leci galopem,
I niebo wisi na jednej błyskawicy.

Jak w tym wierszu:
roi się Egerstrasse
hulanką aryjskich dziwek
w koszulach
zdartych
z porozcinanych piersi
naszych dziewcząt.

Mój koniku-Singerze, czemu zawsze jest tak, jak w wierszu?

GOŚĆ

Spójrz, Maksymie. To Mińsk,
przyduszony poduszką chmur.

Spójrz, jesteś pomnikiem w ciężkim palcie.
Tutaj wszystkie pomniki są w paltach.

Przyjrzyj się, nie są z wełny, a z kory
dziadkowych lip,
kołnierze obszyte pszczelim futrem.

Każdy w kieszeni ma rzemień,
Każdy pod kołnierzem ma szyję.

Tu cieniami ociepla się na zimę
ściany domów, szczeliny i dziury
zabite są cieniami. W muzeach – palta

i pętle. Zamiast wody – rosół.

Wchodź, Maksymie, bloki mieszkalne
owinięte schodami jak taśmami amunicji,
a okna lśnią jak medale.

Tutaj jak nie dom, to popiersie.

I winda unosi się jak wymioty.
A z mebli – pień.
Chodź, Maksymie.
Tutaj żyć – nie umierać nad błękitną zatoką.

Usiądź na pniu,
grzej się cieniem,
nie zdejmuj płaszcza.

AUTOPORTRET Z MADONNĄ W ALEI GAZETY „PRAWDA”

Z czyjego języka mnie zdjęłaś?

Z wylotu ulicy,
nazwanej na cześć
głosu
propagandy.

O upadku
imperium
usłyszałem w radiu,
gdy czekałam na prognozę pogody.

Huśtawki stały się gilotynami.
W klasach fluorescencyjnych
sędziowie w okresie dojrzewania
górowali
nad nauczycielką,
która pisała na tablicy kawałkiem
ludzkiej kości.

W wykrochmalonym zimowym świetle
ona oślepiła nasze pryszczate twarze
Madonną Rafaela.

Rozpoznaliśmy jej wybieloną skórę
po zapachu. Korytarze
codziennie dezynfekowano chlorem,
by ukryć smród moczu i potu.

Wybielacz, opium dla uczniów,
oczyszczał nas z grzechów
naszych dziadków,
których bohaterskie czyny
ropiały pod podartymi okładkami
podręczników historii.

Autobusy przełamywały ciemność jak hormonalne kraty.

Jej łagodne rysy nie wydawały się nam
piękne. Jako łapówkę
podawała dziecku swoje piersi.

Jej piersi tworzyły podwórko między ich ciałami.

Jakie były dla nas jego cierpienia?
Dziecko trzymało się piersi, aby nie wpaść
do klasy, gdzie wybielacz
już dawno zamienił język.

W biurach, gdzie pachnie klejem,
biurokraci zaciskali zęby
w poszukiwaniu pożądaney formy
dla tych dziwnych narodzin.

Wstrzyknięcie śniegu w żyły nocy.
Huśtawki stały się gilotynami.
Miasto ran i ironii.

Imperium upadło, potem spadł śnieg, potem matka
rozdarła sukienkę i wyciągnęła piersi pełne trzydziestu
srebrnych kropli mleka.

W wykrochmalonym świetle, na piersiach Madonny,
dziecko wydawało się już wcześniej ukrzyżowane –
gwóźdź smoczka
koło jego piąstki.

Nauczycielka światowej sztuki była wyczerpana.
Nie mogła nas znieść, nawiasem mówiąc, jak i gwiazda
która patrzyła na nas potępiająco.

Powiedziała: „Idźcie”. Jak robak
jej wąskie wargi chciały zatopić się pod skórę.

Miasto ran i ironii,
gniazdo śnieżnej larwy, moje miasto.
Każdą śnieżną gąsienicę, całuję.

Całuję usta Alei Prawdy.
Całuję w usta każdą spikerkę radiową.
Całuję każdą spikerkę radiową w jej żelazne usta.

Historia czeka, dopóki się całujemy.

Walżyna Mort
Przełożył Bohdan Zadura

Władimir Lankiewicz

dajcie
tabletkę od głowy

nie chcę
mieć głowy

znudziło mi się
ją nosić

są w niej oczy
wsącza się w nie trujący gaz
który nazywacie światłem
i nie gasicie na czas bicia

nie chcę
mieć głowy

w niej są usta
które mi zapycha
gumowaty śmierdzący szlam
jaki próbujecie dawać jako chleb

nie chcę
mieć głowy

w niej są uszy
w które wrzeszczycie
swoje „rzeczy”
„twrzdynie”
„szbcij”

dajcie tabletkę
jak to nie ma?

– nie ma, bo zjedliśmy
wszystkie tabletki od głowy
sami

tak więc morda w kbl

na ulicy szczeka pies
„hau-hau” – ryczy mężczyzna w szczelinę okna
a właściwie na całą celę

– to rottweiler
siedziałem tu siedem lat temu
i on żył na tym podwórku
stary skapcaniał
nie służy już dawno. na emeryturze
ale widzisz, nie uśpili
rozmawiam z nim
hau-hau!

a ja wiem
że nie chodzi o litość
pod niebem aresztu
on odsiaduje dożywocie

moje kilka dni
śmiechu warte
niewarte
nawet jednego
psiego skowytu

KWIATY ZŁA (♫)

by mnie nie znaleźli mam dwie możliwości:
rzeczywiście umrzeć albo udąć martwego
ale nazbyt ciasna jest ta klatka dla trumien
więc samotnie leżę i wstrzymuję oddech

mgła się dostaje przez rozbitą szybę
i osiada na mnie jak kurz na podłodze
ktoś rzucił kamień: kamień okazał się jadalny
rzeczywiście umarłem czy udaję martwego

wyłynę na brzeg tak
kwiat mi rośnie w żebrach
wielki brat to nie mój brat
mnie pilnuje niebo

∞0

gawrony krzyczą głosami rozkapryszonych dzieci
wielki śmietnik korony drzew rower
po kałużach na podwórzu opisuje raz za razem
ósemka koło ósemka koło ósemka koło

objeżdża doły i pęknięcia drogowej nawierzchni
nocami daleko od ludzi jeździ duch roweru
na bulwarze kręcą się same kierownica i pedały
przebite koło przebite koło przebite koło

gawrony rower duch mara zjawia rowerowa
obiecany mi w dzieciństwie ale nigdy nie dany
nie wiadomo ile on już tak jeździ
wokół domu kołami wokół domu kołami wokół domu kołami

Il pleure dans mon coeur

Paul Verlaine

płacz w sercu moim
znajome słowa kręcą się pod nogami
jak maleńki piesek, który chce się bawić
zdaje się że na tym świecie ruszają się tylko muszki
a cała reszta zastygła w oczekiwaniu
spróbuję zagłuszyć ciszę, włączyć muzykę
głośniej i głośniej
bezskutecznie
wówczas spróbuję walczyć z ciszą czasem i prędkością
włączę najpierw powolne pieśni, potem szybsze,
i jeszcze szybciej jeszcze szybciej

a cisza jest bardziej szczelna, bardziej przeciągła
jeszcze bardziej pusta

żeby ją przyciszyć – myję włosy, a potem długo
je rozczesuję
mokre
na próżno

żeby zagłuszyć ciszę
oglądałam mapę okolic miasta, w którym teraz mieszkam
żeby zagłuszyć ciszę,
próbowałem się upijać, a potem jadłem czekoladę
próbowałem zalepić ciszy usta, ucząc się innych języków
spróbowałem zapchać jej usta, włączając wszystkie światła w
w mieszkaniu jakbym nie był tu sam
mówiąc może pójdziesz się przejść przecież widzisz nie jestem
sam
nie poskutkowało, cholera

próbowałem wyrwać jej język – udało się, ale ona

dygocząc zaczęła jęczeć
trzeba było go z powrotem przyszyć
odsunąłem się i spojrzałem na okruszki małe nitki
kawałki papieru i włosy te drobnostki
które rosną na dywanie, jeśli długo się nie sprząta
przez dłuższy czas klikałem dyszą, aż się zepsuła
przerysowałem kontury kraju z mapy podświetlając
szybę jak w dzieciństwie

otworzyłem okna i liczyłem na to, że przeciąg
zagłuszy ciszę
ale nastał chłód i zaczął śpiewać,
śpiewać, potakiwać ciszy
wtedy zamykałem okna,
zamykałem drzwi i przekręcałem kaloryfer tak, że ciepło zamieniło
się w upał

to on
dźwięk wiadomości z odległego miejsca zmusił ją
by zamilkła
to ty – na minutę lub dwie
i teraz gdy cisza wróciła wyczuwa się w niej
twój posmak

Uładzimir Lankiewicz
Przełożył Bohdan Zadura

Alhierd Bacharewicz

PRZECZYTAJ TO SZEPTEM

Wychodząc, brał z sobą wszystkie klucze, jakie miał – mało który z nich mógł się przydać. Nikt przecież nie wiedział, dokąd dzisiaj zaprowadzi ich miasto. Klucze od mieszkania i okrągły klucz-pastyłka od klatki schodowej, i klucz od innego, cudzego mieszkania, którego gospodarze poprosili go, żeby podlewał kwiatki, i długi jak gwóźdź klucz od domu rodziców, i srebrzysty klucz od letniskowego domu brata. Zrobił się cały pęk, który wyglądał w ręce jak biała broń. Jadąc autobusem do centrum, Źmicier wyjmował klucze, ścisnął je w dłoni tak, żeby wysuwały się przez palce, i jego pięść szczyrzyła się metalowymi kolcami. Ale nie mógłby nikogo nią uderzyć. Tylko puste siedzenie przed sobą. Ale i to – ukradkiem, niemocno, żeby nikt nie zobaczył.

Klucze były potrzebne, żeby uciekać i się ukrywać. Hitler-Źmicier – myślał ze wstydem, oglądając swoją groźną pięść. I wyobrażał sobie mapę miasta: kiedy dzisiaj pojedziemy tam i tu, w razie czego całkiem niedaleko od domu. A kiedy wrócimy do rzeki – w pobliżu jest mieszkanie, w którym podlewa kwiatki, a może dzisiaj znowu do Steli – i wtedy przyda się klucz od mieszkania brata, on teraz jest za granicą, chata pusta. No a kiedy marsz ruszy na południe, do fabryk, na Partyzancki – tam koło metra mieszkają rodzice, można schować się u nich, kiedy trafi na obławę.

Nie sposób było przewidzieć kierunku – czasami marsz szedł w takie rejony, że ludzie po prostu ze zdziwieniem odwracali głowy: okazuje się, że w mieście są takie ulice. Nie wiedzielibyśmy, gdyby nie rewolucja.

Co prawda dotychczas żaden z kluczy mu się nie przydał. Za każdym razem, kiedy ludzie zaczynali się rozchodzić, on szedł po prostu razem z nimi na podwórka, rzucał się do przepełnionego autobusu – i długo jechał w zmierzchu do domu, przyciśnięty do tylnej szyby przez spocone ciała. I na każdym ciele była schowana flaga, a wzdłuż chodników stały ciemne samochody służby prewencji. Twarze milicjantów w oknach były tak blisko, że Źmicier patrzył na nich, a oni na niego, nie odwrócić się; ludzie nad jego uchem głośno i ze zmęczeniem powtarzali: „Swołocze, Faszyści, Źebyście zdechli!”. I wydawało się, że ci w samochodach zaraz usłyszą ich głosy, zatrzymają autobus – i wtedy żadne klucze już nie pomogą. Bo czym jest autobus na wieczornej ulicy w takie dni – to łódź

podwodna, z której nie uciekniesz, ale autobus przebiegał się dalej, oświetlając reflektorami miasto, i samochody zostawały z tyłu, jak zostają w snach nocne przywidzenia.

W tę niedzielę znów wyszedł – i pojechał autobusem do centrum. Siedział przy oknie, raz za razem czytając napis: „Wyjąć młotek. Wypchnąć szybę” i, nerwowo bawiąc się kluczami w ręce, jechał i modlił się, żeby ludzi koło Steli zebrało się dzisiaj mnóstwo, nie mniej niż poprzednim razem. Wtedy go ukryją, wtedy nie będzie tak strasznie, przejdzie razem z nimi – kiedy będzie ich sto tysięcy, wątpliwe, czy ich zaatakują. Będą jak zawsze wyłapywać tych, którzy odstali albo zabłądzili w podwórkach. Kluczy w ręce było jakby zbyt wiele – nie starczało palców – ale nie chciał o tym myśleć. W ogóle, wychodząc z domu, miał wątpliwości, czy ma brać dzisiaj cały pęk – klucze tylko obciążały kieszeń, ale je wziął i teraz uderzał pięścią w siedzenie, próbując się uspokoić.

Na szczęście ludzi dzisiaj było rzeczywiście tyłu, że Żmicier od razu poczuł się kroplą w morzu – za ich plecami nie widział nikogo, tylko asfalt płynął gdzieś pod nogami. Z zazdrością patrzył na tych, którzy dookoła krzyczeli i śmiali się – większość szła z przyjaciółmi, niektórzy całymi rodzinami, inni parami – zdawało się, że tylko on jeden był tu samotny. Choć jaka może być samotność w tłumie. Wszyscy tu byli dla niego – i nikt na niego nie zwracał uwagi. Żmicier starał się nie odstępować dziewczyny z plakatem. Dziewczyna mu się spodobała – ona też nie była sama, ale z nikim nie rozmawiała i Żmicier jakoś niezauważalnie uznał, że przyszedł tutaj z nią, tak było łżej. Jednak niedaleko od Opery nagle się zatrzymali – część ruszyła w jednym kierunku, część w innym, byli jeszcze tacy, którzy zawrócili – trzeba było natychmiast wybierać, za kim iść. Żmicier zagubiony stał na środku ulicy, czując, że za chwilę zostanie tu całkiem sam – i ruszył w ślad za dziewczyną.

O kluczach przypomniał sobie dopiero wtedy, kiedy ludzie wokół niego rzucili się do ucieczki. Próbował pobiec za nimi – klucze wypadły, nachylił się i upadły na trawę, chwycił pęk za jeden z nich, i już wypychając go do tylnej kieszeni zrozumiał, że ten klucz, który dopiero co trzymał w palcach, był zbędny. Klucz od biblioteki, w której pracowała jego matka. Jeszcze w czwartek jadł kolację u rodziców i matka poprosiła, by zrobił jej kopię – a on zapomniał, całkiem zapomniał. I przypomniał sobie dopiero teraz. Niewielki, szary klucz, okno dziecięcej biblioteki na podwórku starego domu, głupi napis pod szablony w oknie: „Czytaj książki! One to naczynie, które nas napełnia, ale nigdy nie bywa puste”. Ogłoszenie na drzwiach: „Potrzebny bibliotekarz za pół stawki, stawka 200 rubli”. Kto się zgłosi? I kto jest autorem? Kto jest autorem? – mamrotał Żmicier i biegł dalej, na

podwórzu, klepał się po tyłku, matka chciała go zatrudnić za sto rubli, a on się śmiał, a teraz śmiała się z niego ulica – a on biegał, skakał jak zając, mały Żmicier, goniony przez wilki – a Żmiciera wyprzedzali ludzie, wszyscy jakby biegli do jego biblioteki, choć nikt nie wiedział o jej istnieniu. Nie było innego wyjścia, bo napierali na nich ze wszystkich stron, deptali im po piętach, podchodzili, wyrastali za ich plecami, wpędzali ich na podwórze – jego ciemna brama była bardzo blisko i tam Żmicier się rzucił, wyciągając w biegu klucze.

Wpadł na już znajomą dziewczynę, pobiegł dalej, oto już dziedziniec ze szklanymi drzwiami, oto i napis: „Naczynie, które nas napelnia”. Na dziedziniec wpadli za nim jeszcze jacyś chłopcy i dziewczyny, i ostatni krzyknął, dysząc: Idą tutaj!

Żmicier włożył klucz w zamek – alarm dawno nie działał, wiedział to od matki, nie zawarto umowy na ten rok, bo nie było księgowej, zwolniła się, też była na połowie stawki. Otworzył i już chciał trzasnąć za sobą drzwiami, i zamknąć się tutaj, ukryć – ale dziewczyna biegła prosto do niego, i za nią jeszcze ktoś, wyciągając ręce, nie zauważając, że Żmicier, piszcząc, całym ciałem napiera na drzwi, żeby więcej nikogo nie wpuścić. Jakiś chłopak chwycił za klamkę i pociągnął do siebie, przytrzymał, żeby wpuścić ostatnich – i dopiero wtedy zamknął, zamknął i zwałił się na podłogę. Żmicier podczołgał się do niego i zabrał klucz.

Wszyscy leżeli teraz na podłodze biblioteki, ciężko oddychając – a podwórze za oknem wypełniło się tupotem i hałasami. Żmicier czekał, że zaraz zaczną wyłamywać drzwi. Ale zdaje się tam za oknem tymczasem jeszcze nie domyślili się ich ukrycia. Widać ci, którzy na nich polowali, uznali, że zdobycz pobiegła dalej, na szkolne podwórko za ogrodzeniem. Na klatki schodowe, w przejścia między domami, które – i Żmicier dokładnie to wiedział – kończyły się ślepyimi zaułkami. Ostrożnie włożył klucze do kieszeni, zadzwoniły głucho – i od razu na niego popatrzyli. Z przestrachem i z wyrzutem. Było ich czworo – tylko czworo, choć Żmicierowi wydawało się, że uratował wszystkich: dwanaścioro ludzi, nie mniej. Obok niego leżała ta sama dziewczyna, a z drugiej strony – chłopak z długimi włosami. Pod stołem rozplaszczyl się mężczyzna w kurtce i kurtka zadarła się tak, że widać było majtki z zawiązaną gumką. A obok twarzy Żmiciera sterczały tenisówki krótko ostrzyżonej, niezbyt już młodej kobiety – jej twarzy nie było widać, bo padał na nią długi cień. Jednak Żmicier widział jej rękę, z nabrzmiałymi, niebieskimi żyłami i luźną skórą, z paznokciami, na których czerwieniły się ślady lakieru.

Po drugiej strony szyby przemówiła krótkofalówka – nic nie można było zrozumieć. Ktoś podszedł do okna, tam na podwórzu, i zasłonił słońce.

A potem na podwórze wjechał samochód – słyszeli, jak się zbliża, jak pełnie po potrzaskanym asfalcie, jak buczy, jakby wiedział, że tutaj są, jakby zaraz miał zacząć burzyć ścianę biblioteki. Ale buczenie wkrótce ucichło. Słyszeli tylko komendy – całkiem blisko, a jednak jakby z beczki. Tam, na podwórzu, chodzili i grzmieli, stukali i śmiali się,

Dziewczyna nagle podpełzła do okna i podniosła głowę do parapetu. I od razu ją opuściła, znów rzuciwszy się na podłogę.

– Jest ich tam pełne podwórze – wyszeptła i zamknęła oczy.

Wszyscy zamarli. Żmicier spojrział na twarz dziewczyny – w półmroku wydało mu się, że ona płacze.

– Kto tam jęczy? – zapytały tenisówki koło nosa Żmióra.

– Cicho!

– To ja dyszę – powiedział spod stołu mężczyzna w kurtce. – Nie mogę oddychać.

– Trzeba mniej palić – powiedziała dziewczyna koło drzwi.

– Palić – zdecydowanie odezwała się dziewczyna, która leżała obok Żmióra i otworzyła oczy. – Teraz bym zapaliła.

– Cicho tam!

– Oni nas nie słyszą – powiedziała dziewczyna i popatrzyła na Żmióra. – Jeśli szeptem, to nie słyszą,

– A gdzie my jesteśmy? – spytał mężczyzna spod stołu.

– W bibliotece – wyszeptał Żmicier,

– Pracuje pan tutaj? – spytała dziewczyna i popatrzyła Żmiórowi w oczy.

– Nie – wyszeptał. – Matka.

– A klucz?

– A klucz mam ja. Przypadkowo.

– Poszczęściło się nam – powiedziała ta w tenisówkach, Jak myślicie, ludzie, co robić?

– Przecież to jasne – powiedział mężczyzna spod stołu. – Siedzieć cicho i czekać. Nie będą tu sterczeli do nocy.

Klamka w drzwiach nagle się poruszyła. Weisnęli się w podłogę, Żmicier wiedział, że ich nie zobaczą, nawet jeśli będą zaglądać do okna. Robił tak już nieraz, przyjeżdżając do matki do pracy. W takie dni w szybie widział tylko własne odbicie. Nad kartką z napisem o naczyniu. Klamka ucichła. Tupot, hałas, cień w oknie. Oni jeszcze tam byli.

Nie zbierali się odchodzić. I znowu – samochód, i znowu – jego ryk, napięty, jakby miał zaraz przebić się ścianę. I komendy.

– Poznajmy się – wyszeptła dziewczyna, która leżała koło Żmióra.

– Kim jesteś? Już dzisiaj ciebie gdzieś widziałam.

- Żmicer – wyszeptał Żmicer. – Szedłem z tobą od Steli.
- Po co?
- Przypadkowo.
- Jasne, A ja Alona,
- Borys – wyszeptał mężczyzna spod stołu.
- Żenia – odchrząknęła dziewczyna w tenisówkach i wszyscy na nią syknęli: zbyt dźwięcznie zabrzmiało to „ż”.
- Co zrobić – powiedziała. – Ż to ż.
- Powiedziałbyś: Eugenia – wyszeptał mężczyzna w kurtce.
- Po podłodze rozsypał się cichy, prawie niesłyszalny śmiech.
- A ty? – Alona spytała chłopaka z długimi włosami. – Jak się nazywasz?
- Manuel – wyszeptał ten, jękając się.
- Cudzoziemiec?
- Jestem z Salwadoru.
- Ja cię kręcę – szcęknięła Alona. – Przypadkowo tu jesteś? Czy tak samo – chodzisz?
- Chodzę.
- Ciekawe.
- Nic ciekawego – wyszeptał mężczyzna i rozpiął kurtkę. – Głupi jesteśmy. Że chodzimy, siedzimy teraz jak zające. Trzęsiemy się. Nic już nie będzie. Przegapiony moment. Trzeba było od razu przyduścić. Teraz już za późno.
- A co ty proponujesz? – wyszeptała pogardliwie Alona. – Siedzieć w domu?
- No a co? I tak siedzimy, nie w domu, to w bibliotece. W czym to lepsze? – gorąco wyszeptał mężczyzna. – I proszę mnie nie tykać. Jestem tu najstarszy. I brudersaftu z panią nie piłem.
- A ja bym wypila – wyszeptała w zamyśleniu Alona. – Czerwonego. Wyjdziemy stąd i się napiję. Kupię butelkę i sama ją wypiję.
- Wszyscy obrócili się na podłodze, zmieniając pozycje.
- Jak wszystko się skończy, zapraszam do mnie – zaproponował Manuel. Mam wino. I chleb, i ser, i jamón.
- Czemu nie? Jestem za – powiedziała Alona, dotykając stopą Żmiera, jakby prosząc, by ją podtrzymał; ale pewnie przypadkowo.
- Manuelowi to dobrze – powiedział Borys. Może wyjechać do swego Salwadoru. W każdej chwili. A my tutaj – ani chodź, ani siedź cicho, niewielki wybór. Gdybym był na jego miejscu – wyjechałbym już dawno. Do Salwadoru czy do Zimbabwe, jaka różnica. Tu nie ma co robić. Jak masz odwagę – idź do więzienia, jak nie – siedź i się bój.

– Kto chciał, to już uciekł – wyszeptwała Żenia. – W pierwszych dniach. Czy jeszcze wcześniej. Nie, nigdzie nie pojadę. Niech oni uciekają. A my zwyciężymy.

I wciąż to zbyt dźwięczne „ż”. Wszyscy spojrzeli na siebie z przerażeniem.

– No, dalej, zwyciężaj – powiedział po przerwie Borys. – Czemu na podłodze się rozłożyłaś? Dalej, idź. Wyjdź i powiedz im: zwyciężymy! Ty nasz żywżyku. Co, strasznie?

Żmicier chciał wesprzeć Borysa, ale oddech Alony jakoś nie pozwalała mu włączyć się o rozmowy. Bał się powiedzieć coś nie tak. Było mu bardzo strasznie – i mimo wszystko jakoś dobrze, czy co. Leżeć tu bez niej byłoby znacznie gorzej.

– Nie, do Salwadoru nie pojadę – wyszeptał Manuel. – Mam tutaj żonę. Białorusinkę. I dwoje dzieci. Małych Białorusinów.

– Zabieraj ich i uciekaj – wyszeptał Borys. – Bo będzie za późno. Złapią cię, im będzie do dupy, Białorusini czy nie. Posiedzisz parę lat co najmniej i ani żony nie zobaczysz, ani swojego Salwadoru.

– Dawno u nas mieszkasz? – spytała Żenia.

– Jedenasty rok.

– I języka się nauczyłeś – powiedział Żmicier. – Ja po hiszpańsku znam tylko parę słów, Salwador – to ten, co ratuje, Zbawiciel.

– Jaki mądry – wyszeptał Borys. – Książki czytasz, na pewno. A o czym?

– Najśmieszniejsze – zaszeptala Alona – że mam książki przed samym nosem.

Wyciągnęła rękę i wyjęła z dolnej półki książkę.

Żmicier poczuł, że ona się uśmiecha. – *Głowa profesora Doyle’a*. Autor Bielajew. Słyszeliście o takim?

– Kto nie słyszał – ponuro wyszeptał Borys. – To przecież klasyka, sowiecka. Teraz takich nie piszą. Nie ma więcej takich pisarzy. Jak Bułhakow, jak Sołżenicyn. Jak Bielajew. Słusznie sinopalcy powiedziales: „Gdzie *Wojna i pokój*? Gdzie nowi Czechowowie?”

– Jak pana posłuchać, to niczego nie ma – wyszeptala Żenia. – Ani szans, ani książek, ani przyszłości, ani zwycięstwa, ani nas samych.

– A co jest? – gorzko wyszeptał Borys. – Ja, wybaczenie, chcę się odlać. A nie mogę. Cierpię. Tak samo my wszyscy – cierpimy, cierpimy. Nawet głowy nie podniesiesz, Nie to, żeby pójść do toalety jak biały człowiek.

– Niech pan myśli o książkach – wyszeptala Żenia. – Nie będzie się tak chciało. Bielajewa pan czytał?

– Jasne, czytałem – szepnął Borys. – A pani?

– My teraz sami jesteśmy jak głowy bez ciał – powiedziała Alona. – Mówimy, a poruszyć się nie możemy. Nie możemy nic zrobić – tylko mówić. Nawet przeczytam tego Bielajewa, kiedy dotrę do domu. Manuelu, ty w ogóle rozumiesz, o czym my?

– Nie.

– Pozwólcie, że Manuelowi opowiem – pośpiesznie wszeptał Żmicier, – Chociaż to wszystko imperialna literatura. Krótko mówiąc, tam było tak...

Leżąc obok Alony, wciąż szeptał i szeptał – aż nie wyszeptał całej treści. Słuchacze powzdychali, Alona zdjęła z dolnej półki nową książkę.

– A to o Sherlocku Holmesie.

– No tę to nawet Manuel zna – wyszeptał Żmicier. – Prawda?

– Prawda – Manuel przekreślił się i uśmiechnął.

– Mam w domu całą bibliotekę literatury przygodowej i fantastycznej – wyszeptał Borys. A dlaczego mam, nie wiem. Dawno trzeba było zanieść do bukinistów. Ręce się nie podnoszą.

– Też mam w domu taką samą – wyszeptala Żenia. – A co do Holmesa, drodzy moi... Książka lepsza jest od filmu, oto co wam powiem.

– Sowiecki film jest najlepszy – powiedział Borys. – Najlepsza ekranizacja. Sama królowa powiedziała, że to najlepszy Sherlock Holmes.

– Liwanow jest za Putinem – wyszeptał Żmicier.

– I co? – wyszeptał Borys. – Tak samo jestem za Władimirem Władimirowiczem Putinem. Tylko on poradzi sobie z sinopalcy. Innym to się nie podoba. Ale jeszcze jest za wcześniej. Putin myśli. Po prostu czeka, rozumiecie. Ale gdzie wam, jesteście młodzi, Myślicie, Europa...

– Może bez tego – skrzywiła się Alona. – Putin, Putin, Europa. Żenia, czytałaś Sherlocka Holmesa?

– Czytałam. Genialny detektyw. Dopiero teraz rozumiem, że u Conan Doyle'a wszystko dotyczy mężczyzn. Wszyscy bohaterowie to mężczyźni. Kobiety tam nie działają, tylko czekają. No, te... Jesteśmy tam tymi żonami-kochankami, tymi ofiarami. Niczego same nie umiemy zrobić.

– To największy wstyd – wyszeptał Manuel. – Kiedy mężczyźni nie mogą obronić swoich kobiet. Jestem mężczyzną i leżę tutaj, bojąc się wystawić nos. A kobiety walczą za wszystkich. Dlaczego tak? Jak tak wyszło? Czy jestem tchórzem?

– A co ty zrobisz? – wyszeptał Żmicier. – Broni nie ma. Każdej nocy myślę, daliby mi kałasznikowa...

– A umiesz strzelać Żmicier? – spytała Alona, – W wojsku służyłeś?

– Nie.

– No widzisz.

– Ludzie, mówmy już o książkach. Mnie Agatha Christie bardziej się podoba – wyszeptała Żenia, przewróciwszy się na brzuch. No, powiedzmy, Poirot...

– Jest tutaj też Agata – cicho zaśmiała się Alona. – Oto ona, stoi. Prosimy tutaj, madame.

– Ciszej – jęknął Borys. – Agata... Tam na podwórzu tacy Poiroci stoją, zastanawiać się nie będą, kto z nas jest złoczynią, a kogo puścić. Wszyscy pójdziemy z jednego paragrafu. Wam może grzywnę wlepią jak babom, a Manuel też ma dobrze, jest cudzoziemcem, a nam z Dzimą¹ dadzą po całości.

– Moja najbardziej ulubiona książka Agathy to *Morderstwo w Orient Expressie* – powiedział Żmicier. – Tam wszystko w jednym pociągu. Jadą ze Stambułu do Londynu, przez Jugosławię, przez Niemcy, przez Paryż...

– I nikt nie może wyjść – powiedziała Żenia. – Przepętca jedzie dalej po zabójstwie. Tak spokojniutko...

– Tam są sami zabójcy – powiedział Manuel. – Oglądałem film.

– Całkiem jak my – powiedziała Alona. Ani wyjść, ani wyskoczyć. Ani do Paryża, ani na podwórko. A przecież to my jesteśmy detektywami. A oni złoczyncami.

– Powie im to pani, jak nas złapią.

– Nie, będę milczała – wyszeptała Alona. – Jak młody człowiek na przesłuchaniu. Ale chce mi się palić.

– Pal – powiedział Żmicier. – Pozwalam.

– A ja się nie zgadzam! – szeptem oznajmił Borys. – Ona jest jedna, a nas wielu. Niech pocierpi.

– A klucz ma Żmicier – wyszeptała Alona. – On decyduje. I w ogóle to on nas uratował. On tu jest najważniejszy,

– Przypadkowo – powiedział Żmicier. Klucze w tylnej kieszeni uwierały go, i położył się na brzuchu. – Pal. Wolno.

Alona wyciągnęła pomięte papierosy, dym wypełnił pokój – i zgasila papierosa o tenisówkę,

– Napaliłaś się? – ze złością wyszeptał Borys. — Coś jest ze mną nie tak. Serce wali mi tak mocno, że... O żesz twoja mać ...

– Jeszcze nie – wyszeptała Żenia. – A pan co, sercowy? Lek z sobą przynajmniej pan nosi?

– Sama jesteś sercowa – chrząknął pod stołem Borys. – Mam serce jak zegarek. Po prostu duszno tutaj. Duszę się,

¹ Dzima, zdrobnienie od białor. Żmiter (Dzmitrij).

– Teraz ups i trup – wyszeptała Alona, – Zabójstwo w bibliotece. Borys, ty... To znaczy pan. Pan poważnie?

– Wody – wychrypiął Borys..– O żesz ty kurwa... O kurwa...

– Oddychaj – wyszeptał Żmicier. – Niech pan tylko oddycha. Wezwę pogotowie.

– Dokąd? Tutaj?

– Pozwólcie, książkę wam przeczytam, a wy słuchajcie – powiedział Żmicier, – Tylko uważnie. Może odpuści. No. Proszę słuchać! – Tylko uważnie. Może odpuści. No, słuchajcie!

„Piąta, zimowy ranek w Syrii. Przy peronie dworca w Aleppo stoi pociąg szumnie określany w przewodnikach kolejowych jako Taurus Express. W jego skład wchodzi kuchnia i wagon restauracyjny, wagon sypialny i dwa wagony linii lokalnych.

Przy stopniach prowadzących do wagonu sypialnego stał młody Francuz, olśniewający w mundurze porucznika armii. Rozmawiał z niskim mężczyzną, opatulonym po uszy, tak że widać mu było jedynie zacerwieńniony czubek nosa i dwa szpice podwiniętych do góry wąsów”².

Przeczytał do końca strony i wszyscy słuchali go w napięciu.

– Odpuściło – wyszeptał Borys. – Zdaje się, odpuściło.

– Czytać dalej?

– Nie, lepiej pomilcz, O żesz ty kurwa.

Przez pewien czas przewracali się na podłodze, próbując przyjąć wygodne pozycje. Potem zrobiło się cicho. Żmicier podłożył sobie pod głowę książkę. Od Alony ostro śmierdziało niedopałkiem.

– Może tam, w sąsiednim pokoju jest inne wyjście? – spytała nagle Żenia. – Żmicier, jesteś tu u nas z kluczami, wiesz wszystko!

– Nie ma tam wyjścia – wyszeptał Żmicier. – Wyjście jest jedno. Za to tu powinny być ciastka... W dolnej szufladzie.

Alona wysunęła szufladę, włożyła tam rękę – i oto oni już podpełzli do niej, wzięli po ciasteczku i z powrotem zajęli swoje miejsca.

– Dobrze, że masz klucz – wyszeptała Alona, żując. – I ciasteczka. Owsiane... Poszczęściło się nam z tobą. A tu u nas co? Edgar Poe. Kto czytał?

– Wszyscy czytali – powiedział Borys. – Wcześniej ludzie szanowali książki. Wcześniej istniały biblioteki, żeby wziąć dobrą książkę. A teraz? Leż i wachaj kurz. Do tego sinopalecy doprowadził kraj.

– Moje ulubione: o studni i młotku – szepnął Żmicier. Tam jest taka historia...

² Przełożyła Anna Wiśniewska-Walczyk.

Szeptał i szeptał, zamknąwszy oczy. Dawno przeczytana, jeszcze w dzieciństwie, książka ze straszną, czerwoną maską na okładce przypominała się tak łatwo – jakby tylko czekała, kiedy u niego pojawi się wolna chwila. Najbardziej wolna chwila w jego życiu. Nawet w szpitalu, gdzie leżał z nieżytem żołądka, nie miał takiej możliwości: opowiedzieć komuś treść dobrego opowiadania.

– A jak myślicie, czy o nas napisze ktoś książkę? – wyszeptała nagle Żenia. – O tym dniu?

– Proponuję powierzyć to Żmicirowi – odezwała się Alona. – A Manuel przetłumaczy na hiszpański. Czym się zajmujesz, Manuelu?

– Przekładem technicznym. A ty?

– A ja... Niczym. Żyję – powiedziała Alona. – A ty, Żmicier?

– I ja – powiedział Żmicier. – Żyję. Tymczasem bezrobotny. A pan, Borysie?

– A ja jestem nauczycielką chemii – powiedziała Żenia. – Słuchajcie... Tylko się nie śmiejcie. Rozmawialiśmy tu o książkach. I mam takie wrażenie... Że oni wszyscy tu razem z nami się ukrywają.

– Kto?

– No, Christie, Bialajew i Conan Doyle. I ten. No, Edgar Poe.

– Żeby nas nie zdradzili – zmartwił się Borys. – Zapomniałem, gdzie jesteście. Te Christie z Doyle'ami. No cóż – znów mi się zachciało do toalety.

Wszyscy się wsłuchali. Na dworze było cicho. Żmicier się podniósł – nie zobaczył nikogo, oprócz ściany sąsiedniego domu i zasłoniętych okien.

– Nikogo nie ma.

– Nic ma?

– Zdaje się, że nie ma.

– Więc nie ma, czy się zdaje?

– Słuchaj – wyszeptał Borys, podniósłszy się. – Wyjechali. Bóg się zmiłował.

– Na pewno?

– Niby to – powiedział Żmicier, opuszczając się na podłogę. Borys usiadł obok, oddychając głośno.

– Trzeba by sprawdzić.

Alona wyciągnęła rękę do Żmiera – i on położył na niej klucze. Otworzyła drzwi i wyjrzała. Kiwnęła im z góry w dół.

– Tylko wychodzimy po kolci, nie wszyscy od razu. I rozbiegamy się.

Pierwsza wyszła Żenia, krzywiąc się i utykając na jedną nogę. Pomachała im do okna.

– No cóż, bywajcie – powiedział Borys. – Drodzy czytelnicy...

W ślad za nim wyszedł Manuel. Czy zapomniał o swoim zaproszeniu, czy się rozmyślił. Ucisnął im dłonie, wyskoczył sprężystym krokiem na dwór i poszedł do bramy.

– Czekam na ciebie pod Operą, na schodach – powiedziała Alona Żmicierowi i znikła za drzwiami. Żmicier przez okno widział, jak w marszu zapala papierosa. Szła szybko – nikt by się nie domyślił, co oni tutaj razem przeżyli... Podniósł niedopałek i schował go do kieszeni. Wyszedł, zamknął drzwi do biblioteki. Zza firanek patrzyli na niego ludzie – i wydało mu się, że każdy z nich trzyma w rękach otwartą książkę. Głupi napis w oknie biblioteki białł jak polityczny plakat. Żmicier wyrzucił niedopałek do kosza na śmieci i ruszył do ciemnej bramy.

Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Dokąd ją zaprosić? Po prostu żyje, powiedziała. Bezdomna czy co? Można było pójść z nią do tego mieszkania, w którym podlewał kwiatki. Gospodarze wróćą nieprędko. A może i do brata – to bliżej. Do siebie, do wynajętego mieszkania, postanowił jej nie zapraszać – miesiąc już nie odkurzał, nie prał, jadł tylko pielmieni. I spodnie na podłodze się walają. Chociaż jej, widać, wszystko jedno, taka jest, myślał Żmicier, kręcąc w palcach klucze. Po prostu żyje. Do brata – postanowił. Tak blisko, tak realnie. Już słyszał swój ochryply od podniecenia głos: A chodźmy do mnie. I jej głos: chodźmy.

Żmicier wyszedł z bramy. Wokół było tak pusto i jasno, jak w ogromnym soborze – tylko gdzieś w trawie pod drzewami leżały plakaty, twarzą do dołu. Za drzewami, nieustannie trąbiąc, czekały pod światłami samochody. Podeszedł do Opery i stanął na schodach. Wokół nie było ani żywej duszy, ani Alony, ani cienia, ani wiatru – miasto było puste, głębokie i głośnie, jak studnia, i szum prospektu odmierzał ostatnie sierpniowe dni jak wielki młot.

Alhierd Bacharewicz
Przełożył Bohdan Zadura

Julia Cimafiejewa

LEŚNE BAJKI

1.

Zakładam koszulę z ziemi.

Spódnicę z ziemi.

Na gołą szyję wieszam

lodowe korale.

Mocuję

gliniane buciki,

na czarnych

węglowych obcasach.

Usta z ptasiej krwi.

Rzęsy – w atramencie

nocy. Na rękach – bransoletki

z mysich kostek.

W siwej pajęczynie włosów

na szpilce

błyszczą krzyżak.

Dziś

w puszczy –

tańce!

2.

Pachnę mchem. Powąchaj mnie.

Pachnę grzybami i grzybnią.

Korzeniami i sosnami. Niemytymi

łapkami żuka, martwymi

skrzydełkami muchy.

Na moim języku mrówki

zaczynają paradę,

moim brwiom motyle

powierzają swoje larwy,

do moich uszu las

zanosi swoje kapryśne skargi.

Oczy moje na zawsze pozamykane,
włosy moje nieuczesane.
I tylko białe gołe ręce,
tylko cienkie palce prędkie...

...Na próżno mnie wachałeś,
na próżno mnie słuchałeś.
Pachnę mchem.
Jak Ty.

CZAS OGRODNICZKI

Or I guess it is a uniform hieroglyphic
Wh. Wh.

Swoje mieszkanie
zmieniam w poletko,
Kupuję doniczki i ziemię,
zapełniam kolorowymi naczyniami
śnieżnobiałe parapety.
W ciemności ziemi ukrywam
nieme nasienie.

I raz, i dwa, i trzy.

Pilnuję,
jak rozwijają się
białe ciała
z maleńkich ziarenek,
jak niemo krzyczą
oświetlone i nagie,
jak huśtają się
w swoich burych kołyskach,
jak rosną
w rytmie nocy i dnia.

I raz, i dwa, i trzy

Oglądam,
jak zielone paluszki
łapią powietrze,
i nie chcę czytać książki
z zakurzonych półek,
nie chcę zbierać
wyschłych liści słów,
na zawsze oderwanych
od zmartwiałego korzenia.

I raz, i dwa, i trzy.

Sama drętwięję,
wiedząc,
że w małym kielku
pietruszki
jest więcej prawa i prawdy, i siły.
niż we wszystkich moich
głośnych słowach.

Przełożył Bohdan Zadura



Franciszek Maśluszczak, *Kazik co sprzedał pole*, 1998.
Obraz z tomu Krystyny Lenkowskiej
Nie deptać przylaszczek / Keep off the Primroses (1999)

Hanna Komar

W delikatnych dłoniach topielca
żuczek, robaczek i długopis.
Omijają go węże,
ciężkie towarowe barki.
i grzybne deszcze.
Tego lata letniska
cieszą się dojrzałymi jabłkami.
wrócisz – w domu wrzesień
i notatka na lodówce:
„Wkrótce maj”

Trzeszczą chrząstki,
kiedy rozchyłam ręce
by cię upuścić,
bołą kolana
by biec za tobą.
Twoja wolność
sięga dalej niż moja
zanieczyszczona poetyka.
Promieniuję miłością,
obciążam plutonem.
Zostaw mnie moim chorobom,
poszukaj nieradioaktywnego łona.

CICHE SZALEŃSTWA

Z kobietą, która
z wieku jest moją matką,
z wyglądu – babcią,
z zachowania – córką,
a przede wszystkim moją pacjentką
choć nie jestem lekarką,
a ona pacjentką szpitala psychiatrycznego.
W dzień
wyglądamy
na normalne
w nocy jednak
mieszamy masło cukier mąkę oraz jajka
i pieczemy na sucho
swoje depresyjne stany.

Przełożył Bohdan Zadura



Franciszek Maśluszczak, obraz (2010)
z wystawy *Niezwykłe zwykli ludzie. Święci
w ilustracji*, Muzeum Diecezjalne
w Rzeszowie, maj 2024

Karolina Chyła

PERŁY PIERWSZEJ WIELKOŚCI

(opowiadania Izraela Jozzuy Singera)

Gdyby niespodziewanie spytano mnie, jaki nowo wydany tom polskiej prozy najdłużej i najtrwalej zapamiętałam, wśród tytułów, które bym wymieniła (bo niemożliwe jest poprzestać na jednym), nie mogłoby w żadnym razie zabraknąć *Perel*. Dziwny to wybór – tak można pomyśleć, bo tom ani nowy, ani polski. Jest to przecież debiutancki zbiór opowiadań Izraela Jozzuy Singera, starszego brata Izaaka Baszewisa. Wersja oryginalna, *Perl un andere dercejlungen*, wyszła w Warszawie w roku 1922. Na przekład polski, autorstwa Krzysztofa Modelskiego, musieliśmy czekać niemal wiek, bo ukazał się on dopiero w roku 2020 nakładem wydawnictwa Fame Art, zasłużonego w dziele udostępniania literatury wszystkich trojga Singerów w naszym języku.

Czy *Perty*, nienapisane w języku polskim, a w jidisz, można uznać za książkę polską? Twierdzę, że tak. Podobnie jak utrzymuję, że oprócz Reymonta, Sienkiewicza, Miłosza, Szymborskiej i Tokarczuk mamy jednego jeszcze polskiego laureata nagrody Nobla w dziedzinie literatury, a jest nim Singer młodszy, Izaak Baszewis. Że równocześnie był to autor żydowski, a także amerykański, to oczywiście, ale polskim pisarzem był w moich oczach w sposób równie wyraźny i niewątpliwy, jako jedyny w swoim rodzaju portrecista ogromnej części społeczeństwa polskiego, to jest Żydów zamieszkałych na ziemiach polskich, kształtowanych przez relację z polskością i Polakami, i ze swej strony także kształtujących sens takich pojęć, jak polskość, ziemie polskie, społeczność polska.

Gdy czytamy prozę Izaaka Baszewisa Singera, jest ona dla nas bezcennym wglądem w światy tak samo polskie – choć w tak odmienny sposób odmalowane – jak te z twórczości Prusa, Żeromskiego i Dąbrowskiej. To samo da się powiedzieć o pisarstwie pozostałych dwojga rodzeństwa Singerów i w tym właśnie sensie uznaję *Perty* za zbiór opowiadań tyleż żydowskich, co i polskich w najgłębszym sensie tych słów. Należą one do tego rodzaju tekstów, które brzmią doskonale czytane jako pojedyncze całości. Jeżeli jednak zapoznamy się z nimi, nie naruszając linii chronologicznej, wyjdzie na jaw, że są pomiędzy nimi intrygujące i nader subtelne powiązania, za których sprawą można odkryć, jakie motywy i postaci szczególnie przyciągały pióro pisarza – od tematów choroby i samotności po wizerunek opuszczonego dziecka w dorosłym świecie.

W czasie lektury niełatwo uciec od porównań, i to zarówno z pisarstwem Izaaka, jak i z twórczością Ester Singer Kreitman, ich siostry. W istocie uciekać od tych porównań nie warto. Rzeczłą fascynującą jest obserwować, jak temperamenty

trojga autorów, ich osobowości tyleż pisarskie, co po prostu ludzkie, które zyskały kształt nie tylko w tym samym środowisku i tym samym czasie historycznym, ale i w tym samym rodzinnym domu, zasadniczo się od siebie różnią, o czym za chwilę. Jednakże nie brakuje i punktów styecznych. Wspólną cechą pisarstwa wszystkich Singerów jest ich zamiłowanie do konkretności, soczystości i krwistości życia. Nie ma detalu tak drobnego i nieważkiego, dotyczącego czy to zmysłowej tkanki rzeczywistości, czy wyglądu poszczególnych bohaterów, którego by nie schwytali w pisarską sieć, przekonani, że od niego właśnie zależeć będzie prawda literatury.

I rzeczywiście, to z tych drobiazgow tryska żywotna siła ich opowieści. Każde z trojga rodzeństwa zdaje się podzielać to przekonanie, choć każde realizuje je w inny sposób. Autor *Perła* pełnoprawnymi bohaterami opowiadań czyni nie tylko Żydów. Tam zaś, gdzie o Żydach mowa, będą to nie tylko warszawiacy i nie jedynie mieszkańcy małych sztetli, jak to bywa z reguły u Baszewisa, ale, co niezwykajnie, także wsi. Ponadto w tekstach Izraela Jozsuy nie znajdziemy dociekań metafizycznych, których swoista aura przepaja prozę jego młodszego brata.

Singer starszy zgłasza niemal jawnie religijne *desinteresement*, pasjonuje go jedynie obrzęd, malowniczość zewnętrznych form pobożności, których oczywiście nie mógł pominąć, szczególnie wtedy, gdy pod jego mikroskop trafiało ciche, podległe rytuałom życie miasteczka. W opisach tego życia nie ma śladu ekliwicznej utopijności, pewnie dlatego, że kiedy Singer starszy je opisywał, sztetle żyły, trwały w swoim niezmiennym od wieków kształcie i nie sposób było przewidzieć czasów, gdy każdy najskromniejszy szczegół ich świata, nawet komiczny i zupełnie przyziemny, będziemy witać z bezgraniczną wdzięcznością, że się zachował, i przyjmować ze ściśniętym sercem.

Ten świat, tak wolny od łatwej urody, ma zarazem magnetyczną moc, nie daje czytelnicze od siebie odejść. Pojedyncze obrazy, sceny, postaci zapadają w naszą pamięć, jak uparte nasiona niektórych roślin, haczykami wczepione w fałdy ubrania, zmuszające, aby nieść je dalej, pomóc im trafić w nowe, odległe miejsca. Znakomite w swej celnej lapidarności są opisy nieskończonych potyczek z chłodem i głodem, trwania w zamkniętym kręgu znoonej pracy czy w równie ciasnym kółku odwiecznej nudy. Jak zapomnieć chociażby tych dwoje dzieci, pozostawionych zimą w odludnej chacie w bezimiennej wsi, gdy rodzice wędrują przez cały tydzień po okolicy, by skupywać od chłopów świńską szczecinę, a w zamian oferować im tanie błyskotki i kolorowy papier w gwiazdkowe wzory:

Gdy zaczyna się robić ciemniej w izbie, świerszcz robi krótsze przerwy między jednym a drugim zawodzeniem, dzieci odkrywają, gdzie właściwie świerszcz się chowa. Lejka otwiera górne żelazne drzwiczki w piecu [...] i długo, długo patrzy w czarną czeluść, która nie ma ani początku, ani końca. Joramek włązi do ciągnącej się nie wiadomo dokąd i zrobionej nie wiadomo po co niszy za piecem. Pachnie tam ciepłą ciemnością, przypaloną watą, osmaloną miotełką do zbierania kurzu i zdechłą myszą. Gdy Joramek krzyknął stamtąd stłumionym głosem jak kominiarz podczas

opuszczania kuli do komina, świerszcz uciął. Ale kiedy tylko Joramek wylazł, znów zaczęło się nieustanne, smutne zawrodoenie.

Jak zapomnieć tę wczesnojesienną noc, spędzaną w sadzie przez młodego sierotę, któremu w stróżowaniu dojrzałych jabłek towarzyszą jedynie przyjaciel pies i nieodstępne widmo pierwszej miłości, nastoletniej córki srogiego wuja:

W sadzie jest ciemno. Drzewa są tak rozrośnięte i pełne owoców, że pochylają oblepione, ciężkie wierzchołki i zasłaniają niebo. Zmarła mama Symki przychodzi też tutaj, staje, opiera się o drzewo i wyciąga długie, szpiczaste palce, by szczytać Symkę za to, że nie odmawia za nią Kadyszu. Ze stojącej dalej budy wuja wydobywają się cienkie, złociste promienie, kłują Symkę w oczy i niosą zapachy: palącej się lampy, palących się w jej płomieniu skrzydeł tańczącej émy, ścian ze świeżo oheblowanych desek, butelek z wodą, w których stoją kwiaty, i rozpuszczonych przed snem dziewięcych włosów.

A ta fizycznie krzepka chłopska dziewczyna, która całą tęsknotę i niespełnienie swego twardego życia zmienia w namiętne przywiązanie do konia, ucieleśniającego porywce piękno i niespożyte (na pozór) siły witalne – jej oczywiście też nie sposób zapomnieć. I przecież wcale zapominać nie trzeba. Lepiej pozwolić, by wszystkie te postaci i ich przypadki już na zawsze stały się częścią nas.

Karolina Chyła



Franciszek Maśluszczak, *Troska*, 1987

Cecilia Woloch

CO MI OBIECANO

Nic. Pierścionek i trochę soli. Ryż w białych butach. Muzykę. Lalkę. Książkę, którą mama czytała mi bez przerwy, gdy byłam mała: tygrysy zamieniające się w masło i mleko. Amulet od chłopca, który w kieszeni miał też nóż. Noc – nie obiecano mi świtu – gwiazdy zawieszono na niebie rękami mojego ojca. Miłość jak drzewo, na którego szczyt mogłam się wspiąć, a potem zeskoczyć i huścić się lub latać. Łaski tak małe, że dałoby się każdą z nich ukryć w kwiatku. Mocne, białe zęby. Zegar z pereł, każda perła to godzina, a godziny niezliczone. Różową sukienkę, która zniknęła – gdzie się podziała? – i maleńką baletnicę wirującą i wirującą wewnątrz kopuły. Drzwi, co otwierały się i zamykały. Dom nie. Nie dom, ale historię, dla której żyję. Szczęście uciekające jak migotanie wiatru. Dwa wiadra zimnej wody, drewno na opał. I płomień.



Fot. Erica Simone

Cecilia Woloch

CHŁOPIEC NA POLACH WĘGLOWYCH PENSYLVANII, OKOŁO 1929 R.

Dla mojego ojca

Ale kim był naprawdę
ten chłopiec pogwizdujący
w drodze do szkoły, kiedy o świcie
z rękami w kieszeniach szedł
wzdłuż hałd, szybu kopalni,
chaty za chatą
a przed nim jego oddech parny
w otoczce mgły i sadzy?

Czy tylko *przeżyj* powiedziałby
temu chłopcu mężczyzna, którym on
pewnego dnia się stanie?

Na pewno wtedy był głodny,
czuł zimno
i strach
przed głodem, prawem,
paskiem ojczyma,
jego pijackim oddechem.

A co ja powiedziałabym temu chłopcu?
Że istnieje gdzieś
inny świat
i pewnego dnia w to *wejdiesz* –
wciąż gwizdząc,
nie zapominając o chłopcu,
ani o jego głodzie, ani strachu,
drzwiach, którymi się *wymknąłeś*
stamtąd, gdzie nie było drzwi,
ani o kimś kto stał
i patrzył, jak *odchodzisz*.

JEJ DRZEWO

dla Marii Bakayzy, ur. w 1886
w Wistoku Wielkim, zm. w 1949 w Detroit

Było sobie drzewo, które kochałam tak jak dziecko kocha drzewo z wzajemnością. Podobno nazywało się *Srebrna wierzba*. Ja wołałam na nie *Babcia-Dziewczynka* lub *Babcia-Pod-Ziemią*. Brodziłam bosymi stopami w jej cieniu w rzeczce, a potem leżałam w słońcu i nasłuchiwałam jej głosu. Kiedyś burza przeszła przez łąkę i nagle się ściemniło; nad głową przemykały wielkie statki chmur i wszystkie liście – języki mojej wielojęzycznej babci – odwróciły się blaskiem od wiatru. Z jego porywem wbiegłam w wysoką trawę jak w morze światła. Bałam się, że drzewo odleci. Spojrzałam za siebie, ale pień ani drgnął. Tylko gałęzie kołysały się jakby machały na pożegnanie; jak kobieta w drzwiach domu, jej ramiona, strząsające z fartucha okruszki dla ptaków. Ten dom spłonął doszczętnie, kiedy odeszła. Ta kobieta, która zmarła zbyt młodo, daleko od tego miejsca, wciąż mnie przyzywa. Dotarłam do drogi z naręczem polnych kwiatów,

chwastów i jednej odłamanej gałązki. Wszystko na grób zalany niebem – szarym, potem srebrnym, potem zielonym.

BEZ ŻENADY

Chciałam napisać wiersz miłosny bez żenady.
Chciałam pójść na łąkę i tam
pochylić się i pocałować czubki traw,

a potem chciałam ją zabrać,
tę łąkę, i nosić ze sobą gdziekolwiek szłam.
Więc zerwałam jaskry, potem pęk czegoś

co kiedyś myliłam z krwawnikiem, a potem
trochę niebieskich i fioletowych kwiatków
i z mojego łupu zrobił się mały bukiet.

Chciałam postawić stopę na tych kamieniach w rzeczce
gdzie stawały stopy mojej babki,
a potem wystawić się na brzegu do słońca

i pozwolić motylom roić się w moich włosach.
Chciałam nasikać na ziemię i tak zrobiłam...
przykucając za wierzbą obok rzeki

w głębokiej zieleni aż do pasa – aby włożyć
płynne złoto mojego ciała w ciało tej ziemi.
A potem chciałam burzy, która nadeszła

z niebiesko-czarnym wiatrem i kroplami deszczu
by wyrwać mnie z powrotem w kierunku nieba.

Cecilia Wołoch
Przełożyła Krystyna Lenkowska

20 rocznica śmierci Czesława Miłosza

Adam Lizakowski

CZESŁAW MIŁOSZ W KALIFORNII ERY WODNIKA*

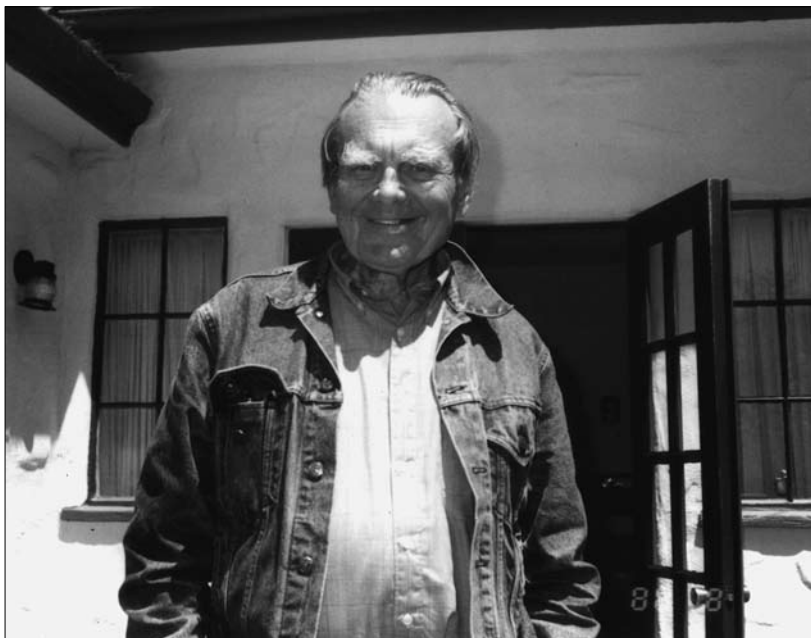
Poeta Czesław Miłosz, Europejczyk, popadł w chaos amerykański, który próbował zrozumieć poprzez XIX-wieczną Rosję. Przyczyną chaosu byli młodzi Amerykanie, którzy chcieli wziąć odpowiedzialność za państwo i swoje życie. Wbrew rodzicom, nauczycielom oraz władzy wyszli na ulice szukać zrozumienia poprzez muzykę, poezję i filozofię Dalekiego Wschodu. Narodzi się subkultura hippisowska, półnaczy studenci będą chodzić boso na zajęcia, zaczną się rozruchy afroamerykańskiej ludności, ale to wszystko będzie oglądane przez poetę z boku. To, że młodzi chcieli grać na gitarach, owijali swoje ciała w białe i pomarańczowe prześcieradła, wiązali brudne, długie włosy kolorowymi wstążkami, pisali wiersze, to nie było przyczyną rozłamu na dwie Ameryki.

Jedną z wielu przyczyn podziału Ameryki lat sześćdziesiątych był tak zwany złoty cielec, od którego młodzi brodaci chcieli uciec jak najdalej. Inną przyczyną rozłamu było to, że bogaci rodzice utrzymywali finansowo „dzieciaka hippisa”. Urodzeni przed wojną w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego chcieli, aby ich dzieci miały lepiej niż oni. I miały, nastał boom gospodarczy, Ameryka bogaciła się, dzieci za pieniądze rodziców mogły kupić sobie gitary i marihuanę, kolorowe, szklane koraliki na szyję i bransoletki na ręce, powiedzieć im prosto w oczy: kochana mamó i tato nie chcemy iść do szkoły, by później do końca życia uczestniczyć w wyścigu szczurów. Palec środkowy w górę i krótkie pojedyncze zdanie: *Just fuck off and leave me alone America!!!*. Czy do tego wulgarnego stwierdzenia był potrzebny poecie Lew Szestow, William Blake oraz Emanuel Swedenborg? Aby zrozumieć Miłosza, trzeba powiedzieć: tak, jak najbardziej.

Bardzo „długa dekada” trwała do połowy lat 70. XX wieku. W tym okresie, poza karierą w armii czy sporcie, zostają otwarte jeszcze jedne, trzecie drzwi dla „dołów społecznych” do szybkiej sławy i pieniędzy – a mianowicie kultura masowa. Miłosz rozumiał to i nawet walczył z subkulturą, nazywając ją „wzgardliwą rebelią beatników”, a ulubione miejsce hippisów, znajdujące się na skrzyżowaniu ulic Hight and Ashbury, nazywał hippielandem¹. Był jednak kontent, że poezja staje się tak popu-

* Fragmenty tego eseju były publikowane w książce Adama Lizakowskiego *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (Bibliotheca Bielaviana, seria Sudecka poezja i proza XLV, Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie, Bielawa 2024, s. 18–27). Pozostała część rozważań niepublikowana, w opracowaniu redakcji „Frazy”, od której pochodzi także tytuł eseju.

¹ Cz. Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Kraków 1989, s. 109.



Fot. A. Lizalowski

Czesław Miłosz w swoim domu na zboczcu Grizzly Peak w Berkeley w Kalifornii, 7 sierpnia 1988

larna, jak nigdy wcześniej, muzyka też, że otwierają się drzwi dla ludzi utalentowanych, piszących i grających na instrumentach, a Ameryka, jak napisał w tym samym eseju: „dzisiaj zmienia się zapewne w najbardziej poetycki i artystyczny kraj na świecie”. Płyty sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy, również poezja i literatura w ogóle dobrze sobie radziły, powstawało wiele księgarni i wydawnictw hippisowskich.

Tradycjoniści i konserwatyści, którzy występują przeciw krzykliwym studentom, domagającym się wielu rzeczy naraz, nie robią na pocie większego wrażenia, on wie, czym to wszystko może się skończyć, a przynajmniej tak mu się wydaje. Z miesiąca na miesiąc staje się coraz bardziej krytyczny, konserwatywny, dopatruje się w poczynaniach młodych zmierzchu amerykańskiego imperium i podziału Ameryki. Nie przemawia do niego ani poezja, ani muzyka. Ballady Boba Dylana, które stają się protest songami młodzieży, hymnami pokolenia, jemu się nie podobają. Szuka odnośników w dziewiętnastowiecznej francuskiej poezji. Takie utwory jak: *Blowin' in the wind*, *The Times They Are a-Changin'*, *Visions of Johanna* czy *A Hard Rain's A-Gonna Fall*, nie robią na nim większego wrażenia. Co o nich tak naprawdę myślał, tego nie wiemy. Wiemy natomiast, co napisał w jednym z listów do poety i dziennikarza z Krakowa, Marka Skwarnickiego.

Piosenka amerykańska jest „straszna”, rozdzierająca. Kiedy pierwszy raz posłyszalem Boba Dylana, powiedziałem: Baudelaire *Les fleurs du mal*. Właściwie skrzyżowanie Baudelaire’a z Proustem. A niedawno jeden z krytyków napisał, że od czasów Marksa nie było tak głębokiej analizy społeczeństwa, jak Bob Dylan².

Marksa Amerykanie uważają przede wszystkim za socjologa, a dopiero później za filozofa. Poeta nie czuje wspólnoty z tymi młodymi „oberwańcami”, owoc ich dokonań na polu kultury i polityki nie będzie jego owocem, on nie chce dzielić się z nimi odpowiedzialnością ani naprawiać skutków chaosu panującego w społeczeństwie. Świat młodych to świat dynamiczny, zmieniający się na wielu płaszczyznach, również na uznawanych już płaszczyznach wartości, które w oczach młodych tracą na znaczeniu z dnia na dzień. Chaos w świecie wartości coraz bardziej w sensie społecznym zmusza do myślenia o odpowiedzialności nie tylko za los swój i własnej rodziny, ale za los ludzi w innych państwach i regionach świata, nawet wtedy, kiedy nie wiemy, gdzie one są. I tutaj raz jeszcze warto wrócić do Marksa – nie filozofa, a socjologa, bo powstaje przepaść między ubogimi i bogatymi, ujawnia się brak sprawiedliwości społecznej i solidarności nie tylko wewnątrzpokoleniowej, ale także pomiędzy pokoleniami.

Czy Miłosz w ten sposób myśli o *beat generation*, trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć. Jest wrażliwy na niesprawiedliwość społeczną, jest za tym, aby wyrównać ludziom szanse i zapewnić im dostęp do edukacji, a nawet wspólnych dóbr, ale, aby takim być, trzeba być stronnikiem, a on takim nie jest. Jest za tym, aby tak ukształtować człowieka, żeby był zdolny do kontroli nad swoimi (nadmiernymi) potrzebami. Chce, aby myślenie nie było tylko nawykiem – mówił o tym w wielu wywiadach. Ale też przyznaje, że zachłanność i chciwość nie są mu obce. Dlatego ciekawe byłoby dla nas – wiernych czytelników Miłosza – jak zareagowałby na Literacką Nagrodę Nobla przyznaną Dylanowi, gdyby ten otrzymał ją jeszcze za życia poety. Trudno jest dzisiaj wyobrazić sobie jego reakcję. Czy słuchając Dylana, myślałby o poezji francuskiej?

W San Francisco, Berkeley aż kipiało od „energii młodych”, nastał bardzo trudny okres w życiu przeciętnego Amerykanina. Wielu rodziców, często weteranów II wojny światowej, zastanawiało się nad tym, czy jest sens pozwalać swoim synom uczestniczyć w wojnie w Wietnamie, o której nic nie wiedzieli, w kraju, którego nie umieli znaleźć na mapie. Czy Miłosz rozumiał młodych i wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, co się działo wokół niego, trudno jest na to jednoznacznie odpowiedzieć. Wiele razy zastanawiał się nad tym, skąd tyłu ludzi przybywa do San Francisco, kim oni są, dlaczego zbuntowali się przeciw własnym rodzicom, i co było powodem ich buntu? Dlaczego Bob Dylan napisał pieśń *The Times They Are a-Changin’*, o czym jest ta pieśń i co poeta chciał przez nią przekazać swoim rówieśnikom – urodzonym w latach 40. i na początku lat 50. XX wieku, którzy brali los świata w swoje ręce (a przynajmniej tak im się wówczas wydawało)?

² M. Skwarnicki, *Mój Miłosz*, Kraków 2004, s. 111.

Trzy lata po przybyciu do Stanów Zjednoczonych rodziny Miłoszów, 22 listopada 1963 roku zostaje zastrzelony prezydent John Kennedy. Następnego wieczoru Dylan rozpoczyna swój koncert balladą napisaną miesiąc wcześniej – *The Times They Are a-Changin'*. Młodzi Amerykanie akceptują ją. Pieśń w przeciągu kilku tygodni nabiera znaczenia hymnu. Jest śpiewana w wielu ważnych momentach dla Ameryki – na wiecach, manifestacjach, koncertach i zbiorowych protestach. W szczególności jej tytuł nie tylko sugeruje, ale wręcz mówi: „Uważajcie starzy, jesteście dinozaurami, to, co ceniliście/cenicie, może być uznane przez nas młodych za mało ważne lub zupełnie nieważne. Nie macie żadnych szans zatrzymać fali/potopu, który wszystko zmyje/zmiecie z powierzchni waszego świata”.

W każdej z pięciu zwrotek ballady autor zwraca się do konkretnych osób. W pierwszej do wszystkich ludzi, gdziekolwiek by oni nie byli, niech się zjedną/zgromadzą w jedno miejsce i słuchają, co artysta ma im do powiedzenia. W niej też zapowiada nowy potop (biblijny?): *And admit that the waters / Around you have grown (I przynajcie, że potopu / Nadszedł już czas)*. W drugiej zwraca się do pisarzy, krytyków, recenzentów, dziennikarzy, tych wszystkich, co wieszczą piórem lub manipulują naszym życiem codziennym. W trzeciej apeluje do senatorów i kongresmenów, czyli władzy; w czwartej do matek i ojców, czyli tych, co wychowują. Krytyka „starych” niczego nie zmieni, bo synowie i córki są już poza ich zasięgiem, wybrali inną drogę i rodzice nie mogą ich przywołać do porządku. Dylan mówi wprost: *Your sons and your daughters / Are beyond your command*. Czwarte przykazanie Dekalogu mówi o posłuszeństwie wobec starszych i własnych rodziców, Dylan go nie kwestionuje, ale twierdzi, że rodzice nie mają wpływu na to, jak ich dzieci rozumieją dzisiejszy świat ani na to, jaką obiorą drogę życia:

Podajdzie matki i ojeowie
Gdziekolwiek jesteście
I nie krytykujcie tego
Co nie mieści się wam w głowie
Wasze córki i synowie
Nie posłuchają się waszych rozkazów
Waszego myślenia
Nadszedł czas
Zróbcie drogę dla nowego pokolenia.
Nic innego nie możecie zrobić,
Nadchodzi nowe wielkimi krokami³.

A w piątej, ostatniej, przemawia do tych wszystkich, którzy teraz są ostatnimi, ale będą pierwszymi: *And the first one now // Will later the last*, co ma oznaczać, że wcześniej czy później zmiany się dokonają i nic nie jest w stanie stanąć im na przeszkodzie. To nic innego niż powtórzenie/wykorzystanie tematu/motywu/

³ Przekład Adama Lizakowskiego, <https://www.cultureave.com/bob-dylan-w-przekladzie-adama-lizakowskiego/> (dostęp 6.06.2024).

obrazu w celu stworzenia współczesnego sposobu mówienia, ale „podanego” w tradycyjnym sposobie myślenia o tym, co w przyszłości się wydarzy.

Powodów do buntu było wiele, często bardzo dziecinnych. Był na przykład sprzeciw, by nie chodzić w niedzielę do kościoła lub przeciwko uczeniu się i odrabianiu lekcji. Młodzi buntowali się przeciwko zakazom: picia alkoholu, brania narkotyków, seksu przedmałżeńskiego, ubierania się w stare, zniszczone ubrania i jedzenia byle czego. Chcieli być wolni, chcieli tworzyć tak zwane komuny hippisowskie, w których łatwiej dostać było narkotyki niż kanapkę z serem i pomidorem. Większość tych bardzo młodych osób przez cały okres hippisowski po prostu głodowała, żyła w nędzy i wbrew przywoitym warunkom sanitarnym. Przybyli do San Francisco, aby doświadczyć czegoś, czego nie mogli przeżyć pod rodzinnym dachem, więc przeżywali swoją utopię, wzięcie w swoje ręce odpowiedzialności za siebie i świat.

Miłosz o tym wiedział, chciał ocalić Amerykę przed Ameryką jako Europejczyk. Czy mu się to udało, dzisiaj trudno jest to stwierdzić jednoznacznie. Był elitarnym profesorem elitarniej uczelni, mieszkał w elitarnym miejscu na ziemi, studentów swoich wykładał o Dostojewskim, Swedenborgu, polskim renesansie czy baroku, też miał elitarnych. Wracali oni do swoich mieszkań, gdzie palili marihuanę, pili piwo, słuchali muzyki Boba Dylana, Rolling Stonesów lub piosenki – hymnu hippisów, wyśpiewanej przez Scotta McKenzie w 1967 roku:

If you're going to San Francisco
Be sure to wear some flowers in your hair
If you're going to San Francisco
You're gonna meet some gentle people there

For those who come to San Francisco
Summertime will be a love-in there
In the streets of San Francisco
Gentle people with flowers in their hair

Miłosz nie wkładał kwiatów we włosy, nie musiał się wybierać do San Francisco, mieszkał na jego przedmieściach i codziennie oglądał miasto ze swego tarasu. Nie interesował się za bardzo subkulturą hippisów, nie palił marihuany (jest to duża strata dla polskiej poezji), ale lubił zajrzeć do kieliszka. Nie ma wielu śladów tych wydarzeń w jego twórczości, ale jest sporo uwag dotyczących lat 60. XX wieku w jego bardzo bogatej, prywatnej korespondencji.

Aby zakończyć wątek hippisowski, należy wejść przez te trzecie drzwi. Warto powołać się na Janis Joplin i jej ostatnią piosenkę *a cappella*, nagrałą trzy dni przed śmiercią. *A cappella* znaczy bez podkładu muzycznego, aby publiczność mogła skupić się wyłącznie na przekazie, nie będąc rozpraszana przez muzykę. Tak skonstruowany utwór bardzo przypomina ewangelię i duchową pieśń.

Piosenka *Mercedes Benz* to ironiczno-sarkastyczny utwór napisany przez piosenkarkę wraz z poetami Michaeliem McClure i Bobem Neuwirthem. Artystka

prosi Boga, aby udowodnił swoją miłość do niej, kupując jej samochód Mercedes-Benz, kolorowy telewizor i kilka jeszcze innych rzeczy, które w tej chwili nie są przedmiotem naszego zainteresowania. Janis Joplin krytykuje ludzi, którzy wykorzystują modlitwę, by prosić w niej o osobiste korzyści, szydzi z tych, którzy modlą się o luksusy, słuchając lub oglądając w telewizji tak zwanych ewangelistów (*Oh lord won't you buy me a color TV*), proszących o datki telewizorów, zapewniających, że Bóg wynagrodzi darczyńców i nie zapomni o nich w finansowych tarapatach.

Piosenkarka, zanim zaczęła śpiewać, zrobiła do niej małe wprowadzenie: *I'd like to do a song, of great social and political importance. It goes like this* („Zaśpiewam piosenkę o wielkim znaczeniu społecznym i politycznym. Tak się ona zaczyna”). W tych kilku słowach postrzega społeczeństwo jako maszynię, w której zachodzą wszystkie procesy kapitalizmu amerykańskiego, z jakimi ona nie chce się zgodzić. Wszystko jest podporządkowane zbiorowemu dobrobytowi i zyskowi. W takim systemie nie ma miejsca na indywidualizm, osobiste potrzeby i wyjątkowe doświadczenie. Prośba do Boga o mercedesa staje się kpina z wartości rodziców:

Oh lord won't you buy me a Mercedes Benz.
My friends all drive Porsches, I must make amends.
Worked hard all my lifetime, no help from my friends.
So oh lord won't you buy me a Mercedes Benz.

Oh lord won't you buy me a color TV.
Dialing for Dollars is trying to find me.
I wait for delivery each day until 3.
So oh lord won't you buy me a color TV.

Oh lord won't you buy me a night on the town.
I'm counting on you lord, please don't let me down.
Prove that you love me and buy the next round.

Oh lord won't you buy me a night on the town.
Everybody, Oh lord won't you buy me a Mercedes Benz.
My friends all drive Porsches, I must make amends.
Worked hard all my lifetime, no help from my friends.
So oh lord won't you buy me a Mercedes Benz.

Piosenka uważana jest przez jednych za nawoływanie do materializmu, a przez innych za bunt przeciwko niemu. Joplin śpiewa: *Worked hard all my lifetime, no help from my friends* („Przez całe życie ciężko pracowałam i nie miałam nikogo do pomocy”). Chce doświadczyć przyjemności, jakie życie ma do zaoferowania, więc prosi Boga o mercedesa. Motywuje swoją prośbę tym, że: *My friends all drive Porsches, I must make amends* („Wszyscy moi przyjaciele jeżdżą już porsche, muszę to powiedzieć”). Tak jak wielu innych, też chce być beztroska i szczęśliwa, wartości materialne są dla niej ważniejsze od duchowości. W piosence jest kontrast pomię-



Fot. Anna Luna

Adam Lizakowski i Czesław Miłosz w Chicago, jesień 1991

dzy *Goods* (dobrami materialnymi) i *God* (Bogiem), ale przekaz jest oczywisty – to znamionująca życie społeczne utrata zainteresowania wartościami duchowymi na rzecz wartości materialnych. Duchowość to także relacje ludzkie, a zamiast nich ważniejszy jest kult produktów i dóbr. Materializm wygrywa z religią. Piosenkarka wyśpiewuje dewaluację chrześcijaństwa jako instytucji społecznej. Bóg nie jest już tak ważny jak mercedes, nie ucieleśnia już duchowych wartości, nie czyni człowieka odpowiedzialnym za swoje czyny i grzechy, teraz najważniejsze jest mieć, bo mieć znaczy być.

Joplin urodziła się w konserwatywnej rodzinie w Teksasie, w średniej klasie społecznej Ameryki, mercedes nie był już dla niej wielkim luksusem, bo sama jeździła porsche wymalowanym „psychodelicznymi” kolorami. W Kalifornii ta niewysokiego wzrostu dziewczyna, pochodząca z bardzo religijnej rodziny, stała się gwiazdą subkultury, występując z hippisowskim zespołem San Francisco’s Big Brother and the Holding Company do końca roku 1968. Ale odeszła i rozpoczęła karierę solową. Nie szło jej najlepiej, dopiero w następnym roku coś się ruszyło, gdy wzięła ją pod swoje skrzydła menadżer zespołu The Doors.

Znała główną zasadę hippisów – antymaterializm – ale nie była jej obca wyniesiona z domu pogoń za zbytkiem i luksusem. Czy wierzyła w iluzoryczną

szczęśliwość hippisów? Chyba nie, wiedziała dobrze, że ani pogoń za „dobrami ziemskimi”, ani umartwianie się nie gwarantuje szczęścia i spokoju duszy. Epoka hippisów powoli się kończyła, był koniec roku 1970, rozmowy pokojowe rozpoczęte w 1969 roku w Paryżu pozwoliły Amerykanom z twarzą, ale i z opuszczoną głową wycofywać się z Wietnamu. Gdy artystka umierała w październiku 1970 roku z powodu przedawkowania heroiny, jej porsche stało zaparkowane przed hotelem. Nie umarła, jak twierdzą jej biografowie, z przedawkowania – ale z powodu błędu dealera, który dostarczył jej tym razem mocniejszy narkotyk. Joplin wzięła swoją zwykłą dawkę. Jak wykazało śledztwo, jeszcze kilka innych osób zaopatrujących się u tego samego dealera w krótkim czasie zmarło z przedawkowania. Chciała skończyć z picciem whisky, powodującego u niej strasznego kaca, którego nie chciała mieć, bo pragnęła za wszelką cenę, z uporem, desperacją, ogromną siłą woli – nauczyć czegoś mieszkańców innej planety, podzielić się z nimi swoją wiedzą, doświadczeniem i obserwacjami świata. Chciała to zrobić za pomocą poezji, którą tłumaczyła, oczywiście wybranych poetów, a także przekładając swoją twórczość.

Miłosz chce podbić umysły swoich studentów – mieszkańców planety San Francisco Bay Area, a później Ameryki i reszty, czyli całego świata. Wojna w Wietnamie trwa, polski pisarz jest niezadowolony z jej przebiegu, niezadowolony tak z postawy studentów, jak i z rządu. Tak samo jest niezadowolony z pobożności Amerykanów, jak i z polskiego katolicyzmu. W sumie możemy poznać go lepiej od tej właśnie strony – czego nie lubi, co mu się nie podoba, przeciw czemu jest – niż ze strony tego, co lubi i co mu się podoba. Piosenka Joplin *Mercedes Benz* powinna mu się podobać, ale nie można mieć stuprocentowej pewności.

Powinien podobać mu się film z kultowym Jamesem Deanem – *Buntownik bez powodu* (1955), w którym wkraczający w wiek męski chłopak pyta ojca: Co to znaczy być mężczyzną? Ojciec nie odpowiada, ale dał synowi wszystko, co powinni dać rodzice, oprócz wartości, które określają człowieka. Chłopak czuje się wyalienowany, buntuje się nie przeciwko „obcym”, ale przeciwko własnym rodzicom, zwłaszcza matce, która zdominowała ojca. W latach sześćdziesiątych XX wieku sfrustrowani młodzi przede wszystkim buntują się przeciwko rodzicom, dopiero później rozszerzą swój bunt na społeczeństwo, państwo, skierują go przeciw wojnie, przeciw nierówności społecznej, przeciw wszystkim, którzy będą mieli więcej niż 30 lat życia. Buntował się młodszy syn poety Piotr i to ostro się buntował, Miłosz miał z nim sporo kłopotów. Buntowali się synowie innych, którzy nie chcieli mieszkać w identycznych domach w dzielnicach i na przedmieściach miast. Nie chcieli jeździć identycznymi samochodami, oglądać tych samych programów telewizyjnych i nie chcieli identyfikować się z rodzinami z telewizyjnych seriali. O te wartości walczyli młodzi w Berkeley i całej Ameryce, chcieli być widziani jako ludzie, a nie materialistyczne roboty.

Młodzi, hippisi, dla których były ważne nie tylko wystąpienia przeciwko wszelkim politycznym „zagrywkom starych”, stworzyli własną subkulturę, literaturę, poezję, sztuki plastyczne, modę (tak zwany kod odzieżowy) i oczywiście muzykę. Ona towarzyszyła każdemu strajkowi, każdemu pochodowi, była na każdym wiecu,

słowem: wszędzie, na każdym kroku. Młodzi byli przekonani, że muzyka pomaga, rola muzyki była ogromna i nie należy jej lekceważyć, bo była ona narzędziem ekspresji społecznej. A tam, gdzie była muzyka, był śpiew, tam, gdzie był śpiew, były piosenki, wiersze i poeci.

A co robi poeta w tych bardzo gorących dla Ameryki czasach, kiedy wszystko się „gotuje” od energii, agresji i zmian zachodzących na całym kontynencie? Wydaje się, że jest spokojny, że wszystko ma pod kontrolą. W 1965 roku wydaje w Instytucie Literackim w Paryżu tomik wierszy pod tytułem *Gucio zaczarowany*, napisany w całości w Stanach Zjednoczonych. Niektóre utwory były wcześniej publikowane na łamach paryskiej „Kultury”. Tytułowy bohater książki to niegrzeczny chłopiec, który za karę zostaje zamieniony w muchę. Poeta nawiązuje do książki dla dzieci, napisanej pod koniec XIX wieku przez Zofię Urbanowską. Tomik jest utrzymany w tonacji melancholii, nostalgii a nawet poczucia wyobcowania. Przykładem niech będzie wierszy pt. *Nigdy od ciebie miasto*, i jego pierwszy wers: „Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać”.

Żyjąc przez kilka lat pod kalifornijskim słońcem i chodząc po kalifornijskiej ziemi, poeta był cały czas daleko, bardzo daleko, w północno-wschodniej Europie, w swoim prowincjonalnym powiecie, w Szeteljniach i Wilnie. Na mapie świata to od San Francisco bardzo daleko, ale nie w sercu poety. Byłem w tych miejscach środkowej Kalifornii, o których poeta z Berkeley wspomina, lokalizując topograficznie twórczość Robinsona Jeffersa, zanim zanurzyłem się w jego poezji. Odwiedziłem Haft Moon Bay, Santa Cruz, przez które trzeba przejechać do Carmel i Monterey. W tej ostatniej miejscowości mieszkało i pracowało kilku moich znajomych Polaków (w tym Tadeusz Wojnicki, autor zbioru opowiadań *Zapiski na skrzyniach pomarańczy*), wykładowców języka polskiego czy rosyjskiego, pracujących w tamtejszej szkole językowej amerykańskiego ministerstwa obrony narodowej. Tam też w dobie hippisów i ich rozkwitu („lato miłości 1967”) odbył się słynny festiwal, na którym wystąpili Janis Joplin i Jimi Hendrix.

Trzeba przyznać rację Miłoszowi, że wybrzeże oceanu, klify w tej części Kalifornii wyglądają bardzo groźnie, ale ja, będąc w tych miejscach prawie dwadzieścia lat po poecie i będąc ponad dwadzieścia lat młodszy, niż on był, gdy je odwiedził, nie widziałem grozy oceanu, ale młodych ludzi rozebranych prawie do naga. Wszyscy byli roześmiani i radośni, cieszyli się życiem.

Ale wracajmy do tomiku *Gucio zaczarowany*. Oprócz własnych wierszy Miłosz dołączył do niego swoje przekłady dwóch poetów amerykańskich – Walta Whitmana i Robinsona Jeffersa, Kalifornijczyka zmarłego w 1962 roku w turystycznej miejscowości Carmel nieopodal Santa Cruz, kiedyś małej wiosce rybackiej, odkrytej przez hippisów artystów. Kalifornijski poeta własnymi rękami wybudował dom na wysokiej skarpie (Tor House) z kamieni znalezionych na urwisku skalnym, w które bez miłosierdzia waliły fale oceanu, a krzyk przelatujących mew powodował mocne serca bicie. Rządził tu dziki bóg – Natura. Dziki kapitalizm amerykański jest drapieżny jak tutejsze orły i rybitwy – potężne, o rozpiętościach



Fot. A. Lizakowski

Czesław Miłosz na Wabash Ave w Chicago, jesień 1991

skrzydeł nawet do dwóch i trzech metrów, krążące na klifami. Dla człowieka wrażliwego jest to przerażający widok – ryczący ocean i krzyk mew, ale w takim miejscu właśnie Jeffers chciał mieszkać i takie miejsca przerażały poetę z Wilna. Uświadomienie sobie własnej znikomości, słabości wobec natury, przeraża. Dziwokość natury, darwinizm, o tym też pisał Miłosz w listach do Thomasa Mertona – o strachu i fascynacji siłami natury, wobec których człowiek to „mały żart”, nie nieznaczący. Jakże inna jest ta fascynacja naturą i jej pięknem z *Doliny Issy* od tej kalifornijskiej, kiedy już w pełni dojrzały człowiek poeta doskonale rozumie, jakie okrutne prawa nią rządzą.

Z czasem to Miłosz stanie się tym, który będzie ukazywał rodowitym Amerykanom nie tylko wielkość Jeffersa jako najwybitniejszego poety amerykańskiego Zachodu, ale i jego wielką rolę w poezji amerykańskiej, i stawiał go obok takich poetów, jak Robert Frost, William Carlos Williams, Ezra Pound czy Thomas Stearns Eliot, co oczywiście nie wszystkim badaczom literatury się spodoba i nie wszyscy się z nim zgodzą. Jeffers był ważny dla Miłosza nie tylko jako Kalifornijczyk czy też ktoś, z kim należy kojarzyć Zachód Ameryki, bo tuż za Carmel kończy się kontynent, za nim jest już tylko Ocean Spokojny, a później Azja i koniec wpływów kultury europejskiej.

Jeffers był dla Miłosza ważny, bo przedstawiał swój punkt widzenia na człowieka w świecie przyrody, Jego filozofia przyrody i natury ludzkiej spodobała się poecie z innej planety. Jestem przekonany, że wiele się od niego także nauczył i podpatrzył, zwiedzając z rodziną Zachód Ameryki podczas długich weekendów czy urlopów. Wiele z jego twórczości wykorzystał w swojej esicyście, wierszach i prozie. Zresztą przecież nie tylko z Jeffersa, zrobiony w latach wojennych przekład *Ziemi Jałowej* T.S. Eliota odbił się echem między innymi w *Traktacie moralnym* opublikowanym w 1947 roku. Przecież jest rzeczą wręcz niemożliwą, aby tak wrażliwy człowiek nie był pod urokiem siły tych, którym poświęcał tak wiele uwagi, czasu i energii życiowej. Twórczość i osoba Jeffersa oraz działalność naukowo-akademicka to druga strona medalu – intelektualna.

Natomiast pierwszą stroną medalu stanowi codzienność kalifornijska. Która z nich była ważniejsza dla poety, nie nam to oceniać. Czasami Miłosz patrzył na beatników i hippisów jak na europejską cyganerię artystyczną, porównywał jednych z drugimi, ale hippisi nie byli ani z natury, ani ze stylu życia bohema. Pisali wiersze, prozę, jakże inną dla poety z Wilna, bowiem odrzucali tradycyjne formy literackie i „akademicki styl”. Promowali głównie wolny strumień świadomości i traktowali pisanie jako działanie wizjonerskie, które musi narodzić się i pochodzić z najbardziej wewnętrznego ja. Pracowali nad zmianą stylu retorycznego, ponieważ ich wiersze były przede wszystkim przeznaczone do czytania na głos, a nie do publikacji. Czytali swoje utwory w pubach, barach, na ulicy, przed kościołami, fabrykami, w parku, przed instytucjami. Dla nich najważniejsze było dostosowanie do miarowości mowy, do długości oddechu. Nie będąc akademikami, czuli się swobodnie, używając języka potocznego i nieformalnego, bardzo często slangu. Największą jednak różnicą pomiędzy poezją beatników i hippisów a wcześniejszą, modernistyczną poezją była technika zapisu wiersza. Naśladowując Walta Whitmana, bardzo często stosowali anafory, powtórzenia, co miało podkreślać wagę tego, co chcą przekazać. Miłosz tego nie robił i, mimo że bardzo lubił i wysoko cenił poezję Whitmana, poeci beatnicy nie wzbudzili jego zainteresowania czy podziwu.

Poeta patrzył na to wszystko, co się wokół niego działo, oczami człowieka, który przeżył straszną wojnę w Polsce i w Europie. W Ameryce wybudował wokół siebie oazę, do której zaprosił swoich studentów, aby z nim pracowali. Niektórzy z nich zostali tłumaczami nie tylko jego twórczości, ale i polskiej poezji, literatury. Próbował ich „zarażać” swoją pasją gospodarza kultury polskiej w Ameryce. Lista Amerykanów, których zaangażował w sprawę polskiej literatury, jest długa, a poetów i pisarzy polskich, których przekładał na język angielski, jeszcze dłuższa. Nie mam zamiaru podawać nazwisk tłumaczy czy tytułów książek, które dzięki Miłoszowi ukazały się w języku angielskim. Wspomnę tylko o Lillian Vallee, wspaniałej tłumaczce *Dzienników* Witolda Gombrowicza, na której zajęciu chodziłem na UC Berkeley w latach 80. XX wieku, a później spotykałem się w kilku miejscach i – jak się okazało – mieliśmy wspólnych bliskich znajomych. Była studentką Miłosza i jedną z pierwszych osób, z którą tłumaczył swoje wiersze na angielski. Tak powstał

jego drugi tomik po angielsku – *Bells in Winter* – wydany dwa lata przed otrzymaniem nagrody Nobla. Książka składa się głównie z krótszych utworów, które, moim zdaniem, są o wiele lepsze niż poematy, bo w nich widać mistrzostwo Miłosza jako poety, a jako poetę cenię go najbardziej.

Chwała Wielkiemu Kosmicie za jego twórcze cierpienia i radości zwycięstwa wypływające z przekładu na angielski z tak trudnego języka, jakim jest polski. Za to, że umiał, a przede wszystkim chciał przekonać swoich studentów do pracy nad przekładem polskiej poezji i prozy. On to zakładał „bazy kosmitów”, budował mosty z wierszy dla „obcych”, których zapraszał do odwiedzenia swojej planety. W ten sposób powstaną dwie bardzo ważne książki dla wszystkich uczących się literatury i kultury polskiej w anglojęzycznym świecie – *Postwar Polish Poetry. An anthology* (1965 i następne wydania) oraz *The History of Polish Literature* (1969). Trudno sobie wyobrazić bez tych książek studia slawistyczne w Ameryce w drugiej połowie XX wieku.

Czesław Miłosz – ten kosmita i tytan pracy – potrafił wyłączyć się ze studencko-wietnamskiej burzy. Tkwił w niej na tyle, na ile musiał, w każdej chwili był gotowy przejść do swojego świata i znaleźć spokojne miejsce szalonej pracy w lesie kultury polskiej i europejskiej. Drewniany domek na zadrzewionym, stromym wzgórzu, na „Kurzej Stopce”, był jego arką na burzliwym oceanie życia, w której oczekiwał na spokojniejsze i lepsze czasy.

Adam Lizakowski

Jack Kerouac

Z cyklu San Francisco Blues

CHORUS 11

Nie wiadomo
Co sobie myśli
Ten kościsty
Typ w kraciastym
Drelichu w okularach
Z lunchem w zawiniątku
Idący sprężystym krokiem
Wolno do roboty

Albo ta śliczna młoda
Indianka idąca szybkim
Acz dostojnym krokiem do
Greckiego sklepu „Maraton”
Żeby kupić banany
Na swoją noc miłości,
O czym też ona myśli?
Wydyma policzki i rozchyła
Czerwone jak czereśnie wargi,
Aby je można było całować
I wyssać z nich cały sok.

CHORUS 39

Tak, dzisiaj
 jadę
 do
 domu

Wieczorem będę
Pruł Autostradą
Leciał Wybrzeżem
Owinięty kocem

We łzach
I zziębnięty

Więc nalej mi
Bracie drinka
Mam wielu przyjaciół
Na obu wybrzeżach
I dziewcząt między
 oceanami
Ale kiedy widzę
Butelkę
I widzę że jest pełna
Muszę ją otworzyć
I zdrowo sobie pociągnąć

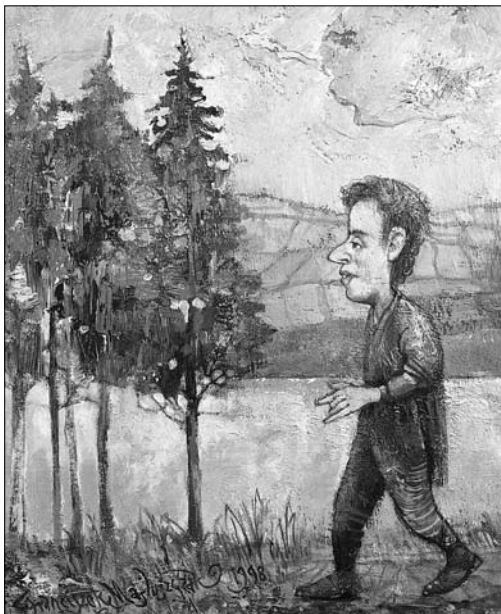
CHORUS 40

A kiedy kręci mi się w głowie
A wszyscy przyjaciele się śmieją
A pieniądze wyciekają
 z kieszeni
A złoto uszami
A srebro wylatuje
 i eksplodują rubiny

Wtedy wstaję i jem
I śpiewam kolejną piosenkę
I rzucam na ruszt
Winogrona

Przecież wiecie
Co powiedział Omar Chajjam
Cieszcie się
Winogronami
Zamiast się smucić
I jęczeć po nocach
I szukać nieistniejących
Owoców

Jack Kerouac
Przełożył Andrzej Szuba



Franciszek Maśluszczak, *Na brzegu Warty*, 1998. Obraz z tomu Krystyny Lenkowskiej *Nie deptać przylaszczek / Keep off the Primroses* (1999)

Wasył Machno

AMICHAJ*

Od chwili, gdy przypadkowo w polskim czasopiśmie „Począ” trafiłem na wybór wierszy Jehudy Amichaja, do czasu, gdy w księgarni na Broadwayu kupiłem gruby tom jego wierszy w przekładzie na angielski, minęło ponad dwadzieścia lat. W ogóle, jak bardzo nieprawdopodobnie by to wyglądało, nikt inny, a sam Amichaj prowadził mnie w nowojorskiej, jesiennej ulewie. Wówczas jeszcze nie całkiem dobrze orientowałem się w mieście, myląc jego część wschodnią i zachodnią, rozdzielone Broadwayem. Tamtego wieczora wybrałem się z Brooklynu. To był chyba listopad. Oceaniczne deszcze przyszyły do Nowego Jorku na długo i kilka dni pod rząd nieustannie lało. W wagonie metra było ciepło – maszynista włączył ogrzewanie, a kiedy na manhattańskim moście przez zapotniałe szyby ukazał się Manhattan, musiałem zerknąć na mapkę metra, żeby nie przejechać swojej stacji.

Czytanie wierszy Amichaja zaplanowano w jednym z gmachów Uniwersytetu Nowojorskiego, rozrzuconych po przekątnej wokół skweru Waszyngtona. Mogę sobie tylko wyobrażać, jak dwunastoletni żydowski chłopiec Ludwig Pfeuffer, który urodził się w Niemczech, odebrał Palestynę pod mandatem brytyjskim, kiedy pierwszy raz stanął na Ziemi Świętej. Być może dopłynęli do Hajfy, do portu, który w porównaniu z niemiecką pedantycznością przypominał wzór chaosu. Jednak czasu na zastanawianie się – wyjeżdżać czy zostawać – jego rodzice w nazistowskich Niemczech w 1936 roku nie mieli. Powody wszyscy znamy.

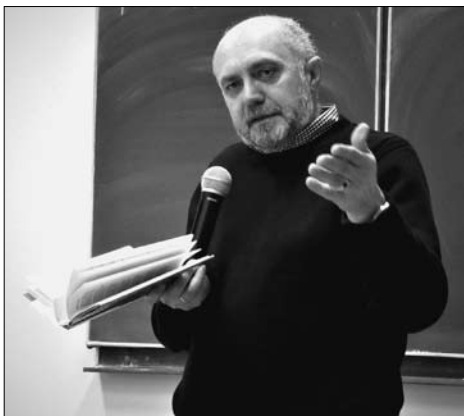
Jak większość żydowskich pisarzy na nowej ziemi i w nowym życiu obiera sobie nowe imię i nazwisko, zszyte z liter iwrytu, i hebrajski staje się też językiem jego pisarstwa. Oczywiście niemiecki nie był mu całkiem obcy, ale z wielu przyczyn przyszło mu się z nim rozstać. Młody Ludwig osiedla się z rodzicami w Jerozolimie, tu się uczy, czyta, dorasta i staje się poetą języka hebrajskiego. Najpierw jednak zostanie żołnierzem – żołnierzem brygady brytyjskiej, a potem wojska izraelskiego. Sytuacja wymagała nie wierszy, a żołnierskiego obowiązku. I pokolenie Amichaja z honorem

*Z książki *Z samogłosek i spółgłosek: encyklopedyczny słownik nazwisk, miast, ptaków roślin i wszelkich różności*, która ukaze się nakładem „Galerii Literackiej” w Częstochowie.

stanie do obrony nowo stworzonego państwa. A ponieważ w ciągu całej historii zawsze tutaj trwały wojny i konflikty, młodych syjonistów to nie napawało lękiem, raczej porywało. Najpierw osiemnastoletni Amichaj będzie służył w brytyjskim korpusie w Egipcie. To rok 1942, czyli czas, kiedy niemiecki Afrika Korps kontynuuje marsz w kierunku Jerozolimy. O powadze sytuacji świadczy opowieść o tym, jak Brytyjczycy wsadzili do samolotu czterech kabalistów, z którymi oblecili wszystkie możliwe pozycje i po wylądowaniu mędracy poinformowali dowództwo wojskowe, że korpus Rommla do Jerozolimy nie dojdzie. Czyli prorok, do którego modlili się podczas lotu, dał im znak.

Koło Uniwersytetu Nowojorskiego zabłądziłem, jakby naszedł na mnie miraż. Ulice były puste. Bo kto zechce chodzić pod ulewnym i porywistym deszczem? Właśnie taki dzień wybrał sobie Jehuda Amichaj na czytanie swoich wierszy w Nowym Jorku. Dokładniej nie on osobiście, a tłumacze, którym udostępniono salę akurat tego deszczowego wieczora. Zapamiętałem to czytanie, bo wszyscy, którzy wchodzili do pomieszczenia, wnosili z sobą potoki wody, spływającej z kurtek, płaszczy, parasoli, kaloszy i półbutów. Kałuże deszczowej wody sprawiały wrażenie, że poetycką metaforę – dotknięcia nieba do ziemi – przynieśli ci, którzy weszli z dworu na uniwersytet. Wtedy pierwszy raz usłyszałem hebrajski – to był język poezji, język modlitw i błogosławieństw, z których zmiękzone spółgłoski sypały się zewsząd na słuchaczy. Potem hebrajski został zastąpiony przez angielski, ale poezja Amichaja nie przestała pachnieć deszczówką.

Jeśli angielski dla zebranego towarzystwa był naturalny, bo przebywanie pod angielskim mandatem wymagało językowych kontaktów, to niemiecki, w którym tworzyli Heine, Rilke czy Kafka, po drugiej wojnie światowej przypominał o traumie. Do Jerozolimy w 1969 roku przyjedzie Paul Celan w nie najlepszym okresie swojego życia. Poeta języka niemieckiego, który uważał za ojczysty i na którym się mścił. Czy poeta może mścić się na języku? Może i to jeszcze jak! W powojennej Jerozolimie



Fot. Archiwum „Frazy”

Wasyl Machno w Instytucie Polonistyki
i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego,
24 listopada 2022

było wtedy wielu Bukowińczyków z tych, którym udało się przetrwać wojnę i przeżyć. Paul czytał dla nich po niemiecku, jakby chciał im przybliżyć Bukowinę i Czerniowce. Czy miał świadomość, że język, w którym pisze, może odrzucić słuchaczy?

Jednym z powodów kiepskiego stanu Celana były też jego złożone stosunki z niemieckim środowiskiem literackim. Jehuda na użytek występu Celana w izraelskim radiu przekłada kilka jego wierszy na hebrajski. Wróciwszy do Francji, Celan napisze do Jehudy list, w którym powie, że nie wyobraża sobie świata bez Izraela. Zrodziła się we mnie myśl, że w podtekście czyta się także, iż Celan nie wyobraża sobie poezji bez języka hebrajskiego. Zresztą będzie mówił swojemu izraelskiemu koledze o hebrajskim jego wierszy jakoś tak po Celanowsku, nie wprost, jakby usprawiedliwiają i wstydząc się swego wyboru niemieckiego.

Kiedy za młodu przekładałem Zbigniewa Herberta, to nie pominąłem jego wiersza *Do Jehudy Amichaja*. Podczas mojej wędrówki ciasnymi uliczkami Starego Miasta w Jerozolimie wydawało mi się, że Amichaj przebywa tam w towarzystwie synogarlic. Zresztą w swoich wierszach często personifikował detale codziennego życia w głębokie metafory, w których w teraźniejszości i przeszłości przeglądała się przyszłość. Jeśli Amichaja nazwać jerozolimskim poetą, to takie określenie całkowicie odpowiada rzeczywistości z drobnym zastrzeżeniem, że Jerozolimę należy rozumieć w szerszym kontekście niż tylko urbanistycznym.

Każdy z języków – ukraiński, hebrajski czy jakkolwiek inny – pełen jest ziaren poezji każdego słowa ze słownikowego zasobu. Kiedy więc powstaje wiersz, te ziarna – ze znakami plus i minus – trafiają w szczególne pole magnetyczne, łączą się w nierozzerwalny łańcuch logiki i piękna. Może najgłębszy wyraz ta osobliwa logika i piękno znalazły w poetyckiej i światopoglądowej formule Amichaja:

Otwarto – zamknięto – otwarto
do czasu kiedy narodzi się człowiek
wszystko w świecie bez niego jest otwarte
Kiedy żyje, wszystko jest zamknięte
przez jego własne życie.
A kiedy umiera wszystko znowu otwarte.
Otwarte – zamknięte – otwarte.
To człowiek.

I chociaż poetyckie pokolenie, do którego należeli Jehuda Amichaj, Natan Zach, Dan Pagis występowało w latach pięćdziesiątych XX wieku przeciwko rozromantyzowanemu stylowi poprzedników, usiłując uwspół-

cześcić poetycki hebrajski, to widoczne oznaki związku hebrajskojęzycznej poezji z religijną świadomością i osobliwościami judaizmu u nikogo z nich nie zanikły. Przeciwnie – w przypadku Amichaja każdy detal jego wierszy nabiera biblijnej symboliki. W tym procesie stałego dialogu ze Stwórcą poezja, według Amichaja, to najbardziej skuteczny sposób, by odważyć się zapytać i spróbować zrozumieć, przede wszystkim dla siebie, pulsujące impulsy Jego odpowiedzi. Nie zawsze rozumiałe, ale pulsujące. Niespieszny rytm, wiarygodna opowieść i wizualna metafora ułatwiają słuchaczowi właściwy odbiór – Amichaj mówi o rzeczach rozumiałych dla każdego, wybierając sposób, w którym prozaiczność łączy się ze wzniosłością.

Wyraźnie pamiętam tamto nowojorskie czytanie, zalane deszczem, te kałuże na laminowanym parkiecie audytorium, te mokre kartki z angielskimi przekładami, które pierwsze rzędy przekazywały ostatnim. Poezji nie można przetłumaczyć, opisać czy przekazać, bo wtedy, kiedy usiłujemy to zrobić, znika ona natychmiast jak impuls światła, wysłany do nas z bezkresnego kosmosu.

BELLOW

Jesiennymi dniami, siedząc na werandzie, można sobie pozwolić na luksus czytania – niespieszne przewracanie stronic. To czas, kiedy można szukać na czystym niebie jastrzębi i białych czapli, podpatrywać wiewiórki i wsłuchiwać się w szum oceanu. Najbliżej są wiewiórki, chowają orzechy, szeleszczą w opadłych liściach. Potem któraś z nich wdrapuje się na ogrodzenie i stamtąd skacze na pień orzecha. Rozpłaszczywszy się na nim, kręci głową, jakby nie wierzyła, że już jest na swoim miejscu. Orzech rośnie u sąsiada. Sąsiad pokazuje się w domu rzadko, ale w oknach co noc świecą się elektryczne świece. Zapalają się automatycznie jakimś przełącznikiem, tworząc złudzenie, że dom nie jest pusty.

Biografia Saula Bellowa na stoliku i spoglądanie na sąsiedzki dom z orzechem przypomniały mi przeczytane kiedyś jego opowiadanie *Leaving the Yellow House* (1958). Kiedy trafiam na Facebooku na posty o liczbie lektur albo radosne raporty, że książkę należy czytać w długie jesienne wieczory, okrywszy się pledem, rodzi się we mnie wewnętrzny sprzeciw wobec takich określeń i wkrada się nieufność wobec tego rodzaju czytania. Pewien znajomy profesor wypowiedział dość głębokie, tautologiczne zdanie: „prze-czytać nie znaczy przeczytać”. Ta fraza pokrewna jest filozoficznej sentencji czy buddyjskiej mantrze, której sens kryje się w paradoksalności. Innymi słowy: wszystko, co czytasz, musisz zrozumieć, i to zrozumieć właściwie.

Dlatego czytanie to patrzenie w nurt rzeki. Widzisz ruch wody, ale nie wiesz, dokąd i po co ona płynie. Wszystkie interpretacje są tu na rzeczy: i symbol ludzkiego życia, i nitka, która wiąże dwa brzegi, i stan oczyszczenia, i środowisko życia, i ochłoda, i zaspokajanie pragnienia. Domyśl – to jest twoje włączenie się do rozumienia istoty, bo słowa i zjawiska są niejednoznaczne, zresztą kiedyś skrypcy czytali święte księgi po swojemu, wychodząc od kanonu, dodawali coś własnego, starali się go ulepszyć czy to dopisanym zdaniem, czy nowym ornamentem.

W moim zainteresowaniu biografią Bellowa istnieje nie tylko element ściśle literacki, choć oczywiście on przeważa, ale i prywatny – Bellow był rówieśnikiem mojego dziadka. Zawsze staram się zrozumieć to pokolenie, urodzone w czasie pierwszej wojny światowej i dojrzałe, żeby być żołnierzami w czasie drugiej. W tych porównaniach zawsze staram się domyślić, co mogłoby zdarzyć się z nami i się nie zdarzyło? A gdyby mój dziadek urodził się w Chicago, czy zachwyciłby się trockizmem jak Saul i czy mógłby zostać pisarzem?

Przyznając się, nie wszystkie powieści i opowiadania Bellowa przeczytałem i wątpię, bym miał chęć to zrobić. Zawsze interesowała mnie jego stylistyka, kondensacja języka i wydarzeń, zwłaszcza w opowiadaniach. Być może dlatego, że są zbyt amerykańskie? Opowiadanie Bellowa *Leaving the Yellow House* opowiada prostą historię życia Getty Wagoner w wiosce nad jeziorem Sigo-Desert. Wioska jest mała, mieszkańców niewielu. Życie upływa w nieskończonej, prowincjonalnej nudzie stanu Utah. Miejsce, które wybrał pisarz, istnieje naprawdę, nawet teraz są tam zaniedbane, drewniane domy, ostatni świadkowie upadłych miasteczek wśród dziwnych, marsjańskich, pustynnych pejzaży Nevady i Utah. Czy naprawę Getty jest główną bohaterką tego opowiadania? Z treści utworu wynika, że tak. Jednak akcja obraca się wokół domu.

Moją uwagę przyciąga szara wiewiórka, która szybko pomyka po pniu sąsiedzkiego orzecha na jego szczyt. Tam jeszcze od wiosny wisi, przypominające rozczochraną czapkę, opuszczone przez ptaki gniazdo. Teraz, kiedy prawie wszystkie liście wylądowały na ziemi jak spadochroniarze, gniazdo wydaje się szczególnie niedorzeczne. Tu i tam skaczą wiewiórki. Co rano znajduję na werandzie pogryzione przez nie skorupki orzechów. Przed zimą, być może, zdążą zrobić zapasy. Czy robią to po raz pierwszy?

W 1950 roku Bellow przyjechał do Nevady w praktycznym celu – musiał szybko rozwieść się z pierwszą żoną Anitą. Na szczęście prawo tego stanu pozwalało przeprowadzić taką sprawę w ciągu paru dni, ale on czekał sześć tygodni, mieszkając na przedmieściach miasteczka Reno. To

był rezerwat na ziemiach Pajutów. Wynajął tam drewniany domek, do którego prąd dostarczano z generatora, poruszanego silnikiem kompanii Forda. Właścicielką tego domu była Peggy Marsh, zatracona pijaczka. Posłużyła jako pierwowzór Getty z *Żółtego domu*... Oczekując na rozwód, ponieważ sprawa z Anitą się przeciągała, a romantyczne stosunki z Sandrą Czaczbasową, absolwentką Bennington College i sekretarką w „Partisan Review” nabierały tempa, pisarz przyglądał się zwyczajnemu, prowincjonalnemu życiu amerykańskiego Zachodu.

Gdyby nie chęć szybkiego rozwodu, wątpliwe, czy byśmy kiedykolwiek przeczytali to opowiadanie. Po czterech latach, na początku lat sześćdziesiątych, Bellow znów się rozwiódł, tym razem z Sandrą w Minneapolis. Sandra prześladowała Saula telefonami na policję i ukrywała ich syna Adama. Była córką amerykańskiego malarza Nachuma Czaczbasowa, którego ojciec wyemigrował do Chicago z Baku. Po Sandrze numer z rozwodem Bellow powtórzy jeszcze dwa razy.

Któregoś dnia znad oceanu napłynęła gęsta mgła. Biała, mleczna rzeka rozlała się po ulicach. W czasie mgły Nowy Jork trafia w obłędnie prawdziwej jesieni. Biografię Saula Bellowa, trzeba będzie wysuszyć, bo kartki grubej książki nasiąkły wilgocią jak gąbka.

Samotność głównej bohaterki opowiadania niepokoi jej sąsiadów, do czego dochodzi jeszcze samochodowa kraksa, w której Getty uszkodziła sobie rękę. We wsi ludzie, omawiając jej przygodę, skłaniają się do myśli, że najlepszym dla niej wyjściem byłoby sprzedać dom i za uzyskane pieniądze wesole sobie pożyć. Okazuje się, że skłonność do alkoholu podzielała przyjaciółka bohaterki – Indi, która zapisała jej tytułowy żółty dom. Getty, nie dorobiwszy się niczego przez całe życie, została właścicielką domu, który był teraz jej jedynym schronieniem na tym świecie. Wspominam o tym, bo w *Opuszczając żółty dom* nie chodzi o Getty, a bardziej o wartości życia. Amerykańska krytyka nie była jednomyślna w ocenie tego utworu, a więc kwestia pozostała otwarta. Swojego domu Getty nikomu nie zapisała, chociaż starała się napisać testament, nie określiła, komu go przekazać. Nie zważając na to, póki dom jest jej własnością, będzie żyła, bo kiedy go opuści, straci od razu wszystko.

I chociaż Bellow urodził się na kontynencie amerykańskim, cień emigranta, jak sądzę, towarzyszył mu przez całe życie. W rodzinie Abrahama Belo, którego w Halifaxie zapisano jako Bellow, kultywowano żydowskie tradycje. Ojciec zajmował się różnymi pracami najpierw w Kanadzie, a potem w USA, a w czasach prohibicji nie gardził przemytem alkoholu. W ogóle Chicago najgłębiej, być może, zakorzeniło się w świadomości Bellowa, bowiem, po pierwsze, był to czas jego dzieciństwa i młodości,

w którym odbiera się świat wyraźniej, a po drugie Chicago lat dwudziestych pachniało mlekiem prowincji, które rozwożono wozami, i posypanymi cynamonem bułeczkami z najbliższej piekarni, a uliczne zabawy urządzały dzieci Polaków, Ukraińców, Duńczyków i Szwedów. Była oczywiście chicagowska mafia, ale przeważnie ciągnęli tu swój szlak życia nowi emigranci: szewcy, właściciele małych sklepików, fryzjerzy i przemysłowcy. Bellow chciał, żeby nazywano go amerykańskim pisarzem i nim był, choć w oczach niektórych krytyków i czytelników w byciu stuprocentowym przeszkadzali mu rodzice, emigranci z Rosji. W 1975 roku pisarz wraz z trzecią żoną Alexandrą Ionescu-Tulceą, którą zaproszono do wygłoszenia wykładów na temat teorii względności na Uniwersytecie Hebrajskim, spędził trzy miesiące w Izraelu. Jako podsumowanie tego doświadczenia napisze *Do Jerozolimy i z powrotem*. W tej książce jest jedno głębokie zdanie: „Elsewhere you die and disintegrate. Here you die and mingle” [„Gdzieś umierasz i się rozpadasz. Tutaj umierasz i się włączasz”]. Czy dla takiego zdania nie warto odwiedzić Jerozolimy?

Nim skończyłem biografię Bellowa, sąsiedzki orzech zrzucił z siebie wszystkie liście i teraz wiewiórki, hasając po nagich gałęziach, przyglądały mi się uważniej. Robiło się chłodno i musiałem zostawić werandę, wnosząc ze sobą do domu przyklepione do butów liście i stęchły zapach jesieni. Mimo wszystko przed nami zima i dobrze jest mieć swój dom, prawda, Getty?

BIBLIOTEKARZ

Solidny, zbudowany, jak się wydawało, na wieki, dom dawnej „Czytelnii” rozebrano, obnażywszy wysoki pagórek, gdzie kiedyś z kolegami z dzieciństwa graliśmy w klipę. Kilka lat temu zawalił się dach i dom zaczął przypominać rannego gołębia ze złamanym skrzydłem. Postał tak jeszcze parę lat, przez nikogo niezabezpieczony przed ulewnymi deszczami i zimowymi śnieżycami. Dom cierpliwie czekał na swoją śmierć i się doczekał. Jeszcze do połowy lat siedemdziesiątych wyświetlano w nim filmy i urządzano potańcówki. Potem przerobili go na warsztat stolarski, dokąd niektórzy, żeby zaoszczędzić na opale, chodzili po trociny. W końcu zamknięto go na głucho. Nikt się nim nie interesował i nawet napis „Wspólnymi siłami”, wryty na narożnym kamieniu muru, nikogo nie wzruszał. A naprawę budował go cały świat. W *Kronice czytelnii Proswity w Bazarze*, napisanej przez miejscowego kronikarza Mykołę Motuza i na szczęście przypadkowo odnalezionej w stercie śmieci, jest świadectwo, że koszt budowy wynosił na tamte czasy dwa tysiące dolarów, za które można było kupić 15 morgów

ziemi. Dawano, co kto mógł. Nawet włączono w zbórkę ludzi z tej wsi, którzy przebywali wtedy w Ameryce i w Kanadzie.

Czytelnia Proswity otworzyła swoje podwoje w 1925 roku. No cóż, byłem świadkiem ostatniego akordu w bezmyślnej rozprawie z kilkoma architektonicznymi pamiątkami słodkiej jak karmelek przestrzeni mojego dzieciństwa. Od razu po drugiej wojnie światowej zniszczono pański dwór, rozebrawszy do ostatniego gwoźdźdźduży budynek z kolumnami i gospodarskie zabudowania folwarczne. Przy końcu lat sześćdziesiątych polski Dom Ludowy służył jako kołchozowy magazyn - tak u nas nazywano klepisko albo elewator. Dalej objęło to dolny folwark, którego niektóre pomieszczenia były wykorzystywane jako kołchozowe garaże, które z czasem też zlikwidowano. Na tym się nie skończyło – porządna siedziba starej szkoły została rozebrana w latach osiemdziesiątych.

I oto teraz przyszła kolej na dom dawnej Czytelni na wzgórzu. Być może przetrwał tak długo, bo znajdował się w centrum, czyli widoczny był dla ludzkiego oka, a może dlatego, że budowali go Ukraińcy, bo inne budynki były dziełem rąk Austriaków i Polaków. Tak to na naszych oczach znika nasza pamięć. Odwołują się do tego, że nie jest ona nikomu już potrzebna, bo, wedle demograficznych prognoz, jeśli proporcja narodzin i zgonów się utrzyma, to za pięćdziesiąt lat nie zostanie tutaj ani jeden mieszkaniec. Dlatego dom Czytelni postanowił nie czekać na takie smutne zakończenie ludzkiego bytu i pozwolił żywiołowi siebie zniszczyć. A może to nie jego wina?

Patrzył na nas ze swojego podwórka. Był miejscowym dziwakiem. W latach trzydziestych pracował w Czytelni jako bibliotekarz, wypożyczał chętnym książki. Jak świadczą wspomnienia jego współczesnych, Bagnas szczególnie docieklewie wypytywał dzieci o treść tej czy innej książki, kiedy przychodziły po nowe. W ten sposób dbał, żeby książki, które dawał w ręce uczniów, były przeczytane, opowiedziane i przemyślane. A jeszcze – nie wiadomo skąd – miał naturalny talent reżysera i wszystkie wystawione przez niego spektakle cieszyły się nie byle jakim powodzeniem. Był człowiekiem miękkim i delikatnym, o jakich się mówi, że muchy nie skrzywdzą. Dziwiło nas, że wszyscy, nawet dorośli, wołali go pieszczotliwym imieniem Michaś. I to już wszystko, co wiem na jego temat.

Zapisał się w mojej dziecięcej pamięci jako wysoki, siwy mężczyzna, który z dobrotliwym uśmiechem wyglądał ze swojego obejścia. Mieliśmy wtedy po pięć, siedem lat. Albo ganialiśmy po zielonej trawie za wzdętą jak czapka skórzaną piłką, skreśloną ze szkolnego, sportowego inwentarza, albo nałamawszy leszczynowych kijów, graliśmy w kłipę. Michaś wołał nas, częstował miętówkami i ogórkami, wypytywał o książki. Wypożyczać

je można było teraz w pomieszczeniu nowego klubu, w którym pojawiły się już nabytki nowej biblioteki, dlatego nie miał teraz z nimi nic wspólnego. Wszystkie książki, które Michaś rozdał swoim czytelnikom po przyjeździe Sowietów, chłopci zakopali w ziemi jeszcze w 1939 roku. To jakieś nienaturalne, ale w swej istocie bardzo symboliczne działanie – zakopywanie książek. Zresztą zakopywano różne papiery, fotografie, listy – wszystko, co mogło narażać ich właścicieli na niebezpieczeństwo aresztu.

Szczerze mówiąc, większość z moich rówieśników, ówczesnych przedszkolaków, książek nie czytała, a ci, którzy chodzili do szkoły, ledwo potrafili poradzić sobie ze szkolnym programem. W wiejskich rodzinach, poza wyjątkami, nie było żadnego kultu książki. I kiedy Bagnas opowiadał o książkach i zachęcał nas do czytania, to jego indoktrynacje większość zapomniała po pół godziny, nie wyrzekając się, co prawda, słodkich prezentów. I rozgryzając zębami Bagnasowy karmelek, dalej skrupulatnie odmierzaliśmy kijami długość naszych klipowych uderzeń.

Pamiętam dzień jego pogrzebu. Leżał w trumnie w zielonkawym garniturze. Do lewej kłapy marynarki miał przyczepiony biały bukiet. Tak, zgodnie z tradycją, chowano niezamężne kobiety i nieżonatych mężczyzn. Kilka dni temu w rozmowie przez Vibera mama poskarżyła się, że nasz dom, zbudowany przez dziadka, wymaga remontu. W ostatnich latach często dotykamy tematu domu, bo dobrze wiemy, że w końcu i jego może czekać podobny los, jak tego, który do niedawna stał na wzgórzu, czyli że dach naszego domu może zostać złamanym, gołębim skrzydłem, a wtedy bezlitosne deszcze i nieubłagane śniegi wejdą do niego jak nieproszeni goście na zawsze. I zacznie się proces zniszczenia, którego nic już nie zatrzyma. Jego podłogę przebijają mocne pędy wiosennej trawy i ostów, i będzie dożywać wicku przez nikogo nieopłakany, jak to dzieje się z samotnymi, porzuconymi ludźmi.

I kiedy z mamą omawiamy plan ocalenia naszego opuszczonego domu, podziemne wody podmywają jego kruche fundamenty, postawione nie na betonie, a – jak to mówią – na błocie. Czy nie można było wtedy, na początku lat sześćdziesiątych, dostać cementu, czy z braku pieniędzy kupili go za mało – nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, ale fundamenty niepostrzeżenie rok po roku się zapadają. Nasz sąsiad Wićka informuje mamę od czasu do czasu, co się dzieje. Prognozy Witii nie są pocieszające. Nawet sztachety w płocie, mówi, trzymają się na słowo honoru. „To wszystko przez to – wyjaśnia mama – że jakoś ręce nie sięgają”. „Jaki dureń, myślę sobie, będzie ładował środki w dom, w którym nikt nie będzie mieszkał?”.

I tak z ciężarem dziurawej, dziecięcej pamięci o zniszczonych budynkach i z problemami dziadkowego domu znowu zagłębiłem się w cza-

sach, kiedy wszechświatem było wzgórze, a światem – gra w klipę. Czy te budynki, pagórek, Michaś, na w pół zapomniana gra w klipę – to sentymentalny powrót do przeszłości? Czy ktoś sądzi, że jestem taki naiwny, że nie rozumiem niszczącego upływu czasu? Naprzemiennych, następujących po sobie, cyklów zniszczenia i odnowy? Zmian, jakich nikt i nic nie uniknie? A przecież w najtajniejszym zakątku świadomości żyje prawie martwe odczucie sprzeciwu, nie można tego zmienić i nie zachować, bo chrzęst złamanego skrzydła dachu starego domu Proswity i tak dotarł aż do Nowego Jorku. Jak zrozumieć, wedle jakich praw opuszcza nas pamięć. A poza tym, jak ją poprawić, żeby nie popaść w amnezję, która zetrze z naszego czoła i oczu – sprawy przemyślane i rzeczy zobaczone – jak to zdarza się po nieostrożnym naciśnięciu klawisza *delete* w komputerze.

Opowiadano, że Michaś oprócz reżyserskich powinności w czasie spektaklu pełnił też rolę suflera. Czy przed sceną mogła być suflerska budka? Nie wiem. Kanału dla orkiestry nie było – na pewno – bo to przecież nie była operowa sala. Być może chował się za kurtyną, skąd często dolatywało: „trzy razy cha-cha-cha” albo „Całujcie się”. Sala wybuchła głośnym śmiechem. Prerażeni aktorzy spoglądali w stronę, skąd płynęły Michasiowe podpowiedzi, a on machał ręką – kontynuujcie!

I kontynuujemy.

Wasył Machno
przełożył Bohdan Zadura



Franciszek Małuszczak, projekt okładki
tomiku Krystyny Lenkowskiej, 2013

Wasył Machno

PRZESŁANKI POŚMIERTNEJ PODRÓŻY KRZYSZTOFA KOLUMBA

1.

Do królestwa Kastylii i Leonu
za panowania Izabeli Kastylijskiej
i Ferdynanda Aragońskiego
docierały wieści o bogactwach Indii

A kiedy Vasco da Gama powrócił
z ładunkiem korzennych przypraw
ich zapach zniewolił Europę:
i królowie i dworzanie zaczęli się dwoić się i troić
– myśląc –
jakby także na tym zarobić i pomnożyć bogactwo
podbiwszy dalekie kraje
w których tamtejszych mieszkańców
ozdabia dwanaście par oczu.

Jakiś Cristóbal Colón miesiącami czekał na audiencję
u Izabeli i Ferdynanda
ale boska para nie miała do tego głowy –
trwała wojna z Granadą.

Jednak królewski spowiednik – stary lis
wywahał ostry zapach tej ziemi przyniesiony przez wiatry
przez Atlantyk – tłusty jak sok przejrzałej pomarańczy.
Namówił królewską parę aby wysłuchała
natarczywego żeglarsza – jako że wojenne działania
ucichły.

Postanowiono – wyposażyć
trzy statki.

A żeby wyprzedzić znieawidzonych Portugalczyków
– zawsze plątali się pod nogami –
zaufano obliczeniom
astronoma i kartografa Paola Toscanelliego:
trzeba płynąć na zachód.

Obliczenia – jak się potem okazało – były błędne.

Cristóbal Colón przewidywał sukces
i zażądał dla siebie: stopnia admirałskiego
– tytułu wicekróla nowych ziem
i dziesiątej części przyszłych bogactw

Izabela i Ferdynand powahali się dla przyzwoitości
i w końcu się zgodzili

Wiadomo było na pewno
że cieśninę do Morza Czerwonego patroluje osmańska flota

„Zatem – pomyślał – Cristóbal Colón – trzeba płynąć na zachód”.

2.

Flotyła trzech statków pokonywała morskie przestrzenie
poskrzypując rozeschniętym okrętowym drewnem

żagle trzepotały jak skrzydła morskich aniołów
a marynarze – którzy wylewali wodę stojąc w niej po kostki

bo słona woda przedostawała się przez szczeliny –
kleł na czym świat stoi swój nieszczęsny los.

Z admirałem byli królewski wizytator
oraz królewski łóżniczy a także dziesiątki śmiazków

i kiedy ktoś zauważał ptaki czy kępy zielonych wodorostów
to wpatrując się w lśniący horyzont

chciał widzieć ziemię; bo pierwszy który zawoła: Ziemia!
dostanie tysiąc maravediów i inne królewskie przywileje.

Towarzyszyły im delfiny i latające ryby
a także fontanny smutnych wielorybów.

Drżały strzałki kompasów – a statki
poddawały się morskim prądom i porywistym wiatrom.

Pewnego dnia nad statkami przeleciały dziwne białe ptaki
i każdy z załogi pomyślał że ziemia jest niedaleko

i pewnego dnia kiedy admirał odpoczywał
nakrywszy się mapami i śniła mu się Alhambra i Andaluzyja

jakiś Rodrigo – z tych śmiałków co to *bez kija nie podchodź* –
zauważył na horyzoncie wąski zielony pasek

i zanim krzyknął ziemia! żeby się nie ośmieszyć
jeszcze raz przetarł brudną ręką zaropiałe oczy.

Podpłynąwszy na łodziach marynarze zobaczyli nagich ludzi –
nie mieli dwunastu oczu ani żadnej broni prócz drewnianych pałek

kobiety które stały obok przypominały
sztabki złota – a ich niezastłonięty srom

porośnięty drucianymi czarnymi włosami
poniżej brzucha wyklęwał przybyszom oczy.

3.

Wyspiarze pomyśleli że zjawili się ich bogowie.
Tymczasem trzech kapitanowie i królewski wizytator
z łożniczym zaświadczyli że admirał
jako pierwszy zobaczył ziemię i pierwszy zszedł na brzeg
dopłynąwszy z załogą na łodziach.

Kiedy więc Hiszpanie układali akty prawne dotyczące nowych ziem
tubyłcy którzy znikli w swoich zaroślach

wrócili z podarunkami – papugami i włóczką
i naiwnie traktowali ich jak bogów.

Admirał zarządził żeby rozdać im różańce ze szklanymi
kamykami i pomyślał: „Będą z nich sprytni słudzy
i posłuszni chrześcijanie”. Wetknął królewski

proporzec z inicjałami „F” i „Y” w wilgotną od deszczu ziemię
i nazwał wyspę Fernandina – a wszyscy obecni stwierdzili
że – w razie czego – przysięgną to przed królewskim dworem.

Admirał przyłączywszy wyspę z nowymi poddanymi
do królestwa Kastylia i Leonu
postanowił nie zatrzymywać się i płynąć dalej.

Już prawie wsiadał do łodzi przełożywszy jedną nogę za burtę
ale wtedy pojawił się przy nim ośmielony tubylec
pokazując na migi admiralską szpadę.

Admirał wyciągnął ją a ten chwyciwszy za ostrze
rozciął sobie dłoń – i skrzywiwszy się
patrzył jak z czarnej dłoni kapie krew

i zlizywał ją czarnym językiem. Bogowie okazali się okrutni
ale o tym później: kiedy zgwałcał jego żonę
a jemu po prostu wyprują flaki.

4.

Kiedy admirał opłynął tę ziemię i przekonał się
że to wyspa – „Santa Maria” legła
na przybrzeżnej rafie
rozpruwszy dno jak ryba brzuch.

Cristóbal Colón nakazał rozebrać statek
skłął nieudolnego kapitana
i wszystkich trzydziestu dziewięciu marynarzy z „Santa Marii”
odprawił na brzeg.

Tylko dwoma statkami admirał wracał do Hiszpanii
i miejsca dla wszystkich zabrakło – dlatego
zabrał z sobą – jak uważał – Indian; a prócz nich – liście tytoniu
papugi – hamaki – i pierwsze zarazki syfilisu.

Admirał obiecał pozostawionej załodze
że powróci: jedni cieszyli się że pożyją na całego
inni – nie wierzyli żadnemu admirałskiemu słowu –
i zaczęły się długie tygodnie oczekiwania.

Przyzwyczajwszy się bezczelni Hiszpanie wyłapywali tubylców
i żądali od nich złota
a kobiety zawłaszczali przemocą – utrzymując
przy sobie dwie trzy jednocześnie.

Zbudowaną z okrętowego drewna fortecę
tubylcy otoczyli i pokonawszy Hiszpanów
zabrali swoje kobiety i córki
a fortecę podpalili wraz z trupami.

We wrześniu 1493 roku flotyllą siedemnastu statków
admirał – dotrzymawszy słowa przybędzie
do zatoki z nadzieją ujrzenia fortecy i marynarzy
ale pogorzelnisko zdążyło już zarosnąć bujną roślinnością

5.

O wielki żeglarzu –
ty który nazwałeś odkryte przez ciebie ziemie
nadając im imiona królowej i króla
i krainy – z portów której wyruszałeś w niebezpieczne rejsy.

O admirałe mórz oceanów –
gnany żądzą bogactwa – żądzą odkryć
ty który nauczyłeś nas palić tytoń
ty który przywiozłeś nam kartofle i kukurydzę

umierałeś na pół zapomniany
pozbawiony przywilejów

bo nie przywiozłeś dość złota i przypraw
których spodziewali się Izabela z Ferdynandem.

Po co im twoje liście tytoniu? – jeśli nie wiedzieli co z nimi robić
po co im twoje kartofle – jeśli nie poczuli ich smaku
po co im twoje papugi – jeśli nie doczekali się od nich śpiewu.

Twój duch sprzeciwił się śmierci – o admirale!
i znowu wyruszyłeś w podróż z Sewilli
do Santo Domingo, by odwiedziwszy Kubę
znowu wrócić do Sewilli
gdzie twoje prochy trzymają na swoich ramionach królowie

ale ty tak wszystkich zdeorientowałeś
podróżując po swojej śmierci
z Europy do Nowego Świata i znowu do Europy
że nie wiadomo gdzie ci się pokłonić
w Sewilli czy w Santo Domingo?

O wielki żeglarzu
gdybyś popłynął na wschód –
gdyby nie pomyłka kartografa Tocanellego
czy dzisiaj bym pisał o tobie?

Dziękuję ci za kartofle i papugi
i ugryzę się w język dziękując za tytoń i syfilis

a grzechy które ty i twoi marynarze popełniliście wobec tubylców
odpokutujesz – być może – dożywotnim pośmiertnym
pływaniem tam i tu

admirale mórz i oceanów

wielki żeglarzu.

ELEGIA DLA JANUSZA SZUBERA

Wybacz, że nie napisałem tych słów wcześniej:
wydawałem swoje książki, latałem do Bukaresztu,
a wcześniej – pandemia, teraz – wojna.
Nijak nie mogłem przywyknąć do twojego odejścia,
a teraz na świecie tyle śmierci,
że już nikogo nie dziwi.

Przyjechałem do Sanoka. W twoim mieszkaniu –
remont. Pomyślałem, że szykują na muzeum,
ale – chodzą słuchy – na sprzedaż,
bo żywym – sam rozumiem – co żywe.
A poetom chyba – jak mówią – co wieczne.
W twojej prowincji nic się nie zmieniło:



Fot. Archiwum Wasyla Machno

Wasyl Machno i Janusz Szuber w mieszkaniu Szubera w Sanoku

tu Rynek, tu franciszkańskie schody,
trochę dalej – gimnazjum królowej Zofii, biblioteka Grzegorza
[z Sanoka,

tu twoja ławka, tu tabliczka „Skwer Janusza Szubera”.
Wszystko na miejscu, Januszu. Wszystko jak zawsze.
Pamiętam, jak występowaliśmy w bibliotece,
jak jeździliśmy do Leska, jak jedliśmy w restauracji.

Mówiłeś, że twój dziadek uczył Antonycza.
Twój tata kupował – z litości – akwarele od Nikifora.
Na Uniwersytecie Rzeszowskim opowiadałem
profesorom i studentom o twoich wierszach
i tylko jeden student – w okularach – podszedł i wyznał,
że jest poetą. Reszta szybko się rozeszła.

Nikt na nic nie ma czasu. Z Małgosią
taksówka nas przywiozła na stary sanocki cmentarz.
Chmurzyło się. Dookoła góry włożyły na głowy
baranie czapy. Było wietrznie.
Sprzedawczyni w przycementarnym sklepie
sprzedała nam wkłady i znicz

z drzwiczkami na haczyk. „Chcą państwo zapałki?” –
zapytała. Pomacałem kieszenie
i przytaknąłem. Zapałki gaśły –
znicz nie chciał się zapalić. „Może zawilgły?” –
zwróciłem się do Małgosi. „Może” – odpowiedziała
i stała tak, żeby zasłonić mnie od wiatru.

Wyobraziłem sobie jak chodzisz po chmurach.
Właśnie chodzisz, a nie siedzisz w wózku inwalidzkim.
Właśnie latasz teraz z aniołami – takimi
jakie namalowali łemkowscy malarze
na rozeschłych i pociemniałych od czasu deskach,
zwiezionych ze zniszczonych cerkwi.

Ja nie chcę wierzyć, że ty – popiół zmieszany z gliną,
bo, jeśli w twoim mieszkaniu remont,

to, oczywiście, ty z niedźwiedziami warzysz piwo –
i poszedłeś w góry, żeby nie przeszkadzać majstrom,
bo coś trzeba robić z tym piwem
no i, zresztą, z zastruganymi ołówkami.

Dzisiaj będę czytał w bibliotece. Znowu zamieszkałem
w Sanovicie, na stromej ulicy.
Ten sam pokój. Ten sam – nie najładniejszy – widok z okna.
Widziałem swoje plakaty, rozkleili na słupach ogłoszeniowych.
Postałem na franciszkańskich schodach.
Posiedziałem na ławce z tabliczką „Janusz Szuber 1947–2020”.

Pusto w Sanoku. Nie to, żeby zniknęli włóczędzy,
czy żeby zmalała na ulicach liczba pijaków,
czy żeby na dworzec nie przyjeżdżały – zgodnie z rozkładem –
[pociągi.

Rzecz, oczywiście, nie w tym. I góry się pasą jak owce.
I San płynie do Wisły, żeby się przyssać,
jak nowo narodzone jagnię, do matczynych wymion.

Jaki sens, Janusz, wierzyć poetom? –
Nie wiadomo, co wymyślimy:
że nasze wiersze pachną węglem,
że nasze góry są jak rozsypany kierdel owiec,
że pokrzywa co lato wyrasta wyższa od sosen,
że kiedyś tu nawet góry śpiewały na całe gardło „Oj wersze mij,
[wersze”.

że śmierć – to dalszy ciąg życia. Może i tak.
Płynę promem ze Staten Island
na Manhattan. Kończę tę elegię.
Przewoźnicy – gotowi. Klucznicy – gotowi.
Wieczne pytania. Wieczny brak odpowiedzi.
Wieczna niezgodność naszych słów i kosmosu.

Marek Kusiba

SZATKOWANIE

Podróże z Andrzejem Bobkowskim*

[...] każdy dzień mojego życia tu, tego dziwnego życia niezmaconego żadnymi „karierami”, snobami, bzdurami i tytułami zamykam w sercu, jak najdroższy skarb¹.

Andrzej Bobkowski

Nie jest to rozprawka o kiszniu kapusty. „Jutro szatkuję dalej” – mówił Tadeusz Wylot do Andrzeja Bobkowskiego podczas wspólnego pedałowania przez Francję roku 1940 (s. 31). Bobkowski szatkował nie tylko alpejskie powietrze pedałami „doskonałej szosówki za 715 franków” (s. 30), ale i podtatrzańskie stoki narciarskie – w czasach „przedwyciągowych” i „przedratrakowych”. Szatkowanie stoku polegało na podchodzeniu bokiem, narta za nartą, na całej długości trasy – w celu udeptania świeżo spałego białego złota.



Fot. Ze zbiorów IBL w Warszawie

Andrzej Bobkowski „szatkuje”
we Francji, 1946

Rachunek bieżący wruszeń

18 października 2018 roku w Sanoku śnieg jeszcze nie padał, ale świeciło za to złote słońce. Wszedłem na rynek wyłożony bordową kostką – „Plac Czerwony” w terminologii Janusza Szubera – i nacisnąłem guzik domofonu przy dębowych drzwiach pod adresem Rynek 14/1. Tubalny głos nakazał: – Wchodź, tylko dokładnie zatrzasknij bramę. Buzer otworzył kolejne drzwi, wiodące z korytarza na niewielkie patio.

* Fragment tomu szkiców *W kośćcu Europy, w brzuchu Ameryki. Pisarze-emigranci, peregrynanci, egzule i inni* (w przygotowaniu).

¹ A. Bobkowski, *Szkiice piórkciem (Francja 1940–1944)*, Londyn 1985, s. 76. [Oryginał *Szkiców...*, wydany w 1957 r. przez Instytut Literacki w Paryżu, skąd go przywiozłem w 1973 r., został w Polsce u któregoś „przeczytam i zaraz zwrócę” kolegów...]. Kolejne cytaty z tego wydania zaznaczone w szkicu numerem strony w tekście głównym [red. „Frazy”].

Fot. Beata Nowak



Autor z Januszem Szuberem
na patio jego mieszkania w Sanoku, 2011

Grażyny Drabik, profesor City College of New York, publicystki i cyklistki, a ostatnio tłumaczki *Szkiców piórkim*² na angielski.

– Posłuchaj Januszkuz, co ta dziewczyna zrobiła, aby się lepiej wczuć w pedałującego po Francji Bobkowskiego: przejechała rowerem Lazurowe Wybrzeże i kawałek Alp!

– Też bym tak chciał – mówi Szuber – ale mnie by nie było na to stać, nawet gdybym mógł pedałować. No, chyba że na wózku inwalidzkim (śmiech).

– Mnie też by nie było na to stać, nikogo z nas, tylko baby są zdolne do takich poświęceń! No, bo wyobraź sobie pół tysiąca kilometrów na wąskim siedelku, w upale i smrodzie spalin pędzących obok aut, aby na własne oczy zobaczyć opisywane pejzaże i we własnych nogach – oraz ich zakończeniu – odczuć trudy wspinaczki na alpejskie przełęcze. Trudy kogo? Ukochanego pisarza!

– Myślę, że panią Grażynę skłoniło do tej eskapady znacznie więcej motywatorów, jakbyśmy powiedzieli wspólnie...

– Masz rację, zapewne chodziło jej także o rachunki w walucie niewymiennej...

– Możesz jaśniej?

– A na której półce stoją *Szkice*...?

Po kilku minutach czytamy głośno: „Są to te chwile, które chowam w sobie na zawsze, które zbieram i gromadzę na później, wpłacam na rachunek bieżący wzruszeń. Potem mogę nagle usiąść, zamknąć oczy i wypisać szybko czek, przeżywając je z taką samą intensywnością. Całe południe Francji mam w ten sposób wpłacone” (s. 253).

– Rachunek bieżący wzruszeń...

– Prawda, że ładne i praktyczne?

– To rzeczywiście niewymiennej waluta...

² A. Bobkowsi, *Wartime Notebooks: France, 1940–1944*, transl. Grażyna Drabik and Laura Engelstein, New Haven & London 2018.

– Albo to, posłuchaj: „Tam, w tym słońcu, w mrocznym chłodziu jakiegos bistra, w szklance rumu, w długich godzinach zupełnej samotności nad brzegiem morza urodził mi się kawałek mnie. I kawałek mnie pozostał tam na zawsze” (s. 342).

– Może właśnie po ten kawałek siebie jechała pani Grażyna – mówi Janusz.

– Nie zapominając o szklance rumu...

– Ma się rozumieć...

Kolekcja wypotrzebowanych dziewic

Tak gaworząc przy szarlotce i szklance herbaty Earl Grey – w miejsce szklanki rumu – doszliśmy do kilku znanych powszechnie, ale nie zawsze pamiętanych, prawd. Po pierwsze, że kobiety są od nas lepsze, bardziej dzielne i pracowite. Po drugie, że jak kochają, potrafią zdobyć się na wszystko, jak w wypadku Grażyny. I po trzecie, że Bobkowski genialnym pisarzem był. I pisał o kobietach często na wspak naszym szlachetnym – czytają: naiwnym – konstatacjom: „moja ciotka w Wilnie zawsze mówiła: «Kobiety są zawsze okrutniejsze od mężczyzn – ot widzisz te czerezwycyzajki»” (s. 361). A na poprzedniej stronie *Szkiców...* sprawozdanie ze szpitalnego koncertu: „Potem jakaś *jeune fille* z kolekcji wypotrzebowanych dziewic znowu odpiszcziała fałszywie kilka piosenek. Potem jakaś wycofana z obiegu i przehušana primadonna skrzeczała coś z repertuaru rok 1925 i posyłała widowni

ni figlarne całusy, zachęcając do wspólnego zaśpiewania refrenu. I łupież buczał” (s. 360).

– Kolekcja wypotrzebowanych dziewic – Janusz rechocze. – Łupież buczał... Przystań, bo się udławię!

Mówię mu dla ochłody, że Bobkowski potrafił też nazwać rudą dziewczynkę „czerwoną jałówką”, albo silił się na takie, na przykład, definicje: „Należy do tych kobiet, które nie są kobietą, gdy nie spodziewają się dziecka” (s. 295). I nie przebiegał w słowach, relacjonując boje paryżanek w kolejkach po jedzenie: „Rozzochrane i śmierdzące harpie toczą oczami wokoło, szukając na kogo można by otworzyć plugawy pysk. [...] Pędzą ze wszystkich stron siwe Gorgony. [...] Mam przed sobą



Fot. Nick Kusiba

Autor z Grażyną Drabik w Nowym Jorku,
czerwiec 2018.

jakąś Furię, która tłustym i zaśniedziałym kokiem, upiętym na niemytej od urodzenia głowie, głąska mnie pod brodą” (s. 399). Janusz parsknął śmiechem, a ja czytałem mu kolejny fragmencik – o niejakim Titi, co uczył „jeździć na rowerze swoją wielką i tłustą rozkosz [...], swojego hipopotama”: „No, puścił ją samą w drogę, klepnąwszy w rozległy areal uprawy. Aż echo poszło wśród drzew. Siodełko w ogóle zniknęło w tych czeluściach i wydaje się, że ona siedzi nabita wprost na rurę” (s. 402).

Dławiąc się ze śmiechu bynajmniej nie rozprawialiśmy o fatalnych stereotypach kobiety w międzywojniu, o „piekle kobiet” w publicystyce obyczajowej Boya-Żeleńskiego czy o męskim szowinizmie i maskulinizmie. Jedynym, nader wdzięcznym tematem były natomiast zalety pióra „chuligana wolności” i jego szalone wręcz umiłowanie życia we wszelkich tegoż przejawach.

– Bo musisz wiedzieć, Januszu, że zanim zakochałem się w cudownych *Szkiwach*..., jak Grażyna Drabik, przejechałem te same drogi, co ona i jej ulubiony autor, tyle że autem. I po latach dotarło do pustej czaszki, że alpejskie peregrynacje wynajętym garbusem trzech studentów i dwóch dziewcz, broń boże nie „wypotrzebowanych”, w bardzo wielu miejscach pokryły się z trasą dwudziestosześcioletniego pisarza-cyklisty, no i nieco bardziej dojrzałej cyklistki, pani profesor.

– Znając twoje reporterskie zacięcie – mówi Janusz – zapewne przeprowadziłeś rzetelną kwerendę w dziedzinie cnotliwości tych dwóch panienek?

– Wybacz, ale to było prawie pół wieku temu, mam prawo mieć kłopoty z pamięcią...

Janusz zanosi się sardonicznym śmiechem, a ja staram się odkurzać bardzo już zleżałe wspomnienia. Szpula pamięci odwija się z coraz większą szybkością, analogie, splatające się wątki, krajobrazy, wrażenia tłoczą się i przepychają w ciastnym strumieniu świadomości, spokojna zrazu relacja zaczyna przypominać pijany bełkot. W pewnym momencie mój przyjaciel odrywa nos uzbrojony w podwójne okulary od książki, którą mu przywiozłem w prezencie, stuka zwiniętą pięścią w tylną stronę okładki i mówi:

– Hola, hola, zatrzymaj się! i czytaj, co ci Kapu poradził, stoi tu jak byk wołami: „TY MI O TYM NIE MÓW, TY MI TO OPISZ!”³. Ale najpierw zabierz mnie na obiad!



Fot. Archiwum M. Kusiby

*Na tarasie sanockiego zamku pstryknął
nam zdjęcie żołnierz na przepustce...*

18.10.2018

³ M. Kusiba, *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, Kraków 2018.

Jak byk wołami – było trochę śmiechu, i na tym się wtedy skończyło. Prosbę Janusza o opisanie opowiadanych wydarzeń – zapożyczoną od Ryszarda – spełniam po pięciu latach, niestety *post mortem*. A na obiad poszliśmy do „Karczmy”, położonej o dwadzieścia kroków nieco okrężną drogą, poprzez „Plac Czerwony” i taras sanockiego zamku z widokiem na San, gdzie pstryknął nam zdjęcie żołnierza na przepustce.

Francuskie zbocza Alp...

I

SIERPIEŃ 1973. Narty na lodowcu Argentière, w ośrodku Les Grands Montets, kilka kilometrów od Chamonix. Po raz pierwszy w życiu jestem po przeciwnej stronie „geograficznego kośćca Europy, którego wschodnią odnogą są Karpaty, zachodnią francuskie zbocza Alp” – jak pisał Czesław Miłosz⁴ – czego więcej od losu może oczekiwać narciarz i student z siermiężnego peerelu?

Oczywiście – Paryża!

Już Kazimierz Wierzyński pytał retorycznie: „Kto nie chciał pojechać do Paryża, mając 25 lat? Komu nie śniło się miasto Luciena de Rubempré? Kto na swój sposób nie wiązał swego życia z tą stolicą, która zaćmiwała wszystkie inne, każdemu wydawała się w jakimś stopniu jedyna i tylko dla niego przeznaczona?”⁵.

Zdecydowanie Paryż, a także francuskie zbocza Alp – to było moje marzenie, by nie powiedzieć zbyt górnolotnie: przeznaczenie.

Dotarliśmy na Gare de Lyon, gdzie za godzinę podstawią nocny pociąg zwany *Intercités de Nuit* lub *Corail Lunéa*. Ma zabrać naszą grupę Almaturu na południe, w kierunku Alp. Godzina to dużo czasu, wychodzę więc z dworca, by zakosztować magii stolicy świata. Jeszcze wczoraj przemierzałem ulice Lublina, a potem Warszawy, mijalem tłum jak spod sztancy, odziany w szare ubrania. I naraz: ciach! Cięcie! Niczym w fotoplastikonie przesuwają się klatka, czarno-biały obraz zastępuje kolorowe przeźrocze, slajd zaczyna drgać, pulsować, ożywać. Zniknęła, zapadła się w niebyt ponura, statyczna rzeczywistość prłu – jak spelował tę nazwę Zbigniew Herbert: „To, co było tutaj najbardziej męczące, o czym mało napisano, bo trudno o tym pisać, to szarość, monotonia, brak radości, brak zwykłej ludzkiej chwili...”⁶. W miejsce szarzyzny i nijakości nasuwają się pejzaże żywe, plastyczne, wielobarwne. Idę przed siebie jak lunatyk, chłonę widoki, zapach kawy i marihuany, muzykę dobiegającą z otwartych kantyn. Jestem niczym miejski łazik – *flâneur* z *Kwiatów złota* Baudelaire’a⁷, wszak z domieszką reportera, bo próbuję jak

⁴ C. Miłosz, *Przedmowa* [do:] S. Vincenz, *Po stronie dialogu*. T.1, przedmowa C. Miłosz, Warszawa 1983, s. 10.

⁵ K. Wierzyński, *Pamiętnik poety*. Do druku przygotował, wstępem i przypisami opatrzył Paweł Kądziała, Warszawa 1991, s. 153.

⁶ *Humanistyka to przygoda. Rozmawia Monika Muskala* [w:] *Herbert nieznanym. Rozmowy*, oprac. H. Citko, Warszawa 2008, s. 213.

⁷ Postać *flâneura* – szlifobruka, miejskiego włóczęgi, przyglądającego się światu podczas niespiesznych wędrówek wprowadził na stałe do literatury Walter Benjamin w *Pasażach*.

najwięcej zapamiętać, zarejestrować, utrwalić. Mijam uśmiechniętych ludzi i nie mogę pozbyć się wrażenia zakompleksiałego przybysza ze wschodu, że oni nie do mnie, a ze mnie się śmieją...

Podobne odczucia towarzyszyły młodemu Kapuścińskiemu podczas pierwszego wyjazdu na Zachód. W rozmowie z pisarzem przyznałem się do pararelnych zachowań nuworyszów w wielkim świecie – jego w Rzymie, moich w Paryżu. W jednej z kawiarni przysiadł przy pustym stoliku i natychmiast w młodej głowie zaświtała myśl:

Widocznie jednak w moim wyglądzie i gestach, w sposobie siedzenia i poruszania się było coś, co zdradzało, skąd przybywam, z jakiego jestem odmiennego świata. Poczulem, że biorą mnie za innego, i choć powinienem się cieszyć, że siedzę tutaj, pod cudownym niebem Rzymu, zrobiło mi się nieprzyjemnie i nieswojo⁸.

Podobnie jak Kapuściński nad Tybrem, w nadsekwanińskiej kawiarni wypatrzyłem pusty stolik i usiadłem pod parasolem. Czyżbym w Paryżu wypełniał treścią polskie marzenie autora *Pana Cogito*, „żeby każdy, czy to szewc, czy poeta mógł usiąść w kawiarni i popatrzeć na ludzi, którzy idą zadowoleni ulicą, nie mają min pełnych nienawiści, podejrzliwości, żeby ludzie żyli normalnie”⁹?

Paryż od pierwszej chwili obejmował jak ramieniem – normalnością zwykłych chwil, otulał przyjaznym gestem. I ta nagła zmiana, gwałtowny przeskok były jak olśnienie, jak porażenie piorunem. „Przyjazd na Zachód jest dla człowieka ze Wschodu dużym wstrząsem – pisał Miłosz – gdyż w obcowaniu z innymi – poczynając od tragarza i szofera taksówki – nie napotyka na żaden opór – są oni zupełnie rozluźnieni, brak im tej wewnętrznej koncentracji, która wyraża się w opuszczeniu głowy, albo w latających niespokojnie oczach, gadają co im ślina na język przyniesie, śmieją się głośno: czyż to możliwe, aby stosunki pomiędzy ludźmi mogły być aż tak proste?”¹⁰.

Sándor Márai: „Miałem dwadzieścia trzy lata i przyjechałem do Paryża z taką żarliwością w sercu, z jaką pielgrzym przybywa do sanktuarium”¹¹.

Tak było i ze mną w wieku dwudziestu dwóch lat.

Podobnie reagował na wieczne miasto Kapuściński w wieku lat dwudziestu czterech.

I zapewne można to samo powiedzieć o Paryżu młodego Andrzeja Bobkowskiego. Ale już Bruno Schulz czuł się w stolicy świata, gdzie spędził sierpień 1938 r., zagubiony, choć zachwyił się prowincją.

Budzi mnie z transu klangor motocykla, chłopak w czapce esesmana parkuje tuż obok na chodniku, reflektor opina plastikowa czaszka. Podjeżdżają kolejne mo-

⁸ R. Kapuściński, *Podróż z Herodotem*, Kraków 2004, s. 18.

⁹ *Herbert nieznanym...*, s. 213.

¹⁰ Cz. Miłosz, *Zniewolony umysł*, Paryż 1953, s. 63–64.

¹¹ S. Márai, *Dziennik 1943–1948*, wybór, przekład, oprac. i posłowie T. Worowska, Warszawa 2016, s. 483.



Fot. Wojciech Teuchmann

*Przyjechałem do Paryża z taką
żarliwością w sercu, z jaką
pielgrzym przybywa
do sanktuarium...*

Autor na Champs Élysées,
sierpień 1973

tory, sześć albo siedem, w tym znany mi z Polski Ural z wózkiem. Skóry nabijane cekinami, krzyże na piersiach, napisy MALAK na plecach – francuska podróbka Hell’s Angels sadowi się przy stolikach bistro. Nad patio jarzy się neon Mabilion, ale nie wiem, gdzie jestem, a na zegarku 21.40. Dociera do mnie, że za dwadzieścia minut odjeżdża mój pociąg w Alpy... Co robić?! Łamanym francusko-angielskim pytam bikera, który prawie wjechał mi na nogę: – *Can you help me, si’l vous plait? How to get to Gare de Lyon?* Stukam palcem w tarczę zegarka: – *My train leaves in twenty minutes!* Żabojad skrzeczy coś do swoich, wstają od stolików, do mnie rzuca krótkie: – *Get in!* Sadowię się w przyczepce Urala i po pięciu minutach, z potwornym hukiem rur wydechowych zajeżdżamy pod stację. Żegniam się z moimi wybawcami, klepiemy się po plecach, jesteśmy wszyscy *amis*. Zbaraniałym kolegom i rozanielonym, zerkaającym zalotnie na bikerów koleżankom, rzucam od niechcenia: – Starzy znajomi...

Czapka esesmana, ryk amerykańskich harleyów, tłumy na paryskich ulicach – a także mój stan ducha z sierpnia 1973 rymują mi się z ostatnim zapisem *Szkiców piórkim* z dnia wyzwolenia Paryża, w sierpniu 1944: „Przed oczami mam wysokie piramidy czołgów, hełmy amerykańskie, małe «jeepy». Ryk silników, chrzęst gąsienic i rozentuzjasmowany tłum. Stoję pod drzewem, patrzę i wydaje mi się, że śnię” (s. 439). Na jednym z tych jeepów wjechał do Paryża Ernest Hemingway.

Francuskie eskapady Bobkowskiego w latach II wojny światowej to w jednej czwartej *Szkiców...* dziennik podróży rowerowych. Sporo tam także opisów wypraw pociągami, przejazdów metrem, a nawet ciężarówką – podczas ewakuacji na nieokupowane południe z zajmowanego przez Niemców Paryża. Brakuje tylko statku i samolotu, ale to za kilka lat, po dobrowolnej ewakuacji autora *Coco de Oro* z „końca Europy”. Nie brakuje wszak podróży intelektualnych, jako że *Szkice...* to także dziennik lektur, komentarzy do czytanych lub zakupionych po drodze książek. Maciej Nowak w znakomitej monografii pisarstwa Bobkowskiego, porównując opublikowane w Paryżu *Szkice...* z ich rękopisem, zauważył: „Autor oszczędził odbiorcom książki z 1957 roku wypisów i obszernych komentarzy do czytanych dzieł (historycznych, socjologicznych, filozoficznych), które znajdziemy w rękopiśmie. Jednakże i tak nazwać można *Szkice piórkim* również dziennikiem lektur i od dawna tak się je nazywa”¹².

¹² M. Nowak, *Na łuku elektrycznym. O pisaniu Andrzeja Bobkowskiego*, Warszawa 2014, s. 281.

II

Zacząłem tę opowieść od Gare de Lyon – Bobkowski niedaleko stąd mieszkał, przy 33 Boulevard de Reuilly, i stąd latem 1948 roku z żoną Barbarą wyruszył do Gwatemali. Najpierw pociągiem do Cannes, stamtąd „Jagiełłą” linii Gdynia-Ameryka do Wenezueli i Kolumbii. Z Cartageny pociągiem do Panamy, a dalej samolotem – do Gwatemala Ciudad. Wyjazd planował od trzeciego roku wojny. 18 marca 1942 notował: „Mam dość tej całej kolebki kultury i obozów koncentracyjnych, zwanej Europą, mam dość poszukiwania absolutu – ja chcę żyć, po prostu żyć” (s. 71). Zapis z 26 lipca 1942: „Zaczynam zbierać pieniądze na wyjazd z Europy. Beznadziejny Kłaj” (s. 111). W marcu 1943 zapisał, w trakcie lektury Hegla: „Przezywam i myślę, że przyjemnie jest MIEĆ, coś mieć, do cholery. I w razie czego móc mieć więcej. I dlatego myślę coraz częściej o wyjeździe z Europy. Bo tu ludzie tak są zajęci myśleniem o tym, żeby przyszłe pokolenia coś miały, że ciągle te obecne nic nie mają” (s. 232–233).

Jan Zieliński dodaje wątek krajowy decyzji Bobkowskiego: „Opuszczając Europę chciał się zarazem wyrwać z polskich uwikłań, ze stereotypów i klisz myślowych. Uciekał od narodowych ‘powinności’ i sentymentalnych więzi. Jak przed nim Conrad, w szerokim świecie szukał dla siebie punktu, z którego będzie mógł swobodnie patrzeć na świat”¹³. „Bob” był człowiekiem prawdziwie wolnym, dlatego pisał o nas – i o sobie – bez ogródek, jak w liście do Jerzego Giedroycia: „Jestem Polakiem, nigdy nim nie przestanę być, ale te wszystkie ojczyzny, więzy nie do rozerwania, łkania i patriotyczne rzępolenia to nie dla mnie. [...] sprawy poszły już znacznie dalej poza pojęcia ojczyzny, kraju, «mojej ziemi», to pojęcia z lamusa, naftalina”¹⁴. W liście do Szymona Konarskiego wyznawał z kolei: „Tej choroby polskości nic z krwi nie wywabi, to ciężka choroba, nieuleczalna. [...] To pojęcie polskości, ten chorobliwy patriotyzm, zostały stworzone przez chorych poetów-dezserterów powstania listopadowego i narzuciły styl całemu narodowi. To Juleczek Słowacki wyżywający się w swoim paryskim pokoju, niedojda seksualna, impuś wyładowujący swój kompleks w rymach, tarzający się w mentalnej rozpuście z Ojczyzną [...]”¹⁵.

Bob uciekał od bogoojczyźnianej hipokryzji i zaściankowości kultury polskiej, od wymogu pisania w każdym utworze o Polsce, Polakach i naszych narodowych problemach. Podawał przykład Conrada, piszącego po angielsku, i bynajmniej nie o strzechach i malwach. „I pomimo że zrobił dla Polski więcej reklamy, niż nawet Sienkiewicz, to Orzeszkowa uważała za stosowne mu nawymyślać” (s. 237). Powodem nadrzędnym licznych, polskich pretensji do Conrada, było to, że nie wrócił. Bobkowski dolewał oliwy do ognia świętego oburzenia wszelkiej maści szowinistów i nacjonalistów:

¹³ J. Zieliński, *Pożegnanie Europy. Tryptyk*, wstęp do: A. Bobkowski, *Tobie zapisuję Europę. Listy do Jarosława Iwaszkiewicza*, podał do druku i oprac. J. Zieliński, Warszawa 2009, s. 19.

¹⁴ J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946–1961*, wybór, oprac. i wstęp J. Zieliński, Warszawa 1997, s. 293.

¹⁵ A. Bobkowski, *Listy do różnych adresatów*, wybór i oprac. K. Ćwikliński, Kraków 2013, s. 190.

Nie wrócił, bo mu się lepiej podobało w Anglii i każdy człowiek powinien mieć prawo żyć tam, gdzie mu się najbardziej podoba. Są tacy, dla których Koluszki albo Radom są wszystkim i bardzo to szanuję, ale są tacy, którzy wolą włóczyć się po świecie i znajdują w tym świecie więcej, niż w Koluszkach lub w Radomiu. I wtedy mówi się z świątobliwym oburzeniem: „kosmopolita”, czyli prawie – Żyd¹⁶.

I tak właśnie, bezkompromisowo, z otwartą przyłbicą patrzył i pisał – w chwilach wolnych od pracy zarobkowej. W Gwatemali utrzymywał się z budowania i sprzedaży modeli latających, był dumny z własnej zaradności. W pierwszym liście wysłanym do Nowego Jorku stanowczo odmawiał przyjęcia pomocy finansowej i prosił, żeby nie traktowano go jak nieudacznika, bo żyje z pracy własnych rąk i ma się dobrze. Małe lotnictwo stało się wielką pasją:

Pasjonuje mnie to zajęcie – pisał 28 lipca 1954. – Zupełnie rozumiem, że Rimbaud mógł także zainteresować się handlem perkalikami. Dlaczego nie? Samo objanie się o twarde kanty życia może też dostarczyć ogromnej satysfakcji twórczej. W każdym razie bardziej to cenię, niż płacziwe, obłudne listy Baudelaire’a do matki, od której przez całe życie wyłudzał pieniądze¹⁷.

Bobkowski nie wspomina, że Rimbaud utrzymywał się w Afryce także, jeśli nie przede wszystkim, z przemytu broni – podobnie jak Jan Zumbach, jeden z asów Bitwy o Anglię – skoro jesteśmy przy lotniczym temacie. Modelarstwo dawało Bobkowskiemu skromny chleb, ale było także wypadkową zamilowania do przestrzeni, wolności, sportowej rywalizacji. „Klejeniu patyczków” poświęcał nie mniej czasu i zachodu, niż pisaniu – jego pasji naczelnej. Modele składał, konstruował zawsze, w każdych warunkach, pod każdym adresem – także w Paryżu, w mansardzie przy rue de Reuilly. 1 lipca 1943 notował:

Nie piszę, nie czytam, nie myślę – robię model jakiejś starej, francuskiej awionetki. Fascynujące. Wracam do domu i kleję patyczki w milczeniu, pochłonięty całkowicie rozwiązywaniem trudności montażowych. Basia spogląda na mnie jak na pomyłkę i znosi cierpliwie nieporządek w pokoju, śmieci i bałagan. Wspaniale przy tym odpoczywam (s. 267).

Moja Basia też patrzyła na mnie jak na szaleńca, gdy rozwijałem na podłodze belę ortalionu z zamiarem uszycia z niej pokrycia lotni. I także cierpliwie znosiła bałagan, i, co tu dużo mówić, narastającą w niej obawę o życie i zdrowie świeżo poślubionego małżonka. Lotniarstwo w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia rodziło się w bólach – nie tylko nóg skręconych w kostkach i obitych żeber: aby latać, należało samemu sobie zbudować skrzydło Rogallo. Ba, ale jak to zrobić, zwłaszcza

¹⁶ Tamże.

¹⁷ A. Bobkowski, *Z notatek modelarza* [w:] tegoż, *Coco de Oro*, Paryż 1970, s. 238.



fot. Krzysztof Kusiba



Fot. Z archiwum Jana J. Czerwińskiego

Budowanie modeli to pierwszy krok w chmury...
 Józef Kusiba, ojciec autora (po lewej)
 i Andrzej Bobkowski

w kraju za żelazną kurtyną? Plany miękkołata w kształcie delty opracował w USA Francis Rogallo, syn polskiego emigranta, ale wspólne korzenie z konstruktorem niewiele mogły nam pomóc. Na szczęście opisy i plany budowy lotni publikował tygodnik „Skrzydłata Polska”. Moi białostoccy koledzy-lotniarze, Zbyszek Kędziara i Marian Naumowicz zdobyli gdzieś rury duraluminiowe i metalowe linki. Zataszczyliśmy wszystko po schodach na jedenaste, jeszcze niewykończone piętro nowego mrówkowca (Bobkowski pisał o „umrówczeniu” człowieka¹⁸) i tam, w przyszłych pomieszczeniach przychodni zdrowia (nomen omen?) budowaliśmy lotnię Seagull-3. Pomocnymi w „rozwiązywaniu trudności montażowych” okazały się zajęcia w modelarniach lotniczych, bardzo licznych i popularnych w PRL. Składanie i klejenie modeli szybowców i samolotów to dla przyszłych pilotów niezbędny, pierwszy krok w chmury. I najlepszy sposób na rozbudzanie pasji, przyswajanie podstaw aerodynamiki, poznawanie teorii lotu. Wcielali te zasady w życie Zbigniew Szuber, ojciec Janusza, i mój tata Józef – instruktorzy lotniczy z Aeroklubu Podkarpackiego. Znał je także Andrzej Bobkowski i zapoznawał młodzież nie tylko z tajnikami budowy oraz działania statków powietrznych, ale i z historią zdobywania przestworzy, jakże krótką a jak bogatą.

Pierwszymi wszak mieszkańcami planety Ziemi, którzy oderwali się od niej na instrumencie skonstruowanym przez człowieka, nie byli wcale *homo sapiens*, a kogut i kaczka w towarzystwie barana. Cała ta menażeria odleciała 19 września 1783 roku z Wersalu balonem wypełnionym podgrzanym nad ogniskiem powietrzem,

¹⁸ „Do chwili, w której praca stanowić będzie cel sam w sobie, sztukę dla sztuki, dotąd «upszczołowienie» i «umrówczenie» człowieka nie ma szans zatrzymania się” (s. 324).

Fot. Zbigniew Kępczora



Aby latać, należało samemu sobie zbudować skrzydło Rogallo... Autor nad szybowiskiem Bezmiechowa w Bieszczadach, lata 70. XX w.



Fot. Jacek Chodanowski

by wylądować po ośmiu minutach lotu o dwa i pół kilometra od miejsca startu. To ciekawe, że pierwszy lot bestiarium braci Montgolfier trwał osiem minut, a pierwszy lot braci Wright – dwanaście sekund. Z kolei pierwszym polskim aeronautą był także przedstawiciel braci mniejszych – kot Filuś, umieszczony w koszu balonu wypuszczonego wiosną 1784 roku w rezydencji Czartoryskich w Puławach. Niestety, mruczek nie przeżył historycznego wydarzenia, gdy balon roztrzaskał się na drzewie. Zdarzeniu nadał kształt literacki Franciszek Dionizy Kniaźnin w poemacie *Balon*:

Kto by się kiedy tej spodziewał myśli
Żebyśmy mieli po powietrzu latać?

Przed każdym startem pilot musi sam „zbudować” swoje skrzydło... postawić skrzydło nad głową – poprzez wypełnienie komór powietrzem... Autor w Cochrane pod Calgary, lata 90.

K' temu już ludzie na ostatek przyszli,
Że się dziś mogą z ptakami pobratać¹⁹.

Andrzej Bobkowski miał zapewne świadomość faktu, że pierwszym Polakiem, który pobratał się z ptakami, był także literat. Jan Potocki, autor *Rękopisu znalezionego w Saragossie*, 10 maja 1789 roku odbył lot w koszu balonu francuskiego aeronauty Jeana Pierre'a Blancharda. Francuzami byli także Jean Francois Pilatre de Rozier i markiz Francois Laurent d'Arlandes, którzy 21 października 1783 roku, po 25 minutach od startu z Lasku Bulońskiego balonem na ogrzane powietrze i pokonaniu ośmiu kilometrów, wylądowali w rejonie dzisiejszego Place d'Italie w Paryżu. Tego samego roku z ogrodów Tuilleries wystartowali Alexandre Charles ze starszym z braci Robert na pierwszym balonie napełnianym wodorem, utrzymując się w powietrzu dwie godziny i przelatując 30 kilometrów. Gdyby Bobkowski urodził się o wiek wcześniej (z okładem), mógłby tam być i notować: „Dzień słoneczny i ciepły. Drzewa w Tuilleries pokryte zielonym puchem, lekkim jak mgła. Widać wyraźnie ich szkielety, widać każdą gałązkę na tle błękitnego nieba, a równocześnie jest już zielono” (s. 252, zapis z 17 kwietnia 1943).

Po balonach braci Montgolfier przyszła kolej na lotnie Ottona Lilienthala, ojca szybownictwa, pierwsze samoloty braci Wright, lot Louisa Bleriota nad kanałem La Manche, przelot Charlesa Lindbergha z Garden City na Long Island do Paryża, przelot Amelii Earhart nad Atlantykiem, pierwsze odrzutowce, w tym pasażerskie, łącznie z naddźwiękowym Concordem, rakiety kosmiczne, loty Gagarina i Sheparda, lądowanie Armstronga i Allena na Księżycu, lądowniki penetrujące Marsa, sondy wysyłane w odległe przestrzenie kosmosu, także poza nasz układ planetarny.

Błyskawiczną karierę pokonywania grawitacji Ziemi, nieprawdopodobny rozwój technologiczny lotnictwa znamionuje dziś najprostsza i dostępna powszechnie forma latania: paragliding. Paralotnia to symbioza lotni z szybującym spadochronem, mieści się w niewielkim plecaku, waży osiem kilogramów. Genialność wynalazku, pochodzącego zresztą z „francuskich zboczy Alp” polega na tym, że przed każdym startem pilot musi sam „zbudować” swoje skrzydło. Musi je po prostu wyjąć z plecaka, rozłożyć na ziemi, założyć uprząż, naprężyć linki, postawić skrzydło nad głową – poprzez wypełnienie komór powietrzem – i zrobić kilka kroków w dół zbocza, aby latać jak ptak. Ląduje się też na własnych nogach.

Pomimo tak licznych, lotniczych „historycznych umocowań”, Bobkowski zostawił Paryż i Francję, kolebkę „latania po powietrzu”, by w stolicy Gwatemali zarażać pasją liczne grono entuzjastów małego lotnictwa. Żaden z tych chłopców nie wiedział, że uwielbiany przez nich *Querido Bob, grand hombre* był pisarzem, który – jak wspominał Józef Czapski – „namiętnie – jak Hemingway – kochał życie, przygodę i męstwo, ale myślą i samym głębokim nurtem świadomości sięgał może

¹⁹ F.D. Książnin, *Balon, czyli Wieczory puławskie. Poema w X pieśniach* [w:] tegoż, *Poezje. Edycja uzupełniona*, t. II, Warszawa 1787, s. 55–56.

Fot. W. Teuchmann



Jeżdżymy porozbierani do rosolu... Autor na lodowcu Argentière (3275 m), w tle Mont Blanc.

wojnie ludzkość ma powrócić do kolejnej odmiany ustrojów poniewierających ludźmi? „Bolszewizm skopał i zabił człowieka, faszyzm zrobił to samo przy pomocy bardziej «łacińskich» metod, nazizm sponiewierał już pół świata. Pozostaje anglosaski liberalizm, słaby jak każdy liberalizm, ale w końcu jedyny” (s. 103–104). Gdy przywołuję te słowa, nowe formy nacjonalizmu, różnej maści ruchy neofaszystowskie, skrajnie radykalne, toczą walkę z liberalizmem, demokracją, wolnością. Nie mówiąc już o neobolszewickiej Rosji, toczącej wojnę – kinetyczną i propagandową – nie tylko z aspirującą do demokracji i Unii Ukrainą, ale całym anglosaskim liberalizmem. Albo prościej i dosadniej, jakby powiedział Bobkowski: wojnę toczy rosyjskie „chamstwo, umierające za kajdany” (s. 389).

Bobkowski był arystokratą ducha, intelektualistą wychowanym w krakowskim domu zasobnym w książki, gdzie najpierw słuchał, a potem uczestniczył w dyskusjach prowadzonych przez śmietankę przedwojennej Polski. Do Francji trafił tuż przed wojną. Czuł się w niej dobrze, jakby od zawsze była mu pisana – wpisana w jego los. Dała mu to wszystko, czego mu tak bardzo brakowało w Polsce i czego tak bardzo nie cierpiał: „Francja tak mnie oduczyła tego idiotycznego, polskiego snobizmu i tych różnych tęsknot bardzo przewartościowanych, że znacznie lepiej czuję się jako pełnowartościowy i stylowy włóczęga, niż to jakieś «ni to, ni owo» z dawnych czasów” (s. 129).

głębiej i dalej”²⁰. Jak najbardziej sięgał dalej, jak najdalej, łąpczywie chłonał każdy dzień. „Ciesz się każdą chwilą – pisał do Andrzeja Chciuka – pij życie pełnymi sztachami i żyj tym, co jest. Reszta to atatura niewarta troski”²¹. To pisarstwo miało oddech rozległych, trawiastych stepów – jeśli nie łądowisk – oraz strzelistość Alp i Andów (mniej Tatr, które nazywał „kieszonkowymi górami”), biła od tych zdań miłość do natury, literatury i bliźniego.

Bardzo wcześnie dojrzał intelektualnie, wojna skryształowała jego poglądy, pisał z pasją i precyzją bardzo rzadką w literaturze polskiej. Pytał, czy po II

²⁰ J. Czapski, *Querido Bob* [w:] A. Bobkowski, *Coco de Oro...*, s. 13.

²¹ A. Bobkowski, *Listy do Szymona Konarskiego i Andrzeja Chciuka*, „Wiadomości” 1962, nr 32/33.

III

Hotel UCPA (Union des Centres Sportifs de Plein Air) w Argentière to czteropiętrowy budynek, wypełniony kilkuset „stylowymi włóczęgami” z całego świata. Są też Rosjanie, w czasie posiłków siedzą osobno przy kilku stolikach zsuniętych razem, z dwoma „opiekunami” w marynarkach ze sztucznej skóry. My, studenci z socjalistycznej Polski, jemy razem ze studentami i studentkami z kapitalistycznej Francji, Anglii, Holandii. Gadamy, śmiejemy się, poklepujemy po plecach – a Rosjanie milczą. Rzucają tylko w naszą stronę zawistne spojrzenia. Próbujemy ich ośmielić, nawołujemy „maładcy, iditcie siuda”, jeden z nich podniósł się nawet z krzesła, ale politruk-kagiebiista warknął na niego: „tawariszcz, nie nada!” – i usiadł jak podcięty. W rosyjskim kącie sali panuje pełna napięcia, złowroga cisza, o którą tak zabiega każda dyktatura. Wypisz wymaluj opis ciszy, zamieszczony w reportażu Kapuścińskiego dotyczącym wydarzeń w Gwatemali (porwanie ambasadora RFN Karla von Spreti), w czasach pobytu tam Bobkowskiego:

Cisza jest potrzebna tyranom i okupantom, którzy dbają, aby ich dziełu towarzyszyło milczenie. [...] Cisza chciałaby, żeby jej spokoju nie zakłócał żaden głos – skargi, protestu, oburzenia. Tam, gdzie rozlegnie się taki głos, cisza uderza z całej siły i przywraca stan poprzedni – to znaczy stan ciszy²².

Gdy po śniadaniu wychodzimy na narty, *homo sovieticus* ustawia się karnie, całą swoją grupą – i w zupełnej ciszy! – w kolejce do kolejki na lodowiec Argentière. Szusują także osobno, pod orczykiem czekają na swoich, najwyraźniej nie wolno im się dosiadać do „zapadników”. Gdy wyjeżdżamy na Aiguille du Midi, skąd masyw Mont Blanc widoczny jest jak na dłoni, wychodzą z wagonika zwartym szykiem. Dwaj „opiekunowie” grupy wyciągają zorki, fotografują Białą Górę i okolice, w tym, podejrzewam, i obecnych na tarasie. Po nartach (wszyscy jeździmy na jednakowych, demokratycznych, białych Dynastarach) idziemy na przyhotelowy basen z widokiem na alpejskie szczyty, rozkładamy koce obok Francuzek i Włosek w kusych bikini. Rosjanie – nie ma wśród nich kobiet – zagadnięci przez te dziewczyny zwykłym *comment allez-vous?*²³, odpowiadają *bien*²⁴ – i tyle, spuszczały głowy, rumienią się – ze wstydu, ze strachu? Przerażający obraz efektów sowieckiej indoktrynacji. Pielęgowany przez wieki i udoskonalony za bolszewii zamordyzm produkuje pokolenia niewolników, które przekazują swojej progeniturze gen poddaństwa i – nienawiści do Zachodu. A Zachód, jak zwykle, smali cholewki do Rosji. Bo Zachód nie może zrozumieć, nawet jeszcze teraz, w czasie wojny z Ukrainą – i *de facto* z całym Zachodem – że „Rosja nie jest Europą, że dzieli nas przepaść kulturalno-duchowa

²² R. Kapuściński, *Śmierć ambasadora* [w:] tegoż, *Chrystus z karabinem na ramieniu*, Warszawa 1976, s. 90.

²³ *Comment allez-vous?* (franc.) – Jak się masz?

²⁴ *Bien* (franc.) – dobrze.

niedająca się w żaden sposób wyrównać, że Rosja to barbarzyństwo, chamstwo i wschód [...]” (s. 234). Bobkowski nie ma złudzeń co do istoty „rosyjskiego miru” i stwierdza bez ogródek: „Jeżeli czuję nienawiść do tego ustroju [...], to dlatego, że czuję nienawiść do wszystkiego, co stara się zabić osobę, mnie jako takiego, jako jedyny egzemplarz i śmierdzi z daleka termitem i kolektywem, ciemnotą i chamstwem «jedynej i prawdziwej ideologii»” (s. 235). Wykazuje się też wyjątkową przenikliwością; już 26 września 1943 roku wieszczy: „Rosjanie przeszli Dniepr w sześciu miejscach [...]. Niedługo zaczną nas «uwalniać». I uwolnią nas na pięćdziesiąt lat” (s. 335). I jak tu nie wierzyć pisarzom?

IV

Przez całe dwa tygodnie na lodowcu Argentière praży słońce, jeździmy porzobierani do rosołu, w samych szortach. Po pierwszym upadku zakładam koszulę, zmrożony firn zdziera skórę jak pilnik, na plecach mam krwawy befsztyk. Któregoś dnia nasi gospodarze serwują nam niespodziankę – przez kilka godzin trenujemy krystianię równoległą i śmig cięty pod okiem Jeana Claude’a Killy, trzykrotnego złotego medalisty olimpiady w Chamonix sprzed pięciu lat, oraz tylko trochę mniej znanego Patrica Russela. Patric zabiera mnie z kolegą do wioski olimpijskiej, prowadzi najnowszy model sportowego BMW jedną ręką, a drugą „rozmawia” z nami, siedząc bokiem do kierunku jazdy. Osiem kilometrów serpentyn z mistrzem slalomu to zapas mar sennych na wiele nocy i przedsmak tego, co nas czeka w następnych dniach.

Nasyчени nartami wynajmujemy bowiem w Chamonix – z Wojtkiem Teuchmannem ze Szczecina – volkswagena garbusa i w piątkę, z dwoma koleżankami i jeszcze jednym kolegą, bo „ekonomiczniej”, jedziemy na Lazurowe Wybrzeże – przez Alpy Graickie, Prowansalskie i Nadmorskie, przez Chamonix, Albertville, La Combe i Grenoble – gdzie mieszkał po wojnie i pisał Stanisław Vincenz – oraz Vence, „miasteczko położone dość niegłupio, jak mawiał Gombrowicz”²⁵, który spędził tam ostatnie lata życia. Nie wiem, czy Bobkowski znał autora *Na wysokiej poloninie* i jego twórczość, wiem, że nie znał autora *Ferdydurke* (którego nie cenił, czemu dawał świadectwa), nigdy się nie spotkali, a szkoda. Obaj mieli zbliżone poglądy na emigrację, widzieli w niej szansę, a nie klęskę. Obaj wiedli w swych dziennikach dysputę na temat Polski, patriotyzmu, pisarstwa. Klementyna Suchanow podaje informację, że w argentyńskiej recenzji ze *Szkieł piórkiem* porównano je z *Trans-Atlantykiem*²⁶.

Gombrowicz wrócił do Francji i Europy po blisko ćwierćwieczu w Ameryce Łacińskiej, do której Bobkowski uciekł z Francji i Europy. Mierziło go opanowujące stary kontynent „totalne stotalnienie”. W opowiadaniu *Na tyłach* pisał: „Europejczyk, który nie chce być wolny, przestaje być Europejczykiem. Aby nim pozostać,

²⁵ K. Głaz, *Gombrowicz w Vence*, Kraków 1989, s. 15.

²⁶ Zob. K. Suchanow, *Argentyńskie przygody Gombrowicza*, Kraków 2005, s. 202. Mowa o recenzji F. Zahory *Obok wojny* w „Kurierze Polskim”, Buenos Aires, 3 IV 1958.

musiałem wyjechać”²⁷. Giedroyc informował obu pisarzy o sobie, stanowił skrzynkę kontaktową, spotykali się na łamach „Kultury”. Wysłał też Gombrowiczowi wydane w 1957 *Szkice piórkiem*. W sierpniu 1958 autor *Ślubu* notował:

Odkrywam w książce Bobkowskiego, na przestrzeni lat 1940–44, te same wykluwające się uczucia, które i mnie oblażyły kiedy dojrzywał mi zarys *Trans-Atlantyku* – on także sarka, buntuje się, bluźni [...] on Polskę odpycha od siebie, ale, odpychając, rani sobie ręce do krwi. Ja chcę się wyzwolić! – krzyczy. – Ja nie będę spalał się na tym ołtarzu, ja chcę żyć na własny rachunek... ale krzyk właśnie, tak namiętny, świadczy, że pępowina nie została przecięta [...]”²⁸.

V

„Jesteśmy już chyba w prawdziwych Alpach – notuje Bob w połowie września 1940 roku. [...] Zapada cudowna noc w górach o tej specjalnej ciszy: cisza wnętrza skrzypiec, cisza «akustyczna»” (s. 151). Jedziemy tą samą trasą, którą pokonał Bobkowski rowerem (razem z Tadeuszem Wylotem), tyle że w przeciwnym kierunku – on wracał do Paryża, my zdążamy nad morze. Śródziemne. Pogodę i widoki mamy identyczne. Często tylko na hamulcu – nie dlatego, by nie zakłócać „akustycznej” ciszy, ale by zaoszczędzić na paliwie (idiotci!) – pędzimy garbusem po karkołomnych serpentynach Drogi Napoleona, przez Vizile, La Mure, Sisteron; za Gap skręcamy na Route des Grandes Alpes, do Barcelonnette, wspinamy się na Col de la Cayolle: „Zdobyliśmy Cayolle i jest nam dobrze. Tak przyjemnie być młodym i móc bezkarnie męczyć się dla przyjemności, męczyć się bez celu, dla radości życia” (s. 153). Siedem lat później Bobkowski wrócił tam znowu: „Już na «Drodze Napoleona» pogoda zepsuła się zupełnie. [...] Z 2300 m przełęczy Cayolle zjeżdżałem w skarpetkach na rękach zamiast rękawiczek. Palce sztywniały z zimna na hamulcach”²⁹.

W Monte Carlo próbujemy zajrzeć do kasyna, ale nie wpuszczają brodatych facetów z włosami do ramion, na dodatek w postrzępionych, krótkich džinsach. Zupełnie jak za okupacji – na Lazurowym Wybrzeżu obowiązywał zakaz chodzenia w szortach. Można w nich było jeździć na rowerze, ale już pokazywanie się w nich na mieście podlegało karze grzywny, a może i aresztu. Bob pokpiwał: „W tym jest cała śmieszność autorytatywnego régime’u Pétain’a, który w TEN sposób zaczyna rządzić. Każę Francji zakryć nogi (ma takie ładne) i będzie ją równocześnie namiętniał Bóg wie do czego. Oczywiście wszyscy śmieją się z tego: nawet stara Mme Allègre chicha śmiesznie i piska” (s. 109). Madame Allègre śmiała się z francuskiej odmiany dulszczyzny, ale Bobkowski z Wylotem spotkali pod Grenoble jak najbardziej autentyczne, swojskie panie Dulskie:

²⁷ A. Bobkowski, *Na tyłach* [w:] tegoż, *Coco de oro...*, s. 80.

²⁸ W. Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, Kraków 1986, s. 102.

²⁹ A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, Warszawa 2006, s. 43.

Przechodzą obok nas jakieś trzy panie: jedna starsza, w długiej sukni z gazy, dwie inne młode, równie wytworne. Na rękach polne kwiaty, zwieszzone z wdziękiem. „Na głowie liliowy wianek, w rękę zielony badylek. Przed nią bieży baranek, a nad nią leci motylek...” (z pamięci). Mówią oczywiście po polsku. Ukloniliśmy się i pytamy o hotel P.C.K.

– A to tutaj, zaraz na lewo – panowie pewnie nowi pensjonariusze... Witamy, witamy...

– Nie, my tylko przejazdem. Chcemy odwiedzić kolegów.

– Ach tak. A gdzież to panowie tak podróżują?

– Jedziemy do Paryża. Wracamy, bo tam...

– Co? Do Paryża? Do Niemców? Zdrhhaajcy! Zosiu, Helenko chodźcie. Z tymi paniami nie ma o czym mówić... I poszły, duszając rupkami (s. 163).

Bobkowski z Wylotem zdradzili siebie tylko raz, gdy ulegli pokusie zajrzenia do kasyna oraz zarządzeniu zakrywania nóg *règime'u* Pétaina i pracowicie przepedałowali, „duszając rupkami”, z Nicei do Monako w... garniturach: „Jesteśmy spoceni i zmęczeni. Marynarka, spodnie, pończochy, buciki dławią nas i duszą. [...] Obydwa mamy jakieś głupie wrażenie, że wszyscy przyglądają nam się z ironicznym uśmiechem” (s. 135–136).

VI

Podobne odczucia towarzyszą nam w Cannes z powodu naszych koleżanek, opalających się na słynnej plaży tuż obok dwóch Szwedek. Nordyckie piękności mają na sobie jedynie kuse stringi, Inianowłose Mazowszanki rozebrały się do białych *dessous*³⁰, co można wytłumaczyć brakami w zaopatrzeniu na odcinku strojów bikini epoki wczesnego Gierka. Ale każda z nich – o zgrozo! – ma na sobie identyczny, czarny *brassière* z koronkami i metalowymi fiszbinami, wystającymi z przetartej na brzegach stanika bawełny. Wyglądają, jakby wyszły żywcem z opowieści Elżbiety Wittlin Lipton o „złowrogo wyglądających chasydach” handlujących przed Halą Mirowską „sztywnymi, lśniącymi stanikami, przeważnie w odcieniu błękitu nieba, o olbrzymich miseczkach, które ozdabiano koncentrycznymi szwami”³¹. Na Szwedki, Dunki i Francuzki, paradujące *topless*, nikt nie zwraca uwagi – poza nami oczywiście. Tymczasem Polki budzą sensację, paradując w żałobnych „biustnikach” (Bob pisał o „wielkich, różowych biustnikach” (s. 32) córek sąsiada z campingu w Biarritz). I na nic się zdają nasze błagalne prośby o pozbycie się okropnych cyckonoszy. Przecież – jak napisze cztery dekady później Wojciech Ligęza: „Plaże wymyślono po to, by złe odreagować, rozluźnić się, zapomnieć. Terapia nie wymaga wielkiego zachodu. „Więcej topllessu, mniej stresu” – wyłowilem dziś hasło z ra-

³⁰ *Dessous* (franc.) – majtki.

³¹ E. Wittlin Lipton, *Z dnia na dzień. Reportaż z modą w tle z czasów zawieruchy*, wstęp J. Zieliński, przeł. L. MacMillan, Toruń 2012, s. 24–25.

diowego szumu. Posiadacze ciał afiszują się z otrzymanym darem, z ochotą biorąc udział w misterium młodości³².

Posiadaczki zachodnich ciał afiszowały się bez skrępowania darami różnej wielkości, za to właścicielki wcale nie gorszych ciał wschodnich – nie chciały okazać zgnilemu Zachodowi swoich młodych, jędrnych, socjalistycznych piersi. Do wzięcia udziału w misterium młodości nie skusiła ich nawet obietnica ciepłego posiłku w malowanej przez Van Gogha kawiarni w Arles.

Wypłynęliśmy daleko na morze, byle dalej od dwóch biało-czarnych meduz, wyrzuconych na brzeg Prowansji. W wodzie Zatoki Canneńskiej zdjęliśmy gatki, demonstrując koleżankom nieprzyzwoicie białe zakończenia spalonych słońcem pleców. Było to – nieświadome wtedy, bo przed lekturą *Szkiców...* – naśladowanie Bobkowskiego, pływającego nocą pod Gruissan ze spodenkami owiniętymi wokół szyi. Na pytanie, skąd wodne figle *in flagranti*, odpowiada profesor Ligeża w szkicu: „Zespolenie z żywiołem wody musiało być pełne, zmałał opór kultury, kostium został odrzucony. Pływanie łączyło się z powtórnymi narodzinami, bowiem na brzegu świata pojawiają się nago”³³.

Na brzegu bulwaru La Croisette w Cannes pojawiliśmy się w szortach i tiszertach, tuż po zachodzie słońca. Podobnie jak Bobkowski – w relacji Ligeży – każdy z nas o wiele za długo „cieszył się swoim wyzwolonym ciałem, młodym i sprawnym – jak najlepiej skonstruowana maszyna”³⁴. Obiad u Van Gogha byłby dobrym *pit stopem*, regenerującym nasze młode organizmy, ale go nie zjedliśmy. Zachowałem jedynie jadłospis kawiarni de la Gare – obecnie Café van Gogh – z kopią obrazu z niebieskim, rozgwieżdzonym niebem na odwrocie oraz astronomicznymi cenami (jak na naszą kieszeń). Bobkowski też nie zasmakował w tym mieście: „przez Arles przelecieliśmy szybko. [...] Nie chciało mi się nawet zobaczyć areny rzymskiej. Kupiłem za to jajek” (s. 100). Powodem niechęci do miejsca dwuletniego pobytu autora *Słoneczników* była pogoda 8 września 1940 roku: „Tutaj dzień bez słońca, to jak sałata bez oliwy i obiad bez wina: trudno przełknąć” (s. 100).

VII

Nicea przywitała nas pastelowym zachodem nad Zatoką Aniołów, a pożegnała siniakami, wygniecionymi na kamienistej plaży. Bob: „Wieczorny powiew od morza jest chłodny, światło jest miękkie i puszyste, spokojne. Całe wybrzeże, przed pójściem spać, ściera dzienną szminkę. Wzrok odpoczywa. Po kolacji siedzimy długo na Promenadzie przy księżycu” (s. 143). Również przy księżycu spędzamy tam noc, nad ranem trzęsę się z zimna, dziewczyny śpią w samochodzie. Jest jeszcze ciemno, gdy z kocem na plecach idę na poszukiwanie ciepłej kawy. „Zapalone lampy

³² W. Ligeża, *Opalone kolana* [w:] tegoż, *Pod kreską. Teksty z lat 1996–2013*, wstęp J. Szuber, Kraków 2013, s. 110.

³³ Tegoż, *Pływanie* [w:] tegoż, *Pod kreską...*, s. 114.

³⁴ Tamże.

na Promenadzie są sznurkiem pereł” – pisał Bob, i tak też wygląda Promenada Anglików trzy dekady później. A potem, już po skromnym śniadaniu (croissant, kawa, kukurydza, zerwana na jakimś polu pod Antibes) „żwawym krokiem wchodzimy do Nicei. Znowu wille, pałace i pałacyki, hotele i pensjonaty schowane w zieleni ogrodów i ogródków, dużo palm...” (s. 128–129).

Z Nicei wysyłam pocztówkę do Basi ze zdaniem jak z Schulza, piszącego o Wersalu (jak się później doczytam): „Chciałbym tu mieszkać”. A Bruno po powrocie z Francji w 1938 roku pisał do Ludwika Lille: „Radzę Panu koniecznie wyjechać gdzieś na prowincję, choćby do Wersalu. Zamku może Pan nie oglądać, ale miasteczko jest czarujące. Tu bym chciał mieszkać”³⁵. Skąd Wersal u Schulza, i generalnie fascynacja prowincjonalną Francją? Tomasz Łubieński dowodzi, zresztą bardzo przekonująco, że *Ojczyzna*, mało znany utwór autora *Sklepów cynamonowych*, wydrukowany z końcem 1938 roku w lwowskich „Sygnałach”, został zainspirowany miasteczkiem Limoges:

Ojczyznę, tak się osobliwie złożyło, przeczytałem po raz pierwszy po francusku w mieście Limoges, czterysta kilometrów na południowy zachód od Paryża. Poznając to „średniej wielkości miasto prowincjonalne”, pielegnowałem w sobie przeświadczenie, że Schulz w *Ojczyźnie* wyobraził sobie Limoges właśnie³⁶.

Przeświadczenie Łubieńskiego oparte zostało na podobieństwie szczegółów w opowiadaniu Schulza, jak stara katedra położona na wysokiej platformie oraz fabryka porcelany, z której słynie Limoges. Zgadzał się także pejzaż, czyli wyżynne położenie nad „rozległą i jasną równiną prowincji, otwartą na całej szerokości na ciepłe powiewy zachodu”³⁷. Rzecz w tym, że Schulz nie był w Limoges, ale na pewno dużo o nim czytał. Był tam za to Bobkowski i to welocypedem. Zapis z 21 czerwca 1940 roku: „Koło 1-szej dojeżdżamy do Limoges. Nie wpuszczają do miasta, zsiadam z roweru i po dłuższym wykładzie wpuszczają tylko mnie. Zostawiam rower i idę na piechotę. W środku miasta łapie mnie ulewa” (s. 34). Bob zakupił w Limoges sporo prowiantu na drogę oraz mapę Francji i tom korespondencji Byrona.

VIII

Po Alpach wracamy całą grupą do Paryża – w zupełnie odmiennych nastrojach niż Bob jadący tędy trzydzieści lat wcześniej: „Teraz jadę przez Cote d’Azur, ale nie odczuwam tego jakiegoś podniecenia, jakie odczuwałem chociażby w sobotę, wsiadając w nowym ubraniu do Lux-torpedy, z ilustracjami w ręce, w renifero-

³⁵ Cyt. za: T. Łubieński, *Inne ojczyzny* [w:] *Różnorodność inspiracji kulturowych w literaturze. Materiały z sesji literackiej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*, Katowice 1995, s. 27.

³⁶ Tamże, s. 26.

³⁷ Tamże.

wych rękawiczkach i z paczką «Heli» w kieszeni” (s. 110)³⁸. Jedziemy z radością w sercach, opaleni i wypoczęci, przeglądamy kolorowe foldery stacji narciarskich francuskich Alp, wymieniamy się adresami z rówieśnikami z lepszej strony żelaznej kurtyny. Po kilku tygodniach pobytu w wolnym świecie, wśród prostolinijnych i przyjaznych młodych ludzi, zupełnie zapomnieliśmy o ponurym peerelu. Chłoniemy każdą chwilę łakomie, z pasją wypuszczonego na przepustkę więźnia, ciągle głodni, nienasyчени, ciekawi.

W Paryżu stajemy na cały tydzień obozem w Foyer International des Etudiants – międzynarodowym hotelu studenckim ulokowanym na obrzeżach Ogrodu Luksemburskiego. Widok z naszej mansardy mamy ten sam, co Simone Weil, o czym dowiem się z relacji Stanisława Vincenza. W 1959 roku odwiedził jej matkę:

poprosiła nas, żebyśmy wyszli na balkon popatrzeć na widok, który tak lubiła Simone. Rzeczywiście widok niezwykle: z piątego piętra ogarnia się centrum Paryża razem z ogrodem Luksemburskim, z Sainte-Chapelle, a dalej kopuły Grand Palais i Inwalidów. Miejsce jak gdyby stworzone do szerokich i rozszerzających pierś horyzontów³⁹.

Wypożyczam z recepcji maszynę do pisania i stukam po nocy materiał dla krakowskiego tygodnika – relację z letnich nart na lodowcu. Po spełnieniu się w roli zagranicznego korespondenta, ruszam na podbój stolicy wolnego świata, aby naładować baterie na kolejne lata na jego rubieżach [Bob: „Siedzę na Bulwarze, piję biały «Vermouth» i naładowuję się jak akumulator. Światłem, szurgotem tysięcy stóp, migotem i tym czymś nieuchwytnym...”⁴⁰]. Kocham Paryż pierwszą, niewinną miłością przybysza z Obrzydłówka, wszystkimi zmysłami chłonę nadseksuański narkotyki. Jeżdżę metrem, wstępuję do sklepów i katedr, przesiaduję na schodach bazyliki Sacré-Coeur i na placu Alma z pomnikiem Mickiewicza, zaglądam do galerii Montmartre’u, włączę się bulwarami nad Sekwaną. Bob: „Po południu poszliśmy się włóczyć nad Sekwaną – pić słońce z winem na tarasie jakiegoś bistra, mrużyć oczy, drzemać w jasności i ciepłe”⁴¹. Niepomny na przestrogi Benjamina z *Pasaży*, że – cytuję z pamięci – „pijany staje się ten, kto długo i bez celu włóczył się po ulicach”, łączę nad Sekwaną, pijany jedynie słońcem i widokami, bo na wino mnie nie stać...

Podobnie jak Andrzej Bobkowski, w czerwcu 1940, tuż przed wkroczeniem Niemców, Walter Benjamin wyjeżdża z siostrą z Paryża na południe. Zbieg

³⁸ Lutorpeda była legendarnym w II RP wagonem motorowym PKP na licencji austriackiej. W 1936 r. trasę z Krakowa do Zakopanego, którą podróżował często Bobkowski, pokonała w 2 godziny i 18 minut – rekord do dzisiaj niepobity.

³⁹ S. Vincenz, *Po stronie dialogu*, t. 2, Warszawa 1983, s. 200. Simone Weil zmarła w wieku 34 lat. Jak to przerażająco mało, uświadamia śmierć w tym samym wieku mojej babci Heleny Ochały z rąk bandy UPA w bieszczadzkiej miejscowości Rajske.

⁴⁰ A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s. 63–64.

⁴¹ Tamże, s. 78.

okoliczności sprawił, że 26 września 1940, gdy w Chalon-sur-Saone⁴², na linii demarkacyjnej oddzielającej niemiecką strefę okupacyjną od południowej, nieokupowanej części kraju, Bobkowski jest przesłuchiwany przez Gestapo, na granicy hiszpańsko-francuskiej w Pirenejach Benjamin aplikuje sobie śmiertelną dawkę morfiny – w panicznym strachu przed aresztowaniem przez Gestapo. W zapisie Boba z feralnego dnia radosne, niemal beztrudnie wojażowanie przez Francję przyćmiewa nastroj przygnębienia. W obu wypadkach chodzi pisarzom o przekroczenie granicy:

Nasi towarzysze stoją na progu w komplecie i żegnają nas okolicznościowym *bon passage*. Są tak samo podnieceni, jak my. Czy nas puszcza, czy znowu do nich wrócimy. Jestem zdenerwowany i odczuwam coś w rodzaju zgagi; także wstręt. Chciałbym to już mieć jak najprędzej poza sobą (s. 183).

Niemcy przepuścili Bobkowskiego z Wylotem, podobnie jak następnego dnia, 29 września, na granicy w Portbou Hiszpanie przepuścili towarzyszy Benjamina. Dotarli do Lizbony, skąd popłynęli do Ameryki. Bobkowski dotarł do Paryża także 29 września, a Benjamina pochowano tego dnia na cmentarzu w Portbou. Márai: „Tego nie sposób wytłumaczyć, ale to się dzieje, ktoś to aranżuje i sprawia, że rzeczy i zjawiska tak precyzyjnie stykają się ze sobą”⁴³.

IX

Któregoś przedpołudnia włączymy się z Wojtkiem T. po Wyspie św. Ludwika, czyli „polskiej wyspie na Sekwanie”. Od Hotelu Lambert idziemy wąską, brukowaną uliczką, zupełnie bez celu i bez planu, gdy nagle naszym oczom objawia się napis „Składnica Polskiej Książki”, a w wąskich, pomalowanych na zielono drzwiach stoi smukła, krótko ostrzyżona kobieta i mówi do nas najczystszą polszczyzną: „Zapraszam kawalerów do środka”.

Z księgarni Libella Zofii i Kazimierza Romanowiczów oraz połączonej z nią Galerii Lambert wyszliśmy obładowani niezwykle cennymi skarbnicami: dwa tomy *Szkieł piórkiem* (ze sporą zniżką) oraz tomiście zatytułowane *Orfeusz w piekle XX wieku* Józefa Wittlina (podarowane mi przez panią Zofię). Były to ważne zdobycze, ale najważniejsza była godzinna rozmowa z Zofią Romanowiczową, która dała mi więcej, niż rok studiów polonistycznych na UMCS. Co prawda na wykładach profesora Jerzego Święcha, a także w prywatnych z nim rozmowach dowiedziałem się i o Bobkowskim, i o Wittlinie, i o Czapskim, ale profesor nie podawał szczegółów z życia emigracji, zwłaszcza niepodległościowej, a książki diasporzyków nie były dostępne w bibliotekach. Pracował wtedy nad swoim *opus magnum* – o literaturze okresu II wojny, Bobkowskiego uważał za wybitnego diarystę i „światny talent narracyjny”,

⁴² Bobkowski w dzienniku myli tę nazwę z Chalons-en-Champagne, położonym nad Marną.

⁴³ S. Márai, *Dziennik 1943–1948*, s. 319.

a jego francuski dziennik porównywał do barwnego i niezwykle urozmaiconego filmu: „Film niekiedy komiczny i wesoły, ale bywa, że obfitujący też w sceny dramatyczne i tragiczne, co nadaje *Szkicom piórkiem* znięciem prawdy, a literackim zapisom wydarzeń – piętno rzadkiej wiarygodności”⁴⁴.

Jednego dnia francuscy gospodarze zabierają nas całą grupą do Wersalu, innego wracam samotnie do hotelu z placu Pigalle, gdzie są najlepsze kasztany, jak głosi *bon mot* ze *Stawki większej niż życie*. Prawie puste metro. Siadam naprzeciw ładnej blondynki i jej, jak mniemam, rodziców. Na buzi nastolatki błąka się coś na kształt grymasu. Mama upomina córkę: – Córuś, a dyć nie kukaj na tego cepra, ozuty jak jancykryst, portki se obcion przy rzyci, kufa u niego jak przetok, zamraćkany... Analizuje mnie z wprawą entomolożki, nabijającej na szpilkę nieznanego okaz insekta. Notuję pospiesznie, jak jakiś obidzok, co musi zapisać, bo nie zapamięta. Wysiadają na Gare de Luxembourg, przy bulwarze St.-Michel, to także mój przystanek. Wychodzę z wagonu i podążam za nimi krok w krok. Przyspieszają, idą coraz szybciej, prawie klusem dopadają schodów – i naraz: stop! Zatrzymują się jak na komendę, w pełnym napięciu oczekiwaniu szykują się do odparcia ataku. Mijam rodactwo spacerkiem, mówię spokojnie, akcentując każde słowo: – Świat jest mały, proszę państwa, dyć Polacy są wszędzie, *bonsoir!* Widzę ich rozdziawione gębusie, słyszę połajania matki przez córkę, wybiegam w noc.

X

Wracam do kraju expresem relacji Gare de Nord–Moskwa. W plecaku tomiszcza Instytutu Literackiego i kilka numerów paryskiej „Kultury”. Stukoczą koła pociągu, kołaczę się małe myślątko, cięń myśli, że na polskiej granicy jakiś celnik-stachanowiec (byli tacy nadgorliwcy) może zajrzeć do plecaka. Przecież wiozę zakazane owoce, ale co mi tam, pijany wolnością wypieram z pamięci proces „taterników” sprzed trzech lat. Czuję się lekko, beztrasko, ulotnił się gdzieś strach przed codzienną paranoją peerelu. Podobnie czuje – i tak się zachowuje – Wojtek.

Nasz piękny sen kończy się na dworcu Warszawa Zachodnia (Dworzec Centralny jest wtedy w budowie). Jeszcze kilkanaście godzin wcześniej jasne, czyste hale Gare du Nord⁴⁵, pachnące „dalekością świata, czarem obczyzny”⁴⁶, pełne tarasy kawiarni na Polach Elizejskich i bulwarach, pachnące z kolei różami i cynamonem, wypełnione także kolorowo ubranymi ludźmi – a tu szaro, brudno, ciemno i cuchnie uryną. Tłumek smutny, skwaszony, obrażony na siebie i chyba na nas, bo

⁴⁴ J. Świąć, *Literatura polska w latach II wojny światowej*, Warszawa 1997, s. 411.

⁴⁵ „Dopiero na Gare du Nord poczuł się znowu człowiekiem, rozpoznał dawny zapach Europy” – A. Bobkowski, *Siódma* [w:] tegoż, *Punkt równowagi*, wybór i oprac. K. Ćwikliński, Kraków 2008, s. 67. Z kolei Józef Wittlin tak pisał o Gare du Nord i Dworcu Głównym we Lwowie: „Na wiele już stacji zajeżdżałem w tej męczącej podróży, zwanej życiem, lecz żadna, z wyjątkiem może Gare du Nord w Paryżu, nie budziła we mnie takiego podniecenia, takich «metafizycznych dreszczów», jak by powiedział śp. Stanisław Ignacy Witkiewicz. Dworzec Główny był chlubą każdego lwowianina” (J. Wittlin, *Mój Lwów*, Warszawa 1991, s. 14).

⁴⁶ J. Wittlin, *Mój Lwów*, s. 15.

patrzą karcącym wzrokiem, jakbyśmy im wyrządzali krzywdę naszym wyglądem i zachowaniem. Meldujemy się w domu studenckim Riviera – to „logiczny przypadek” po powrocie z riwieri francuskiej. Portier częstuje nas erotemą: – A co wy się tak, kurna, wyszczerzacie, jakbyście dostali spadek z Ameryki?! – Nie z Ameryki, a z Francji! – odpowiadamy chórem, po czym wybuchamy gromkim, amerykańskim śmiechem ludzi wolnych i bogatych.

Rano jedziemy w Bieszczady. W Sanoku kupuję „Studenta” z wydrukowaną już korespondencją⁴⁷. W tekście brakuje kilku zdań o grupie studentów z „K-raju Rad”, siedzących przy osobnym stole z dwoma „opiekunami” w jednakowych marynarkach ze skaju.

Gdy zjeżdżam w Bieszczady i Beskidy, jeszcze tylko czytanie Vincenza przywraca mi przeszły klimat tej ziemi. Prozę piewcy Karpat południowych, Pokucia i Huculszczyzny można od biedy zastosować do opisu podhalańskiej góralszczyzny. Nie mamy w literaturze równie pięknej i wiernej pochwały Tatr oraz góralskiego życia, którą dał Vincenz Bukowinie, Gorganom i Hucułom w *Na wysokości połoninie*. Lektura tego dzieła uczy zasady dobrego pisarstwa: to trzeba kochać. I zawód, i kraj, i człowieka, którego opisujemy.

Wspomniała pamięć Vincenza pozwoliła mi na emigracji w Grenoble i La Combe dokończyć zaczęta przed wojną karpacką trylogię. Jego piórem wodziła ta sama tęsknota, która pozwoliła Mickiewiczowi napisać w Paryżu *Pana Tadeusza*, ba – oddać w szczegółach obrazy, barwy, zapachy, nazwy i całe frazy zapamiętane w dzieciństwie i młodości. Bobkowski złośliwie komentował: „Jak bardzo Mickiewicz musiał nie znosić Paryża i do jakiego stopnia musiał czuć się w nim źle, skoro napisał *Pana Tadeusza*” (s. 117). Inne wyjaśnienie podaje Maria Dąbrowska: „Mickiewicz, jak wiadomo, nie był nigdy w życiu w Warszawie ani Krakowie, a z wiejskich okolic Polski rdzennej poznał tylko część Wielkopolski w okresie wiosenno-letnim 1831 roku...”⁴⁸. A zatem narodowy poemat powstał z „zastępczej” tęsknoty za Litwą, a nie Mazowszem, skoro Polski centralnej po prostu nie znał.

Okazuje się, że jeździliśmy na lodowcu Argentière nie tylko w „geograficznym kościcu Europy”, ale zupełnie niedaleko od małej wioski La Combe-de-Lancey, gdzie Stanisław Vincenz „spędzał długie letnie miesiące w chłopskim domu, krępy i niskim” – jak pisała Jeanne Hersch⁴⁹ w pięknym portrecie pisarza. Oto próbka:

Skoro tylko miał chwilę czasu, przychodzili do niego. Starzy, dzieci, mężczyźni, kobiety, wszyscy. Listonosz zjawiał się z twarzą rozpromienioną odświętnie. Przychodzili, aby opowiedzieć, co się wydarzyło, albo że nie się nie wydarzyło. Każdy siadał na chwilę, aby być wysłuchanym, dostrzeżonym, pokochanym. A Irena, jego

⁴⁷ M. Kusiba, *Trochę zimy latem*, „Student”, wrzesień 1973.

⁴⁸ M. Dąbrowska, *Szkice z podróży*, Warszawa 1956, s. 55.

⁴⁹ J. Hersch, *O Stanisławie Vincenzie* [w:] S. Vincenz, *Po stronie dialogu*, t. 2, Warszawa 1983, s. 257.

żona, niestrudzenie przynosiła coś do picia, coś do jedzenia, szczęśliwa, że widzi go, jak rozsiewa ciepło i humor na każdego, kto się doń zbliży, jakby dane jej było uczestniczyć w jakimś niekończącym się cudzie, całkowicie nieświadoma cudu, jakim była sama⁵⁰.

Wrażliwe i czułe pióro Jeanne Hersch potrafi w kilku zdaniach uchwycić istotę „niekończącego się cudu” obcowania z kochającym ludzi małżeństwem Vincenzów. Albo zdanie: „całkowicie nieświadoma cudu, jakim była sama” – przecież nie można lepiej. Najpiękniej o kobiecie potrafi napisać tylko kobieta...

- Bo kobiety są lepsze od nas...
- A jak kochają, potrafią zdobyć się na wszystko...
- A przehuśtane primadonny też?
- Też, nawet wycofane z obiegu...
- Ale to nie my, to Bobkowski...

Cdn.

Marek Kusiba

⁵⁰ Tamże.

Antoni Wolak

Gdy byłem małym dzieckiem
pierwszym przewodnikiem
na własny użytek
uczyniłem rodziców.

Kiedy grałem rolę grzesznika
przy pierwszej spowiedzi
zostali suflerami.

A gdy pewnego dnia
zblądziłem wśród tłumu
wyglądali wtedy
jak Święta Rodzina
która syna szuka pośród faryzeuszy.

Tarnów 1976 r.

W BAGDADZIE

Jackowi Zielnemu

Dziś z Bagdadu
Zostanie przeprowadzona
Transmisja z bombardowania
Celów wojskowo-strategicznych
Donosi ze studia CNN dziennikarz
Prowadzący poranne wiadomości.

Nad miastem rozgościło się
Atramentowe niebo utkane
Gwiazdami i zamontowane zostały

Kamery na dachu wysokiego
Hotelu w samym centrum.

Czy w tym mieście mieszkają
Jeszcze zwykli obywatele zadaje
Retoryczne pytanie ten sam
Dziennikarz prowadzący chwilę
Wcześniej wiadomości ze świata.

Pierwsze eksplodujące bomby
Dają znać o sobie rozetami z
Ognia na ekranach telewizorów.

Między jedną a drugą natrętą
Reklamą znana dziennikarka
BBC (biorąca udział w programie)
Opowiada coś o broni dalekiego
Zasięgu i zniżając głos dodaje

Ladies and gentlemen właśnie
Trzasnęła kolejna bomba
Wygłąda na to że tym razem w
Samym centrum Bagdadu

Jutro opowiem wam więcej –
Planowane są dalsze poszukiwania
Saddama Husajna podejrzanego
O popełnienie przestępstw na
Własnym narodzie.

Relacjonowała dla was Christiane Amanpour
dodała kończąc udział
W programie.

2001/2020 r.

P.S.

Odnaleziony wiersz został napisany bez mała 20 lat temu i nicopatrnie pozostawiony
w czytanej książce.

NA MARGINESIE

Kiedy pojawiło się
KŁAMSTWO na ziemi

Jak udowadniają
Minione wieki

Już na samym początku
Przywarło do mnie

Niczym pies do nogi
Służąc mi na każdym kroku

Grudzień 2021

MIŁOŚĆ WE WCZESNEJ MŁODOŚCI

Miłość we wczesnej
Młodości jest jak
Pływanie w morzu przy
Brzegu.

Gdy tylko poderwie się wiatr
I zawładną nami zburzone fale...

Trudno nam z nich nie skorzystać...

PODOBNO

Wojtkowi Dzikowskiemu

Podobno poetą się rodzisz
Lub się nim stajesz albo tylko
Bywasz – twierdzą znawcy tematu...
Czy do (późnej) starości
Jeśliś już zaistniał?

Czyżby stąd wzięło się to
Moje usilne przekonanie

Żeby nie rezygnować z
Pisania wierszy jakby od
Nich zależał los świata

2021

JEŚLI TO PRAWDA

Jackowi Dzikowskiemu

Jeśli to prawda że

Historia wszechświata
Jest zdeterminowana
Jak twierdzą niektóre
Tęgie głowy nauki to

Co ja mam powiedzieć
Na usprawiedliwienie
Pojawiających się moich
Wierszy

Zaglądając z nimi do pism w
Których szuflady wypełniane są
Niczym spichlerze zbożem w
Kanadzie po kolejnych udanych
Zbiorach

ZA KAŻDYM RAZEM

Za każdym razem
Kiedy stwierdzamy
Nie wiem...
Nie pamiętam...
Być może...

Dajemy do zrozumienia że
Opowiadamy się za prawdą

Zapominając dodać że się
Zgadzamy...

Lipiec 2022 r.

NA PRZYSTANKU W MROŻNE POPOŁUDNIE

...i stałeś się samotnikiem przyznasz
usłyszał jakby ktoś zwrócił się
do niego na pustym (o tej porze
dnia przystanku) wsiadając do
popularnej kolejki nie podejrzewając
że stały z tym tylko jego myśli
które chwilę temu usiłowały
ulożować go w ciepłym mieszkaniu

W którym na regałach od dłuższego już czasu
cierpliwie oczekiwały na niego książki
gotowe w każdej chwili podsunąć ciekawą lekturę
dzieląc się swym miejscem
z mało dyskretnym kurzem.

Luty 2023 r.

METAFORA

Andrzejowi

kiedy piszę wiersz pojawia się
metafora przekonana że skorzystam z niej
gdy tylko wtrącę się...

opuszcza mnie bez słowa
trzaskając wiersza drzwiami

24 września 2023 r.

Antoni Wolak

Robert Bringhurst

POLIHISTORYCZNY UMYŚŁ*

I

Przed laty, podczas wizyty w Anglii, przedstawiono mnie byłej dyrektorce prestiżowej żeńskiej szkoły. Nasza rozmowa zeszła na temat języka, jak to często bywa z postmodernistycznymi dyskusjami. Na pytanie o mój język, odpowiedziałem, że, uczciwie mówiąc, żadnego nie opanowałem znakomicie, niemniej potrafię sobie dać jakoś radę z czytaniem nawaho i haida. „A co to takiego?” – spytała dyrektorka, na co odpowiedziałem, że są to rdzenne języki Ameryki Północnej. Ponieważ ten termin niewiele jej mówił, wyjaśniłem, że były to języki, którymi posługiwali się ludzie znani nam jako czerwonoskórzy. „Oh! – zareagowała dyrektorka – To oni mieli języki?”.

Przyszło mi do głowy, że powinienem się rozplakać, ponieważ ta pewna siebie, inteligentna, dobrze wychowana i niezwykle nieświadoma kobieta była przez całe życie tzw. edukatorką, i jednocześnie pomyślałem, że powinienem być zadowolony, skoro przeszła już na emeryturę. Pomyślałem też, że ponieważ spędzenie przez nią czasu wśród rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej nie wchodzi w rachubę, mogłaby trochę czasu spędzić ze znawcami przedmiotu.

Czego mianowicie mogłaby się od nich dowiedzieć?

Pierwszy lepszy antropolog, jak i, założmy, pierwszy lepszy inteligentny uczeń średniej szkoły, mógłby ją poinformować, że mimo poszukiwań nie udało się nikomu znaleźć na szerokim świecie chociażby jednego ludu pozbawionego języka i że jedynym wyjątkiem od tej reguły są niemowlęta i ludzie z poważnymi uszkodzeniami lub chorobami. Dorośli pozbawieni naturalnego ośrodka mowy są równie rzadcy jak ludzie nieposiadający fizycznego narządu języka.

Co jeszcze mogliby podpowiedzieć jej znawcy, gdyby się do nich zwróciła?

Założmy, że zaczęłaby od standardowego źródła kolonialnej wiedzy, *Encyklopedii Britannica*, której tomy stały na półce w pokoju, w którym rozmawialiśmy. Wiem, ponieważ sam tam zajrzałem w sekrecie jakiś czas później, że gdyby skonsultowała się z tym autorytatywnym źródłem, szanowny znawca powiedziałby jej co następuje:

Języki indiańskie nie posiadają literatury w zwyczajnym znaczeniu tego słowa. Niemniej, grupy amerykańskich Indian mają kolorową ustną tradycję, anonimową twórczość wielu pokoleń [...].

* Źródło przekładu: *The Polyhistorical Mind* [w:] R. Bringhurst, *The Tree of Meaning. Thirteen Talks*, Gaspereau Press, Kentville 2006, s. 15–37.

Większość, jeżeli nie wszystkie rdzenne języki Ameryki Północnej skazane są na wymarcie [...]. Z tego powodu nikt nie zajmuje się nimi z punktu widzenia praktyki używania, czy też, skoro nie istnieją gotowe teksty, by lepiej zrozumieć znaczącą literacką tradycję. Niemniej języki te, podobnie jak wszystkie pozostałe, są ważne dla wiedzy o języku [...]. Są, faktycznie, laboratorium [...].

Autor hasła, Harry Hoijer, studiował u jednego z niekwestionowanych geniuszy studiów lingwistycznych – Edwarda Sapira. Hasło, które Hoijer opracował dla encyklopedii, to dowód, że nie przyswoił sobie nic z tego, co Sapir próbował przekazać. Powyższe opinie, poparte autorytetem *Britanniki*, nie należą do wartościowej nauki, wartościowych studiów, wartościowej historii. Nie sprawdzają się również jako przepowiednie. Tak naprawdę nie są niczym więcej niż bezmyślnym powieleniem odwiecznych założeń: niesprawdzonych, niedoinformowanych, zakłamanych i, jak uważam, bardzo szkodliwych. Zarówno w tym przypadku, jak i w przypadku dyrektorki, naukowiec zaślepiony jest przez książki, z których korzystał, oślepiiony umiejętnością czytania i pisania.

Poematy bardów narodu Haida, Skaaya i Ghandla, są dowodem na głęboko zakorzeniony błąd poglądów Hoijera. Obaj byli twórcami ustnej poezji, obaj nie potrafili ani pisać, ani czytać, niemniej mogą pozostać anonimowi tylko w świadomości tych, którzy nie zechcą nauczyć się ich imion i zapoznać się z ich talentem. Byli depozytariuszami wielkiej intelektualnej i literackiej tradycji, a dzięki dobremu i cierpliwemu językoznawcy, Johnowi Swantonowi, który na kilkuset stronach spisał ich poematy, kontynuują rolę strażników tej tradycji, mimo tego, że ich cywilizacja uległa dramatycznym przemianom, osady opustoszały, a oni sami dawno umarli. Wszystkie ludzkie języki skazane są na wcześniej lub później zapadającą ciszę. Podobnie jak wszystkie, włącznie z nami, stworzenia na śmierć. Ale na razie język Skaaya i Ghandla – tak ze względu na mądrość i mistrzostwo, z jakim się nim posługiwali, jak i troskę, z jaką John Swanton sporządził swój zapis – jest równie bezpieczny jak mowa Homera, Szekspira czy Izaaka.

Tak Skaay, należący do linii rodowej Haida zwanej Qquuna Qiighawaay, jak Ghandl, należący do rodu Qayahllaanas, są, co należy przyznać, wyjątkowi. Ze znanych mi poetów słowa mówionego należą do najznakomitszych w którymkolwiek języku któregośkolwiek kontynentu. A przecież bez trudu można by przywołać duchi może jakichś dwustu twórców, służących za przykład bogatej tradycji zawartej w setce rdzennych języków Ameryki Północnej. Można by to osiągnąć bez trudu, ale w celu odziania sprawiedliwości tym twórcom i ich rdzennym tradycjom, należałoby wygłosić setki wykładów, napisać setki książek. Zadanie do podjęcia przez setkę innych badaczy.

II

W 1934 roku emigrant, który przybył do Brytyjskiej Kolumbii z Anglii, ułożył antologię opowieści wybranych z mitologii narodu Haida i innych ludów znad Pacyfiku. Po poddaniu ich redakcji zapewniającej poczytność wśród anglosaskiej, kolonialnej publiczności, autor opatrzył swój wybór komentarzem: „zebrane tutaj

opowieści kursują wśród ludów wybrzeża. Ich język nie jest ani wyrafinowany, ani dźwięczny, skrojony na miarę ich prostych umysłów, aby mogły je zrozumieć i ocenić”. Trzydzieści lat później, w the Warden of Wadham College, emeritus Professor of Poetry uniwersytetu w Oxfordzie, podjął się trudu opisanie mówionej literatury ludów zbieraczy i łowców całego świata. Znając biegle łacinę, grekę oraz język rosyjski, nie miał pojęcia o językach związanych z tematem, którego się podjął. A mimo to pisał z przekonaniem, że w kulturach, które studiował, mity: „przedstawiane są zazwyczaj w postaci bardzo prostych opowieści prozą, bez gracji czy formalizmu właściwego pieśniom, dzięki czemu unika się problemów związanych z możliwością pojawienia się błędów w sytuacjach gdy precyzja i poprawność są najważniejsze”. Język oxfordzkiego erudyty jest mniej nonszalancki niż język antologisty, co nie znaczy, że nie jest równie odległy od prawdy.

Łatwiej przystać na mało optymistyczną opinię przedstawioną przez Jeana-Paul Sartre'a w 1947 roku. Przecież, formułując swoją tezę, że jedyną szansą literatury jest szansa europejska, nie kierował się ani kolonizatorską pychą, ani przekonaniem o swojej nieomyślności. Na szczęście proroctwo się nie spełniło. Niemniej w podsumowaniu pożytków płynących z literatury, Sartre nawiązuje do literatury słowa mówionego oraz literackiej kultury, wykraczając poza obrzeża ulubionego przez siebie kontyentu:

Gdyby literatura stała się po prostu czystą propagandą lub czystą rozrywką, społeczeństwo powróciłoby do barłogu czywistości – innymi słowy, bezpamięciowej egzystencji insektów i bruchonogów. Oczywiście, że można nie przywiązywać do tego żadnej wagi. Świat doskonale poradzi sobie bez literatury. A bez ludzi poradzi sobie jeszcze lepiej.

Gdyby goszcząca mnie dyrektorka zwróciła się do tej samej encyklopedii w celu dowiedzenia się czegoś o kanadyjskiej literaturze, przeczytałaby, że istnieją dwie: angielsko- i francuskojęzyczna. Dowiedziałyby się, że Charles G.D. Roberts, Bliss Carman, Archibald Lampman i Duncan Campbell: „są autorami najlepszej poezji powstałej w Kanadzie przed rokiem 1920”. Roberts, doniosłaby encyklopedia, zasłużył sobie na pamięć „narodowym optymizmem”; Carman jest „poetą popularnym nawet poza granicami Kanady” z powodu „pogańskiej estetyki i [...] cygańskiej swobody”; Lampman jest ważny ze względu na „opisy natury i społeczny komentarz”. Natomiast, mogłaby przeczytać, Scott jest głosem „dalekich obszarów północnej dzikiej krainy zamieszkaanej przez Indian, regionu oraz mieszkańców dogłębnie poznanych przez poetę podczas wieloletniej pracy w Departamencie d/s Indian”. Jak źródło wiedzy może aż tak się mylić?

III

Ludzie przemierzali obszary Ameryki Północnej co najmniej od końca ostatniej ery lodowcowej. Niektóre z migracji – np. przemieszczanie się ludów Nawaho czy Apaczów z Jukonu na południe do Nowego Meksyku i Arizony – można

względnie łatwo udokumentować. Inne trudniej opatrzyć datami. Natomiast różnicę między wczesnym etapem migracji a kolonizacją Ameryki Północnej przez Europejczyków da się łatwo określić. Jest to różnica kulturowa, nie rasowa. Jest to różnica zachowań rodów myśliwych poznających okolicę krok po kroku i uchodźców, odezwanych od rdzennej ziemi, przepływających, statek po statku, wielki ocean, aby dotrzeć do ładu, o którym nic, ale to nic, nie wiedzą.

Ta pierwsza forma migracji umożliwia poznanie, wspiera uwagę oraz gwarantuje możliwość adaptacji i zazwyczaj konieczny do adaptacji czas. Drugi scenariusz oparty jest na gwałtownej zmianie. Prowadzi do postępowania według praktykowanych wcześniej stereotypów, często ich wyidealizowanych wersji, nawet w sytuacjach całkowitej nieprzystosowalności. Często oznacza tworzenie sztucznych realiów na wielką skalę. W jednym z narracyjnych poematów Ghandla mężczyzna żeni się z gęsią. I chociaż jej pożycie z nim na ziemi jest równie nieszczęśliwe jak podjęta przez niego próba życia z nią w jej podniebnym świecie, żadne z nich nie próbuje zmienić porządku istnienia. Europejczycy osiedlający się w Ameryce Północnej bezustannie podejmowali próby przeobrażenia zastanego świata na wzorce przeniesione z domu. Mapy nadal obfitują w nazwy rodzaju: Nouvelle France, New England, Nova Scotia, British Columbia, Nowy Jork. Przyzwyczajenie odrzucania realiów rzeczywistego świata pokutuje do dzisiaj. Ponoś odpowiedzialność za Disneyworld, West Edmonton Mall, czy most, który zmieni Prince Edward Island w jeszcze jedną, pozbawioną odrębności, część ładu stałego.

Stare gwiazdne mapy astrologów aleksandryjskich przedstawiają niebo jako zbiory konstelacji – rozpoznawalnych zbiorów dostrzegalnych gwiazd – które czasem nakładają się na siebie, a czasem są pełne białych plam. Te stare mapy są równie nieszczęsne jak domy narodu Haida. Wypełniają je fikcyjne przypuszczenia, wymyślone opowieści, niemniej ożywczy wiatr rzeczywistości wieje między szparami. Neoklasyccy astronomowie zastąpili stare mapy nowymi, na których uwzględniony i nazwany jest najmniejszy nawet skrawek nieba. Nie ma na nich miejsca na nakładanie się konstelacji, przerwy czy białe plamy. Europejczycy skolonizowali w ten sposób niebo już na początku XVIII stulecia, na długo przed wystrzeleniem pierwszej rakiety. Z kolei neoklasyccy kartografowie zrobili to samo z Ziemią, która przed tym osiągnięciem mogła pomieścić i Romów, i łowców, i zbieraczy, jak również wilki i niedźwiedzie, i renifery, i gołębia wędrownego czy żurawia. Między granicami nanoszonymi na mapy i wytyczanymi na ziemi nie było miejsca na wolną przestrzeń. Temu, co nie pasowało do tych podziałów, odmawiano prawa do istnienia, a każda próba zaistnienia wbrew odmowie mogła zmobilizować prawodawców, nauczycieli, misjonarzy i rolników do akcji uporania się z problemem.

Mapa Kanady, na której Ontario styka się szczerlnie z Manitobą, a Manitoba nie kończy się przed granicą z Saskatchewanem czy brzegiem Zatoki Hudsona, lub granicą z Nunawut, jest fikcyjnym tworem: marzeniem buchaltera, a nie obrazem faktycznego stanu rzeczy. Niemniej taka właśnie mapa używana jest jako narzędzie

kształtowania naturalnego stanu rzeczy, w celu przykrojenia jej do halucynacji sprawowania całkowitej kontroli.

Taka upraszczająca i oczywista kartografia utrudnia proces akceptacji i aprobacji samostanowienia rdzennych narodów. Nie pomagają również w nakreśleniu adekwatnej mapy kanadyjskiej literatury.

IV

Astronomowie opracowywali swoje szczerne mapy do roku 1945, gdy wyszły praktycznie z użycia. Przejście od nauki neoklasycznej do współczesnej związane było z akceptacją i docenieniem otwartych zaszeregowień. Takich jak używany przez chemików układ okresowy, binominalne (dwuimienne) nazewnictwo gatunków, synoptyczne klucze biologów i coraz dziwniejsze, i bardziej cudownie mityczne światy fizyki cząstek elementarnych i współczesnej astronomii. Każda z tych list czy kategorii przypomina drzewo. Ponieważ naczelną funkcją drzewa jest wzrost, listy te są zawsze niekompletne – jak ilość możliwych zdań czy kombinacji zdań języka angielskiego.

Antropologia, o ile się nie myłę, również doświadczyła podobnych zmian, a Franz Boas jest jej Mendelejewem lub Linneuszem. Moim zdaniem Boas wyobraził sobie coś w rodzaju układu okresowego kultur, z miejscem zarezerwowanym dla nowo odkrytych (lub właśnie tworzonych) elementów, nieuznającego zasady, że złożone atomy przewyższają jakościowo pozostałe. Uran nie jest lepszy od wodoru, powie nam chemik, mimo iż jego masa atomowa jest większa, a jego widmo promieniowania świetlnego gęstsze. A kultura Cesarstwa Niemieckiego, uważał Boas, czy Republiki Weimarskiej nie jest lepsza od kultury Haida Gwarii, mimo tego, że niemieckie miasta i okręty są większe od osad Haida i ich czołen, a nawet mimo tego, że ich powstanie i trwanie wymaga znacznie bardziej złożonych struktur życia politycznego oraz większej akumulacji kapitału.

Boas nosił na twarzy blizny po ranach odniesionych w pojedynku, w którym bronił swojego żydowskiego honoru przeciwko zadufanym Prusakom, w kraju, w którym się urodził. Doznał również, w słowach Alfreda Kroebera „honoru publicznego spalenia swoich książek po dojściu Hitlera do władzy”. Przez całe swoje dorosłe życie gromadził dowody na to, że rasa nie ma nic wspólnego z ludzką inteligencją, a mądrość nie może być osądzana na podstawie koloru skóry, typu krwi, czy kształtu czaszki, jak również złożoności czy wagi kultury materialnej. Głupcy mogą jeździć limuzynami, a Sokrates i Ghandi chodzić nago i na piechotę. Może być również odwrotnie. A Ghandi z Qayahl Llaanas może ułożyć wiersz równie kunsztowny i złożony jak kwartet smyczkowy Mozarta lub odwrotnie.

A przecież, gdyby, urodzony w 1858 roku, Boas był nadal wśród nas, musiałby zaczynać swoją pracę od podstaw. Napotykałby na rogu każdej ulicy, na terenie każdego uniwersytetu ludzi, którzy z gorączkowym przekonaniem chcą wierzyć, że studia nad genetycznym pochodzeniem pomogą nam zrozumieć, jak człowiek myśli i co wie.

Często mówimy o pokrewieństwie krwi i znajomości rzeczy do szpiku kości. Są to, mogą być, piękne metafory. A w moim zawodzie metafora jest zasadniczym i ważnym narzędziem, a nie ozdobnym ornamentem. Każda metafora ma swoje granice. W języku Haida osoba biorąca wszystko dosłownie nazywa się *skundal*. Mówiąc komuś takiemu: „zjedz tę żabę, zakop topór wojenny, czy przestań pieprzyć”, powinienem się przygotować do obserwacji wprowadzania metafory w życie.

Twierdząc, że moi nauczyciele z rodu Haida czy Nawaho posiadają wrodzoną wiedzę niedostępną innym, nie mogę nie zdawać sobie sprawy z posługiwania się metaforą. Gdybym o tym zapomniał, byłbym winnym takiego samego intelektualnego wykroczenia, jakiego dopuszcza się kolonizator w nieistniejącej już prowincji Transwal, utwierdzający się w przekonaniu, że Europejczycy posiadają wrodzone zdolności niedostępne czarnoskóрым Afrykańczykom. To wykroczenie może przybrać jeszcze okrutniejszą postać serbskiego żołnierza gwałcącego muzułmankę i utrzymującego, że płód będzie Serbem. Żaden z trzech przykładów nie uczestniczy w przestępstwie w identyczny sposób; każdy natomiast oparty jest na tym samym błędnym, kulturowym przekonaniu: pomieszaniu sfer kultury i natury. Mamy do czynienia z ludźmi uwięzionymi w upośledzonych metaforach.

Jeden z londyńskich banków spermy obsługuje wielorasową i wielokulturową społeczność zgromadzoną w tej starej imperialnej stolicy. Codziennie przyjmowane są zamówienia na spermę muzułmańską, chrześcijańską, spermę należącą do danej narodowości, czy też spermę dawców z danej sekty: ismailickiej, sunnickiej, szyickiej, protestanckiej, czy anglikańskiej. Często składane są zamówienia na spermę z określonej okolicy – hrabstwa Devon czy Kornwalii, lub z określonego regionu Azji. Czasem zamówienie zawężane jest do języka i, jak mi powiedziano, najpopularniejszym jest angielski. Niektórzy z petentów, jak wynika z wypełnianych przez nich kwestionariuszy, mają wykształcenie uniwersyteckie. W ich przypadku, mimo obietnicy wykształcenia, uniwersytety nadały im jedynie odznaczenia. Kto wie, może wykładowcy nie mogli, ze względu na nadmiar materiału, udzielić lekcji o podstawowej różnicy między tym, co zapewnia nam natura, a tym, co sami musimy zrobić tak dla siebie, jak i dla innych: o podstawowej różnicy między naturą a kulturą.

Jeden z greckich mitów opowiada o kobiecie imieniem Semele. Zakochany w niej Zeus obiecał spełnić każde jej życzenie. Zapragnęła poznać swojego kochanka w jego prawdziwym objawieniu. Mimo iż Zeus prosił ją, aby zmieniła zdanie, Semele trzymała się swego. Zeus ustąpił, zjawił się przed nią jasny jak piorun, który ją osłepił i zmienił w skwarek.

Widocznie wielu z nas ma problem z akceptacją czystego człowieczeństwa innych ludzi, przywiązując większą wagę do zakładanych masek nawet wtedy, gdy klasyfikujemy siebie i ich w najbardziej bezbronnej, nagiej, kruchej formie pojedynczej pary męskich i żeńskich komórek rozrodczych.

Wiedza moich mistrzów niedostępna innym ludziom, zgromadzona jest w ich umysłach i w ich kulturze, nie w genach. Gdy ich kultura wymiera, zgroma-

dzona przez nich wiedza również zanika, bez względu na to, ile dzieci spłodzą, jak suto je nakarmią i czy zagwarantują im prawa wyborcze.

V

Przyjrzyjmy się raz jeszcze mapie Kanady.

Literacka mapa kraju byłaby przede wszystkim wielowarstwową mapą języków. W podstawowej warstwie nie odnotowano by obecności angielskiego czy francuskiego. Gdy Jacques Cartier zszedł na ląd stały, mówiono tutaj co najmniej sześćdziesięcioma pięcioma, jeśli nie osiemdziesięcioma językami, należącymi do przynajmniej dziesięciu różnorodnych lingwistycznych grup. Każdy z tych języków miał własną historię i stworzył własną literaturę. Studia nad literaturą kanadyjską muszą zacząć się od tych języków, a przynajmniej od tego, co z nich pozostało. Stąd pytanie: co z nich pozostało?

Skarcono mnie kilkakrotnie za frazę: *Haida holocaust*. Uważam tę frazę za adekwatną. Naród Haida stracił ponad 90 procent populacji w przeciągu niecałych stu lat. Na terenie wyspy Haida Gwaii temat epidemii dokonujących spustoszenia jest nadal, co zrozumiałe, bardzo drażliwy. Sugestia, że inni też tyle wycierpieli – nawet odwoływanie się do losu Żydów – może wywołać obrazę. A przecież nie jest to pojedynczy przypadek. W 1492 roku populacja terenów znanych jako USA i Kanada wynosiła około dziesięciu milionów. Przed rokiem 1900, według badań statystycznych, rdzenna ludność tego samego ogromnego obszaru ziemi zmalała do pół miliona. Zdziesiątkowanie jest zbyt delikatnym określeniem. Podczas gdy populacja kolonizatorów szybko wzrastała na obu terytoriach, rdzenne ludy zmniejszyły się prawie trzydziestokrotnie. Zarazy – ospa, odra, cholera, błonica, szkarlatyna – odpowiedzialne w dużej mierze za wyludnienie, były wspomagane przez ustawiczne wysiedlenia, przymusowe przesiedlenia, systematyczną de-edukację, niszczenie zasobów naturalnych na masową skalę, co owocowało często głodem. Prowadzono wojnę i mało ważne jest, czy poprzedzono jej wybuch odpowiednią deklaracją. Najskuteczniejszą bronią, bez względu na intencjonalność jej użycia, była broń biologiczna.

Aż trudno uwierzyć, że mimo ogromu śmierci i zniszczeń, około pięćdziesięciu rdzennych języków jest nadal w użyciu w Kanadzie. Ich ilość maleje z każdym dniem, szybciej niż w przeszłości, mimo tego, że rdzennej ludności przybywa w szybkim tempie. Języki zanikają ze względu na presję ekonomiczną i społeczną, preferującą języki kolonizatorów. Jedną z moich nauczycielek, Ch'ónehte' Má, zmarła w Whitehorse w 1991 roku, była ostatnią osobą płynnie mówiącą w języku Tagisz. Jej wnukowie mówią po angielsku. Ta śmierć zmienia mapę.

Zapewne można wszystko, co ocalało z tej masakry, uważać za uświęconą kolekcję kości, od której należy trzymać się z daleka. A przecież opowieści i wiersze nie są kośćmi. Są tworem umysłu. Jedynym rodzajem spermy umiejącej posługiwać się mową – kobiety i mężczyźni tworzą ją w równy sposób – która zwróci się w swoim języku do każdego – kobiet i mężczyzn, Afrykańczyków, Azjatów, Europejczyków czy rdzennych Amerykanów – zainteresowanego słuchaniem.

Osobiście jestem przekonany, że te opowieści i wiersze są równie użyteczne, co piękne. Są przecież spadkiem po narodach, które wiedziały, jak współżyć z tą ziemią przez tysiące lat, nie niszcząc i nie wyjaławiając jej we właściwy nam sposób. Nie dostrzegam nigdzie nadmiaru takiej wiedzy i podobnej przezorności we współczesnym świecie.

Kto wie, może nasz rodzaj już wkrótce przyswoi sobie ponownie powszechnie kiedyś znaną wiedzę współzycia ze światem na jego warunkach. Jak na razie drzewa, rzeki, morskie ryby powtarzają los bizonów i jeśli nic nie zmieni kierunku tego ponurego marszu, podobny los czeka ludzkość.

Jeżeli rzeczywiście chcemy przyswoić sobie wiedzę współzycia ze światem, poznanie literatury rdzennych ludów Ameryki Północnej jest jednym z najlepszych i najprostszych sposobów. Jest to przecież przede wszystkim literatura oparta na ideach. Ideach wyrażonych w obrazach, a nie w abstrakcyjnym języku, zawierających gęsty i bogaty ładunek intelektualny. Fundamentalną treścią tej myśli, jej intelektualnej tradycji, jest więc między ludźmi a resztą świata. Uważam, że studia nad tą literaturą są równie niezbędne jak fizyka, leśnictwo, chemia czy oceanografia. Studia te domagają się takiej samej rzetelności jak badania w innych dziedzinach, opartej na powrocie do oryginalnych źródeł, a nie na posługiwaniu się opiniami z drugiej ręki o tym, co rdzenny twórca rzekomo miał na myśli. Większość istniejących studiów z tej dziedziny głęboko zawstydzają. Nie są niczym innym jak omówieniem lub podsumowaniem oddalonych od oryginalnych źródeł omówień i podsumowań. Niech ktoś bardziej kompetentny uzna, czy mamy tutaj do czynienia z kulturowym zawłaszczeniem. Za to na pewno mamy do czynienia z kulturowym rozwodnieniem, nie do przyjęcia przez badacza czy twórcę.

Podkreślam, że istnienie wielu źródeł rdzennych amerykańskich literatur zapewnia wystarczającą ilość materiału każdemu badaczowi zainteresowanemu dogłębnym i szczegółowym poznaniem sztuki i myśli przedkolonialnej epoki, nawet gdybyśmy mieli ograniczyć pole badań, trzymając się narzuconej przez kolonizatorów granicy między Kanadą a USA. Ilość tekstów źródłowych rejestrujących rdzenną literaturę słowa, uratowaną dzięki współpracy poetów miary Skaaya z Qquuna Qiighawaay i antropologów miary Johna Swantona, gwarantuje wypełnienie studiów dyplomowych i podyplomowych poświęconych tej dziedzinie. Oraz zapewnia wystarczająco dużo materiału do praktycznych przedsięwzięć – redakcji i wyjaśniania tekstów, proponowania interpretacji, badania faktów historycznych – dla tysięcy kandydatów do dyplomów akademickich.

VI

Trafiając na uniwersytet trzydzieści lat temu, wyobrażałem go sobie w zgodzie z jego nazwą: miejsce, w którym wszystko, co istnieje, jest równouprawnionym przedmiotem studiów, a zakres badań może swobodnie przechodzić od skali globalnej do skali mikro. Studia rozpoczynałem na wydziale nauk ścisłych, gdzie założenie uniwersalności zdawało się obowiązywać, jeśli nie w praktyce, to

przynajmniej w teorii. Kiedy przenieśliem się na humanistykę, nie dostrzegałem początkowo zmian w układach odniesień, mimo ich istnienia. Historia, filozofia, literatura i sztuki piękne należały do dziedzin w o wiele większym stopniu podporządkowanych zideologizowanym czy stroniczym przekonaniom niż chemia, biologia, czy fizyka.

W ciągu trzydziestu lat uniwersytety na pewno się zmieniły. Z jednej strony sprawiają wrażenie bardziej wylękłych i ustępliwych; z drugiej świadomie przywiązują większą wagę do kulturowej różnorodności. A przecież wystarczy przyjrzeć się liście kursów oferowanych na amerykańskich uniwersytetach z historii czy filozofii, oraz liście kursów językowych czy literaturoznawczych, aby zrozumieć, że uniwersalność uniwersytetów jest nadal planem na przyszłość.

Wykładowcy literatury i sztuk pięknych wiedzą, że wytwory wyobraźni, znajdujące się w centrum ich zainteresowań, posiadają dozę wewnętrznej odporności na wpływy zideologizowanej edukacji. Wyobraźnia nie może obejść się bez idei i faktów, będących jej głównym pożywieniem. Stanowi integralną całość, dopóki nie zniekształci jej chciwość, nienawiść lub nieuczciwość. To, co tworzy, jest prawdziwe i kompletne. Im bardziej związane z danym miejscem i jego specyfiką, tym bardziej rzeczywiste i pełniejsze. Dzieła sztuk pięknych i dzieła literackie bezustannie wystawiają na pośmiewisko sekciarskie chronologie i hierarchizacje, w których historycy próbują je upychać.

Wszystkie kultury, podobnie jak języki, są nieskończonym zbiorem możliwości, osiągniętych przy pomocy ograniczonych środków. Mamy tutaj do czynienia z możliwością transcendencji. Dopóki nie dotrzemy do tej autotranscendentnej właściwości języka, nie nauczymy się nim mówić – ponieważ nie wiemy jeszcze, jak język może mówić nami. Jeżeli nie dotrzemy do autotranscendentnej zasady dzieła sztuk pięknych, jesteśmy zaledwie turystami, niedostrzegającymi niczego poza malowniczością.

Wysłuchując pojedynczych opowieści, jesteśmy w pewien sposób turystami skazanymi na przebywanie w wycieczkowym autobusie. Pojedyncza opowieść może się rozsadzić jak drzewo – dwupciowe drzewo jak sosna czy świerk. Są też opowieści rozdzielnopłciowe, jak wierzba, którym do rozwoju potrzebna jest towarzysząca opowieść. Cały sad identycznych drzew nie jest lasem. Zwarty system opowieści przypomina matematykę i systemy naukowe. I jak las jest czymś więcej niż sumą poszczególnych części. Żywa literatura nie jest zaledwie zbiorem opowieści i mitów, ale generującym je dynamicznym systemem. Jest systemem umożliwiającym regulację i rejestrację wymian z rzeczywistością.

Odziedziczony przez nas system edukacyjny, jako część kultury mimo defektów i ograniczeń, jest zdolny do wykroczenia poza własne ograniczenia. W kulturze kultur, jaką jest uniwersytet, literatura porównawcza stała się respektowaną dziedziną badań. Kanadyjska perspektywa, głównie dzięki zasługom Northropa Frye'a, wpłynęła twórczo na rozwój tej dyscypliny. A mimo to rdzenne kanadyjskie literatury, dotyczy to również reszty kontynentu, są systematycznie pomijane. Nie

dlatego, że należą do ustnej tradycji. Oferujemy wykłady z *Odysei*, *Iliady*, *Beowulfa* i krótszych tekstów wywodzących się z ustnej tradycji. I nie dlatego, że brakuje materiału do studiów. Istnieją teksty należące do ustnej tradycji rdzennych narodów Ameryki Północnej, które, poddane weryfikacji przez naukowe jury, zostałyby uznane za dzieła literackiego geniuszu. Niestety, większość z nich została dawno temu zapisana i wydana jako teksty źródłowe do badań z etnografii i lingwistyki, a nie jako teksty poetyckie.

Dzieła sztuk plastycznych rdzennych Amerykanów kolekcjonowano i wystawiano, i jest to praktyka powszechna i dzisiaj, jako dowód egzotyczności, nie osiągnięć. Wystawiano je z kośćmi dinozaurów, skalnymi geodami czy wypchanymi bizonami. Muzea historii i kultur zarezerwowano dla dzieł zurbanizowanych Europejczyków i mieszkańców Azji lub dla tych, którzy przyjęli zasady oficjalnie praktykowanych tradycji. Literackie osiągnięcia rodzaju ludzkiego podlegają podobnej segregacji i kategoryzacji.

Ponieważ znane mi są, w nieznacznym niestety jak dotąd stopniu, artystyczne i intelektualne osiągnięcia rdzennych, amerykańskich poetów słowa mówionego, odczuwam wstyd i niepokój, wiedząc, że albo nie wpuszcza się ich za akademickie progi, albo, co gorsza, zamyka w gettach. Mało kto otrzymuje dyplom ze studiów europejskich czy azjatyckich bez opanowania języka przedmiotu w sposób przynajmniej rudymenarny. Studiujący afrykanistykę studenci są zobowiązani do opanowania któregoś z języków kontynentu. Który z uniwersytetów wymaga, aby przynajmniej doktoranci opanowali którykolwiek z rdzennych języków? W momencie pisania tego tekstu, żaden.

To prawda, że nasze uniwersytety uwzględniają twórczość Leslie Silko, Scotta Momadaya, Jamesa Welcha, Thomasa Kinga i innych pisarzy wywodzących się z rdzennych ludów, piszących powieści i wiersze po angielsku. To bardzo dobrzy pisarze, których książki darzę dużą estymą. Niemniej nie oszukujmy się, że wykładając o tych pisarzach, wypełniamy uniwersytecki obowiązek przedstawiania rdzennej literatury, sztuki i dorobku intelektualnego północnoamerykańskiego kontynentu. Ucząc greckiej literatury nie ograniczamy się do greckich powieści pisanych przez Greków po angielsku.

To prawda, że zapraszamy rdzennych recytatorów mitów do szkół. Zwróćmy jednak uwagę na fakt, że częściej zapraszamy tych, którzy są autorami opublikowanych książek i że zazwyczaj zachęcamy ich do mówienia po angielsku lub francusku. Moim zdaniem, byłoby lepiej, gdybyśmy za każdym razem przystawali na opowieść w rdzennym języku w towarzystwie, gdy istnieje taka konieczność, tłumacza – przecież wszystko, co szkoły i uniwersytety mogą zrobić w celu zwiększenia praktycznej wartości i gotowości do poznawania rdzennych języków, ma pozytywną wartość. Na wyspie Haida Gwaii kobiety i mężczyźni uczą się sztuki snycerskiej. Najlepsi spośród nich mogą zapewnić sobie dostatnie życie, pracując dłutem w obrębie rdzennych tradycji narodu Haida. Posługiwanie się językiem Haida nie przynosi równomiernych korzyści. Nie staje się gwarantem dobrze opłacanego zatrudnienia.

A poezja Haida, podobnie jak angielska poezja, nie jest wysoko cenionym produktem na współczesnym rynku.

Jakie ma to znaczenie? A takie, że język jest formą życia, podobnie jak fauna i flora. Wymierając, przepada na zawsze. A z wymarciem każdego języka, kurczy się intelektualny dorobek rodzaju ludzkiego. Obszerny, niejednorodny mózg, do rozwoju którego przyczyniamy się we właściwy każdemu z nas sposób i od którego jesteśmy uzależnieni, traci część siebie, na zawsze i nie do odzyskania.

Powszechnie wiadomo, że języki, podobnie jak rośliny czy niektóre gatunki zwierząt, wymierają bezustannie. A przecież w zdrowym lesie, jeziorze, oceanie, stepie, ma również miejsce bezustanny wzrost. W zdrowym środowisku długoterminowe zmiany i sezonowe wariacje zachodzą bezustannie, co nie oznacza, że ilość gatunków, całościowe globalne bogactwo puli genowej (biomasa) jest zabezpieczone przed nagłą i nieodwracalną zapaścią. W globalnym lesie języka obserwujemy trwający od ponad trzystu lat gwałtowny ubytek. Liczba żywych języków bezustannie maleje. Podobnie intelektualna pula genowa – globalna składnica słów, globalna składnica gramatyk i globalna składnica opowieści. Nie będę się wypowiadał na temat intelektualnej biomasy (puli genowej). Moglibyśmy ją zmierzyć jako totalną ilość opowieści snutych w ciągu danego roku, z poprawkami na intensywność, długość, stopień skomplikowania i ekologiczną uważność. Bez uwzględnienia tych poprawek mamy zapewne do czynienia ze wzrostem charakterystycznym dla drzewek bożonarodzeniowych czy produkcji białego chleba w kromkach.

Opowieść jest, w pewnym zakresie, zbiorem intelektualnych chromosomów. Za każdym razem w trakcie snucia lub wysłuchiwania opowieści ma miejsce coś w rodzaju aktu zapłodnienia. Skuteczne trwanie i odnowa nie mogą być zapewnione tylko przez zapłodnienie. Brzemienność, poród, wychowanie i rozwój współtworzą cały ten życiodajny proces. Gromadzenie wiedzy jest częścią rozwoju, nie tyle osiągniętego indywidualnie, ale przy aktywnym uczestnictwie otoczenia w najszerszym tego słowa znaczeniu. Podobne współuczestnictwo potrzebne jest opowieściom.

Przekład jest oczywiście przeszkodą. Można ją jednak pokonać, czego nie da się powiedzieć o zamalowanej ścianie parafrazy czy nagiej ścianie milczenia i odrzucenia. Trud i satysfakcja związane z pokonywaniem tej przeszkody powinny być upowszechniane na możliwie najszerszą skalę. Ale odpowiedzialność za ten trud nie powinna spoczywać na barkach opowiadaczy.

Opowiadacze mitów dzielą się swoimi opowieściami ze słuchaczami. Opowiadają je również sobie samym. Trudno dokonać tego w obcym języku. Domagając się recytacji tłumaczenia, a nie oryginału, stawiamy opowiadacza w sytuacji mówienia do słuchacza, z wykluczeniem siebie samego. Czegoś w tej sytuacji brakuje.

Nie postuluję tutaj zakładania kolejnych katedr oddających się studiom nad rdzennymi tematami, wystarczą te istniejące już na wielu północnoamerykańskich uniwersytetach. Sugeruję, że do prowadzenia badań nad literaturą Kanady czy USA, studiów z historii, filozofii i sztuki w uczciwy sposób, przynajmniej część pracowników tych fakultetów powinna opanować rdzenne języki. Poszczególni naukowcy

sami zdecydują, czy przedmiotem studiów badań będą dzieła kolonizatorów, cały postkolonialny okres, czy twórczość wybranego kolonialnego pisarza. Natomiast gdy cała profesja automatycznie dokonuje tego wyboru – nie poświęcając odmiennej opcji nawet przelotnej myśli – mamy wtedy do czynienia ze wznoszeniem i pielęgnowaniem językowej przegrody, równie trudnej i niebezpiecznej do pokonania, jak przegroda koloru skóry, której wpływ na historię kolonizacji znamy lub przynajmniej powinniśmy znać.

Niektórzy badacze utrzymują, że Kanada jest mianem społecznego trudu, pozbawionego znaczenia aż do momentu realizacji konfederacyjnego marzenia. Z drugiej strony, kanadyjscy pisarze i krytycy literatury twierdzą od lat jednym zgodnym głosem, że kanadyjska literatura reprezentuje ziemię, że jej lojalność związana jest z miejscem. Gdyby rzeczywiście tak miało być, czy nie wynika z tego, że nasza literatura, jak i historia jej opisu, musi zaczynać się od głosów, które zabrzmiały tutaj najwcześniej, zabierają głos najdłużej i zdają się najlepiej pojmować najgłębsze słoje tej ziemi? Akceptacja logiki takiego myślenia byłaby niewygodna. Wykładowcy literatury, szkolni nauczyciele, bibliotekarze i redaktorzy gazet, dumni z orientowania się w bieżących sprawach, musieliby nagle wrócić do szkolnych ławek, aby nauczyć się podstaw formułowania zdań w haida, odzibwa czy czipewjan.

Stany Zjednoczone są bez wątpienia ludzkim tworem. Sama nazwa na to wskazuje. A przecież Ameryka, Kanada, podobnie jak Francja, Irlandia czy Tybet mogłyby być nazwą miejsca na mapie. Kanadyjczykiem byłby wtedy każdy przywiązany do miejsca o tej nazwie. (Angielski zmusza nas do nazywania wszystkich obywateli USA Amerykanami, podczas gdy hiszpański rozróżnia między *americano* i *estadounidense* [„stanozjednoczeniec” – dopisek tłumacza R.S.] – często użyteczne i nieuniknione rozróżnienie).

Kanada jest krajem przeobrażonym przez emigrację. Nawet ja jestem tutaj emigrantem. Mimo to nie żyjemy w kraju powstałym z niczego w 1867 czy 1534 roku. Stanów Zjednoczonych też tak nie wymyślono w 1776 czy 1492. Zarówno język, jak literatura są tego świadome. Wystarczy je spytać, żeby odpowiedziały. Język i literatura są uniwersalne, równie naturalne w naszym przypadku, jak upierzenie u ptaków. Rozwijamy je i rozbudowujemy, ale przecież, jak twierdził Arystoteles, poetyka jest zasłużenie częścią biologii. Ani literatura, ani język nie są stuprocentowym tworem człowieka. Podobnie ma się sprawa z państwami.

VII

Polifoniczna muzyka to wiele głosów śpiewających lub grających jednocześnie. Czasem wyrażają podobne treści na wiele różnych sposobów, czasem nawet wzajemnie sobie przeczą. Każdy z głosów ma swoją linię melodyczną, swoją jednorazową ścieżkę przez muzyczny krajobraz. Może zabrzmieć dysonans, użyty specjalnie, zazwyczaj w nietrwały sposób. Niektóre z głosów mogą mieć więcej do powiedzenia niż inne; nigdy jednak pojedynczy głos nie może zdominować całości. Szekspir może nam przedstawić dwie lub trzy historie naraz. Niektórzy z pozna-

nych przeze mnie poetów słowa mówionego mogą zrobić to samo. Polifonia nie jest wyłącznym europejskim osiągnięciem ani w literaturze, ani w muzyce. Coś, co przypomina wizualną polifonię – jednoczesność różnorodnych wizualnych indywidualności – jest tak częste w rzeźbach narodu Haida, że aż ociera się o rutynę.

Ponieważ od lat trzymam się we własnej twórczości zasad strukturalnej polifonii, sugestii, że całość kanadyjskiej literatury i intelektualnej historii powinna zaakceptować ten wzór, może wydać się cokolwiek egocentryczna. Ale przecież nie jestem właścicielem polifonicznego patentu. Motet ma pewne właściwości lasu: prężną, giętką, zwartą i samokontrolującą się formę, z miejscem dla wielu głosów. W najwcześniejszym okresie swego istnienia był jedną z tych form muzycznych, które swobodnie przekraczały granicę między barwnymi pogańskimi kulturami i kościołem.

Emigranci w Kanadzie od zawsze opowiadają różnorodne historie. Gwałtowne fale kolonialnych migracji poprzedzających współczesność wyniosły jedną opowieść ponad wszystkie inne, powtarzając ją każdego dnia lub cotygodniowo przez cały rok. Stworzenie, rajski ogród, poznanie wiedzy, upadek, zbawienie przez torturę, śmierć, zmartwychwstanie oraz akt końcowy: sąd ostateczny.

Pogańskie mity całego świata mają jedną wspólną cechę: ludzie, jako gatunek, nie są winni. Ani nie są perfekcyjni, ani nie czeka ich sąd ostateczny. Śmierć, powstanie z martwych lub reinkarnacja są obecne, mając miejsce co dzień: miłość fizyczna, macierzyństwo, snucie opowieści, zabijanie zwierząt, pożywanie się ich mięsem, ubieranie w ich sierść i pozostawianie wystarczającej ilości zwierząt, ryb i drzew, aby nie zabrakło ich za rok, rok później, rok po roku. Uważam, że immanentnym przesłaniem tych historii jest przekonanie, że musimy spożywać owoc z drzewa poznania, niewielką porcję każdego dnia, że wolno nam jeść, ale nie wolno nam ściąć drzewa i sprzedać ziemi, z której wyrasta.

Pojedyncza opowieść to za mało. Pojedyncza historia to za mało. Jedna literatura w takim kraju jak Kanada nie wystarczy. Dwie też nie. A przecież rzeczywistość, z którą mam kontakt przez ekran telewizora czy zakupy w supermarkecie, nie wypracowała narzędzi współistnienia z wieloma opowieściami, poza redukcją wszystkiego do roli towaru. Redukcja odrywa opowieść od jej gleby i odseparowuje ją od nas. Pieniądz, w wąskim sensie naszego pojmowania, jest specyficznym tworem jednej z form istnienia. Potrzebna jest nam inna waluta, waluta, którą mogłyby zaakceptować inne żywe stworzenia, z którymi współżyjemy na planecie Ziemia.

VIII

Jan Zwicky podczas lektury wersji mojego tekstu postawiła bardzo ważne pytanie. Wyobrażając sobie kanadyjską literaturę w ramach postulowanej przeze mnie polifoniczności i wielokulturowości, jako jednocześnie rdzenną, kolonialną i postkolonialną, będziemy mieli do czynienia z twórczością pełną wewnętrznych pęknięć. Które, pytała Jan, z istniejących literatur na świecie doświadczyły równie dramatycznych pęknięć?

Wydaje mi się, że gdybyśmy odeszli od przyjętych za prawomocne metod literackich studiów, aby podjąć się trudu inteligentnego czytania literatury, odpowiedź brzmiałaby: przynajmniej kilka. Literatury wszystkich Ameryk, Australii i Nowej Zelandii na pewno należą do tego grona. Literatury Afryki, Oceanii, także Syberii i Tybetu, Indonezji i Filipin również. Nakreślona właśnie mapa, droga Jan, już pokrywa znaczną część globu.

A gdybyśmy przyjrzeni się dokładniej sławnym i uznanym tradycjom literackim imperialnej Europy i Azji? Czy w greckiej lub łacińskiej tradycji skrywa się podobne epokowe pęknięcie? Istnieją przesłanki, że takie rozdarcie miało miejsce, nawet jeżeli nie możemy się już z nim zetknąć twarzą w twarz. Mamy jedynie do dyspozycji językowy osad, w rodzaju drobnego odkrycia, że *thálassa*, grecki wyraz nazywający morze, nie jest pochodzenia greckiego. Greka była językiem wnętrza kraju, przeniesionym na wybrzeże przez najeźdźców. Nie do końca rozumiemy wynikającą stąd sprzeczność, nie znając przykładów literatury greckiej sprzed najazdu, i nie mając dostępu do literatury najeźdźców z okresu przedinwazyjnego. Dostrzegamy polifoniczny ślad na przykład w bogatym politeizmie Homera i Hezjoda, ale wszystko w pojedynczym greckim języku i znanej nam jednorodnej, greckiej literaturze.

W literaturze Wielkiej Brytanii to epokowe rozdarcie jest oczywiste dla zajmujących się walijską czy szkocką odmianą języka celtyckiego. Literatura Hiszpanii, poza hiszpańskim posiada również elementy baskijskie, katalońskie, celtyckie, żydowskie i arabskie. Literatura włoska obejmowała elementy języka etruskiego oraz wielu innych, obecnie całkowicie zanikłych. Literatura kraju skodyfikowanego pod nazwą Rosja zawiera w sobie literaturę słowa Buriatów, Czukczów, Komiaków, Tatarów, Tuwińców oraz wielu innych narodów posługujących się językami nienależącymi nie tylko do słowiańskich, ale i do indoeuropejskich rodzin. Literatura Japonii, z epicką warstwą tradycji Ainu, reprezentowanej przez kroniki japońskie – *Kojiki*, czyli *księgę dawnych wydarzeń* oraz *Nihon-shoki*, a także warstwą liryki i prozy pod silnym wpływem tradycji chińskiej, jest jeszcze jednym przykładem głęboko powiązanych ze sobą tradycji.

Nawet w Chinach, po mileniach trwałej, często brutalnej, nigdy do końca udanej próby zaprowadzenia centralnej kontroli, można wyróżnić wiele przypadków różnorodności. Wersja oficjalna utwierdza nas w przekonaniu, że chiński jest jednym językiem z regionalnymi dialektami. W rzeczywistości, co gorliwie potwierdzi lingwista z prawdziwego zdarzenia, chiński jest zbiorem co najmniej ośmiu różnych dynamicznych języków. Wielu specjalistów uważa, że aż trzynastu. Obok mandaryńskiego (języka stolicy), istnieje *wú* (powszechnie używany w Zhejiang i Jiangsu leżących w środkowej części wschodniego wybrzeża Chin), *yuè* (standardowy język kantoński z Guangzhou), północny *min* (główny język Fujian), południowy *min* (najczęściej słyszany język w Tajwanie), *gàn* (używany w Jiangxi), *xiang* (używany w Hunan), *hakka* (używany w Guangdong). Jednocześnie, zarówno na tajwańskiej wyspie, jak i chińskim lądzie stałym istnieje kolejny tuzin rdzennych języków

i literatur, które, chociaż geograficznie związane z Chinami, lingwistycznie i historycznie przynależą gdzie indziej. Jeden z nich, język Tybetu, posiada długą i bogatą tradycję piśmienniczą oraz liczącą się tradycję literatury ustnej. Istnieją też inne tradycje posługujące się własnym pismem oraz większa ich liczba obywateli się bez niego. Nawet jeżeli niewidoczne, są to jednak literatury, które istnieją.

Pismo chińskie w przeważającym zakresie składa się z symboli reprezentujących bardziej znaczenie niż dźwięk. Występujące w nim fonetyczne składniki są w większości archaiczne, a zatem nieprecyzyjne nawet w przypadku klasycznej chińszczyzny. Mimo że nauka pisania po chińsku jest o wiele trudniejsza niż po angielsku, tybetańsku czy arabsku, pismo to ma szersze zastosowanie. Majmonides mógł pisać po hebrajsku, posługując się arabskim alfabetem, niemniej taki zapis hebrajskiego może zostać odczytany tylko w ramach hebrajskiego, podobnie jak angielski w skrypcie łacińskim może zostać odczytany jedynie w którejś z wersji angielskiego. Jedynym, na co może pozwolić czytelnik w takim przypadku, czytając na głos Szekspira czy Yeatsa, byłoby nagłośnienie różnic regionalnych. Natomiast tekst zapisany w języku mandaryńskim może zostać przeczytany w języku *wú* lub *yuè*, jak również po japońsku, wietnamsku czy koreańsku. Po przebicciu się przez zasłonę chińskiego skryptu (podobnie jest zresztą ze sformalizowaną grą sceniczną, jak w przypadku chińskiej opery) i znalezieniu się w świecie opowiadacza, odkrywa się ponownie ogromną różnorodność i bogactwo regionalnych wariantów. Jednorodność chińskiego pisma zdaje się w żaden sposób nie ograniczać tego bogactwa. Ogranicza je natomiast techniczna i gospodarcza homogenizacja, jak również bezustannie ujednoczane kształcenie, w końcu konformistyczna polityka.

Może wewnętrznie harmonijne, czyste literatury należą do rzadkości, na swój sposób absurdalnej. Może są spadkiem po kilku wielkich imperiach, szczególnie zwycięskich w swoich ujednoczających przedsięwzięciach. A może nie są niczym innym niż mrzonkami wyobraźni: zrównanymi z ziemią wersjami kulturowych przeszłości, przesłaniającymi znacznie piękniejsze i ciekawsze kultury. Moim zdaniem, literatura kuli ziemskiej jest jak hologram. Ten wielowarstwowy, wieloaspektowy model pojawia się lokalnie prawie wszędzie. A Chiny nie są jedynym miejscem na mapie, gdzie różnorodność i bogactwo literatury są poważnie zagrożone.

OPOWIEŚĆ O PRZEMILCZANEJ LITERATURZE AMERYKI PÓŁNOCNEJ*

I

Ponieważ w dniu śmierci Ganeta Sedgwicka byłem zaledwie dwulatkiem, nigdy go nie spotkałem. Wiedzę o nim czerpię z jego pism, do których przez całe

* Źródło przekładu: R. Bringurst, *Native American Oral Literature and the Unity of the Humanities* [w:] tegoż, *The Tree of Meaning. Thirteen Talks*, Gaspareau Press, Kentville 2006, s. 64–79.

swoje życie przykładał mniejszą wagę niż do nauczania. Jego teksty wyróżniają się inteligentną fascynacją tematem, uważnym szacunkiem okazywanym czytelnikowi, w końcu sowizdrzalskim zachwytem nad możliwościami języka. Wyobrażam sobie, że był też takim pedagogiem. Uważam też, że najtrafniejszym sposobem uczenia nauczyciela jest wzbogacenie przedmiotu, który wykładał. W domenie literatury możemy się do tego przyczynić pisząc dobre książki i układając ciekawe historie, opanowując sztukę czytania istniejących tekstów i sztukę wsłuchiwania się w istniejące opowieści, zwłaszcza te, których wartość została przeoczoną lub zanegowaną.

My, mieszkańcy Ameryki Północnej, nie mamy do czynienia z przypadkowym przeoczeniem, dotyczącym kilku zapomnianych lub zanegowanych tradycji. Na tym kontynencie istnieją setki ważnych rdzennych literatur, nadal czekających na swoich odkrywców.

W przypadku sztuk pięknych zarówno waga, jak i bogactwo rdzennych amerykańskich osiągnięć nie jest już sekretem. Większość zwiedzających Muzeum Antropologiczne przy Uniwersytecie Brytyjskiej Kolumbii zdaje sobie sprawę z przebywania na terenie najważniejszego muzeum sztuki w tej części kraju. Są i tacy, którzy uważają, że fakt wystawienia tysięcy prac artystów rdzennych narodów i jednego tylko obrazu pędzla znakomitego emigracyjnego malarza Jacka Shadbolta stwarza coś w rodzaju statystycznie zrównoważonej dawki historii kanadyjskiej sztuki.

Natomiast tylko nieliczni zdają sobie sprawę ze znaczenia korespondującej ze sztukami pięknymi tradycji literackiej. Literatura jest niewidzialna. Nie nadaje się do muzealnej prezentacji turystom – a przecież niejedyn z mieszkańców Ameryki Północnej zdaje się być turystą we własnym kraju. Większość populacji USA i Kanady – wliczając pisarzy, czytelników i znaczną część wykładowców literatury – nie ma pojęcia o podstawowych literackich dokonaniach kontynentu, który zamieszkują.

Najboleśniejsze z faktów można wyrazić przy pomocy liczb. Według ostrożnych i konserwatywnych obliczeń tereny Ameryki Północnej na północ od Rio Grande – znane dzisiaj jako USA i Kanada – pod koniec XV stulecia zamieszkiwało od siedmiu do dziesięciu milionów ludzi. Milion do dwóch żyło na terenach współczesnej Kanady. Ta liczba mogła być większa i jest mało prawdopodobne, aby była mniejsza. Pod koniec wieku XIX, o ile można polegać na danych spisu powszechnego, liczbę rdzennych mieszkańców Kanady szacowano na sto tysięcy, USA na dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Wnioski nasuwają się same: na przestrzeni czterech stuleci kolonialna społeczność Północnej Ameryki wzrosła od zera do kilku milionów, podczas gdy liczba rdzennych mieszkańców zmniejszyła się o przeszło 95 procent.

Nie jest moim zamiarem mnożenie dywagacji na temat okrutnego w swojej naturze dociekania, kogo w dziejach ludzkości dotknęły najokropniejsze cierpienia i komu należy się ten tytuł. Zgłaszam prosty wniosek – jedno Muzeum Zagłady nie wystarczy. Ustna literacka tradycja Ameryki Północnej ofituje w dramatyczne i narracyjne subtelności, bogatą metaforykę i znakomity dowcip. Jej historia, podobnie

jak historia literatury w jidisz czy hebrajskim, jak historia wielu literackich tradycji Afryki, nasycona jest cierpieniem. Nie bez przyczyny miejsce centralne w irokeskiej literaturze XVIII i XIX wieku zajmował Rytuał Żaloby. I nie bez przyczyny budzący podziw narracyjny gest otwierający wspaniałe zachowane dzieło ustnej tradycji narodu Haida zawiera obietnicę niewyczerpywalnego dobrobytu, zapewnionego przez wzajemną opiekę ludzi i morskich stworów, aby po mniej więcej tysiąc siedmiuset wersetach zanegować ją wizją masowej katastrofy spowodowanej przez nieznaną chorobę, wspieranych przez mieszkającego w niebie starca. Warstwa językowa opowieści oraz jej strukturalne właściwości są w stu procentach tworem wyobraźni rdzennych autorów, podczas gdy okrucieństwo zakończenia jest najprawdopodobniej spadkiem po kolonizatorach. Autorem poematu – będącego przykładem narracyjnej pieśni o kunsztownie złożonej konstrukcji, niezwykle pięknej i przejmująco smutnej – jest Skaay z Qquunq Qiighawaay. Skaay był jednym z nielicznych, którzy nie padli ofiarą epidemii ospy i odry, które wybuchły w XIX wieku na wyspie Haida Gwaii. W roku 1880 w osadach Haida-Qquunq, Hlkkayaa, Qqaadaasghu i Tanuu, żyło prawie tysiąc osób. W 1897, gdy ostatni ocalańcy przenieśli się do Skidegate, było ich sześćdziesięciu ośmiu.

Cztery lata temu na terenie współczesnych Stanów Zjednoczonych i Kanady mówiono w około trzystu rdzennych językach. Do roku 1900 ich liczba zmniejszyła się o jedną trzecią. Współcześnie pozostała z nich faktycznie połowa, około stu siedemdziesięciu. Jednocześnie liczba płynnie posługujących się nimi użytkowników, z kilkoma wyjątkami, zmniejszyła się o jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent i nadal maleje. Z trzystu rdzennych języków dzieci używają nie więcej niż trzydziestu.

Życie umysłowe nie jest zaledwie trafną i twórczą metaforą; jest, może nieuchwytnym, niemniej faktem. Umysł, podobnie jak bór, nie może istnieć bez współtworzącego i wielopostaciowego środowiska. Poszczególne życie jest jak najbardziej poszczególnym, ale bez innych żyjących stworzeń nie może być mowy o życiu jednostkowym. Ta prawda dotyczy pojedynczej osoby, całego gatunku, w końcu także odnosi się do umysłu. Odnosi się również w specyficznie zmodyfikowanej wersji do języków i lasów. Lasy i języki, w odróżnieniu od nas, po to są różnicowane, aby móc się rozwijać i ewoluować. Co oczywiście nie oznacza, że możemy się ich ot tak po prostu pozbywać. Jeden, nawet najbogatszy język, jak jedno najdorodniejsze drzewo – nie wystarczy. Zdrowy las potrzebuje znacznie więcej niż kilku drzew; podobnie zaledwie kilka języków nie przyczyni się do powstania i rozwoju życia umysłowego.

Na język składa się grupa symboli, zasady gramatyki i środki przekazu. Do tych ostatnich należy oddech, jak również pełna ciszy dłoń. W przypadku języka migowego środkiem przekazu jest gest, wyraz twarzy, dynamika ramion. Dla większości pozostałych języków środkiem przekazu jest dźwięk – ustny, krtaniowy, nosowy. Symbole, wędrując przez właściwy mu środek przekazu, napotykać nieznaczny opór, efektem czego, o ile na drodze nie stają skomplikowane okoliczności, jest załócenie, mające cechy piękna – cecha właściwa wszystkim naturalnym procesom.

Ludzie zostali stworzeni tak, aby zachwycać się funkcjonowaniem mowy, tak samo jak zachwycają się kwitnięciem kwiatów czy wzrostem drzewa.

Te lingwistyczne symbole, miłe dla słuchającego ucha, ładne dla patrzącego oka, tworzą łańcuchy przestrzegające i włączające zasady gramatyki. Stają się spiralami wielkich językowych protein. Ich funkcją jest nadawanie znaczeń i dlatego nazywamy je zdaniami. Z kolei zdania wiążą się w większe całości. Wiersz, również opowiadanie, są w pewnym sensie rodzajem złożonego zdania, wyższym poziomem struktury, leżącym kilka piętér nad poziomem prostej wypowiedzi. *Iliada* jest zdaniem, tyle że długim i bardzo złożonym. Podobnie *Raj utracony*. Teoretycznie rzecz biorąc, każdy kompetentny mówca, posiadający odpowiednią wiedzę i dużą dozę cierpliwości, mógłby wypowiedzieć którekolwiek z tych zdań. W praktyce, tylko jedna osoba jest w stanie sformułować takie zdanie i tylko jedna wypowiedzieć je po raz pierwszy, mimo tego, że niejeden profesjonalista ułożył zdania przypominające *Iliadę*, a wiele osób epos przeczytało, może nawet na głos.

Uważam, że w tym kontekście najpełniej rozwinięta lingwistyka staje się rozważaniem o literaturze. Rozważaniem o sytuacji, w której każda ukończona jednostka mowy związana jest z pojedynczym mówcą. Mówca jest jeden, co nie przeszkadza w pojawianiu się społecznie akceptowanych znaczeń. To właśnie z tego powodu literatura jest bardziej narażona na unicestwienie niż język. Literatura – to język, w którym autora każdej kompletnej wypowiedzi można przedstawić jako jedynekę lub zero.

Każdy zdrowy człowiek, po wyjściu z okresu niemowlęcego, mówi i wzbogaca język. Z kolei każdy zdrowy ludzki język bez wyjątku wzbogaca literaturę. Ludziom zazwyczaj trudniej jest się powstrzymać od snucia opowieści, niż zatamować łzy. Może dlatego ludzie nie poddają się nawet wtedy, gdy naturalną reakcją byłoby przyznanie się do porażki i łzy.

Znacząca część literatury jest w swojej istocie mówiona, oparta na ustnym przekazie. Znaczna część tradycji literackiej opartej na zapisie przekazu, opiera się na najstarszych utworach literackich przekazywanych ustnie. Przykładem jest i *Iliada*, i *Odyseja*, jak również *Beowulf* i staroangielski *Zeglarz*, średniowieczny germański epos rycerski *Pieśń o Nibelungach*, hiszpański epos rycerski *Poemat o Cydzie*, pradawny sanskrycki epos *Ramajana*, japońskie *Kojiki* czyli *księga dawnych wydarzeń*, chińska *Księga Pieśni Shi Jing*, staroceltycka epopeja *Tain*, czyli *uprowadzenie byków z Cooley*. Od czasu do czasu uśmiecha się lub przynajmniej zakładamy, że uśmiecha się do nas szczęście, dzięki czemu znamy imię autora – Homer, Hieda no Are, Valmiki. Częściej autor jest całkowitą enigmą. Ta bezimienność nie jest przywarą ustnej tradycji. Jest oznaką pychy literatury pisanej – przypomnieniem, że raz po razie literatura słowa pisanego wchłonęła w siebie wszystko, co miała do zaoferowania ustna tradycja, aby, pokazawszy jej plecy, pójść w swoją stronę. Tam, gdzie ustna tradycja jest nadal żywa, gawędziarze, wajdeloci, poeci, nie inaczej niż ich pobratymcy po piórze, noszą konkretne imiona. Poeci ustnej tradycji, podobnie jak poeci pióra, to konkretne osoby, posługujące się kon-

kretnym stylem, o konkretnych upodobaniach, zdolnościach, zainteresowaniach. Jakiego nieznanego imienia by nie byli, są tak od siebie różni, że jeden nie mógłby zastąpić drugiego.

Technologizacja mowy – przy pomocy radia, telewizji, megafonu, komputera czy wcześniej, przy pomocy alfabetu i druku – ogranicza zasięg ustnej tradycji w ten sam sposób, w jaki mechanizacja przemieszczania się w przestrzeni redukuje gotowość ludzi do pokonywania odległości na piechotę i doświadczania przyjemności pieszej wędrówki. Co nie znaczy, że w ogóle przestajemy chodzić tylko dlatego, że mamy dostęp do bryczki czy limuzyny. Nadal tańczymy. Mówimy, mimo iż istnieją drukarnie. Ich upowszechnienie nie oznacza końca mowy. Ani nie stawia kresu ustnej tradycji. Natomiast, w miarę upływu czasu, sięga kresu możliwość powstawania wielkich dzieł ustnej literatury – *Iliad*, *Odysei*, czy *Opowieści o Fionnie* z cyklu fenińskiego. Technologizacja języka oznacza zanik okoliczności sprzyjających powstawaniu takich dzieł, ich odbioru i nadawania należnego im znaczenia.

Ustna poezja, poezja słowa mówionego, nadal żyje w wielu punktach świata, włącznie z Ameryką Północną. Żyła również w Bośni do wydarzeń ostatniej wojny. Jeżeli rzeczywiście przypadła, o czym zdają się świadczyć wszystkie dostępne nam fakty, straciliśmy ostatnią nieprzerwaną pozostałość po homeryckiej tradycji epickiej. Jest to prawdopodobnie strata większa niż zniszczenie wszystkich budynków, wszystkich mostów, wszystkich obrazów, kościołów, wszelkich materialnych struktur zmiecionych z powierzchni ziemi w ciągnących się od ponad dwóch tysięcy lat europejskich wojnach. A mimo to, o ile się nie mylę, śmierć bośniackich bardów, w przeważającej części muzułmanów, nigdy nie stała się tematem biuletynów informacyjnych w Ameryce Północnej, donoszących o oblężeniu Sarajewa i długotrwałej metodycznej rzezi w okolicach miasta. Ustna tradycja nie generuje dochodów, nie należy do domeny polityki czy sfery przepychu, a przecież potrafi zawrzeć w sobie ogromną dawkę związanej z głębą mądrości, którą w epoce wojny przemysłowej i rekreacyjnego ludobójstwa bardzo łatwo unicestwić.

Spisując ustne opowieści, literaci często ingerują w treść, poddając ją redakcji i zmianom. Osoby niemające kontaktu z ustną tradycją często ulegają przekonaniu, że ustna poezja, aby mogła osiągnąć status godnej uwagi literatury, musi zostać przeredagowana, ukończona, literacko wyszlifowana. Trudno o bardziej mylące założenie. Technologia przekazu nie jest gwarantem jakości. Podobnie jak istnieją niewyszukane i niezdarne przejawy ustnej twórczości, istnieją niewyszukane i niedołążne teksty. A jednocześnie mamy wiele przykładów czystej, ustnej poezji równie wyszukanej, złożonej, wyrafinowanej, doskonałej jak dzieła wielkich twórców słowa pisanego: Dantego, Szekspira, Sofoklesa, Lorki, Flauberta, Rushdiego. Najlepsi wśród poetów i pisarzy częściej wywodzą się spośród tych twórców, którym bliżej jest do ustnej tradycji, niż spośród tych, którzy się od niej oddalili. To ustna tradycja częściej poddaje próbie i korekcie znakomitą literaturę niż odwrotnie.

II

W Meksyku ponad tysiąc lat temu podjęto pierwsze próby utrwalenia opowieści przy pomocy piktogramów. Przywieziony przez Europejczyków alfabet został użyty w tym samym celu w czterdziestych latach XVI stulecia. I mimo tego, że tradycyjna literatura była i nadal w pewnym stopniu pozostaje ustną, istnieją teksty pochodzące z centralnego Meksyku równie dawne jak wiersze Thomasa Wyatta czy Ronsarda.

W Ameryce Północnej istnieją najwcześniejsze teksty zapisane w rdzennych językach z roku 1595, wszystkie jednak są przykładami religijnej propagandy: katechizmy, modlitewniki, itp. Są to przykłady narzędzi kulturowej agresji, w odróżnieniu od narzędzi obronnych – zasadnicza różnica w literaturze.

Agresja prowokowała obronę, czasem przy pomocy tych samych środków. Według irokeskich, ustnych przekazów rdzenne teksty w języku Mohawk i Onongaga powstały już w 1750 roku. Były to manuskrypty, którym przypadł los wszystkich manuskryptów przepadających w pożogach czy pandemiach. Cała nasza wiedza o wczesnej literaturze rdzennych narodów oparta jest na ustnej tradycji. Zaczęto więc zapisywać teksty poetyckie. Z zasady sprawnie działające ustne tradycje nie potrzebują i nie pożądamy pisma. Za przykład może posłużyć społeczność głuchoniemych w Ameryce Północnej. Głuchoniemi tworzą literacką społeczność, czytając i pisząc po angielsku, francusku, hiszpańsku czy w jakimkolwiek innym języku, ale jednoczy ich ustny, precyzyjniej – manualny język gestów, amerykański język migowy. Kilka lat temu zespół z Salt Institut opracował znakomity skrypt języka migowego. Większość biegłych użytkowników zareagowała na ten fakt bardzo krytycznie, kierując się przekonaniem o wadze i mocy kultury słowa niepisanego. Podobne reakcje można zaobserwować wśród wykształconych użytkowników wielu dialektów – na przykład socjolektu Joula robotniczych warstw społecznych w prowincji Quebec, czy dialektu mediolańskiego. Wśród wielu rdzennych narodów pismo traktowane jest z równą niechęcią. Umiejętność pisania, uważana przez niektórych z nas za znak społecznej dominacji, jest tak naprawdę przejawem społecznej dezintegracji. Nawet najbardziej oczywiste zalety mogą mieć swoją negatywną stronę.

Europejscy lingwiści zaczęli tworzyć transkrypcje opowieści z Ameryki Północnej dopiero pod koniec XIX wieku. Rozpoczęta wtedy historia współpracy jest przede wszystkim opowieścią o szczęśliwych zbiegach okoliczności spotkań szczodrych i utalentowanych rdzennych poetów ustnej tradycji i cierpliwych, zdolnych kronikarzy. Przedstawię kilka znaczących momentów, węzłowych dla tej historii. Jak wiemy, kronika interakcji Europejczyków i rdzennych Amerykanów obfituje w obrzydliwe fakty. Spotkania, o których opowiem, mają inny charakter, a ich uczestnikami są Europejczycy, którzy nie pouczają – a uczą się. Te spotkania umożliwiły innym przedstawicielom ludzkiej rasy dalszą edukację.

III

Francuski misjonarz Émile Petitot urodził się w 1838 roku. W wieku dwudziestu kilku lat znalazł się na brzegu Great Slave Lake z Pismem Świętym w rękę. Przybył, aby nauczać, wspierać kolonizacyjny podbój, ale również aby słuchać. Zaczął uczyć się języka chipewyan u niewidomego starca o imieniu Ekuńéyel, Cariboo Louse, aby w 1863 stworzyć transkrypcje kilku opowieści swojego preceptora. W ciągu następnej dekady misjonarz opracował transkrypcje wielu opowieści w językach chipewyan, gwiczin, dogrib, slavey i kri.

W 1870 roku, w Fort Good Hope nad rzeką MacKenzie, Lizette K'atchodi, Big Rabbit Woman, zapoznała go z kilkoma pieśniami i opowieściami w należącem do grupy atapańskich języków rdzennej ludności Ameryki Północnej języku slavey. Wielka Zajęczycza była szamanką i tak jak sama nie obawiała się misjonarza, ten ze swej strony nie obawiał się jej. Najprawdopodobniej byli sobą wzajemnie zainteresowani. O ile mi wiadomo, K'atchodi była pierwszą rdzenną Kanadyjką udokumentowaną w jej własnym języku. Mimo iż opracowanym przez Petitota transkrypcjom daleko do doskonałości, zawierają one wystarczająco dużo treści, aby zapewnić Big Rabbit Woman arcyważną pozycję w historii literatury. Zaiste, nie pojmując braku zainteresowania jej twórczością ze strony historyków literatury, nieistniejącego współczesnego opracowania jej twórczości, w końcu adekwatnych tłumaczeń na angielski.

W 1886 roku, gdy Lizette K'atchodi już nie żyła, a Petitot widział spokojny żywot we Francji, Franz Boas rozpoczął pierwszy z wielu pobytów na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku. Podczas czwartej wyprawy w roku 1890 dotarł do wylotu rzeki Columbii na granicy stanów Oregon i Washington. Kierował się informacjami na temat języka czynuk, nie tyle jego pidżynowej wersji żargonu czynuk, ułatwiającej handel wymienny, ile czystego języka shaolwater [mielizna] czynuk. Zależało mu na spotkaniu z kimś, dla kogo był to język rdzenny. Kierując się radą miejscowych, udał się w górę rzeki nad zatokę Pacyfiku Willapa Bay. Poznał tam, w osadzie Nutsxwułóg, przemianowanej od tego czasu na Bay Center w stanie Washington, jednego z największych z kiedykolwiek żyjących amerykańskich poetów. Poeta nazywał się Q'elti. Urodzony w 1832 roku znał biegle cztery języki: shaolwater czynuk, którego nauczył się od ojca; kathlamet, język rodzinny matki; czehalis z grupy języków salisz, który przyswoił sobie od mówiącej nim żony; w końcu pidżynowy żargon czynuk, którym posługiwał się, podobnie jak większość mieszkańców tych obszarów, w celu podtrzymania kontaktów i prowadzenia niezbędnych do przeżycia przedsięwzięć. Ochrzczony w dorosłym wieku, jako Charles Cultee, nigdy nie mówił po angielsku.

Trzykrotnie podczas letnich miesięcy – w 1890, 1891 i 1894 roku – dyktował poematy w każdym z trzech języków, aby tłumaczyć i wyjaśniać zasady gramatyki we wspólnym mu z Boasem żargonie. Zmarły w 1897 roku Q'elti jest autorem dwóch książek: *Chinook Texts* (1894) i wydanego pośmiertnie *Kathlamet Texts* (1901). Obie należą do najwspanialszych książek kiedykolwiek wydanych w Ameryce Północnej.

Q'elti należy do najważniejszej półki amerykańskich poetów razem z Emili Dickinson, Wallace'em Stvenssem, Robinsonem Jefferssem i Sylaivą Plath. Z tą zasadniczą różnicą, że Q'elti nie pisał poezji – on poezję mówił i nie mówił jej po angielsku. Dla mieszkańca stanu Washington, dumnego ze swoich poetów, takich jak Theodore Roethke, Bill Stafford, Carolyn Kizer, Richard Hugo, David Wagoner, Q'elti pozostaje praktycznie niezany. Nie napotkałem chociażby wzmianki o nim w najobszerniejszych podręcznikach do historii literatury amerykańskiej. A przecież, aby trafić na jego grób, wystarczy spytać o drogę starszyznę osady. A przecież mamy do czynienia z poetą, dla lektury którego warto nauczyć się jego języka, tak jak chętnie uczymy się hiszpańskiego, żeby czytać Lorcę w oryginale, czy niemieckiego ze względu na Rilkego.

Nie ma już rdzennych użytkowników ani shoalwater czynuk, ani kathlamet, niemniej poeta i lingwista Dell Hymes, jeden z najlepszych znawców amerykańskiej literatury słowa, poznał te języki dogłębniej niż ktokolwiek inny. Marzę o podjętej przez niego redakcji i tłumaczeniu zebranych poematów Q'elti, dzięki czemu twórcza praca szczególnie wdzięcznego umysłu stałaby się dostępna szerszemu gronu czytelników.

Hymes nie jest pierwszym naukowcem zajmującym się twórczością Q'eltiego. Pierwszym po Boasie był John Swanton, zaczynający studia pod patronatem Boasa w roku śmierci Q'eltiego. Po obronie pracy doktorskiej na temat roli czasowników w twórczości Q'eltiego w 1900 roku Swanton znalazł się w Vancouver, skąd popłynął statkiem najpierw do Victorii, a stamtąd dalej na północ, do ujścia rzeki Skeena. W środę, 26 września dotarł do osady narodu Haida, której rdzenną nazwę Hlghagilda Europejczycy zmienili na Skidegate Mission. W niecałe dwa tygodnie później spotkał po raz pierwszy wymienionego już tutaj poetę narodu Haida o imieniu Skaay z Qquuna Qiighawaay.

Skaay zaproponował Swentonowi metodę pracy. Zapowiedział narrację cyklu, na który składało się pięć opowieści następujących po sobie według pewnego porządku, po których miał wyrecytować osobny poemat, znany jako *Xhuuya Qa-agangas, Kruk wędrujący*. Przez następne trzy tygodnie Swanton i jego pomocnik z narodu Haida, Henry Moody, słuchali codziennie przez wiele godzin, sześć dni w tygodniu recytacji Skaaya. Z trzydziestu stron codziennej transkrypcji wkrótce doszli do czterdziestu pięciu. Redagując zapisy, otrzymujemy rezultat zapowiedziany przez Skaaya – całość złożoną z pięciu części, poemat narracyjny o długości pięciu i pół tysiąca wersów. Osobny *Kruk wędrujący*, mając około tysiąca czterystu wersów, jest znacznie krótszy. Oba teksty stanowią najobszerniejsze, również moim zdaniem, najwspanialsze ocalałe przykłady literackiego kunsztu narodu Haida. Są to jednocześnie dwa najznakomitsze dzieła sztuki w którymkolwiek z kanadyjskich języków, tak rdzennych, jak zaszczepionych.

Skaay nie potrafił ani pisać, ani czytać, a jedynym znanym mu językiem był haida, może także rudymenatny tsimszian. Wiedział, że Swanton zapisuje recytacje, a ze znaków stawianych na papierze mógł przekonać się, że badacz był w stanie oddać dźwięki mowy haida. Wcześniej Skaay zetknął się z misjonarzami

posługującymi się pismem, niemniej jego własna twórczość była w stu procentach ustna. Mało który z wielkich poetów tak skutecznie oddzielił mowę od pisma.

François Mandeville urodził się około 1878 roku. Był zatem młodszy od Skaaya i Q'eltiego o jakieś pięćdziesiąt lat, a od K'atchodi o jakieś sześćdziesiąt. Jego świat też był inny – pochodził z rodziny tłumaczy z Fort Resolution na brzegu Great Slave Lake. Od dziecka posługiwał się płynnym francuskim i czipewjan. W młodym wieku przyswoił sobie angielski i rozpoczął współpracę z Hudson Bay Company. Od żony nauczył się języka dogrib. Po przenosinach do Hay River nauczył się języka slavej. Odpowiadał za kilka punktów wymiany handlowej na terytorium narodu Slavej, skąd przeprowadził się do Arctic Red River. Tam nauczył się języka gwiczyn. Kolejna zmiana miejsca związana była z przenosinami do Rae, rodzimej ziemi żony, gdzie przez następne cztery lata posługiwał się przede wszystkim językiem dogrib. Po ukończeniu współpracy z Hudson Bay Company w 1921 roku, osiadł w 1925 roku w Fort Chipewyan w północnej Albercie. Mieszkał tam aż do śmierci, z wyjątkiem roku 1940, okresu pobytu w Wood Buffalo, gdzie zapoznał się z językiem kri.

Mandeville, podobnie jak K'atchodi, Skaay i Q'elti, należał do świata mowy, niemniej około roku 1900 nauczył się czytać i pisać w czipewjan w sylabicznym systemie pisma, tak zwanych abugidach kanadyjskich, oraz po francusku w alfabecie łacińskim. Obie umiejętności przydawały się przy sporządzaniu dokumentów handlowych. Jednocześnie przez całe życie wsłuchiwał się w opowieści starszyny rodowej i przyjaciół, aby gdzieś około roku 1920 zasłynąć jako jeden z najciekawszych recytatorów mitów ziemi czipewjan.

W 1928 roku u mieszkającego w Albercie pięćdziesięcioletniego Mandeville'a zjawił się gość – Li Fang-kuei, świeżo upieczony doktorant lingwistyki ze szkoły Edwarda Sapira. Poproszony przez Li, Mandeville przystał na snucie opowieści i przez następne półtora miesiąca obaj mężczyźni współpracowali przez wiele godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Mandeville rozumiał użyteczność pisma i przygotowywał się do spotkań wieczorem poprzedzającym kolejny dzień pracy. Nie zapisywał swoich opowieści, niemniej sporządzał notatki o wybranych recytacjach, porządku narracji i epizodach, które miał zamiar uwzględnić. Wykorzystał zainteresowanie Li w taki sam sposób, jak Q'elti Boasa czy Skaay Swentona: sprawozdawców zapisujących i redagujących narrację. Mandeville wiedział, że poza całkowicie obcymi z natury tekstami religijnymi nie istniały żadne źródła pisane w czipewjan. Zdając sobie sprawę ze współtworzenia pierwszego pisanego tekstu w rdzennym języku, podszedł do zadania z godną sprawą troskliwością.

François Mandeville zmarł w 1952 roku, a Li Fang-kuei opublikował recytacje dopiero w roku 1976, prawie w pół wieku po ich wysłuchaniu. (Wszystko wskazuje na to, że gdyby nie współpraca Ronalda Scollona, który zredagował tekst i doprowadził tłumaczenie do końca, prawdopodobnie nie doszłoby do publikacji). Książkę wydano w stolicy Tajwanu Tajpej, gdzie trudno o mówiących w czipewjan, co nie zmienia faktu, że *Chipewyan Texts* to jedna z wielkich kanadyjskich książek.

Podobnie jak narracje K'atchodi, Skaayaa i Q'eltiego domaga się współczesnej redakcji i tłumaczenia, co w niczym nie umniejsza jej literackiej jakości.

Kończąc, chciałbym przedstawić Ann Nelson Harry, poetkę mówiącą w języku eyak, urodzoną w 1906, zmarłą w 1982 roku. Jej pierwszy kontakt z lingwistami datuje się na rok 1933, gdy Duńczyk Kaj Birket-Smith i Amerykanka Frederica de Laguna dotarli do miejscowości Cordova na Alasce, niedaleko ujścia Cooper River, aby przeprowadzić rozmowy z nią i jej mężem Galushia. Badacze szybko zorientowali się, że chociaż to Ann znała wszystkie historie, opowiadała je zawsze jej mąż. Ann udzielała odpowiedzi na pytania związane z językiem i obyczajami, nigdy nie dzieląc się opowieściami. Mąż opowiadał w obecności badaczy, mimo iż nie zawsze znał dobrze opowieści i musiał korzystać z podpowiedzi żony.

Trzydzieści lat później Ann zgodziła się opowiadać w obecności lingwisty Michaela Kraussa, ponieważ śmierć męża zmieniła okoliczności jej życia. Ann żyła w narodzie Tlingit w okolicach Yakutat z drugim mężem, mówiącym w tym języku. Krauss był na tyle młody, by być jej wnukiem, zafascynowanym językiem eyak, którym poza Ann mówiły płynnie może trzy osoby. Równie ważny był fakt, że Ann mogła szeptać swoje opowieści – co też cichutko czyniła – ponieważ Krauss nie zapisywał ich ręcznie, korzystając z magnetofonu.

Ann Harry szeptała do magnetofonu w 1963, 1965 i 1972 roku. W 1982, roku jej śmierci, Michael Krauss opublikował znakomicie zredagowane i przetłumaczone transkrypcje taśm. Ich treścią, podobnie jak we wcześniej odnotowanych tutaj przypadkach, są najwspanialsze teksty poetyckie opublikowane w Ameryce Północnej w którymkolwiek języku.

Wymieniłem kilka zaledwie nazwisk ze znanych mi dwustu pięćdziesięciu, może nawet trzystu. Trzystu rodzimych poetów słowa mówionego Ameryki Północnej niecierpliwie wyczekuje swoich redaktorów, tłumaczy, biografów, czytelników, a po wypełnieniu tych podstawowych czynności, uważnych krytyków literatury.

IV

Kilka lat temu wygłosiłem wykład o Ann Nelson Harry i pocie z narodu Zuni Nicku Tumaka na południu Stanów Zjednoczonych. Z grona bardzo eklektycznego audytorium młoda kobieta spytała mnie mocno podejrzliwym tonem: Dlaczego się pan tym interesuje?

Prawdopodobnie miała na myśli: A co pan z tego ma? A może – co tym razem próbuje pan sobie przywłaszczyć? Przyznaję się do irytacji wywołanej tym pytaniem. Jedyłą sensowną reakcją, na jaką mnie stać, jest odpowiedź pytaniem na pytanie: Jak można się tym wszystkim nie interesować? Przecież korzyści wyniesione z poznania są takie same dla nas wszystkich. Tematem klasycznej, rdzennej literatury Ameryki Północnej jest ni mniej ni więcej sedno istniejącego świata. Tematem są fundamentalne problemy. Poza tym jest to poezja równie zapładniająca wyobraźnię, równie piękna, równie mądra jak wszelka godna uwagi twórczość poetycka.

Oczywiście, że doświadczenie grabieży, zniszczeń, prześladowań rdzennych narodów Ameryki Północnej sprawiło, że są wśród ocalałców ludzie podejrzliwi i niewybaczający. A przecież nie sposób zagrabic czyjs język, tak samo jak ukradło się ziemię. Język, podobnie jak szczęście, łatwo unicestwić, niemniej zawłaszczenie jest wirtualnie niemożliwe. Uświadomienie sobie tego faktu nie jest zaledwie rozszepianiem włosa na czworo. Gdyby na przykład uczono w meksykańskich szkołach języka i kultury Majów, wszystkie, nie tylko pochodzące z plemion dzieci, wstrzymałoby to masakry w Chiapas. Nie znam innego sposobu dania im kresu.

V

W 1935 roku, gdy na kanadyjskich uniwersytetach nie wykładano kanadyjskiej literatury, Garnett Sedgewick rzucił akademickiemu środowisku proste wyzwanie: Gdy tylko zaprezentujecie godną uwagi literaturę kanadyjską, zaczniemy ją wykładać. Żyjemy w innych czasach, ale czy naprawdę innych? Margaret Atwood, Thomas King, Marie-Claire Blais napisali swoje ciekawe książki i literatura kanadyjska jest dobrze reprezentowana w programach edukacyjnych oraz w księgarniach. Niemniej twórczość, której nikt nie przedstawił Sedgewickowi w 1935, nadal czeka na odkrycie. Już wtedy istniała kanadyjska literatura godna upowszechnienia, której właściwości badacz na pewno mógłby z czasem pojąć. Była to ustna tradycja, jakiś czas wcześniej udokumentowana w piśmie. Nie po angielsku i nie po francusku, a w wielu kanadyjskich językach: inuktitut, haida, gwiczin, czipewjan, dogrib, slavej, nootka, nitinaht, nisgħa, tsimszian, onondaga, mohawk, kwakwala, nuxalk, kutenai, maliseet, ojbwa, blackfoot, kri.

Prezentacji nie dokonaliby wykładowcy uniwersyteccy, a tłumacze, zazwyczaj o dwóch nazwiskach, żyjący jednocześnie w co najmniej dwóch światach: Q'ixitasu' (George Hunt), Gwusk'aayn (Wiliam Beynon) i Hiixuqin'is (Alex Thomas). Dokonaliby prezentacji także lingwiści: Edward Sapir, Morris Swadesh, John Swanton, Leonard Bloomfield, Li Fang-kuei oraz Mary Haas. Ich studenci i kontynuatorzy są nadal wśród nas, gotowi i zdolni sprostać wyzwaniu Sedgewicka.

Robert Bringhurst
Przełożył Roman Sabo

Skaay z Qquuna Qiighawaay

KRUK WĘDRUJĄCY (*XHUUYA QAAGANGAS*)

(fragment)

Opowiadają o bezmiarze słonych wód.
O kuku wypatrującym suchego miejsca,
który krążył i krążył nad tym bezmiarem
aż obok kciuka Wyspy zjawił się
pośród fal gład.
O tym, jak sfrunął, by na nim przysiąść.

Bogowie rozłożyli się na głazie jak strzykwy
wczepione z wielu stron ustami.
Nowo stworzeni bogowie spali na brzegu rafy
z ogonami i głowami, gdzie kto chciał.
Dzień ustąpił zmierzchowi, opowiadają.

Lecąc dalej,
zauważył kątem oka
blask na północy.
Poleciał prosto w jego stronę.
Przepchnął się na drugą stronę umysłem.
Po nim przepchnęło się ciało.

Wzdłuż brzegu stało pięć osad.
W najbardziej oddalonej od fal
córka wodza właśnie urodziła dziecko.

Nastała noc.
Osada udała się na spoczynek.
Ten, o którym opowiada ta opowieść,
odarł niemowlaka ze skóry, zaczynając od stóp.

Wślizgnął się w nią
i zajął jego miejsce.

Z nastaniem dnia dziadek zajął się niemowlakiem.
Uczył go, a także przyciskał stopy dziecka do ziemi.
Ustawił go na nogach i oddał opiekunkom.

Dzień później znów przycisnął stopy niemowlaka do ziemi
i ponownie zwrócił go matce.

Ten, o którym jest ta opowieść
zgłódnił od tego wszystkiego.
Nie karmili go jeszcze suchą strawą.

Wieczorem osada udała się na spoczynek.
Gdy tylko zasnęła,
zaczął rozglądać się na wszystkie strony.
Nasłuchiwał odgłosów.
Wszyscy co do jednego spali.
Wywinął się z okryć w kołysce
i wykradł przed dom.

Patrzył na to ten, który w połowie zwapniały,
mieszkał w ciemnym kącie.
Pozostał nieruchomy pod jego nieobecność.

Gdy wrócił z czymś zawiniętym w ubranie,
rozgrzebał popiół niedaleko śpiącej matki,
patykiem zgarnął żarzące się żagwie
i włożył między nie to, co przyniósł.

Gdy tylko to, co przyniósł
upiekło się w żarze,
prześlizgnęło mu się przez gardło.

Zaśmiał się zadowolony,
czym ściągnął na siebie uwagę.

Następnego wieczoru
wszyscy znowu zasnęli,
a on wyslizgnął się z chaty.

Gdy po krótkim czasie wrócił,
wysupłał coś zawinięte w połą odzieży,
upiekł z żarze
i zjadł, uśmiechając się w duchu.

Ten, który był w połowie zwapniały
przyglądał mu się z kąta.

Połknąwszy jedzenie,
położył się spać w kołysce.

Nadszedł ranek.
Zawodzone we wszystkich pięciu osadach.
Przysłuchiwał się rozmowom.
Z wszystkich pięciu osad
tylko w jednej ludzie nie stracili po jednym oku.

Wtedy, opowiadają, przemówił jeden ze starców.
„To wina dziecka córki wodza.
Widziałem jak
gdy tylko wszyscy zasypiają,
wychodzi ze skóry niemowlaka”.

Dziadek podał mu pled ze skóry kuny.
Zawinęli go w ten pled.

Dziadek szeptał.
Ktoś wyszedł.

„Wyprowadźcie dziecko córki wodza na zewnątrz”.

Zebrani ludzie
zatoczyli koło.
Podrzucali go na pledzie, nucąc pieśń.

Po jakimś czasie zrzucili go z pledu
i patrzyli jak spada.

Zataczając krąg w prawą stronę, przebił się przez chmury
i wpadł do wody.
Zanosił się płaczem, dryfując tam i z powrotem.
W końcu, zmęczony zawrotem, usnął.

Przez sen usłyszał głos
„wzywa cię ojciec ojca”.
Rozejrzył się.
Nikogo.
I znowu, gdy dryfował z falą
coś powtórnie go przywołało.

Rozejrzył się jeszcze raz.
Nikogo.
Wtedy popatrzył przez oko pledu z kuny.
Zobaczył perkoza grubodziobego.
„Wzywa cię ojciec ojca”.
Mówiąc to, perkoz zanurkował.
Wtedy ten, o którym snujemy opowieść, usiadł.
Gdy fala zniosła go nad dwugłowy wielkomorszcz,
stał na nim.

Stał na dwugłowym palu totemowym
wspierającym dach domu.
Osuwał się po nim
nie widząc różnicy między morzem,
a tym, co nad nim.
Zsunął się aż do drzwi domu,
gdzie zaproszono go do środka.

„Wejdz wnuku,
ptaki wyspiewały, że

pożyczysz coś, co należy do mnie”.
Powiedziawszy to, wyszedł.
Siwy jak mewa starzec siedział po drugiej stronie ognia.
Polecił, aby podał mu wiszące w rogu pudło.

Wziąwszy je w dłonie
wyciągnął ze środka pięć pudełek
moszczących się wewnątrz siebie.
W najmniejszym leżały dwa walcowate przedmioty:
jeden połyskujący, drugi czarny.

Podając mu je powiedział:
„Ty jesteś mną,
jesteś również i tym”.

Na szczycie wspiętrzonej nad ogniem przesłony
połyskujące stwory czyściły dziobami pióra.
To je miał na myśli.

Po czym polecił:
„ten zanurz w wodzie, krągłym końcem w górę,
a z tego odgryź kawałek.
i wypluj go tu”.

Gdy ten, o którym opowiadamy, zabrał się do rzeczy,
zanurzył ciemny przedmiot w wodzie
i odgryził kawałek połyskującego walca.
Gdy splunął, odgryziony kawałek odbił się od wskazanego mu miejsca.

Tym razem odgryził kawałek czarnego
i splunął nim w połyskujący.
Kawałek przylgnał.
Odgryził kawałek połyskującego
i splunął nim w czarny.
Tym razem kawałek przylgnał.

Powiadają, że taki był początek drzew.

Punkt wybrany przez niego na wodzie rozrósł się.
Podpłynęli Bogowie i zajęli należne im miejsca.
To samo powtórzyło się z łądem, gdy
osadził go wypukłością ku górze.

Przez jakiś czas, powiadają, siedział w czólnie z dala od brzegu.
„No już, chodźcie”.
Krzyknął w stronę łądu.
I znowu, „no już, chodźcie”.
Ktoś zjawił się na brzegu.

Płynąc czólnem od osady do osady,
wykrzykiwał to samo polecenie:
„No już, chodźcie”.
Ale nikt się nie pokazywał.

Tym razem przemówił w języku tsimshian.
Ktoś zjawił się na brzegu z wiosłem i peleryną,
za co uczynił mieszkańców stałego łądu ambitnymi.

W drodze powrotnej zatrzymał się ponownie u kciuka Wyspy.
Ktoś szedł wzdłuż kamienistego brzegu.
Ktoś inny oddalał się od wody,
idąc wśród powalonych wichurą drzew.

Przewrócił tego na brzegu
i wrzucił do morza.
Gdy leżał na plecach wśród fal,
uderzył go ponownie,
Uderzony nie poszedł na dno.
Nie tonął.
W ten sposób południowy lud nauczył się czarów.

Ten, który oddalał się w głąb łądu,
miał zadrapaną twarz.

Nawet mu do głowy nie przyszło, aby go tropić.
Mówią, że był to Szalony Bóg.

Po tych zdarzeniach wiosłował z dala od brzegu,
kierując czółno w stronę Odległego Wybrzeża.

Po jakimś czasie
zobaczył skaczącego łososia.
Łososiu, poleciał, uderz mnie w serce.

Łosoś rozpędził się
i uderzył w niego z impetem.
Gdy już doszedł do siebie,
łosos odpływał od brzegu.

Wzniósł z kamieni niewysoką przegrodę blisko brzegu,
a drugą niedaleko za nią.
Bez zbędnych zachęceń
łosos znowu go staranował.

Gdy powoli odzyskiwał zmysły,
miotający się w kamiennej pułapce
łosos zdołał wypłynąć z górnego basenu.

Gdy nadal rzucał się w dolnym,
ten, o którym jest ta opowieść,
podniósł się z ziemi,
zabił łososia
i wyniósł go na brzeg.

Gdy przyłączyły się do niego wrony,
wspólnie rozniecili ogień
by upiec w żarze łososia.

Położył się grzbietem w kierunku ognia,
poleciwszy wronom, by obudziły go,
gdy tylko łosoś będzie gotowy,
po czym zasnął.

Wrony natychmiast rozgrzebały palenisko
i zjadły całego łososa,
całego, do najmniejszego kąska.
Po czym, przy pomocy patyka, nawtykały mu odpadki jedzenia
między zębami.

Gdy po jakimś czasie obudził się,
polecił im rozgrzebać palenisko i wyjąć łososa.
Wrony zaczęły mu wmawiać
„że przecież już go zjadł,
a po najedzeniu się, usnął”.
„Nikt jeszcze nie rozgrzebał paleniska”.
„A co masz między zębami?”.

Sprawdził,
znalazł resztki
i wypluł je wronom w twarz.

Ten, o którym opowiadamy,
przyrzekł wronom:
„nawet najbardziej ostatni z ostatnich ludzi
nie zobaczy waszego dawnego lotu”.

Podobno wrony były wtedy białe.
Od tego czasu są czarne.

Po dalszej wędrówce
dotarł do plaży w pobliżu traktu.
Gdy siedział, szlochając jak dziecko,

zjawiły się stwory
przyprószone orlim puchem
z kijami do gry na plecach.

„Kim jesteś?”, spytały.

„Oboje rodzice nie żyją.
Ludzie twierdzą, że wasz ród
i mój ród są z tej samej okolicy.
Dlatego przyszedłem was odszukać”.

Zaprosili go do siebie do domu.
I jakiż to był dom!

Poprosili tego, o którym opowiadamy, by usiadł.
Jeden z nich udał się za parawan,
a gdy powrócił po chwili nieobecności,
był mokry aż do kolan.

Dopiero co złapał łososia
i trzymał go teraz w dłoniach.
Potarli o siebie krzemienie
i rozniecili ogień.

Od razu przygotowali łososia,
rozgrzali głazy w ognisku,
na których upiekli rybę.
Gdy była już gotowa,
posadzili gościa między sobą.

Są tacy, którzy twierdzą, że stwory były bobrami
zajmującymi się hazardem.
Uważa się, że wrócili do domu ze względu na gościa.

Jeden z nich ponownie poszedł za przepierzenie,
skąd wyniósł talerz z żurawiną,
którą zaraz zjedli.

Jeden z nich ponownie poszedł za przepierzenie,
skąd wyniósł kozie flaczki,
które podzielili na trzy porcje.
Gościowi podali największą,

po czym powiedzieli: „nigdzie już nie idź,
czuj się jak u siebie w domu”.

Po posiłku zarzucili torby z kijami na plecy
i ruszyli w drogę.
Wrócili po zmroku,
a on siedział nadal w tym samym miejscu.

Jeden z nich udał się za przepierzenie
i wrócił z łososiem.
Upiekli go.
Następnie przynieśli talerz z żurawiną,
a na końcu flaczki,
Po posiłku
poszli spać.

O świcie następnego dnia
znowu zjedli posiłek z trzech dań,
zarzucili worki z kijami do gry na plecy
i wyszli z domu.

Wtedy ten, o którym opowiadamy,
wszedł za przepierzenie.
A za nim – tak! – znalazł jezioro.
W nurcie strumienia stał węćierz,
i trząsał się jak marznący człowiek.
Tyle było w nim łososi.

Niewielkie czółna pływały tu i tam po jeziorze,
cyple jarzyły się od dojrzałej żurawiny,
wiosenne pieśni i kobiece zaśpiewy niosły się po wodzie.

Wyjął węćierz
i spłaszczyl go na brzegu.

Po czym zwinął i brzeg i węćierz razem z jeziorem.
Zwinął też dom

i włożył rulon pod pachę.
Wspiął się na rosnące w pobliżu drzewo.
Był w stanie trzymać rulon jedną ręką.

W jakiś czas potem zszedł z drzewa
i rozwinął i dom i brzeg i jezioro i wężycz.

Rozpalił ogień
i zza przepierzenia
przyniósł łososa,
którego upiekł i natychmiast zjadł.
Potem zgasił ognisko
i siedział, chlipiąc i szlochając.

Siedział z załzawioną twarzą,
gdy wrócili gospodarze.
„Czemu płaczesz?“, spytali.

„Ognisko zgasło. Dlatego płaczę”.
Porozmawiawszy między sobą,
Powiedzieli „tak to już bywa”.

Rozpalili ogień.
Jeden z nich poszedł za przepierzenie
skąd przyniósł łososa.
Podzieli go, upiekli i zjedli.
Potem posilili się żurawiną i flaczkami
i położyli się spać.

Gdy nadszedł ranek
i gdy zjedli kolejny posiłek z trzech dań,
zarzucili torby z kijami do gry na plecy
i poszli w swoją stronę.

Wtedy ten, o którym opowiadamy, przeszedł znowu za przepierzenie.

Wyciągnął wężycz z wody i spłaszczyl go.
Tak samo postąpił z domem.

Położył oba na brzegu,
zrolował razem z jeziorem,
a rulon włożył pod ramię.

Wspiął się na rosnące w pobliżu drzewo,
usiadł na gałęzi i czekał.

Po jakimś czasie
ktoś się zjawił
Nie było ani domu ani jeziora.
Po krótkim poszukiwaniu
spojrzał w górę. Aha!
Gość siedział na drzewie
z dobytkiem swoich gospodarzy.

Bóbr oddalił się,
aby po chwili wrócić z drugim.
Podeszli od razu do drzewa
i zaczęli je podgryzać.

Gdy zaczynało się chylić
ten, o którym opowiadamy, przeskoczył na inne drzewo,
a gdy podgryzione zaczęło padać,
przeskoczył na następne z rulonem pod pachą.

Gdy tak przeskakiwał z drzewa na drzewo,
zaniechali pogoni.

Długo wędrowali
aż znaleźli inne jezioro
nad którym, jak mówią, osiedli.

Ten, o którym jest ta opowieść,
przemierzał wyżyny we wszystkie strony,
aż trafił na wielką polanę.
Tam rozwinął jezioro,
które otworzyło się przed nim swoją taflą.

Natomiast nie rozwinął ani domu ani więcierza.
Zatrzymał je przy sobie,
aby móc je pokazać ludziom mieszkającym na brzegu,
jak również zamieszkującym wewnątrz ładu.

Skaay z Qquuna Qiighawaay

Przekład z angielskiego tłumaczenia Roberta Bringhursta Roman Sabo

W OKU KRUKA MIESZKA INTELIGENCJA

(słowo od tłumacza)

Stwierdzenie, że w oku kruka mieszka inteligencja, jest bezczelną antropomorfizacją. Że tajemnica to z kolei rugująca bogactwo naturalnego świata pseudometafizyka. Naturalnego, czy świata natury, który dawno już, mieszkańcom betonowych mrowisk, przestał kojarzyć się nam z jakąkolwiek naturalnością.

Jest w oku kruka coś, co skupia całą uwagę obserwatora. Może za sprawą wielkości, a może za sprawą odbicia twarzy patrzącego. Reakcje kruka na obecność człowieka nie są instynktowne. Jest w nich i wiedza, i wyrafinowanie, i przebiegłość. Kruk zdaje się wiedzieć więcej o obserwującym go człowieku niż człowiek o kruku. Może dlatego, że ma więcej czasu na obserwację, a może dlatego, że jego egzystencja wiąże go z człowiekiem w szczególnej symbiozie – udogodnienia w zdobywaniu pożywienia. Kiedyś, gdy było nas jeszcze bardzo niewiele na tym najlepszym ze światów i gdy nasza egzystencja opierała się na zrozumieniu kilku prostych praw naturalnego świata: gdzie znaleźć schronienie, jak zabezpieczyć dostęp do pożywienia, byliśmy najprawdopodobniej w tym samym miejscu, co kruki dzisiaj: spostrzegawczy, ostrożni, dociekliwi, przebiegli, zainteresowani. Może, jak kruki, trzymaliśmy się blisko jakiego potężniejszego zwierza, zdolnego do zdobycia pożywienia, na resztkach którego mogliśmy się wykarmić. W końcu, jak kruki, nauczyliśmy się imitować głosy zwierząt i ptactwa podczas polowań, podobnie jak one udając wilka czy lisa.

A że nie zawsze je lubimy? Podobnie jak wrony, wrzaskliwe i kojarzone z pobojuwiskami. Kto jednak tworzy pobojuwiska czy takie rozwrzeszczane discolo? Jak pisała Szyborska, ktoś po wojnie musi po nas posprzątać.

Miałem szczęście obserwować dzikie ptactwo w symbiozie z człowiekiem: gęsi, kolibry, dzięcioły, wrony, mewy, żurawie, orły. Nie wiem, dlaczego obserwacja kruków dostarcza mi największej satysfakcji. A dostarcza, Czy to wtedy, gdy słyszy się szum ich potężnych skrzydeł, gdy przelatują nad borem; czy wtedy, gdy oddają się zalotnemu wykonywaniu dźwięków przypominających uderzenia kul bilardowych o siebie na grubym suknie bilardowego stołu; czy też gdy chwałą

Fot. R. Sabo



W oku kruka mieszka inteligencja...

otów nadpacyficznych ludów Ameryki Północnej.

Przetłumaczony przeze mnie fragment *Kruka wędrującego* według narracji rdzennego poety z narodu Haida o rodowym mianie Skaay z Qquuna Qiighawaay stanowi więcej jedną trzecią całego tekstu. Tłumaczony z białego wiersza angielskiej wersji Roberta Bringhursta nie oddaje właściwości stylistycznych oryginału. Ba! Brzmienia i intonacje języka autora są tak odmienne od dźwięków i intonacji angielskiego czy polskiego, że możemy mówić tutaj co najwyżej o transkrypcji zapisu nutowego między, dajmy na to, tubą a piszczałką, które, poza faktem należenia do instrumentów dętych, nic, ale to nic wspólnego ze sobą nie mają. A mamy przecież do czynienia z poematem recytacyjnym, ułożonym według wymagań mowy, nie pisma. Spolszczenie skupia się przede wszystkim na narracyjnym przedstawieniu nadnaturalnych aspektów poczynań Kruka, uważanych przez niektórych rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej za dobroczyńcę wszystkich, wypuszczonych z muszli, mieszkańców Ziemi. Kruk tworzy Ziemię, a podróże po podwodnym podświecie i napowietrznym nadświecie obfitują w różnorakie nadania: właściwości, czynności, obyczajów, nakazów i zakazów.

Kwintesencję bytu Kruka, jego znaczenie i możliwości oddaje najlepiej ten fragment tekstu, w którym po zauważeniu kątem oka blasku, Kruk przechodzi na drugą stronę jasności umysłem, za którym przeciąga ciało. A moment zwijania w rulon fragmentu ukradzonego, fizycznego świata, aby przenieść go w inne, bardziej stosowne miejsce, nie różni się tak bardzo od naszych marzeń o powrocie do Raju, czy mrzonek o skolonizowaniu wszechświata, pokutujących w nas resztek kolonizacyjnej mentalności.

Roman Sabo

się swoimi akrobacyjnymi zdolnościami nad szczytem okolicznej góry, gdy wieje porywisty wiatr. Nie sądzę, aby centralna rola kruka w mitologii rdzennych mieszkańców nad Pacyfiku była li tylko przypadkiem. Myślę, że wzięła się i z fascynacji tym inteligentnym ptakiem, jak również z prowokowanej przez jego złodziejskie sztuczki złości. W mitach Kruk stał się z jednej strony sprawcą i posiadaczem nadprzyrodzonych możliwości, z drugiej często bezlitośnie karconym za swoje przewinienia błaznem. Ciekawa jest ta rola rodem z skarnawalizowanego świata tak świetnie wyobrażonego sobie nie tylko przez Michała Bachtina, ale i przez rdzennych po-

Bill Reid, Robert Bringhurst

JAK KRUK WYKRADŁ ŚWIATŁO*

Na długo przed zaistnieniem czegokolwiek, nad długo przed potopem, który pokrył i odsłonił na nowo ziemię, zanim pojawiły się na niej zwierzęta, wyrosły drzewa, między którymi będą przelatywać ptaki, na długo przed tym, jak ryby i wieloryby zamieszkały w morzu, na długo przed tym wszystkim w domu na brzegu rzeki żył był starzec z córką. Czy była równie piękna jak iglasta gałązka choiny oświetlona przez wiosenny wschód słońca, czy też może brzydka jak szkarłupnia, ma się nijak do tej historii, która rozgrywa się prawie całkowicie w ciemności.



Fot. Magdalena Rabizo-Birek

Bill Reid, *The Raven and the First Men*, 1978–1980, rzeźba z żółtego cedru,
The UBC Museum of Anthropology, Vancouver, Kanada, wrzesień 2006

* Z albumu *The Raven Steals the Light. Drawings by Bill Reid. Stories by Bill Reid & Robert Bringhurst*, preface Claude Lévi-Strauss, Douglas & McIntyre Vancouver 1984.

Tak, cały świat był pogrążony wtedy w ciemnościach. Ciemnościach atramentowych, wszystko pochłaniających, czarniejszych od tysiąca burzliwych, zimowych nocy, czarniejszych od najczarniejszej czerni pozostałej z tych czasów.

Odpowiedzialny za tę ciemność stary człowiek miał w domu nad rzeką pudło z pudłem, wewnątrz którego było kolejne pudło zawierające nieskończoną ilość pudełek, każde z nich mieszczące się wewnątrz trochę większego pudełka, aż po ostatnie, najmniejsze i tak małe, że jedyną rzeczą, którą mogło pomieścić, było światło całego świata.

Kruk, istniejący już wtedy, ponieważ istnieje od zawsze i na zawsze, nie lubił czarnego stanu rzeczy, z powodu którego często błądził w ciemnościach i objął się o ukryte przez czern przedmioty. Ciemność utrudniała zdobywanie żywności i zaspokajanie różnorodnych potrzeb ciała, oraz właściwą mu chęć wtrącania się we wszystko i zmieniania tego, co jest.

Pewnego razu, objając się w ciemnościach, trafił po omacku w pobliże domu starca. Najpierw usłyszał z oddali głos nucący jakąś melodię. Trzymając się jej, dotknął ściany domu, zza której, gdy przybliżył ucho do desek, doszły go słowa: „moje pudło z pudłem wewnątrz którego jest kolejne pudło zawierające nieskończoną ilość pudełek, każde z nich mieszczące się wewnątrz trochę większego pudełka, aż po ostatnie, najmniejsze, mieszczące światło całego świata, moje światło, którego nigdy nikomu nie pokażę, nawet mojej córce, gdyż mogłoby się okazać, że jest brzydka jak szkarłupnia, a żadne z nas nie chciałoby się o tym dowiedzieć”.

Podjęcie decyzji o wykradzeniu światła przyszło Krukowi do głowy natychmiast. Natomiast znalezienie sposobu zajęło mu o wiele więcej czasu.

Zaczął się od szukania wejścia do domu. I chociaż okrążył wielokrotnie budynek, dokładnie obmacując ściany, nie natrafił nawet na najmniejszy ślad drzwi. Czasem słyszał, jak starzec lub jego córka wychodzą z domu, czy to po wodę do pobliskiego strumienia, czy z jakiegoś innego, sobie tylko znanego powodu. Zawsze jednak wychodzili po przeciwnej stronie niż ta, z której ich akurat podsłuchiwał, a gdy już docierał na miejsce odgłosów, ściany domu były znowu gładkie jak zawsze.

W końcu Kruk przysiadł na brzegu w górnym biegu strumienia i zaczął myśleć, i zastanawiać się nad sposobem dostania się do wnętrza domu. Gdy jego myśli coraz częściej krążyły wokół mieszkającej tam dziewczyny, zaczęły w nim budzić coś więcej niż tylko ciekawość.

Kto wie, może jest brzydka jak szkarłupnia, a przecież może być równie piękna jak iglasta gałązka choiny oświetlona przez wiosenny wschód słońca, gdyby tylko istniało wystarczająco dużo światła na jego wschód.

I ta, zdawałoby się zupełnie pozbawiona sensu spekulacja, podsunęła mu sposób na rozwiązanie problemu.

Odczekał, aż dziewczyna, której kroki potrafił już odróżnić od chodu starca, przyjdzie nad strumień po wodę. Następnie zmienił się w pojedynczą igłę choiny, wpadł do strumienia i spłynął z nurtem prosto do zanurzonego przez dziewczynę w wodzie dzbana.

I mimo swojej miniaturowej postaci Kruk zdolny był magicznie wzbudzić pragnienie u dziewczyny, która pijąc wodę, połknęła pływającą w niej igłę. Kruk wślizgnął się głęboko do ciepłego wnętrza dziewczyny, a gdy znalazł rozgrzane i wygodne miejsce, raz jeszcze zmienił wygląd, stając się tym razem mikroskopijnym człowieczkiem, który natychmiast zapadł w głęboki sen.

Spał i rósł.

Dziewczyna nie miała pojęcia co się z nią dzieje. Ojcu nic nie mówiła, a ten, ze względu na panujące ciemności, niczego nie widział, aż do dnia, gdy zdał sobie sprawę z nowej obecności w domu, po tym jak Kruk triumfalnie zjawił się tam pod postacią noworodka.

Chłopczyk sprawiał dziwne wrażenie, lub sprawiłyby, gdyby ktokolwiek mógł go zobaczyć – z długim, podobnym do dzioba nosem i kilkoma piórami sterzącymi to tu, to tam z jego ciała. Miał też lśniące, krucze oczy, i gdyby ktoś mógł go wtedy zobaczyć, uznałby, że nadają jego twarzy inteligentny i dociekliwy wyraz.

Był hałaśliwy. Jego płacz przypominał zawrodożenie rozkapryszonego dziecka połączone z wrzaskiem złościącego się kruka. A przecież były chwile, gdy głos jego brzmiał jak powiew wiatru między gałęziami choiny z pogłosem tego pięknego dźwięku, jakby delikatnie uderzających o siebie szklanych kul, należącego do repertuaru kruczej mowy.

Dzięki tym chwilom dziadek pokochał dziwny dodatek do rodziny, spędzając z wnukiem dużo czasu na rozrywkach, majstrując zabawki i wymyślając różne gry i zabawy.

Im gorętsze uczucia budziły się w dziadku, tym śmielej wnuk szukał ukrytego światła. W końcu Kruk nabrał przekonania, że światło było trzymane w wielkim pudle stojącym w rogu domu. Gdy któregoś



Fot. M. Rabizo-Brek

Wizerunek kruka, obraz na desce, sztuka narodu Haida, The UBC Museum of Anthropology, Vancouver, Kanada, wrzesień 2006

dnia ostrożnie unióś pokrywę, niczego nie dojrzał, wyczuł natomiast obecność mieszczącego się w nim mniejszego pudła. Słyszac, że ktoś dotyka jego skarbu, dziadek bardzo srogo skarcił niedosłzłego złodziejaszka, groząc bolesnymi konsekwencjami, gdyby krucze dziecko jeszcze chociaźby kiedykolwiek zbliżyło się do rogu domu.

Wywołało to całą lawinę hałaśliwych zaprzeczeń, po których zaczęły się prośby, zawsze trzymające się z dala od tematu światła, związane z pragnieniem posiadania wielkiego pudła. Pudła, które, jak zapewniał mały, uczyniłoby go w pełni szczęśliwym.

I podobnie jak wszyscy dziadkowie przed nim i wszyscy po nim, starzec uległ prośbom i podarował wnukowi największe pudło. I chociaź uspokoił tym wnuka na pewien czas, wkrótce, jak wszyscy wnukowie przed nim i wszyscy po nim, dzieciak poprosił o kolejne pudło.

Minęło wiele dni pełnych próśb, przymileń i obietnic, przeplatanych dużą dawką zaplanowanych wybuchów złości, po których wyciągano z pudła pudełko po pudełku. Gdy zostało już tylko kilka pudełek dziwny, nigdy wcześniej niewidziany brask zaczął przenikać z ciemności do wnętrza domu, wydobywając zarysy przedmiotów i blade cienie, nadal zbyt słabe, by rozpoznać ich prawdziwe kształty. Kruczy wnuk błagał najprzymilniejszym głosem, by dziadek pozwolił mu wziąć światło w dłonie, chociaźby na najkrótszą chwilę.

Dziadek oczywiście odmówił, wnuk oczywiście zdołał z czasem dziadka przekonać. Dziadek wyjął światło z najmniejszego z pudełek, pięknie lśniącą kulę i rzucił ją w stronę wnuka.

Tylko przez mgnienie oka mógł się dziadek nacieszyć widokiem ukochanego i drogiego mu wnuka. I to jakim widokiem – gdy kula światła leciała w jego stronę, wnuk przeobraził się z dziecka w ogromny, lśniący czarny cień z rozłożonymi skrzydłami i otwartym dziobem. Kruk chwycił światło w szpony, machnął skrzydłami i wyleciał przez dymnik domu w ogrom czerni świata.

Świat natychmiast uległ metamorfozie. Góry i doliny zostały ostro nakreślone, rzeki lśniły odbitym światłem i wszędzie wszystko rwało się do życia. A jednocześnie inny skrzydlaty kształt poszybował w powietrzu, gdy światło dotarło do oczu orła i oświetliło jego przeciwnika.

Kruk szybował nad światem, radując się ze swojej wspaniałej zdobyczy, podziwiając wpływ, jaki światło miało na wszystko pod jego skrzydłami, ciesząc się, że wreszcie widział, dokąd leci, i że już nie musi latać na ślepo, ufając przypadkowi. Całkowicie pogrążony w swoim triumfie, nie zauważył orła aż do momentu ataku.

W panice gwałtownie skręcił, aby uniknąć ostrych orlich szponów, upuszczając jednocześnie połowę niesionej kuli światła. Gdy upadła na ska-

ły, rozbiła się na duży kawałek i niezliczony ogrom mniejszych. Odbijając się od skał, doleciała aż do nieba, skąd do dzisiaj oświetla noc w postaci księżycy a gwiazd.

Orzeł ścigał Kruka poza obręb świata, gdzie, zmęczony ucieczką, Kruk wypuścił resztę światła. Spłynęło wolno wśród chmur poza kresem świata, wędrując powoli nad wschodnimi górami.

Promienie słońca dotarły też do domu nad rzeką, w którym starzec opłakiwał stratę cennego światła i podstępność wnuka. Gdy rozjaśniły wnętrze, dziadek podniósł wzrok i po raz pierwszy zobaczył córkę, która siedziała bez ruchu całkowicie zszokowana przebiegiem zdarzeń.

Zobaczył córkę równie piękną jak iglasta gałązka choiny na tle wiosennego wschodu słońca i natychmiast poczuł się lepiej.

Bill Reid

DUCH HAIDA GWAII*

No i jesteśmy, z dala od Haida Gwaii, niezbyt pewni, gdzie właściwie jesteśmy i dokąd tak naprawdę zmierzamy, skłócen i walczący o miejsce w czółnie, niemniej przygotowujący się do przeprawy; w każdym razie wiosła zanurzone są w zgodnej gotowości, a mężczyzna w centrum czółna jakby wiedział, co nas jeszcze czeka.

A cała reszta jest umowną reprezentacją samej siebie, symbolem odległych czasów, gdy naród Haida, każdy należący do jego dziesięcioletniej społeczności człowiek wierzył, że jest z najwspanialszego narodu na świecie.

Siedzący na dziobie Niedźwiedź, szerokim grzbietem zasłaniający to, co nieznanie, nowe, interesujące, z oczami na zawsze wbitymi w przeszłość, usiłuje wierzyć, że wszystko jest nadal tak, jak było. Matka Niedźwiedzica, pochodząca z ludzkiego rodu, patrzy ponad niedźwiedzim barkiem w przyszłość, bardziej przejęta losem potomstwa niż trwaniem legendy. Między innymi dlatego, że przywędrowała tutaj z innego mitu, O Dobrym Niedźwiedzium i Złym Niedźwiedzium, mitu o metamorfozie, a to zmusza ją do trzymania się na baczności.

Teraz Bóbr, dzielny i wytrwały, przyziemny i solidny wioślarz, obo-

* Bill Reid, *The Spirit of Haida Gwaii* [w:] *Solitary Raven. Selected Writings of Bill Reid*, wybór i wstęp Robert Bringham, Douglas & McIntyre, Vancouver i Washington University Press, Seattle 2000, s. 228–230.



Fot. M. Rabzo-Birek

Bill Reid, *Spirit of Haida Gwaii*, 1986, terminal lotniska w Vancouver

wiązkowy kanadyjski szczegół, wielkie zębiska i kryty łuską ogon, znakomity stwór do zwalania drzew i zastawiania rzek tamami.

Tu zaś mamy Kobiętę Rekina, nadal znaczącą postać szlachetnego rodowodu, nieustępującą pola atrakcyjnej Matce Niedźwiedzicy. Mimo groteskowo wielkich policzków, ze skrzelami jak ohydne blizny, z nakryciem głowy odzwierciedlającym ostry rybi łeb i dziwnym kolczykiem – jest to najbardziej pożądana i fascynująca kobieta mitycznej ery. Bardziej magiczna niż Kobieta Mysz, tak pełna tajemnic, jak głębie oceanu wspierające życie zwinnych, lśniących ryb, źródła jej mocy, tutaj stroniąca od reszty; ogromna koncentracja jej myśli poskramia przydymione marzenia kryjące się we wpatrzonych w siebie oczach.

Przyczajona na rufie czółna, wiecznie wierna instynktowi krycia się w cieniu nocy, ciemnych pieczarach i innych zakamarkach ciemności, w których spędza swoją nieśmiertelność, Matka Mysz straciła swoją pozycję wśród postaci z jej własnego mitu, istotnej części opowieści o Matce Niedźwiedzicy, zaledwie mieszcząc się na przeciwnym końcu czółna pod ogonem Kruka. Ponieważ nie widział jej nigdy ani człowiek, ani zwierz, ani potwór, Matka Mysz mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. Z Krukiem sprawa ma się znacznie prościej. Nie ma najmniejszej wątpliwości co do jego mitycznego wyglądu, identycznego z wielorodnym istnieniem powszechnie znanego

z północnych obszarów globu ptaka padlinożericy. Oczywiście, że Kruk jest sternikiem. Zatem to, że czółno zdaje się płynąć w określonym kierunku, nie oznacza, że nie popłynie według widzimisię Kruka.

Kultura pozostaje w pamięci dzięki reprezentującym ją wojownikom, artystom, bohaterom i bohaterkom wszelkiej maści. Przyszłość mogą jej zapewnić jedynie kolejne pokolenia. Mamy tutaj ich przedstawiciela – Odwiecznego Nieskorego Rekruta; obecnego, często w niedoceniony sposób, w pełnych komplikacji historiach ludzi na ziemi. Gdy byli władcy i przywódcy złączą się na zawsze ze swoimi poprzednikami, Rekrut będzie kontynuował powierzone mu zadanie, stoicko wypełniał rozkazy i wywiązywał się ze swoich obowiązków. Ale tylko do czasu. To właśnie on powie w końcu „dosyć”. A gdy władcy znikną w bajorze własnych występków, Rekrut oczyści ziemię z gruzów by zacząć wszystko od nowa.

Wilk narodu Haida był całkowicie wyimaginowanym, mitycznym stworem. Nawet jeżeli jego wzór zamieszkiwał lasy stałego lądu, nigdy nie pojawił się na wyspie Haida Gwaii. A mimo to pełni znaczącą rolę w heraldycznej hierarchii. Nieznośny, gwałtowny, skory do zabaw i psot, jest zazwyczaj przedstawiany w akcji wgrzyzania się w jakieś ciało ostrymi kłami. Na naszym czółnie zawzięcie gryzie skrzydło Orła, podczas gdy ten dumny, królewski, na swój sposób napuszony ptak bierze odwet wgrzyzając się w łapę Niedźwiedzia.

Przedstawieni zostali wszyscy z wyjątkiem Żaby, siedzącej częściowo w czółnie, częściowo poza nim, nad jego burtą – wszechobecnym postaćmi między dwoma żywiołami narodu Haida – lądem i oceanem. Jak widać – wiele się dzieje w naszym czółnie, ale jaki jest cel tego wszystkiego? Czy najwyższa postać, która może być, choć nie musi, uosobieniem Ducha Haida Gwaii, prowadzi nas – bo przecież wszyscy znajdujemy się w tym samym czółnie – jak mogłoby się zdawać do spokojnej zatoki poza okręgiem świata, czy też jest to postać zagubiona we śnie, który sama śni? Czółno płynie, na zawsze zakotwiczone w tym samym miejscu.

Przełożył Roman Sabo

Krzysztof Bielleń

SZARA STREFA

Mój Fortunacie, miał się skarżyć, że myśli
masz czarne, że wciąż pracujesz na czarno,
szukaj w tym korzyści: jasno-szarych stron,
jak to, że żadnych podatków żadnym draniom
na niejasne cele nie płacisz, ni żadną daniną
nie wspomagasz rządów; co zarobisz, to twoje;
z ręki do ręki, która rękę myje z myślą o zysku
(to niewidzialna ręka rynku); tak jakbyś sobie
zbierał ziarno do ziarnka (aż przebierze się miarka),
nie gardząc tym, co padło między skały i ciernie;
(tu wciąż są rezerwy, to ta szara strefa, wyrwa,
która czyni wolnym); i nie zapomnij, na Ozyrysa,
o swym starym, niedołącznym ojcu, miłośniku
gołębi ze wschodnio-południowej prowincji!

PAWILON PRZEMIJANIA

Kryty strzechą kraj
wysp, pogrążony w wodzie.
W alejce żwirem
wysypanej ślepy mnich
gra na swej bawie cierpkie,
smętne melodie;
obok bramy z dwóch pali
(z pędów bambusa),
połączonych poprzeczką.
Wkrótce nadejdzie jesień;
przepadną liście,
niczym nedoręczone
liściki z wieścią
o największej miłości
bez większego znaczenia.

WĘDRÓWKI PO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Gdy wiatr wiejący
znad pustyni wypełniał
tę okolicę
żarem piasku, tłum ludzi
chronił się w cieniu starych
drzew i straganów.
Byli tam i rybacy,
by sprzedać ryby
(i żywe, i solone);
i rolnicy z Szaronu;
i szewc-filozof,
który brał miarę ze stóp,
zwykle bezbłędnie
(wykorzystując patyk),
i na miejscu wypłatał
sandały z łyka.
Nie brakło też sprzedawców
wonnych olejków
i perfum, znawców mocy
mirry i aloesu.

Krzysztof Bielen

Janusz Pasterski

Notatnik otwarty

CIEMNY ŚWIAT, JASNY DOM

Rzeczywistość przenika do wierszy w różny sposób. Niekiedy jako wierne odbicie tego co wokół, a niekiedy jako refleks świata wewnętrznego – bywa, że dla autora bardziej realnego niż otoczenie, w którym egzystuje. To zresztą przejaw niegasnącej siły i innowacyjności poezji, zawsze otwartej na niepowtarzalność, gotowej wyrazić odrębne, inne, jednostkowe widzenie empirii istnienia. Najbardziej fascynujące są więc wszystkie przypadki swoistości ujęć, oryginalności, zaskakującego uobecnienia, dostrzeżenia, przywrócenia czy wtajemniczenia w zamknięty przecież obszar indywidualnej wyobraźni. I nagle w tym jednostkowym odczuwaniu tworzy się most ku wspólności, którą rodzi właśnie literatura. Przenikający z wierszy świat staje się bliski, łączy się z naszymi emocjami, wpływa na myślenie, nawet jeśli są to zaledwie impresje czy przeczucia.

Istotna jest tu celność formy, odnalezienie formuły, która uniesie odrębność autorskiej wizji. Język jest wtedy największym sprzymierzeńcem, otwiera wciąż nowe przestrzenie znaczeń, których zdawałoby się już właściwie nie powinno być, skoro wszystko już było. A jednak wiersz wciąż potrafi zaskoczyć, opowiedzieć na nowo, dopełnić, doświetlić. A poza tym – jak ujął to Ryszard Koziołek – po prostu „dobrze się myśli literatura”.

Cechą wyróżniającą wiersze Jakuba Pacześniaka jest zwięzłość języka, dążenie do prostoty wypowiedzi i jednocześnie kumulowanie sensów. Autor obywa się przy tym bez akompaniamentu nowatorskich poszukiwań, bliższy jest mu klasyczny dystans i ściszony ton. Swoją poetycki świat rysuje oszczędną i cienką kreską, zarazem precyzyjną i trafnie oddającą kontrastową naturę rzeczywistości. Bowiem w utworach Pacześniaka w jakiś zadziwiający sposób zaznacza się dwoistość świata przedstawionego czy może nawet antynomiczność dwóch przestrzeni. Można je nazwać strefami światła i ciemności. Granica pomiędzy nimi nie jest ani wyraźna, ani trwała. Wiąże się z płynnością i niepewnością. Raz za razem odsłania nowe miejsca, w których objawia się ten emblematiczny rozdział.

Do strefy światła należy dom, bez którego „niczego by / nie było” (*wewnętrzny stan*). Jest on jak busola, która zawsze wskazuje kierunek, ale i jak światłytnia, gdzie – mówiąc językiem Miłosa – trwa świat, jaki powinien być. Są w nim najbliżsi ludzie, a wraz z nimi „światło”, spokój, „schronienie”, „myśl jasna”, „proste słowo” (*deszcz*). O tej przestrzeni autor pisze lapidarnie, wyznaczając jej zarys i równocześnie strzegąc jej intymnego charakteru. Chodzi przecież o jej znaczenie,

a nie o wylizanie elementów składowych. Poeta podkreśla to wyraźnie, wynosząc na plan pierwszy obszar aksjologii. Dom to wewnętrzna siła i takiż ład. Tutaj też rodzi się Staffowski „proste słowo” – pokłosie domowego światła. W tym sensie jest to świat zespalający wymiar egzystencjalny z twórczym działaniem, a nawet z przeczcuciem transcendencji („światła / spokój trwa”, *wewnętrzny stan*).

Z kolei sfera ciemności zaczyna się tam, gdzie kończy się „światło” porządku i ładu („ledwie parę kroków / na wyciągnięcie ręki”, *granice*), to „ciemne ulice” (*deszcz*), upływ czasu, wreszcie śmierć. Ale ciemność to również powierzchnia wszystkich zjawisk, dlatego trzeba przebijać się „głębiej / ponad / jeszcze” (*wiem*), a każda nieuważność zbliża do mroku. Po stronie ładu mieści się jeszcze piękno natury, przykrywające jednak tragizm jednostkowego przemijania („ułuda / która każe / stać bez ruchu”, *świt przechyla*).

Zarysowana w tych wierszach wizja świata pełna jest kontrastów, dychotomii czy niedopowiedzeń. Ma swój mocny rdzeń „światła” i „słowa” przeciwstawiany entropii i nicości. Taki świat wymaga ciągłego podtrzymywania, a także znajdowania w sobie wewnętrznej motywacji i przekonania. Znakiem tego zaangażowania jest używany język, minimalistyczny, a zarazem precyzyjny i sensualny. Dlatego zostanie mi w pamięci na przykład ów błysk lata na czyichś odsłoniętych ramionach jako znak doświadczanej perspektywy, z jakiej autor patrzy na rzeczywistość (*wiatru otarcie*).

Janusz Pasternski



Franciszek Małuszczyk, bez tytułu, 2008, ilustracja w tomie Krystyny Lenkowskiej *Tato i inne miejsca* (2010)

Jakub Pacześniak

DESZCZ

ciemne ulice
od świtu
do popołudnia

na końcu
jednej z nich
dom

w którym
znajdziesz

schronienie
myśl jasną

proste
słowo

WIEM

że patrzysz
na to samo co ja

widzisz co jest
i czego nie ma

a przecież
możesz spojrzeć

głębiej

ponad

jeszcze

ŚWIT PRZECHYLA

śpiew ptaków
w stronę światła

korony dębów
już przejrzyste

gdzieś tam
powstaje ułuda
która każe
stać bez ruchu

u stóp wzgórza
wypełnionego
litanią zapachów
drewna i zieleni

suną kłęby dymu
głosy niezapisane

wnet znikają

GDZIE SIĘ

podziałaś
gwiazdo raniona
w ramię

gdzie jesteś
opętane ciało
naszej śmierci

szukałem
choć nie
wierzyłem

w ciebie
do końca

może jesteś

może byłaś

będziesz

kiedyś
jeszcze?

WEWNĘTRZNY STAN

Beacie

rośnie drzewo
stoi dom
dzieci wokół
swoich spraw
światła
spokój trwa

gdyby tu nie
wstępować co dzień

jak do świątyni

niczego by
nie było

WIATRU OTARCIE

chusta się zsunęła
ramiona odsłonięte
delikatne

lato już tu jest

GRANICE

ledwie parę kroków
na wyciągnięcie ręki

lecz na mnie już czas

Jakub Pacześniak



Franciszek Maśluszczak, bez tytułu, 2008,
ilustracja w tomie Krystyny Lenkowskiej *Tato
i inne miejsca* (2010)

FRAZY OSOBISTE

Antoni Matuszkiewicz

Góry Orfickie

NAD RZEKĄ WIELKĄ I MNIEJSZĄ

Cóż, ten wyjazd do Północnych Czech, podróż do Děčína, dłużąca się nam, przez jakiś czas styczna z umownie zakreśloną tutaj granicą tak zwanej Machowskiej Krainy, wokół jeziora i górującego nad okolicą Bezdezu, związanych z jedynym wielkim czeskim poetą romantycznym, Karlem Hynkiem Máchą, pod koniec coraz bardziej kręta i nawigacja nakazująca przeskakiwać z jednej niepozornej drogi na drugą, wąską, pograżoną pomiędzy wzgórzami i ściśniętą wśród starych chałup, z prześwitującymi zza zdziczałych chaszczy pasmami potoków i rzeki, mroczne chmury coraz bardziej dominowały, aż zdawało się, że mijany przydrożny krzyż na smukłym cokole, nieproporcjonalny wobec swojej podstawy, niski, przykurczony, jakby nie urosł pod tak ciężkim niebem, zaskoczony w pomrocniejszej od mżawki zieleni dwie sarny rozplywały się w wilgotnym zmierzchu, niby odcisnięte na bibule, jakby od razu zaistniały powidokiem, zwidzeniem pamięci, Děčín, miasto przedzielone Łabą, przez wieki dwumiasto właściwie, dopóki most nie połączył starego centrum koło zamkowej skały z miejscowością Podmoklý, co urzędowo stało się w 1942 roku i jeszcze w 1945 całość nosiła podwójne miano, kolej poprowadzono lewym brzegiem rzeki i dlatego główny děčíński dworzec znajduje się w dawnych Podmoklých, aby zaś do tego doszło, musiały być wydrążone około 1850 roku tunele, także ten pod Pastýřską stěną, co stanowi oś akcji powieści byłego děčínianina, Václava Vokolka, *Cesta do pekla*, postromantyczna, postmodernistyczna narracja o posługującej się postępem diabelskiej ingerencji w ład natury, współcześnie połączony już organizm miejski dzieli krzyżujący się z rzeką i rozkładający po obu jej brzegach wielki drogowy węzeł komunikacyjny, bezlitośnie przesłaniający część panoramy i zmuszający do wzmożonej uwagi nowo przybywających, nawet tych, którzy korzystają z nawigacji, skutecznie niwelujący już nie urok natury, lecz i możliwość kontemplacji dawniejszej zabudowy, patrząc na miejskie otoczenie,

górzyste, skaliste, na zamykający zachodni horyzont podługowaty Děčínský Sněžník, najwyższą górę stołową w Czechach (jest tutaj kilka Śnieżników i dlatego noszą one odpowiednie przydomki), trudno przyjąć, iż jest to najniższe położone czeskie miasto, chociaż tędy właśnie wypływa z Łabą, w której swój udział ma i Weltawa, *gros* czeskich wód, wszelkie formalności dotyczące tutejszego pobytu załatwiliśmy internetowo, a wynajmujący pozostał dla nas na zawsze *persona ignota*, klucze wyjęliśmy ze skrzyneczki zlokalizowanej na niskim murku dzielącym park i jakieś skrajnie zaniedbane przemysłowe podwórko, skąd właśnie oddalało się dwóch podejrzanie wyglądających mężczyzn, kiedy ustawiło się odpowiedni ciąg cyfr na kabluku kłódki i otworzyło pokrywkę, trzeba było jeszcze zgrać kod na kolejnej klapce kryjącej wiszący na haczyku klucz, wynajęty lokal okazał się mieszkaniem na drugim piętrze w dużej kamienicy, solidnej szarej budowli z pierwszej połowy ubiegłego wieku położonej przy głównej ulicy, wysokie, ponad trzymetrowe kondygnacje łączyła klatka schodowa z poprowadzonymi półłukiem biegami kamiennych schodów, z nieczynnym po wojnie szybem windy, mroczna i nieprzytulna, na czeski sposób schludna i udekorowana bez gustu, okna wychodziły na częściowo zasłonięte podwórko, za którym zwracał uwagę wielki budynek, wyjątkowo tutaj świeżo odnowiony i zagadkowo pusty od góry do dołu, a z drugiej strony na podobne do naszej kamienicy, bez znaku życia, prócz pokoju mieliśmy do dyspozycji kuchnię, łazienkę, ubikację z wszelkimi wyposażeniem, na każdym kroku odczuwało się czyjąś domyślność i przemyślność, nieomal psychiczną obecność owego transinternetowego partnera, zawczasu wykupiliśmy już bilety na rejs w następnym dniu statkiem spacerowym „Bohemia” do niemieckiej twierdzy Königstein, Łaba przepływa tutaj przełomem przez park krajobrazowy Łabskie Piaskowce, podnóżem wysokich filarów skalnych częściowo porośniętych czy przerośniętych lasem, po jednej stronie towarzyszy jej wspomniana „diabelska” kolej, a po drugiej szosa, tu i tam rozsiane są zabudowania, opodal miasta zaskakujące często zaniedbanie i ostro kontrastujące przez to ze swoją wyjątkową lokalizacją, po lewej i prawej mija się kilka wiosek, także miejscowości lotniskowe, Hřensko i po przepłynięciu granicy Bad Schandau, w których statki przystają, cały czas mieliśmy świadomość, że patrząc na prawo, poruszamy się wzdłuż naturalnej kurtyny przesłaniającej park narodowy Czeska Szwajcaria, który w poprzednich tygodniach trawił wielki pożar, śledzony przez wszelkie możliwe media nie tylko w Czechach i który gaszono też z powietrza, przy pomocy wyspecjalizowanych maszyn z kilku krajów, w tym z Polski, a nasz rejs był pierwszym po wznowieniu komunikacji na rzece, pasażerowie dopatrywali się, bez rezultatu, jakichś śladów pożogi, rychło dominantą krajobrazową – i celem obiektywów – stawała się pozornie zamykająca kanion przed nami stołowa góra Lilienstein, zaskakująca dla mnie, unosząca wyobraźnię i sprawiająca, iż tworzyłem w sobie odpowiedź, lepiłem ze siebie, swej wewnętrznej substancji taką swą osobowość, jaka żyłaby tutaj, wobec takiego anturażu, w konfrontacji, choćby wzrokowej tylko, z tym wzniesieniem, z jego formą, siebie wynikającego niejako z owej głębokiej bruzdy w ziemi z poruszającą się w niej ciemną,

czarną wodą, z półdzikimi brzegami wzdłuż których przelatywały czasem kormorany, a gdzieś tam trwały na kamieniach czy mieliznach siwe czaple, z ciekawością płynąłem za sobą, takim, nigdy dotąd nieznanym, możliwym, jakim byłbym w przeszłości, jakiej nie miałem, a jaka była udziałem tylu innych, tutejszych, jakby nagle mi bliższych, cała ta introspekcja przebiegała w dziobowej przestrzeni, gdzie było pełno, siedzący na ławkach za stolikami ludzie wnosili tu, jak orientowałem się z zasłyszanych słów albo z obserwacji, swoją czeską codzienność, dla mnie nadal jeszcze egzotyczną i również prowokującą moją empatię, wciąż byli to oni, z jakimi w pełni się nie identyfikowałem, o jakich nie mógłbym się wypowiadać w imieniu tradycji, historii, szerszej społeczności, tak jak czuję się uprawniony do posiadania własnej, choćby i ekscentrycznej, narodowej tożsamości i interpretacji, od lat już będąc u nich, wciąż domyślałem się tylko, co w ich ustach znaczy pojawiające się często „u nas”, co się kryje pod owym „cali my”, zarazem nie czułem się nijak zobowiązany do szukania i dawania odpowiedzi, byłem jak zjawiająca się nad statkiem od czasu do czasu mewa, towarzysząca, współuczestnicząca, ale wyglądająca tylko czegoś dla siebie, wysiadało się w miejscowości Königstein, której miniaturowości potęgowało wciśnięcie między wodę a wznoszącą się ziemię, a wszechobecna reklama turystycznej atrakcji, z obecnością kolorowego pseudopociągu i stosownymi dekoracjami nadawała jej rys cyrkowości, ze względu na czas skorzystaliśmy z trwającego kwadrans przejazdu, w większości podjazdu, autobusem, na miejscu u stóp skały kupuje się bilety, sunie wwyż parę pięter kilkudziesięciuosobową windą, a na górze już zwiedza się, co chce, rozmaite ekspozycje usytuowane są w rozrzuconych na płaskowyżu budynkach, koszarach, gospodach, magazynach, arsenale, kaplicy, która przypomina, że mimo tego całego dookólnego ordnungu jesteśmy jednak w nieco innych Niemczech, we wczesnych latach komunistycznych mieściło się tu kino, w związku z czym nie wszystko, delikatnie mówiąc, z wyposażenia się dochowało, przypomina nam to niedawny pobyt w Mosznej, gdzie kaplica zamkowa służyła podobnym celom i wyszła na tym podobnie, nie wszystkie zabudowania pamiętają epokę Augusta Mocnego, naszego króla, a wcześniej tutejszego suwerena i autora owego strategicznego przedsięwzięcia, główną atrakcję tej największej twierdzy w Europie stanowi samo jej położenie, dookólna panorama, dla której warto zrezygnować z tego czy owego elementu wewnątrz, zapuszczone w surową skałę mury, układające się w obrys typowy dla architektury fortecznej, urozmaicone gdzieś tam dwustuletnimi działaniami, pozwalają sięgnąć wzrokiem na dobrych kilkanaście kilometrów, a nawet przy gorszej pogodzie, jakiej chwilowo także doświadczyliśmy, cieszyć się zmieniającą się aurą obrazów, szczególnie jest stąd widok na wspomnianą wcześniej górę Lilienstein, objętą meandrem Łaby, notabene, jest to kraina duszy samego Caspara Davida Friedricha, działającego także na zamówienie dęčíńskiego hrabiego von Thuna, zmierzając z twierdzy na statek, nawiązujemy znajomość z polską, jak zasłyszeliśmy, rodziną i powrotną drogę spędzamy wspólnie, to nauczycielskie małżeństwo w wieku emerytalnym z Brzegu Dolnego, pracą związane z Wołowem i jedna z ich córek, informatyczka kończąca studia w Portu-

galii, dziewczyna wspina się także po skałach, ale i rodzice prowadzą imponująco aktywny żywot, zwiedzając świat różnymi środkami lokomocji, w rozmowie pojawia się jakiś domek, systemy jego ogrzewania etc., aura spełnionych ludzkich nadziei, my na drugi dzień przesiedliśmy się już do samochodu, przypadkowo, parę dni wcześniej, natrafiłem na opis barokowego kompleksu w Horní Policy, po polsku brzmi to paradnie: Górna Półka, gdzie dobiegają końca prace restauratorskie, dotarliśmy tam około dziewiątej, parkując pod lipami otaczającymi pomnik Husa na głównym placu wioski, nikogo nie napotkaliśmy, oczywiście doskonale widoczne było samo sanktuarium, położone nieco wyżej, na tle jeszcze wyższego wzniesienia, dominował kościół i wysoka wieża bramna zamykająca starą, wąską aleję, jakby nachalnie wizualizującą przepaść w czasie od niegdysiejszej świetności tego miejsca, doszliśmy do niej pochyłą i wąziutką uliczką, obok martwego domu, przy którym w miniaturowym, trójkątnym ogródku stały dwie sliwki obsypane owocami, spadającymi bezinteresownym i nieprzyjętym darem w wysoką trawę, wewnątrz arealu wszystkie budynki jaśniały świeżą, białą i różową farbą, świątynia była zamknięta, dostępna wzrokowo tylko przez kratę kruchty, natomiast swobodnie można było przechodzić kruzgankami, gdzie również znajdowały się kaplice, wszystko to pełne symbolicznych przedstawień, prowokujące do dialogu, jaki prowadziliśmy nie tylko między sobą, lecz także za pośrednictwem aparatu fotograficznego z jakąś sponowaną przyszłą chwilą refleksji, było się tu skonfrontowanym z mnogością skoncentrowanego duchowego przekazu, poszczególne obrazy zdawały się być wizjami korespondującymi z naszą wewnętrzną potencjalnością, z ukrytą potrzebą wyrazu, emanowały przy tym melancholią opuszczonej epoki, opustoszałych korytarzy, w jakich bezużytecznie trwają liczne konfesjonały, a ich dziś zakurzone, lecz kunstowne linie wycięte w drewnie jakby wtórowały myśli, że piękno zbawi świat, jest kształtem miłości, odpuszczającej nawet najgorsze tym, którzy mocno umiłowali, niedługo za nami pojawiła się trójka Niemców, uśmiechniętych, o stylu bycia, jaki od razu sygnalizuje, że nie mają zamiaru przypominać, kto tutaj mieszkał przedtem i dlaczego nie mieszka tu teraz, jedna z kobiet stając przed kratą, przeżegnała się, prócz fresków, trzeba przyznać nie zawsze najwyższego kunsztu, z wolnością stawiających zamki z piasku zdejmowaliśmy naszymi telefonami konfiguracje form architektonicznych, nakładanie się filarów, łuków, gzymsów, dachów i wież, wszystko to z dalekim naturalnym planem i przy sprzyjającym świetle, gdzieniegdzie jeszcze pracujący robotnicy nie reagowali zupełnie na poczynania zwiedzających, okazało się również, że jest to jedno z miejsc objętych akcją tak zwanych poezjomatów, o której słyszałem już wcześniej, w wybranych miejscowościach Sudetów, to znaczy terenów czeskich przyłączonych do Rzeszy po konferencji monachijskiej w 1938 roku, a wysiedlonych w roku 1945, ustawiono urządzenia głośnikowe w kształcie wystającej z gruntu grubej czarnej rury wygiętej na wysokości wzroku, kojarzącej się z peryskopem bądź syreną okrętową, opatrzonej wykazem tekstów, na zmianę w językach czeskim i niemieckim, z odpowiednimi przyciskami, treść to zwiędła historia miejsca oraz garść poetyckich i dokumentalnych

zapisów, do nas przemówiła z czarnej gardzieli nie tylko charakterna arystokratka, niezbyt sympatyczna, ale szczodra fundatorka, lecz także nie mniej osobliwy miejscowy proboszcz sprzed paru stuleci, niejaki Hockewanzel, który na przykład o swoim przełożonym, arcywikariuszu diecezji, mawiał: *knioural vrtichvost* (świński kręcichwost), schodząc zauważyliśmy, że tymczasem zmieniła się sytuacja na wiejskim rynečku, obok największego domu stały dwa samochody, osobowy i dostawczy, oba z rejestracją holenderską, a młoda kobieta o skórze czekoladowej barwy opróżniła z wysuszonego prania dwa okrągłe wieszaki w ogródku, robiąc zdjęcie ocienionego Husowego biustu tkwiącego na smukłym obelisku na tle jaśniejących w głębi budowli, zdawaliśmy sobie sprawę, iż oś kompozycyjna fotografii pokrywa się z linią historycznego napięcia, charakteryzującego to społeczeństwo w ostatnich wiekach, przemieszanej z dobrą wolą manipulacji, używającej kamiennych i spizowych podobizn owego gorliwego kapłana niczym pocisków godzących w jego duchowe gniazdo, co prawda pragnął on Kościół zmienić, ale nie unicestwić, mijamy narożnik starej szkoły, aktualnie przedszkola, i przy jej murze, w ogródku, niedostępna stelę upamiętniającą niegdysiejszego niemieckiego nauczyciela, ponieważ przepływa tędy Ploučnica (uchodząca do Łaby pod zamkową skałą w Děčínie), w centrum wsi usytuowane są opodal siebie dwa mosty, jeden współczesny, drogowy, pragmatyczna konstrukcja bez wyrazu, drugi natomiast, odcięty od ruchu pojazdów, z ławkami i kwiatami, organicznie osadzony w pamięci krainy, oferujący jeszcze inne ujęcie widoku sanktuarium, siadamy, by się posilić, a przy okazji odczytujemy brązową plakietkę nad przyczółkiem, że obiekt ucierpiał w roku 1968 w wyniku przemieszczania się wojsk inwazyjnych, skazany na zburzenie, bezużyteczny wobec wzniesienia nowej przeprawy, uratowany został dzięki uporowi mieszkańców jako zabytek, za rzeką intrygował nas większy budynek, bezsprzecznie stary, o graniastej niskiej wieżycze pod szpiczastym hełmem, okazało się, że to zamek, po latach funkcjonowania jako tutejszy pegeer, a później niefunkcjonowania w ogóle, niedawno uznany za zabytek i z tej racji dotowany, ze stosowną tabliczką, wyrokiem ocalenia, przed szarym, niemym stylowo frontem remontowy bałagan, deski, przewody, sterty materiału, o wejściu nie ma mowy, z tyłu dawny folwark z wszelkimi możliwymi socjalistycznymi dodatkami i ubytkami, wielki pusty podworek otoczony okaleczoną, gdzieśgdzie wręcz szczątkową architekturą, zaś na obrzeżach, od strony wjazdu, którędy weszliśmy, rozbijała vegetacja, pokrzyw przede wszystkim, krzaków, samosiejek drzew, dzikiego wina, dalszy plan, kilkadziesiąt metrów w głąb już tylko garby, sterty nie wiadomo czego pokryte triumfującą zielenią, koleiny świadczące o jakimś ruchu, na wysypisko zapewne, ale tuż przy wejściu magazyn z rampą i prymitywnym kolorowym szyldem z napisem „Zamkowe Muzejátko”, czyjaś nieporadna, nieczynna, może nawet zamarła inicjatywa, kulturalno-merkantylna, ostro kontrastująca z jakby ustałym tutaj przed chwilą tchnieniem dawnego reżimu, przemieniającym zastany świat ideologicznie, za sprawą degradacji systemowej przemieszanej z oddolną, niszczycielską inicjatywą, aurą dowolności, prostackiej swobody, także swawoli, ale dalej pod ścianą

prowizoryczny skład zebranych z cmentarza nagrobków, destruktywów, poprzerastanych i przemieszanych z deskami, złomem, z byle czym, swoiste święte świętych owego sanktuarium chaosu, z sepiową ikoną fotografii nagrobnej Anny Pavlovej, dojrzałej kobiety w jasnej chustce, z tutejszej zgrzeźbności pokornie zapatrzonej, nie wiemy, w doczesną czy pozadoczesną przyszłość.

25 sierpnia 2022 r.

Wielka Sobota, 8 kwietnia 2023 r., 4.00

DOLNA BAWARIA

Bawaria, te łąki, kiedy już wyszło się z opactwa, już minęło romańsko-barokową świątynię Panny Marii, skąd by się nigdy nie chciało odejść, i szło się pod górkę, szło przez las z nadzieją, że odsłoni on za moment Dunaj, tę tak wezbraną znaczeniami rzekę, wzdłuż której wędrowaliśmy przedtem do wielkiej klasztornej bramy, na podworec zajęty przez setki obiadujących pielgrzymów, Dunaj w jego przelomie przez piaskowcowe skały, wysokie ściany i filary, lecz wciąż był wokół las mieszany, bukowy przeważnie, z pokorną, miękką czarną dróżką, ten Dunaj powracający w zaskakującej szerokości w Ratzbonie, majestatycznie podążający w dal w zleconym sobie poselstwie, i wobec jego ważkości ignorujący rozpruwający mu nurt wąziutki ostrów, kiedy minęło się romański most, kiedy już się stanęło przed katedrą o zbieżystych ażurowych wieżycach, złamane łuki portalu powtarzały bogactwem profilów, sekwencjami nakładających się figur impet fali, jakby umykającej stąd, sprzed stóp, z naszego miejsca na ziemi, dobitną oczywistością myśli gotyckiej w nieskończoność, a nad bocznym wejściem trwali w ciasnocie tympanonu, niemal stykając się ze sobą, Bóg i Mojżesz pośród kamiennych obłoków, z kamiennymi tablicami w dłoniach, w akcie wzajemnej jedności, w samym centrum stającego się odwiecznie przymierza, powołującego również z kulturowego niebytu tutejszą krainę, jej pra-praniemiecką świadomość, pierwszych przybyłych i rodzimych misjonarzy, męczenników, mnichów, których śladami poruszaliśmy się wczoraj, przedwczoraj, którzy spoza szeregów anonimowych benedyktynów następnego stulecia, witali nas w Rohr, Weltenburgu, Andechs, skąd pochodziła też św. Jadwiga Śląska, aż dotarliśmy do klasztoru świętego Immrama, w tejsze Ratzbonie, przed złoty sarkofag Wolfganga, który wyraził zgodę na wyodrębnienie diecezji praskiej, to tutaj zostali ochrzczeni czescy książęta, to stąd chrześcijaństwo czeskie, jak gdyby Dunaj i Węłtawa płynąc do innych mórz, zmierzając w przeciwnych kierunkach, spływały z sobą wówczas w niepojętej mistycznej jedności, a jeszcze Alpy z Andechsu, jakby się ich niespodziewanie doznało, dotknęło w ich enigmatyczności, w przepastnym tle na zapleczu żeliwnego krzyża rdzewiejącego na krawędzi urwiska, sięgając wzrokiem w głąb bławo-białej kawerny, w rozdarty bok nieba, i dopiero teraz, kiedy pozornie powiedziało się, co najważniejsze, mogło

się dotrzeć do tego, co było na początku, pierwszego dnia, pierwszego wieczoru na tamtej ziemi, jak gdyby miało się widzieć to wszystko w odwróconym porządku, dochodząc do punktu, do momentu wyjścia, zaczynając od zmierzchu na pustej ulicy, kiedy szliśmy wolno poprzez małe miasteczko, w którym wszystko było na swoim miejscu, gdzie było wszystko, co trzeba, było jak gdyby nigdy nic, jakby uwyraźniła się wszechobecna nadzieja na wszystko, na bezustanne stawanie się ostatniego pierwszym, doszliśmy do budynku z ogrodem na zapleczu, za niskim metalowym płotkiem od ulicy, tuż za którym pobladły już wysokie tulipany, przy tylnych drzwiach, pod niskim światłem lampy z szerokim krągłym abażurem stał spory stół z zastawą i po dwóch stronach krzesła dwojga młodych ludzi, mężczyzna wstał właśnie i trwał tak, ruchomo-nieruchomo, trzymając dłoń na oparciu żelaznego ogrodowego siedziska, jakby na pół w projektującej się wokół przyszłości, w momencie nastawiania głębszej ciszy, jakbyśmy spóźnieni o sekundę rejestrowali coś, co było zamknięciem, pogłosem tylko i kiedy coś by się miało zacząć, coś nowego, ponieważ obecni wymienili między sobą wszystko, a teraz jakby syci siebie, takich, jakimi się sobie zdawali, w rozluźnieniu zwracali na zewnątrz, wewnątrz gotowi, na innych, świat, zrządzenie losu, i moglibyśmy w tej sytuacji zostać zaproszeni do ogrodu, do stołu, do życia, nieoświetlony dom trwał tuż za nimi w nieokreślonym oczekiwaniu, niby nadstawa poliptyku przygotowana do otwarcia, idąc, niemal bezgłośnie wnikaliśmy w tutejszość, naturalnie, intymnie, *a priori* spokrewnieni z nią zrządzeniem wyższego jakiegoś porządku, bratający się w nieodprawionej liturgii, niemi w niemczyźnie, nie otworzyliśmy bowiem ust, tak jakby nic się nie stało, jakbyśmy sami rozminęli się z sobą na Wildenbergerstrasse 11.

5 maja 2023 r., 2030 /13 maja 2023 r., 9.00

ASYMPTOTA

Papież Franciszek w albie lub białym ornacie trzyma na wysokości piersi wielką monstrancję zakomponowaną na planie greckiego krzyża, stoi przede mną, dwa, trzy stopnie wyżej, po bokach mam dwie osoby, ta po prawej przypomina moją rówieśniczkę z naszej parafii, wszyscy wznosimy dłonie trzymające komunikanty, jakbyśmy chcieli włożyć je do tej wielkiej hostii bielejącej naprzeciw, przypominam sobie, że ponoć eucharystię należy przełamać, i tę moją, która jest teraz takiej wielkości, jak te używane podczas liturgii, przełamuję, nierówno nieco, strzępiasto i mniejszą część wkładam do ust, od wczoraj, na tę jedną noc, jestem sąsiadem Pana Boga, ściana naszego pokoju na Starej Plebanii, która zapewne pamięta czasy Anioła Słazaka, dotyka gotyckiego prezbiterium św. Macieja, jakbyśmy byli tutaj oko w oko, ponieważ krągły, esowaty maswerk z piaskowca, za którym niżej znajduje się tabernakulum, wypada *vis-à-vis* mojego okna, zaś trochę w lewo, w głębi, niczym muszka w szczyrbince miejskiej zabudowy, tkwi pion wieży św. Elżbiety,

w tym oddaleniu jest tej samej mniej więcej wielkości, co dzwonnica lwowskich bernardynów na grafice za moimi plecami, którą pamiętam z ryciny w moim domu rodzinnym, czerwone oświetlenie tworzy na graniastym, ceglany cokole najwyższej wrocławskiej wieży smugę ciągnącą wzwyż i kulminującą w niewyraźny owal, natrętnie przypominający mi zegar, choć wiem, że tam żadnego zegara nie ma, nie ma też, o ile dobrze pamiętam, okrągłego okna, ta oświetlona w ten sposób w zapadającym zmierzchu budowla, owe piony pokrewne, wszystko to kojarzy mi się z asymptotą, zbliżnią, linią wykreśloną przy innej, nieskończenie przybliżającą się do niej, której jednak mogłaby dosięgnąć tylko w nieskończoności, tym pojęciem posłużyła się nie tak dawno, po drugiej stronie Starej Plebanii, to znaczy w ogrodzie Ossolineum ze stylizowaną rzeźbą Silesiusa, Urszula Benka, kiedy usiłowałem przedstawić jej swoją znajomość z Andrzejem Szyszko-Bohuszem i wrażenie oddziaływania na otoczenie emanacji jego *samadhi*, czyli, jak sam to nazywał, Uniwersalnego Stanu Świadomości, przypomniła w tym kontekście męża, Andrzeja Urbanowicza, którego także znałem, uczestniczyłem parę razy w warsztatach zen, jakie przeprowadzał u siebie, to znaczy na zaadaptowanym na buddyjski przybytek poddaszu ogromnej katowickiej kamienicy, na Kolejowej 1, nie, na Piastowskiej 1, poprawia mnie, i nadal mówi o nim, o ich wspólnym życiu w Nowym Jorku, nadmieniając jedynie o kontaktach ze znaczącymi osobami tamtejszego wielonarodowego środowiska, choćby o Brodskim, który, jak wielu innych, miał tam możliwość porozumiewania się w rodzinnym języku, siedzi przede mną, odchyłona lekko od stolika, może dlatego, żeby pałac, nie przeszkadzać nam dymem, ale ta poza i pozycja wysuniętej ręki z papierosem nadaje jej postaci dynamiki, zdecydowanego, choć utajonego, ruchu gdzieś w poprzek, na ukos, co przy nieruchomiejącym raz po raz spojrzeniu otoczonych zmarszczkami, jasnoblękitnych oczu pod wypłowiałymi brwiami przeciągniętymi mocną, czarną kreską, zdaje się być również przesuwaniem się w czasie, poza czas, przemieszczaniem w sobie, przybieraniem stabilności i mocy, spontanicznym oswobowadaniem z przygodności, niby spostrzeżenie drzewa zamarłego w bezwietrzu, emitującego nagle nieoczekiwany, przekraczający jego własny kształt, sens, jakby najważniejsze, o czym staraliśmy się powiedzieć, w czym staraliśmy się wzajemnie odnaleźć, wymagało wysiłku wykreślenia z możliwie maksymalną dokładnością asymptoty, wyprowadzonej z nieprecyzyjnej życiowo i duchowo naszej osobistej matematyki.

9 czerwca 2024 r., 6.15

Antoni Matuszkiewicz

Grzegorz Strumyk

ŁATANINA 44

Piszę o tym, co jest sukcesem, staje się nim, a nawet musi... Wstaję rano i szukam celu, jeśli na krótko przed przebudzeniem sam się nie objawi przez chwilę, aby do niego później można było wrócić. Najchętniej byłoby żyć bez przygotowania, jak w najlepiej wspomnianych latach. Choć czy tak było kiedykolwiek? Życie w olśnieniu, cudownym egoizmie ciała niegotowego na żadne ustępstwa...

Świat jest zimny. Doskonale zimny. Jest mu wszystko jedno. Moja miłośność i beużyteczność jest mu do tego samego potrzebna, co stawiane sobie pytania do... istnienia.

Skąd biorą się nasze opowieści w czasie, ponad światem, w trybach miękących słowa? Gdy połączyć głosy, słysząc płynące zewsząd majaczenia o czymś innym. Położyć się pośród tych majaceń, przemieniających się w pustkę, dla niepoznaki wypełnioną odległymi bibliotekami.

Literatura nie jest przedmiotem, tylko zjawiskiem, objawieniem świata i czasu w myśli. Przebywa w różnych miejscach.

Tak dobrze. Siedzę na skraju lasu, już nie wiem jak długo. Powoli zza moich pleców wychodzi lis, z trzech metrów mija mnie, jak gdyby nigdy nic. Przy najkrótszym promieniu na wprost mnie patrzy mi w oczy i przyspiesza, odbiega truchtem przed siebie. Tak długo siedzę na skraju lasu wpatrzony przed siebie, nieruchomy, zastygły i cichy, że przyszedł zbadać, czy żyję. Świat jest taki użytkowy. Lis ująłby mi mięsa, gdybym nie żył. O tej porze roku jest bardziej odważny, musi nakarmić młode liski. Nie budzi to mojego sprzeciwu. Nakarmione liski są dobrą rzeczą. Taka jest tyrania świata i z tyranii czerpie się w końcu przyjemność jej poznania.

Dużo myśli, a potem żadnej, tylko sama świadomość nie wiadomo czego. Bez emocji, wystarczy, że nie boli ciało, dociera słońce i powiewy powietrza.

Nie wiem, jak można żyć w taki sposób, w jaki mi się to udaje.



Fot. Grzegorz Strumyk

Roman Sabo

Kondygnacje czasu i przestrzeni

O DRZEWACH I BORZE VINCENZA

O drzewach od jakiegoś czasu jest głośno. Kilka lat temu cały świat zaczytywał się w spowiedzi Petera Wohllebena, niemieckiego leśnika, który przejrzał na oczy i w miejsce pni do ścięcia dojrzał las w całej jego złożoności. Niestety, podobnego oświecenia nie doświadczyli liczni polscy leśnicy i ich zwierzchnicy z Lasów Państwowych. O drzewach pisze się różnie. Irlandka Diana Beresford-Kroeger, mieszkająca w Kanadzie, opisuje między innymi lecznicze właściwości związków chemicznych wytwarzanych przez drzewa. Botaniczka, doktor filozofii w zakresie biochemii, twierdzi z ogromnym, popartym wiedzą i doświadczeniem, przekonaniem, że las jest z jednej strony najbogatszą apteką dostępną człowiekowi, z drugiej podstawowym filarem, na którym wspiera się uzależniona od tlenu nasza ziemská egzystencja.

Amerikanin John Vaillant, również osiadły w Kanadzie, pisze o spustoszeniu, fizycznym i duchowym, związanym z rabunkową gospodarką leśną i o symbolicznym znaczeniu drzew dla ludności tubylczej. Popularna staje się znowu zaczerpnięta z mitów skandynawskich figura jesionu, będącego tronem wszechświata. W micie jednego z plemion rdzennych plemion jesionowa strzała wbija się w jesionowy pień, a z powstałego w ten sposób otworu wypływają ludzie. Jesionową włócznią Achilles walczy z Eneaszem, któremu życie ratują olimpijscy bogowie, żeby Wergiliusz mógł napisać *Eneidę*, a Dante miał Wergiliusza za przewodnika po piekle w *Boskiej Komedii*. Z jesionu wytwarza się najlepsze laski do irlandzkiego hurlingu. Staroceltycka opowieść o Sweeneyu, zamienionym w ptakoludzką postać dumnym i okrutnym królu, rozgrywa się w koronach drzew puszczy pokrywającej irlandzką ziemię, którą wytną już wkrótce do pnia przedsiębiorczy Anglosasi. Tłumacz eposu o Sweeneyu Seamus Heaney napisał kilka pięknych wierszy o drzewach. Irlandzka artystka stworzyła własny aflabet drzew, wzorowany na staroceltyckim alfabecie oganicznym, przy pomocy którego powstają wiersze i opowieści o ciekawej szacie graficznej.

Dzięki Stanisławowi Vincenzowi od dawna posiadamy niezwykle bogaty zapis istnienia drzew, znaczenia Boru, związku Boru z człowiekiem. Opisy świata drzew, przestrogi, przepowiednie, tworzą znaczną część *Zwady*, jednego z pasm *Na wysokiej połoninie*. Do nowszych odkryć badaczy lasów, opisywanych w wielu naukowych opracowaniach, należą drzewa rodziciele, drzewa-matki, podkreślające organiczność lasu, jego społeczne istnienie. Tę organiczność Boru Vincenz przedstawił niezwykle wnikliwie. Ofiarował nam mit boru – mit, czyli przenikliwe wnikięcie myślą i czuciem w niepodważalną tajemnicę istnienia. Wniknięcie dostępne ludziom organicznie i nierozdzielnie związanym z Borem.

Czym jest czysty zachwyty? Może także rozpoznaniem. Moje początki są w bieszczadzkiej puszczy. W jej cieniu, w jej powiewach, wśród jej ptaków i zwierzęcych tropów, poczęła mnie miłość moich rodziców. Ze Śląska, gdzie robocza migracja zaciągnęła mojego ojca, urodzonego w Stanisławowie, do którego robocza migracja zaciągnęła była mojego dziadka, wracałem w Bieszczady często. Były dla mnie przed wszystkim górami, wierzchołkami ważniejszymi od pełnego drzew wnętrza puszczy. Ciągnęło mnie do wolnej przestrzeni, nieprzesłoniętego widoku, porywów wiatru, falującego trawiastymi wzgórzami horyzontu. Tatry, Beskidy, Karkonosze, Bieszczady – szczytom, widokom, połoninom poświęcałem więcej uwagi niż drzewom. Były w tle, były tłem.

Kiedy puszcza zaczęła funkcjonować w moim spojrzeniu jako przestrzeń wypełniona, rzeźbiona, kształtowana przez pojedyncze drzewa: jodły, sosny, buki, modrzewie, klony, sekwoje? I dlaczego, skoro swego czasu oniemiały zachwyty ogromem kalifornijskich, czerwonych cedrów nie odmienił mojej optyki? Tak jak nie odmienił jej zachwyty wilgotnym, zielonym, delikatnym jak pajęczyna na wietrze wnętrzem deszczowej puszczy znad kanadyjskiego brzegu Pacyfiku? A zachwyty pamiętam do dzisiaj i do dzisiaj bez chwili zwłoki potrafię wywołać oba lasobrazy przed oczyma zafascynowanej duszy. Jak dwie ilustracje do tezy Heraklita postulującej istnienie dusz suchych i dusz wilgotnych.

Dobre pytania czasem właściwiej jest postawić, po czym zostawić je w spokoju, niech fermentują w wyobraźni. Od jakiegoś czasu częściej włóczę się po puszczy, chodzę wśród drzew, przyglądam się pniom, konarom, koronom. I myślę o wielkich naszej mowy – rozpaczającym nad wyrębem litewskiej puszczy Adamie Mickiewiczu; gromiącym bezwzględna pazerność i głupotę właścicieli ziemskich, sprzedających kresowe lasy na pniu, Melchiorze Wańkowiczu; marzącym o prywatnej Republice Drzew Czesławie Miłoszu. A od jakiegoś czasu uczę się języka lasu, opowiadania o leśnym istnieniu także u „czarującego gaduły, zatroskanego o ludzkość i o jej mądrość” Vincenza.

Jestem święcie przekonany, że pewne książki wpadają nam w ręce z własnej woli i dopiero wtedy, gdy jesteśmy przygotowani do ich właściwego odbioru. Mam takich przygód z książkami kilka, a dzieło Vincenza jest jedną z przygód świetniejszych. Stąd te rozważania na marginesach *Zwady*, drugiego pasma cyklu *Na wysokiej połoninie*. Wynikające z zachwyty drzewami, niemającego nic, ale to nic wspólnego z filologiczną czy literaturoznawczą wiedzą. Co więcej – spisuje te słowa stuprocentowo Vincenzowski dyletant. Ot, dygresyjne marginalia na kartach opowieści o drzewach, o borze, o człowieku w stosunku do drzew, o węźle gordyjskim współgzyzstencji boru z siekierą w czasach, gdy piła była lekceważąco traktowaną nowinką, o tytułowej zwadzie między koniecznością wyrębu i niekwestionowana przez drwali koniecznością istnienia boru.

Tłem *Zwady* jest wielki głód z 1864 roku. Zwłaszcza jego długotrwałe konsekwencje. Niepiśmienni Huculi dają w zastaw za pożywienie swoje posiadłości, które, dzięki chytrym machinacjom spekulantów, tracą bezpowrotnie. Protagonii-

stami są zakorzeniony w prawieku Bór; obrotny, bystry, przedsiębiorczy, uczciwy Hucuł Foka, oraz mądry, porywczy, pracowity, wierny starowieczu Tanasij. Dla pierwszego Bór i jego racjonalna eksploatacja to możliwość niezależnienia się od konsekwencji głodu i działań oszustów. Dla gazdującego na połoninie Tanasija podniesienie uzbrojonej w siekierę ręki na Bór to świętokradztwo, sprzeniewierzenie się wszystkim wartościom starożytności, bogatego w konotacje synonimu istnienia. Dwie opcje, każda z nich mocno osadzona w swoich racjach, każda podbudowana dramatycznymi konsekwencjami:

Fokowy najazd zamierzał wyzwolić kraj od niedostatku, od lichwy, od poniżenia przez biedę. Naprzód przed siebie! Ale nie był to bunt żaden ani napad. Przeciwnie, ruszyli na podstawie umów. W zgodzie z odległym światem, z jego prawami. Trudno przecie przypuścić, aby zamierali uzależnić się od kogokolwiek, czy to od miast, czy od narzędzi, rzemiosł i fabryk, czy też od dostaw, czy wreszcie od nie znanych dotąd potrzeb lub zachcianek. A na pewno do głowy im nie przyszło, aby wyrzec się starej swobody. Nie zastanawiali się na pewno nad tym, czy stara prawda da się pogodzić z nową. Lecz trzeba tutaj rzec, że nowe czasy nie będą jednoznacznie naprzód, bo wszystko kosztuje. Co gorsza, nowe czasy zawierają nieraz narowiście, zwłaszcza gdy je popychać gwałtem naprzód.

Czasy gospodarki leśnej w południowym zakątku Karpat są młode. Piła jest nowością. Rabunkowa gospodarka leśna w tej części świata jest nadal w powijakach. Nikt tutaj, może poza Tanasijem, nie uwierzyłby w wieści zza morza, że gdzieś daleko cała wyspa Irlandii została ogołocona ze swych prehistorycznych borów. Wyspa, której starożytne pismo ogamiczne zwane jest również alfabetem drzew, ponieważ każda litera alfabetu wymawiana jest jak nazwa odpowiadającego jej brzmieniem drzewa. Nikt, może poza Tanasijem, nie jest zdolny wyobrazić sobie zniszczenia karpackiego Boru. Zwłaszcza, że wszyscy Bór szanują i uznają za twór obdarzony własnym życiem, egzystencją przez nikogo niepodawaną w wątpliwość.

Bór jest pełen ruchu, głosów, obecności. Bór ostrzega, przestrzega, informuje sprawiedliwych o swoich zamiarach w snach. Bór karmi, ale też kara za przewinienia, z których najpoważniejszym jest pogardliwa obojętność. Bór strzeże swoich tajemnic, a jednocześnie potrafi się dzielić i obdarowywać. Bór nie karze Hucułów rąbiących pod swoje pastusze czy rolnicze poletka, ponieważ jest gotów przystać na zrównoważoną koegzystencję. Rabunku pni, wycinanych siekierą i piłą dla czystego zysku, Bór tolerować nie może. Nie może też położyć im kresu.

Vincenz żył nie tylko na pograniczu wielu kultur, lecz również na granicy czasów. Zostawił nam zapis chwili szczególnej. Stare ma się dobrze, nadal kształtując ludzkie decyzje, ale nowe jest już tu, uzbrojone w niepostrzeżalną, niemniej niewstrzymaną siłę. Osiadły w karpackich borach polski szlachcic nie sprzedaje boru na pniu, sam nie rąbie, a na postawione przez obrotnego pośrednika pytanie o to, czym tak naprawdę na tym odludziu się zajmuje, odpowiada z przenikliwością filozofa:

- A lasów pan dziedzic nie rąbie, w drzewie nie pracuje, jak starszy pan dobrodziej?
- Nie, nie rąbię ani nie sprzedaję.
- Szkoda – westchnął Zaryga.
- Dziedzic jakby nie mogąc zdecydować się na odpowiedź, bąknął: – Lasów też szkoda.
- A studia pańskie, meteorologia, zapiski – odwodził ze zrozumieniem ksiądz.
- To już idzie mechanicznie, a studia – ha.
- Trochę za trudno tu, na końcu świata?
- Nie, właściwie pole dla studiów tutaj nie byle jakie. – Dziedzic oglądając obcych, przerwał.
- Ksiądz pytał niezmordowanie:
- Dla jakich studiów?
- Człowiek.
- Antropologia także pana interesuje?
- Raczej człowiek na pograniczu.
- Aha, na pograniczu trzech krajów, Galicji, Węgier i Bukowiny? – pytał ksiądz.
- Nie, na pograniczu wieczności i czasu. – Dziedzic nasurowił się, znów wstawał, dorzucił przecie: – Naprawdę już późno. O tym wszystkim kiedy indziej, księżę kanoniku. Chłop, zwłaszcza górski pasterz, to wieczny człowiek, trwa i przetrwa, a my wszyscy, i ja i ci panowie także, to dzieje, to historia, to przechodzi, przemija.

Przesłanie Vincenza jest proste: „Otwórz twe oczy, ślepoto / Ocknij się, słuchaj, głuchoto”. Wzmocnia je obserwacja Miłosza: „czyż można kochać Ziemię, której obszar zmienia się w abstrakcję”¹. Zadumaj się, człowiecze, nad potęgą lasu, mówi Vincenz.

Każde istnienie rozumne ma swój własny język, kod, którego używa w celu nawiązania dialogu. Język, którego znaki reprezentują pewne przyjęte znaczenia. Znaki, które brzmieniem czy postacią niosą wieści. Ścisły związek ze środowiskiem generującym znaki pozwala na ich rozpoznanie. My, mieszkańcy uboższego leksykonu natury, ograniczamy mowę do kilku rzeczowników: las, bór, puszcza, matecznik, sosna, jodła, świerk, modrzew, buk, olcha, leszczyna, topola, klon, oraz kilku mało przekonywujących przymiotników: gęsta, rozległa, mroczna, wysoka, skłębiona. Jest nam całkowicie obca zdolność przedstawienia cech szczególnych lasu, boru, puszczy, a rodzajowe rozróżnienia między sosnami czy świerkami zostały zarezerwowane dla uczelnianych specjalistów. Nienazwane, wykluczone z leksykonu, wyrugowane z języka, zastrzeżone dla specjalistów, tracą na sile istnienia, zostają lekceważeniem skazane na mgliste zaistnienie, usprawiedliwiając np. najbardziej nawet rabunkową tzw. gospodarkę leśną. Sami głuchnąc, zarzucamy wyrugowanemu z uwagi światu niemotę.

Nie pamiętając jakim cudem jest kwiat, ptak, drzewo, powiew świeżego powietrza, smak źródlanej wody, nigdy nie obronimy się przed obojętnością wobec otaczającego nas świata natury. Jeżeli nie będziemy pamiętać, że aktowi stworzenia Ziemi towarzyszyło boskie zadowolenie, nigdy nie zdobędziemy się na odwagę

¹ C. Miłosz, *Przedmowa do: S. Vincenz, Po stronie pamięci*, Paryż 1965, s. 9.

opieki nad światem. Jeżeli zapomnimy, że ciałem jesteśmy z tej samej ziemi, z której wyrasta drzewo i kwiat, nadal będziemy durzyć się planami życia na Marsie, ignorując ziemski ogród. A może jest w naszej ignoracji jakiś przejaw złości na Stwórcę, za to, że tyle troski włożył w stworzenie piękna kwiatów, ptaków i mocy drzew, a człowieka potraktował jakby po macoszemu, ot tak, na końcu, trochę już zużony swoim twórczym polemem?

Jakbyśmy pili wodę prosto ze źródła troskliwie opisanego na kartach dzieła Vincenza. Czystą i orzeźwiająca. Ale tylko do czasu. Jakbyśmy obserwowali wnętrze szklanej kuli, w której rozwija się dla nas wstęga czasu, której biały początek ciemnieje tym bardziej, im bliżej czasów nam współczesnych. Na pewno przysłuchujemy się rozmowie, która w swoich niewinnych i racjonalnych początkach nie jest w stanie dotknąć treści nieobecnych, gdyż niedoświadczonych. O tyle ciekawej, że mając do wyboru między uzasadnionymi racjami przedsiębiorczych Huculów a bajaniami doświadczonych starców, do których nam bliżej sercem, racjonalną rację przyznajemy tym pierwszym. Zatem prawieczny Bór, wzbudzający podziw i niepokój:

zaśniony, nie bronił dostępu nikomu, nie zapraszał nikogo. Kiedy promienie słońca lub księżycą wdarły się doń z trudem, ślizgały się, wyginały się na pancierzach żywicy skrzepłej w lustra. Na krzywych wieloocznych zwierciadłach roztapiały się w widziadła i dziwy. Nie zapraszał nawet zwierzyny leśnej. W ciągu całodziennej wędrówki nieraz byś nawet śladu zwierza nie napotkał. Mech chłonał kroki, czasem ukryty dół mógł cicho pochłonać nieostrożnego wędrowca. Bez końca płynęła leśna fala za falą. Wierch za wierchem, wzgórze za wzgórzem ku szczytowi lekko przejaśnione zwodziło, że kończy się las. Potem znów falując w dół skłonem, pograżał się w mrok. Kolumna za kolumną, baszta za basztą, olbrzym za olbrzymem. Trzech ludzi, pięciu ludzi, siedmiu ludzi potrzeba, by objąć ramionami jedno drzewo. Okrzyk dusił się od razu, potem gdzieś z daleka pojękiwał ostatkiem sił. W długiej męczarni, jak topielec leśnej głębi, który nie może się utopić. Wzrok nużył się, nawet podziw stępiał się, tylko lęk wydrzązał pierś, pogłębiał się. Zewsząd czymał sen, kusił sen groźnie.

I współczesny las przemysłowy. Czyż można kochać las, gdy „nowoczesna gospodarka leśna zajmuje się produkcją drewna, czytaj – wycinaniem drzew, a potem sadzeniem nowych. Podczas lektury czasopism fachowych można odnieść wrażenie, że dobro lasu jest o tyle godne uwagi, o ile jest konieczne z punktu widzenia jego optymalnej eksploatacji. To zresztą aż nadto wystarcza, by wypełnić leśnikowi zwykły dzień pracy, i tak stopniowo dochodzi do wykoślawienia perspektywy”². To jest punkt dojścia, o czym w Polsce wie się dużo i niejedno na ten temat napisano. Epopeja Vincenza jest punktem wyjścia, a współczesny czytelnik ma sposobność zastanowić się nad (zawsze przeciw złożonymi) przyczynami tak drastycznej zmiany perspektywy. Gdy Foka rozmawia ze swoim starym i powszechnie poważanym za swoją mądrość i uczciwość ojcem Maksymem, słyszy przestrożę:

² P. Wohlleben, *Sekretne życie drzew*, przeł. E. Kochanowska, Kraków 2016, s. 7.

- Dla pieniędzy las wyniszczać?
- Las odrośnie – odparł Foka twardo. Znów zamilkli. Foka wstał, ucałował ojca w rękę: – No to już idę, pozwalacie?
- Maksym mamrotał.
- Rób jak najlepiej, ale aby prawdy starej nie zaprzepaścić.
- Jakiej prawdy, strach wam, że łajdakiem się stanę za pieniądze?

Pada dużo takich przestróg. Hucułowie wycinający Bór dla zabezpieczenia się przed konsekwencjami głodu, stykają się z pośrednikami przemysłu drzewnego, kierującymi się podstawowymi zasadami intrantnego biznesu: szybciej, taniej, więcej. Fascynująca jest rozmowa Hucuła z pośrednikiem. Hucuł nie rozumie, nie potrafi pojąć znaczenia frazy *Zeit ist Geld*, pośrednik nie potrafi zrozumieć niepojmującego takiej oczywistości Hucuła. Tak jak nie sposób było wytłumaczyć pośrednikowi wielkiego drzewnego biznesu, że las to nie pnie, tak samo Hucuł nie obejmował uwagą wszystkich aspektów swojego przedsięwzięcia:

Ale nikt nie zapomni bardziej zatwardziale, że dychanie żyje, jak ten kto czyha na nie po po tylko aby powalić tułowie, złożyć na stosy, zmierzyć i poznakować liczbami. Rębacze wcale nie byli z tych, co nie wiedzą, że drzewo żyje i płodzi, choruje, cierpi i umiera, ani z tych, co uszkadzają je niepotrzebnie i niszczą z tępoty. Podobnie jak myśliwy puszczywoy tropiący jelenia, którym od cielątka przez lata skrycie się lubował, nieraz niechętnie kładzie go trupem. A czasem nawet w ostatniej chwili, gdy już go ma pod strzałem puści go wolno. Rębacze mieli oczy i czucia dla serc i krwi drzew. Lecz umyślili coś takiego, jak gdyby myśliwy najawszy się do rzeźni, dostarczał dziennie sto skór, sto wieńców rogów jelenich i tysiąc funtów mięsa jeleniego, a patrosząc je, rozrzucał po puszczy wnątrznosci jelenie.

Bohaterem Vincenza, który najpełniej rozumie las, najdokładniej słyszy jego głosy, szумы, szepty, najostrzej widzi całe to leśne uduchowione tałatajstwo, pragnące porażki rębacza, jest drwał Andrijko Płytko, za swoje umiejętności obdarzony mianem śmierć leśna. Nikt tak lasu nie tnie, nikt tak się lasu nie boi, nikt tak lasu nie czei jak Andrijko, drwał nad drwale. A jednocześnie nie rąbie dla pieniędzy. Wypatruje co żyźniejsze połączie lasu, nadające się po wyrębie na zagospodarowanie, wykupuje za pieniądze uzyskane podczas wyrębu, po czym sprowadza swoich pobratymców, żeby razem z nimi gospodarować.

Raz las omal go nie zamordował. Na szczęście uwięziony przez całą noc pod zasypnymi śniegiem gałęziami ze ściętych drzew, znał Andrijko mowę leśną, miał dostęp do przemówek, posługiwał się słowami pierwowiecznymi. Toteż nie sprostały mu ani budy różne, ani Czorty leśne. Strachu się tylko najadł słysząc jak Bida głośno mu urąga: ty pysznosraka Andrijku, ty chelpisz się, żeś śmierć leśna?

Gdy już został gazdą Andrijko wrzucił siekierę do watry i lasu nie rąbał. Stał się przestrogą dla innych:

- Dość nam, no dość tego, co Andrijko obiecuje.
- Oj dość – westchną Niauczuk, wywracając białka.

– Czego dość? – pytał Foka.

Witrołem wyciągnął z siebie z trudem. Że kara ma być, powiada Andrijko, za te żywą żywicę, cośmy tyle jej wytoczyli – bez potrzeby.

– Bez potrzeby?

– Oblepniemy my krwią leśną, mówi Andrijko, dla pieniądza. To brzemię takie, że...

A wiele lat później, gdy już na dobrze zadomowił się na wyrwanych Borowi połaciach żywej ziemi, Andrijko pytał księdza, czy jest jakaś prawda w opowieści, o tym jak las mści się za podniesioną na drzewa rękę:

Andrijko milczał, patrzył przed siebie, żuł coś zębami, bąkał jeszcze po słowie:

– Powiadacie – rachunku wymagają...? – A nie wypowiadałem wam jeszcze z tego, co mnie piecze. Ha, gdyby to wiedzieć, ojeze duchowny. Powiadają u nas, że tym co las katują i niszczą, za karę po śmierci nogi będą z grobu wysterczać jak gałęzie. Albo jeszcze gorzej...

Ksiądz zmarszczył się:

– Co? Co jeszcze?

– Grom święty w grobie uderzy w przyrodzenie... Oj, schowałbym się już teraz pod ziemię. Ale cóż? I tak mnie dosięgnie. Taki wstyd!

Andrijko łykał z trudem słowo za słowem jakby mu gardło spuchło.

I jest jeszcze w świecie eposu Vincenza jeden bohater, pokroju Szekspirowskich błaznów, a może po prostu czarno wszystkowidząca Cassandra – nędzarz Pańcio. Gorzki śpiewca swoistej jeremiady o tym, że Czas jest wielką maszyną wojenną, która kruszy wszystko: obrońców i napastników, prawdę starą i mrzonki o świetlanej przyszłości czasów nowych. Czas przerobi wszystkich po swojemu.

My, obywatele dwudziestego pierwszego stulecia, epoki antropocenu, wielkiego wymierania, przyzwyczailiśmy się już do apokaliptycznej narracji. Słyszymy coraz częściej, że jako gatunek niszczący własne środowisko naturalne nie przeżyjemy. Że niszcząc, stworzymy środowisko tak nienaturalne, że wyginie. Po czym, gdy przestaniemy truć, niszczyć, grabić, Ziemia się odnowi. Na nagrobku leśnika na ekumenicznym cmentarzu w Białowieży napisano, że najpierw zmarchwystanie las, potem człowiek. Vincenz wyobraził sobie metafizyczne przeciwieństwo zwycięstwo boru tak:

teraz i wszędzie taka to ona, śmierć, nas wszystkich poganiaczka, a my jej sługi, jej posiepaki! Nie! pod zwaliskami dżegi, głęboko w puszczy mchów, gdzie tylko stąpić, wszędzie trzepotały skrzydlate szyszki. Słuchaj: jest szelest, jest szepc, jest szum! Szepcały, ćwierkały, szumiały. Wszystkie szpary, schowki, skrytki zasypane tysiącami szyszek i nasion. Siew! Naprzód maliniaki, krew i soki, potem ożyny, ostra zastawa, potem mchy, karzełki rude, ich kołyski, w nich wykołysane nasiona, działwa smerekowa.

Las obroni się, puszcza rozpręży się. Ciemność gęstniała, szyszki coraz gęściej szumiały pod stopami, tocząc się po stromiznach doganiały. Z szumu ich wstaną lasy

grające zawodzące, grożące, zwycięskie. Z każdą wiosną siew, jeden las, dziesiąty las, setny las. Dogoni nas za pięćdziesiąt lat, przegoni za sto, zakryje całkiem za półtora setki, zwali się na naszych prawnuków za dwie setki, zmiażdzy ich prawnuków za trzy setki, las, las, las! Gdy starczy miejsca dla wszystkich szyszek, przejdzie do nalotu, zakryje wierzchowinę, zagasi chłopski byt i dobytek, wchłonnie i połknie osiedla, wypędzi człowieczeństwo, nie oprze się nad Dniestrem. Wszystkie siekiery utoną w leśnych dnach [...].

Od jakiegoś czasu, włócząc się po lesie, zastanawiam się, jak będzie las wyglądał po nas. Czy za jakieś lat kilka tysięcy będzie wielki, zwarty, mroczny, wybijający, pełen wrastających w niebo kolosów? Czy będzie tu tylko jałowy, szary, księżycowy pył? Czy mają rację ludzie wykupujący w leśnych nekropoliach miejsca dla swoich prochów, zmieszanych z ziemią wśród korzeni jednego z najświetniejszych przejawów twórczej woli istnienia, czy też ci, którzy zamawiają wywiezienie swoich prochów w przestrzeń kosmosu? Czy człowiek jest w stanie wyobraźnią ogarnąć ten nieposkromiony ogrom boru? Czy w swoim hiobowym istnieniu naprawdę potrafi sprostać pytaniom Stwórcy? Czy stać go na pojęcie szalonej romantycznej wizji? Czy też bliżej człowiekowi do pokornej prośby Miłosza:

Gaia, pierworodna córka Chaosu,
Przystrojona w trawy i drzewa raduje nam oczy,
Abyśmy zgodnie umieli nazwać, co jest piękne
I z każdym ziemskim wędrowcem dzielili radość.

Dzięki składajmy w swoim i naszych przodków imieniu
Za dęby i szorstkoskóre ich dostojęństwo,
Za sosny, których pnie płomienieją w słońcu.
Za jasnozielone obłoki brzoźowych gajów na wiosnę
I za świeczniki jesiennej puszczy, osiny.

[...]

Gaia! Jakkolwiek będzie, zachowaj swoje sezony.
Wynurzaj się ze śniegów z ciurkaniem strumyków na wiosnę,
Oblekaj się dla nich, dla tych, co po nas będą,
Przynajmniej w zieleń śródmiejskiego parku
I kwitnienie karłowatej jabłotki ogródków działkowych,
Prośbę swoją zanoszę, twój pokorny syn.

Roman Sabo

Robert Suwała

Obrazy i anamorfozy

ŚNIEG

*Zbyt długie patrzenie na śnieg
wywierało hipnotyczny efekt,
wysysając całą moc skupienia...*

Philip Larkin, *Zimowe królestwo*¹

Więc był dzień

Rafał Wojaczek, *Sanatorium*²

Pamiętam. Pejzaż zdawał się zmęczony i pełen melancholii. Stałem, samo chcąc, pośrodku przeznaczenia – w ciszy i samotności. Zatrzymało mnie pytanie: w jakim celu wybrałem się do lasu po sylwestrowej nocy? Właściwie nie znajduję dzisiaj wyjaśnienia, co mną powodowało. Pamiętam jednak, że leśna cisza miała w sobie nieporównywalną do niczego gęstość. I też to, że jeszcze nigdy nie odczuwałem z taką intensywnością bezpośredniości chwili, można by rzec, że terażniejszość wypełniła sobą czas po brzegi, nie pozostawiając już miejsca dla minionego i nadchodzącego.

Wczuwałem się w tchnienie chwili, wyjątkowo odczuwalne niczym nagły atak depresji, a nieskażona ludzką stopą powłoka śniegu narzucała zamyślenia wybiegające daleko poza noworoczną terażniejszość. Zaległe na gałęziach czapy cynkowej bieli odbijały zimowe promienie słońca, a subtelne przenikanie się światła i cienia oblekało je niebieskością, przechodzącą gdzieniegdzie w ciemniejsze tony, szczerdże obdarzając wzrok głębszymi pasmami szarości. Powietrze wypełniało kłującymi igielkami płuca, odświeżało umysł. Cisza, do której wyjątkowo pasował epitet: martwa (w końcu to Nowy Rok!), osiadła ciężką czapą. Brnąłem przez zasypane ścieżki, znane mi skądinąd z częstych spacerów. Teraz jednak zdawało się, że przebywam obcą krainę, powołaną do życia przez imaginację malarza dywizjonisty, czekającą tylko na dopełnienie moim spojrzeniem.

Cisza, zrazu jakby spłoszona, zdawała się nabrzmiewać oczekiwaniem na jakikolwiek ruch albo okrzyk. Ja jednak niczego nie zarejestrowałem poza skrzekiem sójek, tych barwnych meteorów przelatujących między gałęziami. Wiatr szumiał w gałęziach mową niosącą niezrozumiałe treści. Niby nic się nie działo, a jednak..., a jednak jakieś nieokreślone przeczucie podpowiadało mi, że właśnie teraz następuje zmiana (jeśli nosiłem w sobie jej zapowiedź, to zaledwie uświadomioną). Coś niewyraźnego uzyskało wymierną materialność, ale cóż to mogło być, nie sposób było powiedzieć. Oczekiwania, którym przypisywałem rozstrzygające znaczenie,

¹ Ph. Larkin, *Zimowe królestwo*, przeł. J. Dehnel, Stronie Śląskie 2017, s. 7.

² R. Wojaczek, *Sanatorium*, Wrocław 2010, s. 123.

nagle gdzieś się rozplynęły. Tak to już jest, że pewne rzeczy po prostu zachodzą niejako mimochodem, gdzieś z boku, ale ich przebiegi, dotykające nas jakby od niechcenia, wyciskają niezatarte piętno na najbardziej żywotnych interesach.

Zagłębiałem się w dookolną biel, zmienność jej tonów przywołała skojarzenia z gnomiczną filozofią Wittgensteina. Może dlatego, że ośniewone gałęzie narzucały się z dramatem przemijalności, ale też niepohamowania w przesadzie ukazywanej z jakąś zawziętą nachalnością. A może apatia znieruchomiłego lasu usprawiedliwiła moje, zaskakujące nawet dla mnie, nagłe i nieokreślone emocje przebiegające cienką linią między zaskoczeniem i znieczepliwieniem. Oczekiwałem szybkich odpowiedzi, rozwiązań o zasadniczym znaczeniu. Nie potrafiłem jednak sformułować samego pytania. A tymczasem trwałem pośrodku lasu, który zdawał się nie mieć horyzontu, tak w przestrzeni, jak w czasie.

Jak długo tak chodziłem? Kilka godzin albo lata całe. To bez znaczenia. Odwieczna cisza przysiadła przede mną. Staralem się przeniknąć jej tajemnicę, wiedząc wszak, że w każdej odpowiedzi zaić się będzie nieszczerłość. A może po prostu oczekiwałem jakiegoś znaku ze strony zalegającej wszystko bieli? Jakąż miałbym przewagę – znów nachodzą mnie skojarzenia z Wittgensteinem – gdybym poznał drogę między mną a bielą? Jakież to banalne i cudowne zarazem! Na razie brnąłem przez zasy pył. Zapadałem się w nich po uszy. Czy ta cisza była prawdziwie głęboka, czy jedynie powierzchownym brakiem hałasu?

Las jak przeznaczenie objawiał się obcą, niechętną perspektywą, lecz ja, tak mi się wówczas zdawało, odszyfowałem hieroglify tego kamienia z Rosetty. W tamtym czasie to miejsce zamknięte pod kopułą szarego nieba odsłaniało przede mną głębsze sensory. Pragnąłem, żeby tak było, bo studiując botaniczny alfabet, nauczyłem się widzenia jako umiętności łączenia szczegółów. Sękata gałąź, przebarwiony liść, nęcąca nieznanym dziuplą czy wykrot pozostały po wichurze osobno nie przekazują zgoła żadnych treści, co najwyżej mogą kojarzyć się z banalnością landszaftu, ale zestrojone w całość potrafią stworzyć nastrój tajemniczego piękna, mgiełki melancholii, która zdaje się unosić nad życiem.

Rzec można, iż piękno jest kwestią uogólnienia, ale musi rezonować ze światoodczuwaniem obserwatora, by stało się „jego” pięknem, odsłaniając swą – znów w „jego” oczach – niepowtarzalność. Dlatego to, co zwykliśmy obdarzać mianem piękna bywa naznaczone egoizmem, bowiem patrzący arbitralnie przypisuje obserwowanemu obiektowi wartość estetyczną. Wyczuwana w tym rozpoznaniu nieszczerłość definiuje naszą ludzką egzystencjalną ambiwalencję, bo w obiektach zachwyków tak naprawdę szukamy jedynie potwierdzenia siebie samych.

Staralem się podążać naprzód, lecz skądinąd wiedziałem, że tkwię w miejscu nazbyt zakorzeniony we wspomnieniach, by zmienić swe położenie o choćby mały krok, tymczasem świat wysforował się do przodu, w oślepiającym pędzie nie dostrzegając dławiącej go zadyszki. Beztroska rezygnacja ze stałości na rzecz radosnej prowizoryczności dostarczającej chwilowych bodźców sprawiła, że nikt nie chce marnować czasu na refleksję. Ja zaś pogubiłem się w surogatach rzeczy-

wistości, zasklepiłem w perseweracji półautomatycznych czynności. Żywiot bezrefleksyjności wdarł się w szczelinę, jaka rozwarła się w moim życiu opanowanym przez powierzchowność.

Może to, co rzeczywiste, ma swoje przebiegi gdzieś obok i stało się przezroczystym tłem, na który rzutują pozory przeżyć. Ten śnieg, przez który tak uparcie brnąłem nie wiadomo po co, był tylko pozorem, uludą, która jednak tchnęła jakimś spokojem i stałością. A przecież musiałem zdawać sobie sprawę, że ta świeża biel to także wytwór moich poszukiwań dawno temu utraconych wspomnień, wspomnień o marzeniach, które u zarania wszechogarniających potencjalności potrafiły przyoblec w miąższ spełnienia każdy sen.

Od tamtego czasu nie raz ulegałem pokusie ucieczki... Dlatego żyję w czasie wtórnym, a czas tylko wtedy jest płodny, gdy znamionuje go dziewiczność, pierwotność. Wedle fabuły czesko-niemieckiego pisarza, Johannes Urzidil, Kafka nie zmarł w Pradze, wyjechał incognito do Nowego Jorku i tam, na Long Island, długo po napisaniu *Przemiany* sam przeistoczył się – nie w „potwornego robaka”³, lecz ogrodnika o przezwisku Key. „Nie zapomniał bynajmniej swych początków literackich, ale nigdy do tego nie wracał”⁴. Kogo zatem pochowano na cmentarzu żydowskim w Pradze? Otóż, zdaniem Urzidila, miał to być sobowtór autora *Procesu*. Tak, trzeba zabić i pochować swego sobowtóra, żeby stać się kimś innym, napisać siebie na nowo, by stać się wreszcie sobą prawdziwym.

Niestety, znalazłem się w najgorszym etapie życia: za młody na śmierć, za stary na marzycielstwo. Nie pozostaje mi nic innego jak brnąć przez śnieg. Pamiętam, zagarniałem dookolną biel, wytyczałem intymne refugium, ufając, że te moje pozornie logiczne zabiegi uchronią mnie przed strywalizowaniem przez postępujący czas. Śnieg afirmuje samotność zobojętniałą na dookolność, wydaje się spowity w proste znaczenia, którym narzucałem się ze swą samoświadomością, szkoda, że bezskutecznie. Nawiedzało mnie przecucie niestabilności zamkniętych w nieznannej mi formie: ten śnieg jest i go nie ma. Jest zjawiskiem chwilowym i jednocześnie pozaczasowym. Przywierałem do niego ze swoimi wątpliwościami, żywiąc nadzieję, że niespodzianie stanę się odkrywczą odpowiedzi o zasadniczym znaczeniu. Ale przecież ledwie rozpoczęła się pierwszy dzień roku i świat spoczywał w biernej beśkyśności.

Niewiele mogłem się spodziewać po tym dniu. Dookolna biel ujawniała wewnętrzne sprzeczności skupiające się w jednym impulsie przecucia: identyczna, zdawałoby się, barwa niesie całą gamę treści w zależności od miejsca, w którym aktualnie kolor się nasuwa pod spojrzenie. Dlatego biel lasu uzmysłowiła mi, jak dalece to miejsce, skądinąd tak mi dobrze znane, jest przestrzenią zasklepioną we własnej wsobności, wykreśloną wszak przez moją skłonność do mizantropii.

Dzień przelamywał się szarością, emanował pustką, a wszelkie próby nadania jej bodaj pozoru jakiegoś sensu każdorazowo roztapiały się w milczeniu lasu.

³ F. Kafka, *Wyrok*, przeł. J. Kądryński, Warszawa 1992, s. 19.

⁴ J. Urzidil, *Miedziorz z słońcem*, przeł. M. Gero, Warszawa 1972, s. 303.

Poczułem obecność granicy, za którą potrzeba racjonalizowania stopniowo stacza się w obłąd. Może zbyt wiele oczekuję po rozumie, próbując doszukiwać się sensu w ruchu śniegowych płatków – ich swobodnym lotem tak hojnie obdarowało mnie właśnie niebo. Niepowtarzalność śnieżynek fascynowała mnie od dziecka. Tkając koronkową draperię, zdawały się być zjawiskiem ze snów. Można rzec: był tylko śnieg równo opadający z chmur, i czas. Czas, który jak gdyby znieruchomiał w niepewnym oczekiwaniu. Każda śnieżynka zdawała się chwilą, sekundą przywołującą marzenie, które zaraz odnajdowało swój kres.

Kontemplując lot białych płatków, ten napowietrzny *danse macabre*, widziałem swoje życie: jedne przelatywały między moimi palcami, inne, dotykając wyciągniętej dłoni, rozplywały się niepostrzeżenie. Były czystą potencjalnością – nic nie potwierdzały, niczemu nie przeczyły, niosły zaś sugestię czegoś, czego być może wcale nie ma, a jednak pozostawia niezatarty ślad w pamięci. Paradoks? Niekoniecznie. Przyszłość skrywa się za zasłoną iluzji i nikomu niepotrzebnych marzeń. Ileż to chwil wartych jest zapamiętania? Pamięć rządząca się niepojętymi prawami rejestruje zdarzenia nieistotne, które właśnie przez tę błahość potrafią wydobyć z biografii jej niepowtarzalny rys. Patrząc w przeszłość, gonię za widmami, co do których nie mogę mieć nawet cienia pewności, że są tylko moje. „Widmowość – tak ujął to Agamben – jest formą życia. Życia pośmiertnego albo uzupełniającego, które zaczyna się dopiero wtedy, kiedy wszystko się skończyło, i ma zatem w porównaniu z życiem nie zrównany urok oraz zaradność właściwe temu, co się spełniło, wdzięk i precyzję tego, przed czym nic już nie stoi”⁵.

Pierwszy dzień kalendarza pochłaniał mnie z każdym moim krokiem. Z siłą epifanii narzucał się urywek z Wojaczka: „Już nie wiem, jak to nazwać, co ze mnie ubywa”⁶. Las pomału otwierał się przede mną, wyrastał na centrum wszechświata. Odkryłem na nowo to dziwne miejsce, a „były tam dźwięki splecione z płaczu czasów”⁷. Ale miejsce, które z taką intensywnością się uobecniało, okazało się jednocześnie zbyt odległe, by można w nim rozpoznać znajome głosy, a jego obraz, kształt otaczało coś nieoczywistego, czego żaden język nie potrafi uchwycić. Było czystą tęsknotą. Zaczęło dochodzić do mnie – odczuwałem niepokojący napór lęku – że staję się mimowolnym skazańcem, na zawsze uwięzionym w krypcie⁸ własnych pragnień. Osaczony przez fantasmagorie począłem tracić z oczu bezpieczną drogę powrotu. Zagubiłem się we własnych złudzeniach, powtarzałem tylko: „jest ja/ale mnie nie ma/ jest zimno”⁹, bo ostatecznie ktoś normalny wybiera się do lasu w Nowy Rok?

Robert Suwała

⁵ G. Agamben, *Nagość*, przeł. K. Żaboklicki, Warszawa 2010, s. 50.

⁶ R. Wojaczek, *Jest biel [w:] tegoż, Wiersze zebrane 1964–1971*, Wrocław 2008.

⁷ A. Biely, *Petersburg*, przeł. S. Pollak, Warszawa 1974, s. 298.

⁸ G. Agamben, *Profanacje*, przeł. M. Kwaterko, Warszawa 2006, s. 70.

⁹ R. Wojaczek, *Sezon*, dz. cyt., s. 9.

Katarzyna Turaj-Kalińska

Lampa z końskiej czaszki

TELEWIZOR I DUCH CHOROBY

Dziadkowie już na początku lat sześćdziesiątych kupili sobie sowiecki odbiornik o nazwie „Rubin”. Dzięki temu nie musiałam kompromitować się przed innymi dziećmi zupełną nieznajomością telewizyjnych audycji i postaci. Bo w Nowej Hucie telewizora nie miałyśmy jako jedyna chyba rodzina w całej dzielnicy. Sądziłam, że jesteśmy na to za biedne, ale matka twierdziła po latach, że chciała mnie przed nim uchronić. Bała się jakoby, że przesiadywanie przed nim mnie ogłupi. A przecież do stuprocentowo kretyńskiej telewizji było jeszcze bardzo daleko. Miała się pojawić dopiero z wymarzoną wolnością.

Jedną z pierwszych polskich spikerek telewizyjnych była Irena Dziedzic, przystojna niewiasta o niskim, aksamitnym głosie – szalenie telegeniczna osobowość, nikt równie interesujący się już potem w tej roli nigdy nie pojawił. Najpierw tylko zapowiadała programy, a jakiś czas później robiła długie wywiady z niby to ciekawymi ludźmi, którzy często okazywali się wysoko postawionymi nudziarzami. Pewnie każdy kraj miał kogoś takiego, ale mam wrażenie, że kiedy Irena Dziedzic była w Polsce gwiazdą, Oprah Winfrey nosiła jeszcze koszulę w zębach.

Była zresztą raczej w typie amerykańskiej reporterki i dziennikarki politycznej Christiane Amanpour. Niestety tylko zewnętrznie. Dziennikarskie umiejętności Dziedzic, w przeciwieństwie do Amanpour, nie dorastały do jej osobowości. „To były pana wspomnienia, a teraz poproszę o refleksje... A czy mogę teraz poprosić o refleksje nieco głębsze?”. Zapewne już na pierwszym roku dziennikarstwa tępi się coś takiego. Pytania i komentarze tej fascynującej skądinąd kobiety były wysiłone, starania o zabyłnięcie chybione, ponadto stale się przejęzyczała, co w mediach, niestety, przeszkadza. Ale może po prostu ograniczała ją i peszyła cenzura?

Potem zniknęła z ekranów, a po wyzwoleniu Polski spod kurateli sowieckiej przypominano sobie o niej jako o tubie propagandowej – zresztą jednej z wielu. I ma się rozumieć, wytykano jej peerelowską karierę. Pojawił się wtedy nowy gatunek człowieka – interesujący wariant *homo sovieticus à rebours*. To osobnik znajdujący upodobanie w wypominaniu bliźnim grzeszków z okresu ustroju socjalistycznego. Tak samo skrajnie zideologizowany jak tamten, tylko że na odwrót, co – jak się okazuje – niczego nie zmienia. Kolejna w dziejach odmiana faryzeusza. Do tego paranoik, których nie brak w żadnej epoce.

Kuzyn z Gliwic zrobił oszałamiającą karierę w rodzinie pierwszym zdaniem, jakie wypowiedział jako dwulatek przed telewizorem: „Zialaż będzie pani Dziedzic?”. Nie posiadałam się z zazdrości i byłam gotowa cofnąć się do raczkowa-

nia, by powtórzyć naukę mówienia, bo moje pierwsze zdanie nie było tak imponujące. Brzmiało mianowicie: „Babciu, co masz dla mnie w tej walizce?”.

Telewizor nawet przypomina kształtem walizkę, ale jaka różnica w zawartości! Dziś jednak mała walizka babci wydaje mi się dużo ciekawsza niż telewizor. Zazwyczaj była wypełniona po brzegi domowymi wypiekami. Podróżowała z babunią z Krakowa do Łodzi. Ojciec zakradał się do niej w nocy na szafę, wyjadał wszystko do ostatniej okruszynki i awantura rano była gotowa. Babunia była mistrzynią awantur, pod tym względem kulturalna telewizja lat sześćdziesiątych w Polsce nie mogła jej dorównać, show babci przebiły Jerry'ego Springera. Zaś co do walizeczki, to odeszła na zasłużoną emeryturę. Nie podróżowała już, ale wciąż pozostała schowkiem na ciasto trzymanym na szafie. Po ojcu nikt nie był jednak już tak bezczelny, by wyjadać smakołyki bez pozwolenia.

Naturalnie i ja próbowałam zabłysnąć przed telewizorem. Kiedyś podczas oglądania zawodów sportowych, w których Polacy osiągnęli sukcesy, zagrano hymn narodowy. „Kasiu, wiesz, że powinnaś stać na baczność?” – powiedział żartobliwie wujek Jurek, którego traktowałam trochę jak starszego brata, chociaż był równolatkiem mojego ojca. Ale i ojciec, gdy się urodziłam, był dwudziestodwuletnim szczeniakiem. W tym czasie miewałam napady przekory, uznałam więc, że nie wstanę, zresztą dorośli nie zamierzali mi dawać przykładu i dalej wygodnie siedzieli. Za to wstałam, kiedy zagrano hymn sowiecki. Zrobiłam to na złość, ale też z pocuciem, że ten Związek Radziecki jest jakoś odrażający i trzeba go trochę wesprzeć.

Zlekceważono mnie zupełnie. Najwidoczniej nikt się nie wystraszył na serio, że grozi mi podążanie za Różą Luksemburg łącznie z tragicznym finałem w nurtach Szprewy. Krążył po Polsce dowcip o dziewczynce, która lubiła Związek Radziecki, a kiedy ją zapytano, dlaczego, odpowiedziała: „Bo go nikt nie lubi”. Widać było więcej takich dziewczynek.

Po „pani Dziedzic” pojawiła się inna spikerka, jej kompletne przeciwieństwo. Wystarczy wspomnieć, że o Irenie Dziedzic mówiono niemal zawsze pełnym imieniem i nazwiskiem, ta zaś została od razu dla wszystkich „Edytką”. Była nieśmiałą, kruchą blondynką o pękniętym głosiku, z trudem przyciągała uwagę, bezradna jak dziecko, a mimo to pozostała w okienku na pół wieku. Nigdy nie robiła nic oprócz zapowiadania, niezgrabnego i pełnego pomyłek. Cóż z tego, skoro i tak padano przed nią na kolana. W telewizji wystarczy się pokazywać, najlepiej codziennie.

Boskiego kultu zaznawał także faraon szklanego ekranu, spiker Jan Suzin. Temu nie można odmówić nie tylko osobowości i klasy, ale też sprawności. Nie przejęczył się jak wyżej wspomniane panie. Nadawałby się na angielskiego króla dużo bardziej niż Jąkała Jerzy VI czy spóźniony do korony Karol III. Był oglądany z równą atencją, co monarchowie, a jednocześnie nie musiał się przepracowywać podróżami, podpisywaniem dokumentów i wystawianiem na uroczystościach państwowych. Nie bez przyczyny w języku angielskim nazywa się to *dream job*.

Prywatnie został drugim mężem mojej chrestnej matki, aktorki z Warszawy zaprzyjaźnionej z rodzicami. Wcześniej rozwiodła się z pierwszym mężem

– moim chrzestnym ojcem – zjawiskowo pięknym homoseksualistą, który porzucił ją dla równie pięknego jak on chłopaka. Alicji skądinąd także nic nie brakowało – była księżycowa, eteryczna, obdarzona srebrzystym głosem. Przez całe życie pozostawała na etacie w świetnym warszawskim teatrze, ale w telewizji pokazywała się rzadko. Protekcja męża spikera była albo niemożliwa, albo niepożądana. Nie włóczono po ekranach celebryckich rodzin, jak dziś. Ludzie mieli jeszcze pewien zapas przedwojennej klasy. Szanse na to, by dziecko popularnego aktora dostało się do szkoły teatralnej były znikome, bardziej ufano talentom samorodnym.

Na czarno-białym ekranie pojawiały się liczne audycje dla dzieci. Pamiętam pierwszą, cykliczną – nazywała się chyba *Dobranoc, tato*. Do dziś czuję dziwne śwędzenie pod powiekami, gdy sobie przypominam tytuł, choć poza nim niewiele pamiętam. Był tam jakiś chłopczyk w piżamie, którego ojciec, jak mi się zdaje, mówił tylko głosem spoza kadru. Duch ojca, który zginął na wojnie? Czułam głęboką melancholię, której przyczyn nie potrafiłam pojąć. Tło stanowiła – jak często w dawnej telewizji – plansza przedstawiająca drogę czy tunel, którego linie zdawały się biec w nieskończoność. Ojciec porzucił nas niedawno, a ten z audycji także wciąż odchodził i odchodził, może tylko do drugiego pokoju? Dałabym wiele, by zidentyfikować ten program – by wrócił do mnie jak radiowe *Przygody Dory i Flory*. Na razie jednak ani widu, ani słychu, są na ziemi i w niebie rzeczy, których nie ma w internecie, mój Horacy.

To była pierwsza moja dobranocka. Potem pojawiły się następne, bardzo udane i dobrze znane pokoleniu polskich *baby boomers*. Ich siłą była prostota inscenizacji – forma teatrzyków z udziałem niewymyślnych pacynek i kukielek. Na przykład *Jacek i Agatka* – dwie piłeczki z wymalowanymi buziami nadziane na palce dłoni w rękawiczkach. Wydaje się, że można zrobić coś takiego w domu, ale najpierw trzeba na to wpaść, a potem napisać dobry tekst. Dialogi dla chłopczyka i jego starszej siostrzyczki pisała Wanda Chotomska, a ich głosy udawała w przezbawny sposób kolejna świetna aktorka, Zofia Raciborska. Dzieci jeszcze wtedy nie angażowano. W mediach królował profesjonalizm.

Brat i siostra stanowili znany tandem komediowy głupszego z mądrzejszym. Jacek wymyślał niestworzone historie, a potem zjawiała się Agatka, która to wszystko cierpliwie odkręcała i wyjaśniała. Utkwił mi w głowie pewien odcinek, w którym niesforny braciszek miał apetyt na serek topiony. A że go w domu zabrakło, topił zwykły twaróg w wannie z wodą. Naturalnie cała dziecięca publiczność utożsamiała się z Agatką, takich głuptasów jak Jacek ze świecą szukać po świecie. Można się było z nich, jako nieistniejących, bezpiecznie pośmiać. To nie to, co *Malinowski z Kierownikiem* albo *Rolska do tablicy z Podwieczorku przy mikrofonie* – realni do bólu i koszmarnych snów. Dla mego pokolenia ta dobranocka była obiektem kultu, lecz gdy ktoś zamieścił na You Tube fragment *Jacka i Agatki*, pod spodem wśród okrzyków zachwyty od razu pojawił się komentarz: „Co to za gówno :-D”. Spodziewam się, że rzecz jest tylko dla wtajemniczonych.

Był także *Miś z okienka* – pluszowa zabawka gadająca głosem innej miłej pani i towarzyszący jej aktor. Najpierw Bronisław Pawlik, potem Wojciech Duryasz.

Tej audycji towarzyszy anegdota, jakoby jeden z aktorów, korzystając z emisji na żywo, miał powiedzieć: „Dobranoc dzieci, a teraz pocałujcie misia w dupę”. Nie ma nagrania, nie ma dowodów, nie warto wierzyć. Zwyczajna *urban legend*. Nie lepsza od tej, że „spiker Suzin jest mężem spikerki Edyty i ją bije”... Poczta pantoflowa była w rozpowszechnianiu bredni równie skuteczna jak internet, może tylko nieco powolniejsza. Ale i tempo życia było zupełnie inne, chociaż niektórym już wtedy wydawało się zawrotne.

W tamtych czasach nie było jeszcze rewelacyjnych polskich kreskówek, a amerykańskie pokazywano z rzadka. Przez krótki czas nadawano między innymi *Mickey Mouse Club* z zapowiadającym go samym Waltem Disneyem, który w czołówce spędzał z biurka żywego lwa, jakby to był zwykły kot. Zasadniczo moje pokolenie skazane było jednak na teatr telewizji oraz na lalkarstwo. Czasami w niekwestionowany sposób milutkie jak *Jacek i Agatka* i *Miś z okienka*, kiedy indziej niepotrzebnie ambitne i zupełnie nietrafiające w dziecięce potrzeby i odczucia.

Wiele dałabym za to, by się dowiedzieć od moich rówieśników, czy wszystkie spektakle dla dzieci jednakowo ich zachwycały. Mnie na przykład dziwnie irytowały występy Jana Wilkowskiego. Ten artysta-lalkarz uchodził za wielce oryginalnego. Jego pacynki były dość umowne i brzydkie, postacie niewiele dzieciom mówiące. Na przykład Guignol – francuski charakter rodzajowy niekojarzony – jak sądzę – nawet przez jako tako wykształconych dorosłych, a coś dopiero dzieci. Pamiętam, że oprócz niezbyt sympatycznego Guignola występował w tym teatryku Nikodem Nijaki oraz złodziejaszek Pryszyk z plastrem na policzku. Też bardzo niesympatyczni. Jeśli bohater i antybohater byli tak samo nieprzyjemni, w jaki sposób dziecko mogło się w tym połączyć? Fabułka też była nieczytelna, naszpikowana dowcipami adresowanymi wyłącznie do dorosłych.

Tymczasem pan Wilkowski wyraźnie lubił występować, toteż mówił za wszystkie postacie, przy czym nie różnicował głosu jak Zofia Raciborska. Trudno było się zorientować, który z bohaterów – zdaje się wyłącznie męskich – właśnie się wypowiada. Równie trudno było zrozumieć, co mówi, bo ów wybitny artysta, dziś wręcz klasyk, miał kieszka dykcję w czasach, gdy jej standardy były bardzo wysokie. Lubił się też pokazywać osobiście, a twarz, jak na kogoś, kto ma wzbudzać zaufanie u dzieci, miał, delikatnie mówiąc, niezbyt odpowiednią. Nie wątpię, że za jego niepokojącym wyglądem kryło się złote serce i miłość do dzieci, ale najlepsze intencje i zapał to nie wszystko... Słowem, może nie powinien był aż tak się udzielać – pisać tekstów, reżyserować, mówić i animować każdą z postaci, nie schodząc samemu z wizji. Teoretycznie mogłam nie oglądać tych audycji. Zamiast tego umarwiałam się, usiłując pojąć coś z przekazu adresowanego przecież i do mnie.

Pan Wilkowski przechował się w telewizji przez lat co najmniej dwadzieścia, występował potem jako dziadek kukielki pod nazwą *Ula z II b*. Był nadal nieprzekonujący, chociaż wciąż bardzo się starał i częściowo zasłonił twarz brodą. Nie poprawiło to wizji ani fonii, ale przynajmniej nie wydziwiał już z Guignolami i Pryszykami, i nie udawał, że go nie ma, choć jest, więc niech mu ziemia lekka

będzie. Nie mogę mieć do człowieka pretensji o to, że wybrał na swoich widzów dzieci, choć przypuszczalnie dorośli odbieraliby go lepiej.

Bogu ducha winny pan Wilkowski napawał mnie lękiem, ale naprawdę najadłam się strachu przy innej okazji. Nie pamiętam dokładnej nazwy tego cyklu, a tylko zapowiadające go postacie – pacynki, które odsłaniały kurtynkę ze stosowaną piosenką „Zapraszamy wszystkie dzieci. Ja – Kubuś. I ja – Agnieszka”. W tym popularnym telewizyjnym teatryku wystawiono adaptację książki Anny Świrszczyńskiej *O małej Obie, najlepszej siostrzyczce na świecie*.

Oczarowana Krajem Kwitnącej Wiśni autorka napisała baśń, zapewne bardziej japońską niżby mogli to zrobić Japończycy, którzy znają swój kraj tylko od środka. Jak to bywa w wielu baśniach, dziewczynka o złotym serduszku wędruje tam w poszukiwaniu lekarstwa dla młodszego braciszka. Braciszek nie był jednak tak po prostu chory. Nawiedzał go Duch Choroby – małeńka kukielka na długim pręcie, który pozwalał tylko na prymitywne podskoki i wprawiał w drżenie włoski sterzące po obu stronach okrągłej główki. Laleczka w stożkowatej sukience wyglądała trochę jak pajak, a mnie się bardzo nie podobały pajaki. No i ta nazwa zarazem dudniąca i agonalnie charcząca. Duuuuuuuuuuch Chorooooooby...

Był moją zmurą bardzo długo. Zwłaszcza gdy mi podarowana książkę Świrszczyńskiej, która zawierała sporo wiadomości o japońskim krajoobrazie i obyczajach. Pachniała ryżem i suszonymi rybami, i smakowała jak wyobrażenie kiszzonej rzodkwi, której nigdy nie miałam w ustach, a której bardzo pragnęłam. Musiało to być coś zupełnie innego niż kiszzone ogórki. Ubzdurałam sobie, że jeden z rysunków w książce, bardzo udatnie stylizowanych na japońskie malowidła, przedstawia owego duszka z telewizyjnej inscenizacji. Może to wcale nie był on, Duch Choroby, tylko jakiś stary Japończyk. W każdym razie wertowałam książkę aż do TEJ STRONY, po czym z zamkniętymi oczami przekładałam WIADOMĄ KARTKĘ. Podchodziłam do zmory to od początku, to od końca, tak, żeby mnie nie zaskoczyła i nie rzuciła się zniecka na oczy. Niekiedy, odchylając tę stronę dosłownie po milimetrze, zaglądałam do książki tylko po to, żeby zobaczyć kawałek potwora. A gdy był to ODWAŻNY DZIEŃ – jakby powiedział Kubuś Puchatek – to nawet i całą postać.

Wreszcie tak się zdarzyło, że nawiedził mnie prawdziwy choć niewidzialny Duch Choroby. Nie wyskoczył z telewizora ani z książki, lecz z zatrutej ściekami górskiej rzeki Poprad, w której pozwolono mi się wykąpać w czerwcu. Mama pojechała wtedy na kolejne objazdowe przedstawienie z Teatrem Rozmaitości i wzięła mnie z sobą. To miała być czysta frajda. Ale pojawił się ten pająkowany upiór. W mitologii słowiańskiej zaliczono by go do gatunku utopców, lecz nie wciągnął mnie pod wodę, tylko wskoczył w moje ośmioletnie ciało, przyjmując postać mikroba zwanego dwoinką zapalenia płuc – *Diplococcus pneumoniae*. I zaczął zjadać mnie od środka jak wampir albo wilkołak.

Robił to z początku podstępnie, dla niepoznaki zaczynając od brzucha i pozorując zwykłe zatrucie. Leczone je wówczas węglem, toteż zjadałam czarne, obrzydliwe tabletki garściami, ale po nich nie było lepiej, tylko coraz gorzej. Przyjacieli

matki, pan Kazimierz przewiózł mnie swoim wartburgiem z Krynicy do Krakowa i zostawił u dziadków na Friedleina. Matka grała wieczorem kolejne przedstawienie *Barbary Radziwiłłówny* i zajęta była umieraniem na scenie. Wezwano do mnie lekarza, który zapisał pastylki i sobie poszedł.

Właściwie należało poczekać na poprawę, przecież lekarstwa nie działają tak szybko. Babkę jednak przeraził mój stan. Zaczęłam bowiem majaczyć najpierw o pożarze i zbliżających się słońiach, potem zażądałam, żeby zabrano ode mnie „ten czarny krzyż”. Wreszcie poprosiłam, żeby mi się dano pobawić z aniołkami. Faktycznie, pamiętam słońie pędzące na mnie tyralierą w ogniu płonącej sawanny. I to, że krucyfiks, który wisiał nad drzwiami, istotnie nagle zrobił się czarny, wielki i bardzo bliski. Aniołków nie pamiętam. Tego mojej babci było stanowczo za wiele. „Nie zostanę z dzieckiem w tym stanie na noc!” – powiedziała i wezwała pogotowie.

Być może tamten lekarz zlekceważył sprawę. Albo też coś mi pękło w środku zaraz po jego wyjściu? Lekarz z pogotowia stwierdził tak zwany „ostry brzuch” – zapalenie otrzewnej – i natychmiast zabrano mnie do szpitala, a tam prosto na stół, na którym dopiero zaczęły się hece. Interwencja okazała się nieco spóźniona i w pewnym momencie moje serce, zmęczone walką i narkozą, po prostu się zatrzymało. Ale nie pytajcie mnie o wrażenia typu *life-after-life*, tunele i świetliste postacie, bo ich po prostu nie pamiętam. Innymi słowy – jak mawia czasem mój wnuk Tadzio po przebudzeniu – „Nie zapomniałem snów, tylko wszystko było czarne”.

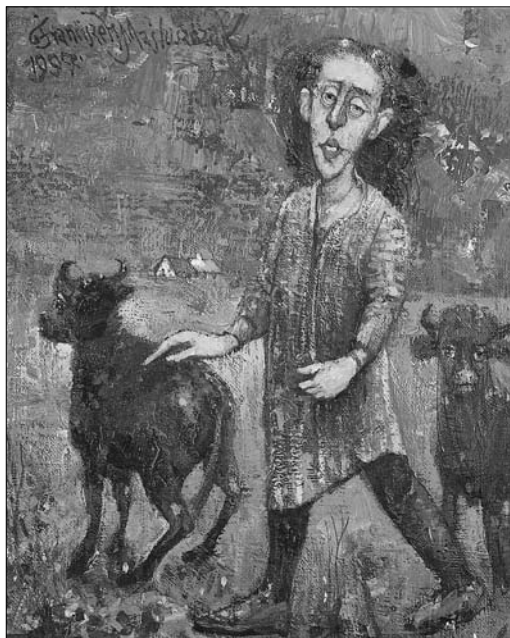
Zreanimowano mnie jakoś, ale matce powiedziano, że lepiej będzie, gdy się w ogóle nie obudzę, ponieważ będę ciężko upośledzona. Prócz niedotlenienia mózgu miałam zapalenie otrzewnej, płuc i mózgu właśnie, a na dodatek sepsę. Zrobiono mi dwie transfuzje krwi i walono tony antybiotyków, głównie streptomycynę. Nie odzyskiwałam przytomności przez pięć dni, krojono mi podeszwy stóp, wrzeszczano nad uchem, poruszano w nosie sondą, przez którą tłoczono mi papki prosto do żołądka. Uważano, że nie powinnam się obudzić, a jednak robili swoje bez wahania. Doktor Jarzębski zdobył dla mnie krew rzadkiej grupy i siedział przy moim łóżku nocami, nieogolony i skonany. Jeździł po nią własnym samochodem.

Nie miałam żadnych doznań związanych z zatrzymaniem krążenia na stole operacyjnym, ale pamiętam moment po przebudzeniu. Nieprzerwany, natrętny warkot – a z pewnością był to tylko wiatraczek na stoliku. Panowały nieznośne, lipcowe upały, a krakowski szpital im. Narutowicza nie miał klimatyzacji. Kiedy z trudem rozchyliłam sklezione powieki, dostrzegłam przed sobą, w pewnym oddaleniu, białą ścianę z dużym prostokątnym otworem. Z okna wychylały się kucielki w białych ubrankach. Kłaniały się, podskakiwały i coś mówiły, ale zagłuszał je warkot. Trwało to nieprzyjemnie długo. Czy był to pierwszy sen po powrocie do życia, czy ostatnia halucynacja niedokończonyj agonii? Dość, że wśród kucielek nie było Ducha Choroby albo też wtopił się w tło i przestał straszyć.

Nie mogę go też znaleźć w książce, którą kupiłam niedawno w internetowym antykwariacie. Jej śliczny tytuł *O malej Obie, najlepszej siostrzyczce* na

świecie zmieniono na banalne *Przypadki w kraju chryzantem*. Zupełnie jakby określenie „najlepsza siostrzyczka na świecie” nie mogło być dla nikogo zachęcające do lektury! Wspaniałe, jak teraz to widzę, japońskie rysunki jednak zachowano pod skromnym szyldem: „Opracowanie graficzne: Bożena Rogowska”. Który z nich tak mnie wystraszył? Złowrogie oczy tygrysów łakomie świdrujące zza krat? Wielki posąg Buddy bladego jak duch? Straszni zbójcy z wzniesionymi nożami narysowani białą kreską na czarnym tle? A może demoniczny makijaż aktora teatru kabuki? Poznają je doskonale i oglądam z wielkim, ekscytującym *déjà vu*, ale...

Katarzyna Turaj-Kalińska



Franciszek Maśluszczak, *Pasterka ze Średniej Ręki*, 1997. Obraz w tomie Krystyny Lenkowskiej *Nie deptać przylaszczek / Keep off the Primroses* (1999)

Teresa Tomsia

W pamięci, w odbiciu (12)

W TROSCE O AUTENTYCZNY WIZERUNEK

Wiersze Anny Nasiłowskiej prowokują do zastanowienia się nad tym, na czym w życiu najbardziej nam zależy – na co się nie godzimy, co pragniemy osiągnąć, a czego się wyrzekamy. Uwagę czytelnika liryczne „ja” kieruje ku pytaniom o poczucie tożsamości i własnej wartości, gdy przewrotnie radzi Ofelii:

nie odśpiewaj się
nie śpiewaj
a jeśli musisz
tylko na milcząco
do wnętrza¹.



Fot. T. Tomsia

Anna Nasiłowska na festiwalu
Literatura dla Poznania

Na kartach książki autorki *Żywiołów* (2014) toczy się rozmowa ze światem prowadzona przez kobietę zatroskaną o autentyczny wizerunek. W codziennych zdarzeniach przegląda się jak w lustrze, w studni minionych lat szuka odpowiedzi na problemy powstałe w przeszłości, wsłuchując się w echo wydarzeń. Czytelnik zostaje włączony niejako mimochodem w rozważania „nad chaosem a nie logosem”² i tożsamościowe pytania filozoficzne tu sformułowane zwraca także ku sobie – o zgodę lub niezgodę na wykluczenie czy obojętność wobec innego.

Poetyckim frazom towarzyszą widoki i powidoki, zapamiętane obrazy ujrane na przemian w świetle i w cieniu oraz usłyszane rozmowy, ich pogłos zachowany w pamięci. Dla bohaterki wierszy ważne jest miejsce, gdzie toczy się codzienne życie oraz warunki, w jakich człowiek mieszka i zakorzenia się w swojej egzystencji, dlatego zwraca uwagę na wszelkie przemiany społeczne dokonujące się wokół, skrzętnie notu-

¹ A. Nasiłowska, *Partenopa* [w:] tejsze, *Sztuczne światła*, Warszawa 2021, s. 58–59.

² Tejsze, *Nieboska* [w:] *Sztuczne światła*, s. 29–30.



Fot. Archiwum A. Nasiłowskiej

Anna Nasiłowska

jąc zaobserwowane zjawiska. W poemacie *Dom* pointuje gorzko, ironicznie uzależnienie ludzi od szybkich zmian cywilizacyjnych i niespodzianek losu:

To normalne w tych czasach
 częstych zmian nazw, miejsc, paszportów,
 konieczny jest szybki obrót rzeczy
 także w nieruchomościach
 aby się nie zastały [...]

 Krąży opowieść:
 był kiedyś dom, miał duszę,
 ale ona nie była nieśmiertelna.
 Prawie uniwersalna historia
 mieszkańca namiotu³.

Z historii opisanych w poemacie *Dom* dowiadujemy się, że przywiązanie człowieka do miejsca urodzenia i rodzinnego bytowania, do zbudowanego przez siebie domu jest podłożem zakorzenienia w świecie, a gdy zostaje przesiedlony czy wydziedziczony, wtedy w szaleńczy sposób – jak bułgarski góral – próbuje przywrócić właściwą miarę rzeczy, podpalając dom oddzielony od rodziny i ogrodu nową granicą państwa.

Równoległym wątkiem w tomiku *Żywioty* jest ujęty w prozach poetyckich żywioł czasu. Inspirujące wydaje się autorce porównywanie oglądanych krajobrazów i zabytków Grecji z ich zapamiętanym z lektur obrazem, pokonywanie trudu, jaki zasłona wieków stawia przed oczami patrzącego jako przeszkodę poznawania

³ Też, *Dom* [w:] *Żywioty. Wiersze i prozy poetyckie*, Warszawa 2014, s. 6–8.

i rozpoznawania źródeł mitów. Annę Nasiłowską interesuje wizerunek w czasie dokonywania się przemian, przyglądania się, odkrywania twarzy ukrytej pod maską lub pozą mającą dać ochronę.

Tajniki fotografowania ujawnia w *Monologu fotografa* – to część większej całości pod tytułem *Modelki* złożonej z różnorodnych form poetyckiej wypowiedzi. Kadrowanie okazuje się także osobistą pasją Nasiłowskiej i ten sposób patrzenia na rzeczywistość znajduje wyraźne odbicie w stylu pisania krótkimi ujęciami, przemiennością rytmów zdania (wydała album z autorskimi zdjęciami z podróży *Wielka wymiana widoków*⁴). Poetka pyta o wizerunek, jaki nosimy w sobie, oraz to, w jaki sposób odbierają nas inni ludzie, na ile jesteśmy wiarygodni w tym, co robimy i jak siebie postrzegamy. Zwraca zatem uwagę na związek z miejscem i akceptacją wizerunku:

Ile trzeba z siebie dać,
żeby zostać sobą.
Dużo.
Ile trzeba z siebie ukryć,
żeby sobą pozostać?
Jeszcze więcej⁵.

W kolejnym tomiku, *Ciemne przejścia* (2018), autorka próbuje podnieść „kurtykę między światami”⁶ dawnym i teraźniejszym, rzeczywistym i wyobrażonym, ujrzanym we śnie i na jawie. Pragnie odczytać losy przodków z Podlasia, rozjaśnić ich wędrówkę przez pokolenia. Niewiele śladów pozostało, wojna zniszczyła ścieżki dojścia do historii rodów, nacjonalizacja i socjalizm dokonały reszty, i pełniły wszystko to, co było, w chaos, w otchłań. Lisy mieszkają na przedmieściu metropolii, ludzie tłoczą się w wagonach metra, nadmiar otrzymywanych informacji zagłusza wewnętrzny głos i trudno usłyszeć własne myśli – tylko kilka chwil sam na sam z motylem na Krecie daje poczucie wspólnoty istnienia, gdy z opustoszałego ogrodu gra cykada rytmem pobudzającym zmysły. Wrażenia z podróży dopełnione zostają opowiadaniem w formie prozy poetyckiej o trudnym przejściu przez grecki wąwóz, gdzie trzeba było liczyć jedynie na własne siły, wycucie miejsca i czasu, a taka próba pokazuje, na ile jeszcze jesteśmy coś warci w zderzeniu z naturą. Podczas samotnych zmagania gromadzimy najwięcej wiedzy o własnych możliwościach rozwoju. W ciemnym przejściu między nocą a dniem bohaterce wiersza *Przedświt*⁷ udaje się powrócić do stanu zachwyty jutrenką na obrzeżu brazylijskiego miasta w regionie Bahia. Do Nasiłowa można jechać różnymi drogami – im więcej przemierzysz świata, tym głębiej zanurzysz się w historii dotąd przed tobą ukryte.

⁴ Tejze, *Wielka wymiana widoków*, Warszawa 2008.

⁵ Tejze, *Przez zęby* [w:] *Żywioty...*, s. 72–73.

⁶ A. Nasiłowska, *Sny* [w:] tejże, *Ciemne przejścia*, Warszawa 2018, s. 8–9.

⁷ Tamże, s. 57.

Fot. A. Nasilowska



Właściwie zamierzałam napisać tylko o wierszach Anny Nasilowskiej z tomiku *Sztuczne światła* (2021), ale zawsze interesowały mnie ścieżki dojścia ku drzewom, jakie warto otworzyć, by ujrzeć coś więcej poza metaforycznymi obrazami. Dlatego sięgnęłam do wcześniejszych poetyckich notatników, gdzie autorka wrzuciła pierwsze zakłęcia, by powstał zaczyn na metaforyczny chleb: opowiadki, poetyckie prozy, relacje z podróży. To była długa droga, zanim jej wiersze nabrały własnego kształtu i powstał spójny stylistycznie cykl o życiu w stolicy, w tłumie, o braku porozumienia, o odnajdowaniu czułych relacji z bliskimi mimo pośpiechu, nadmiaru zajęć, losowych przeszkód.

Poetka stworzyła sugestywny zbiór o kulturowym zagubieniu współczesnych mieszkańców metropolii i właścicieli komórek z gotowymi pytaniami i odpowiedziami. W tej poetyckiej księżce zawarła uważnej obserwacji najbliższego otoczenia, bo nawet w sztucznych światłach podziemnych przejść wyraźnie widać, co wynika z naturalnych potrzeb człowieka, a co jest zbędne, udawane, na pokaz. Gdy córka z wnuczką kupują babci zegar na urodziny, obdarowana dziwi się: „nie mam czasu czytać tylu cyfr”⁸. Wycucie miejsca i czasu jest ważne, pozwala na poczucie przynależności do świata, jaki jest nam dany raz na zawsze:

Moja córka mówi
w zasadzie Babcia ma rację
ofiarujemy jej fikcję
a ona po prostu jej nie chce
wypowiada posłuszeństwo abstrakcji
woli żyć w czasie

⁸ A. Nasilowska, *Zegar* [w:] *Sztuczne światła*, s. 19–20.

nieoznaczonym tak dokładnie
wystarczy dzień noc
i pory roku

My w wiecznym niedoczasie
ćwiczymy
nieliniową półobecność
w kilku niemiejskach naraz
spotykamy się
w locie i na czacie⁹.

Odnalazłszy swój własny język poetyckiej wypowiedzi, Anna Nasiłowska konsekwentnie używa mowy oszczędnej w określeniu, posługując się językiem potocznym, frazą zrytmizowaną przez krótkie wersy, równoważnikami zdań, okolicznikami, celnie żonglując urywkami dialogów podsłuchanych w metrze i podziemnym przejściu. Bardziej ufa słownikom niż zapamiętanym cytatom, chociaż chętnie z nich korzysta. Pokazuje brak stabilności w terażniejszym egzystowaniu, co odzwierciedla się w sposobie komunikacji. Oskarża czasy, a więc ludzi tworzących ich treść o oschłość, obojętność, okrucieństwo. I choć dostrzega zdarzające się przebliski łagodności i oczarowań, to jednocześnie ostrzega, że trzeba być czujnym, nie dać się osaczyć, oszukać, zamknąć sobie drogi wyjścia. Są to wiersze niepokojące, dotykające naszych słabości, lecz dzięki temu niosą nadzieję, że jeszcze jakiś wewnątrz ogień w każdym z nas się zapali i rozjaśni ścieżki, jakimi powinniśmy podążać w harmonii, w poszukiwaniu wizerunku dającego poczucie przynależności i związku z miejscem, gdzie żyjemy.

Teresa Tomsia

⁹ Tamże.

Grzegorz Walczak

WIELKI PAN ADAM

30. Międzynarodowy Festiwal Plenerowy Jazz na Starówce rozpoczął się 5 lipca 2024 roku niezwykle udanym koncertem fortepianowym Adama Makowicza – tak by należało rozpocząć tę moją relację. Ledwo zdążyłem wrócić z wielkiego świata, z hiszpańskiej i francuskiej krainy Basków, gdy wielki świat dogonił mnie w Warszawie, i to jak wielki!

Iwona i Krzysztof Wojciechowski – twórcy i nieustająco aktywni organizatorzy tej jazzowej imprezy, która już na stałe wpasowała się w pejzaż naszego Starego Miasta, są nie tylko wielce sprawni w prowadzeniu tego muzycznego festiwalu, ale odznaczają się także niezwykle umiejętnością w doborze i pozyskiwaniu światowych gwiazd jazzowego świata. Nie będę wymieniał nazwisk artystów, którzy przewinęli się przez tych 30 lat przez letnią scenę muzyczną na naszej Starówce, bo chyba znacznie łatwiej byłoby wymienić tych, którzy na niej nie wystąpili.

Od pewnego czasu tradycją jest, że tak jak i w ten piątek, dzień przed pierwszą lipcową sobotą, zbieramy się w koncertowej Sali Lutosławskiego w gmachu Polskiego Radia na Woronicza, by wysłuchać najwspanialszych, większych lub mniejszych zespołów jazzowych. W lipcowe soboty w ramach festiwalu grają one regularnie na Rynku Starego Miasta.

Wyraziłem się nieścisłe, bo w ten piątek żaden zespół ani żadna orkiestra nie zagrały. Kiedyś, w moich czasach szczeniackich, uważałem, że w sali czy to operowej, czy w filharmonii musi przywalić, zagrzmieć, huknąć potężna orkiestra, by był prawdziwy koncert, żadni tam kameraliści. A tymczasem tu scena prawie pusta – jeden fortepian. Co może jeden fortepian? Zaraz wyjdzie jeden pianista, a nas – jak nigdy dotąd – masa fanów. Koncert nie mógł się zacząć o czasie, bo choć już dawno wszystkie miejsca w niemałej przecież sali zostały zajęte, tłum wciąż szturmował. A przecież nie miała to być Adele ani Madonna, ani Taylor Swift, nie mieli tu meczu rozegrać Iga Świątek ani Carlos Alcaraz. Sala Lutosławskiego nie jest też stadionem, na którym można sfaulować Lewandowskiego albo gdzie pięknie zapłacze po nieudanym karnym słynny Portugalczyk. Po co więc tu idą, po co się tu pchają? I żeby była wielka orkiestra, która przygrzmoci, łupnie, aż żyrandole pospadają... Może to nie ta sala.

Wszyscy już odkasznęli, nastała cisza, tylko Krzysio Wojciechowski przebiega schyłony przed pierwszym rzędem. Czyżby mu się żona gdzieś zagubiła? A bez Iwony nie się nie uda, nawet nie może się zacząć. Ależ nie – są już razem na scenie, kłaniają się, coś żwawo zapowiadają, są wzruszeni, napięci, choć to ukrywają, i artystycznie podnieceni. Oni naprawdę przeżywają to, co robią. Ludzie prawdziwie

oddani swej misji. Dziwne, że muszę używać patosu, by opowiedzieć o tych normalnych, życzliwych osobach, które kiedyś pokochały jazz. Tyle mają do zapowiedzenia, tyle do opowiedzenia... A co tu gadać? Wystarczy przecież powiedzieć: Adam Makowicz. Pewnie miało się stawić wielu tuzów, wiele smyczków, skrzypaczki, bębniarze, kilka fagotów, może ze Stanów albo z Izraela, może z Bogoty albo z Palermo, albo... A skąd bym miał wiedzieć? A tu nikogo. Pustki. Nawet artystycznie zwichrzone, lwie fryzury dyrektorstwa Wojciechowskich zniknęły ze sceny. I nic, zupełnie nic. Tylko spokojnym, niespiesznym krokiem przemierza scenę jakaś drobna chudzina, gramoli się na stołek przy wielkim, czarnym fortepianie. Mówią, że to maestro. Jak on sam da sobie radę z takim ogromnym instrumentem? Coś powiedział, coś brzdąkał. Aha, to już się zaczął koncert. No tak, proszę państwa, początkowo spokojnie, z grzeczną aprobatą wysłuchałem jakichś amerykańskich standardów. No, owszem, gra zgrabnie. Ale to wciąż tylko jeden fortepian. I wydawało się, że ten sympatyczny, skromny pan z bardzo szczerym, łagodnym uśmiechem, niby poważny, bo z wyraźną siwizną, gra sobie z zadowoleniem, widać, że lubi grać. Zagra nam pewnie coś jeszcze, ukloni się i pójdzie sobie. Ale nie – ten pan stopniowo zamienia się w Pana. Z wielką swobodą po jakimś wstępie, po prezentacji podstawowego motywu zaczyna plątać wątki, źle się wyraziłem, zaczyna je zaplatać. Rozpuścił palce po klawiaturze, trzymając rytm jak dobry woźnica lejce i coraz to pogania gniađe swego zaprzęgu, coraz to nawraca nawraca, a tych palców chyba mu przybyło, co on nimi wyprawia! Gra już nie jeden fortepian, ale chyba pięć.

Makowicz, no tak, tak... coś słyszałem. Mówili, że niezły. Ale tam niezły! On nagle przemienił się w bestię, chociaż wcale nie zgasił łagodnego uśmiechu na swej sympatycznej twarzy. Cóż, może nie uwierzycie. Im dłużej grał, tym rozpędzał się coraz bardziej. Nawet gdy zwalniał, to tylko po to, by jedną ręką przytrzymać melodię kompozytora, a drugą wypuścić ten swobodny galop. Przebiegi, falujące, nawracające przebiegi – po klawiszach, po naszych uszach, po naszych duszach, zwłaszcza tych, którzy je mają. Zobaczyłem, jak maestro zaczął rosnać, niby tytułowy Wiatrodmuch w mojej bajce dla dzieci, co się im potem śnił po nocach, zaczął się wydłużać, ogromnieć, niewiadomym sposobem podnosił rozspiewany fortepian. Forte pian robił się malutki, kurczył się przy pianiście, więc pan Adam już z zupełną łatwością unosił posłuszny mu instrument. Wyraźnie widziałem, jak on, pan swego fortepianu i ten czarny wieloryb dźwięków, zaczęli lewitować.

Ze środka tego fortepianu, pewnie mi nie uwierzycie, zaczął wylazić drugi fortepian, a z tego drugiego trzeci – jak ruska baba w babie. Jeden grał w drugim, a ten drugi już swymi dźwiękami nakładał się na grę pozostałych. Fantasmagorie. Wcale nie piłem. Przyjechałem z żoną swoim samochodem. Tej nocy nawet dobrze spałem, więc na koncercie nie zasnąłem. To nie był sen. Ale kiedy Mistrz rozpanoszył się na scenie, poczułem, że mnie wozi, pięknie mnie wozi. Starąłem się zapamiętać nad moimi nogami, żeby nie przebiebrały, nie przytupywały do rytmu, żeby mi nigdzie nie polazły za tym wszechogarniającym, miarowym pulsowaniem, żeby mi szyja głową tak w takt nie kiwała. Grały te fortepiany, ale nie tylko fortepianem,

wszystkimi instrumentami i głosami ludzkimi, i kosami na polu, i lasami na wietrze, wszystkie jednak w tym samym Makowiczowym rytmie.

Już nie wierzyłem, że te różne utwory: amerykańskie, afrykańskie, angielskie czy polskie, ludzkie czy anielskie są jedynie kompozytorów, którzy się pod nimi podpisali. Zacząłem rozumieć, co to jest improwizacja jazzowa. Najpierw maestro skromnie odtworzył sobie kawałek jakiegoś utworu, ale później pokazał mu język, na dłuższą chwilę całkiem uciekł, by dalej sobie hasać, po swojemu, po Adamowemu. I to mnie właśnie tak migotliwie woziło, jakby świetliste sanie, co sobie po chmurkach fruwają i świecą tymi wymyślonymi przez wirtuoza barwami dźwięków. Ale to nie było tylko tak sobie *ad hoc* zmyślone. Może zresztą *ad hoc*, tyle że przebiegle, z jakąś ukrytą dyscypliną. Właśnie – w tym jest cały sekret, w tym jest ta cała magia wirtuozerii improwizatora.

Improwizacja w jazzie to nie to, co ślina komuś na język przyniesie. Połączenie w czasie, w rytmie, w uderzeniach serca tej niby pełnej swobody, z tą niemożliwą, upartą do granic możliwości dyscypliną czasu, przebiegu, paraleli dźwięków, ich umiejętnie zgranych ze sobą oryginalnych zestrojów, ale płynnie, niemechanicznie, niesztucznie, niby jak w zegarku, a nie jak w zegarku. Wszystko to można było też odnaleźć na twarzy artysty. W pewnej chwili zaprosił nas też do swoich osobistych spacerów jazzujących. Usłyszeliśmy wyborny *Satynowy las*, po którym byłbym gotów przechadzać się, zbierać rydze i prawdziwki muzyki pana Adama.

Kiedy zjechał już z tych wysokości, kiedy wielopalczasty, długopalczasty, wielofortepianowy, wielodźwiękowy powrócił do nas, tam, gdzie cały czas siedział, choć lewitował, znów zobaczyliśmy tego zwyczajnego, poczciwego człowieka, skromnego, bez żadnej wyuczonej lub wysublimowanej pozy.

Już wiedziałem, co to jest prawdziwy koncert. I wiedziałem już też, że nieważne, ilu muzyków wchodzi na scenę i zasiada przy swoim instrumencie, tylko to, co oni z tym instrumentem zrobią i co potrafią zrobić z nami. Stałem jak wszyscy i biłem brawo jak opętany.

Grzegorz Walczak

SZTUKA

Krystyna Lenkowska

FRAKTAL PRZYJAŹNI

Zaczęło się od skargi. Poskarżyłam się Bogdanowi Loeblowi, że rzeszowscy malarze nie traktują poważnie mojej propozycji współpracy przy poetycko-artystycznej książce. Ich podejście do tematu wydawało mi się zbyt powierzchowne. Byłam na początku swojej publicznej drogi poetyckiej, więc bez doświadczenia wydawniczego i znajomości niuansów tej branży. To miała być moja druga książka po debiucie (*Walc Prowincja*, 1991). Napastliwa krytyka pierwszej publikacji zniechęciła mnie do wydawania na długie osiem lat.

Widać pisany był mi malarz nierzeszowski, a posłańcem był nierzeszowsko-rzeszowski Bogdan Loebel – świetny poeta, prozaik, autor tekstów bluesów do muzyki Breakoutów, takich jak choćby słynny *Kiedy byłem małym chłopcem*. Loebel miał sentyment do Rzeszowa, gdzie spędził parę ładnych lat jako prezes rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. W naszym mieście zaprzyjaźnił się z Tadeuszem Nalepą, po latach nazwanym ojcem polskiego bluesa, i tu poznał swoją wielką miłość i przyszlą żonę Annę (tę ze słynnej piosenki Stana Borysa *Anno*).

Bogdan zawsze był dosadnym krytykiem rzeczywistości ze skłonnością do mizantropii, więc wybornie się z nim narzeka; zwłaszcza mnie – mieszkance południowo-wschodniej Polski, czyli tej części dawnej Galicji, gdzie kobiety mają przyrodzoną i natrętną skłonność do załamywania rąk nad marnością świata. Czarne poczucie humoru Loebla poprzez paradoksalne wzmacnianie egzystencjalnego dyskomfortu przerysowuje obraz do tego stopnia, że staje się on karykaturalny i tym samym odgania nieszczęście, czyniąc zeń małe nieszczęściątko. Bogdan nie lekceważy sprawy rozmówcy, nie omija tematu, ale przenosi zaskarżoną rzeczywistość w sferę purnonsensu. Tym razem, w trakcie naszej komunii pomstowania, podsunął mi rozwiązanie mojego problemu. „Weź Maśluszczaka – powiedział – i daj sobie spokój z rzeszowskimi malkontentami?”.



Franciszek Maśluszczak przygotowujący wystawę *Podziwiający*,
Galeria Pastula, Poręby Kupieńskie, maj 2024

Czytał moje wczesne wiersze, był jednym z moich pierwszych prywatnych krytyków. Znał też recenzje wewnętrzne drugiego tomu napisane przez Piotra Kuncewicza i Andrzeja Lama, których fragmenty umieściłam w tej pierwszej wspólnej z Franciszkiem książce. Pełna demokracja – tyle obrazów, ile wierszy. Nie trzeba dodawać, że Franciszek Maśluszczak, już wtedy wysoko ceniony przez krytyków i rozchwytywany na rynku, zgodził się na ten mariaż. Pękałam z dumy. Sama dopasowałam obrazy do wierszy, a miałam z czego wybierać, bo artysta, wtedy znany mi bliżej jedynie telefonicznie, przesłał na mój adres okazałą kopertę slajdów ku uwadze i do wyboru.

Kiedy nasz polsko-angielski album w formacie A4 pod tytułem *Nie deptać przylaszczek / Keep off the Primroses* ukazał się w 1999 roku, dotarł do krytyków, został zaprezentowany na kilku promocjach w Rzeszowie i Warszawie, wystąpił na wernisażach malarstwa Maśluszczaka (np. w Galerii Artemis w Krakowie), pojawiły się przychylnie recenzje porównujące nasze światy – malarski i poetycki – wskazujące na pewne pokrewieństwo wyobraźni.

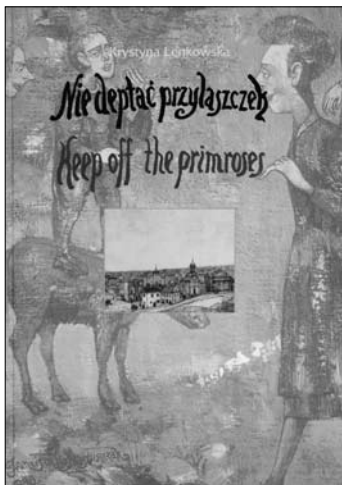
Później siedem moich kolejnych książek zostało opatrzonych obrazami Maśluszczaka: *Pochodnio, różo* (2002), *Wiersze okienne* (2003), *Wybór Ewy / Eve's Choice* (2005), *Sztuka Białego* (2008), *Tato i inne miejsca* (2010), *Zaległy list do przyszczonego anioła / An Overdue Letter to a Pimpily Angel* (2014), *Troska* (w wersji polsko-ukraińskiej wydana we Lwowie w 2014). Do pięciu z nich Franciszek wyko-

nał osobną okładkę inspirowaną treścią wierszy. Tym samym zostałam obdarowana pięcioma akwarelami (oryginałami projektów), na których moje poetyckie przesłanie znalazło wizualną metaforę wybitnego malarza i przyjaciela.

Myślę, że nie popełniam nadużycia, nazywając Franciszka Maśluszczaka przyjacielem moim i naszej rodziny. 25 lat znajomości i współpracy, nasze odwiedziny u Maśluszczaków w Warszawie i ich wizyty w naszym domu w Rzeszowie, stała korespondencja i telefony (Maśluszczakowie pamiętają o imieninach Krystyny zarówno w marcu, jak i w lipcu), obecność Basi i Franciszka na weselu naszego syna Szymona, to znajomość przez duże Z.

Podczas publicznych wystąpień Franciszek staje się showmanem. Recytuje z pamięci wiersze znanych autorów, opowiada frapujące anegdoty, czasem dworuje sobie w niepowtarzalny sposób z przyjaciół. Kiedyś powiedział w Domu Literatury, przy okazji promocji mojej książki *Tato i inne miejsca*, że świat nie zapamięta jego wystaw, dzieł i tego, że wiele z nich znajduje się w posiadaniu czy to prywatnych kolekcjonerów, czy w państwowych kolekcjach różnych krajów świata, ale zapamięta, że był ilustratorem książek poetki Krystyny Lenkowskiej z Rzeszowa. To cudowny przykład jego ironii, która bawi, śmieszy i „tumi”, ale nie „przestrasza”, czyli nie ma znamion przytyku.

Basia Maśluszczak, żona artysty, to osobny, ale nieodłączny temat tej historii. Kultura, skromność, dyplomacja, naturalne i niezmordowane zaangażowanie na rzecz sztuki męża-artysty. Jednym słowem: chodząca życzliwość. Mój mąż Waldek również jest mocnym ogniwem tego przyjacielskiego czworokąta. Warto dodać, że w ramach przyjacielskiej solidarności Franciszek przybywał na warszawskie promocje moich książek nawet wtedy, kiedy projekty ich okładek wykonywali inni artyści: Marek Sobczak, Marek Pokrywka, Agata Dębicka, Maciej Mraczek. Czasem, kiedy był na wyjeździe, zastępowała go Basia.



Franciszek Maśluszczak, projekt okładki tomu Krystyny Lenkowskiej, w którym wykorzystano jego dwa obrazy – w środku *O świecie* (1987) i jako tło *Zdumienie* (1998)

Ja natomiast uczestniczyłam w wernisażach jego malarstwa, dwa razy odwiedziłam go na plenerach malarskich w Mikołowie, których był komisarzem. Przy tej okazji organizował mi spotkania autorskie w siedzibie „Arkadii” – „pisma katastroficznego” – jak głosi jego podtytuł – w dawnym mikołowskim mieszkaniu poety przeklętego, Rafała Wojaczka, który jest patronem tego magazynu literackiego. Tam poznałam wielu ciekawych poetów, malarzy, twórców i intelektualistów mieszkają-

cych na Górnym Śląsku. Nie obyło się bez małego skandalu, który po latach wydaje mi się komplementem, choć wtedy niektóre „wybryki” artystów konsternowały moje bardzo kobiece i mieszczańskie myślenie o świecie literatury i sztuki. Krótko potem opisałam tamten Mikołów w wierszu zatytułowanym *Fraktal pokrewieństwa*:

Zagrasz tak jak zwykle. Po prostu nie zrobisz niczego na siłę, jakbyś zapomniał o niej
Pod pistacjowym T-shirtem. Bingo!

Fajnie jest w swoim kultowym miasteczku robić coś wciąż inaczej.
Nic nie grozi. Usta kobiety na socpomniku – duża rozchylona tarcza. Chowasz się cały
Jak we własną różę. Dzieci śpią, grad rozmiaru kurzych jaj nie w tej okolicy.
Nawet mały wyrok w zawieszaniu nie zagraża, jeśli nie przypieprzy się miejscowy
Psychopata i nie rozkwasi brwi lub wargi.

Uciekamy przed policją, śmiercią, paradoksem. Każdy to przecież robi.

Jest dobrze, pod warunkiem, że umie się zapomnieć o Białasie, który nie zdążył wsiąść
Do taksówki. Nadzieja w jego maratońskich nogach i woli życia mimo piętna.
Kto wie, może tej nocy ty mu niosłeś piękno jak piętę.

I znów dżin, piwo i śpiew. O tej porze taniec jest całą pionową prawdą.
Jeszcze tylko mały zaległy krwotok z nosa i oczy kobiety w czasie.
Te same od kilku godzin, że nie do wiary. Że w końcu stoją tak blisko jak siostra i matka,
Butelka mleka z kropłą krwi, niedokończona madonna z obrazu Maśluszczaka.

Zadziwione, że chronią przed sobą, somnambuliczne.

Mikołów 2002

„Fraktal” to słynny klub w Mikołowie. Pojęcie fraktal (łac. *fractus* – złamany, cząstkowy, ułamkowy) oznacza obiekt samopodobny (taki, którego części są podobne do całości) albo „nieskończenie złożony” (ukazujący coraz bardziej złożone detale w dowolnie wielkim powiększeniu). Pisząc ten wiersz, myślałam o pokrewieństwie poetów. Że jesteśmy samopodobni, nawet jeśli nic o sobie nie wiemy. Teraz myślę, że na pokrewieństwo artystyczne trzeba zasłużyć. Choćby czasem spędzonym wspólnie, szacunkiem, podziwem, lojalnością, uwagą, adekwatnością relacji.

Basia i Franciszek od bodaj 45 lat mieszkają w Warszawie przy ulicy Służby Polsce. A ja od 25 lat mieszkam we fraktalu służby talentowi i człowieczeństwu Franciszka Maśluszczaka. Tak więc fraktal pokrewieństwa dusz jest między mną a Maśluszczakami, a nie mną a tamtymi poetami z Mikołowa, których wiersze dziś ledwie pamiętam. Wiersz jest „tylko” raportem poetyckim. Uczucia w wierszach, w sztuce w ogóle, chodzą zupełnie innymi drogami niż uczucia między ludźmi. Wiersz żeruje na człowieku, na wszelkiej materii, a przyjaźń jest na antypodach tego żerowania. Jest harmonią wzajemności. Jednak na początku tej drogi był podziw do sztuki.



Fot. W. Lenkowski

Na vernisażu wystawy kolekcji sztuki Jana Pastuły *Lokacje* stoją od lewej: Magdalena Rabizo-Birek, Franciszek Maśluszczak, Krystyna Lenkowska, Barbara Maśluszczak, Galeria im. W. Kotkowskiego, Instytut Sztuk Pięknych UR, 9 maja 2024

Kiedyś opisałam i opublikowałam w „Nowej Okolicy Poetów” swoje włoskie peregrynacje śladami Piera della Francesca. W czasie tej podróży zaczęłam porównywać malarstwo quattrocenta z obrazami Maśluszczaka. To podobieństwo uderzyło mnie nagle w czasie moich wizyt we włoskich kościołach i muzeach. Pisałam na przykład, że to, co jest w tych freskach odmienne od innych dzieł, to pozornie beznamiętne ujęcie postaci. Ci ludzie nie patrzą nam w oczy. Nie epatują swoimi emocjami; ich teatr jest bardzo oszczędny w gesty i mimikę. Czyż podobnie nie można powiedzieć o malarstwie Maśluszczaka? – myślałam wtedy.

Po latach moje myślenie potwierdziła Droga Krzyżowa w kościele Wniebowstąpienia Pańskiego na warszawskim Ursynowie, którą Maśluszczak uważa za jedno z największych wyzwań w swojej karierze. Franciszek i Basia mieszkają na Ursynowie, który jest ich miejscem na Ziemi. Od dawna związani są także z tą parafią.

We włoskim Arezzo skromna świątynia św. Franciszka kryje w swoim prezbiterium jeden z największych cudów malarstwa wszystkich czasów. Ten podwójny cud to *Legenda Krzyża* sama w sobie oraz jej malarskie ucieleśnienie w postaci cyklu czternastu fresków, ręki, głowy i serca Piera della Francesca. Ich tematem są dzieje cudownego krzyża Chrystusowego, zwanego Prawdziwym Krzyżem (*Vera Croce*), od jego początku w chwili stworzenia świata aż do roku 615, kiedy ukra-

dziony krzyż sprowadzono z powrotem do Jerozolimy. Historie te zaczerpnął mistrz Piero z apokryfów i legend, przede wszystkim ze *Złotej legendy* Jakuba de Voragine. Często fikcyjne i anachroniczne, pomieszczone z prawdą Ewangelii, podawane z ust do ust, służyły przez wieki umacnianiu wiary. Piero della Francesca pozwala przeżyć legendę krzyża każdemu na swój własny sposób. Postacie na jego obrazach rozpaczą taktownie, bezdźwięcznie, nie dramatyzują; czasem otwierają usta w niemym zadziwieniu. Wszędzie umiar, stonowanie i subtelność ekspresji. Precyzja obrazu wprowadza jakby zawieszone uczucie lęku. Podobnie droga krzyżowa Małuszczaka nie ocieka krwią, nie szokuje cierpieniem. Franciszek Małuszczak jak Piero della Francesca nie narzuca psychologii zdarzeń, nie przytłacza naszej wyobraźni. Zostawia wolną przestrzeń, dając znaki, jak mamy odczytać ich formę, bryłę, perspektywę powietrza i światła.

W kolejnych latach Małuszczak domalował w swoim kościele tryptyk *Wniebowstąpienie* i zaprojektował witraże w prezbiterium. Tym samym dołączył do grona wielkich polskich malarzy – jak Stanisław Wyspiański i Jerzy Nowosielski – których freski i witraże podziwiamy w świątyniach.

A wszystko to, co tu napisane, zaczęło się od słowa, od wiersza, od wierszy. Zaczęło się od kreski, od obrazu, od obrazów. Na początku było słowo. Na początku był obraz. Na początku były słowo i obraz.

Krystyna Lenkowska



Projekt okładki tomu
Krystyny Lenkowskiej z obrazem
Franciszka Małuszczaka
Dziewczynka na krze (2004)

Ks. Paweł Batory

FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK, BAJECZNY MALARZ CODZIENNOŚCI

Twórczość plastyczna Franciszka Maśluszczaka – jak mało która – nadaje się do tego, by towarzyszyć literaturze – zresztą artyście niejednokrotnie zdarzało się wykonywać ilustracje do konkretnych tekstów. Dwie takie wieloletnie współprace uwypuklają szczególnie ważne cechy jego obrazów: baśnie Agnieszki Taborskiej, historyczki sztuki, znawcy surrealistu, oraz poezje Krystyny Lenkowskiej, rzeszowskiej poetki, z którą artysta współpracuje już od 25 lat. Jest to bowiem malarstwo, które nie boi się metafory i świadczy o nieposkromionej wyobraźni autora, przez co bez kozery może być nazwane „poetyckim”.

Wizualne światy kreowane przez Maśluszczaka operują nastrojem niemal baśniowym, ocierając się niekiedy o nadrzeczywisty klimat znany z twórczości surrealistów. Przy tym wszystkim dzieła te pozostają zaskakująco konkretne,



Fot. Michał Drozd

Przed galerią Jana Pastuły w Porębach Kupieńskich stoją: Franciszek Maśluszczak, ks. Paweł Batory, Beata Kuman, Barbara Maśluszczak, 11 maja 2024

trzymając się mocno rzeczywistości. Malarz upodobał sobie szczególnie krajobraz i mieszkańców małych prowincjonalnych miejscowości, co przywodzi na myśl twórczość mistrza tego typu tematyki, jakim był Marc Chagall, do którego zresztą bywa porównywany. Pamiętać jednak trzeba, że wszelkie ewentualne powinowactwa z innymi artystami są najwyżej luźnymi skojarzeniami odbiorców – Franciszek Maśluszczak jest bowiem twórcą osobnym, tak oryginalnym, że rozpoznawalnym na pierwszy rzut oka, tworzącym swój własny poetycki świat wyobraźni utkany z naszej polskiej codzienności. Dukt pędzla i rysunkowa kreska mają swój niepowtarzalny wyraz, podobnie jak dosyć często pojawiające się inskrypcje, kreślone fantazyjnym charakterem pisma autora.

Tak się szczęśliwie złożyło, że w maju 2024 roku publiczność z Rzeszowa i okolic mogła podziwiać wybór prac Franciszka Maśluszczaka na dwóch wystawach. W Muzeum Diecezjalnym w Rzeszowie na ekspozycji *Niezwykłe zwykli ludzie. Święci w ilustracji*, będącej pokłosiem plenerów ilustratorskich organizowanych przez Krasnobrodzki Dom Kultury, zaprezentowano dwa rysunki (*Św. Roch* i *Św. Faustyna*) oraz cztery akwarele (*Bogurodzica*, *Św. Jadwiga*, *Św. Tomasz z Akwinu*, *Św. Juda Tadeusz*). W Galerii Pastula w Porębach Kupieńskich wystawa monograficzna zatytułowana *Podziwiający* była częścią wyjątkowego wydarzenia które odbyło się 11 maja 2024 roku, a mianowicie spotkania autorskiego ze wspomnianą już poetką, Krystyną Lenkowską, która przybliżyła zebranym nie tylko swoją twórczość, ale i niezwykle owocną współpracę z malarzem: od prac dobranych do wierszy w zbiorze *Nie deptać przylaszczek/Keep off the Primroses* (Wydawnictwo YES, Rzeszów 1999), poprzez te wykonane specjalnie do kolejnych tomów poetyckich.

Dużą siłą ilustracji Franciszka Maśluszczaka jest to, że nie próbują one dosłownie ilustrować tekstów, ale tworzą równoległą narrację, powiązaną z tą literacką w sposób nieoczywisty, acz wyraźny, dzieląc optykę i sposób myślenia oraz uwypuklając poszczególne sensory ukryte między wierszami. Cechą charakterystyczną dzieł Maśluszczaka jest to, że w sposób, który wydaje się jak najbardziej naturalny, potrafią łączyć przeciwieństwa: fantazję z konkretem i linearność z rozbuchaną plamą barwną. Artysta uwielbia posługiwać się konturem, ale jego linia, choć stanowcza i precyzyjna, sprawia jednocześnie wrażenie lekkiej i swobodnej. Kapryśnie meandruje po powierzchni, tylko do pewnego stopnia próbując okiełznać kolor. Barwa rozlewa się bowiem w intensywnych plamach, osiągając niezwykle malownicze efekty, zachwycające zwłaszcza w akwarelach. Jedną z cech rozpoznawczych malarstwa Franciszka Maśluszczaka jest to, że kolor opanowuje również kontur. Linia przybiera wielorakie barwy, czasem w obrębie jednej figury. Pełna harmonia, zbudowana na przeciwstawianych sobie zwykle jakościach i formach ekspresji.

Niesforna, barwna linia wydobywa z nieości przede wszystkim postaci ludzkie, kształtowane w sposób niepodrabialny, specyficzny dla tego artysty. Charakterystyczne proporcje ciała i rysy twarzy łączą w sobie przysadzistość ze zwiewnością oraz popolitość z wyrafinowaniem. Bardzo często sylwetki ukazane



są na tle krajobrazu lub widoków wsi i miasteczek, jednak, choć zwykle krępe, nabierają niezwyklej lekkości, frunąc ponad światem lub pozostając z nim w co najmniej luźnym związku. Co ciekawe, ciężaru i konkretności nie traci zwykle architektura, nawet jeśli „dźwigana” jest na plecach człowieka, jak na okładce tomu *Sztuka białego* Krystyny Lenkowskiej (2008). Przedstawiona jest zawsze z podziwu godną dokładnością, zdradzającą uważne oko artysty i znajomość detalu architektonicznego – czy to będzie drewniany wiejski kościół, czy barokowa mурowana świątynia, czy wiejska chata albo miejska kamienica.

Maśluszcak nie byłby sobą, gdyby jednak i tych konkretnych, ciężkich brył nie ożywił na swój sposób.

Czyni to poprzez bogatą i żywą kolorystykę a także zabawy z rozmiarem i perspektywą. Jego miasteczka nie rozciągają się w nudny i płaski sposób, ale piętrzą jakby uciekły ze średniowiecznych poliptyków i iluminacji albo niezapomnianych wedut Nikifora. Jego wyobrażone Kotlice, Zamoście i Mikołowy przypominają raczej Arezzo z asyżskiego cyklu Giotto lub białoruskie sztetle Chagalla, w których każda budowla upodobała sobie inną perspektywę i prezentuje się od innej strony, a wszystkie razem zachwycają niebanalnymi zestawieniami kolorystycznymi. Świetnie ukazuje to obraz z 2018 roku zaprezentowany na wystawie w Galerii Pastula, gdzie wysoki, biały, modernistyczny blok mieszkalny, przedstawiony od frontu, sąsiaduje z płasko ujętą, acz trójwymiarową kamienicą o kobaltowej fasadzie, a obie budowle tkwią jak dwie kolumny w wielobarwnym żywiole małego polskiego miasteczka, łączącego wszelkie możliwe sposoby budowania. Chaos architektoniczny jeszcze nigdy nie był tak malowniczy i fascynujący.

Obfitość, która niekiedy aż rozsadza dzieła tego artysty, przejawia się nie tylko w dużej ilości kształtów i sposobów ukazywania, potrafiących zgodnie współistnieć w jednym polu obrazowym. Malarstwo Maśluszcaka to przede wszystkim opowieść o ludziach, którzy również tworzą świat zadziwiającej różnorodności. Chociaż fizjonomia Maśluszcakowych twarzy jest dosyć jednolita, to zaludniająca dzieła artysty kobiety i mężczyźni, starcy i dzieci tworzą bardzo urozmaiconą społeczność. Niekiedy na jednym obrazie postać ubrana we współczesny prochowiec rozmawia z osobą odzianą w renesansową suknię, chłopak w dresie spotyka się z babą w zapasce, a chasyd z mieszczuchem w garniturze.

Malownicze postaci zbijają się w grupki albo stoją samotnie. Ktoś za kimś biegnie, inny frunie, jedna osoba wygląda przez okno, druga wygrywa skoczną melodię na instrumencie lub puszcza bańki mydlane (jak na obrazie *Dziewczynka na krze* z 2004 roku, który znalazł się na okładce zbioru Krystyny Lenkowskiej *Tato i inne miejsca*, 2010). Oto świat ludzkich spraw: niby zwyczajny, a jednak pełen swoistej poezji, a nawet bajkowości. Malarstwo Maśluszczaka pozwala nam odnaleźć radość i zachwyt zwyczajnością, i wtedy, gdy posługuje się rubasznym humorem, i wtedy, gdy nie stroni od ironii, pewnego dystansu, a kto wie czy nie delikatnie zasugerowanej krytyki społecznej.

Złożoność i skomplikowanie pozornie prostych kompozycji autora widoczna jest szczególnie wyraźnie w pozbawionych kolorów rysunkach. Weźmy chociażby przywołanego już *Św. Rocha* z 2023 roku. Wizerunek siedzącego pośród lasów i pół starca utkany został z nieco nerwowej, poszarpanej linii, która jakby bała się pustej przestrzeni. Panujący tu *horror vacui*, wcale nie tak oczywisty dla tego artysty, pozwala podziwiać jego maestrię. Zabieg być może o tyle celowy, że w rysach twarzy tego popularnego patrona nieśmiało dopatruję się ukrytego autoportretu wirtuoza kreski.

Franciszek Maśluszczak mógłby być z powodzeniem nazwany bajecznym malarzem codzienności. Jest to w dodatku codzienność lokalna, bardzo polska, która chwyta nie tylko otaczającą nas rzeczywistość, ale – co być może jeszcze istotniejsze – naszą mentalność, z jej pięknem i przywarami. Przebija ona zarówno z kompozycji ocierających się o surrealizm, jak i z bajkowych ilustracji, wizerunków pojedynczych postaci i scenek rodzajowych z prowincji, wreszcie z malarstwa religijnego, od której to tematyki artysta również nie ucieka. Nawet najbardziej kolorowe i radosne sceny przesycone są nastrojem melancholii i głębokiego namysłu. Być może i z tego powodu czujemy, że spoza tego fantazyjnego sztafażu wylania się jakaś istotna prawda o nas samych: raz pokraccznych, a raz monumentalnych, stojących pewnie na ziemi lub bujających w obłokach, szukających poezji i czegoś nadrzeczywistego w tym konkretnym i obfitym świecie, w którym żyjemy.

Ks. Paweł Batory

O KSIĄŻKACH

Magdalena Rabizo-Birek

CARSON PO POLSKU – NARESZCIE!

O Anne Carson słyszałam od kilku lat, zwłaszcza od poetek anglistek, zafascynowanych jej poezją i próbujących ją przekładać na język polski. Nie ukrywały przy tym towarzyszących temu zadaniu trudności, wynikających na przykład z faktu, że kanadyjska poetka jest profesorką filologii klasycznej, specjalizującą się w literaturze starogreckiej. Wprowadza do twórczości mało znane motywy literackie i mitologiczne oraz inkrustuje swe obszernie, eksperymentalne poematy cytatami ze starożytnej greki w oryginalnym kształcie językowym. Podobno nie chce też współpracować z tłumacz(k)ami. Zatem są oni/one sami/same na pełnym (greckich i nie tylko) raf morzu nowoczesnej, poetyckiej (neo)angliczszczyzny. Nie poddają się jednak, gdyż *vox populi* głosi, iż Carson jest murowaną kandydatką do literackiej nagrody Nobla. Poszerza bowiem granice poezji i poetyckości oraz oryginalnie wykorzystuje tradycję kultury, wplatając ją w aktualne dyskursy

społeczne, polityczne i obyczajowe, snując autobiograficzne, intymne opowieści mocno zanurzone we współczesności. Jest silnym, odrębnym głosem dykcji neoklasykistycznej i poezji kobiet.

W latach 2022 i 2023 ukazały się w Polsce dwie jej książki. To obszernie poematy – *Piękno męża* w tłumaczeniu Olgi Kubińskiej oraz w nowej, przekładowej serii wydawnictwa Ossolineum Wygłosy – *Autobiografia czerwonego* w tłumaczeniu Macieja Topolskiego. W ten sposób zappełniła się potężna – tak sądzą przywoływane przeze mnie poetki anglistki – luka w polskiej recepcji światowej poezji XX i XXI wieku. W pierwszym z tomów – o ryzykownie brzmiącym w polszczyźnie tytule – autorka dialoguje z twórczością apologety piękna, młodo zmarłego angielskiego romantyka Johna Keatsa (notabene, zafascynowany starożytnością grecko-rzymską, odwołujący się do niej w swojej twórczości, znał ją tylko z przekładów, bowiem, z racji niskiego urodzenia nie zdobył klasycznego wykształcenia).

Czytelnicy, którzy chcą poznać twórczość Carson, muszą się przygotować na poznawczy szok i to bynajmniej niewynikający z trudności lektury jej poezji, tylko z jej nietypowej formy. Pierwszą myślą już po lekturze kilku stron obu książek jest pytanie: czy

to naprawdę jest poezja a nie powieść lub esej? Czy aby autorka przewrotnie nie nazywa poezją czegoś, co nią formalnie nie jest i to nawet dla miłośników poezji w kraju, który wydał „antypoezję” Tadeusza Różewicza i Mirona Białoszewskiego?

Piękno męża to autobiograficzna, podzielona na zdaniowe wersy i rozdziały konfesja o trwającym latami, przekraczającym granicę śmierci, wyniszczającym protagonistkę miłosnym uzależnieniu oraz krytyczna wawisekcja tytułowego „męża” – manipulatora i charakteropaty na zgubę kobiecego rodzaju przyobleczonego w charyzmę oraz piękne ciało. Schodząc głębiej pod podszewkę przedstawionych zdarzeń, *Piękno męża* stanowi psychologiczno-filozoficzną rozprawę o miłości, kolejną demystyfikację miłosnego mitu Zachodu, traktat o przewadze instynktów i emocji nad intelektem oraz zdrowym rozsądkiem, nową odsłonę odwiecznego konfliktu męskości z kobiecością. Opowieść to po trosze Różewiczowska – i on przecież krytycznie dialogował z aforyzmem Keatsa zrównującym piękno i prawdę, nakazywał poetom skreślenie w wierszu słowa piękno, które jawiło mu się jako przykrywka sił demonicznych.

Doceniona za przekład przez jury Nagrody imienia Wisławy Szymborskiej w kategorii przekładu poezji obcojęzycznej *Autobiografia czerwonego* bardzo przypomina powieść – bowiem jest to rozbita na wersy, ale napisany poprawną „prozą” (lub prozą poetycką) epos o współczesnym innym – młodym (wiecznie młodym, gdyż jest to Gerion – mało znany bohater greckiej mitologii), nieszczęśliwie zakochanym geju, różniącym się od większości ludzi także ognistym kolorem skóry i posiadaniem ogromnych, owadzych skrzydeł, które skrywa pod podkoszulkami i marynarkami.

Kapituła nagrody doceniła kunszt i ogrom pracy tłumacza, włożonej w skrzącą się od poukrywanych w niej kulturowych intertekstów, obszernej, 180-stronicową książkę, którą

czyta się tak, jakby była oryginalnie napisana po polsku. Można się skupić na śledzeniu jej skomplikowanej fabuły – podróźniczych przygód wrażliwego antyherosa, przemierzającego świat w pogodni za niewiernym kochankiem albo na warstwie psychologicznej – doświadczeniach, uczuciach, przemyśleniach osoby samotnej i wyobcowanej, konfrontującej się z odmiennymi kulturami, ludzką małością (nietolerancją, przemocą, wykorzystywaniem, złem) i wielkością (empatia, solidarność, współczuciem, bezinteresownością).

Nagradzając tę właśnie książkę Anne Carson, jurorzy docenili wysiłek poznawczy i eksperyment literacki kanadyjskiej pisarki – wychodzącej z akademickiej wieży z kości słoniowej ku współczesnemu światu, otwierającej się na doświadczenie ludzi młodych, wywodzących się z klas nieuprzywilejowanych, zaglądnącej do slumsów wielkich miast świata, przekraczającej ograniczenia płci, wykształcenia i zachodniej kultury.

Książka Carson miała mocną konkurencję – w ostatnich dwóch latach ukazało się w Polsce wiele znakomicie przełożonych, ważnych tomów, zbiorów i wyborów światowej poezji, które zapełniły istniejące luki w jej polskiej recepcji. Wymienię tytułem przykładu kilkanaście z nich, wydanych przez różne wydawnictwa, często w ramach wielotomowych serii poezji obcej: *Czas twórczości / Dichtenszeit* Wasyla Stusa w przekładzie Jacka Podsiadły, *Ostatnia księga madygalów* Philippe’a Jaccottet w przekładzie Jana Marii Kłoczowskiego, *Republika głuchych* Ilyi Kaminskiego w przekładzie Anny Łazar, *W lesie, w drewnianym domku* Michaela Krügera w przekładzie Pawła Marcinkiewicza, *Nie boli* Kateryny Babkiny w przekładzie Bohdana Zadury, *Z peryferii* Jany Bodnárovej w przekładzie Zofii Bałdygi, *Kaftan bezpieczeństwa* Nicanora Parry w przekładzie Aleksandra Trojanowskiego, *Księga rzeczy* Aleša Štegera w przekładzie Miło-

sza Biedrzyckiego, *Osobista pustka* Aušry Kaziliūnaitė w przekładzie Pauliny Ciuckiej, *Kobalt* Claudiu Komartina w przekładzie Jakuba Kornhausera, *Elegie bukowskie i inne wiersze* Bertolda Brechta przetłumaczone przez Ryszarda Krynickiego.

Poezja obca w przekładach ma się w Polsce całkiem nieźle, choć żeby zobaczyć, ile w ciągu dwóch lat ukazało się jej tomów, trzeba być jurorką/jurorem odpowiednich konkursów. Większości tych książek nie znajdziemy w księgarniach i empikach oraz oraz nie zobaczymy w internetowych reklamach. Trzeba zaglądać na portale konkretnych wydawnictw, z których polecam: Państwowy Instytut Wydawniczy, Ossolineum, Biuro Literackie, Warsztaty Kultury, Pogranicze, WCPiCak, Instytut Mikołowski, Formę, a5, Bibliotekę Śląską, SPP Oddział w Łodzi.

Magdalena Rabizo-Birek

Anne Carson, *Autobiografia czerwonego*, przełożył Maciej Topolski, seria Wygłosy, Ossolineum, Wrocław 2023.

Anne Carson, *Piękno męża*, przełożyła Olga Kubińska, Słowa na Wybiegu, Gdańsk 2022.

Jan Belcik

NIEUCHWYTNÓŚĆ KOŃCA LATA

Koniec lata to w zasadzie dopiero finisz wakacji, gdzieś mu jeszcze do październikowej, krzykliwej zmiany barw najbliższego otoczenia, do kolorowej szaty lasów, do łagodnej listopadowej zadumy czy też jesieni przechodzącej w sine, oszronione poranki. Wpatruję się w ostatni tomik Rafała Rżanego, zatytułowany właśnie *Koniec lata*, i podaję się przedstawionym w nim nastrojom.

Pojawia się w nim zachwyt, ale tuż za nim czai się cień, jak choćby w wierszu *Po wodzie*:

*Cień drzewa na zapisanej wierszem kartce;
cień tego wiersza na rzece;
mowa wiersza: cienie cieni
w domu gdzie nie ma słońca.*

*I poeta: ten, który uczy się chodzić
po wodzie.*

Tak, prawdziwy wiersz to cud, jak spacer na Jeziorze Galilejskim, ale takim niezwykłym zjawiskiem jest też obraz, który okazuje się być zaledwie cieniem drzewa, cieniem cienia na rzece, nieuchwytnością realnego świata, fenomenem doznania, dotyku prawie metafizycznego. Można pójść tropem Wisławy Szymborskiej i jej wiersza *Radość pisania*, ale nasza noblistka dąży do konstatacji, że tworzenie jest rodzajem autoironicznej zemsty na rzeczywistości śmiertelnej ręki i rozumu. U Rżanego przeraża się to raczej w nieuchwytność, w niemożliwość jakiegokolwiek odwetu na przemijaniu, udręce bycia wrzuconym w czas. Jest też moment refleksji nad domem, którego nie rozjaśnia słońce, gdzie nie ma nadziei, ale motyw ten można też interpretować inaczej – gdzieś tam na dnie czai się zawsze ledwo dostrzeżona wiara... Podobnie w wierszu *Przeszło lato*:

*Przeszło tędy lato i gdzieśgdzie gra jeszcze
jego rdzewiejąca trąbka*

pieśń poddania.

*I cała dusza
mokra.*

Tak, to echo lata, echo przemijania w pieśni rdzewiejącej trąbki, tu – ledwie zaznaczonej melancholii, poddania się losowi, bez rzewności, ale i bez rozpacz, chociaż dusza okazuje się „mokra”. Symbolizuje zdziwienie, że już jest po wszystkim, że czas, ludzie i zdarzenia na nas nie poczekali, jak w wierszu *Komu*:

*Czas, ten solidny rzemieślnik,
znów mówi do nas wyraźniej:
przyszła jesień, choć to połowa sierpnia
i liście jak latające obrazy
zniszczenia i pośmiertnych losów
symbol, krążą
w zdziwionym powietrzu.*

Jesteśmy kruchym płatkem, siłą ciężenia sunącym ku ziemi, ku glebie, ku użyźnieniu jej. Pozostajemy także kwintesencją losu, każdego losu, czasem jego niespotykanym zrządem, upadkiem albo tylko dziwnym żartem. Poeta w wierszu *Żart* przytacza słowa Simone Weil: „My jesteśmy tym żartem Boga”. Podmiot liryczny podsumowuje tutaj ten dowcip – jakby mniej udany: „i to, co między nami: / nasz wspólny nieudany żart / bez Boga”. Bo jednak posiadamy wolną wolę i nieudane relacje między nami są sumą naszych działań, nie musimy od razu włączać ich w strefę działania Boga. Nie o żadną symetrię owych chybionych zabiegów chodzi, ale o nasze często dziecinne projekcje: „przez nią przenoszona samotność”. Podmiot liryczny wspomina o tym w wierszu *Trzydzieści metrów*, tworząc paralelę między powierzchnią mieszkania a potencjalnie ważnymi doświadczeniami w życiu: „metr równa ilość dni w jej i jego / pamięci / z którymi nie wiadomo jeszcze/ co zrobić”.

Koniec lata może oznaczać także zmierzch tego, co najlepsze w życiu, dojrzewanie do spraw ostatecznych, doświadczeń eschatologicznych. Ten punkt widzenia przewija się przez niemal wszystkie wiersze ostatniego tomu Rzanego. Elementy owego widnokręgu możemy dostrzec także w utworze *Wagony*:

*Przez własne wiersze przechodzę jak przez ściany
Wygazzone pochodnie poranków i zmierzchów
zmieniają się szybko jak ceny paliw*

*Kiedy mieszkalem w tamtym większym mieście,
najważniejszy był dworzec: wagony – żółte, niebieskie
i brudno-zielone rozwoziły moje naiwne pytania
po całym świecie;*

*i czułem – skąd brała się ta próżność we mnie? –
że melodię szczęścia gra dla mnie
elektryczna trakcja.
I tylu mnie ludzi mijalo,
a wszyscy
jak na wielkich wakacjach.*

*Skończyło się. Teraz stoję
na peronie w innym mieście;
między mną a niebem wielki dialektyczny ekran.
Pomału
liczę schody na ruchomej taśmie. Inni już
ludzie płyną po nich nierealnie
miętko. Teraz jest właśnie ich czas;
ich wagony toczą się:
tak lekko.*

To właśnie ci zmieniający się, przemijający ludzie, a nawet całe pokolenia przemierzające się w przedstawionych w utworze wagonach – uświadamiają nam upływ czasu. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, rozumiemy to doskonale po latach, bo żaden z tych pojazdów nie jest tamtym ani tamtym nie okazuje się żaden człowiek. Inni już wsiedli gdzie indziej. A my kim jesteśmy? Tamtymi dzisiaj, trochę nierealnymi, oderwanymi od wcześniejszych oczekiwań, czy też jeszcze tamtymi z określonymi marzeniami, oczekiwaniami, którzy zmierzają już zupełnie gdzie indziej? Zawsze to „gdzie indziej” ma wymiar ironiczny, bo ludzie często nie dostrzegają swego kresu – staje się on widoczny dopiero po osiągnięciu pewnego przystanku i wieku...

Wyraźnie zaznaczony jest w tomiku koncept powściągliwości, unikania dopowiedzeń, nieulegania iluzji krzykliwych idei. Opuszczeniu czy też samotności towarzyszy i czas pandemiczny, jak w wierszu *Wielkanoc 2020*, w którym podmiot liryczny wyznaje:

*Zamknięte są świątynie Boga
i świątynie pieniądza
nie trzeba już wybierać między życiem wiecznym
a mamoną
pomiędzy ciebie i mnie wciska się policjant
obywatelskie nieposłuszeństwo przestaje być cnotą
dystans nie jest już duszą piękną
tylko paląca potrzebą.*

*Zaskakujący kalejdoskop obrazów i refleksji
składa się na niebanalną konkluzję:*

i czekamy

aż w pustych kościołach

w ciszy i bez świadków

Chrystus jak co roku

znowu zmartwychwstanie.

Tak, to twórczość, która nie pozostawia nas samych sobie. Otwiera na niewyraźne, niedopowiedziane, nie ulegając zarówno nihilizmowi, jak i nazbyt łatwemu pocieszeniu. Rafał Rżany powiedział na jednym ze spotkań autorskich, że najbardziej ceni poezję Jana Polkowskiego, który potrafił celnie opisywać rzeczywistość społeczną i polityczną. On zaś – jako że tego nie umie (co nie jest do końca prawdą, próbowałem to wyrazić w powyższym omówieniu) – skupia się na dwóch najważniejszych tematach – miłości i śmierci, i na tym, co zdarza się pomiędzy nimi – na przemijaniu. Cieszę się, że poeta pozostał właśnie przy nich, bo potrafi, jak mało kto, mówić własnym głosem o sprawach najistotniejszych.

Jan Belcik

Rafał Rżany, *Koniec lata*, Wydawnictwo Pod Światło, Rzeszów–Kraków 2023.

Ryszard Mścisz

WARIACJE NA TEMAT... WARIACJI

Poezja jako szaleństwo słów, myśli, skojarzeń, zaoranych zniecka i na przekór pół semantycznych? A może jakiś wir natchnień i urojeń, dokopywanie się korzeni słów i tych korzeni podkopywanie? Jeśli swoistym emblematem tomiku, ujętą tytułem kwintesencją jest *Popierdoliom*, to nie należy oczekiwać klasycznych ram, wędzideł logiki i dużego poetyckiego P (wiersze zaczynają

małe litery a tytułowa kwalifikacja metapoetycka – jeśli taką jest – nie rości sobie pretensji do wielkości).

„Wiersze piszę tylko w odpowiedzi na awarie rzeczywistości” – tak swoją *ars poetica* ujmuje Beata Nicos-Trenk, autorka zbioru *Popierdoliom* (w wierszu *Przepisane z tablicy*). A więc poezja jako sposób na naprawę rzeczywistości, dopełnienie jej ułomnej dosłowności i powierzchowności, a może także na wywalczenie pewnego miejsca dla siebie w tej rzeczywistości. Miejsca dla własnej „nieoswojoności”, wybujałego indywidualizmu, niezbieżności ze stereotypami, obowiązującymi maskami, prerogatywami normalności. Jeśli poezja ma być nasza (wewnętrznie i „zewnątrznie”), ma poszukiwać istoty, esencji, musi dążyć do oddania tego, co w nas nieokiełznane, absolutnie szczerze i czynić to jak najwierniej, najdokładniej. „Bo poezja to stopień zero języka wymaga absolutnej precyzji” – twierdzi poetka we wspomnianym wierszu.

Owo dosadne, tytułowe *Popierdoliom* to także wyraz stanu psychicznego podmiotu mówiącego, który leczy się psychicznie, podlega terapii, przyjmuje leki, a pewna niestabilność emocjonalna, umysłowa staje się jego organicznym prawem i racją, a co za tym idzie – wykładnią, dominantą poetyki. Wszakże tych różnych wyznaczników, dystynkcji poetyckiego świata Beaty Nicos-Trenk jest znacznie więcej, albowiem całe bogactwo języka, sposobu obrazowania i nieposkromionej zgoła wyobraźni nie daje się zamknąć w chochy i pozornie trafne, narzucające się ramy.

Dla romantyków świat wyobraźni (metafizyczny, irracjonalny), świat wzlotów ducha i odkrywania prawd tkwiących w zakamarkach duszy był dostępny dla poetów, dzieci i chorych psychicznie. W jakiejś mierze znajduje to odbicie w wierszach z tomiku *Popierdoliom*. Mamy tu bowiem rzeczywistość widzianą z punktu widzenia osoby niestabilnej psychicznie, ale także liczne od-

niesienia do dziecięcej perspektywy patrzenia, widzenia dziecka w sobie oraz do tworzenia imperatywu twórczego, który cechuje podmiot mówiący. Wiersze te cechuje także bogactwo intertekstualnych i kulturowych odniesień, wielka różnorodność i obfitość zabiegów językowych, stylistycznych oraz prawdziwy żywioł twórczej wyobraźni, która ciągle poszukuje, wymyka się, unika ram (kojarzy się to przewrotnie z ramą Malewicza w wierszu *Odbite w czarnym lustrze Alicji tym z białą ramą skradzioną przez Malewicza*).

Trudno oddać całą misterną, utkaną z różnych jakości i sensów konstrukcję wierszy ze zbioru Beaty Nicoś-Trenk. Próba wpisania jej w interpretacyjne ramy i wyodrębnienia wyznaczników przyniesie tylko pewien tego obraz lub tylko jego szkic. W wierszu *Kraj mi się zepsuł* mamy do czynienia ze zderzeniem współczesnych realiów z realiami hamletowskimi – swoiście dopełnionymi i zinterpretowanymi odniesieniem do *Balady* Juliusza Słowackiego. Mamy tu zresztą – podobnie jak w wielu wierszach – zabójczą mieszankę skojarzeń, intertekstualnych odwołań, transfiguracji myśli, powiedzeń: „bawią się łątkami w teatrum mundi” (Kochanowski, Szekspir), „komu komu fiołki”, „pani zabiła pana piłbił bilpił” (*Lilie* Mickiewicza; uwspółcześnione, z gry słów można wyczytać, że pan pił, za co pani go zabiła), „kręć się kręć krew przesiąka” (*Prząśniczka* Moniuszki). Rozbudowana gra skojarzeń o literackim rodowodzie łączy się z finalnym, bezpośrednim odniesieniem do naszego kraju i przestrogą: „lepiej w domu siedź i gotuj (się) zasłoń okna gdy błyska kraj / mi się zepsuł nie chodzi chociaż tika tak tak w krzywym lustrze”.

W większości wierszy z tomiku *Popierdoliolum* pojawiają się przeskoki myślowe, mamy do czynienia z chwytaniem się pozornie banalnych skojarzeń natury rytmicznej i brzmieniowej. Nawiązania do znanych myśli, zwrotów (także potocznych) łączą

się z destrukcją związków semantycznych, pchnięciem ich na inne tory – z objawieniem się nowego, odkrytego sensu. Gry i potyczki słowne, różne zabiegi lingwistyczne (czasem przypominające poetyckie eksperymenty futurystyczne – jak w wierszu *Posrebrzana laleczka woodu to ty przyznaj się*), wyrażenie onomatopieczne, echolalia, mieszanie stylów, wulgaryzacja języka to także wyznaczniki poezji Beaty Nicoś-Trenk, która niewątpliwie ma swój rozpoznawalny styl. Czasem przypomina to jakże odległą literaturę sowizdrzalską, która przecież także wyrastała z buntu wobec tego, co oficjalne i wzorcowe. Można powiedzieć, że te zabiegi służą oddaniu pewnego stanu psychicznego, rozchwiania psychiki, które z kolei destabilizuje ciąg logiczny i spójność wypowiedzi. W ten sposób dochodzimy do tytułowego *Popierdoliolum* (które zresztą ma swój „wycinkowy” odpowiednik w wierszu *Popierdoliolum op 10*).

Terapeutyczny i „psychiatryczny” charakter wielu wierszy ze zbioru ma swoje odbicie w ich tytułach: *Z semika dla zaawansowanych wariatek*, *Wierszyk z poczekalni poradni zdrowia psychicznego nowy nieśmiągany*, *Do czego nie przyznaję się mojemu psychiatrze czy cykl utworów Z notatnika pacjentki poradni psychiatrycznej przy ulicy Adama Mickiewicza w Toruniu*. Leczenie psychiatryczne, zażywane leki, kolejne wizyty, ale także nawiązanie do dziadka podmiotu mówiącego i jego dzieciństwa pojawiają się w wierszu *Z notatnika pacjentki poradni psychiatrycznej przy ulicy Adama Mickiewicza w Toruniu chyba 9*. Wspomnienia z dzieciństwa (także przecież w jakiś sposób łączące się z działaniami terapeutycznymi) łączą się tu z metamorfozami i transmigracjami natury oraz współczesnymi odniesieniami do wizyt w konkretnej poradni psychiatrycznej. Transformacja starego drzewa i cykl ptasich przeobrażeń to motywy, które pojawiają się także w innych wierszach z *Popierdoliolum*. Ów wzlot czy odlot podmiotu

mówiącego ma swoje głębsze, uniwersalne implikacje i prowadzi do poetyckiej konstatacji: „ważne że teraz leci ponad horyzont zdarzeń i zderzeń”.

Bardziej lub mniej wyraziste odniesienia do dzieciństwa obecne są w wielu wierszach tomiku, między innymi w cyklu *Z gier i zabaw dziecięcych*. Często jednak owa dziecięcość jest przewrotna, sarkastyczna czy „eksperymentalna”. W wierszu *Z gier i zabaw dziecięcych VIII* wojna objawia się jako krwawa zabawa dziecka – skażonego psychicznie i emocjonalnie. Mamy tu wyraźne odniesienia do wojny na Ukrainie, do Putina i jego okrucieństwa:

*chudy drobny obcy zapalaczywy
władimir p. zawsze lubił się bić i patrzeć
jak boli krwawi łądzkie życie
jak wsiąka w brudne podwórko.*

Pokaz strzelania z gier i zabaw dziecięcych skrzyżowany jest z tym realnym, wojennym. Wojna, śmierć na gruzach chorej idei, prawdziwe zabijanie (w przeciwieństwie do świata gier, fantazji, dziecięcych urojeń o życiu, które się odradza) znajdują swoje odzwierciedlenie w wierszu *Z gier i zabaw dziecięcych VI*.

Poezja Beaty Nicoś-Trenk jest bardzo kreatywna i znajduje to wyraz w różnych wymiarach. Bardzo widoczna jest jej intertekstualność, bogactwo odwołań kulturowych i swego rodzaju dyskursywność – przy czym nie ma ona służyć tworzeniu przypisów do własnych wizji, nie pełni funkcji polemicznych czy argumentacyjnych, ale jest niejako zaabsorbowana przez osobliwy, nieokreślony świat twórczej wyobraźni autorki *Popierdoliu*. Klamrą i swoistą myślą przewodnią wiersza *Odbite w czarnym lustrze Alicji tym z białą ramą skradzioną przez Malewicza* jest zabijanie poetów, które następnie zostaje „przetransferowane”, zderzone z wybujałą wyobraźnią poetki. Salonik poezji „starej ciotki pijącej kawę z przedwojennych filiżanek z młodym jeszcze Alzheimerem”

(niczym z wiersza Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej *Najpiękniejszy sen*) łączy się z szaloną wizją, w której pojawiają się: Platon, Neron, postaci z *Alicji w Krainie Czarów*, pitagorejczycy, stoicy, doktor Tulp (z obrazu Rembrandta *Lekcja anatomii doktora Tulpa*) i malarz Kazimierz Malewicz oraz jego twórczość. To przejaw takiego „wymagającego” bogactwa, wynikającego może nie tyle z jakiegoś zamysłu artystycznego poetki, ile z jej wiedzy, odczytania, bogactwa twórczej wyobraźni.

Wiele takich odwołań (Armstrong, Leibniz, Medjugorcie, caryca Katarzyna, Staś z *W pustyni i w puszczy*, Matka Boska), słów i wyrażeń obcojęzycznych pojawia się także w wierszu *Prze/razenie gdy*, w którym nie brakuje również wulgaryzmów, zbitek wyrazowych, wyrazów dyskredytujących, błuźnierczych, ironicznie traktujących wiarę i objawienia. Mamy tu świat sielankowy, idylliczny, utopijny, który finalnie jest zderzony z realiami podmiotu mówiącego. Można dostrzec w wierszu protest, a nawet przerażenie upraszczającą, kłamliwą wizją świata, który osacza i zamyka.

Omówione wiersze w znacznej mierze są reprezentatywne dla tomiku *Popierdoliu*. Należałoby je dopełnić eksplozywnością leksykalną, stylistyczną, bogactwem i różnorodnością zabiegów stylistycznych, które czynią także język płaszczyzną działania się, budowania świata wyobraźni. Nawal myśli, słowotok, echolalia dźwiękowe, „ziewające” wydłużanie i rozciąganie słów, ich powielanie to formalne wyróżniki wiersza *Z gier i zabaw dziecięcych IX*, które łączą się z realiami terapeutycznymi, problemami psychicznymi. Onomatopeje, gra słów (choćby „liście” – „lisice” – „śniąg”), często prowincjonalnej słowiarskiej (przywołany został Miron Białoszewski) splatają się z intertekstualnymi odniesieniami do rudości u Orhana Pamuka (powieść *Rudowłosa*), malarzy Teodora Axentowicza czy Dantego Gabriela Rossetiego, przy tym dowodzą jej wymowności,

wręcz panteistycznej władzy. Iście surrealna wyobraźnia (jak w *Psie andaluzyjskim* Luisa Buñuela) i wyjątkowa kreatywność językowa, gry i zabawy językowe niczym w poezji futurystów (np. *Futurobni* Stanisława Młodocieńca) we wspomnianym wierszu *Posrebrzana laleczka woodu to ty przyznaj się* towarzyszą wizji świata łagodnej, wręcz baśniowej, z dziecięcymi motywami i sposobem obrazowania.

Przebrnąć przez gąszcz poetyckich wizji Beaty Nicoś-Trenk z pewnością niełatwo, wymaga to sporej wiedzy i intelektualnej czujności, niewątpliwie jednak warto, gdyż stajemy się odkrywcami tego wyjątkowego świata, który potrafi intrygować, zaskakiwać, prowokować, zdumiewać – „się mienić schizować jak pryzmaty purpurowo ogniście” oraz „znaleźć ze sobą wspólny język wyjęzyczony choćby i co ślina” (wiersz *Kwestia języka*). Interpretacyjne zderzenie z tą poezją, wejście w nią, ma być zaś zaproszeniem, by po nią sięgnąć.

Ryszard Mścisz

Beata Nicoś-Trenk, *Popierdoliu*, Galeria Sztuki Współczesnej, Biuro Wystaw Artystycznych w Olskuszu, Olskusz 2023.

Sebastian Orszulak

Debiut

MAŁA NADBAŁTYCKA APOKALIPSA

Historia tworzy się na naszych oczach, a jej scenariusze, przypominające fabułę powieści katastroficznych, niekiedy stają się rzeczywistością, co wytrąca nas ze złudnego poczucia bezpieczeństwa, z rutyny życia codziennego. Świeże jeszcze wspomnienia lockdownu, przedłużająca się wojna w Ukrainie, dramatyczna sytuacja w Izraelu i Palestynie otwierają oczy na zagrożenia i budzą

strach. Pomysł na *Późne życie* Ingi Iwasów wyrósł z doświadczeń, które dotknęły w ostatnich latach nie tylko Polaków, ale całą ludzkość.

Powieść przedstawia perypetie grupki mieszkańców małej nadbałtyckiej miejscowości, których życie zamiera pod wpływem nieokreślonej katastrofy. Z nieba nie spada meteor ani bomba nuklearna, nie następuje epidemia zombie lub inwazja kosmitów. Stary porządek odchodzi powoli i niepostrzeżenie. Kolejne sektory gospodarki przestają funkcjonować, ustaje wymiana informacji oraz ruch turystyczny. Dostajemy wskazówki, co mogło się wydarzyć, jednak istota tej katastrofy pozostaje tajemnicą. Czy obserwujemy niedobitki ginącego świata, doświadczone kolejnych zastanawiających zjawisk?

We wrześniu woda zaczęła wyrzucać martwe meduzy, pojawia się wzmianka o skażeniu, przez które spada wartość działek na sprzedaż, nie działają media społecznościowe. Coraz trudniej zachować pozory normalności, choć dookoła panuje spokój niepasujący do wyobrażeń o apokalipsie. Urządzenia w luksusowym H'otelisku nadal pracują, apteki wydają lekarstwa, choć ich zapasy się kończą. Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że wszyscy tkwią w odrętwieniu. Snują się po okolicy, załatwiają swoje sprawy, spacerują po plaży, odwracają uwagę od tego, co dzieje się dookoła nich, grając w gry, zażywając psychotropy i alkohol – tylko dzięki nim zachowują resztkę zdrowych zmysłów. Podobnie jak ludzie podczas pandemii COVID-19 popadają w depresję i melancholię. Niewiele planują i rzadko podejmują jakiegokolwiek decyzje. Poddanie się obywatelom nastąpiła w ludzkich duszach, a teraz przenosi się na otoczenie.

Zastanawiając się nad przyczynami takiego stanu rzeczy, pomyślimy o pandemii, która zaburzyła rytm życia wielu z nas. Bohaterowie *Późnego życia* są przekonani, że

wszystko się skończyło i niczego znaczącego już nie doświadczą. Dlatego zwracają się w stronę tego, co już było. Jednak także ich przeszłość się zaciera, nie pamiętają już dzieciństwa i młodości. Wobec rozpadającej się przeszłości, pustej teraźniejszości oraz wątpliwej przyszłości, pozostaje jedynie obserwacja najbliższego otoczenia, której towarzyszy świadomość schyłku i rozpadu świata.

Wydarzenia poznajemy z perspektywy kolejnych bohaterów i bohaterów, ich opowieści przeskakują z wątku do wątku, podążają ścieżkami przeszłości. Buduje to szczególny klimat i wprowadza atmosferę tajemnicy, gdy, śledząc myśli bohaterów, zataczamy na kręgi i nie dochodzimy do konkluzji. To wyjątkowe doświadczenie. Niektórych czytelników powieści mogą jednak zmęczyć wielostronicowe opisy wewnętrznych przeżyć postaci, wszechobecna melancholia i monotonia egzystowania w zastygłym świecie. Bohaterki i bohaterowie utknęli w ponurej i niepokojąco opustoszałej po sezonie nadbałtyckiej miejscowości. Nie ma tu dynamicznej akcji, brak prologu, perypetii, kulminacji i spektakularnego finału. Zamiast tego autorka poświęca wiele miejsca na kreację postaci, zapadających w pamięć, bardzo się od siebie różniących (płcią, wiekiem, wykształceniem, uprawianym zawodem, narodowością, doświadczeniem), zawsze jednak bardzo samotnych i opuszczonych przez bliskich znikających w tajemniczych okolicznościach.

Dostrzegam w powieści wątki znane z literatury postapokaliptycznej, gdyż to wydarzenia dziejące się gdzieś poza miejscem akcji są przyczyną obserwowanej przez nas sytuacji i mają one katastroficzny wymiar. Najczęściej utwory należące do literatury postapokaliptycznej (postapo) przedstawiają na różne sposoby świat po globalnej katastrofie, losy garstki ocalańców, którym udało się przetrwać upadek cywilizacji oraz rozpocząć życie w rzeczywistości rządzącej się innymi od znanych prawami. Samej katastrofie nie

poświęca się wiele uwagi, niektórzy autorzy i autorki opisują ją w prologach utworów albo wcale o niej nie wspominają, skupiając się na teraźniejszości „przeżywców”¹.

Właśnie taką postać w świadomości konsumentów kultury przybrała postapokalipsa, pojawiająca się w licznych książkach, filmach, grach komputerowych, muzyce i innych mediach. Paweł Gąska, znawca tej problematyki, zauważył, że konwencja postapo daje możliwość „ujarzmienia” lęku i osłabienia jego oddziaływania. Ludzki umysł ma bowiem tendencję do wyolbrzymiania zagrożenia i wyobrażania sobie najgorszych scenariuszy. Jest to spadek po naszych przodkach, którym takie mechanizmy obronne dawały szansę przetrwania. Natomiast utwory postapokaliptyczne pozwalają ludziom na oswojenie się z widokiem zniszczonego świata i łagodzą ewentualny szok związany z możliwością zaistnienia scenariusza podobnego do tego, który prezentują.

Czy zatem najnowszą powieść Ingi Iwasiów można uznać za postapokalipsę? Jeżeli tak, to jest ona dość nietypowa, balansująca na i tak rozmytych granicach międzygatunkowych. Znając okoliczności, w jakich autorka napisała utwór (pandemia, napaść Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 roku), oraz wnikając w zawarte w powieści strzępki informacji o katastrofie (wojnie, konsekwencjach skażenia środowiska eksplozją bomby atomowej itp.), możemy dojść do wniosku, że wydarzyło się coś znaczącego. Skutki tajemniczej katastrofy powoli się nawarstwiają, widzimy, jakie spustoszenie poczyniła w umysłach, odbierając ludziom motywację do aktywnych działań i radość. Postapokalipsa jest tutaj życie pozbawione smaku i kolorów, samotność, izolacja i melancholia. Oddaje to przede wszystkim charakter przeżyć z okresu pandemii. Apokalipsa ma miejsce we wnętrzach bohaterów. Opisanie tego

¹J. Franczak, *Postapokaliptyka. Rekonesans badawczy*, „Teksty Drugie” 2020, nr 1, s. 94.

procesu pozwala uchwycić kształt katastrofy i go złagodzić.

Podczas lektury nasuwa się na myśl jeszcze inny wymiar egzystencji po katastrofie – jest nią tytułowe „późne życie” niemal każdego człowieka. Dla wielu nieuchronny upływ czasu, proces starzenia się, pożegnanie z młodością, odejście kochanka/kochanki lub przyjaciela/przyjaciółki, śmierć bliskich oznacza katastrofę. I tak dzieje się w powieści Iwasiów, w której stan bohaterów i ich otoczenia pogarsza się coraz bardziej. Dostrzegają kolejne symptomy naciągającej nieubłaganej starości, a gdy ta przychodzi, żyją w jej „postapokaliptycznej” perspektywie. Jeżeli w ten sposób spojrzymy na *Późne życie*, możemy interpretować utwór jako nietypową postapokalipsę.

Nie ma tu bowiem walki o przetrwanie, bezwzględnych bandytów i złowrogich potworów, wojen o surowce, drastycznych podziałów społecznych. Wędrowki przez pustkowie i zrujnowane miasta zastępują spacerы bohaterów po pustej plaży, wyludnionym kurorcie, pozbawionym gości nowoczesnym hotelu. Znakami zwyczajnej apokalipsy są braki leków potrzebnych ciężko chorym, pustoszące zapasy towarów w sklepach, zamknięte instytucje, uczelnie i zakłady pracy, brak pensji czy emerytury na koncie, nieczynne bankomaty, niezabrane śmieci. Bohaterki i bohaterowie przemierzają się w czasie i przestrzeni w swoich wspomnieniach, tworząc grupkę ocalańców, którzy starają się po prostu żyć i przystosować się do nowych warunków. Podobnie jak w literaturze postapokaliptycznej, za co bardzo ją cenię, w najnowszej powieści Ingi Iwasiów mamy do czynienia z poligonem doświadczalnym ludzkiej psychiki, który pokazuje zarówno kruchość i słabość człowieka, jak i jego siłę oraz zdolności adaptacyjne.

Sebastian Orszulak

Inga Iwasiów, *Późne życie*
Wydawnictwo Drzazgi, Okoniny 2023.

Klaudia Władka

Debiut

PAJĘCZYNA ŚCIEŻEK

Joanna Bator, zabierająca czytelniczki i czytelników w lekturowe podróże pełne refleksji i poszukiwań, których przewodniczkami są najczęściej kobiety, wydała pod koniec 2022 roku oryginalną powieść, zawierającą szesnaście historii różnych osób. Opowieści przenikają się ze sobą, wzajemnie uzupełniają, zawierają dopowiedzenia i zaskakujące połączenia wątków. Nic tam nie jest przypadkowe, bohaterowie są ze sobą powiązani skomplikowaną siecią wydarzeń, miejsc, spotkań. Bator podkreśla potrzebę wolności odczuwaną przez wszystkie postacie – ludzi i zwierzęta. W tytułowym opowiadaniu pojawia się niedźwiedzica, której „sierść pachniała wolnością”. Ten zapach unosi się nad wszystkimi historiami, opowiedzianymi w książce, których lejtmotywy jest dążenie do odkrycia własnej tożsamości, szczególnie w obliczu sytuacji granicznych, zmieniających życie i zmuszających do jego przewartościowania.

Fabula każdej historii opowiedziana jest w formie monologu postaci. Narratorkami są najczęściej kobiety, ale swoje historie opowiadają także Piotrek oraz niebinarny Gienio. W każdej opowieści pojawiają się wskazówki co do tożsamości bohaterów i bohaterek, ich pochodzenia oraz wydarzeń, mających wpływ na obecną sytuację. Nie brakuje tu trudnych, wręcz dramatycznych historii, takich jak zaginięcie męża Ewy, śmiertelna choroba profesor Korczyńskiej, porzucenie Eweliny przez matkę we wrocławskim szpitalu, tajemnicze zniknięcie ojca Sylwii i Piotrka, problemy Gienia ze społeczną akceptacją, bieda Piotrka, śmierć Weroniki.

Bohaterowie i bohaterki mierzą się z kryzysami małżeńskimi i rodzinnymi, związanymi z chorobą i skutkami działań innych.

Podejmują decyzje o ucieczkach, które przybierają różne formy: zerwania z bliskimi, wyjazdu, życia na odludziu, zaspokajania erotycznych pragnień ze zwierzkosztalnym cyborgiem, samobójstwa. Większość uciekinierów po życiowych perturbacjach trafia do hotelu Sudety, opustoszałego i niszczonego wieżowca w centrum Wałbrzycha, będącego w powieści Bator niezwykłym, onirycznym mikroświatem, oddzielnym od miasta i rządzącym się własnymi prawami.

Opowieści wszystkich bohaterów spełnione są silnymi emocjami. Łączy ich osamotnienie, mające różne przyczyny – wynikające z niezrozumienia i oddalenia od siebie pozorne bliskich osób, odmienności od społecznej normy, trudnej sytuacji rodzinnej i materialnej. Pisarka zdaje się sugerować, że współcześnie bliskie relacje międzyludzkie są kalekie i niedoskonałe, będące raczej przyczyną dodatkowych cierpień niż drogą do szczęścia i stabilizacji, a samotność jest nieuchronna i stanowi istotę ludzkiego losu. Bohaterowie i bohaterki Bator próbują zmienić trudną sytuację życiową i egzystencjalną przez wniknięcie w siebie i samopoznanie, wyjeżdżają w dalekie strony, by żyć w bliskości natury, częściej jednak uciekają w marzenia, fantazje lub w śmierć, niż realnie poprawiają swoją sytuację na lepsze. Praca nad uporządkowaniem swojego życia emocjonalnego jest oryginalnie przedstawiona w opowiadaniu *Sadness is a blessing, sadness is a pearl* – historii kobiety spotykającej w pustym domu rodzinnym mówiącego żółwia, który staje się dla niej kimś w rodzaju psychoterapeuty i pomocnika w przepracowaniu żałoby i smutku po śmierci ojca i tajemniczym zaginięciu matki.

Postaci pojawiające się na kartach *Uciezki niedźwiedzicy* różnią się od siebie, a jednocześnie wiele je łączy. Czytelnik poznający kolejne historie nie spodziewa się tego, że będzie powoli dokładał puzzle do opowieści przeczytanej wcześniej lub później. Ten zabieg doskonale ilustrują refleksje Eweliny: „Uważała, że ważne osoby, które spotykamy,

są czymś w rodzaju węzłów w sieci i jeśli mamy szczęście, poznamy wzór, jaki tworzy całość, bo za tymi supłami i przed nimi są inne: ludzie, których poznaliśmy po drodze, czasem tylko przelotnie, nie zdając sobie sprawy, jak znaczącą rolę odegrali w naszym życiu” (*Szkaradowo*). Bator tworzy pajęczynę ścieżek, którymi podążają kolejne postacie – ich losy w zaskakujący sposób przeplatają się ze sobą, dzięki czemu powstaje całościowy obraz sieci, w której znajdują się wpływający na siebie ludzie.

W twórczości Joanny Bator ważne miejsce zajmuje rodzinny Wałbrzych i nie inaczej jest w *Uciezce niedźwiedzicy*. Pojawia się w kilku opowieściach – obok hotelu Sudety wspomniane są: dzielnica Podzamcze, wałbrzyski cmentarz, dworzec kolejowy, rynek, kawiarnia Zielona Sofa. Ale występują tam także inne miejscowości Dolnego Śląska (Jelenia Góra, Imbramowice), Warszawa, Podkowa Leśna, Glinianki nad Brdą. Pisarka osadza akcję opowieści w Szwajcarii (opowiadanie tytułowe), Japonii i na greckich wyspach.

W powieści istotną rolę odgrywa świat przyrody. Fauna i flora zostały odmalowane w sposób barwny i skłaniający do refleksji. Krajobraz jest najczęściej odzwierciedleniem stanu ducha bohaterów oraz w istotny sposób uczestniczy w wydarzeniach – jak malownicza, niemal bezludna grecka wysepka Karpathos, miniatura ziemskiego rajy, w której bohaterki ukrywają się przed światem, by nieoczekiwanie tam właśnie skonfrontować się z największym dramatem naszych czasów – ginącymi masowo na morzu uchodźcami z krajów objętych wojnami i zagrożonych klęską głodu (*Pani z Karpathos*).

Równie istotne jak relacje międzyludzkie są w *Uciezce niedźwiedzicy* związki ludzi ze zwierzętami. Uciekająca z genewskiego zoo niedźwiedzica, uratowany od śmierci na śmietniku, cementujący małżeństwo kot Racuch, psy Kumpel i Bułka ratujące swoje opiekunki, mądry, empatyczny żółw -psychoterapeuta, potężny sum polykający bohaterkę *Tikkun olam*, niczym wieloryb Jo-

nasza, by mogła się odrodzić i zyskać wyższą świadomość, nietoperze, którymi otacza się samotna Batwoman, są równoprawnymi bohaterami i bohaterkami kolejnych opowieści, pełniącymi także kompozycyjną rolę łączników między nimi. Można wręcz myśleć o religijnym totemizmie pisarki, które kreuje ludzi mających swoich „powinowatych” i opiekunów w świecie zwierząt. Natura przenika codzienność bohaterów i bohaterek, daje im możliwość obcowania z pięknem i poczucie pełniejszej przynależności do świata. Ucieczka w to, co naturalne i pierwotne, jest ważną częścią tożsamościowych przygód postaci, flora i zwierzęta stają się ich sojusznikami i pomocnikami w mierzeniu się z wyzwaniami stawianymi przez życie.

Charakterystyczne dla pisarstwa Bator są złożone relacje między realizmem a fantastyką. Z pozoru nie ma nic niezwykłego w opowieściach o skomplikowanym życiu rodziny Jana Nepomucena Polnego czy małżeńskich perypetiach Ewy i Michała (nawet jego zniknięcie wydaje się prawdopodobne). Trudno mówić o nierealności smutnego życia rodzinnego Dębskich czy aktywności zawodowo-artystycznej Filipa i jego żony. Jednakże każda z tych opowieści zawiera pierwiastki niesamowitości. Tajemniczym miejscem jest wszystkim nieczynny od lat hotel Sudey, do którego zaginięci bohaterki i bohaterowie trafiają w dziwnych okolicznościach, po wielu trudnych przeżyciach, może nawet po swojej śmierci... a zasady ich wspólnego życia nie są do końca zrozumiałe. Fantastyczny jest mówiący żółw, jednookie Licho przesładujące dzieci oraz stara kobieta zmieniająca się w nietoperza. W opowieściach Bator granica między tym, co znane z codzienności, a tym, co jest wytworem wyobraźni, marzeń, projekcją ludzkich lęków czy potrzeb, staje się płynna, niemal niewidoczna.

Zwraca uwagę także warstwa językowa utworu. Każde opowiadanie w formie monologu jest oddienne stylistycznie, dzięki temu pisarka trafnie oddaje charakterystyczne rysy bohaterek i bohaterów. Posłużyła się różnymi

odmianami współczesnej polszczyzny, tworząc postacie z różnych środowisk społecznych i pokoleń, mówiące własnym językiem – od wyszukanego, literackiego idiomu poetki Marianny Polnej po nasyconą wulgaryzmami i kolokwializmami „gadkę” młodego budowlanica. Dzięki tym językowym zabiegom książka jest bardziej intrygująca.

W *Ucieczce niedźwiedzicy* Joanna Bator kolejny zabiera nas w podróż w wymiarze zewnętrznym i wewnętrznym. Przedstawia mozaikę doświadczeń bohaterek i bohaterów, którzy mierzą się z wieloma problemami życia codziennego, lękami, traumami, trudnymi wspomnieniami. Lektura tej powieści wymaga uwagi, otwartości i empatii, oraz ciekawości świata. Zawarte w niej opowiadania poruszają wyobraźnię, skłaniają do refleksji, frapują tajemniczością. Bator zagłębia w ludzkie wnętrza, odślania wspólną wszystkim potrzebę wolności, ucieczki od cierpień i trujących relacji, oderwania od nierozwiązywalnych problemów i kojarzących się z nimi miejsc, konieczności poszukiwania siebie i przewartościowania relacji z innymi i otaczającym światem.

Klaudia Władka

Joanna Bator, *Ucieczka niedźwiedzicy*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2022.

Jacek Lech

OD HISTORII DO WSPÓŁCZESNOŚCI

Maciej Hen ma rzadko spotykany w polskiej literaturze talent do tworzenia zajmujących fabuł osadzonych w dalekiej przeszłości. Udowadnia to kaźdorazowo, gdy sięga po gatunek powieści historycznej, pokazując, że jest inteligentnym, błyskotliwym fabulatorem. Ważnym literackim wydarzeniem była

wydana w 2015 roku, licząca ponad dwieście stron powieść *Solfatarą*. W osadzonej w Neapolu końca pierwszej połowy XVII wieku opowieści Hen przyglądał się krwawemu ludowemu powstaniu, która wstrząsnęła miastem. Na tak nakreślonym tle główny bohater, dziennikarz Fortunato Petrelli, daje drobiazgowy wgląd w swoje życie, spisując je w formie pamiętnika.

Segretario, powieść opublikowana w 2023 roku, ukazuje ogarniętą zarazą stolicę państwa Jagiellonów końca XV wieku, ukazaną z perspektywy młodego adepta medycyny, ucznia i sekretarza Filipa Kallimacha. Hen nieprzypadkowo lokuje czas akcji w tym momencie dziejowym. Analogia do niedawnej pandemii koronawirusa, która przyniosła dramatyczne skutki społeczne, nasuwa się sama. Tak opisano w powieści epidemię krocicy, dziesiątkującą Kraków: „na mieście jest zupełnie pusto, bo mimo wszystko większość krakowian poszła po rozum do głowy i siedzi w domach. Dziwne wrażenie sprawiają teraz te ulice, jeszcze przed miesiącem tak zatłoczone i hałaśliwe, dziś milczące i odludne, gdzie tylko stada kawek i gołębi żerują wśród pędzonych wiatrem śmieci, raz po raz zrywając się z furkotem, gdy je spłoszy beipski pies albo kot”.

Pisarz sporo uwagi poświęca narastającym nastrojom antysemickim, wynikającym z nawarstwiających się problemów współczesnych obok siebie Polaków i Żydów. Żydzi w czasach Kallimacha byli ważną częścią Krakowa, lecz sukcesywnie pozbawiani swych praw w pewnym momencie otrzymali zakaz uprawiania rzemiosła i handlu, co spowodowało, że wielu z nich utraciło jedyne źródła zarobków. Gdy spojrzy się na powieść Hena w ten sposób, okaże się, że jest to książka na wskroś współczesna. I sądzę, że w takiej właśnie perspektywie powinna być czytana.

Patrząc na *Solfatarę* i *Segretaria*, od razu dostrzeżemy, że autor chętnie przygląda się społecznym przesileniom. Lokując swoje opowieści w czasach burzliwych i przelomo-

wych, chce pokazać mechanizmy procesów historycznych i skłonić do refleksji nad tym, że przeszłość skrywa swoisty kod, za pomocą którego można deszyfrować współczesność, a przynajmniej wyciągać z niej wnioski. Tego typu tropy pisarz zmyślnie podrzuca i mnoży, zmuszając do intelektualnego wysiłku poszukiwania cech wspólnych teraźniejszości i przeszłości. Nie odważyłbym się jednak pojąć go o mitologizację dziejów bądź myślenie w kategoriach retrospektywnych.

Fabula *Segretaria* przekracza konwencjonalne ramy powieści historycznej. Pisarz podejmuje inteligentną grę z XIX-wiecznym modelem powieści, skupiając się na rodzajowym opisie starannie zarysowanego łańcucha, jednocześnie respektując wskazanie, by opowiadać o historii językiem niezaburzającym komunikacji pomiędzy autorem a czytelnikiem. Stworzył narrację ponowoczesną, której sens naddany uchwytny jest dla czytelnika-erudyty, zaś na poziomie fabuły jest to znakomicie napisana, wciągająca powieść.

Utwór ma dużą wartość poznawczą, a lekturze towarzyszy przyjemność, na którą zwracał uwagę Roland Barthes. Jest to książka do smakowania i sycenia się szczegółami, z jakich pisarz finezyjnie zbudował Kraków ostatniej dekady XV wieku. Pisarz sięga do burzliwej młodości Kallimacha, wokół którego ogniskuje się ciąg zdarzeń fabularnych. Jednak to jego *segretario* skupia na sobie uwagę, odsuwając mistrza na drugi plan. Kallimach był jednym z pierwszych humanistów polskiego renesansu, ale też awanturnikiem, zamieszany w zamach na papieża Pawła II, nade wszystko zaś znakomitym poetą języka łacińskiego, który po ucieczce z Włoch znalazł schronienie w Dunajowie, na dworze arcybiskupa lwowskiego, Grzegorza z Sanoka.

Filip Kallimach Buonaccorsi jest postacią wielowymiarową. Nie dziwi zatem, że Hen uczynił go bohaterem powieści. Ten dociekliwy humanista, człowiek postępowy, wniósł ogromny wkład w upowszechnianie idei włoskiego renesansu na dworze Jagiel-

lonów, gdzie obsypano go wieloma zaszczytami. Za sprawą sekretów, które nazaczyły jego życiorys przed zadowieniem się w Rzeczypospolitej, stał się wręcz modelowym protagonistą historyczno-awanturycznej opowieści. Przyglądając się literackiej kreacji włoskiego humanisty, można odnieść wrażenie, że wykracza on poza umysłowe horyzonty swojej epoki. Jego sposób rozumowania, oparty na racjonalizmie, jest bliski myślicielom doby oświecenia, zatem wyprzedza swoje czasy. Kallimach jest intelektualistą, który głosi tezy o równości między płciami i stanami patriarchalno-feudalnego społeczeństwa Rzeczypospolitej.

Hen zamknął przedstawione w powieści zdarzenia w dwunastu listach (wskrzesza tym samym nieco zapomniany gatunek powieści epistolarnej), wysyłanych przez tytułowego sekretarza Kallimacha – Georga Starkfausta – do przyjaciółki z dzieciństwa, Enneleyn Weidemann z Heidelbergu. Tożsamość *segretaria*, studenta medycyny Akademii Krakowskiej, jest okryta tajemnicą, do której czytelnik zostaje dość szybko dopuszczony. Szkopuł w tym, jak z kłopotliwym sekretem radzi sobie narrator-bohater, a raczej narratorka-bohaterka. *Segretario* jest bowiem opowieścią o Gredechin, młodej kobiecie pragnącej się kształcić i zmuszonej do ukrywania się w męskiej tożsamości. To jej przyjaciółka była architektką planu, którego realizacja sprawiła, że życie dziewczyny potoczyło się inaczej niż było to przewidziane w tych czasach dla osoby jej płci i stanu.

Interesująca jest także relacja Gredechin z Kallimachem – mistrz jest dla bohaterki autorytetem, imponują jej jego erudycja, życiowe doświadczenie, znajomości wśród możnych tego świata. Jest przekonana, że może się od niego wiele nauczyć i przez to podnieść swój status. Wiedza czytelników o Kallimachu buduje się z opowieści o nim, które dziewczyna przekazuje przyjaciółce w listach. Przybranie przez Gredechin tożsamości Georga Starkfausta jest formą transgresji i buntu przeciwko przymusowi funk-

cjonowania w obyczajowej i społecznej roli, jakiej oczekiwał od niej patriarchalny system przełomu średniowiecza i renesansu. Wykraczając poza ramy tego, co narzucone, Gredechin poszukuje obszaru, w którym będzie mogła udowodnić swoją wartość – jest on jednak zarezerwowany wyłącznie dla mężczyzn. Funkcjonowanie ambitnej oraz inteligentnej kobiety w przestrzeni publicznej tamtych czasów było bowiem praktycznie niemożliwe. Lęk przed zdemaskowaniem był tylko jedną z uciążliwości, choć konsekwencje poznania jej prawdziwej tożsamości mogły okazać się dla niej zgubne. Jest to zatem także powieść o przekraczaniu społecznych podziałów.

Lektura *Segretaria* jest doznaniem intelektualnym. Ale ten wielowątkowy utwór z żywo poprowadzoną akcją można także czytać jako zręcznie skonstruowaną opowieść, połączenie prozy historycznej, lotrzykowskiej oraz inicjacyjnej, zanurzyć się w wiernie odtworzonym świecie wielokulturowego Krakowa, śledząc szybkie tempo akcji, mnożenie intryg, wątki romansowe, podziwiając bogactwo wątków i tropów, architektoniczne detale i topografię stolicy. Przykuwają uwagę bohaterowie powieści. Maciej Hen zapewne już na etapie projektowania fabuły i konstrukcji powieści wiedział, jaki potencjał kryje w sobie Kallimach. Dopracował więc tylko swój sprawdzony w *Solfatarze* przepis na porywającą prozę historyczną.

Jest to proza z ducha postmodernistyczna. By opowiedzieć o jesieni średniowiecza, pisarz posłużył się gatunkiem powieści epistolarnej, której początki sięgają wieku XVIII. Życiorys Kallimacha poznajemy fragmentarycznie, w luźnych uwagach zawartych w listach jego sekretarza/rki. Czytelnik musi samodzielnie go zrekonstruować. Cenię za biegi, za pomocą których pisarze komplikują linearny przebieg zdarzeń i zmuszają do interpretacyjnej aktywności (choć listy stwarzają pozór chronologii). Co wnosi do powieści z przełomu średniowiecza i renesansu

forma stworzona prawie trzysta lat później? Z pewnością tak potrzebną dziś prozie historycznej świeżość.

Poza walorami formalnymi, czyniącymi książkę Hena znakomitą literacko, warto wspomnieć o jej znaczącej aluzyjności. Nie nazwałbym autora *Segretaria* pisarzem posługującym się maską historyczności, by za jej pomocą analizować współczesność, jednakże poruszone w niej zagadnienia: konstruowanie własnej tożsamości, źródła i żywotność antysemityzmu, walka kobiet o równe prawa oraz destrukcyjna rola patriarchy, sprawiają, że utwór ma uniwersalną wymowę. Intryga koncentrująca się na tożsamości Georga Starkfausta jest wynikiem dążenia do wiedzy. Mizoginiczność porządku społecznego, w którym zmiana płci kulturowej przynosi podniesienie statusu osoby, była głównym powodem fortelu Gredechin. Tak w praktyce mogła wyglądać o progu renesansu performatywność płci, opisana w XX wieku przez Judith Butler.

W powieści jest wiele wątków i refleksji związanych z genderowymi stereotypami. Jednym z najważniejszych tematów jest kobieca podmiotowość. Niezależnie od kontekstu historycznego definiowanie kobiecości jest nadal problemem społecznym. Wciąż toczy się batalia o miejsce kobiet, także w przestrzeni uniwersytetu. Pytania o to, kim są współczesne polskie kobiety, jakie społeczne role są im wyznaczane, nie tracą aktualności, a udzielenie na nie odpowiedzi staje się coraz trudniejsze. Wiele kobiet miało talenty i ambicje, tłumione przez patriarchalny system. Świadczy o tym legenda o papieżycy Joannie, zasiadającej w VIII wieku na watykańskim tronie czy krakowska legenda o pierwszej studentce Uniwersytetu Jagiellońskiego – Nawojce.

Były też kobiety, które nie poddawały się patriarchalnej opresji. Przekraczały wyznaczone ich płci role i granice, robiły to, czego nikt od nie oczekiwał, ani się po nich nie spodziewał. Można wymienić choćby Joanę D'Arc, Emilię Plater i Marię Komornicką. Jednakże czytanie *Segretaria* wyłącznie

w optyce feminizującej może zawęzić wieloznaczność tej powieści. Warto zwrócić uwagę na nawiązanie kreacji bohaterki do mitu Fausta i *Doktora Faustusa* Tomasza Manna. *Segretario* jest bowiem książką intertekstualną, w której gęsto od literackich i kulturowych odniesień – znajdziemy w niej m.in. aluzje do Petrarki, Boccaccia, Szekspira, Jana Potockiego i Umberta Eco.

Hen jest pisarzem-erudytą, tworzy powieści pozwalające się czytać na różnych poziomach, zarówno przez odbiorców obdarzonych literacką erudycją, jak i przez tych, którzy poszukują w literaturze rozrywki na najwyższym poziomie. Przed ośmiu laty, gdy czytałem znakomicie skonstruowaną *Solfatarę*, czułem niesłabnącą przyjemność. Świata *Segretaria* nie chce się opuszczać, a w miarę rozwoju akcji awanturczo-romansowa opowieść przeradza się w inteligentny dyskurs o naszych czasach. Maciej Hen jest pisarzem świadomym rzemiosła, tworzącym niespiesznie utwory w pełni dopracowane, w których można upatrywać nadziei na odnowę polskiego piarstwa historycznego.

Jacek Lech

Maciej Hen, *Segretario*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023.

Kazimierz Maciąg

MROczne ŚWIATY CZY KRZYK ROZPACZY?

Najnowszy tom prozy Romana Madejowskiego to dwanaście (a nie jedenaście – jak czytamy na okładce książki i w kilku wzmiankach internetowych) – opowiadań oraz obszerny fragment „zarzuconej powieści” (słowa autora) pod wiele mówiącym tytułem *Wóda*. Zacznijmy od kilku zdań inicjujących opowiadanie *Młodzi bandyci*:

Nie będę owijał w bawełnę, jak mówią. Nie będę, znaczy się, ściemniał. Jesteśmy bandytami. Jak na bandytów, w miarę młodymi jeszcze. Chociaż, kto cię tam wie człowieku – młody, niemłody. W naszym fachu można w czapkę dostać nie wiadomo kiedy i już nic z tej całej gadki odnośnie do wieku (s. 46).

Powyższy cytat na pewno dobrze wprowadza w problematykę większej części opowiadań Madejowskiego. Chociaż przymiotnik „dobrze” i zespół skojarzeń przez niego wywoływanych pozostają w wyraźnym konflikcie, nie tylko semantycznym, ze światem, który wyłania się z *Urlopu Pana Boga*. Tytuł i zawartość opowiadania rozpoczynającego zbiór są na pewno dobrze przemyślane przez autora – „świat przedstawiony” wyłaniający się kart tomu zdaje się być rzeczywistością planetą „bez Boga”. Trudno na niej znaleźć symptomy nawet nie dobra, ale jakiegokolwiek nadziei w najprostszym znaczeniu. Równocześnie świat ten wydaje się dobrze znany każdemu, kto może pochwalić się życiorysem zahaczającym o ostatnie dziesięciolecie PRL-u i o naszą współczesność. Jego wiarygodność i prawdopodobieństwo wyraźnie wzmacniają symptomy autobiografizmu z wyrazistym kolorytem rzeszowskim. Książka przypomina pamiętnik, a formalnie spełnia wszystkie wymogi prozy realistycznej.

Spektrum zainteresowań środowiskowych narratora zarysowane w cytacie „bandyckim” w kolejnych opowiadaniach uzupełniają inne „mroczne” tematy: seks, alkohol, biznes pornograficzny – przedstawione w konwencji „poza dobrem i złem”. Zbrodnia kończy się nagrodą (*Młodzi bandyci*), życzliwość i dobroć (może i naiwne) okazują się frajerstwem (*Taktowny pan Karol, Idio(ma)tyczny przypadek pana T.*). W galerii postaci Madejowskiego trudno znaleźć bohatera, który byłby „na zewnątrz” świata jego prozy, mając do niego wyraźny dystans. Sprawiedliwych tu nie ma, co może czytelnika skłonić do akceptacji Gogolowskiej diagnozy z *Martwych dusz*: „Jeden tam

tylko jest porządny człowiek: prokurator; ale i ten, prawdę mówiąc, świnią”... Ponieważ w galaktyce światów literackich najczęściej możemy odnaleźć powinowactwa nawet najbardziej zaskakujących kreacji, także i w przypadku *Urlopu Pana Boga* jest to możliwe. Marek Hłasko, Marek Nowakowski, Kazimierz Orłoś niewątpliwie eksploatowali literacko podobne środowiska. U nich jednak zauważyć można było także wyraźną obecność dychotomii: dobro–zło, przestępstwo–krzywda, zbrodniarz–ofiara. U Madejowskiego znacznie trudniej odnaleźć elementy katharsis, które miałyby przeżywać czytelnik jako efekt wejścia w świat bohaterów tej prozy i które „usprawiedliwiałyby” amoralny ton tej artystycznej wypowiedzi.

„Zarzuconą powieść” *Woda* rozpoczyna akapit: „Moim jedynym sensem, jedynym celem, jedynym, na czym mi kiedykolwiek zależało, na czym zależy mi teraz i zależy będzie w przyszłości, jest picie alkoholu. Jest chłanie na potęgę, jest wlewanie w siebie wody. Jest piękne zdychanie” (s. 101). Następne 60 stron to prozatorski poemat-rozprawka, który uzasadnia początkową tezę. Naiwny odbiór dzieła literackiego skłaniałby czytelnika do zasadniczego zakwestionowania formuły wypowiedzi artystycznej Madejowskiego pytaniem: po co? Ja widziałbym w niej raczej „krzyk rozpacz”, a na pewno coś więcej niż literacką prowokację lub fascynację estetycznym brutalizmem...

Na tle tendencji dominującej w *Urlopie Pana Boga* odrębność tematyczną zachowuje kilka opowiadań, wśród których wyróżniłbym: *Ciotki z Ameryki, Moje potyczki z dinozaurami* i *Kiedy świat należał do „mięśnych”*. Bohaterki pierwszego z nich, rewelacyjnie sportretowane przez Madejowskiego, po wizycie w kraju przodków w gierkowskiej aurze „otwarcia na świat” pozostawiają po sobie wyraźny niedosyt rodziny:

Kiedy ciotki zaopatrzone w swoje woreczki z ziemią ulatywały do Ameryki, wiadomo było, że rodzinne spotkanie nas z nimi było jednym wielkim, niepotrzebnym rozczarowaniem. Zro-

bione im zdjęcia czym prędzej pochowano w al-bumach, a mnie na ich widok przypomniał się sprytny aparat Polaroida, który wypluwał gotowe zdjęcie dziesięć sekund po pstryknięciu, aparat, na który miałem cholerną nadzieję, a który jedna z ciotek po prostu schowała na dzień przed wylotem do swojego bagażu, udając, że nie zauważa mojego psiego wzroku, udając, że nie zdaje sobie sprawy, jak wielkie szczęście dałaby mi ofiarując go w moje drżące z pożądania ręce (s. 35).

Opowiadania te operują doprowadzonymi przez autora do artystycznej perfekcji literackimi środkami wyrazu: humorem, ironią, groteską i hiperbolą. Tadeusz Różewicz jeden ze swoich najważniejszych wierszy rozpoczął od słów: „największym wydarzeniem / w życiu człowieka / są narodziny i śmierć / Boga”, a w jego dalszych częściach dwukrotnie pytał, lub odpowiadał: „życie bez boga jest możliwe / życie bez boga jest niemożliwe”. Opowiadania Romana Madejowskiego – jak każdą dobrze napisaną literaturę – można rozmaicie interpretować, także z „kluczem Różewiczowskim” – w moim przekonaniu – z akcentem na „niemożliwe”...

Kazimierz Maciąg

Roman Madejowski, *Urlop Pana Boga*, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2023.

Bartłomiej Śliż

Debiut

ŚMIERĆ JEST NIENASYCONA

Małgorzata Lebda, dotychczas znana raczej jako poetka, w debiutanckiej powieści *Łakome* pisze nie tyle o śmierci, ile o umiarności, jego wpływie na osobę dotkniętą nieuleczalną chorobą i jej otoczenie. Oddaje głos bliskim terminalnie chorego i rysuje ich wnikliwe portrety psychologiczne. W powieści umiera Róża, której towarzyszy mąż oraz bezimienna wnuczka – narratorka.

Choroba babki to oś fabuły, natomiast przemyślenia młodej kobiety dopełniają historię, to ona opowiada świat, który stał się jej mikrokosmosem. Tak charakteryzuje zachowanie starszego mężczyzny: „Dziadek, który unika choroby babki, dla którego ceremonie wokół choroby są obce, on, który nie chce nic o chorobie wiedzieć, niczego w chorobie dotykać” (s. 7). To zdanie pojawia się kilkakrotnie i zdaje się wyjaśniać wszystkie jego działania. Dba on jedynie o to, by żonie niczego nie brakowało i by miała lepsze warunki życia. (wyrazem miłości i troski jest zamontowanie w domu nowych kaloryferów i ogrzewania podłogowego). Związek dziadków narratorki został naznaczony śmiercią dwóch córek – niewychodzące poza schematy, ale szczęśliwe życie zaczęło obumierać, a małżonkowie mieli ze sobą coraz mniej wspólnego.

Wnuczka rozmawia z dziadkiem o babce, wydobywa z niego wspomnienia i przemyślenia na jej temat – pełne czułości i zrozumienia dla jej trudnego życia, naznaczonego utratą dzieci. W przypływie szczerości mężczyzna tak podsumowuje ich małżeństwo: „Wziąłem ją, bo chciała i była piękna. Ale

teraz widzę, że przygłnęła do mnie, bo nie miała nic, i odchodzi z niczym. A jeszcze przyszło jej pochować własne dzieci. Czasem myślę, że tylko ty trzymasz ją przy życiu, no i jeszcze ptaki, jeszcze one” (s. 104). O uczuciach rozmawia tylko z wnuczką. Przed Różą trudno mu się otworzyć. Cierpienie, które ich ukształtowało, odbiera mu głos, gdy widzi stan małżonki. Dziadek jest bezradny wobec choroby żony i ucieka od niej w pracę fizyczną. To jego reakcja na nadciągający koniec, na który nie ma wpływu. „Tym sposobem jest przy życiu, a nie przy śmierci” – zauważa narratorka (s. 151).

Akcja powieści toczy się w wiosce o nazwie Maj. Wnuczka, która wróciła z miasta, aby opiekować się babką, jest poetką i pracuje zdalnie. Możemy w niej dostrzec pewne podobieństwo do autorki (wychowała się na wsi, ale zamieszkała w mieście, gdzie zaczęła pracę zawodową, pisze wiersze, głównym tematem jej twórczości jest miejsce człowieka w świecie natury i ludzki wpływ na przyrodę). Przybyła do rodzinnego domu z tajemniczą Ann, o której niewiele się dowiadujemy. Wrażliwość i opiekuńczość młodych kobiet odciągają uwagę domowników od bólu, który wypełnia Różę. Śmierć naznaczyła ich codzienność na czas nieokreślony i wspólnie starają się mimowolnie szukać pocieszenia i choćby namiastki sensu w naturze. Narratorka wylicza gatunki roślin znajdujących się w pokoju babki lub sadzonych w ogrodzie, rozpoznaje różne odmiany chwastów. Widok roślin uspokaja jej myśli, koi ból, spowodowany patrzyeniem na powolne odchodzenie babki.

Przyroda w *Łakomych* także jest wyczulona na śmierć – to także ważny wątek twórczości poetyckiej Lebdy. Narratorka odbiera ją bardzo zmysłowo; niemal w każdym jej przejawie dostrzega współzależność natury i człowieka, będących jak jeden organizm. To dlatego mgła ma pysk, ziemia usta, a do babki przyjeżdża w odwiedziny Bałtyk, a nie członkowie dalszej rodziny. Takich określeń na

kartach powieści jest mnóstwo. Wiesz ma ciało, na które wpływają pory roku, rządzią nią prawa przyrody (to typowy zabieg w literaturze dotyczącej wsi, także widoczny wcześniej w poezji autorki).

Wnuczka Różę dostrzega śmierć w świecie, który ją otacza, ale równocześnie stara się zobaczyć w naturze harmonię. Próbuje zrozumieć cierpienie i chorobę, zwracając się do niej. Dostrzega też, jak siły przyrody mszczą się na człowieku za ingerencję w naturalny cykl życia:

Ubojnia osuwa się zboczem. Ziemia jest sprawiedliwa, myślę.

Zwierzęta są prowadzone pod nóż. Nie śpieszy się im, są leniwe, muszą nie wiedzieć, że ich ciała zostaną pomieszczone, ich mięso stanie się wspólnym ciałem, które mężczyźni wywiozą w świat może już jutro chłodnym rankiem (s. 107).

Ubojnia, obok której dorastała narratorka, burzy porządek nie tylko flory i fauny, ale i codziennego życia wsi Maj. Kiedy nocą odbywa się „koncert”, mieszkańcy mają wrażenie, że najaztur nic nie jest na swoim miejscu. Ptaki, zamiast budzić się rano, odlatują w nocy, spłoszone przez odgłosy zarzynania zwierząt. Dziadek jest zdezorientowany, gdyż zawsze wstawał razem z nimi. „Tej nocy to miejsce jest głębokim gardłem głodnego zwierzęcia” (s. 26) – mówi narratorka. Gwałt na przyrodzie odbija się nie tylko na niej, lecz także na ludziach. Sad obok ubojni obumiera, bo krowy sikają tam hektolitrami, wyjąłwiając ziemię. Wszyscy są pewni, że mordy dokonywane na zwierzętach pod osłoną nocy, są świadectwem ciemnej strony człowieka i wymagają kary ostatecznej. „Zajmie się tym woda albo ogień” (s. 23) – powtarza Róża. Jedynie jakieś nadprzyrodzone zdarzenie, apokalipsa, mogłoby powstrzymać człowieka przed zadawaniem bólu przyrodzie.

Przekonanie, że natura mści się za zbrodnie dokonane przeciwko niej, podziela ją nie tylko narratorka, babka i Ann, to pogląd dużej części społeczności wiejskiej. Gdy sąsiad

Rybowicz (mający cechy pisarza Jana Rybowicza, o którego twórczości Lebda napisała pracę magisterską) umiera nocą po tym, jak jego dom zostaje przygnieciony przez ziemię, która osunęła się ze skarp, listonoszka mówi: „ziemia wzięła swoje, ofiarę, Rybowicza, że nażarła się, to teraz będzie chwila spokoju” (s. 148). „Łakoma” jest nie tylko śmiertelna choroba, trawiąca Różę, lecz także przyroda, ziemia, która pochłania człowieka mordującego zwierzęta. Natura żąda zadośćuczynienia. To typowe także dla poezji Lebdy, w której natura wyraźnie zaznacza swoją obecność i wpływa na życie mieszkańców wsi. Jest pełnoprawną bohaterką, reagującą na czyny poszczególnych ludzi i całych społeczności. Obraz ubojni i przekonananie, że natura zemści się na człowieku pojawia się chociażby w wierszu *ciężkie powietrze* z tomu *Granica lasu* z 2013 roku:

*należy zapominać te noce kiedy nad wsią wisi
[ciężkie powietrze
nie ma litości za to jest krew i odgłosy które
[wywabiają nas ze snu
za oknami wałęsają się psy ciężkie samochody
[zwożą ciche zwierzęta
(najcichsze z możliwych) ich światła snują się
[po suficie później
przychodzą nieszczęścia coś się mści żąda i nie
[ustępuje ranki pełne
są niepokoju uspokajają nas tylko odgłosy
[kobiet idących na rotaty
ich święte gesty i popękane dłonie².*

Szczególny związek z naturą łączy Różę, której życie naznaczyły liczne straty – przede wszystkim utrata córek. Jej rodzinny dom i wioska, znajdująca się nieopodal miejscowości Maj, zostały zalane. Zamieszkała z dziadkiem u niego i niemal wszystko mu zawdzięcza. Wiele ich różni; momentami można odnieść wrażenie, że są niedobra-

ną parą. Kobieta chroni niemal wszystko co żywe, jakby chciała ocalić nawet najmniejszy przejaw istnienia, gdyż zdaje sobie sprawę, że jej życie dobiega końca. Dziadek zabija muchy łapką, zamiata je i spala w piecu kaflowym. Narratorka wspomina wykopki z czasów dzieciństwa, kiedy złościł się na żonę, gdy ta za każdym razem, gdy znalazła martwego kreta, urządzała mu pogrzeb i kamieniami zaznaczała miejsce pochówku. Mąż truje za pomocą środków chemicznych mrówki chodzące po domu, a żona je chroni, karmiąc herbatą z miodem (w czym wnuczka wyczuwa szczyptę przesady). Dla dziadka to intruzi, dla babki goście. Ta sytuacja staje się powodem kłótni, podczas której – co znaczące – kobieta wyzywa dziadka od katów i rzeźników.

Wyczulenie Róży na świat natury łączy ją z wnuczką, która czyta jej informacje o ptakach, a babka każe jej prezentować odgłosy poszczególnych okazów, po czym próbuje powtórzyć „ptasi śpiew”. Jest ukojeniem po nocnym „śpiewaniu” zwierząt idących na rzeź. Róża przypomina w tym ojca głównego bohatera *Sklepów cynamonowych*. Zespolenie człowieka ze światem natury w taki sposób, że staje się on niemal innym bytem, to stały element poezji i prozy o tematyce ekologicznej.

W *Łakomych* nie ma zgody na śmierć, a jednocześnie jest świadomość bezradności wobec niej. W przytłoczonej chorobą babki narratorece rodzi się bunt przeciwko najmniejszemu przejawowi śmierci w naturze, zwłaszcza temu spowodowanemu działalnością człowieka. To dlatego na wpół świadoma, na wpół senna wyobraża sobie nocą, że beton wylewany przez ciężarówkę wokół ubojni przelewa się do ogródka jej domu i pokrywa drzewa oraz krzewy w sadzie. Śmierć ciągle łąknie życia, powoli zjada Różę i wypełnia sobą całe otoczenie, cały dom. Nie ma w nim prywatności, wszystko jest wspólne, każdy domownik potrzebuje zgody, niemego przytaknięcia wszystkich osób, które towarzyszą

¹ J. Baran, *Ostrowidztwo Jana Rybowicza* [w:] J. Rybowicz, *Zwariować z życia*, Warszawa 2018, s. 12.

² M. Lebda, *ciężkie powietrze* [w:] też, *Sprawy ziemi*, Poznań 2020, s. 25.

odchodzącej, na każdą nawet najbanalniejszą codzienną decyzję. Młode kobiety dużo rozmawiają z Różą i starają się oswoić chorobę, jednak niekiedy słowa są bezużyteczne.

Współumierający szuka pocieszenia nie tylko w rozmowie, ale również w działaniu, w wysiłku fizycznym (malowanie pokoju babki przez narratorkę i Ann, remonty dziadka), w naturze (praca w sadzie, plewienie), we wspólnym milczeniu przy codziennych gospodarczych obowiązkach. „Choroba łączy nas w fizycznej robocie, potrzebujemy się zmęczyć” (s. 15) mówi narratorka. Praca w ogrodzie pozwala współchorującym odciągnąć myśli od najgorszych przeczuc, a widok roślin, spotkanie z naturą, resetuje umysł, pomaga formułować myśli, daje punkt odniesienia. Dzięki więzi z naturą domownikom, zwłaszcza narratorki, łatwiej oswoić się ze śmiercią.

Powieść *Lebdy* to historia intymna, długi list pożegnalny do bliskiej, ukochanej osoby, którego treść możemy śledzić z rozdziału na rozdział. Sama forma utworu świadczy o tym, że wobec śmierci człowiek odczuwa przede wszystkim bezradność, nie umie jej opowiedzieć. Rozdziały są bardzo krótkie, przypominają kartki z pamiętnika. O śmierci nie da się napisać epopei, spójnej historii, pozostają tylko wyrwane myśli, pojedyncze wspomnienia. Taki sposób pisania ma analogie we współczesnej literaturze polskiej, dotyczącej śmierci bliskiej osoby. Można przywołać *Zapiski z nocnych dyżurów* (1995) Jacka Baczaka, który pracując jako pielęgniarz w domu dla nieuleczalnie chorych, w wolnych chwilach zapisywał swoje refleksje. Traktuje swoich podopiecznych niemal jak bliskich, z czułością, wrażliwością i pietyzmem podchodząc do swojej pracy.

Powieść *Lebdy* łączy się także z książką *Matka odchodzi* Tadeusza Różewicza, złożoną z jego przemyśleń, zapisków z dziennika, wierszy dotyczących matki, rodzinnych fotografii, zapisków brata oraz matki. Również tu śmierć wydaje się ujęta jedynie w sposób

chaotyczny, pozbawiony wyraźnego porządku narracji, gdyż w jej obliczu człowiek nie myśli spójnie i tylko momentami formułuje logiczne refleksje. Nawiązania do utworu Różewicza widać również w konkretnych fragmentach *Lakomych*. Wnuczka Róży już na samym początku zwraca uwagę na oczy babki: „Oczy babki są czujne. Oczy babki chodzą z nami. Oczy babki patrzą, patrzą.” (s. 18). Jest to odbicie słów Różewicza ze wstępu: „Teraz, kiedy piszę te słowa, oczy matki spoczywają na mnie”³, które wielokrotnie powracają w utworze.

Gdy odchodzi bliska osoba, zwracamy uwagę na jej twarz, na to, jak się zmienia. Po śmierci zostają fotografie, które zachowały nienaruszoną postać bliskiego. Ten motyw pojawia się też w książce *Umarł mi. Notatnik żałoby* (2013) Ingi Iwasiów. Jej podtytuł wskazuje na analogię z formą *Lakomych* – to przemyślenia i zapiski, przedstawiające różne momenty z życia narratorki oraz jej zmarłego ojca. Autorka również wspomina o fotografiach, przegląda wspólne zdjęcia z tatą z okresu, gdy była dzieckiem i zauważa, że niemal na każdym z nich patrzy mu w twarz, uśmiechając się. Nie wychowywała się na wsi, jak narratorka *Lebdy*, obie wywodzą się z dwóch światów, innych realiów. W *Umarł mi* szczybińskie środowisko jest zlaicyzowane, narratorka nie chodziła na pogrzeby w rodzinie, cechuje ją miejskie zamiłowanie do użyteczności, techniki i porządku, a w jej otoczeniu wszystko działa „jak fabryka”.

W wiejskiej społeczności dziecko oswaja się ze śmiercią już od najmłodszych lat, a cykl natury determinuje cykl życia. A jednak refleksje dotyczące umierania są podobne – obie kobiety są bezradne wobec śmierci, którą starają się opisać, choć wiedzą, że to niemożliwe. Nie da się wyrazić nieopisywalnego, ale człowiekowi nie pozostaje nic innego niż próbowanie, gdyż opiekując się

³ T. Różewicz, *Matka odchodzi*, Wrocław 2000, s. 7.

chorym, ma on naturalną potrzebę zdefiniowania sytuacji, w której się znajduje.

Lebda w swojej pierwszej powieści ukazuje proces umierania z perspektywy bliskich odchodzącej kobiety. Opisuje ich odczucia, lęki oraz bezradność. Na śmierć każdy reaguje inaczej, ale istnieje wspólny mianownik – człowiek opiekujący się śmiertelnie chorym również choruje, musi też wspiąć się na wyżyny cierpliwości wobec ukochanej osoby. Jest przytłoczony ciężarem nieuniknionego, brzemieniem smutku i bezsilności. Tylko miłość, czułość i nadzieja pokładana w naturze trzymają go przy życiu w obliczu śmierci, która jest nienasycona oraz żaloby, która jest łakoma, gdyż pochłania nie tylko ludzi, ale i wszystko, co ich otacza.

Bartłomiej Śliż

Małgorzata Lebda, *Łakome*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2023.

Julia Filip

Debiut

PASJA WEDŁUG TOMASZA

Misterium to debiut książkowy Marcina Oskara Czarnika – dziennikarza i animatora literatury, urodzonego w 1993 roku w Czudcu. Zadebiutował w prasie literackiej w 2019 roku fragmentami opowiadania lub powieści *Agresty*, drukowanymi w „*Twórczości*” i we „*Frazie*”. W swojej pierwszej powieści zestawia ze sobą wiejskość i miejskość oraz nieheteronormatywność i heteronormatywność, które determinują życie głównego bohatera, Tomasza.

Uwagę zwraca ilustracja na okładce książki – mężczyzna wplątany w sieć, w której znajdują się inne ludzkie postacie, przedmio-

ty i zwierzęta. Dopiero po lekturze możemy w pełni zrozumieć związek tego symbolicznego obrazu z problematyką utworu. Wzrok przyciąga oryginalna narracja, nagromadzenie w niej biblijnych odniesień i stylistycznych parafraz, a także pomysł, by tekst odautorski nakładał się na wydrukowane innym kolorem czcionki pieśni wielkopostne.

Akcja powieści toczy się w kilku planach czasowych i w dwóch różnych miejscach. Wątek współczesny rozgrywa się w Krakowie (z jego charakterystycznymi toponimami: Wawelem, Mostem Grunwaldzkim, ulicami Smoczą i Dietla, „smoczym” pomnikiem, Starym Kleparzem), w okresie Wielkiego Tygodnia poprzedzającego święta Wielkiej Nocy, na co wskazuje następujący fragment: „Śąsiednie miejsca zajmowały eleganckie staruszki z koszyczkami. Jechały do kościołów na pierwsze święcenie; wiozły jaja olupane i w skorupkach, kielbasy, piaskowe babki”.

Tomasz, mężczyzna w chrystusowym wieku (po trzydziestce), pochodzący ze wsi, tak przedstawia się czytelnikom: „byłem przystojny: wysoki, dobrze zbudowany, z ogorzałą, ale miłą twarzą, do tego ubierałem się przyzwoicie”. Akcja powieści rozpoczyna się w momencie, gdy odwiedza go matka, która przyjeżdża do szpitala w wielkim mieście na ważną konsultację medyczną. Syn wychodzi po nią na dworzec kolejowy, a następnie prowadzi do swojego mieszkania. Od pierwszych chwil czuje się z nią nieswojo, wstydzi się tego, że matka mówi gwarą i głośno komentuje wygląd egzotycznych dla niej cudzoziemców. W szpitalu rozpoczyna się seria wydarzeń, które zmuszą bohatera do wędrówki ulicami Krakowa i zagłębienia się we wspomnienia.

Autor upodobił zdarzenia przedstawione w książce do drogi krzyżowej. W szpitalu matka Tomasz tajemniczo znika. Bohater zaczyna jej desperacko szukać. Wchodzi do kościoła, pyta o nią księdza, lecz ten nakazuje mu spowiedź i wypomina zgubienie matki.

Tomasz ucieka, a ksiądz podąża za nim, co sugeruje czytelnikom konflikt bohatera z Kościołem i apostazję (zerwanie z religią).

Drugą „stacją” na drodze Tomasza jest klub o znaczącej nazwie Sychem (aluzja do spotkania Jezusa z Samarytanką przy studni Jakuba). Bohater spotyka tam barmana, osobę niebinarną o podwójnym imieniu Jan-Maria (co jest nie tyle aluzją do imion znanego krakowskiego polityka, ile bliskich Jezusa, towarzyszących mu w drodze krzyżowej – ulubionego ucznia Jana i Marii Magdaleny). Jan-Maria okazuje bohaterowi sympatię, zrozumienie i poświęca mu uwagę – rozmawia z nim i uczy go tańczyć. Przekonuje go, żeby przestał „dźwigać swój krzyż” i nie żył już w strachu, wciąż ukrywając, kim jest i skąd pochodzi. Tomasz wraca do mieszkania i postanawia pojechać na wieś do rodzinnego domu. Wkrótce odbiera telefon od ojca, którym informuje go o śmierci matki. Bohater zapewnia, że zajmie się pogrzebem, po którym przez siedem dni pozostaje w rodzinnym domu, by przeżywać żalobę.

Ósmego dnia wraca do miasta i odwiedza klub, w którym poznał Jana-Marię. Pokazuje mu krótki tekst, który napisał podczas żałoby, a ono zachęca go, by pisał dalej. Sytuacja ta jest przyrównana przez narratorkę do biblijnego toposu pasienia owiec – Jan-Maria jest tu uosobieniem (nieosobowego) Boga, czego dowodzi następujący fragment *Misterium*: „Wstało od stolika i tak jak pasterz unosi nad głową różgę, by pogonić owcę, tak ono zamachnęło się ramieniem, wyciągając je wysoko pod sufit, jak gdyby nakazywało »Idź«”. Przypomina to przedstawione w Nowym Testamencie okoliczności rozesłania przez Jezusa apostołów, by głosili jego naukę w świecie. Barman, niczym Bóg, skłania obdarzonego Chrystusowymi rysami bohatera, by stał się pisarzem i w ten sposób głosił innym „przeżycie” swojego życia.

Równolegle śledzimy wspomnienia Tomasza ze spędzonego na wsi dzieciństwa, ściśle splecione z rokiem liturgicznym, or-

ganizującym od wieków życie wiejskiej społeczności. Najważniejszym wydarzeniem tego okresu jego życia była śmierć młodszej siostry Zosi, która naznaczyła go na całe życie, także dlatego, że nie mogła się z nią pogodzić ich matka. Przez wiele lat zabierała Tomasza na cmentarz do grobu Zosi, wciąż wspinała utraconą córkę, przez co chłopiec wpadł w kompleksy, czuł się gorszy, mniej kochany. Dorastający w cieniu zmarłej siostry Tomasz nie bawił się z rówieśnikami. Zapamiętał z dzieciństwa odpust – kolorowe namioty, cukierki, baloniki, zabawki – ale także upokarzającą i bolesną przygodę, gdy spadł ze spłoszonego kucyka na twardą ziemię. Wspomina także dzień swojej pierwszej komunii, najważniejsze wydarzenie w życiu (nie tylko) wiejskiego dziecka w Polsce, gdy tuż przed uroczystością, ubrany w świąteczny strój, musiał pójść z matką na grób siostry. Zatem także to święto nie było jego świętem. Matce podobało się także, gdy syn „przebiebrał się” za Zosią.

Bohater-narrator wspomina szczególnie wyjątkowy Wielki Piątek, kiedy podczas nabożeństwa jego matka zaczęła rodzic i chłopiec został od niej oddzielony przez inne kobiety. Formującym doświadczeniem były majówki (maj jest miesiącem codziennych nabożeństw ku czci Matki Bożej), kiedy gościł w jego domu i spał z nim w jednym pokoju starszy kuzyn Janek. Przeżył z nim wówczas inicjację seksualną i doświadczył po raz pierwszy intymnej bliskości, a po jego wyjeździe czuł się przez długi czas bardzo samotny. Przed każdą spędzoną z nim nocą chował zawieszony na ścianie nad łóżkiem obraz przedstawiający anioły. Kilka lat później, kiedy chłopcy zaczynają interesować się dziewczynami, a on tego nie czynił, aby uciszyć plotki na temat swojej orientacji seksualnej, związał się z dziewczyną, której nie kochał, ale której się podobał i, zgodnie z modelującą narrację *Misterium* symboliką biblijną, pozostawał z nią w związku przez siedem lat. W końcu kobieta porzuciła go, gdy prze-

konała się, że wykorzystuje ją do ukrywania własnej homoseksualności.

Retrospekcje głównego bohatera, które porządkuje kalendarz katolickich świąt, są przeplatane fragmentami psalmów i cytatami z Pisma Świętego oraz kościelnymi pieśniami. To ciekawy zabieg, który pokazuje, jak bardzo życie młodego Tomasza (w dzieciństwie ministranta) było związane z nauce Kościoła i kościelną liturgią. Całe partie *Misterium* zostały napisane stylem biblijnym i zawierają odniesienia do ważnych fragmentów Pisma Świętego. Utwór otwiera parafraza prologu Ewangelii św. Jana: „Na początku było skrzypienie, skrzypienie niesło się po domu i cały dom był skrzypieniem”. Z kolei fragment: „Szóstego dnia prababka zamieszła zakwas mątwką i zobaczyła, że jest dobry”, jest parafrazą Księgi Rodzaju: „A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre. I tak upłynął wieczór i poranek dzień szósty”.

Misterium to także historia o konfrontacji wiejskości i miejskości. Wiejskość to coś, czego bohater chce się pozbyć, wypiera się swego pochodzenia. Autor mówi o niemożliwości ucieczki od tego, skąd się wywodzimy i kim jesteśmy. Tomasz nie potrafi odciąć się od swoich korzeni i choć usilnie pilnuje, w jaki sposób się wyraża, z przyzwyczajenia i w momentach emocjonalnego uniesienia mówi gwarą, co go frustruje i czego się wstydzi. Nie może w pełni przystosować się do miejskiego życia, odstaje od ludzi mieszkających w Krakowie od urodzenia.

Debiut Czarnika opowiada także o trudnościach w odnalezieniu się osoby LGBTQ+ w heteronormatywnym społeczeństwie. Tomasz po romansie z Jankiem nie potrafi „być jak wszyscy”, ale presja otoczenia wymusza na nim wejście w związek z niekochaną kobietą. Czarnik ukazuje mentalność mieszkańców wsi, których obawa przed plotkami popycha do robienia rzeczy wbrew sobie, byle tylko nie być „na językach”. W tym kontekście szczególnej wymowy nabierają

wszechobecne w powieści odwołania do religii katolickiej i liturgii Kościoła, który wyznacza rytm życia mieszkańców wsi, przenika codzienność, wpędza głównego bohatera w poczucie grzechu i winy z powodu własnej odmienności. We wspomnieniach Tomasza powracają obrazy nabożeństw, świąt, codziennej modlitwy, widoku klęczącej matki, oplakującej zmarłą Zosię, czasu spędzonego z nią na komentarzu zamiast zabaw z rówieśnikami.

Marcin Oskar Czarnik ukazuje świat, który zna wielu ludzi pochodzących ze wsi: mała, zamknięta społeczność kierująca się przesadami, przesadnie, lecz powierzchownie religijna, żyjąca w rytmie kościelnych świąt. Jej członkowie wydają się nie mieć własnego zdania, bezrefleksyjnie powtarzają słowa księdza usłyszane na niedzielnym kazaniu, nie akceptują osób, które pragną żyć inaczej i zrywają z surowymi, wykluczającymi ze wspólnoty przykazaniami religii. Z takiego miejsca ucieka „odmieniec” Tomasz, który jednakże powtórzy scenariusz Pasji, przejdzie własną drogę krzyżową, która ma na celu odnalezienie swojej ścieżki życia, głosu i tożsamości. Z głównym bohaterem powieści może się utożsamić wiele osób o podobnym rodowodzie i doświadczeniu. Historia „niewiernego” Tomasza, opowiedziana w *Misterium*, daje ludziom poszukującym nadzieję na znalezienie egzystencjalnego celu.

Julia Filip

Marcin Oskar Czarnik, *Misterium*, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2023.

Tomasz Pyzik

Z PERSPEKTYWY ŻYCIOWEGO SPEŁNIENIA

Wspomnienia nie tylko teatralne – taki podtytuł nosi najnowsza książka Kazimierza Brauna – przenoszą nas w przestrzeń bycia i światoodczuwania autora. Przenoszą w sposób niezwykle żywy, obrazowy, zadziwiający pamięcią detali. Bogaty dorobek twórczy Brauna, zgromadzony na przestrzeni kilkudziesięciu lat (od końca lat 50. XX wieku) i towarzyszące mu przeżycia, jawią się dzięki takiej opowieści jakby były niedawno zamknięte, jeszcze ciepłe w swym istnieniu. Możemy poczuć się zaproszeni do artystycznego stolika, przy którym poznajemy kulisy adaptacji wielkich dzieł dramatycznych, poznajemy tło różnych wydarzeń, a konteksty historyczny i biograficzny nawzajem się przeplatają. Kazimierz Braun napisał tę książkę z pozycji człowieka spełnionego, który osiągnął szczyty swojego zaangażowania w pracę twórczą.

Znaczący jest tytuł wspomnień. *Piramida* – jak przyznaje autor – to metafora obrazująca jego drogę zawodową, artystyczną i życiową. Pobrzmiewa w tej przenośni Horacjancki motyw *non omnis moriar*, gdyż piramida jest, można powiedzieć, swoistą odmianą „pomnika trwalszego niż ze spizu”. Trzeba oddać Kazimierzowi Braunowi, że tak rozumianą piramidę zasłużenie sobie postawił, na taką budowlę wspiał się swoim talentem, zaangażowaniem i niezłomnością charakteru. W symbolice piramidy, w jej stożkowej budowie, dostrzegamy to, co oglądowi naturalnych wzniesień nadaje głębszy sens. Mistyka wpisana w góry przerzuca świadomość uświadomionego duchowo człowieka

ku transcendencji, skłania go do rozmyślań nad istotą stworzonego świata i nad tym, co jest poza nim. Wspomnienia Brauna nie są tylko opowieścią o dokonaniach życia. Jest w nich także namysł nad tą tajemnicą, która zadziwia, nakazuje pokorę, a jednocześnie uszczęśliwia konstatacją o byciu częścią Boskiego procesu stwarzania. Już we *Wprowadzeniu* Braun pisze: „twórczość artystyczna, a także twórczość naukowa, to zawsze jakiś udział – mały, znikomy, nieudolny, ale jednak udział – w tajemnicy stworzenia, stwarzania świata”.

Metaforyczna *Piramida* Kazimierza Brauna jest zbudowana z czterech ścian – przednią tworzy teatr, dwie sąsiednie teatrologia i pedagogika. Czwartą jest literatura. Wzdłuż tego podziału idą poszczególne rozdziały książki. Budowla ta stoi na solidnych fundamentach, na wartościach, które zdecydowały, że całość konstrukcji nasycona jest treściami, które bezpośrednio lub pośrednio odsyłają na szczyt, nakazują podnieść oczy ku niebu, na styk tego co widzialne i niewidzialne. Autor precyzuje: „wszelka twórczość ma moc przemieniania, przetwarzania tego, co doraźne i praktyczne, w to, co ponadczasowe i uniwersalne; tego, co materialne, w to, co duchowe; tego, co codzienne, w to, co poetyckie”. Życie twórcze Brauna opiera się na Norwidowskiej teorii sztuki, która znalazła się we *Wprowadzeniu* jako myśl patronacka całego dorobku. Z utworu *Promethidion* polskiego romantyka pochodzą następujące zdania, które przenikają we wszystkie ściany piramidy: „Piękno na to jest, by zachwycało / do pracy – praca, by się zmartwychwstało” oraz „Ja tak widzę przyszłą w Polsce sztukę, / jako chorągiew na prac ludzkich wieży, / jako najwyższe z rzemiosł apostoła, / I jak najniższą modlitwę anioła”.

Braun w swej twórczej aktywności łączy to, co było niezwykle trudne do zespolenia. Jego rzemiosło wybijało ku Innemu, stając się światłem nadziei w nocy komunizmu. Wierność najwyższym ideałom charaktery-

zowała go także na emigracji i po zmianie systemu w Polsce. Jest to reżyser, pedagog, naukowiec i literat umocowany w wartościach chrześcijańskich, który na wszystkich polach działalności daje świadectwo prawdzie. Niezwykle znaczące jest tu wspomnienie rozmów z biskupem Karolem Wojtyłą z początku lat 60. XX wieku. Pytania zadane wówczas przez duchownego niewątpliwie odcisnęły się na reżyserskim paradygmacie Brauna, który zaczął bazować na realizmie psychologicznym, nadbudowanym uniwersalizmem oraz symbolizmem. Całość domykała warstwa poetycka. W tak skonstruowaną przestrzeń znaczeniową można było wpisać treści wnoszące otwartego i ufnego odbiorcę ku metafizyce.

Twórczość dramatyczna Cypriana Norwida stała się dla reżysera polem, na którym udanie tworzył teatr realizmu poetyckiego. To właśnie na sztuki Norwida Braun nałożył spostrzeżenie Wojtyły: „Poza mową otwiera się przepaść”, i w ten odczuwany pozamyślowo przestwór zagłębiał się w inscenizacjach, w których cisza i gesty mówiły czasem więcej niż słowa. Podążanie drogą Norwida umożliwiło Braunowi wyrażenie wciąż aktualnego przesłania sztuki. Stało się tak choćby podczas realizacji *Za kulisami* – dramatu Norwida ukazującego upadek Europy, która traci poczucie *sacrum*, pogrążając się w laicyzacji i materializmie.

Wejście na drogę Tadeusza Różewicza, czyli sceniczne adaptacje sztuk autora *Kartoteki*, stały się z kolei idealnym materiałem do wdrożenia założeń „teatru wspólnoty”. Dbałość o widza, o jego szczególne zaangażowanie w sztukę, charakteryzuje styl reżyserii Brauna. Jest to twórca, któremu zależy na wszystkich elementach składowych widowiska teatralnego, przez co uwidacznia się troska o człowieka, o scenarzystę, aktora i o odbiorcę, który ma opuścić budynek teatru w poczuciu sensu płynącego nie tylko z przeżytego dzieła, ale także z wkładu własnego, wniesionego przez obecność na przestawie-

niu. Holistyczne widzenie spraw teatralnych przez Brauna jest możliwe, jak się wydaje, dzięki wrodzonemu uwrażliwieniu na wiekuiste piękno, dzięki twórczym predyspozycjom oraz powołaniu do artystycznej służby, której pozostaje wierny od wielu lat. Realizacja powołania materializuje się zarówno w teatralnych adaptacjach sztuk, we własnej twórczości literackiej, jak i wnierności wartościom budującym trwałą i silną rodzinę.

Wszystkie części składowe, te pewnego rodzaju stopnie, kształtujące metaforę piramidy życia i twórczości Kazimierza Brauna, wynoszą go ku zasłużonej chwale wśród ludzi nauki i kultury. Artystyczno-naukowy dorobek autora *Piramidy* zadziwia rozmachem, a jednocześnie pokorą i skromnością twórcy. To jednak nie jest ukończona wspinaczka. W wymiarze metafizycznym na zdobycie czeka jeszcze ostatni taras, ale i do niego, do tego najwyższego kręgu w swoim czasie otworzą się bramy w nagrodę za piękne ziemskie zasługi. Kazimierz Braun jest bowiem rzemieślnikiem mającym najwyższe ludzkie możliwości twórcze, które sięgają najniższej modlitwy anioła.

Tomasz Pyzik

Kazimierz Braun, *Piramida. Wspomnienia nie tylko teatralne*. Oficyna Wydawnicza Volumen & Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Warszawa 2022.

Jolanta Pasterska

O ŻYCIU BYDGOSKIEJ BOHEMY W DWUDZIESTOLECIU MIĘDZYWOJENNYM¹

Życie artystyczne w Bydgoszczy w latach 1920–1939 autorstwa Barbary Chojnackiej, wydane przez Muzeum Okręgowe im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy (uhonorowane przez jury Bydgoskiej Literackiej Nagrody „Strzała Łuczniczki” za rok 2023 nagrodą w kategorii Edytorstwo), jest pierwszą tak obszerną (514 stron), wieloaspektową, przekrojową monografią dokumentującą i opisującą działalność bydgoskich instytucji kultury w dwudziestoleciu międzywojennym. Jak zapowiada autorka, to pierwsza część większej całości (tom drugi będzie poświęcony twórcom i ich dziełom), powstała w programie obchodów 100-lecia Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy.

Wyróżniona nominacją do Bydgoskiej Nagrody Literackiej „Strzała Łuczniczki” za rok 2023 publikacja jest ważna zarówno pod względem merytorycznym, jak i edytorskim. Istotne jest tu podjęcie samej tematyki, a także zakres czasowy prowadzonych badań. Autorka za ich cel postawiła sobie bowiem poddanie naukowemu oglądowi niezwykle obszernego, bogatego, wymagającego szczegółowych kwerend (archiwalnych, ikonograficznych, również zbiorów prywatnych) materiału dotyczącego życia i

działalności bydgoskiej bohemy w okresie odradzającej się po zaborach ojczyzny.

Obrona przez muzealniczkę czasu jest niezwykle ważna ze względu na specyfikę lokalizacji miasta, które przez ponad 140 lat znajdowało się w zaborze pruskim. Dlatego tak ciekawy jest uchwycony przez Barbarę Chojnacką przebieg kształtowania się/odradzania środowiska artystycznego miasta nad Brdą. Proces ów oddaje kompozycja monografii. Materiał badawczy został pogrupowany chronologicznie i ujęty w siedem rozdziałów poprzedzonych wstępem (także w języku angielskim). Całość rozważań domyka zakończenie oraz dwa aneksy, spis ilustracji i indeks osobowy.

Każda z kompozycyjnych całości, która poświęcona została danej instytucji kultury, towarzystwu opieki nad sztuką bądź grupie artystycznej, zawiera także rozbudowany kontekst historyczny dotyczący kluczowych wydarzeń, które wpływały na ich specyfikę i rozwój bądź atrofie. Trzy pierwsze części monografii obejmują lata dwudzieste XX wieku. Autorce na podstawie materiałów źródłowych udało się wskazać początki/źródła inicjujące życie artystyczne w Bydgoszczy i jego pierwsze formy instytucjonalne (Państwowa Szkoła Przemysłu Artystycznego, Państwowa Szkoła Przemysłowa, Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, Muzeum Miejskie). Warto podkreślić, że narracja zostaje tu tak udanie poprowadzona, że czytelnik oprócz historii tych instytucji śledzi przemiany w tendencjach sztuk plastycznych w ogóle (np. odstępowanie od tzw. sztuki czystej ku użytkowej).

Kolejne trzy rozdziały przyciągają uwagę rzetelną analizą wspartą ciekawymi przykładami bujnego rozwoju bydgoskiego życia artystycznego w latach trzydziestych minionego wieku. W tym miejscu zostały odnotowane różne rodzaje aktywności miejscowych artystów, grup artystycznych w kontekście nie tylko lokalnym, ale i ogólnopolskim (Związek Plastyków Pomorskich, Grupa Pla-

¹ Jest to zmodyfikowany tekst laudacji wygłoszonej przez autorkę podczas uroczystości wręczenia nagród Bydgoskiej Nagrody Literackiej „Strzała Łuczniczki” 17 maja 2024 r. w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Bydgoszczy.

styków Pomorskich, Związek Zawodowych Plastyków Wielkopolsko-Pomorskich, Grupa Plastyków Bydgoskich, Zawodowy Związek Artystów Plastyków „Bydgost”). Wiele wnosi także lektura dotycząca roli Muzeum Miejskiego jako instytucji konsolidującej środowisko artystyczne oraz Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych i Rady Artystyczno-Kulturalnej. Analiza tego materiału została ukierunkowana na opis działalności wystawienniczej, wydawniczej i popularyzatorskiej (rozdział szósty). Ostatnia całośćka poszerza wiedzę czytelnika o przejawy działalności niezinstytucjonalizowanej, indywidualnej, w tym na przykład kolekcjonerstwa prywatnego. Czytelnik ma okazję zapoznać się także z osiągnięciami artystów – malarzy, rzeźbiarzy, rysowników, grafików, scenografów i projektantów, którzy współtworzyli w międzywojniu lokalne życie artystyczne. Ich odpominanie i przywracanie współczesnym Bydgoszczanom jest nie do przecenienia.

Co ważne, nie jest to monografia *stricto* regionalna, jej autorka nie ogranicza się jedynie do opisu dokonań ówczesnych instytucji artystycznych i bydgoskich artystów. Dzięki dobranym kontekstom historycznym, społecznym, kulturowym udało się Barbarze Chojnackiej także dowieść znaczenia, jakie odegrały mniejsze ośrodki artystyczne dla rozwoju kultury polskiej, a w szerszej perspektywie oddać proces odradzania się tożsamości narodowej.

Trzeba powiedzieć, że monografia *Życie artystyczne w Bydgoszczy w latach 1920–1939* jest wydana niezwykle starannie. Uwaga ta dotyczy zarówno aparatu naukowego: autorka wzbogaciła swoje ustalenia o bogate, rzeczowe i niezwykle wartościowe komentarze oraz dobrze sporządzone odsyłacze, jak i szaty graficznej. Fotografie (autorstwa Wojciecha Woźniaka i Mateusza Chojnowskiego) tematycznie uporządkowane, skrupulatnie opracowane, stają się niemal autonomiczną opowieścią o życiu artystycznym

bydgoskiej bohemy w dwudziestoleciu międzywojennym.

Jak powszechnie wiadomo, pierwszym znakiem marketingowym książki jest jej obwoluta. Okładka publikacji *Życie artystyczne w Bydgoszczy w latach 1920–1939* autorstwa Franciszka Otta zaprojektowana została jako kolaż złożony z umieszczonych w zarysach frontonu budynku Muzeum Okręgowego (dawniej Muzeum Miejskiego), fragmentów fotografii wystaw w nim prezentowanych, zaś blok (wkład) obwoluty wypełniają zdjęcia archiwalnych plakatów z okresu międzywojennego, dokumentujących działalność ówczesnych instytucji artystycznych. To metaforyczne połączenie przeszłości, zamkniętej w muzealnych salach, ze współczesnością. Tak skomponowane materiały są świetnym zaproszeniem do lektury książki. Bez zarzutu pozostaje także warstwa językowa publikacji oraz jej redakcja, dzięki czemu monografia jest przykładem znakomitej edycji.

Kompetencje naukowe dr Barbary Chojnackiej, muzealniczki, historyczki sztuki, imponującej erudycją i teoretyczną wiedzą, dały świetne rezultaty. Pozwoliły opisać w sposób ciekawy całe bogactwo życia artystycznego Bydgoszczy międzywojennej, przywrócić pamięć o ówczesnych artystach i ich działaniach. Nie bez znaczenia jest tu wyczuwalna w języku narracji pasja w odkrywaniu i wypełnianiu tej historycznej luki i swoistym mapowaniu ówczesnego artystycznego świata bydgoskiej bohemy.

Barbara Chojnacka, *Życie artystyczne w Bydgoszczy w latach 1920–1939*, Muzeum Okręgowe im. Leona Wyczółkowskiego, Bydgoszcz 2023.

Rafał Rżany

WIELUŃ I LITERATURA

Literacka ziemia wieluńska to zredagowana przez Jarosława Petrowicza, literaturoznawcę, krytyka i miłośnika kultury regionalnej, antologia obejmująca utwory 59 autorów, żyjących od XVII wieku po dzień dzisiejszy. Jak czytamy we *Wstępie*: „wśród nich znajdują się twórcy tu urodzeni, ludzie, którzy tu zamieszkałi lub przez pewien czas pomieszkiwali oraz tacy, którzy przebywali w okolicy na wypoczynku lub przejazdem, a spędziwszy w mieście lub pobliżu pewien czas, zostawili literackie ślady w postaci wierszy, reportaży, wspomnień”. Taki zamysł kompozycyjny pozwolił na przygotowanie publikacji dość obszernej, zróżnicowanej formalnie, a niejako „przy okazji” ukazującej zmiany polszczyzny w ciągu czterech stuleci dzielących najstarsze i najmłodsze teksty. Do lektury zachęcają szeroko znane nazwiska, między innymi: Józef Ignacy Kraszewski, Oskar Kolberg, Ludwik Niemojowski, Władysław Bełza, Jan Brzechwa, Irena Jurgielewiczowa, Tadeusz Chróścielewski, Tadeusz Różewicz (są tu również jego matka i jeden z braci), Ireneusz Kania, Andrzej Zawada.

Układ antologii jest chronologiczny, co wydaje się naturalnym, a jednocześnie najlepszym rozwiązaniem. Każdemu z autorów poświęcono niedługi biogram, wzbogacony w większości przypadków o fotografię, a wiersze najstarszego z pisarzy – Gabriela z Wielunia – podane zostały w tłumaczeniu, ponieważ powstały po łacinie. Całość daje ciekawy i złożony obraz tytułowej części ziem polskich (obecnie województwo łódzkie) nakreślony z wielu perspektyw: historycznej, społeczno-obyczajowej, osobistej (w tym nostalgiczno-wspomnieniowej). Mamy nawiązania do czasów średniowiecz-

nych i nowożytnych przedrozbiorowych, powstania styczniowego, czasu pierwszej wojny światowej i – przede wszystkim – drugiej.

Wieluń był pierwszym polskim miastem zbombardowanym przez Luftwaffe (1 września 1939 roku o 4.40), w jego pobliżu Niemcy prowadzili próby nowej broni, jak w wielu polskich miastach powstało tu getto żydowskie, którego mieszkańców przewieziono z czasem do obozów zagłady. To wszystko znalazło odbicie w pomieszczonych w książce prozach wspomnieniowych i beletrystycznych oraz wierszach, przy czym są tu także utwory powstałe zupełnie niedawno, pisane przez osoby urodzone wiele lat po wojnie, czterdziesto-pięćdziesięcioletnie. Odnajdziemy w *Literackiej ziemi wieluńskiej* opisy obyczajów charakterystycznych dla mieszkańców wsi, miast i miasteczek, również wspomnianej mniejszości żydowskiej (a także ewangelickiej), i ich przemian.

Forma, ale i artystyczna jakość pomieszczonych w tomie utworów jest bardzo różna. Petrowicz z jednej strony chciał dać czytelnikom obraz możliwie pełny, bogaty w szczegóły (przez co rozumiem liczbę autorów i różnorodność tekstów wypełniających przeszło 300 stron formatu B5) – zwłaszcza w części historycznej, z drugiej – prawdopodobnie dokonał jednak jakiejś selekcji. Tak czy inaczej: chociaż znajdziemy w publikacji utwory słabsze (czy wręcz: nieudane), to ranga artystyczna fragmentów jest drugorzędna wobec wartości dokumentalno-historycznej całości. W cytowanym już *Wstępie* pisze antologista: „Wyobrażam sobie, że utwory literackie składają się jak wielkie puzzle na obraz miejsca. Układanka nie jest jednak pełna. Wielu elementów na pewno brakuje. Niektóre się pogubiły, inne zniszczyły, jeszcze inne nie pasują... Wyłania się z tych kartoników pejzaż wielobarwny, skomplikowany, nie taki jasny, ale coś mówiący”. Te kartoniki wypełnione są przez wiersze (w tym pieśni i poematy) oraz prozę: opowiadania, nowele, reportaże i felietony, szkice, wreszcie dzien-

niki i wspomnienia, często pisane przez „niezawodowych” literatów.

Literacka ziemia wieluńska, jak słusznie zauważa w *Przedmowie* Zdzisław Włodarczyk, uzupełnia – także w skali kraju – braki w zakresie tego rodzaju opracowań, tj. biorących za przedmiot literaturę związaną z danym regionem, w sposób jaskrawy widoczne w zestawieniu ze znaczną ilością książek historycznych. Praca nad nią zajęła Jarosławowi Petrowiczowi kilkanaście lat i dowodzi jego ogromnej pasji i wielkiego serca tak dla słowa pisanego, jak też – jak sam ją nazywa – małej ojczyzny. Rzecz można czytać metodą „od deski do deski” i otrzymujemy wówczas szeroką i historycznie uporządkowaną panoramę, ułożoną z przykładów (wypisów), albo – poznawać we fragmentach, w zasadzie w dowolnej kolejności i choćby według klucza gatunkowego albo epok literackich (wyraźne typowo romantyczne cechy w no-

welach Józefa Ignacego Kraszewskiego i Ludwika Niemojowskiego).

Niezależnie od sposobu lektury każdy odnajdzie tu utwory lepsze i słabsze, bo – jak już zaznaczyłem – jakościowe rozwarstwienie jest wpisane w zamysł tej książki. Na pewno do najświetniejszych jej fragmentów należy wiersz Henryka Pustkowskiego (ur. 1938) *Trościa i Młodość (impresje wieluńskie)*, zaczynający się od słów:

*Zwodzony moście snu, gdzie mnie prowadzisz?
o, miasto, z ciężką bramą deszczu
trzy brzozy białe kilka wierzb
oszalałych z zieloności wysmukłej
ulica, która wiąże nam ręce.*

Rafał Rżany

Literacka ziemia wieluńska. Wybór, wstęp i opracowanie Jarosław Petrowicz Wieluńskie Towarzystwo Naukowe, Wieluń 2023.

KRONIKA

CHŁOPAK Z HETMAŃSKIEJ

Wspomnienie o Jerzym Januszu Fąfarze (1956–2024)

Jerzy Janusz Fąfara odszedł od nas 20 marca, w wieku niespełna 68 lat (urodził się 1 września 1956 roku), w pełni sił twórczych, mając przed sobą wiele jeszcze niezrealizowanych zamierzeń i pomysłów literackich. Był poetą, pisarzem, dziennikarzem, autorem licznych słuchowisk radiowych, wydawcą, regionalistą i animatorem kultury. Aż dziw bierze, że jedna osoba mogła pomieścić w sobie tyle talentów i pasji. Wielu pamięta również jego ciepły, radiowy głos, kiedy prowadził wywiady z twórcami kultury w Polskim Radiu Rzeszów. Był niezwykle ciekawy świata, także tego najbliższego, w wymianie myśli z nim ujmowała uważność, którą poświęcał każdemu interlokutorowi. Cenił profesjonalizm, przygotowanie merytoryczne do rozmowy, dobrze czuł się w rejestrach poetyckich subtelności.

W 1981 roku ukończył prawa w filii UMC-S-u w Rzeszowie, podyplomowo studiował także w Warszawie dziennikarstwo. W latach 1982–1989 pracował w Krajowej Agencji Wydawniczej w Rzeszowie, później w rodzinnym mieście założył prywatne wydawnictwo RAF, zaś a w 2001 roku Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu. W latach 2018–2020 pracował w Wydziale Promocji i Współpracy Międzynarodowej Urzędu Miasta Rzeszowa. To on był pomysłodawcą obchodzonego od 2003 roku Święta Paniagi, czyli święta ulicy 3 Maja, najstarszej, reprezentacyjnej ulicy w Rzeszowie.

W lipcu 2023 roku przy ul. Krakowskiej zamontowano *Drabinę do nieba* – monumentalną rzeźbę według projektu i zamysłu profesora Józefa Szajny, jednego z największych polskich artystów, reżyserów i scenografów teatralnych drugiej poło-



Fot. Michał Drozd

Jerzy Janusz Fąfara

wy XX wieku. *Spiritus movens* tego przedsięwzięcia, wykonawcą artystycznego testamentu Szajny był także Jerzy Fąfara. „Nie byłoby tej *Drabiny* bez Niego, nie byłoby tego miejsca widokowego do jej ustawienia, o profesorze Szajnie wiedzielibyśmy znacznie mniej. I nie byłoby tylu zapisanych ludzkich historii... To wielki żal” – napisał w mediach społecznościowych prezydent Rzeszowa Konrad Fijołek. „Ale przewagą twórców jest fakt, że pozostają po nich ich dzieła. Dzięki nim będziemy pamiętać” – dodał.

Pożegnaliśmy Jerzego wraz z tłumem rzeszowian 23 marca tego roku na cmentarzu Wilkowyja. Nie sposób w tym miejscu pominąć pięknego przedstawienia jego sylwetki przez mistrza ceremonii pogrzebowej, któremu towarzyszyła oprawa poetycko-instrumentalna godna pożegnania wybitnej osobistości. Ceremonia miała charakter świecki, ale uczestniczyli w niej również duchowni, nie zabrakło zatem przestrzeni do modlitwy. Wszystko to sprawiło, że pożegnanie zmarłego było wolne od uogólniających elementów mszy pogrzebowej w obrządku katolickim i od pierwszej do ostatniej minuty było poświęcone Jerzemu Fąfarze, przez co nabrało szczególnej głębi.

Największe sukcesy odniósł Fąfara jako autor słuchowisk realizowanych nie tylko w Polskim Radiu w Rzeszowie, ale też na ogólnopolskich antenach Polskiego Radia (Jedynka i Trójka). Były one reżyserowane przez wybitnych radiowych twórców i wielokrotnie nagradzane. Dzieło *Dzień, w którym stanąć miała ziemia* na festiwalu słuchowisk radiowych w 2000 roku otrzymało nagrodę za reżyserię dla Henryka Rozena, słuchowisko *Rzeka I* nagrodę za scenariusz na Festiwalu Polskiego Radia i Telewizji „Dwa Teatry Sopot 2003”. W 2004 roku słuchowisko Fąfary *Brzytwy kata Sellinger*a otrzymało Grand Prix podczas kolejnej edycji tego cyklicznego przedsięwzięcia i reprezentowało Polskę na festiwalu Prix Europa w Berlinie, kwalifikując się do ścisłej czołówki słuchowisk europejskich. Słuchowisko *Nalepa* zdobyło w 2016 roku I nagrodę im. I i T. Byrskich na Festiwalu „Dwa Teatry” w Sopocie, a słuchowisko *Na drodze do Damaszku* w reżyserii Waldemara Modestowicza reprezentowało Polskę na festiwalu Prix Italia we Włoszech. *Był wśród nas jeden Samarytanin* (o rodzinie Ulmów z Markowej) uzyskała w 2017 roku nagrodę im. Byrskich za najlepszy tekst festiwalu „Dwa Teatry” w Sopocie. Dla rzeszowskiego radia Jerzy Janusz Fąfara stworzył też radiowe powieści *Pępek świata* (2005–2006) oraz *Drabina do nieba* (2014–2017).

Także jego powieści były mocno osadzone w środowisku Rzeszowa i poświęcone ważnym osobowościom z naszego regionu. Często inspirowały je tragiczne wydarzenia II wojny światowej i jej bohaterowie – jak profesor Józef Szajna (*18 znaczy życie. Rzecz o Józefie Szajnie*, 2009), profesor Franciszek Chrapkiewicz-Chapeville, wybitny francuski mikrobiolog polskiego pochodzenia (*Pomruk*, 2014), Stanisław Szpunar, więzień Auschwitz (*Był wśród nas święty*, 2016). Jego powieść *Dzień, w którym stanąć miała ziemia* (2000) została przełożona na język ukraiński i ukazała się nakładem lwowskiego wydawnictwa Kalvaria w 2003 roku. Ponadto opublikował w swojej oficynie powieść *Brzytwy kata Sellinger*a (2005) oraz zbiór opowiadań *Jakub od stojącej rzeki* (2003). Jego prozę cechowała baśniowość i magiczność splatająca się z wnikliwie odtworzonymi realiami historycznymi i społeczno-obyczajowymi.

Zawsze zadziwiała mnie osobliwa żarliwość liryczna u autorów, którzy jedli już chleb z jednego pieca. Zadziwiała w sensie pozytywnym, bo mogłoby się wydawać, że czas ekscytacji lirycznych to domena ludzi młodych. W tym sensie Jerzy Fąfara był do końca takim właśnie młodym człowiekiem. Trzeba bowiem wspomnieć, że opublikował cztery tomy wierszy. Ostatni z nich – *Wspólnota wulkanów* – ukazał się w 2020 roku. Oprócz ładunku liryki zwraca w nim uwagę wspomniana żarliwość. Z jednej strony jest ona miarą poetyckości, z drugiej elementem poszerzającym wszystkie tęcze jego artystycznej wyobraźni, które było nam było wcześniej poznać.

Wypełnia ten tom gorąca lava dzieciństwa i młodości, która, sprzęgnięta z doświadczeniem życiowym poety, daje barwny konglomerat zaszłości wpisanej w cykliczność tego, co wiecznotrwale. Autor penetruje obszary bliskie, rodem z Nadwisloczka, ale jednocześnie przywołuje wraz z nimi krąg kultury śródziemnomorskiej. Jest jakiś żar tropików w tej poezji – namiętności wytryskującej jak lawa z każdego wersu, z każdego otarcia się słowa o słowo. Zmysłowość tej liryki przenika się z bólem egzystencjalnym, tworząc mapę filozoficznych znaków naszej epoki.

Ostatnia książka pisarza jest dedykowana jego nieżyjącym rodzicom, zatem pojawiają się w niej również wątki funeralne i eschatologiczne. Lubilem i lubię czytać poezję Jurka Fąfary. Jest w niej wręcz somnambuliczna chęć dotarcia do granic, w których życie rozspyna się jak ziarenka piasku wulkanicznego, swoistego Fidzi znad Wisłoka. A jednocześnie – na tej samej granicy każde ziarenko owego piasku ma strukturę iluminacji, składającą się na nową opowieść, nową historię – żar rozbudzonej wyobraźni.

Albert Camus powiedział kiedyś: „Nie śmierć rozdziela ludzi, lecz brak miłości”. Nie zapominajmy o tym. Kochajmy i pamiętajmy Jerzego. Rzeszów bez niego nie będzie już ten sam.

W dniu 3 maja w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie odbył się wieczór *Literatura na Paniadze* – spotkanie środowiska literackiego i akademickiego Rzeszowa upamiętniające Jerzego Fąfarę – także jako pomysłodawcę Święta Paniagi. Poprowadziła je profesorka Anna Jamrozek-Sowa z Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego. Pisarza wspominali: Krystyna Lenkowska, Jan Tulik, Andrzej Zajdel i Jan Niemaszek. Uczestniczyła w tym spotkaniu również żona Jerzego – Sylwia Tulik-Fąfara.

Jan Belcik

NOWA POEZJA POLSKA I OBCA

Nagrody im. Wisławy Szymborskiej 2024 (refleksje jurorki)

W tym roku Fundacja Wisławy Szymborskiej i Kapituła nagrody jej imienia przyznawała dwie nagrody, obok głównej – za tom poetycki wydany w 2023 roku – również nagrodę dla książki poetyckiej przetłumaczonej na język polski w latach 2022–2023. Nastąpiła także zmiana w składzie jury – Katalończyka Xaviera Farré po trzyletniej kadencji zastąpiła chorwacka uczona, polonistka i tłumaczka Đurđica Čilić-Škeljo. Jak nietrudno się domyślić, książek poetyckich jury miało do czytania znacznie więcej, ale i większa była niepewność w typowaniu kandydatów do nagród. W przypadku przekładów poezji na dobrą sprawę mogliśmy oceniać tylko wrażenia, jakie wywołują na nas utwory w polskiej wersji językowej. Bo choć każdy z nas zna jakiś język obcy, nawet kilka z nich – jak zasiadający w jury Jurij Zawadski, Andrea Ceccherelli, Đurđica Čilić-Škeljo – to przecież żadne z nas nie zna wszystkich, z których poetyckie przekłady zgłoszono do konkursu. Mając za życiowego partnera tłumacza i redagując „Frazę”, gdzie przekładów z różnych (także mniej znanych) języków jest w każdym numerze wiele, przekonałam się, że podstawowymi umiejętnościami dobrego tłumacza literatury są, oprócz dobrej znajomości tłumaczonego języka i kultury, wirtuozeria posługiwania się językiem własnym. Dlatego tak wielu tłumaczy poezji jest praktykującymi poet(k)ami.

Wielką satysfakcję estetyczną i poznawczą dała mi w tym roku lektura wydanych w ostatnim dwóch latach przekładów poetyckich, praktycznie niedostępnych w nielicznych księgarniach.

niach, które się jeszcze w Polsce ostały, niepodsuwanych także przez internetowe wyszukiwarki. Zresztą – czy zainteresowałaby mnie, polonistkę, poezja nieznanych autorów i autorek? A dzięki pracy w Kapitulie Nagrody im. Wisławy Szymborskiej poznałam całkiem dobrze (dzięki wyborom z całej twórczości) kilkoro wybitnych i uznanych (nie tylko) w swoich krajach autorów i autorek, ważne poetyckie książki, a nawet obiecujących debiutantów i młodszych (ode mnie) poetów i poetek innych języków i kulturowych kręgów.

Rozmawialiśmy w czasie obrad, że należałoby docenić osobną nagrodą wydawnictwa, które w ostatnich latach podjęły się misji wydawania przekładów poezji. W dodatku publikują je w starannie zaprojektowanych i estetycznie wysmakowanych seriach wydawniczych, zwykle w oprawie krytycznej – z wstępami lub posłowiami tłumaczy i tłumaczek, krytyków i krytyczek, badaczy i badaczek literatury. Wydawnictwa te starają się o to, by ich serie wyróżniały się oryginalną koncepcją. I tak lider w ilości zgłoszonych do nagrody książek poetyckich (aż dziewięćciu) – Państwowy Instytut Wydawniczy – publikuje serię wyborów poezji klasyków współczesnej poezji, ozdabiając tomy reprodukcjami prac artystów i artystek z tego samego kraju. Otrzymujemy zatem dwa w jednym – wybór interesującej poezji i album z ciekawymi pracami plastycznymi (niebędącymi ilustracjami wierszy).

Wśród typowanych przez nas do nagrody tomów znalazła się wydana przez PIW poza tą serią (ale nie mniej edytorsko troskliwie opracowana) *Ostatnia księga Madrygalów oraz inne wiersze i prozy* Szwajcara Philippe'a Jaccottet (1925–2021) w wyborze, przekładzie i z posłowiem Jana Marii Kłoczowskiego, zawierająca wiersze z ostatnich tomów piszącego w języku francuskim i osiadłego we Francji klasyka francuskojęzycznej poezji. To wybitny przykład poezji elegijnej, osadzonej w śródziemnomorskiej tradycji i kulturze, czerpiącej siłę z wnikliwie kontemplowanej natury. Późna poezja Jaccottet jest krystalicznie czysta – formalnie

Fot. Robert Siusznicki dla Fundacji Wisławy Szymborskiej



Laureaci, jurorzy, organizatorzy i mecenasii XII Nagrody im. Wisławy Szymborskiej, Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 7 lipca 2024

nowoczesna, ale duchowo i motywicznie ponadczasowa, jakby nie przeszedł przez nią młyn historii XX i XXI wieku.

Biuro Literackie, które przysłało na konkurs siedem tomów przekładów, stawia na poezję nową, poszukującą formalnie, tworzoną przez żyjących twórców młodszych i najmłodszych pokoleń. Z ich propozycji uwagę jurorów zwróciły oryginalna *Księga przedmiotów* słoweńskiego poety Aleša Štegera (ur. 1973) w wirtuozerskim przekładzie Miłosza Biedrzyckiego oraz przetłumaczony przez konsekwentnie przybliżającego polskim czytelnikom współczesną literaturę rumuńską Jakuba Kornhausera tom Claudiu Komartina (ur. 1983) *Kobalt*.

Ossolineum zaprezentowało serię Wygłosy – pięć integralnych przekładów ważnych książek poetyckich autorów i autorek z całego świata. Z ich propozycji spodobał mi się *Kaftan bezpieczeństwa* chilijskiego, awangardowego poety Nicanora Parry (1914–2018) w przekładzie Aleksandra Trojanowskiego – urzekający surrealistycznym poczuciem humoru i anarchiczną wolnością polityczną i obyczajową, zadziwiająco aktualny, nietknięty patyną czasu. W serii Wygłosy ukazał się także przekład poematu *Autobiografia czerwonego* kanadyjskiej poetki Anne Carson – wybitny translatorski debiut Macieja Topolskiego (ur. w 1989 roku autora docenionych przez krytyków, nominowanych do prestiżowych nagród dwóch tomów poezji oraz prozy *Niż*), który postanowiliśmy (po długich naradach) uhonorować ogłoszoną w maju Nagrodą imienia Wisławy Szymborskiej 2024. O tej książce oraz innym zgłoszonym do nagrody poemacie Carson *Piękno męża* w przekładzie Olgi Kubińskiej piszę obszerniej w tekście otwierającym dział „Frazy” *O książkach*.

W publikowaniu literatury naszych wschodnich sąsiadów: Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, specjalizuje się działające w Lublinie wydawnictwo Warsztaty Kultury. Z pięciu zgłoszonych przez nie do Nagrody imienia Szymborskiej książek poetyckich moją uwagę przykuł niezwykle poemat *Republika głuchych* Ilii Kaminsky’ego, urodzonego w 1977 roku w Odessie „ukraińsko-rosyjsko-żydowsko-amerykańskiego poety, krytyka, tłumacza oraz profesora na Uniwersytecie w Princeton” – jak napisali o nim wydawcy – w przekładzie Anny Łazar. Książka w lirycznych monologach bohaterów i przejmujących scenach przedstawia napaść na tytułową republikę, przegraną wojnę, opór pokonanych i zniewolonych cywilów. Autor opowiada o miłości, rodzicielstwie, trwałości życia i sile dobra w stanie wojennym, nadzwyczajnych okolicznościach i próbach, którym poddawani są ludzie. Ten współczesny epos – w przeciwieństwie do napisanego przez Homera, nie portretuje najeźdźców – skupia się na przegranych ofiarach wojny. Narracyjnie i formalnie wykorzystuje motyw głuchoty i znaki języka migowego, którymi posługują się protestujący przeciw brutalnej okupacji mieszkańcy republiki. Autor jest osobą niedosłyszącą, co przyczyniło się do podjęcia przez jego rodziców decyzji o emigracji z jeszcze radzieckiej Ukrainy. Książka została wydana przed pełnoskalową napaścią Rosji na Ukrainę, ale już po aneksji Krymu i części Donbasu w 2014 roku. Było zresztą i jest aż nadto przykładów, by wiarygodnie ukazać współczesne konflikty wojenne i ich ofiary, ponadczasowy konflikt między republiką (demokracją) a agresywną dyktaturą. Taka jest ta książka – bliska i uniwersalna. Inni jurorzy zwrócili uwagę także na wydany przez Warsztaty Kultury w serii Wschodni Express reprezentatywny wybór wierszy litewskiej poetki Aušry Kaziliūnaitė (ur. w 1987) *Osobista pustka* w świetnym przekładzie Pauliny Ciuckiej.

Intensywnie działa powołana po napaści Rosjan na Ukrainę dwujęzyczna, polsko-ukraińska seria „W obliczu wojny” wydawnictwa Pogranicze. Charakterystyczne czarno-białe tomiki prezentują poezję „gorącą”, zaangażowaną, tworzoną tu i teraz, niekiedy wręcz na froncie wojny przez osoby w niej walczące – jak Jaryna Czornohuz – autorka tomu *Owoce wojny* w przekładzie Bohdana Zadury. Często są to wydania poprzedzające ukraińskie edycje.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury (WBPiCAK) w Poznaniu opublikowała m.in. obszerny wybór wierszy słowackiej poetki Jany Bodnárovej (ur. 1950) *Z peryferii* w przekładzie Zofii Bałdygi – urzekający świeżością dykcji, aktualnością podejmowanej problematyki (feministycznej, ekokrytycznej, rozliczającej się z przeszłością), osadzony w ważnych dla poetki autobiograficznych miejscach i doświadczeniach, ale też pociągający prowincjonalną magią i wątkami surrealistycznymi, charakterystycznymi dla kultury naszych południowych sąsiadów.

Z trzech tomów przekładów poezji nadesłanych przez Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka moją uwagę zwrócił dwujęzyczny, polsko-niemiecki tom rówieśnika polskiej Nowej Fali Michaela Krügera (ur. 1943) w przekładzie i w obszernym, nieco przytłaczającym, krytycznym opracowaniu Pawła Marcinkiewicza – *W lesie, w drewnianym domku / Im Wald, im Holzhaus* – arcydzieło nowego gatunku „wierszy pandemicznych”, wpisujące to doświadczenie późnej nowoczesności w krąg poetyckich toposów wybranego/narzuconego odosobnienia i choroby – z bliskimi (jak widać nie tylko) polskim czytelnikom odniesieniami do życia i twórczości Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza (przekładanych przez autora), Hölderlina oraz Biblii. Jest to, podobnie jak *Księga Madrygalów* Jaccotteta czy ostatnie książki Herberta, zbiór elegijny, celebrujący gest żegnania się ze światem i opiewający najlepsze strony życia: piękno natury i sztuki, przyjaźń i miłość.

Staromiejski Dom Kultury w Warszawie opublikował więzienne wiersze zmarłego w łagrze ukraińskiego poety i opozycjonisty Wasyla Stusa *Czas twórczości / Dichtenszeit i Listy do syna*. Utwory poety przełożył z pietyzmem, zachowując ich regularną formę i stylistyczne bogactwo Jacek Podsiadło, listy przetłumaczyła Katarzyna Kotyńska, a wstępem opatrzył ten obszerny tom ukraiński literaturoznawca Bohdan Tokarski. *Czas twórczości* jest świadectwem wewnętrznej i artystycznej wolności w warunkach jej fizycznej utraty i nieustających represji, także prawości, odwagi i hartu ducha autora. Zaiste był Stus jedynym sprawiedliwym w Sodomie, nie można jednak zapomnieć – i ten tom nam to uświadamia, że zapłacił za to swoim zdrowiem i życiem oraz ciężkim doświadczeniem najbliższych – żony i syna, który dorastał bez ojca, a teraz opiekuje się jego spuścizną.

Wymieniłam niewielką część z wartych uwagi tomów poetyckich, pomijając nie mniej znakomite, zgłoszone do nagrody dzieła – jak monumentalny, dwujęzyczny wybór poezji Williama Butlera Yeatsa *Miłość to wybór losu* w przekładzie Adama Pomorskiego (PIW), późna, mądrościowa poezja Bertolda Brechta (*Elegie bukowskie i inne wiersze* przełożone przez Ryszarda Krynickiego, a5), tom *Zimowe przepisy naszej wspólnoty* zmarłej w październiku ubiegłego roku amerykańskiej noblistki Louise Glück w przekładzie Krystyny Dąbrowskiej (a5) oraz wydaną przez różne wydawnictwa pokaźną ilość tomów poezji (nie tylko ukraińskiej w przekładach najaktywniejszego z polskich tłumaczy – Bohdana Zadury. Z wielu jego dokonań naszą uwagę przykuły dwa zbiory poezji Ostapa Sływyskiego – *Syrynga* (Pogranicze) oraz *Adam / Adam* (WBiCAK), a także artystowsko wydany przez wrocławskie Warstwy obszerny zbiór wierszy *Nie boli* Kateryny Babkiny, laureatki Silesiusa w kategorii prozy. Są to jednak dzieła poetów i tłumaczy znanych i docenionych w Polsce, my zaś w tej edycji konkursu postawiliśmy na translatorskie objawienia i oryginalne dzieła poetyckie ważnych, a dotąd słabiej rozpoznawalnych w Polsce światowych twórców – jak to ujęła w swej laudacji dla *Autobiografii czerwonego* – Anna Marchewka – potrzebne polskiej kulturze, mogące (pozytywnie) wpłynąć na rodzimą poezję.

W konfrontacji z 60 tomami poetyckich przekładów jurorski wybór z ubiegłorocznego dorobku polskiej poezji zrobił na mnie w pierwszej lekturze mniejsze wrażenie. Ale i tak za-

zarcie dyskutowaliśmy podczas obrad i mieliśmy dość rozbieżne typowania. Udało nam się jednak uzgodnić werdykt. Laureatką Nagrody Szymborskiej 2024 została Magdalena Bielska, która opublikowała najlepszy w dorobku, osobisty, choć nie konfesyjny tom wierszy *Poradnik dla niedawno zmarłych*, wydany przez wydawnictwo a5. A konkurencję miała mocną – choćby wybitny (jeśli również nie najlepszy w bogatym dorobku) tom *Wilki* Marzanny Bogumiły Kiejar. Także pozostali nominowani do nagrody: Agata Jabłońska (*Księżyc Grzybiarek*, Wydawnictwo papierwdole), Michał Sobol (*Trasy przelotów*, Wydawnictwo Nisza), Katarzyna Szweda (*Zemla vulgaris*, Biuro Literackie), są autorami i autorkami ważnych tomów wierszy, w które warto się uważnie wczytać. Jak świetnie zabrzmiały wiersze tej piątki oraz *Autobiografia czerwonego* Carson w przekładzie Macieja Topolskiego 7 lipca 2024 roku w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie podczas gali nagrody, brawurowo zinterpretowane przez Danutę Stenkę, którą muzycznie wspierał Marek Napiórkowski!

Przypadł mi w tym roku zaszczytny, ale stresujący obowiązek napisania i wygłoszenia podczas gali laudacji, która ma w tej najważniejszej w Polsce poetyckiej nagrodzie wymagającą poetykę suspensu – sekwencja werdyktu powinna być przekazana jak najpóźniej, najlepiej w ostatnim zdaniu. Szykując się na obrady, podczas których wyłoniliśmy tegoroczną laureatkę, przygotowałam, podobnie jak rok temu, swoje opinie o wszystkich tomach nominowanych do nagrody, zatem i na szczęście miałam solidną podstawę laudacji. Poniżej zamieszczam ją wraz z moimi propozycjami odczytania pozostałych tomów nominowanych do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej w 2024 roku.

Laudacja dla laureatki Nagrody imienia Wisławy Szymborskiej 2024

JAK PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO „WIECZNEGO” ZAMIESZKANIA*

Poezja naszych czasów często sprawia wrażenie hermetycznej, wsobnej, trudnej. Bywa skomplikowanym rebusem, zbiorem zagadek do rozwikłania, domagających się od czytających wiele czasu, uwagi i poznawczego wysiłku. Znajduje swoje odbiorczynie i odbiorców szczególnie w gronie specjalistów – poetów i poetek, krytyki, uczonych. Można jednak powiedzieć, że skomplikowana, wieloznaczna, stawiająca wyzwania literatura jest adekwatnym sposobem odzwierciedlenia złożonego, po Norwidowsku „ciemnego” charakteru późnej nowoczesności.

Tymczasem dla wyróżnionej w tym roku Nagrodą imienia Wisławy Szymborskiej osoby to zamieszkujące Ziemię ludzką i nieludzką byty, powiązane mocnymi, choć niewidzialnymi sieciami związków i relacji, są najwikszą tajemnicą, a jej wiersze stale ponawianą próbą zapisu tych, mających charakter epifanii, przeżyć i doświadczeń. Poezja wraca tu do pradawnych korzeni, jest – jak filozofia, nauka i religia – równoprawną formą poznania, stawia odkrywczą hipotezę, głosi zamknięte w aforyzmy prawdy. Stąd tak wiele w tej książce, ale i w innych tomach nominowanych w tym roku do Nagrody imienia Szymborskiej odniesień do fundamentalnych odkryć współczesnej nauki. Wierzmy nawet bardziej poetyckim rewelacjom, dlatego działają na nas także pozaracjonalnie, psychosomatycznie, nie tylko logiką wywodu i precyzją opisu, ale rytmem, magią słów, metaforycznymi obrazami. Oczarowują nas one, oszalałają, wpływają na emocje, zmieniają sposób widzenia i rozumienia. Nie musimy być tego świadomi, ale dobra poezja zawsze na nas działa!

* Tytuł nadany tekstowi przy ostatniej redakcji.

Wciągająca w lekturę, przechodząca próbę kilkukrotnego czytania książka osoby wyróżnionej tegoroczną Nagrodą im. Wisławy Szymborskiej przełamuje też inne granice, w tym przypadku nakreślone przez modernistyczną estetykę. Powraca do porzuconych w połowie XIX wieku tradycji poetyckiej epiki. Składa się z lirycznych fragmentów rodzinnej sagi lub powieściowej psychodramy, rozpisanej na wiele fikcyjnych, ale też mających realne pierwowzory postaci i głosów, umiejscowionych w przestrzeniach znanych, choć o rysach egzotycznie pogranicznych.

Wiersze dialogują ze sobą, rozwijają się ich wątki, a postacie powracają w innym miejscu, czasie i sytuacji. Jednocześnie, co nie tak częste w mającej charakter „projektów” współczesnej poezji, zachowują swą odrębność, mogą być czytane i odbierane poza kontekstem książki – jako mocne, poruszające, osobne utwory. Zwykle zaczynają się od plastycznie, wielozmysłowo odtworzonych konkretów codziennego życia lub rodzinno-sąsiedzkich anegdot, ale w pewnym momencie gruba zasłona rzeczywistości rozdiera się i wkrada się przez nią coś niesamowitego, z pogranicza tego i tamtego świata. Poetycka opowieść laureatki nagrody, bo jest nią poetka, to bowiem współczesne Dziady – obcowanie żywych z bliskimi zmarłymi w intensywnie przeżywanych wspomnieniach, snach, wizjach lub (i aż) – w kreujących je figurach języka.

Aura lekkości, groteska, ironia i nostalgiczny humor wielu wierszy skrywają smutek i rozpacz po stracie (wielu stratach) osób najbliższych, ale poetka stara się go/je wyrazić bez lamentu i rozdzierania szat, z poczuciem, że nawet (jeszcze) żywi wychylamy się ku przecierającej zza konturów jawy krainie śmierci i aby się do wiecznego w niej zamieszkania przygotować, potrzebujemy odpowiedniego „poradnika”. Dołącza tym samym do ekskluzywnego klubu poetów „męblujących” zaświaty: Emily Brönte, Bolesława Leśmiana, Jarosława Marka Rymkiewicza, Ewy Lipskiej, Romana Honeta...

Szanowni Państwo, twórczyni i twórcy poezji, jej miłośnicy i miłośniczki: laureatką XII edycji Nagrody im. Wisławy Szymborskiej została Magdalena Bielska za tom *Poradnik dla niedawno zmarłych*¹ wydany przez Wydawnictwo a5!

NIE BYĆ KOZŁEM OFIARNYM (POEZJI)

Tom Agaty Jabłońskiej *Księżyc Grzybiarek*² stanowi niemałe interpretacyjne wyzwanie. Czyta się wiersze autorki świadomej poruszanych przez siebie tematów, ich rozmaitych kontekstów oraz reguł poetyckiego rzemiosła, błyskotliwie inteligentnej, przekornej, eksponującej niemal w każdym liryku siłę (kobiecego) intelektu, poddającej wnikliwej analizie wymykające się spod władzy *ratio*, a przez to naturalnie poetyckie, prymarne, psychosomatyczne doświadczenia i stany: pożądania, intymności, strachu przed bólem i śmiercią, ekstatycznej jedni ze światem natury.

Liryczna persona wierszy Jabłońskiej eksponuje autobiograficzne zakorzenienie przez (kontrowersyjny) pomysł zilustrowania książki kreatywnymi fotografiami Katarzyny Norki Niedźwieckiej, przedstawiającymi „Witkacowskie” wizerunki poetki ze znaczącymi rekwizytami: świetlistej kuli (*porte parole* Księżyc), fragmentu grzybni, „babskiej” chustki zawiąza-

¹ M. Bielska, *Poradnik dla niedawno zmarłych*, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5, t. 121, Wydawnictwo a5, Kraków 2023.

² A. Jabłońska, *Księżyc Grzybiarek*, Wydawnictwo papierwdole–Katalog Press, Kazimierz–Podgórze–Rybnik–Muirhouse 2023.



Magdalena Bielska, laureatka Nagrody im. Wisławy Szymborskiej 2024,
Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 7 lipca 2024

nej pod brodą. Tęgo rodzaju pomysły, czyniące znak równości między ją liryczną/lirycznym i narratorką/narratorem a realną osobą autora/autorki, zazwyczaj kojarzą się z narcyzmem i kiczem. Próbując usprawiedliwić taki (na pierwszy rzut oka „niski”) projekt ważnej książki poetyckiej, pomyślałam o profesji poetki, pracującej w Muzeum Narodowym w Krakowie, obdarzonej darem odkrywczego widzenia (nadzwyczajnością), manifestującym się w obrazowej warstwie wierszy, inspirowanej się sztukami plastycznymi (w *Księżycu Grzybiarek* znajdziemy interteksty do Stanisława Wyspiańskiego i Gustava Klimta) oraz jej podobieństwie do fotogenicznej i z upodobaniem fotografującej się Haliny Poświatowskiej – prekursorki feministycznej dykcji polskiej poezji, asystentki na Wydziale Filozofii UJ, przygotowującej doktorat pod kierunkiem Romana Ingardena...

Kierując się motywami fotografii, zwróciłam uwagę na autotematyczne refleksje Jabłońskiej, dla której twórczy dar stanowi rodzaj nowotworu, jest czymś do niej (jako realnej osoby) sztucznie dodanym, choć jednocześnie wtajemniczającym ją w mikro- i makrokosmos. Bohalterka temu jest wybrana (nie)przypadkowo, poetycko celebrytuje swoją wyjątkowość, nadwrażliwość, inteligencję i siłę. Próbuje także („mocnymi”, rozbrajającymi tradycyjną poetyckość wulgaryzmami) obronić się przed rolą kozła ofiarnego sztuki – tymczasowej nosicielki pasyżującej na niej, powoli ją zabijającej, „świećliście jasnej”, nieśmiertelnej poezji – jak Czesław Miłosz przewrotnie upamiętnił Zbigniewa Herberta.

Dla kompletności obrazu *Księżycy Grzybiarek* trzeba wspomnieć o strategii prezentowania przez autorkę spraw wspólnych i aktualnych – ich konsekwentnego przekładu na prywatne i intymne, uwewnętrzniania obcego (choć bliskiego) języka i doświadczenia, zwłaszcza w wierszach części drugiej tomu, gdzie empatycznie przedstawia wojnę w Ukrainie i odnosi się do sytuacji politycznej w Polsce. Zwracają uwagę błyskotliwe gry tytułów utworów z ich tre-



Maciej Topolski, laureat Nagrody im. Wisławy Szymborskiej za przekład tomu poetyckiego 2024, Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 7 lipca 2024

i powojenne Polaków z kresów, Ukraińców, Łemków, Niemców i Mazurów – doświadczenia wygnania, uchodźstwa, opuszczania na zawsze ukochanych, rodzinnych miejsc i prób zakorzenienia się w nowych, obcych, nieprzyjaznych, opuszczonych w podobnie dramatycznych okolicznościach przez dotychczasowych mieszkańców.

Wydobywa z autentycznych opowieści przejmującą lirykę wielkiej i małej historii oraz dialektykę ludzkich i nie-ludzkich losów – jak w niezwykłym wierszu *Powrót dzikich gęsi*, gdzie pod lecącym do swych letnich siedzib kluczem ptaków „wstęgą ciągną się wozy”, czy w opowieści o umieraniu pszczoł w porzuconych przez wygnanych Niemców słomianych ulach (*Lato bez pszczoł*). Przyroda, przedmioty, budowle dzielą i uwydatniają ludzkie tragedie, ale też goją rany, koją cierpienie i lęk, pomagają się zakorzenić w nowym, obcym miejscu, żyć dalej i do końca (wiersz pod wymownym tytułem *Poniemiecki ogród Jadwigi wypędzonej z Grodzieńszczyzny*).

W *Wilkach* „czysta” liryka Kielar wzbogaca się o epicki oddech. Ta książka ma w sobie coś ze skandynawskich eposów, mrocznych opowieści Północy, gdzie miejsce okrutnych bogów zajmują psychopatyczni politycy, złowrogie ideologie i wielka historia, a herosami, desperacko walczącymi o przetrwanie, życie bliskich, dobro i wartości, stają się zwykli ludzie. *Wilki* to melancholijny epos XX wieku – echa heksametru Homera, przysposobionego przez Jana Kochanowskiego do charakteru polszczyzny, odzywają się w pięknych frazach wierszy: „Wy-

ściową zawartością oraz oryginalną rytmicznością. Wszystkie wiersze ostatniego tomu Agaty Jabłońskiej wręcz iskrzą się od wewnętrznych rymów, aliteracji i słownych gier. Ich przykładem jest autotematyczny fragment liryku *tu życie smakuje miętą i głógiem*:

[...] wiersze
na wlepkę drgające pulsem brzydkich słów: to transparenty
jak testamenty, transparenty jak wyroki, sędzi wieczność,
okładka mnie broni

targowisko pyszności [...].

LIRYKA WIELKIEJ I MAŁEJ HISTORII

Marzanna Bogumiła Kielar w tomie *Wilki*³ stworzyła niezwykłą, geo- i ekopoetycką opowieść o Warmii i Mazurach – fenomenie miejsca, które jest piękne wciąż jeszcze dzięki i nieujarzmioną przyrodą, a jednocześnie głęboko zranione przez historię, i to nie tylko tę dwudziestowieczną, ale również przez, mającą znamiona „grzechu pierwotnego”, zagładę w średniowieczu jej pierwszych mieszkańców – Prusów (Herbertowski z ducha wiersz *Prusowie*). Poetka jest w swym ostatnim tomie empatyczną obserwatorką i reportażystką – czuлыми, myślącymi oczami i uszami. Oddaje głos wielu mieszkankom i mieszkańcom swojej rodzinnej ziemi. Zapisuje w formie wierszy traumatyczne wspomnienia wojenne

³ M.B. Kielar, *Wilki*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2023.



Wręczenie dyplomów nominowanym do Nagrody im. W. Szymborskiej 2024: Agacie Jabłońskiej, Marzannie Bogumile Kielar, Michałowi Sobolowi i Katarzynie Szwed, Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 7 lipca 2024

kuwa dziuplę lęgową / w pniu nocy – / pamięć, ciemnoskrzydła” czy kończących tom *Prusów*: „Słońce wypala nadjeziorną mgłę, / ostrzy rysie pazury słów, których nikt nie zapisał”. Dzięki wirtuozerskim, przejmującym *Wilkom* Marzanna Bogumiła Kielar utwierdza swą (zasłużenie) wysoką pozycję we współczesnej polskiej poezji, stając się jej klasykczką.

FUTUROLOGIA W WIEJSKICH DEKORACJACH

Michał Sobol jest poetą docenionym przez krytykę, laureatem ważnych nagród, ale wiedzą o tym tylko najzagorzalsi miłośnicy polskiej poezji. Co zresztą dotyczy wielu interesujących autorów i autorek publikujących książki regularnie, ale w niszowych oficynach (nomen omen od dekady wydawcą Sobola jest warszawska Nisza). Czytam zatem jego najnowszy, obszerny tom *Trasy przelotów*⁴ tak, jakbym odkrywała nieznaną ląd. Dziś poeci i poetki często układają zbiory na kształt poematów lub tematycznie i tak dzieje się również w precyzyjnie skomponowanej książce Sobola, której lejtmotywy są krótkie, bliskie haiku, gnomie i maksymie utwory z wyeksponowaną w tytule tomu inicjalną frazą: „pod trasą przelotów...”. Można byłoby z ich złożenia ze sobą stworzyć osobny poemat. Na analogicznym pomysłe oparty był tom *Pomarańcza Newtona* Ewy Lipskiej oraz ostatnie książki poetyckie Tomasza Różycykiego (w kontekście problematyki *Tras przelotów* zwłaszcza pastisz science fiction – *Kapitan X*). A nie są to jedyne echa zawartych w nich tradycji i kontekstów.

⁴ M. Sobol, *Trasy przelotów*, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2023.



Marek Napiórkowski i Danuta Stenka podczas Gali Nagrody im. W. Szymborskiej, Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, 7 lipca 2024

Poezja Sobola kojarzy się z zafascynowaną rozwojem nauk ścisłych i technologii Awangardą Krakowską (zwłaszcza twórczością Jana Brzękowskiego). Jednakże autor *Trasy przelotów* oryginalnie zestawia futurystyczne rekwizytorium późnej nowoczesności z realiami znanej mu od podszewki polskiej wsi. Leksemy i frazy wielu wierszy są zaczerpnięte z popularnych, transmiedialnych gatunków: dystopii, antyutopii, science fiction, cyberpunku i postapo. Poeta łączy je i przeplata (z) rodzajowymi obrazkami i anegdotami z życia rodziny oraz wiejskiej społeczności.

Bohater(k)ami utworów są także (parafrazując): „ubrane w białe pióra postacie, / posłowie podbitego królestwa” – przedstawiciele i przedstawicielki świata ożywionej i nieożywionej natury, zniewoleni współmieszkańcy i współmieszkancki planety Ziemia, nie mniej obcy i tajemniczy niż nawiedzający ludzkość (i wiersze Sobola) kosmici. „Nowe sytuacje, nowe orientacje” – śpiewał przed laty na punkową nutę Grzegorz Ciechowski – znajdują je w *Trasie przelotów* obok tropów znanych i oswojonych (także twórczości Wisławy Szymborskiej). Ponowoczesna sielanka, katastroficzno-metafizyczna futurologia w wiejskich dekoracjach, podobna daczce z *Solaris* Andrieja Tarkowskiego... I podziw dla kunsztu poety, tworzącego pomysłowe, zapadające w pamięć wiersze dosłownie z... wszystkiego/niczego (?) (kto nie wierzy, niech przeczyta liryk *Nowak*), celnie i zwięźle formułującego myśli, obserwacje, odkrycia oraz wizje za pomocą ekonomicznych figur języka.

DZIKI WSCHÓD

Jednym z kluczy do odczytania drugiego tomu Katarzyny Szwedy jest jego niecodzienny, obco brzmiący, choć przecież zrozumiały tytuł – *Zemla vulgaris*⁵. W wolnym tłumaczeniu

⁵ K. Szweda, *Zemla vulgaris*, seria Poezje 261, Biuro Literackie, Kolobrzeg 2023.

tego łemkowsko-łacińskiego frazeologizmu byłaby to „ziemia pospolita/zwykła” – synonim ojcowizny i małej ojczyzny, ale też ziemi rolnej, której posiadanie było przez wieki przedmiotem pożądania („głodem ziemi”) i wyżej niż ludzkie (zwłaszcza kobiece) istnienie cenionym bogactwem chłopstwa. Autorka poruszy w swym tomiku wszystkie te tematy, odbywa w nim bowiem głębinowe, tożsamościowe podróże: na wieloznaczny Wschód (świata, Europy, Polski – np. liryk *Eastern*), w wojenną i tużpowojenną przeszłość, w czasy PRL-u i ostatnie trzy dekady po ustrojowej transformacji, a także zapisane w genach i ciele dziedzictwo pokoleń łemkowskich chłopek.

Szweda podąża też ku fundamentom kultury europejskiej i ambiwalentnie w jej utworach nacechowanemu królestwu natury. Przez jej drugą książkę poetycką przewijają się łacińskie nazwy pospolitych roślin (odmian paproci i roślin stosowanych w medycynie ludowej) oraz kobiecych genitaliów, a także imiona greckich nimf i najad. W iście Bachelardowskim zbiorze królują bowiem żywioły żeńskie – ziemia i woda.

Chłopskie persony wierszy (zwłaszcza te dominujące – wspólnotowe głosy kobiece) są konsekwentnie zoomorfizowane. To być może echo uwewnętrznionych przez nie wieków pańszczyzny, nie-ludzkiego traktowania przez panów, uzasadniających je mitycznych opowieści, oraz wspomnianej, wiejskiej hierarchii wartości, w której zwierzęta – szczególnie „życiodajne” krowy, owce i konie – były cenniejsze od najniżej w wiejskiej społeczności usytuowanych, łatwo „wymienialnych” słabszych: dzieci, kobiet, starych ludzi. W wierszu *Małopolaki* poetka prezentuje mieszaną narodowościowo społeczność, z której się wywodzi, używając do jej metaforycznego określenia nazwy rasy polskich koni.

Autorka kreuje (odtworza) swą złożoną, artystyczną tożsamość utworami budowanymi z różnych rejestrów językowych: polszczyzny literackiej (mowy poetyckiej), łemkowskich przyspiewek i mikrotoponimów, ludowych przysłów, potocznych „mądrości”, kolokwializmów, łaciny (tej właściwej i wulgaryzmów), nasyczonej anglicyzmami popkultury oraz urzędowej nowomowy. W finale tomu – liryku *Mantra* – wyraziście, wspierając się wulgaryzmem, podkreśla powracającą w *Zemli vulgaris* figurę obcej/obcego polskiemu kanonowi prostaczki/prostaka – nie-polskiej/polskiego kulturowo, religijnie i językowo:

powtarzali to w koło jak mantrę że wschód nie może być dziki
 że wiocha z ciebie że ty z tej wiochy możesz
 a ona z ciebie za chuja

[...] nie wylezie.

Katarzyny Szwedę Keatsowskie bycie „na dorobku”, „trwanie w continuum sprzeczności” stanowi nowy, silny, kobiecy głos młodej polskiej poezji. Wiersze z *Zemli vulgaris* ilustrują wiele aktualnych, kulturowych trendów i mód – jak zwrot plebejski, nowa literatura tematu wiejskiego, dyskurs prowincjonalny i pogranicza kultur, ekokrytyka, somapoetyka i postfeminizm. Ale siłą liryki Szwedę jest działanie poza *ratio* – poetka szuka i znajduje słowa dla wyrażenia doświadczeń, odczuć i emocji skrytych głęboko w soma i psyche, słabo- i niewyraźalnych.

Magdalena Rabizo-Birek

AUTORZY „FRAZY” ZAPROSILI NAS, PUBLIKACJE NADESŁANE, KOMUNIKATY

JAROSŁAW ANDERS

Ur. w 1950 w Warszawie, tłumacz, dziennikarz i krytyk literacki. Do roku 1981 pracował w redakcji „Literatury na Świecie”, w Stanach Zjednoczonych w redakcji „Głosu Ameryki” i Departamencie Stanu USA. Pisywał m.in. innymi do czasopism: „The New York Review of Books”, „The New Republic”, „Los Angeles Times Book Review”, „The Times Literary Supplement” oraz kwartalnika „Liberties”, a w Polsce do „Literatury na Świecie” i „Odry”. Jest autorem zbioru esejów o literaturze polskiej *Between Fire and Sleep* (Yale University Press, 2009). Mieszka w Waszyngtonie.

UŁADZIMIR ARŁOU

Ur. w 1952 w Połocku, białoruski poeta, historyk i prozaik. Po studiach na wydziale historii uniwersytetu w Mińsku pracował jako nauczyciel i dziennikarz w Nowopołocku. Od 1988 współpracował z wydawnictwem „Mastackaja litaratura”, wtedy też wstąpił do Białoruskiego Frontu Ludowego. W 1996 zwolniony z pracy w wydawnictwie za „wydawanie wątpliwej jakości literatury historycznej i innej”, wspierał w wyborach prezydenckich kandydatów demokratycznych. W 2007 jego utwory zostały usunięte z programu szkolnego. Aktywnie działał w białoruskim PEN Clubie i w niezależnym Związku Pisarzy Białoruskich. Opublikował ponad 20 tomów prozy i kilka zbiorów poezji. W 2018 za książkę *Tańce nad miastem* otrzymał nagrodę im. Jerzego Giedroycia. Jego utwory tłumaczono na wiele języków. Po polsku ukazały się: dwa wybory opowiadań *Requiem dla piły motorowej* (2000, tłumacze różni), *Kochanek jej wysokości* (2006, tłumacze różni), oraz tomy wierszy *Prom przez Kanał la Manche* w przekładzie Adama Pomorskiego (2009), uhonorowany nagrodą Europejski Poeta Wolności (2010), ballady *Porucznik Piatrowicz i chorągwy Duch* (2018) i *Na brzegu innego czasu* (2024) w przekładzie Bohdana Zadury. Od wyjazdu z Białorusi mieszka w Polsce.

ALHIERD BACHAREWICZ

Ur. w 1975 w Mińsku, białoruski prozaik i poeta. Po studiach (Białoruski Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny im. Maksyma Tanka) pracował jako nauczyciel i dziennikarz. W 2007 wyjechał do Niemiec. Zadebiutował w 2002 książką *Praktyczny poradnik rujnowania miast*, wydał także m.in.: *Barwy naturalne* (2003), *Żadnej litości dla Walentyny H.* (2006), *Przekłeci goście stolicy* (2008), *Sroka na szubienicy* (2009, wyd. polskie w przekładzie Igora i Jana Maksymiuków 2021, finał nagrody Angelus), *Mały leksykon medyczny według Bacharewicza* (2011, wyd. polskie w przekładzie Miry Łukszy 2017), *Szabany. Opowieść o znikaniu* (2012), *Dzieci Alindarki* (2014), *Biała mucha, zabójczyni mężczyźni* (2015), *Psy Europy* (2017), *Ostatnia książka pana A.* (2020). Utwory Bacharewicza były tłumaczone na wiele języków. W Polsce ukazał się też dwujęzyczny, polsko-białoruski wybór jego opowiadań *Talent do jankania się* w przekładzie Katarzyny Bortnowskiej, Katarzyny Kwiatkowskiej i Maryi Łucewicz-Napałkow (2008). Jego powieści *Psy Europy* i *Ostatnia książka pana A.* w roku 2022 i 2023 trafiły na białoruską, urzędową listę tzw.

materiałów ekstremistycznych. Od 2020 mieszkał z żoną Julią Cimafilejową w Grazu, aktualnie mieszka w Hamburgu. Czterokrotnie laureat Nagrody im. Giedroycia oraz laureat niemieckiej Nagrody Erwina Piscatora. W 2023 uhonorowany Orderem Pogoni – najwyższym odznaczeniem rządu Białorusi na uchodźstwie. Opowiadanie drukowane we „Frazie” pochodzi z nowego tomu *Przeszukanie w muzeum*, który ukaże się po polsku nakładem Warsztatów Kultury w 2025 roku.

KS. PAWEŁ BATORY

Ur. w 1979, pochodzi z Gorlic. Historyk sztuki, doktor nauk o sztuce, dyrektor Muzeum Diecezjalnego w Rzeszowie i Diecezjalny Konserwator Zabytków, wykładowca historii sztuki w Instytucie Sztuk Pięknych Uniwersytetu Rzeszowskiego, ksiądz diecezji rzeszowskiej. Interesuje się sztukami wizualnymi, filmem i literaturą. Autor monografii *Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie – 25 lat* (2023).

JAN BELCIK

Ur. w 1960 w Dukli. Poeta, krytyk. Opublikował tomy poezji: *W cieniu Cergowej* (1989), *Fotografie (nie)przypadkowe* (1995), *Incognito* (2001), *Inne cienie* (2009), *Drugi brzeg* (2013), *Cienie Getsemani* (Biblioteka „Frazy” 2017), *Jeszcze inne cienie* (2022). Jego wiersze znalazły się w dwujęzycznej, polsko-węgierskiej antologii *Złoto aszu* (2003). Współautor z Markiem Petrykowskim i Waławem Turkiem *Antologii Krosno i okolice* (2019). Jest laureatem ogólnopolskich konkursów literackich. Prezentował swoją twórczość poetycką i krytycznoliteracką na łamach pism ogólnopolskich i lokalnych (m.in. „Gazeta Wyborcza”, „Fraza”, „Nasz Dom Rzeszów” „Odra”, „Topos”, „Twórczość”) oraz na antenie Polskiego Radia i Telewizji Polskiej. Laureat Nagrody Miasta Krosna (2019). Jego wiersze przetłumaczono na język węgierski, słowacki i serbski. Mieszka w Krośnie.

URSZULA M. BENKA

Ur. w 1953 we Wrocławiu, gdzie aktualnie mieszka. Poetka, autorka opowiadań, eseistka, krytyczka sztuki, znawczyni mitów. Studiowała psychologię i filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie w 1992 uzyskała tytuł doktora nauk humanistycznych na podstawie pracy *Charyzma władania, święty mord. Analiza symboliki i semantyki mitycznej w twórczości Henryka Sienkiewicza*. W latach 1983–1986 przebywała we Francji, później w USA, w 1991 wróciła do Polski. Pokoleniowo związana z Nową Prywatnością. Zadebiutowała w 1977 w serii „Pokolenie które wstępuje” tomem *Chronomea* (Medal S. Grochowiaka). W kolejnych latach opublikowała tomy wierszy: *Dziwna rozkosz* (1978), *Nic, Perwersyjne dziewczynki* (oba w 1984), *Ta mała Tabu* (1991), *Córka nocy* (1995), *Kielich Orfeusza* (2003), *Lanckorońsko* (2013), *Pasja Jezusa z Nazaretu* (2017), *Melodia opętania* (2022), tom opowiadań *O* (1999) oraz esej *Psychomitol polityka* (2004). W języku niemieckim ukazał się wybór jej prozy i poezji *Die Bestie und die Seele. Prosastücke und Gedichte* w przekładach Bettiny Eberspächer i Karla Dedeciusa (1997). Publikowała w wielu czasopismach, m.in. w „Akcencie”, „Formacie”, „Odrze”, „Ricie Baum”, „Stronach”, „Zeszytach Literackich”. Była redaktorką czasopism „Format” i „Metafora”. Jest redaktorką wrocławskiego czasopisma literacko-artystycznego „Format Literacki”. Jej utwory zamieszczono we wszystkich ważniejszych zagranicznych antologiach literatury polskiej, w tym monumentalnej antologii Karla Dedeciusa. Kilkakrotnie wyróżniona przez Fundację Kultury (proza i eseje), nagradzana stypendiami we Francji i Niemczech.

KRZYSZTOF BIELEŃ

Ur. w 1967 w Kolbuszowej. Poeta. Studiował slawistykę. Laureat wielu konkursów poetyckich, m.in. II Nagrody w X OKP im. K. Baczyńskiego w Łodzi (2001) i I Nagrody IX Tyskiej Zimy Poetyckiej (2009). Opublikował tomiki: *Roztwór nasycony* (2004, III Nagroda w I Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Złoty Środek Poezji”, Kutno 2005); *Wiciokrzew przewiercień* (2009); *Błystki wahadłowe* (2015); *Pył zawieszony* (2017) i *Rysy i wyglądy* (2018) (trzy ostatnie wydane przez wydawnictwo MaMiKo w Nowej Rudzie).

ROBERT BRINGHURST

Ur. w 1946. Jeden z najciekawszych współczesnych kanadyjskich poetów i eseiistów, tłumacz, przede wszystkim z rdzennego języka Haida, typograf, wykładowca akademicki. Prywatnie mąż wybitnej kanadyjskiej poetki Jan Zwicky. Mieszka na wyspie Quadra na Morzu Salish,

w zachodnio-północnej części Brytyjskiej Kolumbii. Na polski kilka jego wierszy przełożył Bogdan Czaykowski.

KAROLINA CHYŁA

Ukończyła studia polonistyczne (specjalność retoryka stosowana) na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Interesuje się różnymi obiegami literatury i kultury drugiej połowy XIX i początku XX wieku, kulturowymi reprezentacjami kobiet, literaturą dokumentu osobistego, problematyką żydowską, folklorem pieśniowym i bajkowym. Pracuje nad rozprawą doktorską o Stefanie Żeromskim jako twórcy nowoczesnych mitów. Laureatka III nagrody w piątej edycji Konkursu im. Tymoteusza Karpowicza na recenzję literacką (2023).

JULIA CIMAFIEJEW

Ur. w 1982 na Ziemi Brahińskiej, białoruska poetka, tłumaczka, współzałożycielka i redaktorka internetowego magazynu literackiego „PrajdziSvet” (prajdzisvet.org). Zwycięzczyni konkursu dla młodych autorów „Exlibris”, organizowanego przez Związek Pisarzy Białoruskich. Jej książka *Księga błędów* (2014) znalazła się na krótkiej liście nagród literackich „Debiut”, Laureatka też nagrody (wraz z Hanną Komar i Natalią Binkiewicz z Lublina ukazały się jej książki *Cyrk i inne wiersze* (2018) oraz *Autoportret w postaci pestki awokado* w tłumaczeniach Bohdana Zadury.

ADAM CZERNIAWSKI

Ur. w 1934 w Warszawie, zmarł 29 lutego 2024 w Monmouth w Walii. Polski poeta i prozaik, tłumacz, polsko-angielski krytyk i eseista. Wojnę spędził w Polsce i na Bliskim Wschodzie, po wojnie zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Studiował anglistykę w King's College na Uniwersytecie Londyńskim, oraz filozofię na uniwersytetach w Londynie, Sussex i Oxfordzie. Był członkiem redakcji „Merkurium Polskiego” oraz „Kontynentów” (redaktor naczelny w 1959). Wydał jedenaście zbiorów wierszy i dwa tomy poezji w języku angielskim w przekładzie na język angielski Iaina Higginsa. Opublikował także cztery tomy opowiadań, pięć zbiorów esejów (w tym *Firing Canon. Essays mainly on Poetry*, London 2010), oraz w języku angielskim i polskim autobiografię *Fragments niespokojnego dzieciństwa* (1995,). Jego obszerny dorobek przekładowy na język angielski obejmuje tomy wierszy i dramaty: Tadeusza Różewicza, Zdzisława Leona Stroińskiego, Leopolda Staffa, Wisławy Szymborskiej, Cypriana Norwida, Jana Kochanowskiego *Treny* (Katowice, 1996; Oxford, 2001), oraz prace filozoficzne Władysława Tatarkiewiczza, Romana Ingardena, Leszka Kołakowskiego i Krzysztofa Michalskiego. Redaktor antologii poezji grupy Kontynenty *Ryby na piasku* (Londyn, 1965), poezji polskiej w przekładzie na angielski (*The Burning Forest*, Newcastle, 1988; *Moved by the Spirit. An Anthology of Polish Religious Poetry*, Belfast 2010), oraz szkiców krytycznych o poezji polskiej *The Mature Laurel* (Bridgend, 1991). W 2006 w serii Biblioteka „Frazy” ukazał się tom jego rozmów z Bogdanem Czaykowskim *O poezji, nostalgii, krytyce i kryteriach rozmawiają...*, w roku 2007 – wybór esejów o poezji *Wysspy szczęśliwe*, w 2011 *Sąd Ostateczny. Wiersze wybrane*. W ostatnich latach życia opublikował w wydawnictwie Norbertinum w Lublinie: opowiadania *Gry i zabawy (Sports et divertissement)* (2013), *Poezje zebrane i zapiski Wielopis wielopolis* (2014), przygotował do druku poszerzone wydanie *Fragmentów niespokojnego dzieciństwa*.

JULIA FILIP

Ur. w roku 2000 w Rzeszowie. Absolwentka kierunku filologia polska, specjalność edytorstwo filologii polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego (2024). Pasjonuje się literaturą kryminalną oraz fantastyczną. Chciałaby w przyszłości zajmować się redakcją tekstów i pisarstwem.

FRYDERYK HUNIA

Ur. w 1948. Studiował na Wydziale Malarstwa i Grafiki ASP w Krakowie (dyplom w pracowni prof. Czesława Rzepińskiego) oraz przez trzy lata na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się malarstwem sztalugowym i projektowaniem witraży, pisze wiersze i eseje na temat sztuki, mistyki, duchowości orientalnej. Te ostatnie publikował m.in. w „Znaku”, „Twórczości”, „Czasie Kultury”, „Albo Albo”, „Frazie”. Mieszka w Krakowie.

JACK KEROUAC

(1922–1969). Prozaik i poeta amerykański, jeden z inicjatorów i przywódców pokolenia bitników. Absolwent Columbia University, uczestnik II wojny światowej. Autor ponad dwudziestu powieści. Debiutował książką *The Town and the City* (1950). W Polsce znany z kilku powieści, w tym z najsłynniejszej *W drodze* (*On the Road*, 1957).

HANNA KOMAR

Ur. w 1989 w Baranowiczach, białoruska poetka i tłumaczka (głównie z angielskiego i norweskiego). Z wykształcenia lingwistka. Debiutowała książką *Lęk wysokości* (2016). Tytułowy wiersz przyniósł jej nagrodę za najlepszy utwór kobiecy na Open Eurasian Literature Festival & Book Forum w 2017 w Sztokholmie. Autorka tomów poezji: *Recycled* (2018), *Wrócimy* (2022), *Uwolnij się albo uciekaj* (2023), *Ribwort* (2023) oraz dokumentalnej prozy *Kiedy wyjdę na wolność* (2024). Za przekład wierszy Charlesa Bukowskiego otrzymała (z Julią Cimańcijewą i Natalią Binkiewiczą) nagrodę „Debiut” białoruskiego PENClubu (2018). Jej utwory tłumaczone były na wiele języków europejskich, na angielski tłumaczy je sama. Była stypendystką rezydencji pisarskich w Wilnie i Visby, uczestniczką letniej szkoły przekłady artystycznego w Norwiche. Wśród festiwalu literackich, w których brała udział, jest lubelski Czas Poetów (2019). Po studiach w Mińsku ukończyła studia na Uniwersytecie Westminsterskim, które kontynuuje w Brighton. Jednym z głównych motywów jej twórczości są wyniesione z dzieciństwa traumy, przemoc domowa i państwa, której sama doświadczyła. Po opuszczeniu białoruskiego więzienia wyjechała do Londynu. Związek Pisarzy Norweskich uhonorował ją (wraz z Dmytrym Stroccewem) Nagrodą za Wolność Słowa (2020). Jest honorową członkinią angielskiego PEN Clubu.

JANUSZ KORYL

Ur. w 1962. Mieszka i pracuje w Rzeszowie. Poeta i prozaik. Autor kilkunastu zbiorów wierszy (m.in. *Dyktando, Mieszkam w sercu ptaka, Kłopoty z nicością, Daleko i blisko, Do czego służy niebo, Siatka na motyle, Spacer po linie*). Biblioteka „Frazy” 2006; *Dzwonek na przerwę, Porachunki, 30 przedmiotów niecodziennego użytku, Wypożyczalnia latających dywanów* (2023) powieści: *Zegary idą do nieba, Śmierć nosorożca, Sny, Ceremonia, Układ, Urojenie, Pióro anioła, Ballada o zegarze z ratuszowej wieży*) oraz zbioru opowiadań *Sprzedawca obłoków*. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów literackich.

MACIEJ F. KUBIAK

Filolog, nauczyciel, badacz niezależny, tłumacz. Autor licznych prac poświęconych kulturze popularnej, muzyce metalowej i poważnej, genealogii oraz twórczości Stanisława Staszewskiego. Mieszka na stałe w Berlinie, tworzy i publikuje w językach polskim i niemieckim. Badacz kultury muzycznej polskiego bigbitu ze szczególnym uwzględnieniem twórczości zespołu Niebiesko-Czarni.

MAREK KUSIBA

Ur. w 1951 w Krośnie. Poeta, reportażysta, dziennikarz, krytyk literacki, tłumacz, wydawca, wykładowca akademicki, pilot miękkołpątów, instruktor narciarski. Ukończył filologię polską na UMCS w Lublinie. Od 1984 przebywa na emigracji w Kanadzie. W Polsce pracował m.in. w ogólnopolskim miesięczniku „Kontrasty” w Białymstoku, w Kanadzie m.in. w „Books in Canada” (z-ca red. nac.), tygodniku „Związkowiec” i „Dzienniku”. W nowojorskim „Przeglądzie Polskim” (tygodniowy dodatek kulturalny do „Nowego Dziennika”) pisał stały felieton *Żabką przez Atlantyk*. Ostatnio wydał opowieść biograficzną *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska* (Kraków 2018); przetłumaczył także na angielski (wraz z Dianą Kuprel) wiersze reportera – ukazywały się w tomach *I Wrote Stone. The Selected Poetry of Ryszard Kapuściński* (Emeryville, Ontario 2007) oraz w dwujęzycznej edycji *Wiersze zebrane / Collected Poems* (Lublin-Toronto 2012). Jest autorem zbiorów poezji: *Tratwa* (1976), *Wszystkie działa na mnie* (1983), *Samobój-*

stwo Marsjan (1987), *Rozwiązać siebie* (1995), *Inne powody* (Biblioteka „Frazy” 2005), *Admiral Road* (2006), *Allassio* (2011). Wydał tomy felietonów *Podręcznik do kobiet. 100 felietonów (niemal) feministycznych* (2011) i *Cymbał w świecie. Felietony flâneura* (2012), biograficę w języku angielskim *Janusz Żurkowski: From Avro Arrow to Arrow Drive* (2003) oraz dwie sztuki: *Eksmisja* (współautor J. Muszyński, 1983) i *Próba Atmy. Rzecz o Szymanowskim* (premiera: Montreal 1989). W roku akademickim 2004/2005 wykładał dziennikarstwo w Wyższej Szkole Komunikowania i Mediów Społecznych im. J. Giedroycia w Warszawie, gdzie założył Instytut Badań i Dokumentowania Emigracji/Migracji (IBiDEM). W 2007 wraz z Franciszkiem Piątkowskim zainicjował Wakacyjną Akademię Reportażu im. R. Kapuścińskiego w Siemnicy Różanej. Jest przewodniczącym zarządu Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz kanadyjskiego PEN Club. Mieszka w Mississaudze (część metropolii Toronto) z żoną Barbarą oraz synami Matuszem i Mikołajem.

ANDRZEJ LAM

Ur. w 1929 w Grudziądzu. Historyk i teoretyk literatury, krytyk literacki, tłumacz. Emerytowany profesor Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1962–1966 redaktor naczelny „Współczesności”, pracował także w „Miesięczniku Literackim”, a w latach 1979–1984 był redaktorem naczelnym „Rocznika Literackiego”. W latach 1985–2009 przewodniczył jury Warszawskiej Premiery Literackiej. Zajmował się zagadnieniami poezji awangardowej (*Polska awangarda poetycka*, t. 1–2, 1969; *Z teorii i praktyki awangardyzmu*, 1976). Ogłosił tomy szkiców *Pamiętnik krytyczny* (1970), *Lupus in fabula* (1988), *Inne widzenie. Studia o poezji polskiej i niemieckiej* (2001), *Poznać to, co mówimy. Prace filologiczne i wspomnienia* (2009). Autor antologii: *Opisanie z pamięci. Antologia londyńskiej grupy „Kontynentów”* (1965), *Kolumbowie i współczesni. Antologia poezji polskiej po r. 1939* (1972, 1976), *Ze struny na strunę. Wiersze poetów Polski Odrodzonej (1918–1979)* (1980), *Ciemne źródła. Niemiecka poezja klasyczna. Antologia prywatna* (we własnym wyborze i przekładach, 2017). Wydawca dzieł Wacława Sieroszewskiego, *Pism Karola Irzykowskiego*, wspomnień Stanisława Lama. Tłumacz Horaccego (*Dziela wszystkie*, 1992, 1996), dzieł średniowiecznej literatury niemieckiej (*Pieśń o Nibelungach* i wszystkie utwory Wolframa von Eschenbacha), poezji Hölderlina, utworów Aniola Słazaka, J.V. Eichendorfa, i J.W. Goethego oraz wierszy niemieckich ekspresjonistów: G. Trakla (*Wiersze zebrane; Wiersze z rękopisów*), E. Mörikego, G. Heyma (*Armada nocy*), E. Stadlera. Mieszka w Warszawie.

UŁADZIMIR LANKIEWICZ

Ur. w 1987 w Mińsku, białoruski poeta, tłumacz, muzyk zespołów Syndrom Samożwańca i luty sakawik, śpiewający też własne wiersze. Absolwent Wydziału Filologicznego Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego oraz Kolegium Białoruskiego. Jeden z założycieli i członek rady redakcyjnej internetowego magazynu literatury tłumaczonej „Prajdzisvet” (prajdzisvet.org). Finalista konkursów literackich organizowanych przez białoruski PEN Center (2004, 2009 i 2011). Publikował w antologiach: *Формула кахання (Formuła miłości)*, (2005), *Святая праўда ды іншыя казкі (Święta prawda i inne bajki)*, (2009), *Птушкі лёгкіх паводзіна (Ptaki lekkie prowadzenia)*, (2013), oraz w czasopiśmie „Dziejaslou”. Autor tomiku poetyckiego *70% вады (70% wody)*, (2013), uhonorowanego nagrodą „Debiut” im. Maksima Bogdanowicza. Jego wiersze tłumaczono na języki: angielski, ukraiński, litewski, szwedzki, włoski i rosyjski. Przetłumaczył na język białoruski *Piotruski Pana* Matthew Barry’ego i *Zimowlę* Dominiki Słowik (2021). Jego przekłady znalazły się też w wyborach wierszy Williama Blake’a (2019), Guillaume’a Apollinaire’a (2016) i Włodzimierza Majakowskiego (2019), wydanych w serii „Pocci planety”. Podczas protestów w 2020 roku dwukrotnie aresztowany (spędził w więzieniu 21 dni). W 2023 wskutek ciągłych represji w ojczyźnie wyjechał z Białorusi do Polski. Stypendysta Gaudē Polonia 2024.

JACEK LECH

Ur. w 1984 w Gorlicach. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Literaturoznawca, animator kultury, bloger książkowy. Pracuje jako bibliotekarz. Jego praca magisterska dotyczyła związku mitu lucyferycznego z mistyką genezyjską w *Samuelu Zborowskim* Juliusza Słowackiego, a doktorat na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Rzeszowskiego (2017) formalno-tematycznych modyfikacji obecnych w twórczości prozatorskiej Andrzeja Stasiuka w latach

1992–2010. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się na ponowoczesnych aspektach polskiej prozy po 1989 roku. Szkice i recenzje publikował w monografiach zbiorowych i w czasopiśmie (m.in. kilkakrotnie w „Frazie”).

KRYSTYNA LENKOWSKA

Poetka, prozaiczka, tłumaczka, krytyczka, animatorka życia literackiego. Opublikowała czternaście tomów poezji, m.in. *Tato i inne miejsca* (2010), *Kry i wyspy* (2013), *Zaległy list do przyszłego anioła / An Overdue Letter to a Pimple Angel* (przeł. Ewa Hryniewicz-Yarbrough, 2014), *Troska / Typóma* (przeł. na j. ukraiński Oleksandr Gordon, 2014), *Carte Orange* (przeł. na j. francuski Karol Wojewoda, 2017), *Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)* (2020), *Balkon* (2021), *Ono morze / Él el mar* (przeł. na język hiszpański Xavier Farré, 2023). Wiersze, prozę, tłumaczenia, eseje, noty i wywiady publikowała w pismach literackich w Polsce (m.in. w „Akcencie”, „Frazie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Pracowni”, „Toposie”, „Twórczości”, „Tyglu Kultury”, „Zeszytach Literackich”), w USA, w tłumaczeniu E. Hryniewicz-Yarbrough (m.in. „Absinthe”, „Boulevard”, „Chelsea”, „Confrontation”), Ukrainie, Rumunii i Czechach. Jest członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W 2016 zadebiutowała tomem prozy *Babeliada* wydanym w serii Biblioteka „Frazy”. W 2018 ukazał się w wydawnictwie Officyna w jej przekładzie tom Emily Dickinson *Jest piewnik ukos światła. Poezje wybrane*. Jest członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (SPP), Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury (STL) oraz ZAiKS. Mieszka w Rzeszowie.

MAREK ROMAN LIPIŃSKI

Ur. w 1947 w Warszawie. Hydrobiolog i biolog morski, dr habilitowany, absolwent biologii na Uniwersytecie Warszawskim, studiował także japonistykę. Miłośnik polskiej literatury. Pracował w redakcji miesięcznika „Morze” (1970–1971), a także jako pracownik naukowy Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni w latach 1970–1985. Po roku 1985 był zatrudniony na Wydziale Zoologii University of Cape Town (1985–1992); Sea Fisheries Research Institute (1992–2012); Rhodes University i South African Institute of Aquatic Biodiversity (od 2012). Jest autorem ponad dwustu artykułów naukowych oraz licznych artykułów popularnonaukowych i esejów. Organizator i kierownik ponad 20 rejsów badawczych na różnych statkach, głównie na Atlantyku. Współautor *Zoologii* pod redakcją Czesława Błaszaka (t. 1) i *Wielkiej Encyklopedii Gór i Alpinizmu* (t. 5: *Afryka*; t. 6: *Ludzie Gór*). Opublikował książki: *Haiku; Człowieku co chciałbyś wiedzieć? (Testament biologa z dodatkiem esejów o literaturze polskiej i japońskiej); What would you like to know?* (anglojęzyczna wersja *Testamentu biologa*), które zostały wydane w 2019 r. przez Bogucki Wydawnictwo Naukowe w Poznaniu.

ADAM LIZAKOWSKI

Ur. w 1956 w Dzierżoniowie. Mieszkał i pracował w Pieszczykach na Dolnym Śląsku, od 1981 w USA, w 2016 powrócił do Polski. Poeta, prozaik, tłumacz. Laureat Międzynarodowej Nagrody Fundacji Turzańskich (Kanada, 2000), Award World Poetry Day UNESCO (2008), Elma Stuckey Poetry Award (2010). Studiował w Columbia College Chicago na kierunku *creative writing* oraz w chicagowskim Northwestern University. Jest członkiem redakcji kwartalnika „TriQuarterly Online” wydawanego przez ten uniwersytet. Opublikował w języku polskim i angielskim ponad 20 tomów poetyckich. Ostatnio tomy *Gdybym twą miłość miał Ameryko! Wybór wierszy* (Literary Waves, Londyn 2022) oraz *Pieszycka księga umarłych* (SPP, Oddział Warszawa 2022). Przekładał na polski utwory: Walta Whitmana, W.C. Williamsa, Carla Sandburga, Allena Ginsberga, Langstona Hughesa, Boba Dylana, a także Lao Tsy i Rumiego (z języka angielskiego). W serii Biblioteka „Frazy” ukazały się jego prozatorskie *Zapiski z nad Zatoki San Francisco* (2004). Jest także autorem sztuk teatralnych. Odznaczony m.in. Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). W 2024 opublikował książkę *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (Bibliotheca Bielviana, Wydawnictwo Miejskiej Biblioteki Publicznej w Biławicy) oraz album *Czesław Miłosz w Ameryce* (Książnica Podlaska, Białystok 2024). Wystawa *Czesław Miłosz w Kalifornii w fotografiach Adama Lizakowskiego* była w roku 2024 prezentowana na we Wrocławiu, Warszawie, Rzeszowie. Pisarz mieszka z żoną i córką w Świdnicy.

WASYL MACHNO

Ur. w 1964. Ukraiński pisarz i tłumacz. Przed wyjazdem do Nowego Jorku (2001) mieszkał w Tarnopolu, gdzie pracował na tamtejszym uniwersytecie, w którym wcześniej studiował i gdzie obronił doktorat o poezji Bohdana Antonycza. Autor zbiorów wierszy: *Schizma* (1993), *Samotność Cezara* (1994), *Księga pagórków i godzin* (1996), *Lutowe elegie* (1998), *Płetwa ryby* (2002), *Cornelia Street Cafe* (2007), *Zimowe listy* (2011), *Chcę być jazzem i rock’rollem* (Wybrane wiersze o Tarnopolu i Nowym Jorku) (2013), *Rower* (2015), *Wiersze jerozolimskie* (2016), *Papierowy most* (2017), *Poeta, ocean i ryba* (2019); książek escystycznych: *Park kultury i wypoczynku im. Gertrudy Stein* (2006), *Toczyła się torba* (2011), *Rowerem wzdłuż oceanu* (2020), tomów opowiadań i esejów *Dom w Baiting Hollow* (2015), *Przedmieścia i pogranicza* (2019) oraz powieści *Kalendarz wieczności* (pierwsza laureatka nowej nagrody „Encounter”, 2020), która ukazała się w Polsce w przekładzie Bohdana Zadury (2021). Autor dwóch sztuk teatralnych *Coney Island* (2006) i *Bitch/beach Generation* (2007). Opublikował także autorską antologię nowej poezji ukraińskiej lat dziewięćdziesiątych *Imiennik*, wybór wierszy Zbigniewa Herberta *Struna światła* (1998) i dwujęzyczny tom poezji Janusza Szubera *Spijmanyj u siu’ / Żlowiony w siéc* (2008). Tłumaczył na ukraiński wiersze: Gottfrieda Benn’a, Józefa Łobodowskiego, Czesława Miłosza, Vasko Popy, Jean Valentine, Sandu Davida, Bohdana Zadury. Jego utwory przetłumaczono na dwadzieścia pięć języków, a książki ukazały się w Izraelu, Niemczech, Rumunii, Serbii i USA. W Polsce opublikował: wybór wierszy *Wędrowcy* (2003) oraz w tłumaczeniu Zadury: *34 wiersze o Nowym Jorku i nie tylko* (2006), dwujęzyczny wybór wierszy *Nitka* (2011), *Wiersze jerozolimskie i 16 innych wierszy, Psalmi* (2022), autobiograficzną sylwę *Dubno, koło Leżajska* (2012), tom opowiadań *Listy i powietrze* (2015), eseje *Express „Wenecja”* (2016). W roku 2024 na 60. urodziny pisarza w wydawnictwie Starego Lwa we Lwowie ukazały się dwa tomy jego pism zebranych – poezji *Схизма (Schizma)* i prozy *Куря не літають (Kury nie latają)*.

KAZIMIERZ MACIĄG

Ur. w 1965 r. Dr hab., prof. w Zakładzie Literatury i Kultury XIX Wieku oraz Badań Mitoznawczych Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR, krytyk literacki, współpracownik „Frazy”. Opublikował książki: *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych”* (2001), *„Naczelny u nas jest artystą”. O legendzie Fryderyka Chopina w literaturze polskiej* (2010), *Sam jeden. Józef Mackiewicz – pisarz i publicysta* (2021). Współredaktor kilku tomów zbiorowych, m.in. *Poe-land. Studia i szkice* (2017). Mieszka w Borku Starym.

FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK

Ur. w 1948 w Kotlicach k. Zamościa. Jeden z najbardziej znanych współczesnych polskich malarzy, rysowników, grafików, ilustratorów. Ukończył liceum plastyczne w Zamościu oraz Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie (dyplom w pracowni grafiki pod kierunkiem prof. Juliana Pałki, 1974). Wykładał w katedrze Malarstwa i Rysunku na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Od 1970 tworzy ilustracje i grafiki. Współpracował z wieloma czasopismami, m.in. „Ty i Ja”, „Literaturą”, „Szpilkami”, „Polityką”, „Tygodnikiem Literackim”, „Gazeta Wyborczą” i „Rzeczpospolitą”. Jest autorem ilustracji m.in. do książki Jeremiego Przybory (*Kabaret jeszcze Starszych Panów*, 1980), Ryszarda Schuberta (*Panna Lilianka*, 1983), Roalda Dahla (*Wielkomilud*, 1991). Ilustrował książki Ireneusza Iredyńskiego, Edwarda Stachury, Marka Nowakowskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Krystyny Lenkowskiej. Hanny Krall, która sportretowała artystę w opowiadaniu *Malarnia z o.o.* Mieszka w Warszawie.

ANTONI MATUSZKIEWICZ

Ur. w 1945 we Lwowie. Poeta, prozaik, escista, tłumacz, animator życia kulturalnego na polsko-czeskim pograniczu. Od 1946 mieszka na Dolnym Śląsku. Ukończył historię na Uniwersytecie Wrocławskim i podyplomowe studia w zakresie muzealnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował m.in. w Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy i Muzeum Okręgowym w Wałbrzychu. W 1981 członek zarządu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Woj. Wałbrzyńskiego, organizator i redaktor naczelny pisma „Niezależne Słowo” (1980–1981 i 1989–1990). Internowany 13 grudnia 1981. W latach 80. zaangażowany w działalność Klubów Inteligencji Katolickiej oraz ruch *Communione e liberazione*, orga-

nizował poetyckie spektakle w świdnickich kościołach. Debiutował w 1972 w miesięczniku „Odra”. Jest autorem ponad trzydziestu książek poetyckich, prozatorskich, eseistycznych, wywiadu-rzeki z Andrzejem Szyszko-Bohuszem oraz redaktorem kilku regionalnych almanachów literackich. W 1996 zamieszkał na Zicmi Kłodzkiej (Stronie Śląskie, Stary Gierałtów), gdzie założył i redagował pismo Związku Gmin Śnieżnickich „Stronica Śnieżnicka” (1999–2000). Ostatnio opublikował tom wierszy *Wieszczyna i inne wiersze* (Dzierżoniów 2023). Członek założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek honorowy Polsko-Czeskiej Grupy Poeci ‘97, współorganizator festiwalu Den Poezie w czeskim Broumovie. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Wolności i Solidarności. Od 2008 mieszka w Martínkovicach koło Broumova w Czechach.

PIOTR MATYWIECKI

Ur. w 1943 w Warszawie, gdzie mieszka. Poeta, eseista, bibliotekarz (wiele lat pracował w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego). Związany z opozycją demokratyczną, współredagował pisma „Biuletyn Solidarności UW” i „Wezwanie”. Ostatnio opublikował zbiory wierszy: *Powietrze i czerń* (2009, nagroda Silesius za najlepszą książkę poetycką roku, 2010), *Zdarze okładki* (2009), *Widownia* (2012) oraz książki eseistyczne *Mysli do słów* (2013), *Świadomość* (2014). Za książkę *Kamień graniczny* (1994) otrzymał nagrodę polskiego PEN-Clubu, dwukrotnie nominowany do Nagrody Nike (za tom wierszy *Ta chmura powraca* (2006) i za monografię *Twarz Tuwima* (2008, Nagroda Literacka Gdynia w kategorii eseistyki 2008). W 2011 został laureatem nagrody „Kamień” Festiwalu Miasto Poezji w Lublinie. Jest także autorem dwutomowej antologii poezji polskiej *Od początku* (1997). W 2013 został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

WALŻYNA MORT

Ur. w 1981, białoruska i amerykańska poetka oraz tłumaczka. Ukończyła Państwowy Białoruski Uniwersytet Lingwistyczny. W Białorusi wyszedł jej debiutancki tomik *Я тоненькая як твае веўкі* (*Jestem cienka jak twoje rzęsy*) oraz wybór wierszy *Эпідэмія ружай* (*Epidemia róż*). W USA, gdzie mieszka od 2006 (w mieście Ithaca) i jest wykładowczynią na Cornell University, ukazały się tomy jej poezji: *Factory of Tears* (Fabryka łez), *Collected Body* (Ciało zebrane), *Music for the Dead and Resurrected* (Muzyka dla zmarłych i zmartwychwstałych). Ten ostatni uznany został przez „The New York Times” za jedną z najlepszych książek poetyckich roku, przyniósł też autorce najważniejszą kanadyjską nagrodę Griffin Poetry Prize. Poetka jest też laureatką Kryształu Wilenicy (2004). Była stypendystką programu Gaude Polonia (2005). Wybory jej wierszy ukazały się w Niemczech, Szwecji i Ukrainie.

RYSZARD MŚCISZ

Ur. w 1962. Pracował jako nauczyciel języka polskiego w Zespole Szkół w Jeżowem, gdzie mieszka. Krytyk literacki, publicysta, satyryk, poeta. Opublikował siedem tomów poezji: *Życie to tylko impresje* (2000), *Wibracje* (Biblioteka „Frazy” 2002), *Na strunach lat* (Biblioteka „Frazy” 2004), *Roześnienie* (2007), *Strumienie poezji* (2010), *Kołatanie od wrót nocy* (2019), *Zaraza. Dawka przypominająca* (Biblioteka „Frazy” 2022), zbiór felietonów satyrycznych *Zezem na świat* oraz tom prozy *Swojski diabeł i inne humoreski* (2012). Publikował w „Głosie Nauczycielskim”, „Twórczości” i w prasie lokalnej („Super Nowości”, „Gazeta Jeżowska”). Jest współautorem albumu *Jeżowe* (2004).

ANNA NASIŁOWSKA

Ur. w 1958, pisarka, krytyczka literacka, historyczka literatury. Prof. dr hab. w IBL PAN, od 1990 współredaguje „Teksty Drugie”. Opublikowała tomy prozy: *Miasta* (1993), *Domino. Traktat o narodzinach* (1995), *Księga początku* (2002), *Czteroletnia filozofka* (2004), z Elżbietą Lempką album *Wielka ciekawość* (Olszanica 2006) oraz ilustrowaną własnymi fotografiami *Wielką Wymianę Widoków* (Warszawa 2008), studia biograficzne: *Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir* (2006), *Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, czyli Lilka Kossak* (2010), *Wolny agent Umeda i druga Japonia* (2013), *Mroźce. Biografia* (2023, nominacja do nagrody Nike, 2024), opracowania historyczno-literackie: *Trzydziestolecie 1914–1944* (1995), *Literatura okresu przejściowego 1975–1996* (2006), *Historia literatury polskiej* (2019), powieści *Historie miłosne* (2009) i *Konik*,

szabelka (2011, nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia 2012), sylwę *Dyskont słów* (2016) oraz tomiki poezji: *Żywioły* (2014), *Ciemne przejścia* (2018), *Sztuczne światła* (2021). Prezeska Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członkini polskiego PEN Clubu. Mieszka w Warszawie.

WEŁADZIMIR NIAKLAJEŪ

Ur. w 1946 w Smorgoniach w obwodzie grodzieńskim, wybitny pisarz białoruski, poeta, prozaik, działacz na rzecz białoruskiej suwerenności, demokracji, kultury i języka. Pracował jako redaktor naczelny miesięcznika „Krynitsa” (Źródło) oraz tygodnika „Litaratura i Mastatstva” (Literatura i Sztuka). Kierował pracami Związku Literatów Białorusi oraz białoruskiego PEN Clubu. Z powodów politycznych musiał opuścić kraj, w latach 1999–2004 mieszkał w Helsinkach i Warszawie. W 2010 zainicjował kampanię polityczną „Mów prawdę!” i startował z jej ramienia w wyborach prezydenckich. Ciężko pobity w dniu wyborów przez funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa trafił do więzienia KGB, gdzie napisał *Listy do Wolności*, za które otrzymał nagrodę szwedzkiego PEN Clubu. Z powodu represji po protestach roku 2020 musiał ponownie opuścić Białoruś. Obecnie mieszka i pracuje w Polsce. Jego najnowsza powieść *Gay Ben Hinnom* to fantazja polityczna osnuta wokół śmierci w Moskwie w 1942 roku białoruskiego poety Janki Kupaly oraz schyłkowych lat ery brzeźniewowskiej. W przekładzie na polski ukazały się dwa tomy jego wierszy – *Początek gołębia* i *Sam* – oraz powieść *Automat z wodą gazowaną z syropem lub bez*, za którą w roku 2013 otrzymał literacką Nagrodę im. Jerzego Giedroycia.

FRYDERYK (FRIEDRICH) WILHELM NIETZSCHE

(1844–1900), niemiecki filozof, pisarz i poeta, z wykształcenia filolog klasyczny (w wieku 25 lat został profesorem filologii klasycznej uniwersytetu w Bazylei). Jeden z największych i najbardziej wpływowych filozofów XIX wieku, którego budzące liczne kontrowersje myśli, wyrażane często w formie fragmentów i aforyzmów, inspirowały kolejne pokolenia intelektualistów, myślicieli i pisarzy. Dramatyczne było jego życie osobiste naznaczone brakiem ojca, nadwrażliwością, postępującą chorobą psychiczną, która odgradziła go od świata, niecodwajemioną miłością do pisarki Lou Andreas-Salomé (autorki pierwszej monografii jego życia i twórczości). Filozoficzne pisma Nietzschego o wybitnych walorach literackich (uznawane są także za dzieła niemieckiej literatury) zostały w Polsce okresu Młodej Polski entuzjastycznie przyjęte. *Narodziny tragedii, czyli hellenizm i pesymizm*, *Niewczesne rozważania*, *Ludzkie*, *Arcyludzkie*, *Wędrowiec i jego cień*, *Jutrzenka*, *Wiedza radosna*, *Tako rzecze Zaratustra*, *Poza dobrem i złem*, *Z genealogii moralności*, *Zmierzch bożyszcz*, *Antychryst*, *Ecce Homo*, *Dyktamby dionizyjskie*, wydane pośmiertnie *Wola mocy*, *Pisma pozostałe* i *Listy* zostały przetłumaczone przez Wacława Berenta, Konrada Drzewieckiego, Leopolda Staffa i Stanisława Wyrzykowskiego, wydane w latach 1905–1912 w osobnej serii wydawnictwa Jakuba Mortkowicza. W okresie PRL pisma Nietzschego, pomawianego o inspirowanie ideologii faszystowskiej (koncepcja nadczłowieka, sympatie prohitlerowskie opiekującej się jego spuścizną siostry Elisabeth Förster-Nietzsche), nie były wznawiane (poza wyborem *Aforyzmy* w opracowaniu Stefana Lichańskiego, 1973). Ich reprints wydane staraniem Kolegium Otryckiego i Rady Naczelnej Stowarzyszenia Studentów Polskich, firmowane przez powstające wówczas wydawnictwo Universitas, ukazały się dopiero na przełomie lat 80. i 90. XX wieku.

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Ur. w 1948 w Rybnic w Kujawach. Emerytowany profesor Uniwersytetu Gdańskiego, historyk literatury, poeta, krytyk i eseista. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy, m.in.: *Miejsce na brzegu* (1975), *Stan skupienia* (1977), *Dotkliwa obecność* (1981), *Najbliższa dal* (1989), *Rękopis* (1993), *Z Księgi darów* (1997), *Znikliwa odwieczność* (1999), *12 wierszy* (2001), *Ziarno i wiatr* (2003), *Kamień dla utrudzonego* (2007), *Człowiek rośnie cicho* (2010, wybór wierszy z lat 1989–2009), *Okno od północy* (2012), *Przykładanie ręki* (2015, Nominacja do Nagrody Orfeusz 2016). W stanie wojennym był założycielem i redaktorem podziemnego czasopisma „Podpunkt”. W 1988 otrzymał nagrodę POLCUL Foundation „za pomnażanie polskiej kultury niezależnej”. W latach 1991–1992 pełnił funkcję prezesa Gdańskiego Oddziału SPP. Jest autorem książek naukowych i esejistycznych, m.in. *Ryzyko obecności. Doświadczenie biograficzne i powieść chłopaka* (1983), *Przestrzeń oczekiwania. Historia, natura, sacrum w współczesnej poezji polskiej* (1993), *Troska i czas. Szkice o poezji i przemijaniu* (2001), *Dobrze się spotkać. O esejach*,

listach i rozmowach z pisarzami (2008), *Przez Ojczyznę i dalej... Szkice o literaturze i wartościach* (Warszawa 2015), *Czułość i ślad. O tym, co kto pokochał* (2021). Interesują go związki literatury i malarstwa, opublikował antologię *Między słowem a światłem. Poezja a malarstwo współczesnych artystów Wybrzeża* (2006) oraz tom szkiców *Galeria. O wybranych malarzach i malarstwie współczesnym* (2008). Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi (2002) i Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2015).

SEBASTIAN ORSZULAK

Ur. w Krośnic w 1997. Dawny zawodnik sportowego tańca towarzyskiego, obecnie trener personalny, redaktor, absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego (2024). Interesuje się fantastyką, fantastyką naukową, postapokalipsą oraz *political fiction*.

JAKUB PACZEŚNIAK

Ur. w 1974, poeta, tłumacz, polonista i bohemista. Wydał arkusz poetycki *Ich pięć* (2000) oraz zbiory wierszy: *Własny rachunek* (2001), *w ciemności słowa* (2011) i *dno oka* (2019). Współtworzył *Flisz poetycki. Antologię Najazdu Awangardy na Rzeszów* (2022). Przetłumaczył z języka czeskiego m.in. prozę Bohumila Hrabala, a na potrzeby scen operowych, w tym Opery Narodowej – libretta i cykle pieśni do muzyki Antonína Dvořáka i Leoša Janáčka. Jego wiersze tłumaczono na języki: angielski, czeski, serbski, słowacki, ukraiński i węgierski. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie literatury. Pracował jako nauczyciel akademicki na uniwersytetach w Ołomuńcu, Budapeszcie i Bańskiej Bystrzycy. Obecnie zatrudniony w Instytucie Książki. Tworzy program Literackiego Festiwalu Teatru Siemaszkowej „Międzysłów Karpat”. Mieszka pod Krakowem.

JOLANTA PASTERSKA

Prof. dr hab., literaturoznawczyni. Kieruje Zakładem Teorii i Antropologii Literatury UR i Pracownią Badań i Dokumentacji Kultury Literackiej. Autorka monografii: *Świat według Tyrmanda. Przewodnik po prozie fabularnej Leopolda Tyrmanda* (1999), „*Lepszy Polak*”? *Obrazy emigrantów w prozie polskiej po 1945 roku* (2008), *Emigrantki, nomadki, wagabundki. Kobiące narracje (e)migracyjne* (2015), *Wygnanie i mit. Szkice o pisarzach (e)migracyjnych* (2019), *Spory o powieść w dyskusjach krytycznoliterackich drugiej emigracji niepodległościowej* (2021), *Katalog archiwum emigracyjnego Zbigniewa Rutkowskiego* (współautor Marek Nalcpa, seria *Z Archiwum pisarza*, t. IX) (2023). Redaktorka i współredaktorka ok. 30 trzydziestu prac zbiorowych. Redaktorka czasopisma naukowego IPiD UR „Tematy i Konteksty” oraz redaktorka prowadząca kilku jego numerów tematycznych. Kierowniczka projektu naukowego NPRH/DN/SP/495640/2021/10 *Słownik biograficzny polskich pisarek emigracyjnych 1939–1989*. Przedmiotem jej zainteresowań badawczych są: polska proza emigracyjna i migracyjna, polska proza najnowsza, antropologia kulturowa. Mieszka w Rzeszowie.

JANUSZ PASTERSKI

Ur. w 1964 r. Prof. dr hab., historyk literatury, krytyk literacki, poeta. Od 2024 prorektor Wydziału Humanistycznego UR i kierownik Zakładu Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. W latach 2012–2016 dyrektor Instytutu Filologii Polskiej, od 2019 do 2024 dyrektor Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. Opublikował: *Tristium Liber. O twórczości literackiej Stefana Napierskiego* (2000), *Inne wyzwania. Poezja Bogdana Czaykowskiego i Andrzeja Buszy w perspektywie wielokulturowości* (2011), *Świat wiersza. Szkice o polskiej poezji (nie tylko) współczesnej* (2019) oraz tomy poezji: *Plac Kromera* (2009), *Mity i kamienie* (2013), *Księga Likierka* (2018), *Rysunki naskalne* (2021). Współredaktor publikacji: *Proza polska na obczyźnie*, t. 1 i 2 (2007), *Inne dwudziestolecie 1989–2009*, t. 1 i 2 (2010), *Przyboś dzisiaj* (2017); *Kontynenty. Tom pierwszy: Studia i szkice o twórczości Andrzeja Buszy* (2019). Redaktor książki *Dwudziestolecie międzywojenne. Nowe spojrzenia* (2019). Od 1997 w redakcji „Frazy”, gdzie prowadzi dział poezji. Redaktor tomów poetyckich i antologii poezji studenckiej. Mieszka w Rzeszowie.

TOMASZ PYZIK

Ur. w 1975 w Zabrze. Krytyk literacki, historyk literatury związany z Uniwersytetem Śląskim. Nauczyciel w I LO w Gliwicach, współpracuje z International Baccalaureate Organization. Autor

książek: *Predestynacja w twórczości Aleksandra Wata* (2004), *Twórczość poetycka Wojciecha Bąka* (2007) oraz *Sens odzyskany. Szkice o książkach, które koniecznie trzeba przeczytać* (Biblioteka „Toposu”, 2023). Publikował artykuły i szkice krytyczne w pracach zbiorowych i czasopismach. Stale współpracuje z pismem „Topos”.

MAGDALENA RABIZO-BIREK

Ur. w 1964 w Kamięniku. Literaturoznawczyni, krytyczka literacka i krytyczka sztuki. Dr hab. prof. UR, w latach 2016–2019 kierowała Zakładem Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Uniwersytetu Rzeszowskiego, w latach 2020–2023 członkini Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Od 2022 w Kapitulie Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Od 1998 redaktorka naczelna „Frazy”. Autorka książek: *Czytanie obrazów. Teksty o sztuce z lat 1991–1996* (1998), *Między mitem a historią. Twórczość Włodzimierza Odojewskiego* (2002), *Romantycy i nowoczesni. Formy obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej* (Rzeszów 2012). Kuratorka wystaw w Galerii Sztuki Współczesnej w Przemyślu *Bez końca o człowieku* (2003, 2008) i *Refleksje o naturze w sztuce ponowoczesnej* (2009). Współautorka (z Józefem Ambrozowiczem) albumu *Józef Mehoffer – artysta dwóch epok* (Rzeszów 2010). Redaktorka pracy zbiorowej *Boom i kryzys. Nowe polskie czasopisma literacko-artystyczne i społeczno-kulturalne po roku 1980* (2012). Współredaktorka m.in. książki: *Poeta czutej pamięci. Studia i szkice o twórczości Janusza Szubera* (2008), *Światy Olgi Tokarczuk* (2013), *Przybóś dzisiaj* (2017), *Miejsca, ludzie, opowieści. O twórczości Andrzeja Stasiuka* (2018), *Obroty liter. Szkice o twórczości Tomasza Różycyńskiego* (2019), *Kontynenty. Tom drugi: Studia i szkice o twórczości Bogdana Czaykowskiego* (2021). Redaktorka i autorka szkiców czterech tomów *Sztuki Podkarpacia* (2010, 2011, 2013, 2015). Członkini Podkarpackiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i Stowarzyszenia Literackiego im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi. Laureatka Nagrody Fundacji Turzańskich (Toronto 2004). Mieszka w Rzeszowie i Jedlinie-Zdroju.

JANUSZ RADWAŃSKI

Ur. w 1984 w Kielcach. Poeta, muzyk, tłumacz, dziennikarz. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Zadebiutował tomem *Księga wyjścia awaryjnego* (Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2012, najlepszy poetycki debiut roku IX Konkursu Literackiego „Złoty Środek Poezji” Kutno 2013). Jego drugi tomik poezji *Chałwa zwyciężonym* (Olkusz 2013) ukazał się po zdobyciu przez niego I nagrody na VIII Ogólnopolskich Konkursie Poetyckim im. K. Ratonia Olkusz 2012. Ponadto opublikował tomy poezji: *Kalenberek* (2017), *Święto nieodległości* (2018), *Śpiewnik szantowy* (2022) oraz wybory wierszy poetów ukraińskich: Pawło Korobczuka *Kajfuj kajfuj* (2019), Oleksija Czupy *Piędź* (2020), Wołodymyra Bynio *Tak jest zapisane* (2022), Darny Hładun *Radio „Wojna”* (2022) Jurija Zawadzkiego *Nie pytają* (2023) (dwa ostatnie w serii polsko-ukraińskiej Biblioteka Poezji Ukrainy „W obliczu wojny” wydawnictwa Pogranicze). Jest współtwórcą audycji „Wszystko jest folklem” w Domowym Radiu Studnia. Mieszka z rodziną w Kolbuszowej Górnej.

Dodać nowy biogram

BILL REID

(Właśc. William Ronald Reid jr), 1920–1998, pochodzący z narodu Haida wybitny kanadyjski rzeźbiarz, malarz i twórca biżuterii artystycznej, wykorzystujący rodzime motywy i techniki tworzenia.

RAFAŁ RŻANY

Ur. w 1973. Poeta, krytyk literacki, fotograf. Opublikował cztery zbiory wierszy: *Upływ* (1993), *Wtedy nic jeszcze...* (1995), *Ruchome pole* (2006; zawiera także tłumaczenia i fotografie), *Koniec lata* (2023), tom tekstów krytycznych *Pozornie tak bardzo podzieleni. Nie tylko o młodej poezji* (1998) oraz album poetycko-fotograficzny *Ptaki i kamienie* (2023). W latach 1998–2011 redaktor „Nowej Okolicy Poetów”. Jego wiersze były tłumaczone na włoski, hiszpański i angielski. Mieszka w Rzeszowie.

ROMAN SABO

Ur. w 1957 w Lesku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Śląskim. Poeta, tłumacz, cescista. W 1980 wyjechał z Polski i po rocznym pobycie w Europie Zachodniej przeniósł się do

Vancouver w Kanadzie. Uzyskał doktorat po studiach slawistycznych na UBC (Uniwersytecie British Columbia) i na Uniwersytecie w Toronto. Wiersze, eseje, przekłady poezji publikował m.in. w „Twórczości”, „Akcencie”, „Przeglądzie Polskim”, „Nowym Jork”, „Nowym Prądzie” (Toronto). Opublikował tomy wierszy: *Niech będzie* (2005), *Cienie* (2011), *Podwórko* (Biblioteka „Frazy” 2015), *Kolibier* (Toronto 2023). W przygotowaniu znajduje się wybór wierszy Seamusa Heaneya w jego przekładach. Mieszka w Vancouver.

SKAAY z QQUUNA QIIGHAWAAY

Ur. ok. 1827 w Qqunice. Niewidomy, kaleki gawędziarz z wioski Haida w Ttanuu. Nie umiał czytać i pisać, a jego opowieści o mitologii Haida przetrwały w formie transkrypcji spisanych przez Johna Swantona przy pomocy Henry’ego Moody’ego zimą 1900 roku. Te transkrypcje mitów są wyjątkowe w literaturze ze względu na ich wierność (za sprawą Swantona) precyzyjnym sformułowaniom narratora mitów i przetrwaniu oryginałów (przed tłumaczenia). Skaay poddyktował *Cykl Qquuna* – najdłuższy wiersz nagrany w Haida, *Qquuna Qiighawaay*, historię rodziny Skaay oraz *Raven Travelling*, oryginalne podejście Skaaya do znanych opowieści o kruk (Raven Tales). W języku Haida słowo „skaay” oznacza rodzaj mięczaka. Naród Haida jest podzielony na dwie grupy społeczne, zwane Krukami i Orłami. Skaay należał do Orłów. Jego opowieści ukazały się w przekładzie na język angielski kanadyjskiego poety i esecisty Roberta Bringhamta pt. *Being in Being. The Collected Works of a Master Haida Mytheller by Skaay of the Qquuna* (University of Nebraska Press 2001).

GRZEGORZ STRUMYK

Ur. w 1958 w Łodzi, gdzie mieszka. Prozaik, poeta, artysta sztuk wizualnych. Uczył się w szkole zawodowej stolarstwa, ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi. Pracował jako rysownik w muzeum, modelator w teatrze lalek, dekorator i grafik w Empiku, domach kultury i bibliotekach, plastyk w miejskich kinach, scenograf przy filmach krótkometrażowych. Debiutował w 1992 wydanym przez Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi zbiorem opowiadań *Zagłada fasoli*. Ostatnio opublikował zbiór opowiadań *Wyjście* (2021) oraz w dialogu z Martą Zelwan prozę *Próba* (2024). Wyróżniony w Konkursie Fundacji Kultury za powieść *Łzy* (1999, adaptacja w Teatrze Telewizji w reżyserii Filip Zylbera z Mariuszem Bonaszewskim w roli głównej), dwukrotnie nominowany do Paszportu „Polityki” (za powieści *Łzy* oraz *Pigment*). Prace malarskie i fotograficzne prezentował na kilku wystawach indywidualnych i zbiorowych w Łodzi.

ROBERT SUWAŁA

Ur. w 1971 w Tychach. Z wykształcenia prawnik, ukończył Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Publikował swoje teksty w „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich”, z którymi stale współpracuje, w „Kresach”, „Twórczości i „Akcencie”. Miłośnik twórczości Brunona Schulza.

ANDRZEJ SZUBA

Ur. w 1949 w Glicicach, poeta i tłumacz poezji angielskojęzycznej. W ostatnich latach opublikował m.in. Walt Whitman, 400 wierszy i poematów (2014), Wiersze z Walii (2015), Wiersze ze Szkocji (2015), Obraz i wir. Antologia anglo-amerykańskiego imagizmu (2016; z Leszkiem Engelkingiem), Emily Dickinson, 333 wiersze, Ron Padgett, Bezczynność butów (2018), D.H. Lawrence’a Kici, kici (2019) oraz zbiory własnych utworów: 44 strzępy (2015), 33 strzępy (2016), Milczysz (wybór; 2016), 22 strzępy (2016), 11 strzępów (2017), Jest tam kto? (2017), 444 strzępy (wybór; 2018); Wygasić (2020). Mieszka w Katowicach.

BARŁOMIEJ ŚLIŹ

Ur. w 1999 w Jaśle. Absolwent studiów magisterskich kierunku filologia polska, specjalność edytorstwo na Uniwersytecie Rzeszowskim (2024). Interesuje go mit poetów wyklętych w literaturze. Miłośnik muzyki, gra na gitarze.

BEATA TARNOŃSKA

Prof. dr hab. w Katedrze Literatury Polskiej Instytutu Literaturoznawstwa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, gdzie mieszka. Literaturoznawczyni, krytyczka literacka, tłumaczka z języków angielskiego i hebrajskiego. Jej zainteresowania naukowe ogniskują się

wokół przestrzeni przedstawionej w dziele literackim, zagadnień przekładu artystycznego oraz bilingwizmu w literaturze. Autorka książek: *Geografia poetycka w powojennej twórczości Czesława Miłosza* (1996), *Między światami. Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty”* (2004), *Wokół „Kontynentów”*. *Szkice i rozmowy z poetami* (2011), *Tel Awiw – Jerozolima. Literackie kreacje przestrzeni miejskiej* (2019). Jest autorką przekładów poezji: Amira Ora *Wiersz* (2006) i *Twarze* (2014), Hezi Lesklegio *Taniec na torach* (2017), Magdaleny Ślapik *sine wave / sinusoida* (2018). Współtłumaczka tomu Agi Mishol *Jestem stąd* (2020). Laureatka Nagrody Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich za 2006 rok.

TERESA TOMSIA

Ur. w 1951 w Wołowie. Absolwentka polonistyki (UAM), poetka, eseistka, animatorka kultury, autorka prozy dokumentalizowanej *Dom utracony, dom ocalony* (2009), scenariuszy, tekstów pieśni. Jej wiersze tłumaczone były na języki niemiecki i francuski (*Schöner – Piękniejsze – C'est plus beau*, 2000), znajdują się w antologiach. *Poznań Poetów* (2011); *wieczór / vespera. Poezja / antologia „Toposi”* (2020), antologia polskiej poezji katastroficznej *Rzeki ogniste* (2022). Autorka tomików wierszy: *Gdyby to było proste* (2015), szkiców literackich *Niedosyt poznawania* (2018). We „Frazie” publikuje cykl *W pamięci, w odbiciu*. Ostatnio wydała wybór wierszy *W cieniu przelotnego trwania* (2021) i zbiór liryków paryskich *W znikającym ogrodzie* (2023), nominacja do XIII edycji Nagrody im. K.I. Gałczyńskiego Orfeusz 2024). Pochodzi z rodziny o ziemiańskich tradycjach kresowych, w swoich tekstach podkreśla rolę dialogu i otwartości na Innego. Pomysłodawczyni i redaktorka almanachu polsko-ukraińskiego *Czas pojąć ten świat – czas ukoić ból* (zrealizowanego przy współpracy paryskim portalem polonijnego „Recogito”), w tłumaczeniu Oleny Stepaniuk (FONT 2024). Od 1993 należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Poznaniu.

KATARZYNA TURAJ-KALIŃSKA

Poetka, eseistka, nowelistka; autorka książek: *Klasztor żeński* (1988), *Stabość* (1992), *Innocenty Białe Piórko* (2008), *Bracia Strach i inne opowiadania* (2009; Krakowska Książka Miesiąca), *Szept nad szeptami* (2016), *Wielki Brat Zachód* (2023, drukowany we fragmentach we „Frazie”). Laureatka kilkunastu ogólnopolskich konkursów literackich w dziedzinie poezji, prozy, dramatu i twórczości dla dzieci – wśród nich: im. Poświatowskiej, Grochowiaka, Żeromskiego, Tuwima. Eseje, opowiadania i wiersze drukowała w „Dekadzie Literackiej”, „Nowej Dekadzie Krakowskiej”, „Zadrze” i „Frazie” (ostatnio cykl wspomnień z dzieciństwa *Lampa z końskiej czaszki*). W tłumaczeniach publikowana m.in. w czasopiśmie: „The Rialto”, „Verse” (Wielka Brytania), „Iton 77”, „Psyfas”, „Gag” (Izrael).

GRZEGORZ WALCZAK

Ur. w 1941 w Puławach. Prozaik, poeta, dramaturg, tłumacz literatury serbskiej i chorwackiej, autor słuchowisk radiowych i tekstów piosenek oraz libretta pierwszej w Polsce rockopery *Naga* (1972), twórca kabaretowy i estradowy, autor i uczestnik wielu spektakli poetyckich (współpracował m.in. z Wojciechem Siemionem), cyklicznych programów radiowych i telewizyjnych. Z wykształcenia polonista, dr językoznawstwa. Przez wiele lat pracował jako wykładowca w Instytucie Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1981–1984 lektor języka polskiego w Wydziale Sławistyki uniwersytetu w Belgradzie. Był członkiem Związku Polskich Literatów do jego rozwiązania w 1983, od 1989 należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wielokrotnie nagradzany w ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach literackich, w latach 2007–2009 w konkursach na piosenkę organizowanych przez Stowarzyszenie ZAKR. Odznaczony Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2016). Opublikował m.in. tomy wierszy: *Witraże* (1973), *Autoportret z przeszłości* (1989), *A kiedy zastuka anioł* (1995), *Roznamięty* (2004), *Sopel słońca* (2007), *Anioł i dusioły* (2015), *Gdy zagra róg, czyli pieśni o Polsce* (2024); powieści: *Pamiętnik małżeński* (1974, 1991), *Oaza* (1980, wersja bez ingerencji cenzury, 1997), *Nim zaśnie ziemia* (1998) oraz zbiór opowiadań *Anioł ze Starego Miasta* (1998). Ponadto w języku serbskim ukazał się wybór jego wierszy *Lamenti za majkom* (przekładzie R. Miciunović, M. Topić, V. Prodanović, M. Duškov, Karlovac 1988), a w języku bułgarskim *Elegie i inne wiersze / Elegii i drugi stihotvorenija* (wybór i przekład L. Seláški, Sofiá 2013). Mieszka w Warszawie.

KLAUDIA WŁADYKA

Ur. w 2000 w Brzozowie. Absolwentka studiów magisterskich kierunku filologia polska na Uniwersytecie Rzeszowskim (2024). Interesuje się literaturą, edukacją i psychologią. Lubi pisać recenzje i eseje interpretacyjne.

ANTONI WOLAK

Ur. w 1953 w Biadolinach k. Tarnowa. Poeta, miłośnik natury i wysokich gór. W latach 70. XX wieku publikował recenzje i artykuły (często pod pseudonimem) w lokalnych gazetach i czasopiśmie. Był pracownikiem Domu Książki, Teatru im. Ludwika Solskiego oraz dokumentalistą w Muzeum Okręgowym w Tarnowie. W Kanadzie mieszka od 1983, w 1986 osiadł w Calgary, gdzie przez kilka lat prowadził własne przedsiębiorstwo. Do poezji wrócił w drugiej połowie lat 90. XX wieku. Publikował na łamach wychodzącego w Toronto periodyku „High Park” oraz w „Śląsku”, „Pograniczach” i „Frazie”. Nakładem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie opublikował zbiory wierszy: *Twarze* (2007), *Wiersz* (2012), *Uśpione szczęście* (2021, we współpracy ze Stowarzyszeniem Literacko-Artystycznym „Fraza”).

CECILIA WOŁOCH

Urodziła się i wychowała w Pittsburghu w Pensylwanii; dorastała także na wiejskich obszarach Kentucky. Amerykańska poetka o polsko-romsko-łemkowskich korzeniach. Autorka sześciu zbiorów wierszy: *BookSense 76 Selection* (2001); *Tsigan: The Gypsy Poem* (prezentowany na wystawie w Auschwitz-Birkenau w 2020); *Late* (Poetka Roku w Gruzji, 2004); *Narcissus* (Tupelo Press Snowbound Prize 2006, finał California Book Award); *Carpathia* (finał nagrody Milтона Kesslera 2010); *Earth* (nagroda *Two Sylvias Press chapbook prize* 2015). Stypendystka National Endowment for the Arts, autorka powieści w obrazkach *Sur la Route (W drodze)*. Poetka współpracuje z muzykami, tancerzami, aktorami i artystami wizualnymi. Jej tom wierszy *Tsigan: The Gypsy Poem* stanowił kanwę multidyscyplinarnych przedstawień w USA i Europie. We Francji ukazał się jako *Tzigane, le poème Gitan* (Scribe-l'Harmattan 2014). Jej wiersze przełożono także na języki: bułgarski, hebrajski, niemiecki, romski, rumuński, ukraiński i węgierski. Wygłaszała odczyty i prowadziła warsztaty kreatywnego pisania w USA i w kilku krajach Europy. W latach 2021–2022 stypendystka Fulbrighta na Uniwersytecie Rzeszowskim. Mieszka w Los Angeles.

STEFAN ZABIEROWSKI

Ur. w 1940. Prof. dr hab., emerytowany profesor Uniwersytetu Śląskiego, badacz polskiej literatury współczesnej, szczególnie pisarzy pokolenia Kolombów (Jana Józefa Szczepańskiego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Borowskiego), interesujący się też sposobami prezentacji wojny w literaturze. Wiele miejsca w jego pracach zajmuje biografia i twórczość Josepha Conrada-Korzeniowskiego oraz jego związki z kulturą polską.

BOHDAN ZADURA

Ur. w 1945 w Puławach, gdzie mieszka. Poeta, prozaik, krytyk, tłumacz literatury angielskiej, białoruskiej, rosyjskiej, ukraińskiej i węgierskiej. Redaktor czasopism literackich „Twórczość” (w latach 2004–2020 redaktor naczelny) i „Akcent” (1980–2004), współpracownik „Literatury na Świecie”. Debiutował w 1968 powieścią *Lata spokojnego słońca* i tomem wierszy *W krajobrazie z amfor*. Ogłosił ponad 20 tomów poezji (ostatnio: *Po szkodzie*, 2018; *Puste trybuny*, 2021; *Zmiana czasu*, 2024) oraz kilka tomów prozy i tekstów krytycznoliterackich. W latach 2005–2007 wydawnictwo Biuro Literackie, z którym stale współpracuje, opublikowało jego *Dzieła zebrane*. Uehonorowany m.in. nagrodami im. Stanisława Piętaka (1994), im. Józefa Czechowicza (2010), im. Gábora Bethlena (2013), Międzynarodową Nagrodą Literacką im. Hryhorija Skowrody (2014), Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2015), im. Cypriana Norwida (2015), Nagrodą ZAiKSu (2016), Wrocławską Nagrodą Poetycką „Silesius” za całokształt twórczości (2018), Nagrodą „Literatury na Świecie” w kategorii przekład poezji (2020), Literacką Nagrodą Europy Środkowej „Angelus” za przekład powieści Kateryny Babkiny *Nikt tak nie tańczył jak mój dziadek* (2021), Nagrody Drahomána (Drahomán Prize) dla najlepszego tłumacza literatury ukraińskiej (2022), a także nagrodami na festiwalach Kijowski Laury i „Ditët e Namit” oraz im. Pantelejmona Kulisza. Opublikował autorskie antologie poezji ukraińskiej *Wier-*

sze zawsze są wolne (2004, 2005, 2007) oraz *100 wierszy wolnych z Ukrainy* (2022) i węgierskiej *Węgierskie lato* (2010) a także tomy wierszy m.in. D.J. Enrighta, Johna Ashbery'ego, Tony'ego Harrisona, Johna Guzłowskiego, Mihály'ego Babitsa, Dmytra Pawlyczki, Jurija Andruchowycza, Serhija Żadana, Andrija Bondara, Wasyla Machny, Ostapa Sływynskiego, Natałki Bilocerkiwiec, Hałyny Kruk, Wasyla Łozińskiego, Wasyla Słapczuka, Istvána Kovácsa, Pétera Kántora, Andreja Adamowicza, Julii Cimafiejewej, Siarhieja Pryłuckiego, Petra Milčáka; powieści i zbiory prozy: D.J. Enrighta, Johna McGaherna, Dzwinki Matijas, Andrija Lubki, Natałki Śniadanko, Jurija Wynnyczuka, Oleha Sencowa, Andrija Bondara, Wasyla Machny. Przełożył *Tragedię człowieka* – poemat Imrego Madácha, główne dzieło węgierskiej dramaturgii. W 2011 Biuro Literackie opublikowało wybór rozmów z poetą *Klasyk na luzie*, przygotowany przez Jarosława Borowca. Jego wiersze tłumaczono na wiele języków, weszły do licznych antologii poezji polskiej, kilka osobnych wyborów ukazało się w Ukrainie i na Węgrzech. W 2020 jego powieść *Lata spokojnego słońca* ukazała się w przekładzie Wasyla Słapczuka w Łucku (Ukraina).

ZAPROSILI NAS

BWA Galeria Sanocka na wernisaże wystaw: EQUILIBRIUM: Czwartniewski / Sikora / Łyjak – 5.01.2014; Mirosław Pawłowski Kamuflaż – 16.02.2024; Sylwii Krupieńskiej *Portret pejzażu* – 15.03.2024; Barbary Kasprzyckiej *Tropy* – 19.04.2024; Magdaleny Kuleszy-Fedkowicz *Zaklinaczka atomów* – 24.05.2024; Rafała Boreza *Cisze przyrody* – 28.06.2024.

Dyrektor Instytutu Sztuk Pięknych Kolegium Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego do Galerii Instytutu Sztuk Pięknych im. prof. Włodzimierza Kotkowskiego na otwarcie wystaw: pokonkursowej i wręczenie nagród XV edycji Nagrody im. Jerzego Panka za Najlepszy Dyplom Instytutu Sztuk Pięknych Uniwersytetu Rzeszowskiego 2023 – 11.01.2024; *Polscy bohaterowie. Innowatorzy, modernizatorzy, wynalazcy i ich wkład w rozwój społeczeństwa* (wystawa w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki RP pn. *Spółeczna Odpowiedzialność Nauki* – 7.03.2024 (współorganizator Prorektor ds. Kolegium Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego prof. dr hab. Paweł Grata).

Koła Badań Artystycznych Szkoły Doktorskiej UR My Teraz Tutaj – 11.04.2024; *Lokacje. Kolekcja Sammlung Pastula* (komisarze wystawy Dorota Sankowska, Jarosław Sankowski) – 9 maja 2024; Elżbieta Wasiuczyńska *Ilustracje dla dzieci do lat 100* (kuratorka Joanna Janowska-Augustyn) – 5.06.2024.

Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie na wernisaże wystaw: *Kolekcja Sztuki Współczesnej Sammlung Pastula* – 11.01.2024; artystów członków Związku Polskich Malarzy i Grafików *Postawy 2024; Taranczewski i jego uczniowie* – 23.05.2024; *Na papierze bez granic... Artyści Trójmorza – habitat 2024* (w ramach festiwalu Wschód Kultury i Europejski Stadion Kultury) – 20.06.2024 (oprowadzanie kuratorskie 21.06.2024); malarstwa Doroty Skubisz *Tak i Tak* – 20.06.2024.

Galeria Sztuki Współczesnej w Przemysłu na: wernisaż wystawy Andrzeja Rulki *Japończyk. Linoryty* – 19.01.2024; spotkanie autorskie z ukraińską artystką Valentíną Bero pt. *Moja sztuka jako opór wobec rzeczywistości* – 25.01.2024; pokaz filmów animowanych Andrzeja Rulki – 13.02.2024; wernisaż wystawy Wojciecha Pietrasza *I will live and die. Don't ask why* (komisarz Justyna Łuczaj-Salej) – 16.02.2024 i oprowadzenie z udziałem autora i kuratorki – 17.02.2024; Wieczorne rozmowy o sztuce – wieczór siedemdziesiąty piąty – wykład multimedialny Grażyny Niezgody *Gigantyczne skale. Land Art* – 20.02.2024; otwarcie wystawy malarstwa Tomasza Potuczko – 23.02.2024; spotkanie literackie z Mateuszem Pieniżkiem, autorem książki *Historia pewnych podróży* pt. *Lekcja 1: Clou automontażu, czyli podróż* – 14.03.2024; Wieczorne rozmowy o sztuce – wieczór siedemdziesiąty szósty – wykład multimedialny Grażyny Niezgody *Oszukać oko. Op art* – 19.03.2024; wernisaż wystawy malarstwa Małgorzaty Dawidiuk *12 bram Nowego Świata – Ikony-cienie epifanią światła* – 22.03.2024; spotkanie literackie z Mateuszem Pieniżkiem, autorem książki *Księżyc gaśnie Celino, czyli czekamy na świt* pt. *Lekcja 2: Cycero i Celina*

czyli *erotyka* – 4.04.2024; spotkanie autorskie z Małgorzatą Dawidiuk poświęcone jej wystawie *12 bram Nowego Świata – Ikony-cienie epifanii światła* z udziałem Mateusza Pieniążka i Janusza J. Cywickiego – 16.04.2024; w ramach Międzynarodowego Triennale Malarstwa Regionu Karpat Srebrny Czworokąt Przemysł 2024 na: wernisaże wystaw: *Jurorzy Triennale* (Andrzej Cieszyński, Janusz J. Cywicki, Vladimir Ganaj, Henryk Ożóg, Marzanna Wróblewska, Walenty Wróblewski, Roman Yatsiv) – 19.04.2024; *Na papierze bez granic... Artyści Trójmorza - habitat 2024*, 8 Międzynarodowe Forum Artystyczne Lublin 2024 – Galeria Zamek – Przemyskie Centrum Kultury i Nauki Zamek – 10.05.2024; *Liudmila Davydenko Malarstwo – Grand Prix Międzynarodowego Triennale Malarstwa Regionu Karpat Srebrny Czworokąt Przemysł 2021* – 11.05.2024; Międzynarodowego Triennale Malarstwa Regionu Karpat Srebrny Czworokąt Przemysł 2024 – Zamek w Krasicy 11.05.2024, *Helmuta Bistiki (Słowacja) i Antoniny Jasińskiej* – Galeria Zamek Przemyskie Centrum Kultury i Nauki Zamek – 7.06.2024; *Noc w Galerii*: wystawę malarstwa Liudmili Davydenko, *Wieczorne rozmowy o sztuce – wieczór siedemdziesiąty siódmy* – wykład multimedialny Grażyny Niezgody *Najważniejsze obrazy XX wieku – 2*; pokaz medialny *Przełąd współczesnej polskiej fotografii* (Wiktor Bednarczuk, Piotr Biernicki, Monika Cichoszewska, Beata Jędruch, Waldemar Kozub, Marek Kucharczyk, Grażyna Niezgoda, Sergiusz Sachno, Kamila Sammler, Iwona Suszycka, Jacek Szwic kurator, Magdalena Wolff, Andrzej Zembik) – 18.05.2024; wystawę uczestników Międzynarodowego Projektu Artystyczno-Naukowego *Kantor. Trzeba być* – Centrum Edukacji Plastycznej 28.06.2024 (kurator: Iwona Bugajska-Bigos, Anna Steliga, współorganizatorzy: Wydział Nauk Społecznych i Sztuki Akademii Nauk Stosowanych w Nowym Sączu, Uniwersytet Rzeszowski); finaśz wystawy malarstwa Bartosza Nalepy *Kwiat paproci i okamgnienie* (kuratorka Weronika Gosztyła-Frańczak) – 2.07.2024; wystawę malarstwa Jana Szancenbacha – 5.07–6.08.2024.

Biuro Wystaw Artystycznych w Krośnie na: wykład z cyklu „Mówimy o sztuce...” – Michaliny W. *Klasik Sekretny aktywizm. O dzieleniu się, współpracy i włączaniu do wspólnoty nie tylko ludzi* – 21.01. 2024; aukcję dzieł sztuki artystów lokalnych na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i finaśz wystawy Marka Burdzego *Marek i przyjaciele* – 24.01.2024; wernisaż wystawy Joanny Stawowy *Rozważania o kształcie osobowości* (kuratorka Paulina Mazurek) oraz *Śniadanie/Spotkanie po wystawie* – 2–3.02.2024; wykład z cyklu „Mówimy o sztuce...” – Barbary Hubert *Pamięć niezatopiona* – 21.04.2024; wystawę Magdaleny Lazar *Świełliste bartery, wilgotne koalicje* (kuratorka Zofia Malysa-Jancy) – 11.05.2024; wernisaż wystawy *Włączenie w kolekcję* – prace ze zbiorów Jana Pastuły – 7.06.2024; wernisaż wystawy malarstwa Grzegorza Wnęka *Łzy – dobry, zły – malowane* (kurator Marek Burdzy) – 12.07.2024.

Elektromontaż Rzeszów S.A. i Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych do Galerii Na najwyższym Poziomie Elektromontażu Rzeszów na wernisaże wystaw malarstwa: Niny Zielińskiej-Krudysy *Niedopowiedzenia* – 1.02.2024; wystawy malarstwa Tadeusza Chyły – 11.04.2024; malarstwa Anatola Martyniuka *Zamki i pałace Lwowa i Krzemieńca* – 16.05.2025.

Krośnieńska Biblioteka Publiczna na: otwarcie wystawy pokonkursowej *Leśne Fotografie 2023*, wręczenie nagród i wyróżnień laureatom konkursu fotograficznego oraz koncert Zespołu Piosenki Poetyckiej JAK (współorganizacja Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Krośnie) – 15.02.2024; spotkanie z cyklu „Krośnieński Salon Poetycki” z poetą Tomaszem Grudzińskim *Życie to podróż* – 13.03.2024; spotkanie z Jędrzejem Pasierskim i promocję jego nowej powieści *Źródło* – 22.04.2024; wystawę prac Waldemara Wilusza *Motorealizm* – 15.06.2024; „Wieczór łemkowski w bibliotece”; prelekcję Tomasza Łopatkiewicza *Z przeszłości dalszej i bliższej ludowego kamieniarstwa w Bartnem*, występ Kapeli Spod Rubani, wystawę prac Patrycji Dyląg *Łemkowskie kabaty* oraz prezentację książek na tematy Łemkowszczyzny dostępnych w bibliotece – 19.06.2024; spotkanie z cyklu Krośnieński Salon Poetycki – z Tomaszem Wojnarem i promocję tomu *Cztery pory wiersza* (współorganizator Grupa Poetycka Krosno) – 20.06.2024; promocję książki *Zdzisława Gila Refleksje konserwatora zabytków* (współorganizator Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Krośnieńskiej) – 26.06.2024.

Adam Rajzer do Rzeszowskiego Domu Sztuki na wernisaże wystaw: prac Moniki Ślósarczyk *Rzeszowskie gry i zabawy* – 15.02.2024; *Magical Dreams* – prac w konwencji magicznego realizmu 39 artystów z 11 krajów (współorganizator Bartor Art Gallery) – 21.03.2024; prac Sylwestra Stabryły

Cichość serca – 25.04.2004; prac Wlastimila Hofmana (w ramach Nocy Muzeów) – 16.05.2024; finał wystawy Wlastimila Hofmana połączony z wykładem Beaty Kuman i pokaz premierowy jego dzieła *Za chlebem* z 1917 (prezentowanego w Muzeum Narodowym w Kielcach w 2011 na wystawie *Gra obrazów*) – 8.06.2024.

Dyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Sandomierzu oraz właściciel kolekcji Jan Pastuła na wernisaż wystawy *Kolekcja Sztuki Współczesnej Sammlung Pastula* – Galeria Sztuki Współczesnej BWA przy Rynku 11 w Sandomierzu 16.02.2024.

Jan Pastuła do Pastula Gallery w Porębach Kupieńskich (Kupno 492) na wernisaż wystaw: Pawła Olearki *Heliografia* oraz *Po drodze* i performans *Liczenie maku 2024 z 52 HZ* Andrzeja Andzika Kowalczyka – 5.03.2024; w ramach cyklu „Sztuka i poezja” na *Podziwiający. Franciszek Maśluszczak – malarstwo, Krystyna Lenkowska – poezja* – 11.05.2024; malarstwa Martyny Czech – 29.06.2024.

Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie na wernisaż wystaw: Zdzisławy Ludwiniak *Tablice czasu. Katedry* – 12.03.2024; *Niezwykłe zwyczaje ludzi. Święci w ilustracjach* z udziałem JE Biskupa Kazimierza Górnego – 15.05.2024.

Estrada Rzeszowska, Rzeszowskie Piwnice, „Нова Польша” na prezentację książki *Wojna 2022. Dzienniki, eseje, wiersze* z udziałem Natalii Tkaczyk, Kateryny Michalicyny, Krystyny Lenkowskiej, Magdaleny Rabizo-Birek – Rzeszowskie Piwnice 4.04.2024.

Instytut Sztuk Pięknych Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Rzeszowskiego na wystawę *Iwona Książniczka Burgunda. Plakaty studentów i wykładowców ISP UR w Kinie za Rogiem Café* (w ramach „2024 – rok Witolda Gombrowicza”, kuratorka Monika Bartosik) i wydarzenia towarzyszące – wykłady Marcina Dudka *Projektowanie ekologiczne w praktyce* – 19.04.2024, Wiesława Grzegorzycy *O plakatach teatralnych subiektywnie* – 20.04.2024) – Galeria Kina za Rogiem Café – 12.04–5.05.2024.

Muzeum Historyczne w Sanoku i autor zapraszają na wystawę malarstwa Tomka Mistaka *Stany skupienia* – Poddasze Zamku Królewskiego w Sanoku 12.04.2024.

Zarząd Towarzystwa Kultury Teatralnej w Rzeszowie i Wojewódzki Dom Kultury z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru na odsłonięcie na Starym Cmentarzu w Rzeszowie tablic upamiętniających Dariusza Dubiela i Ryszarda Szcetłę oraz spektakl *Pigmalion* Teatru Rozmaitości z SCK w Mielecu – 14.04.2024.

Biblioteka Pod Atlantami w Wałbrzychu na spotkanie autorskie z Iwoną Mesjasz (Matuszkiewicz) i promocję jej książki *Tańczący dom* – 26.04.2024.

Prezydent Miasta Rzeszowa Konrad Fijołek i Estrada Rzeszowska na wydarzenie *Literatura na Pniedział* – Muzeum Okręgowe w Rzeszowie 3.05.2024.

Prezes i Zarząd Uniwersytetu Trzeciego Wieku Uniwersytetu Rzeszowskiego na uroczystość *Jubileusz 40-lecia UTW UR* w programie m.in. wykład Magdaleny Rabizo-Birek *Biografia literacka Wisławy Szymborskiej*, wystawy 40 lat historii ITW UR, Klub Fotograficzny, Klubu Malarstwa, Klubu Rękodziela, prezentacja kronik UTW UR, występ chóru UTW UR „Cantilena” i Jadwigi Kupiszewskiej *Śpiewamy o Tobie Rzeszowie*, Kwintetu Ambitus V z udziałem Jacka Ścibora) – Aula Magna, UR 14.05.2024.

Dyrekcja i pracownicy Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie na Noc w bibliotece (w programie m.in. spotkanie z Edytą Dawidziak i Karoliną Chomiczewską, autorkami książki *Ciekawostki o rzeszowskich zabytkach*; projekcja filmu dokumentalnego *Budziwojskie opowieści*; recital nocą Ewy Simbidy i Tomasz Jachyma, wystawa planszowa *Różnorodność Podkarpackiej Biblioteki Cyfrowej*, zwiedzanie zbiorów Czytelni Głównej) – 18.05.2024.

Klub Muzyki i Literatury we Wrocławiu oraz autor na wystawę *Czestaw Miłosz w fotografiach Adama Lizakowskiego* – 18.05–27.08.2024.

Redakcja miesięcznika „Odra” na celebrację 93 urodzin Urszuli Koziół – 20.06.2024, Muzeum Sztuki Mieszkańskiej we Wrocławiu.

PUBLIKACJE NADESŁANE

CZASOPISMA

„Akcent” 2024: nr 1, 2.

„Odra” 2024: nr 1, 2, 3, 4, 5, 6.

„Pamiętnik Literacki” 2023, t. LXVI, wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, grudzień 2023.

„Poesia. Rivista internazionale di cultura poetica. Nuova serie” n° 25, Maggio/Giugno 2024, Crocetti Editore.

„Twórczość” 2024: nr 1, 2, 3, 4, 5, 6.

„Warszwy. Rocznik Instytutu Sztuk Pięknych Uniwersytetu Rzeszowskiego” 2022, t. 5.

POEZJA

Justyna Bargielska, *Wybór stand-upów*, seria Poezje 271, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.

Kacper Bartzak, *Czas kompost*, seria Poezje 264, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.

Magdalena Bielska, *Poradnik dla niedawno zmarłych*, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5, t. 121, Wydawnictwo a5, Kraków 2023.

Jack Bierut, *Folie*, Wydawnictwo j, Wrocław 2023.

Jana Bodnárová, *Z peryferii*, przełożyła Zofia Bałdyga, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 265, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.

Yolanda Aurora Bohm Ramirez, *Wiersze / Dikter / Poems*, przekład na j. polski Przemysław Suchancki, Karolina Ancerowicz, Krakowskie Biuro Festiwalowe, Kraków bd.

Anne Carson, *Biografia czerwonego*, przełożył Maciej Topolski, posłowie Julia Fiedorczyk, seria Wygłosy, Ossolineum, Wrocław 2023.

Anne Carson, *Piękno męża*, przełożyła Olga Kubińska, Słowa na Wybiegu, Gdańsk 2022.

Antoine Cassar, *Paszport*, przełożyła Zuzanna Gawron, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 275, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.

Marta Eloy Cichocka, *obraz może zawierać*, Wydawnictwo Lokator, Kraków 2023.

Krzysztof Czyżewski, *Żegaryszki. Wiersze najmniejsze / Firewords. Tiny Poems*, przekład Michael Steinlauf, Paweł Rogala i Autor, fotografie Autora, Pogranicze, Krasnogruda 2023.

Tomasz Dalasiński, *Wiersze dla żywych*, Wydawnictwo j, Wrocław 2023.

Zenon Fajfer, *Pieśń słownonka*, seria 21, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. H. Berezcy, Szczecin, Bezzręcze 2023.

Ewa Filipczuk, *Hieroglify w Sekwanie*, seria „Szumy, zlepy, ciągi”, t. 54, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi / Dom Literatury, Łódź 2023.

Darek Foks, *Patriotka*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 274, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2023.

Danuta Góralska-Nowak, *Niedotyk*, ilustracje Małgorzata Laszczak, Wydawca Drukarnia Poldruk s.c. Józef Grzywa, Marek Kawka, Wałbrzych 2023.

Durs Grünbein, *Powroty z księżycza. Wiersze wybrane*, wybór, przekład i posłowie Andrzej Kopacki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022.

Déborah Heissler, *Sorrowful Songs. Pieśni żalodne*, przekład i wstęp Jan Maria Kłoczowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.

Tomasz Hrynac, *Lallen*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, t. 220, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2023.

Marie Ilijaško. *Osip podąza na południe*, przełożyły Zofia Bałdyga i Agata Firlej, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 271, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.

- Marzanna Bogumiła Kiclar, *Wilki*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2023.
- Agata Jabłońska, *Księżyc Grzybiarek*, fotografie Katarzyna Norka Niedźwiczka, seria Wszędzie na ziemi jest równoc, t. I, Wydawnictwo papierwdole–Katalog Press, Kazimierz–Podgórze–Rybnik–Muirhouse 2023.
- Renata Jabłońska, *Ten wiersz*, Biblioteka Autorów Warmii i Mazur, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Olsztynie, seria 5, t. XIII, Olsztyn 2024.
- Philippe Jaccottet, *Ostatnia księga Madrygatów oraz inne wiersze i prozy*, wybór, przekład i posłowie Jan Maria Kłoczowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.
- Sylvia Jaworska, *Love crimes*, seria Ut Pictura Bibliotheca, t. 22, Biblioteka Śląska, Katowice 2023.
- Milan Jesih, *Niemal*, przekład i posłowie Katarina Šalamun Biedrzycka, ilustracje: rzeźby Mirko Bratuša, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022.
- Łukasz Kamiński, *4*, Fundacja Duży Format, Warszawa 2023.
- Izabela Kawczyńska, *Rozarium*, seria „Szumy, złepy, ciągi”, t. 58, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi / Dom Literatury, Łódź 2023.
- Cezary K. Kęder, *Większe rzeczy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.
- Wojciech Kobus, *Twój stary parasol*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 284, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2023.
- Emilia Konwerska, *Ostatni i pierwszy kajman*, Wydawnictwo J., Wrocław 2023.
- Andrzej Kopacki, *Życie codzienne podczas wojny opodal*, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. H. Berezy, Szczecin, Bezręcze 2023.
- Lenka Kuhar Daňčelová, *Jeziro Gdziekolwiek. Wybór wierszy*, przełożył Franciszek Nastulczyk, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, t. 208, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2022.
- Michael Krüger, *W lesie, w drewnianym domku / Im Wald, im Holzhaus*, przekład i wstęp Paweł Marcinkiewicz, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2023.
- Justyna Kulikowska, *Obóz zabaw*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 282, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2023.
- Joanna Łepicka, *Zeszyt ćwiczeń*, seria Poezje 274, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.
- Zbigniew Machaj, *Iskierka w tunelu*, seria Marzenia herezje, t.1, Instytucja Kultury Ars Cameralis, Katowice 2023.
- Adam Majewski, *Esej poetycki*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, t. 33, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Kraków 2023.
- Jack Mączka, *Czwarta mgła. Ruta*, K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2023.
- Lila Helena Metryka, *Jewgienij Piurnonsensowicz w czasach zarazy*, projekt okładki i grafiki Barbara Kowalczyk, bw., Lublin 2022.
- Katarzyna Michalczak, *śń*, Wydawnictwo j, Wrocław 2023.
- Elżbieta Michalska, Katarzyna Ewa Zdanowicz, *Sejpak*, Fundacja Sąsiedzi, Białystok 2023.
- Piotr Mitzner, *Ekrany egzorcyzmy*, Dom Wydawniczy Tehu, Warszawa 2023.
- Izabela Morska, *1983. Maszynopisy*, Biblioteka Domu Literatury w Łodzi, t. 9, Dom Literatury w Łodzi/Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2023.
- Krzysztof Mrowcewicz, *Metafizyki*, Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2023.
- Joanna Mueller, *Trule*, seria Poezje 267, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.
- Andrzej Muszyński, *A*, seria Ut Pictura Bibliotheca, t. 20, Biblioteka Śląska, Katowice 2023.
- Marcin Orliński, *Późne słońce*, Wydawnictwo Wolno, Lusowo 2023.
- Gustaw Owczarski, *Trap krypty*, Fundacja Kontent, Kraków 2023.
- Martyna Pankiewicz, *Czym się żywi ziemia i martwi*, seria „po moim trupie”, grafiki Rafał Koliński, Wydawnictwo papierwdole, Ziemia 2023.
- Juliusz Pielichowski, *Przeciwwiersze*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 279, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2023.
- Klaudia Pieszczoch, *Ruń*, seria Poezje 257, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.

- Damian Piwowarczyk, *Rezyliencje*, wydawnictwo j, Wrocław 2023.
- Alina Pochwat-Cicha, *Półprawdy półdzięki*, posłowie Marek Nalepa, ilustracje Michele Mario Moscat, Bonus Liber, Rzeszów 2023.
- Marta Podgórnik, *Erwin i Fatum*, Biblioteka Poczji Współczesnej, t. 277, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2023.
- Juan Manuel Roca, *Obywatel nocy*, wybór, przekład i posłowie Krystyna Rodowska, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. H. Berezy, Szczecin, Bezręcze 2023.
- Jerzy Rochowiak, *Dobra wiadomość*, seria literacka WN UMK Poza, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Toruń 2024.
- Joanna Roszak, *Om*, seria Poezje 265, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.
- Māris Salējs, *Przez sekundę w sferze wiersza*, wybór, przekład i posłowie Miłosz Biedrzycki, ilustracje Zane Ernštreite, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.
- Ida Siccichowicz, *Cięcie ciała w real time 'ie / Body Inclusion in Real Time*, przekład Sarah Luczaj, Ida Siccichowicz, Wydawnictwo Księgarnia Akademicka, Kraków 2023.
- Igor Siewierianin, *Ja – geniusz*, wybór i przekład Lilia Helena Metryka, wstęp Anna Bednarczyk, wyd. Tomasz Kowalczyk, Lublin 2023.
- Urszula Sikora, *Trzynasty miesiąc*, Biblioteka Poczji Współczesnej, t. 280, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2023.
- Jan Skácel, *Boso po tłuczonym szkle. 222 czterowiersze*, przekład i posłowie Michał Tabaczyński, ilustracje Vendula Chalánková, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.
- Lucyna Skompska, *Ani rozmiaru ani skali*, seria „Szumy, zlepy, ciągi”, t. 57, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi/ Dom Literatry, Łódź 2023.
- Ostap Sływżyński / Остап Сливинський, *Adam / Адам*, prczł. na j. polski Bohdan Zadura, Biblioteka Poczji Współczesnej, t. 270, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Michał Sobol, *Trasy przelotów*, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2023.
- Štefan Stražay, *Nasza apokaliptsa jest podobna do nas*, wybór, przekład i posłowie Zbigniew Machej, ilustracje Rudolf Sikora, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022.
- Oliwia Stępień, *Nie chciałam coli*, Biblioteka Poczji Współczesnej, t. 276, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2023.
- Wasył Stus, *Czas twórczości / Dichtenszeit i Listy do syna*, wiersze przełożył Jacek Podsiadło, listy Katarzyna Kotyńska, wstęp Bohdan Tokarski, Staromicjski Dom Kultury, Warszawa 2023.
- Světlo a stín. Sborník XXIV. Dnů poezie v Broumově 2023*, obalká a ilustrace, vydavatel Věra Kopečká, bm, bd.
- Leszek Szaruga, *List*, Convivo Anna Matysiak, Warszawa 2023.
- Katarzyna Szaulińska, *Kryptodom*, seria Poezje 270, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.
- Julia Szychowiak, *Do środka*, seria Poezje 269, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.
- Adriana Szymańska, *Epilog z Gwiazdki. 55-lecie pracy twórczej*, posłowie prof. Anna Legeżyńska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.
- Katarzyna Szweda, *Zemla vulgris*, seria Poezje 261, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.
- TorbusKa, *Amfilada 21*, Biblioteka Poczji Współczesnej, t. 289, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2023.
- Kenneth White, *Ciało absolutu*, wybór i przekład Kazimierz Brakoniecki, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. H. Berezy, Szczecin, Bezręcze 2022.
- Iryna Wikyrczak, *Algometria / Альгометрия*, wstęp Hałyna Kruk, posłowie Autorka, przełożyła Aneta Kamińska, Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2022.
- William Butler Yeats, *Miłość to wybór losu*, wybór, przekład, indeks Adam Pomorski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.
- Jurij Zawadzki, *Już nie boli*, Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2023.
- Adam Ziemianin, *Krzqatanie*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, t. 34, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Kraków 2023.

PROZA

- Andrzej Bałys, *Ballady Mirowskie i inne opowiadania*, bw., Warszawa 2024.
- Georges Courteline, *Moja filozofia życiowa*, przekład i posłowie Jan Maria Kłoczowski, ilustracje L'Orén Bes, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.
- Renata Jabłońska, *Oszukać czas*, Wydawnictwo „Littera”, Olsztyn 2024.
- Cezary K. Kęder, *Jak masz na imię*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.
- Włodzimierz Odojewski, *Katarzyna. Powieść berlińska*, wstęp i oprac. Magdalena Rabizo-Birek, Instytut Literatury, Kraków 2024.
- Zofia Romanowiczowa, *Przejście przez Morze Czerwone*, posłowie Anna Jamrozek-Sowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023.
- Zofia Romanowiczowa, *Skrytki*, posłowie Anna Jamrozek-Sowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024.
- Katarzyna Turaj-Kalińska, *Wielki Brat Zachód*, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2023.
- Marta Zelwan, *Niemiejsce*, seria Kolekcja Literatury, seria IV, t. VI, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich –Instytut Literatury, Warszawa 2023.

INNE

- VII Ogólnopolski Konkurs Plastyczny Kolaż–Asamblaż 2023*, Galeria Sztuki Współczesnej Biuro Wystaw Artystycznych w Olkuszu, Olkusz 2023.
- XIX Międzynarodowy Plener Malarski „Boguchwała 2023”*, komisarz pleneru Jacek Krzysztof Nowak, Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Rzeszowie – Miejskie Centrum Kultury w Boguchwałce, Rzeszów 2023.
- Tomasz Bąk, *Fiszki*, seria eseistyczna, t. 3, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2023.
- Film i filozofia. Rozprawy i eseje z filozofii kultury*, red. Witold Nowak, Przemysław Paczkowski, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2023.
- ISP. Instytut Sztuk Pięknych, Kolegium Nauk Humanistycznych, Uniwersytet Rzeszowski 1995–2021*, kolegium redakcyjne: Dorota Sankowska, Tadeusz Boruta, Łukasz Cywicki, Jerzy Kierski, Mirosław Pawłowski, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, bd.
- Aneta Kamińska, *Pokój z widokiem na wojnę*, rysunki Kateryna Michalicyna, K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2023.
- Kolekcja / Collection Sammlung Pastula* (teksty: Mariusz Kalandyk, Anna Steliga), Muzeum Regionalne w Stalowej Woli, Stalowa Wola 2023.
- Adam Lizakowski, *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?*, Bibliotheca Bielaviana, seria Sudecka poezja i proza, Wydawnictwo Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bielawie, Bielawa 2024
- Waldemar Niemiec, *Moje sądy i osądy. Wokół sanockiej Temidy*, Wydawnictwo Księgarnia Akademicka, Kraków 2023
- Marek Adam Olszyński, *Obrazki MO. Instrukcja obsługi 1984–2024* (teksty: Frank Hendrickx, Beata Lewińska, Alicja Domka, Tomasz Kisiel), wyd. Urząd Miasta Przeworska, bm. 2024.
- Maria Markowska, *Malarstwo, rysunek*, Pałac Sztuki, Kraków 2022.
- Jarosław Petrowicz, *Literacka Ziemia Wieluńska*, Biblioteka Wieluńskiego Towarzystwa Naukowego, t. XL, Wieluńskie Towarzystwo Naukowe, Wieluń 2023.
- Jan Skoczyński, *Poza katedrą*, Wydawnictwo Naukowe Katedra, Gdańsk 2021.
- Piotr Strzałkowski, *Lustracja 1790*, Oficyna Wydawnicza ASPRA-Jr, Warszawa 2024.
- Tadeusz Chyła. Liryeczny kolorysta*, teksty: Blanka Wyszynska-Walczak, Maciej Miczian, Dom Artysty Plastyka w Warszawie, Warszawa 2015

KOMUNIKATY

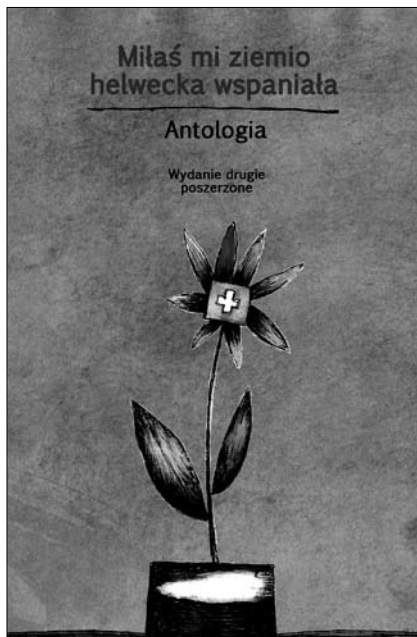
6 edycja Konkursu im. Tymoteusza Karpowicza na recenzję literacką

W dniu 16 maja 2024 roku jury w składzie: Kinga Dunin, Grzegorz Gauden, Karol Maliszewski, Magdalena Rabizo-Birek i Kazimiera Szczuka uzgodniło werdykt podczas obrad online. Jury postanowiło przyznać pierwsze, drugie i trzecie miejsce oraz trzy wyróżnienia. 1 miejsce (nagroda 3000 złotych – otrzymała Maja Sowińska (za recenzję książki *Reneta* Barbary Klickiej); 2 miejsce – nagroda 1500 złotych – Wojciech Kopeć (za recenzję tomiku *112* Emilii Konwerskiej); 3 miejsce – nagroda 500 złotych – Lucja Kudła (za recenzję książki *Cieżar skóry* Małgorzaty Rejmer). Trzy równorzędne honorowe wyróżnienia otrzymali: Kajetan Poniatyszyn (za recenzję tomu *Obóz zabaw* Justyny Kulikowskiej); Barbara Rojek (za recenzję tomu *Wielki ping-pong* Dominika Bielickiego), Piotr Wąsala (za recenzję książki *Idzie tu wielki chłopak* Grzegorza Bogdała). Ogłoszenie werdyktu i wręczenie nagród odbyło się 12 lipca podczas Festiwalu Góry Literatury w Zamku Sarny w Ścinawce Górnej.

Nagrody im. Wisławy Szymborskiej 2024

Kapituła XII edycji Nagrody im. W. Szymborskiej w składzie: Andrea Ceccerelli, Ćurđica Čilić-Škeljo, Janusz Drzewucki, Anna Marchewka, Magdalena Rabizo-Birek, Marta Wyka, Jurij Zawadzki, przyznała nagrodę za tłumaczenie książki poetyckiej wydanej w Polsce w latach 2022–2023 Maciejowi Topolskiemu za przekład poematu Anne Carson *Autobiografia czerwonego* (seria Pogłosy, wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2022). Nominacje do nagrody za najlepszą polską książkę poetycką wydaną w 2023 przyznano: Magdalenie Bielskiej za tom *Poradnik dla niedawno zmarłych* (wydawnictwo a5, Kraków 2023); Agacie Jabłońskiej za *Księżyc Grzybiarek* (papierw-dole-Katalog Press, Kraków 2023); Marzannie Bogumile Kielar za *Wilki* (Wydawnictwo Znak, Kraków 2023); Michałowi Sobolowi za *Trasy przelotów* (Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2023), Katarzynie Szwedzie za *Zemla vulgaris* (Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023). Ogłoszenie nagrody za przekład poetycki oraz nominacji odbyło się w Pałacu Potockich 15 maja 2024. Laureatką Nagrody im. W. Szymborskiej za polski tom poetycki została w 2024 Magdalena Bielska nagrodzona za tom *Poradnik dla niedawno zmarłych*. Ogłoszenie nazwiska osoby nagrodzonej oraz wręczenie nagród odbyło się 7 lipca 2024 podczas Gali Nagrody im. Wisławy Szymborskiej w Teatrze im. J. Słowackiego 18. Laudację wygłosiła Magdalena Rabizo-Birek.

NOWOŚCI BIBLIOTEKI „FRAZY”:



„*Miłaś mi ziemię helwecka wspaniała*”. *Antologia*. Wydanie drugie, poszerzone, zebrał i wstępem opatrzył Jan Wolski, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” – Bonus Liber, Rzeszów 2024, ss. 408.

Cena 60 PL

Autor antologii przyjął założenie, by w doborze utworów kierować się nie ich wartością artystyczną, lecz jedynie treścią, tj. tematyką bądź motywiką, gdyż ważne jest samo występowanie Szwajcarii w poezji polskiej jako przejaw literackiej atrakcyjności – dlatego obok nazwisk poetów niewątpliwie wybitnych pojawiają się nazwiska mniej znane, a czytelnik antologii ma niczym niezakłóconą możliwość śledzenia ewolucji wizji poetyckiej kraju Helwetów i dokonujących się synchronicznie przemian w zakresie form artystycznych liryki polskiej. To pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie na gruncie polskim.

Aleksander Madyda

Wydawnictwa „Frazy”, dawne i nowe numery pisma w cenie 20 zł można zamówić pod internetowym adresem fraza@univ.rzeszow.pl, dokonując opłaty na konto: PKO I/O Rzeszów 89 1020 4391 0000 6602 0043 7079.